



# MARIO PUZO

GŁUPCY UMIERAJĄ

MARIO  
PUZO  
GŁUPCY UMIERAJĄ

Z angielskiego przełożył  
JAROSŁAW RYBSKI



Wydanie elektroniczne

## O książce

Najwybitniejsza, obok *Ojca Chrzestnego*, powieść amerykańskiego prozaika i scenarzysty. Barwna saga obyczajowa, która mówi wiele o miłości i seksie, o relacjach między kobietą a mężczyzną, a także o ciemnych stronach ludzkiej duszy – korupcji, zdradzie, żądzy władzy, bogactwa i sławy. Z pasją Puzo portretuje środowiska zawodowych graczy, pisarzy, wydawców, a także najlepiej mu znane – hollywoodzkich filmowców: aktorów, reżyserów i producentów. Akcja książki przenosi się nieustannie pomiędzy Las Vegas, Nowym Jorkiem a słoneczną Kalifornią.

„Tylko głupcy umierają” – stwierdza w epilogu John Merlyn, bohater-narrator, nałogowy gracz, pisarz, scenarzysta filmowy, wierny mąż, który bez poczucia winy kocha także inną kobietę, *alter ago* samego Maria Puzo. To wyznanie człowieka, który zrozumiał, że życie jest największą wartością, a śmierć przyjaciół i bliskich epizodem, nad którym można przejść do porządku dziennego. Na kartach powieści spotykamy wiele barwnych postaci. Osano – pełen uroku osobistego sławny pisarz, uwielbiający zarazem kochać i obrażać kobiety. Cully Cross – cwaniak, zaufany człowiek cynicznego szefa kasyna Xanadu, Gronelvelta. Janelle Lambert – piękna biseksualna aktorka, która próbuje zrobić karierę w Hollywood.

# MARIO PUZO

(1920-1999)

Prozaik amerykański, urodzony w Nowym Jorku w biednej rodzinie włoskich imigrantów. Autor dziesięciu powieści, książki dla dzieci, opowiadań przygodowych oraz kilku scenariuszy filmowych (m.in. do filmów o Supermanie oraz sagi *Ojciec Chrzestny* Francisa Forda Coppoli). W 1955 wydał swą pierwszą powieść *Mroczna arena*. Jego najśłynniejszym dziełem jest opublikowany w 1969 *Ojciec Chrzestny* – saga o amerykańskiej rodzinie mafijnej sprzedana w USA w nakładzie ponad 20 milionów egzemplarzy i przetłumaczona na kilkadziesiąt języków. W dorobku literackim Puzo są też powieści *Dziesiąta Aleja*, *Czwarty K*, *Głupcy umierają*, *Sycylijczyk*, *Ostatni don*, *Sześć grobów do Monachium* oraz wydane pośmiertnie tytuły *Omerta* i *Rodzina Borgiów*.

[www.mariopuzo.com](http://www.mariopuzo.com)

*Tego autora*

DZIESIĄTA ALEJA

MROCZNA ARENA

SZEŚĆ GROBÓW DO MONACHIUM

OSTATNI DON

CZWARTY K

GŁUPCY UMIERAJĄ

OMERTA

RODZINA BORGIOŃ

**Saga rodziny Corleone**

OJCIEC CHRZESTNY

SYCYLIJCZYK

RODZINA CORLEONE  
Mario Puzo, Edward Falco

POWRÓT OJCA CHRZESTNEGO  
Mario Puzo, Mark Winegardner

ZEMSTA OJCA CHRZESTNEGO  
Mario Puzo, Mark Winegardner

Tytuł oryginału:  
FOOLS DIE

Copyright © Mario Puzo 1978

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2003

Polish translation copyright © Jarosław Rybski 1994

Ilustracja na okładce: Mark Karrass/Corbis/FotoChannels

Redakcja: Anna Rojkowska

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-173-8

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[O książce](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Dedykacja](#)

[Księga I](#)

[Rozdział 1](#)

[Księga II](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

### Księga III

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

### Księga IV

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

### Księga V

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29



[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

## [Księga VI](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

## [Księga VII](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Księga VIII](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Przypisy](#)

*Dla Eriki*

# **Księga I**

# Rozdział 1

„Posłuchaj. Powiem ci prawdę o życiu mężczyzny. Powiem ci prawdę o jego miłości do kobiet. O tym, że nigdy nie pała do nich nienawiścią. Już pewnie myślisz, że jestem na złej drodze. Zostań ze mną. Uwierz mi – jestem mistrzem magii.

Czy wierzysz, że można kochać kobietę i ustawicznie ją zdradzać? Mniejsza o zdradę fizyczną, chodzi o intencje, o »poezję duszy«. Cóż, nie jest to proste, ale i tak mężczyźni nieustannie to robią.

Chcesz wiedzieć, jak kobiety potrafią kochać, świadomie karmiąc cię miłością, aby zatruć twoje ciało i umysł tylko po to, by cię zniszczyć? A następnie, kiedy kończy się namiętność, wolą odejść? Jednocześnie mają cię obietnicami, robiąc z ciebie głupka? Niemożliwe? To jeszcze nic.

Ale, ale, nie zniechęcaj się. To nie jest ckliwy romans.

Sprawię, że poczujesz bolesne piękno dziecka, zwierzęcą żądzę dorastającego chłopca i samobójcze nastroje nastolatki. A potem (to będzie chyba najtrudniejsze) ukażę ci, jak czas zmienia mężczyznę i kobietę, ich ciała i umysły.

A później, oczywiście, jest PRAWDZIWA MIŁOŚĆ. Nie uciekaj! Ona istnieje, a jeśli nie, to ja ją powołam do życia. Nie na darmo jestem mistrzem magii. Czy warto? A co z wiernością cielesną? Czy o to chodzi? Czy to jest miłość? Czy zachowanie miłości dla jednej wybranej osoby pozostaje w zgodzie z naturą ludzką? A jeśli tak nie jest, to czy dostajesz dodatkowe punkty za starania? Czy to działa w obie strony? Oczywiście, że nie. A jednak...

Życie samo w sobie jest komiczne, a nie ma nic zabawniejszego niż miłość podróżująca w czasie. Ale prawdziwy mistrz magii potrafi sprawić, że jego publiczność jednocześnie śmieje się i płacze. Inaczej sprawa wygląda ze śmiercią. Nigdy nie będę sobie żartował ze śmierci. Przekracza to moje moż-

liwości. W porównaniu ze śmiercią miłość jest męcząca i infantylna, a jednak mężczyźni bardziej wierzą w miłość niż w śmierć.

Zawsze mam się na baczności przed śmiercią. Nie oszuka mnie. Wyczuwam ją na milę. Uwielbia przychodzić pod postacią stracha na wróble; komiczny kształt, który nagle rośnie i rośnie; ciemny, kosmaty kret, który przegryza żyjące pędy; czasem skrywa się pod chorobliwym rumieńcem. I nagle zaskakuje ofiarę szczerzącą zęby czaszką. Ale nie mnie. Ja czekam na nią. Jestem ostrożny.

Kobiety to inna sprawa. One są w posiadaniu wielkiej tajemnicy. Nie traktują miłości poważnie, nigdy tego nie robiły.

Nie, nie możesz teraz odłożyć tej książki. Powtarzam: to nie jest ckliwy romans. Zapomnij o miłości. Pokażę ci wszystkie stadia władzy. Najpierw życie biednego, starającego się przebić pisarza. Wrażliwego. Utalentowanego. Może nawet geniusza. Pokażę ci artystę wydostającego się z gówna dla dobra sztuki. I dlaczego tak bardzo jest tego wart. Następnie opowiem ci o sprytnym przestępcy u szczytu powodzenia. Ach, cóż za prawdziwą radość odczuwa artysta, kiedy w końcu staje się łotrem. Już się z tym nie kryje, ukazuje całą swoją naturę. Bez żadnych bzdur o honorze. Ten skurczybyk to dziwka. Oszust. Jawny wróg społeczeństwa, który nie chowa się za cipę kurwy – sztuki. Co za ulga. Co za przyjemność. Niewysłowiona rozkosz. Następnie opowiem, jak znów staje się uczciwym człowiekiem. Ciężko jest być łotrem.

Ale to pomaga przyjąć społeczeństwo takim, jakie jest, i wybaczyć bliźnim. Jedno jest pewne: nikt nie powinien być łotrem... no, chyba że potrzebuje pieniędzy.

Następnie opowiem historię jednego z największych sukcesów w literaturze. Opiszę intymne życie mocarzy naszej kultury. Szczególnie o jednym walniętym kutasie. Wyższe sfery. A więc mamy już świat biednego geniusza pióra, szemrane towarzystwo i wyższe sfery literatury. Wszystkie te podszyte seksem, skomplikowane wynurzenia nie walną cię jak obuchem w głowę, ale możesz je uznać za interesujące. I wreszcie zakończę opowieść w pełnym blichtrze Hollywoodu, gdzie nasz główny bohater będzie zżerał swoje nagrody, przepieprzał pieniądze, otoczony sławą i pięknymi kobietami. I... nie odkładaj, nie odkładaj – opowiem, jak to wszystko obraca się w proch.

Nie wystarczy? Już to znasz? Pamiętaj, jestem mistrzem magii. Ja naprawdę mogę ich powołać do życia. Ukażę ci, co rzeczywiście myślą i czują. Załkasz nad ich losem, ich wszystkich, obiecuję ci to. A może tylko się roze-

śmiejesz. Tak czy inaczej przyrzekam ci dużo rozrywki. Może nauczysz się czegoś o życiu. Choć to i tak niczego nie zmieni.

A, wiem, co sobie myślisz. Ten sprytny skurwiel chce, żebym czytał dalej. Spokojnie, to tylko taka opowieść. Co szkodzi przeczytać? Nawet jeśli ja biorę to poważnie, ty nie musisz. Po prostu baw się dobrze.

Chcę ci opowiedzieć historię wcale nie z próżności. Nie pragnę sukcesu, sławy czy pieniędzy. To proste, większość mężczyzn i kobiet tego nie pragnie. Nawet lepiej: nie pragnę miłości. Kiedy byłem młody, niektóre kobiety mówiły, że kochają mnie za długie rzęsy. Przyjmowałem to bez komentarza. Następnie kochały mnie za mój umysł. Następnie za władzę i pieniądze. Następnie za talent. Następnie za głębię umysłu. Dobra, poradzę sobie z tym wszystkim. Jedyna kobieta, która mnie przeraża, to ta, która kocha mnie dla mnie samego. Mam pewne plany co do niej. Trucizny, sztylety, ciemne grobowce w jaskiniach, gdzie ukryję jej głowę. Nie można jej pozwolić żyć. Zwłaszcza gdy jest wierna, nigdy nie kłamie i zawsze stawia mnie na pierwszym miejscu.

W tej książce będzie sporo o miłości, ale to nie jest romans. To powieść wojenna. O odwiecznej wojnie pomiędzy mężczyznami żyjącymi w głębokiej przyjaźni. O wielkiej »nowej« wojnie pomiędzy mężczyznami i kobietami. Jasne, że to stara sprawa, ale dopiero niedawno ją ujawniono. Bojowniczkami Frontu Wyzwolenia Kobiet myślą, że to coś nowego, nie uświadamiając sobie, że to jedynie wyjście z konspiracji. Słodkie kobietki zawsze osaczały mężczyzn: przy kołyskach, w kuchni i w sypialni. Przy grobach swych dzieci – najlepsze miejsce na pozbycie się litości.

No cóż, myślisz pewnie, że mam żal do kobiet. Ale ja nigdy nie czułem do nich nienawiści. Przekonasz się, że są lepsze niż mężczyźni. Prawdą jest jednak, że tylko kobiety były w stanie mnie unieszczęśliwić i czyniły to z zapalem już od kołyski. Wielu mężczyzn powie wam to samo. Na dodatek nie można nic na to poradzić.

Wyznaczyłem sobie dziwny cel. Wiem, wiem, trudno się temu oprzeć. Ale uważaj. Jestem szalbierzem, nie takim jak cała ta zgraja słabych, wrażliwych artystów. Zabezpieczyłem się. Wciąż mam w rękawie kilka asów.

Wystarczy już. Pozwól mi zabrać się do pracy. Pozwól mi zacząć i skończyć”.

# **Księga II**



## Rozdział 2

W najszczęśliwszym dniu swego życia Jordan Hawley zdradził trójkę najlepszych przyjaciół. Ale jeszcze tego nieświadomy, wałęsał się po sali gry w kości wielkiego kasyna w hotelu Xanadu, zastanawiając się, w co teraz zagrać. Było dopiero wczesne popołudnie, a on już wygrał dziesięć tysięcy dolarów. Znużył go widok błyszczących czerwonych kostek toczących się po zielonym suknie.

Wyszedł z tego pomieszczenia po miękkim, uginającym się pod stopami purpurowym dywanie i skierowawszy się ku terkoczącemu kołu ruletki, stojącemu wśród czerwonych i czarnych pól, beztróska postawił na zielone i podwójne zero. Zrobił jeszcze kilka idiotycznych obstawień, przegrał i udał się do sali black jacka.

Małe stoły do black jacka w kształcie podkowy stały w dwóch rzędach. Kroczył pomiędzy nimi jak więzień Indian, idący na tortury. Z dwu stron atakował go widok niebieskich koszulek kart. Przeszedł bezpiecznie i dotarł do olbrzymich szklanych drzwi, prowadzących na ulice Las Vegas. Zobaczył stąd Strip, strzeżony przez luksusowe hotele.

Pod palącym słońcem Nevady tuzin hoteli rozświetlały neony o mocy milionów watów. Hotele zdawały się roztopiać w oślepiającej złotej mgłę jak miraż. Wygrane Jordana Hawleya uwięziły go w klimatyzowanym kasynie. Byłoby szaleństwem wyjść na zewnątrz, gdzie czatowały na niego inne kasyna razem ze swymi dziwnymi i pochodzącymi z nieznanego źródła fortunami. Tutaj jest zwyciężcą, a wkrótce spotka się ze swymi przyjaciółmi. Tutaj jest chroniony przed rozpaloną żółtą pustynią.

Jordan Hawley odwrócił się od szklanych drzwi i usiadł przy najbliższym stoliku do black jacka. Czarne studolarowe sztony, malutkie podpalane słoneczka zagrzechotały mu w dłoni. Obserwował krupiera, wyciągającego kar-

ty z nowej paczki i wkładającego je do prostokątnego drewnianego pudełka.

Jordan stawiał sporo na każdy z dwóch małych stosów, grał na dwie ręce. Miał szczęście. Grał aż do wyczerpania się talii. Krupier często się mylił i kiedy potasował karty, Jordan ruszył dalej. Kieszenie miał wypchane sztonami. Nie obawiał się jednak ich utraty, ponieważ nosił specjalną, zaprojektowaną przez Sy Devore'a Kurtkę Zwycięzcy z Vegas. Była niebieska, wykończona purpurą, i miała specjalne zapinane na zamki błyskawiczne kieszenie o nastrajającej optymistycznie objętości. Podszewka kurtki także miała specjalnie zapinane wewnętrzne kieszenie tak głębokie, że nie mógł się do nich dostać żaden kieszonkowiec. Wygrane Jordana były bezpieczne, a i tak miał jeszcze w kieszeniach dużo miejsca. Nie narodził się jeszcze taki, który by wypełnił po brzegi kieszenie Kurtki Zwycięzcy z Vegas.

Kasyno oświetlone dużymi żyrandolami wypełniała niebieskawa poświata, odbijająca się od purpurowej wykładziny. Jordan skrył się w półmroku baru z obniżonym sufitem i sceną dla artystów. Siedząc przy małym stoliku, spoglądał w głąb kasyna, tak jak widz patrzy na estradę.

Zahipnotyzowany, przyglądał się popołudniowym graczom, dryfującym od stolika do stolika w niezmiennym rytuale. Jak tęcza jaśniejąca na jasnoblękitnym niebie, koło ruletki błyszczało czerwienią harmonizującą z czernią numerów na stole. Niebieskie karty o białych koszulkach przesuwały się wzdłuż zielonych stołów. Czerwone kości z białymi kropkami wyglądały jak latające ryby, skaczące ponad stołami w kształcie wieloryba. W głębi za rzędami stołów do black jacka krupierzy schodzący z dyżuru unosił ręce nad głowę i myli je, aby pokazać, że nie ukrywają sztonów.

Kasyno wypełniało się aktorami: znad odkrytego basenu przybywali czciciele słońca, inni z kortów tenisowych, pół golfowych, po drzemce, popołudniowych bezpłatnych lub płatnych miłościach, świadczonych w tysiącach pokojów Xanadu. Jordan zauważył jeszcze jedną Kurtkę Zwycięzcy z Vegas, wchodzącą do kasyna. To był Merlyn. Merlyn Dzieciak. Merlyn zatrzymał się przy ruletce. To była jego słabość. Rzadko jednak grał, ponieważ wiedział, że pięć i pół procent ruletki tnie jak ostry miecz. Jordan pomachał mu z ciemności dłonią. Światło wydobyło szkarłatne pasy na rękawach, Merlyn z miną męczennika oderwał się od ruletki, wyszedł z oświetlonej części kasyna i usiadł. Zapinane kieszenie Merlyna nie grzechotały sztonami. Nie miał ich też w dłoniach.

Siedzieli tak bez słowa, nieskrępowani. Merlyn wyglądał w swojej szkar-

łatno-niebieskiej kurtce jak atleta. Był młodszy od Jordana przynajmniej o dziesięć lat. Miał kruczoczarne włosy. Wyglądał też na bardziej zadowolonego, bardziej ochoczo szykował się do bitwy z losem w tę noc hazardu.

I wtedy zobaczyli w odległym rogu, gdzie grano w bakarata, Cully'ego Crossa i Dianę, przechodzących przez eleganckie szare ogrodzenie i kierujących się w ich stronę. Cully także nosił Kurtkę Zwycięzcy z Vegas. Diana ubrana była w biały letni kostium, długi i przewiewny, jaki musiała nosić do pracy; dekolt lśnił perłową bielą. Merlyn pomachał w ich kierunku, a oni zdecydowanie przeszli przez kasyno. Kiedy już usiedli, Jordan zamówił drinki. Wiedział, czego chcieli.

Cully zauważył grzechoczące kieszenie Jordana.

– Hej! – zawołał. – Poszczyło ci się bez nas?

Jordan uśmiechnął się.

– Trochę.

Wszyscy patrzyli z ciekawością, jak płacił kelnerce za drinki czerwonym pięciodolarowym sztonem. Zauważył ich spojrzenia. Nie wiedział, dlaczego tak dziwnie na niego patrzyli. Jordan był w Vegas od trzech tygodni i od tego czasu zaszły w nim niepokojące zmiany. Stracił z dziesięć kilogramów, jego popielate włosy urosły i posiwiały, twarz, chociaż wciąż przystojną, znaczyły nieprzespane noce, skóra nabrała zielonkawego odcienia. Wyglądał na wyczerpanego. Nie był tego świadom, ponieważ czuł się świetnie. Niewinnie myślał o tych ludziach, trzytygodniowych przyjaciółach, najlepszych przyjaciółach pod słońcem.

Najbardziej z tej trójki lubił Dzieciaka. Merlyna. Merlyn szczylił się tym, że jest graczem o kamiennej twarzy. Starał się nigdy nie okazywać emocji bez względu na to, czy przegrał, czy wygrał, i przeważnie mu się to, udawało. Może z wyjątkiem szczególnie pechowej gry, wywołującej na jego twarzy wyraz zdziwionej irytacji, który tak bawił Jordana.

Merlyn Dzieciak nie mówił za wiele. Obserwował tylko wszystkich. Jordan wiedział, że Merlyn Dzieciak ma na niego oko i stara się go rozgryźć. To także go bawiło. Ciągłe go nabierał. Dzieciak szukał jakichś skomplikowanych rzeczy i nie przyjmował do wiadomości, że on, Jordan, był taki, jaki ukazywał się światu. Ale Jordan lubił być razem z nimi wszystkimi. Rozpraszali jego samotność. A ponieważ Merlyn wydawał się bardzo chętny, bardzo zaangażowany w grę, Cully nazwał go Dzieciakiem.

Cully był najmłodszy z nich. Miał tylko dwadzieścia dziewięć lat, ale

dziwnym trafem wydawał się przywódcą tej grupy. Wszyscy spotkali się trzy tygodnie temu w Vegas, w tym właśnie kasynie, i mieli jedną wspólną cechę. Byli nałogowymi graczami. Ich trzytygodniową orgię uznano za niezwykłą, ponieważ procent w tym kasynie powinien był ich zakopać w piaskach Nevada w ciągu pierwszych kilku dni.

Jordan wiedział, że pozostali, Cully Licznik Cross i Diana, także byli nim zaciekawieni, ale nie miał nic przeciwko temu. Prawie zupełnie go nie interesowali. Dzieciak wydawał się młody i zbyt inteligentny, aby być nałogowym graczem, ale to Jordana wcale nie obchodziło. Nie leżało w kręgu jego zainteresowań.

Zdaje się, że Cully nie był obiektem godnym zainteresowania. Typowy szuler znający przeróżne sztuczki. Był w stanie zapamiętać kolejność kart w czterotaliowym rozdaniu black jacka. Ekspert od wszystkich hazardowych procentów. A Dzieciak nie. Jordan był zimnym, wyrachowanym graczem, podczas gdy Dzieciak – narwanym. Cully to profesjonalista. Ale Jordan nie miał złudzeń na swój temat. W tej chwili należał do tej samej grupy. Nałogowych graczy. Nałogowy gracz to taki człowiek, który po prostu gra, aby grać, i wie, że musi przegrać. Tak jak bohater, który idzie na wojnę i musi umrzeć. Pokażcie mi gracza, a ja wam pokażę straceńca; pokażcie mi bohatera, a ja wam pokażę jego ciało, pomyślał Jordan.

Wszyscy już mieli forszę na wykończeniu i wkrótce będą się musieli stąd zbierać, może z wyjątkiem Cully'ego. Cully był w połowie alfonsiem, a w połowie konikiem. Zawsze próbował jakichś sztuczek. Czasami namawiał krupiera black jacka do współpracy przeciw jego chlebodawcy. Niebezpieczna zabawa.

Dziewczyna, Diana, była w tej grupie odszczepieńcem. Pracowała jako dama do towarzystwa, zwabiając naiwnych klientów. Teraz miała przerwę w obstawianiu stolika do bakarata. Spędzała wolne chwile z nimi, ponieważ byli to jedyni mężczyźni w Vegas, którym, jak myślała, zależało na niej.

Praca „na wabia” miała to do siebie, że Diana grała: przegrywała i wygrywała pieniądze kasyna. Jej zarobki nie zależały od utargu – otrzymywała suchą cotygodniową pensję. Jej obecność przy stole do bakarata była konieczna tylko podczas jałowych godzin, ponieważ gracze nie chcieli siadać przy pustych stołach. Była jak lep na muchy. I dlatego ubierała się prowokująco. Miała kruczoczarne włosy długie jak pejcz, pełne usta i prawie doskonałe, długonogie ciało. Dobrze wyglądała ze swoim małym biustem. Szef rozgry-

wiek w bakarata dawał jej numery telefonów najbardziej zapamiętałych graczy. Czasami szef czy też raczej „typujący” szeptał jej do ucha, że jeden z graczy chciałby spotkać się z nią w swoim pokoju. Miała możliwość odmowy, ale nie należało tej możliwości nadużywać. Jeśli przyjmowała propozycję, nie była wynagradzana bezpośrednio przez klienta. Szef dawał jej szton na pięćdziesiąt lub sto dolarów, który musiała wymienić w kasie kasyna. Nie nawidziła tego. Często płaciła pięć dolarów swoim koleżankom, aby zrealizowały szton za nią. Kiedy Cully o tym usłyszał, zaprzyjaźnił się z nią. Lubił słabe kobiety: mógł nimi manipulować.

Jordan poprosił kelnerkę o następne drinki. Odprężył się. Szczęście w grze, i to o tak wczesnej porze, sprawiło, że poczuł się szlachetny. Tak jakby pokochał go jakiś dziwny bóg, odnalazł w nim dobro i zaczął wynagradzać za ofiary, jakie złożył, zostawiając świat doczesny. Jordan czuł szczególne braterstwo z Cullym i Merlynem.

Często razem jadali śniadania. I zawsze późnym popołudniem wypijali drinka, tuż przed rzuceniem się w wir hazardu, który mógł ich pograżyć jeszcze tej samej nocy. Czasami zamawiali sobie lekką przekąskę o północy, aby uczcić wygraną; szczęściarz płacił rachunek i kupował dla wszystkich bilety do stołu keno. W ciągu ostatnich trzech tygodni stali się kumplami, chociaż nie mieli żadnych wspólnych cech i ich przyjaźń miała wygasnąć wraz z wygaśnięciem żądzy hazardu. Ale teraz, przed rozstaniem, łączyły ich dziwne uczucia. Po udanym dniu Merlyn Dzieciak zabrał ich do hotelowego sklepu z odzieżą i kupił im szkarłatno-niebieskie Kurtki Zwycięzców z Vegas. Tego dnia wszyscy byli zwycięzcami i od tego czasu zawsze je przesądnie wkładali.

Jordan poznał Dianę wieczorem, w dniu jej największego upokorzenia; tej samej nocy po raz pierwszy spotkał Merlyna. Następnego dnia postawił jej kawę podczas jednej z przerw w pracy i długo rozmawiali, ale Jordan nie zwracał uwagi na jej monolog. Dziewczyna wyczuła ten brak zainteresowania i obraziła się na niego. Na jakiś czas ich stosunki zawisły w próżni. Później, gdy został sam w bogato wystrojonym pokoju, było mu przykro i nie mógł zasnąć. Tak jak co noc. Próbował pigulek, ale po ich zażyciu miał przerażające, koszmarne sny.

Jazzowe combo wkrótce pojawi się na scenie; publiczność zaczynała nad-

chodzić. Jordan zauważył wzrok, jakim patrzyli na niego, kiedy dał kelnerce pięciodolarowy napiwek. Myśleli, że jest hojny. A on był hojny tylko dlatego, że nie miał siły dowiadywać się, ile właściwie powinien taki napiwek wynosić. Z rozbawieniem obserwował zmianę własnego systemu wartości. Zawsze był skrupulatny i sprawiedliwy, ale nigdy przesadnie hojny. Kiedyś jego świat był dokładnie wymierzony i przeliczony. Wszyscy musieli pracować na uznanie. I w końcu przestało to działać. Zdumiał go absurd opierania życia na takim rozumowaniu.

Członkowie jazzowego combo przemykali przez mrok w kierunku sceny. Wkrótce będą zagłuszać wszystkie rozmowy i ten moment był niezmiennie sygnałem dla trzech mężczyzn do rozpoczęcia męskiej gry.

– Dzisiaj jest mój szczęśliwy wieczór – rzekł Cully.

– Widziałem kominiarza.

Jordan uśmiechnął się. Zawsze tak reagował na entuzjazm Cully’ego. Jordan znał tylko jego pseudonim: Cully Licznik, imię, które zdobył przy stoliku do black jacka. Jordan go lubił, ponieważ nie zamykała mu się jadaczka i rzadko trzeba było odpowiadać na pytania. Dlatego był niezbędny w grupie: Jordan i Merlyn Dzieciak nigdy dużo nie mówili. Diana – bakaratowy wabik – uśmiechała się, ale też rzadko się odzywała.

Drobna, delikatna twarz Cully’ego jaśniała entuzjazmem.

– Godzinę będę przy kościach – powiedział. – Wyrzucę setki numerów, ale ani jednej siódemki. Możecie na mnie liczyć, chłopaki.

Combo rozpoczęło mocnym akordem, jakby na potwierdzenie jego słów. Cully uwielbiał kości, chociaż największymi umiejętnościami wykazywał się przy liczeniu całego rozdania black jacka. Jordan uwielbiał bakarata, ponieważ nie wymagał ani liczenia, ani umiejętności. Merlyn kochał ruletkę: była to dla niego prawie magiczna, mityczna gra. Ale Cully ogłosił, że dzisiaj ma szczęśliwą rękę do kości i dlatego wszyscy będą grać razem z nim, aby przynieść mu szczęście. Wstali więc od stolika, pochylili się nad Cullym i dotknęli jego kurtki, aby czar kominiarza przeszedł również na nich.

– Jordy ma szczęśliwą rękę do bakarata – odezwała się po raz pierwszy Diana. – Może powinniście z nim zagrać.

– Nie wyglądasz mi na takiego – powiedział Merlyn do Jordana.

Wspomnienie o szczęściu kogoś z grupy było wbrew regułom. Mogłoby to przynieść mu pecha albo zaczęto by go naciągać na pożyczkę. Ale Diana na tyle dobrze znała już Jordana, że wiedziała, iż nie ulega żadnym hazardowym



przesądom.

Cully Licznik potrząsnął głową.

– Mam przeczucie – rzekł. Jego prawa dłoń wykonała charakterystyczny gest gracza w kości.

Muzyka przybrała na sile; nie słyszeli już swoich słów. Dźwięki orkiestry wymiotły ich z ciemnej świątyni wprost do jaśniejszej sali gry kasyna. Było tam coraz więcej graczy, ale jeszcze nieogarniętych gorączką hazardu. Diana po przerwie na kawę poszła grać w bakarata, stawiając pieniądze kasyna, aby przy stoliku nie było pusto. Jednak bez entuzjazmu. Przegrywanie i wygrywanie nie swoich pieniędzy w charakterze przynęty nudziło ją śmiertelnie. Może dlatego poruszała się jeszcze wolniej niż pozostali.

Cully prowadził. Wyglądali jak trzej muszkieterowie w szkarłatno-błękitnych Kurtkach Zwycięzców z Vegas. Cully był pewny siebie i rwał się do walki. Tuż za nim podążał nie mniej ochoczo Merlyn, któremu także podskoczyło ciśnienie. Jordan szedł za nimi wolniej. Jego wcześniejsze wygrane sprawiły, że wydawał się cięższy od pozostałych. Cully starał się wywęszyć „gorący stół”. Jedną z charakterystycznych cech takiego stolika jest niewielka ilość sztonów w banku. W końcu poprowadził ich do stołu przy taśmie i sam przygotował się do pierwszego rzutu. Zrobili małe zakłady i w końcu Cully wziął pieśzcotliwie do ręki czerwone kostki.

Dzieciak postawił dwadzieścia, Jordan dwieście, a Cully Licznik – pięćdziesiąt. Wyrzucił szóstkę. Porobili nowe zakłady, wykupując wszystkie numery. Cully podniósł kości; był pełen entuzjazmu i pewny siebie; rzucił je mocno w drugi koniec stołu. Spojrzał z niedowierzaniem. To była najgorsza katastrofa. Siódemka. Odpadł. Bez szans na dalszą grę. Dzieciak stracił sto czterdzieści, Cully trzy razy po pięćdziesiąt. Jordan popłynął na tysiąc czterysta dolarów.

Cully wymamrotał coś pod nosem i odszedł od stołu. Do głębi wstrząśnięty, był teraz skazany na ostrożną grę w black jacka. Musiał zapamiętać kolejność wszystkich kart w rozdaniu. Czasami mu się udawało, ale to była harówka. Czasami też zapamiętywał doskonale każdą kartę i zgadywał, które zostały, dostawał dziesięć procent, po czym robił duży zakład. A czasami, robiąc duży dziesięcioprocentowy zakład, miał pecha i przegrywał. Wtedy liczył kolejne rozdanie. A ponieważ teraz jego wspianiała prawa dłoń zawiodła, Cully był bez forsy. Ten wieczór będzie dla niego koszmarem. Bardzo ostrożna gra i ani jednej przegranej.

Merlyn Dzieciak także odszedł od stolika. Również bez pieniędzy, ale także bez umiejętności pozwalających na odzyskanie przegranej. Pozostało mu tylko liczyć na łut szczęścia.

Jordan samotnie włóczył się po kasynie. Uwielbiał uczucie odosobnienia w tłumie i hazardową wrzawę. Uwielbiał być samotnym, nie będąc osamotnionym. Być przyjacielem nieznanym, których nigdy więcej nie zobaczy. Słuchać grzechotu kości.

Włóczył się po sali z black jackiem, mijając stoły w kształcie podków, ustawione w dwóch rzędach. Wsłuchiwał się w odgłos tasowanych kart. Cully nauczył jego i Merlyna wykrywać pewną sztuczkę: oszust sprawnie rozdający karty był niemal nie do rozszyfrowania, ale jeśli wyteżyło się słuch, w szumie można było usłyszeć delikatny trzask drugiej karty wysuwanej na pierwszą pozycję. Ponieważ pierwsza karta musiała być dla dobra banku najlepsza.

Chociaż była dopiero siódma, w oczekiwaniu na występ ustawiła się długa kolejka. Właściwie nic się nie działo w kasynie. Nie było wielkich zakładów ani też wielkich zwycięzców. Jordan z rozmysłem zagrzechotał czarnymi sztonami. Następnie podszedł do prawie pustego stolika do gry w crapa i podniósł czerwone, błyszczące kości. Rozpiął wewnętrzną kieszeń kurtki i wysypał na stół garść studolarowych sztonów. Zrobił zakład o dwieście, podwoił stawkę i wykupił wszystkie numery za pięćset dolarów każdy. Trzymał kości przez przynajmniej godzinę. Po pierwszych piętnastu minutach napięcie jego rozgrzanej dłoni stało się wyczuwalne i zapełniły się miejsca przy stole. Podniósł zakłady do pięciuset, a z jego dłoni wciąż wytaczały się magiczne cyfry. Wygnał z myśli fatalną siódemkę. Zabronił jej się pokazywać. Stół nagle zapełnił się czarnymi sztonami. Kieszenie kurtki wypełniły się po brzegi. W końcu nie mógł utrzymać tego stanu koncentracji. Wypadła fatalna siódemka i kości przeszły w ręce następnego gracza. Publiczność zgotowała mu owację. Od szefa sali dostał metalowy koszyk, aby mógł zanieść sztony do kasy. Pojawili się Merlyn i Cully. Jordan uśmiechnął się do nich.

– Widzieliście te rzuty? – zapytał.

Cully potrząsnął przecząco głową.

– Tylko ostatnie dziesięć minut – odparł. – Nie wyszło ci to na dobre.

Merlyn zaśmiał się.

– Nie wierzyłem w twoje szczęście. Teraz odwołuję.

Merlyn i Cully eskortowali Jordana do kasy. Jordan był zdumiony, kiedy



się okazało, że zawartość metalowego kosza przekroczyła pięćdziesiąt tysięcy dolarów. A kieszenie wciąż miał pełne.

Merlyn i Cully byli przerażeni. Cully rzekł poważnie:

– Jordy, czas, żebyś wyjechał z miasta. Jeśli tu zostaniesz, wkrótce odzyskają te pieniądze.

– Do rana daleko – zaśmiał się Jordan. Był rozbawiony tym, że jego przyjaciele traktują to poważnie. Ale zmęczenie zwyciężyło. Poczł się nagle nie słychanie wyczerpany. – Pójdę na górę i trochę się zdrzemnę – rzekł. – Spotkajmy się, chłopaki, około północy na wspańskiej kolacji, dobra?

Kasjer skończył przeliczanie i zapytał Jordana:

– Czy zechce pan wziąć gotówkę, czy czek? A może woli pan, abyśmy zatrzymali to w kasie?

– Weź czek – powiedział Merlyn.

Cully zmarszczył brwi z troską, ale wtedy zauważył, że wewnętrzne kieszenie Jordana wciąż są pełne sztonów. Uśmiechnął się.

– Czek jest bezpieczniejszy – poparł Merlyna.

Czekali w trójkę: Cully, Jordan patrzący w głąb kasyna i osłaniający go Merlyn. W końcu ponownie pojawił się kasjer, niosąc złoty, o ząbkowanym brzegu czek dla Jordana.

Trzej mężczyźni jak na komendę odwrócili się. Wyglądało to, jakby wykręcili piruety. Ich kurtki błyszcząły szkarłatno-niebieskimi barwami, odbijając światła nad stolikami do gry w keno. Merlyn i Cully wzięli Jordana pod łokcie i wepchnęli do jednego z gwiaździszc rozchodzących się korytarzy, w kierunku jego pokoju.

Miękki, drogi pokój w jaskrawych barwach. Złote ciężkie zasłony i olbrzymie łóżko obszyte srebrnym atłasem. Pokój wymarzony dla szulera. Jordan wziął gorącą kąpiel i próbował czytać. Nie mógł zasnąć. Neonowe światła Stripu, przenikające przez okna, zatrzymywały się kolorami tęczy na przeciwległej ścianie. Jordan szczerzej zaciągnął zasłony, ale wydawało mu się, że wciąż słyszy słaby jazgot dobiegający z kasyna jak odgłos fal na odległej plaży. Zgasił światła i położył się do łóżka. To był niezły bajer, ale jego umysł nie dał się oszukać. Nie mógł zasnąć.

Wtedy Jordan poczuł znajomy strach i niepokój. Jeśli zaśnie, umrze. Rozpaczliwie łaknął snu, a jednak nie mógł zasnąć. Owładnął nim lęk, był zbyt

przerażony. Nigdy nie potrafił dostrzec prawdziwej przyczyny własnego strachu.

Kusiło go znowu, aby wziąć pigułki na sen; zrobił już tak na początku miesiąca, wtedy mógł spać, ale dręczyły go koszmary, z którymi nie był w stanie sobie poradzić. Następnego dnia zawsze był przygnębiony. Wolał więc nie zasypiać. Tak jak teraz.

Jordan gwałtownym ruchem zapalił światło. Wstał z łóżka i ubrał się. Opróżnił wszystkie kieszenie i portfel. Odpiął wewnętrzne i zewnętrzne kieszenie kurtki, odwrócił ją do góry nogami i wytrząsnął czarne, zielone i czerwone sztony na aksamitne posłanie. Studolarowe sztony utworzyły duży stos udekorowany spiralnymi czerwono-zielonymi wzorami. Dla zabicia czasu zaczął liczyć pieniądze i sortować sztony. Zajęło mu to prawie godzinę.

Miał ponad pięć tysięcy dolarów w gotówce, osiem tysięcy dolarów w czarnych studolarowych sztonach, sześć tysięcy w dwudziestopięciodolarowych zielonych i prawie tysiąc dolarów w pięciodolarowych czerwonych. Był zdumiony. Wyjął duży czek z hotelu Xanadu i zaczął studiować czarne i czerwone napisy oraz kwotę wypisaną na zielono. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Przyglądał mu się uważnie. Na czeku widniały trzy różne podpisy. Szczególnie jeden, duży i wyraźny, wzbudził jego zainteresowanie. Był to podpis Alfreda Gronevelta.

Nie opuszczało go zdziwienie. Przypomniawszy sobie, jak zamieniał sztony na gotówkę, kilkakrotnie w ciągu dnia, ale nie zdawał sobie sprawy, że było tego około pięciu tysięcy dolarów. Rzucił się na łóżko, a wszystkie pracownice ułożone stosy sztonów rozsypały się.

Teraz odczuł zadowolenie. Cieszył się, że miał dostateczną ilość pieniędzy, aby zostać w Vegas, że nie będzie musiał jechać do Los Angeles, aby podjąć jakąś pracę. Nowa kariera, nowe życie, może nowa rodzina. Jeszcze raz przeliczył wszystkie pieniądze i dodał do nich wartość czeku. Miał siedemdziesiąt jeden tysięcy dolarów. Będzie mógł grać przez wieczność.

Wyłączył lampkę, aby móc leżeć w ciemności, otoczony pieniędzmi dotykającymi jego ciała. Starał się zasnąć, aby zwalczyć grozę, która zawsze dopadała go w tym zaciemnionym pokoju. Słyszał, jak serce bije mu coraz szybciej, aż w końcu zmusiło go to do ponownego zapalenia lampki i wstania z łóżka.

Wysoko nad dachami miasta Alfred Gronevelt, właściciel hotelu, podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoił do sali gry w kości i zapytał, jak daleko posu-

nał się Jordan. Powiedziano mu, że tego wieczoru Jordan zniweczył szanse kasyna na zysk. Następnie Gronevelt połączył się z centralą i poprosił o Xanadu Pięć. Czekał. Będzie to trwać kilka minut, zanim gracz numer pięć dotrze do wszystkich zakamarków hotelu i rozejrzy się wśród graczy. Dla zabicia czasu wyglądał z okna swego apartamentu, patrząc na neon w kształcie grubego, czerwono-zielonego pytona, który piał się po budynku Stripu. I jeszcze dalej na czarne pustynne góry, otaczające tysiące graczy, starających się rozbić bank, pocących się na samą myśl o zieloniutkich dolarach, złożonych, o ironio, w kasach kasyna. Przez te lata kości wielu graczy spoczyły w brzuchu neonowego gada.

Wtedy usłyszał w słuchawce głos Cully'ego. Cully był Xanadu Pięć. (Gronevelt był Xanadu Jeden).

– Cully, twój kumpel nieźle nas naciął... – stwierdził Gronevelt – jesteś pewien, że jest w porządku?

– Tak, panie Gronevelt – mówił cicho Cully. – To mój kumpel, równiacha. Zostawi forszę, zanim wyjedzie...

– Niech ma wszystko, czego sobie zażyczy. Załatw mu to. Nie pozwól, żeby wałęsał się po ulicach i rozdawał naszą forszę innym. Miej go na oku.

– Niech się pan nie martwi – odparł Cully.

Gronevelt dosłyszał w jego głosie coś zabawnego. Przez chwilę myślał o nim. Cully był jego szpiegiem, sprawdzającym pracę kasyna i rozdających w black jacka, którzy grali wraz z nim przeciwko firmie. Miał wielkie plany co do niego, ale zajmie się tym, kiedy rozwiąże obecny problem. Teraz miał co innego na głowie.

– A co z tym drugim facetem z twojej bandy, Dzieciakiem? – zapytał Gronevelt. – Co knuje? Co, do diabła, robi tutaj przez trzy tygodnie?

– Małe piwo – odpowiedział Cully. – To dobry dzieciak. Niech się pan nie martwi, panie Gronevelt. Wiem, jak się gra w te klocki.

– Dobra.

Kiedy Gronevelt odwieszał słuchawkę, na jego twarzy zagościł uśmiech. Cully nie wiedział, że szefowie sal narzekali na niego, gdyż był artystą w zapamiętywaniu kart. Dyrektor hotelu narzekał na upór Merlyna i Jordana, z jakim zajmowali pokoje, niezbędne dla narybku co tydzień przybywającego do Vegas. A tylko Gronevelt wiedział, że intrygująca przyjaźń tych trzech mężczyzn i to, jak się zakończy, będzie prawdziwym sprawdzianem dla Cully'ego.

Jordan, siedząc w swoim pokoju, zwalczył pragnienie zejścia na dół, do kasyna. Usadowił się w wygodnym fotelu i przypalił papierosa. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Miał przyjaciół, poszczęściło mu się, był wolny. Tylko trochę zmęczony. Potrzebował długiego wypoczynku daleko stąd.

Myślał: Cully i Diana, i Merlyn. Teraz jego najlepsi przyjaciele. Uśmiechnął się do tej myśli.

Wiedzieli o nim bardzo dużo. Spędzili razem długie godziny w barze kasyna, plotkując, odpoczywając między okresami nużącego hazardu. Jordan nigdy nie był skryty. Odpowiadał na każde pytanie, chociaż sam ich nie zadawał. Dzieciak zawsze zadawał pytania tak poważnie, z tak niewymuszonym zainteresowaniem, że Jordana nigdy nie uraziła ich natarczywość.

Dla zabicia czasu wyciągnął z szafy walizkę, aby się spakować. Pierwszą rzeczą, która przyciągnęła jego wzrok, był mały rewolwer, kupiony jeszcze w domu. Nigdy nie powiedział przyjaciółom, że ma broń. Żona opuściła go i zabrała dzieci. Opuściła go dla innego mężczyzny, a jego pierwszym odruchem była chęć zabicia tego faceta. Był to odruch tak obcy jego prawdziwej naturze, że nawet teraz go dziwił. Oczywiście, niczego nie zrobił. Problem stanowiło pozbycie się broni. Najlepiej byłoby rozebrać go na części i wyrzucić. Nie chciał, by ktokolwiek się nim zranił. Ale na razie włożył broń do walizki i przykrył ubraniami. Po chwili znów usiadł.

Nie był pewien, czy chce opuścić Vegas, jasno oświetlone sale kasyna. Było mu tu wygodnie, był tutaj bezpieczny. Brak troski o wygraną lub stratę stanowił jego magiczny płaszcz, ochronę przed losem. I, przede wszystkim, kasyno kładło kres wszystkim pozostałym ranom i pułapkom życia.

Uśmiechnął się znowu, myśląc o Cullym, martwiącym się o jego wygraną. Co on właściwie zrobi z pieniędzmi? Najlepiej byłoby posłać je żonie. Była dobrą kobietą, dobrą matką, z klasą i charakterem. Fakt, że opuściła go po dwudziestu latach małżeństwa, aby poślubić swego kochanka, nie zmieniał tego i nie mógł zmienić. W tym momencie, po wielu miesiącach, Jordan dostrzegł słuszność jej decyzji. Miała prawo do szczęścia. Prawo do pełni życia. Przy nim się dusiła. Nie dlatego, że był złym mężem. Po prostu – nieodpowiednim. Był dobrym ojcem. Zawsze spełniał swoje obowiązki. Jego jedyną wadą było to, że po dwudziestu latach nie potrafił jej już uszczęśliwić.

Jego przyjaciele znali tę opowieść. Trzy tygodnie spędzone w Vegas wydawały się latami i z przyjaciółmi potrafił rozmawiać tak jak z nikim więcej. Przekonał się o tym, pijąc z nimi nad ranem drinki w barze.

Wiedział, że uważają go za człowieka nieprzejednanego. Kiedy Merlyn zapytał go o prawo do odwiedzania dzieci, Jordan wzruszył ramionami. Merlyn zapytał, czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze żonę i dzieci, a Jordan starał się odpowiedzieć uczciwie.

– Raczej nie – rzekł – nie potrzebują mnie.

Wtedy Merlyn Dzieciak wyskoczył na niego:

– A ty, ty ich nie potrzebujesz?

Jordan beztrąsko się roześmiał. Ubawił go oskarżycielski ton Merlyna. Wciąż śmiejąc się, odpowiedział:

– Nie, nie potrzebuję ich. – I wtedy po raz pierwszy odpłacił Dzieciakowi za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Popatrzył mu prosto w oczy i powiedział chłodnym tonem: – Nie ma tam nic więcej niż to, co wiesz. Trzeba przyjmować życie takim, jakie jest. To nic trudnego. Ludzie nie są aż tak ważni dla innych ludzi. Oczywiście, kiedy się dorośnie, tak to jest.

Merlyn odpowiedział mu spojrzeniem, spuścił wzrok, a następnie rzekł cicho:

– To dlatego nie śpisz po nocach, prawda?

– Dokładnie dlatego.

– Nikt w mieście nie śpi – wtrącił niecierpliwie Cully. – Po prostu weź kilka pigułek.

– Mam po nich koszmary – powiedział Jordan.

– Nie, nie – zaprotestował Cully. – To je miałem na myśli. – I wskazał na trzy prostytutki pijące drinki przy stole.

Jordan zaśmiał się. Po raz pierwszy usłyszał taki idiom z Vegas. Teraz zrozumiał, czemu czasami Cully przerywał grę, ogłaszając wszem wobec, że idzie wziąć parę pigułek.

Jeśli jakaś pora była bardziej niż inne odpowiednia do brania spacerujących pigułek, to była nią dzisiejsza noc. Jordan próbował już tego w pierwszym tygodniu pobytu. Zawsze mógł to zrobić, ale gdy było już po wszystkim, nigdy nie czuł spadku napięcia. Pewnej nocy dziwka, przyjaciółka Cully'ego, namówiła go na „bliźniaczki” i przyprowadziła koleżankę. Za jedyną dodatkową pięćdziesiątkę mogły to zrobić super, ponieważ, jak mówiła, był klawym facetem. Zgodził się. Obecność tyłu otaczających go piersi dała mu

dużą satysfakcję. Infantylną satysfakcję. W końcu jedna dziewczyna tuliła jego głowę w piersiach, podczas gdy druga go ujeżdżała. W momencie kulminacyjnym jego ciało w końcu uległo. I wtedy, nie zwracając uwagi na drugą dziewczynę, posłał nikły uśmiech tej, na której piersiach spoczywała jego głowa. Wówczas zrozumiał, że wypadł już z obiegu. Był skończony. A one mogły się zająć tym, co naprawdę lubiły. Zobaczył, że druga dziewczyna rzuciła się na tę pierwszą z namiętnością o wiele bardziej przekonującą od okazanej jemu. Nie był wściekły. Cieszył się, że miały coś z tego. Wydawało się to naturalne. Dał im dodatkową stówę. Myślały pewnie, że to w uznaniu dla nich, ale naprawdę była to zapłata za nikły, sekretny uśmiech – za tę słodką zdradę. A kiedy jeszcze dziewczyna leżąca na plecach w ostatnim spazmie rozkoszy po omacku wyciągnęła rękę, by uchwycić dłoń Jordana, wzruszył się do łez.

Spacerujące pigułki robiły dla niego, co mogły. Były śmietanką tego kraju. Dawały uczucie, trzymały za rękę, szły na obiad i na występ, trochę grały, ale nigdy nie starały się nikogo oszukać ani wyrolować. Sprawiały wrażenie, że naprawdę im zależy, po czym rozpierały ci umysł. Wszystko za jedyne sto dolarów. Jak to mówił Cully: za „pszczołkę”. To okazja. O Chryste, to naprawdę okazja. Ale on nie pozwalał się zwieść ani przez jedną chwilę. Umyły go przed wyjściem jak bardzo chorego mężczyznę przykutego do szpitalnego łóżka. No cóż, były lepsze niż zwykłe pigułki na sen, ponieważ nie miał po nich koszmarów. Ale one także nie mogły go uspić. Tak naprawdę nie spał już od trzech tygodni.

Jordan ze zmęczenia osunął się na wezglowie łóżka. Nie pamiętał, kiedy wstał z fotela. Powinien zgasić światło i postarać się zasnąć. Ale mogła powrócić groza. Nie było to uczucie powstałe w umyśle, ale fizyczny lęk nie do zwalczania, obecny nawet wtedy, kiedy jego umysł funkcjonował bez zarzutu i zastanawiał się, co się dzieje. Nie miał wyboru. Musiał zejść na dół do kasyna. Wrzucił do walizki czek na pięćdziesiąt tysięcy. Będzie stawiał tylko gotówkę i sztony.

Jordan zgarnął wszystko z łóżka i wepchnął do kieszeni. Wyszedł z pokoju i skierował się do kasyna. O tej porze przy stolikach zostali tylko prawdziwi gracze. Porobili już interesy, skończyli jeść, zabrali żony na występy i położyli je spać albo usadzili z kilkoma sztonami przy kole ruletki, aby nie prze-



szkadzały. A może przespali się z kimś, zaciupciali po wykonaniu koniecznych społecznych zadań. Wszyscy rzucali wyzwanie losowi. Z pieniędzmi w garści stali teraz w pierwszym szeregu przy stolikach do crapa. Szefowie sal czekali na nich z piórami, aby goście mogli podpisać pierwszy, drugi lub trzeci czek. Po północy ci mężczyźni wypisywali na czekach fortuny. Nawet nie wiedzieli dlaczego. Jordan spojrział w odległy kąt kasyna. Eleganckie szare ogrodzenie oddzielało długi owalny stół do bakarata od głównej części kasyna. Przy wejściu stał uzbrojony strażnik, ponieważ zakładów dokonywano wyłącznie w gotówce. Po obu stronach pokrytego zielonym sukrem stołu stały dwa wysokie krzesła. Na tych krzesłach siedzieli dwaj mężczyźni sprawdzający krupierów i wypłaty. Wieczorowe stroje, jakie nosili wszyscy pracownicy kasyna przy stole do bakarata, z trudem kamuflowały ich profesjonalną koncentrację. Obserwowali oni każdy ruch trzech krupierów i szefa sali, który prowadził grę. Jordan począł iść w ich kierunku, aż zobaczył odcinające się postaci krupierów.

Czterech świętych w czarnych krawatach. Śpiewali hosanny zwycięzcom i treny przegranym. Przystojniaki, o szybkich ruchach i kontynentalnym szyku, sławili grę, którą prowadzili. Ale zanim Jordan zdołał wejść do środka, zatrzymali go Cully i Merlyn. Cully rzekł cicho:

– Za piętnaście minut zamykają, nie idź tam. – Grę w bakarata kończono o trzeciej.

I wtedy jeden ze świętych w czerni zawołał do Jordana:

– Robimy ostatnie rozdanie, panie J.A. Rozdanie banku. – Zaśmiał się. Jordan widział karty rozkładane na stole, niebieskie koszulki ułożone przed tasowaniem, ukazujące skryte, blade twarze.

– A co z moimi kumplami? – zapytał Jordan. – Ja wyłożę pieniądze i zagrymy na trzy miejsca. – Oznaczało to, że przy dwutysięcznodolarowym limicie Jordan będzie obstawiał sześć tysięcy dolarów.

– Zwariowałeś? – zapytał Cully. – Idź do diabła.

– Nic nie musisz robić. Po prostu siądź tam. Dam ci dziesięć procent od wygranej.

– Nie. – Cully odsunął się od niego i oparł o barierkę przed stołem do bakarata.

– Merlyn, a ty usiądziesz? – spytał Jordan.

Merlyn Dzieciak uśmiechnął się do niego i odpowiedział spokojnie:

– Tak, usiądę.

– Masz dziesięć procent – potwierdził Jordan.

– Jasne, świetnie.

Razem przeszli przez wejście i usiedli przy stole. Diana miała właśnie świeżo rozdane karty i Jordan usiadł przy niej, aby mieć następne rozdanie. Diana skłoniła ku niemu głowę.

– Jordy, nie graj już więcej – poprosiła.

Ale on zrobił już zakład z jej rozdania. Diana przegrała, przegrała dwadzieścia dolarów kasyna, straciła bank i przekazała rozdanie Jordanowi.

Jordan był zajęty opróżnianiem kieszeni swojej Kurtki Zwycięzcy z Vegas. Były tam sztony czarne i zielone, oraz studolarowe banknoty. Położył znaczną część przed Merlynem, siedzącym na krześle numer sześć. Wtedy przejął rozdanie i położył dwadzieścia czarnych sztonów w przegródce w banku.

– Ty też – powiedział do Merlyna. Merlyn odliczył dwa tysiące dolarów i także włożył je do przegródki bankiera.

Krupier uniósł dłoń, aby wstrzymać rozdanie Jordana. Rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy wszyscy zrobili już zakłady. Opuścił dłoń i wyśpiewał Jordanowi:

– Karta dla gracza.

Jordan rozdał karty. Jedną dla krupiera i jedną dla siebie. I znowu: jedną dla krupiera, jedną dla siebie. Krupier rozejrzał się jeszcze raz i rzucił karty w kierunku najwyżej obstawiającego. Człowiek ten zerknął ostrożnie na karty, uśmiechnął się i odwrócił je do góry. Dostał niezwykłą dziewiątkę. Jordan odkrył karty nawet bez patrzenia na nie. Miał dwie figury. Zero. Wtopił. Jordan podał karty Merlynowi. Merlyn podał je następnemu graczowi. Przez chwilę Jordan chciał je wziąć, ale powstrzymał go wyraz twarzy Merlyna. Nic nie mówili.

Złotobrazowe pudełko krążyło wokół stołu. Najpierw wygrał bank, potem gracz. Nie oznaczało to żadnych konkretnych wygranych dla żadnej ze stron. Jordan naciskał na bank, stracił już prawie dziesięć tysięcy dolarów. Merlyn wciąż nie obstawiał. W końcu Jordan dostał karty z powrotem.

Zrobił zakład, dwutysięcznodolarowy limit. Sięgnął po pieniądze Merlyna, zgarnął kilka banknotów i rzucił je do przegródki banku. Zauważył, że Diany już nie było koło niego. Był gotów. Poczł olbrzymi przypływ mocy. Wiedział, że potrafi zmusić karty, aby pojawiły się we właściwej kolejności.

Spokojnie i bez emocji Jordan przebił dwadzieścia cztery rozdania. Przy ósmym rozdaniu wokół stołu do bakarata zebrał się tłum. I każdy z graczy



obstawiał bank, igrając z losem. Przy dziesiątym rozdaniu krupier sięgnął i wyciągnął specjalne, pięćsetdolarowe sztony. Były cudownie kremowobiałe ze złotymi nitkami, przebiegającymi przez środek.

Cully obserwował tę scenę, przyciśnięty do ogrodzenia. Diana stała obok niego. Jordan pomachał w ich kierunku. Po raz pierwszy opanowało go podniecenie. Pewien gracz z Ameryki Południowej, po przeciwnej stronie stołu, przy trzynastym rozdaniu wykrzyknął: „Maestro!”. I wtedy nad stołem zaległa głucha cisza, a Jordan dalej naciskał.

Płynnymi ruchami wyciągał bez wysiłku karty. Ani razu karta nie wypadła ani nie wysliznęła się, kiedy wyciągał je z drewnianego pudełka. Nie zdarzyło się też, by przypadkowo odkrył jej białe lico. Odkładał swoje karty w tym samym rytmie, bez patrzenia, pozwalając głównemu krupierowi ogłaszać numery i trafienia. Kiedy krupier zawołał: „Karta dla banku!”, Jordan znów wyciągnął ją gładko i miękko, bez emocji. I w końcu przy dwudziestym piątym rozdaniu przegrał na rzecz gracza, obstawianego przez krupiera, ponieważ wszyscy obstawiali bank.

Jordan przesunął pudełko do Merlyna, który się wstrzymał i popchnął je do następnego gracza. Merlyn także miał przed sobą złote, pięćsetdolarowe sztony. Ponieważ rozbili bank, musieli zapłacić pięć procent od wygranej kwoty. Krupier naliczył tę opłatę na podstawie numerów miejsc. Było tego pięć tysięcy dolarów. Oznaczało to, że Jordan wygrał sto tysięcy dolarów w jednym rozdaniu. I każdy gracz przy tym stole miał udział w jego wygranej.

Dwóch sprawdzających podniosło się z krzeseł i zadzwoniło do dyrektora kasyna i właściciela hotelu, oznajmiając im złe wieści. Pechowa noc przy stole do bakarata była jednym z nielicznych poważnych zagrożeń dla zysków kasyna. Nie oznaczało to nic poważnego na dłuższą metę, ale należało mieć oko na tego typu katastrofy. Gronevelt we własnej osobie zjechał windą ze swego apartamentu i cicho przekroczył ogrodzony kąt do gry w bakarata. Stanął w rogu z szefem sali i obserwował. Jordan dostrzegł go kątem oka; wiedział kim jest. Merlyn kiedyś mu go pokazał.

Pudełko podróżowało po stole, pozostając w rękach banku. Jordan zarobił trochę pieniędzy, po czym znów dostał pudełko w swoje ręce.

Tym razem, zupełnie bez wysiłku, poruszając dłońmi z gracją, osiągnął marzenie każdego gracza w bakarata. Opróżnił pudełko. Nie została ani jedna karta. Przed Jordanem piętrzyły się stosy złotych sztonów.

Jordan rzucił cztery kremowobiałe sztony w kierunku głównego krupiera.

– To dla was, panowie – powiedział.

– Panie Jordan, może by pan poczekał, zaraz wypiszemy panu czek – zaproponował szef sali bakarata.

Jordan wepchnął duży zwitek studolarowych banknotów do kieszeni kurtki, to samo uczynił z czarnymi sztonami, pozostawiając morze kremowobiałych pięćsetdolarowych sztonów na stole.

– Może mi je pan przeliczyć – rzekł do szefa sali. Wstał, aby rozprostować kości, i rzucił od niechcienia: – Czy stać was na jeszcze jedną partyjkę?

Szef sali zawahał się i spojrzał na dyrektora kasyna, stojącego z Groneveltem. Dyrektor pokręcił głową na nie. Już dawno sklasyfikował Jordana jako nieuleczalnego hazardzistę. Jordan na pewno zostanie w Vegas, aż do wyczerpania wszystkich funduszy. Ale dzisiejsza noc należała do niego. Nie było jednak powodu, aby ją przedłużyć. Jutro karty ułożą się inaczej. Nie może ciągle mieć szczęścia, a wtedy sam się załatwi. Dyrektor kasyna widział już takich wcześniej. Życie w kasynie składa się z niezliczonych nocy, a każda z nich ma swój kres.

– Koniec gry – zarządził dyrektor kasyna.

Jordan ukłonił się. Skierował wzrok na Merlyna i powiedział.

– Dobra nasza, dostaniesz swoje dziesięć procent.

Ku swemu zdziwieniu zobaczył prawie żal w oczach Merlyna. I Merlyn powiedział:

– Nie.

Krupierzy liczyli złote sztony Jordana, kładąc je przed kontrolerami, szef sali i dyrektor kasyna także obserwowali tę operację. Po chwili zakończyli pracę. Szef sali podniósł wzrok i oznajmił głosem pełnym uwielbienia:

– Wygrał pan dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, panie J. Czy wypisać panu czek?

Jordan przytaknął. Wewnętrzne kieszenie były wciąż wypchane sztonami i banknotami. Ale nie chciał się ich pozbywać.

Pozostali gracze po oznajmieniu dyrektora kasyna, że nie będzie następnego rozdania, odeszli od stołu. Szef sali coś szeptał. Cully przeszedł przez ogrodzenie i stanął przy Jordanie, tak samo jak Merlyn. Wszyscy trzej wyglądali jak członkowie ulicznego gangu w swoich Kurtkach Zwycięzców z Vegas.

Jordan był naprawdę zmęczony, zbyt zmęczony, aby myśleć o grze w crapa czy ruletkę. Blackjack był zbyt wolny ze swoją pięćsetdolarową stawką.

– Nie będziesz już chyba grał – odezwał się nagle Cully. – Jezu, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Teraz możesz już tylko umoczyć. Nie możesz mieć aż tyle szczęścia. – Jordan przytaknął zgodnie.

Strażnik zabrał tacę ze sztonami Jordana i notę dla kasjera. Diana podeszła do nich i pocałowała Jordana. Wszyscy byli niesamowicie podnieceni, a Jordan – szczęśliwy. Był prawdziwym bohaterem. I to nikogo nie zabijając ani nawet nie uszkadzając. Tak po prostu. Wystarczyło postawić mnóstwo pieniędzy na talię kart. I wygrać.

Musieli zaczekać na czek od kasjera. Merlyn kpiąco skomentował całe wydarzenie:

– Jesteś bogaty, możesz robić wszystko, co chcesz.

– Musisz opuścić Vegas – poradził mu Cully.

Diana ścisnęła dłoń Jordana. Ale on patrzył na Gronevelta stojącego razem z dyrektorem i dwoma kontrolerami, którzy wstali ze swych krzeseł. Szeptali coś do siebie.

– Xanadu Numer Jeden – rzekł nagle Jordan. – Co byś powiedział na małą partyjkę?

Gronevelt uczynił kilka kroków w jego kierunku i stanął nagle w pełnym świetle. Jordan spostrzegł, że jest on starszy, niż myślał. Miał około siedemdziesiątki, ale był żwawy i zdrowy. Włosy, koloru stali, były gęste i starannie zaczesane. Na twarzy miał czerwonawą opaleniznę. Jego sprężystej postaci nie przygniatały przeżyte lata. Użycie przez Jordana kodu telefonicznego nie wywołało większej reakcji.

Gronevelt uśmiechnął się do niego. Nie był wcale wściekły. Zareagował jednak na wyzwanie, które przypomniało mu młodość, czas, kiedy sam był nałogowym graczem. Teraz jego świat był bezpieczny i życie nie wymykało mu się spod kontroli. Przynosiło mu wiele przyjemności, obowiązków, trochę niebezpieczeństwa, ale bardzo rzadko prawdziwy dreszcz emocji. Słodko byłoby zakosztować tego jeszcze raz, a poza tym chciał zobaczyć reakcję Jordana, dowiedzieć się, co go stymuluje.

– Ma pan czek na dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy patyków, prawda? – zapytał cicho Gronevelt.

Jordan przytaknął.

– Zrobimy jeszcze jedną partię – ciągnął Gronevelt. – Będziemy grać we dwóch. Wszystko albo nic. Ale będzie pan musiał obstawiać pozycję gracza, a nie banku.

Wszyscy zamarli bez ruchu. Krupierzy spojrzeli na Gronevelta ze zdumieniem. Ryzykował nie tylko olbrzymią kwotą pieniędzy wbrew przepisom kasyna, ale i utratę licencji na prowadzenie kasyna, jeśliby Stanowa Komisja do spraw Hazardu dowiedziała się o zakładzie. Gronevelt uśmiechnął się do nich.

– Potasujcie karty – powiedział. – Zagramy tę partię.

Szef sali podszedł do Jordana i wręczył mu żółty, podłużny czek o postrzępionych brzegach. Jordan przez chwilę mu się przyglądał, po czym położył go w przegródce gracza i rzekł:

– Zakład stoi.

Merlyn cofnął się, oparł o jeden ze słupków ogrodzenia i znów z uwagą go obserwował. Diana, kompletnie rozbita, odeszła kilka kroków na bok. Jordan był zadowolony, widząc ich zdumienie. Jediną rzeczą, której nie lubił, było zakładanie się o własne szczęście. Nie spodobał mu się pomysł wyciągania kart z puli i zakładania się przeciwko sobie. Odwrócił się do Cully'ego.

– Cully, rozdaj dla mnie karty – poprosił.

Ale Cully cofnął się przerażony. Spojrzał na krupiera, który wyciągnął karty z pojemnika pod stołem i układał je do tasowania. Wzdrygnął się, zanim spojrzął w twarz Jordanowi.

– Jordy, to zakład frajera – powiedział cicho, jakby nie chciał, aby ktokolwiek słyszał jego słowa. Rzucił krótkie spojrzenie obserwującemu go Groneveltowi. – Posłuchaj Jordy, bank ma dwuipółprocentowy margines na gracza przez cały czas gry. W każdym rozdaniu. Dlatego facet, który obstawia bank, musi płacić pięć procent prowizji. Ale teraz kasyno trzyma bank. Przy zakładzie takim jak ten, prowizja nic nie znaczy. Lepiej jest mieć dwa i pół procent w zależności od wyniku rozdania. Zdajesz sobie z tego sprawę, Jordy? – Cully przemawiał do niego spokojnym tonem, tak jak gdyby tłumaczył coś dziecku.

Jordan zaśmiał się tylko.

– Wiem o tym – odparł. Powiedział prawie, że liczył na to, ale nie była to do końca prawda. – To jak, Cully, zrobisz to dla mnie? Nie chcę obstawiać przeciwko sobie.

Krupier potasował karty partiami, po czym złożył je razem. Podał Jordanowi pustą żółtą plastikową kartę, aby przełożył. Jordan spojrzął na Cully'ego, ale ten wycofał się bez słowa. Jordan sięgnął po kartę i rozerwał opakowanie talii. Wszyscy obecni zbliżyli się do stołu. Gracze, widząc nowe rozdanie,

starali się dostać do środka, ale strażnik odprawiał wszystkich z kwitkiem. Rozległy się protesty. Nagle zapadła cisza. Wszyscy stłoczyli się na zewnątrz ogrodzenia. Krupier odwrócił licem do góry pierwszą kartę, wyciągniętą z pudełka. Była to siódemka. Wyciągnął siedem kart i schował je do wlotu. Następnie podsunął pudełko Jordanowi przez stół. Jordan usiadł na swoim miejscu.

– Tylko jedno ciągnięcie – powiedział Gronevelt.

Krupier wstrzymał ruch i rzekł ostrożnie:

– Panie J., obstawia pan gracza, rozumie pan? Karta, którą wyciągnę, będzie obstawiana przez pana. Karta, którą pan wyciągnie jako bank, będzie tą, przeciwko której pan obstawia.

Jordan uśmiechnął się.

– Zrozumiałem.

Krupier zawahał się.

– Jeśli pan woli, mogę wziąć z puli.

– Nie – odparł Jordan – tak jest dobrze. – Był naprawdę podniecony. Nie tylko pieniędzmi, ale mocą, która wypływała z niego i wypełniała ludzi i kasyno.

– Jedna karta dla mnie, jedna dla pana – rzekł krupier, podnosząc dłoń. – Po czym znowu jedna karta dla mnie, jedna dla pana, proszę. – Dramatycznie wstrzymał głos, wyciągnął rękę w kierunku Jordana i powiedział: – Karta dla gracza.

Jordan szybko i zręcznie wyciągnął karty z niebieskimi koszulkami z pudełka. Jego ręce znów wykonywały zgrabne, płynne ruchy. Nad zielonym suknem pokonywały odległość do oczekujących dłoni krupiera, który szybko odwrócił karty licem do góry i zaniemówił z wrażenia, widząc niezwykłą dziewiątkę. Jordan nie mógł przegrać. Stojący za nim Cully wykrzyknął:

– Oczywiście, dziewięć!

Po raz pierwszy Jordan przed odwróceniem spojrzał na swoje dwie karty. Grał teraz dla Gronevelta i miał nadzieję na złą kartę. Uśmiechnął się i odwrócił kartę banku.

– Dziewiątka – powiedział.

I była to dziewiątka. Zakład zakończył się remisem.

– Mam zbyt wiele szczęścia – roześmiał się Jordan. Spojrzał na Gronevelta. – Jeszcze raz? – zapytał.

Gronevelt potrząsnął głową.

– Nie – odparł. Następnie zwrócił się do krupiera i szefa sali: – Zamykamy.

Gronevelt wyszedł zza ogrodzenia. Podobał mu się zakład, ale wiedział zbyt wiele, aby zbliżyć się do niebezpiecznej granicy. Wystarczy raz na jakiś czas dreszcz emocji. Jutro będzie musiał stawić czoła groźniejszemu przeciwnikowi – Komisji do spraw Hazardu. Poza tym czekała go długa rozmowa z Cullym. Może mylił się co do niego.

Cully, Merlyn i Diana otoczyli Jordana jak obstawa i wyprowadzili go z sali bakarata. Cully wziął złoty czek z ząbkowanym brzegiem z zielonego stołu, wepchnął go Jordanowi do kieszeni na piersi i dla bezpieczeństwa zasunął zamek. Jordan śmiał się radośnie. Popatrzył na zegarek, była czwarta rano. Noc dobiegała końca.

– Strzelmy sobie po kawce i śniadanku – zaproponował.

Poprowadził ich w kierunku kafejki z złotymi przepierzeniami.

– Dobra, ma blisko cztery setki patyków. Musimy go wyprawić – rzekł Cully, kiedy usiedli.

– Jordy, musisz wyjechać z Vegas. Jesteś bogaty, możesz robić, co chcesz.

– Jordan zauważył, że Merlyn znów go obserwuje. Do diabła, to stawało się irytujące.

Diana dotknęła ramienia Jordana i powiedziała:

– Nie graj już więcej, proszę. – Jej oczy błyszczały. I nagle Jordan zdał sobie sprawę, że zachowywali się, jakby darowano mu wygnanie. Wyczuwał ich zadowolenie z własnej wygranej i aby im to wynagrodzić, zaproponował:

– Pozwólcie, że wam coś odpalę, chłopaki. I tobie też, Dianko. Powiedzmy, po dwadzieścia kawałków.

Zaskoczyła ich ta propozycja. Po chwili Merlyn powiedział:

– Wezmę pieniądze, jak będziesz wsiadał do samolotu.

– To dobry układ – rzekła Diana. – Wsiądziesz do samolotu i odleczysz stąd. Dobrze mówię, Cully?

Cully nie podzielał ich entuzjazmu. Cóż złego było w przyjęciu dwudziestu patyków teraz i wsadzeniu go do samolotu potem? Gra była skończona. Nie przyniosą mu pecha. Ale Cully miał nieczyste sumienie i nie mógł wszystkiego powiedzieć. A wiedział, że to prawdopodobnie byłby ostatni romantyczny gest jego życia. Udowodnić, że jest prawdziwym przyjacielem, jak ta dwójka idiotów: Merlyn i Diana. Czy wiedzieli, że Jordan był kopnięty? Że wymknie się im i straci całą fortunę?



– Słuchajcie, musimy trzymać go z dala od stołów – rzekł Cully. – Musimy go chronić i pilnować, aż do wejścia na pokład samolotu do Los Angeles.

Jordan potrząsnął przecząco głową.

– Nie wybieram się do Los Angeles. Gdzieś dalej, w końcu jest wiele miejsc na ziemi. – Uśmiechnął się do nich.

– Nigdy nie byłem za granicą.

– Potrzebna nam mapa – powiedziała Diana. – Zadzwońię do szefa portierów. Może nam załatwić atlas świata. Szefowie portierów potrafią robić cuda.

– Podniosła słuchawkę i wykręciła numer. Kiedyś szef portierów w dziesięć minut załatwił jej aborcję.

Stół wypełnił się półmiskami zjedzeniem: jajkami, bekonem, ciastem i małymi stekami. Cully złożył królewskie zamówienie.

– Wyślesz czeki dzieciakom? – zapytał Merlyn podczas jedzenia. Nie patrzył na Jordana, który przyjrzał mu się uważnie i wzruszył ramionami. Naprawdę nie myślał o tym. Był nawet zły na Merlyna za zadawanie takich pytań, ale tylko przez chwilę.

– Dlaczego miałyby dawać forszę dzieciakom? – zapytał Cully. – Naopiekował się już nimi. Pewnie zaraz zapytasz, czy nie pośle czeku żonie. – Zaśmiał się, jakby było to zupełnie wykluczone, i znów Jordan trochę się wściekł. Przekazał im zły obraz swojej żony. Nie zasługiwała na to.

Diana zapaliła papierosa. Piła kawę i nikły, refleksyjny uśmiech zagościł na jej twarzy. Przez chwilę jej dłoń gładziła Jordana po mankiecie, jakby w akcie współczucia czy zrozumienia, jak gdyby on też był kobietą, a ona solidaryzowała się z nim. Szef portierów przyniósł atlas. Jordan sięgnął do kieszeni i podał mu studolarowy banknot. Uradowany niemal pobiegł, zanim wzburzony Cully mógłby mu cokolwiek powiedzieć. Diana zaczęła rozwijać mapy.

Uwaga Merlyna Dzieciaka była wciąż skupiona na Jordanie.

– Jak to jest? – zapytał.

– Wspaniale – odpowiedział Jordan. Uśmiechnął się, rozbawiony ich emocjami.

– Jeśli podejdziesz do stołu – rzekł Cully – wskoczmy ci wszyscy na plecy. Bez kitu. – Walnął otwartą dłonią w stół. – Już dość.

Diana rozłożyła mapę na stole, przykrywając nią półmiski. Wszyscy, z wyjątkiem Jordana, pochylili się nad atlasem. Merlyn znalazł jakieś miasteczko w Afryce. Jordan odpowiedział spokojnie, że nie chce jechać do Afryki.

Merlyn rozsiadł się w fotelu i już nie oglądał mapy. Obserwował Jordana. Cully zadziwił wszystkich stwierdzeniem:

– Tutaj jest takie miasteczko w Portugalii, które znam.

Nazywa się Mercedes.

Byli zdziwieni, że mógł żyć gdzieś poza Vegas. A teraz nagle okazało się, że zna miasteczko w Portugalii.

– Taa, Mercedes – dodał Cully. – Miłe i gorące. Wspaniała plaża. Jest tam małe kasyno z pięćdziesięciodolarowym limitem otwarte przez sześć godzin w nocy. Możesz obstawiać jak panisko i nawet nie odczujesz, jak przegrasz. No i co ty na to, Jordan? Podoba ci się Mercedes?

– Dobrze – zgodził się Jordan.

Diana zaczęła planować trasę.

– Z Los Angeles nad biegunem północnym do Londynu. Potem lot do Lizbony, potem, jak myślę, samochodem do Mercedes.

– Nie – zaprotestował Cully – jest tam duże miasto z lotniskiem. Zapomniałem nazwy. I trzeba się upewnić, że szybko wyjedziesz z Londynu. Tamtejsze kluby hazardowe to prawdziwe rzeźnie.

– Muszę się trochę przespać – ziewnął Jordan.

Cully spojrzał na niego.

– Jezu, jasne, jasne, wyglądasz jak kupa gówna. Idź do swojego pokoju i przytnij komara. Wszystkim się zajmujemy. Obudzimy cię przed odlotem. I nie staraj się schodzić do kasyna. Ja i Dzieciak będziemy trzymać wartę.

– Jordan, będziesz musiał dać mi trochę forsy na bilety – rzekła Diana.

Jordan wyjął duży zwitek studolarowych banknotów i położył go na stole. Diana przeliczyła je ostrożnie. Było ich trzydzieści.

– Pierwsza klasa nie może kosztować więcej niż dwa tysiące, prawda? – zapytała.

– Najwyżej dwa patyki – przyznał Cully. – Zarezerwuj mu także miejsca w hotelach. – Zebrał ze stołu resztę banknotów i wsadził je na powrót do kieszeni Jordana.

Jordan wstał i spróbował po raz ostatni.

– Czy teraz mogę wam coś odpalić?

– Nie – odpowiedział szybko Merlyn – to przynosi pecha. Nie wcześniej niż na lotnisku. – Jordan dostrzegł na twarzy Merlyna wyraz współczucia i przywiązania. – Prześpij się, a potem zadzwoń po nas, pomożemy ci się spakować.



– Dobra – rzekł Jordan i opuścił kafejkę, aby udać się do swojego pokoju. Wiedział, że Cully i Merlyn odprowadzili go aż do początku korytarza, aby mieć pewność, że nie wróci do gry. Zachował mgliste wspomnienie o Dianie, całującej go na pożegnanie, i o Cullym serdecznie ściskającym jego ramię. Kto by pomyślał, że facet taki jak Cully był kiedykolwiek w Portugalii.

Po wejściu do pokoju Jordan zamknął drzwi na dwa zamki i założył łańcuch. Był teraz absolutnie bezpieczny. Usiadł na rogu łóżka. I nagle opanował go gwałtowny gniew. Bolała go głowa i miał niekontrolowane drgawki.

Jak śmieli okazywać mu uczucia? Jak śmieli okazywać mu współczucie? Nie mieli najmniejszego powodu, najmniejszego. Nigdy nie narzekał. Nigdy nie oczekiwał ich względów. I sam ich nie okazywał. Nie pragnął tego. Brzydził się tym.

Rzucił się na poduszki tak zmęczony, że nawet się nie rozebrał. Kurtka wypchana sztonami i pieniędzmi była zbyt niewygodna, więc zrzucił ją na dywan. Zamknął oczy, myśląc, że natychmiast zaśnie, ale jeszcze raz tajemnicza groza przeszła jego ciało, zmuszając do wstania. Nie mógł powstrzymać gwałtownych drgawek rąk i nóg.

Ciemność pokoju zaczęła wirować wraz z pierwszymi promieniami świtu. Jordan pomyślał, że mógłby zadzwonić do żony i powiedzieć jej o fortunie, którą właśnie wygrał. Ale nie był w stanie. Nie mógł też powiedzieć swoim dzieciom ani żadnemu ze starych przyjaciół. Podczas spowitej w szary całun nocy z nikim na świecie nie chciał dzielić swego szczęścia. Nie było ani jednej osoby, która podzieliłaby z nim radość wygrania wielkiej fortuny.

Wstał z łóżka, aby się spakować. Był bogaty i musiał jechać do Mercedes. Zapłakał; ogarnął go przytłaczający żal i wściekłość. Zobaczył broń, leżącą w walizce i zaczął się zastanawiać. Przed oczyma stanęło mu ostatnich szesnastu godzin intensywnej gry, błysk kości, szczęśliwe numery, stoły do black jacka i bakarata, upstrzone bladymi licami kart śmierci. Krupier w czarnym krawacie i nieskazitelnie białej koszuli wyciągnął dłoń, wołając cicho: „Karta dla gracza”.

Jednym gładkim, szybkim ruchem Jordan wyjął pistolet z walizki. Jego myśli były chłodne i precyzyjne. Po czym tak pewnie i szybko, jak wygrał cudowne dwadzieścia cztery rozdania w bakarata, przystawił lufę do szyi i nacisnął spust. W wieczności sekundy, wolny od grozy, poczuł słodką ulgę.

Ostatnią jego świadomą myślą było, że nigdy nie pojedzie do Mercedes.

## Rozdział 3

Merlyn Dzieciak wyszedł przed szklane drzwi kasyna. Uwielbiał obserwować wschód słońca, będącego jeszcze zimnym, żółtym dyskiem, czuć zimny powiew pustyni, nadchodzący z otaczających miasto gór. To była jedyna pora dnia, kiedy wychodził z klimatyzowanego wnętrza kasyna. Wiele razy planowali zrobić piknik w górach. Pewnego dnia Diana przyszła z koszykiem pełnym wiktuałów, ale Cully i Jordan odmówili opuszczenia kasyna.

Zapalił papierosa i delektował się miękkimi kłębamii dymu, ponieważ palił bardzo rzadko. Słońce zaczęło już grzać, wyglądało jak okrągła żarówka w bezkresnym neonie galaktyki. Merlyn wrócił do kasyna i kiedy przechodził przez szklane drzwi, zauważył Cully'ego ubranego w Kurtkę Zwycięzcy z Vegas, biegnącego przez salę gry w kości – najwyraźniej go szukał. Spotkali się przy stole do bakarata. Cully oparł się o wysokie krzesło. Jego smagła, pociągła twarz przepełniona była nienawiścią, strachem i przerażeniem.

– Ten skurwiel Jordan – wykrztusił Cully – naciął nas na dwadzieścia patyków. – Zaśmiał się. – Rozpieprzył sobie łeb. Rozbił bank na ponad czterysta patyków i rozpierdolił sobie ten głupi łeb.

Merlyn nie wydawał się zaskoczony. Oparł się ciężko o barierkę. Papieros wypadł mu z dłoni.

– O kurwa – wydusił z siebie. – Wyglądał na takiego.

– Poczekajmy tutaj, aż Diana wróci z lotniska – zaproponował Cully. – Podzielimy się forszą z biletów.

Merlyn patrzył na niego bez zdumienia, ale z ciekawością. Czyżby Cully był tak nieczuły? Chyba nie. Zobaczył chorobliwy uśmiech na jego twarzy, twarzy starającej się przybrać wyraz twardości, ale przepełnionej odrazą bliższą lękowi. Merlyn usiadł na stole do bakarata. Brak snu i wyczerpanie sprawiły, że był trochę otumaniony. Podobnie jak Cully czuł wściekłość, ale z in-

nego powodu. Obserwował Jordana uważnie, każdy jego krok. Sprytnie sprovokował go do opowiedzenia historii życia. Wyczuwał, że Jordan nie chce opuścić Las Vegas. Coś z nim było nie tak. Nigdy nie powiedział im, że ma broń. Zawsze tak samo reagował, kiedy zauważył, że Merlyn mu się przygląda. Merlyn zrozumiał, że Jordan oszukiwał go. Przez cały, kurwa, czas. Oszukiwał wszystkich. Otumanienie Merlyna miało swoją przyczynę także w tym, że rozgryzł Jordana już w chwili poznania. Łączył wszystkie części układanki, ale z powodu braku wyobraźni nie udało mu się zobaczyć pełnego obrazu. Ponieważ, oczywiście, teraz, kiedy Jordan nie żył, Merlyn wiedział, że nie mógł spotkać go inny koniec. Od samego początku pisana mu była śmierć w Las Vegas.

Tylko Gronevelt się nie dziwił. Siedząc wysoko w swoim apartamencie, noc za nocą, przez całe lata, nigdy nie rozmyślał nad złem czającym się w ludzkim sercu. Walczył z nim. Głęboko w skarbcu miał ukryte milion dolarów w gotówce, których pożądał cały świat. A on, leżąc w łóżku, noc po nocy, rzucał zaklęcia, aby ujawnić spiskowców. I poznawszy już nudę zła, całymi godzinami rozważał inne tajemnice i o wiele bardziej bał się dobra w duszy ludzkiej. Było o wiele większym niebezpieczeństwem dla jego świata, dla niego samego.

Kiedy ochrona hotelu zameldowała mu o wystrzale, Gronevelt natychmiast zadzwonił do biura szeryfa i wyraził zgodę na wejście policjantów do pokoju. Ale w obecności jego ludzi. Dla dopełnienia formalności. Były tam czeki kasyna na kwotę trzystu czterdziestu tysięcy dolarów i prawie sto tysięcy dolarów w banknotach i sztonach, wepchniętych w kieszenie tej idiotycznej kurtki Jordana. Zapinane na zamki kieszenie zawierały pokaźną ilość sztonów.

Gronevelt przez okno swojego apartamentu spojrział na wschodzące słońce, które wspinało się po zboczach pustynnych gór. Westchnął. Jordan nigdy nie będzie w stanie przegrać tej forsy. No cóż, tylko w taki sposób nieuleczalny hazardzista może zatrzymać swoją wygraną. Jedynie w ten sposób.

Teraz Gronevelt miał dużo pracy. Nie można dopuścić, by gazety wspomniały o samobójstwie. Paskudnie to wyglądało: po wygraniu czterystu tysięcy gracz popełnia samobójstwo. Nie chciał także, aby rozeszły się plotki, że zamordowali go pracownicy kasyna, aby odzyskać wygraną. Należało podjąć rozważne kroki. Musiał przeprowadzić niezbędne rozmowy telefoniczne ze swoimi wschodnimi biurami. Byłego senatora USA, człowieka o nieposzlakowanej uczciwości, poproszono o przekazanie wdowie smutnej

wiadomości. I tego, że jej mąż zostawił fortunę, którą może odebrać, kiedy przyjedzie po ciało. Wszyscy byli dyskretni, nikt nie oszukiwał, sprawiedliwości stanie się zadość. W końcu to zdarzenie przekształci się w opowiastki pechowych graczy, snute w kafejkach w Vegas. Ale Gronevelta to naprawdę nie interesowało. Już od wielu lat nie starał się zrozumieć graczy.

Pogrzeb był skromny. Jordana pochowano na protestanckim cmentarzu, otoczonym przez złotą pustynię. Jego żona przyleciała do Vegas i zajęła się wszystkim. Została od razu powiadomiona o wysokości wygranej. Wypłacono jej skrupulatnie całą sumę, co do centa. Przepisano na nią чеки i wręczono gotówkę znaną przy ciele. Z pomocą lokalnych władz i gazet zatuszowano samobójstwo. Paskudnie by to wpłynęło na opinię Las Vegas – po wygraniu czterystu tysięcy dolarów szczęśliwy gracz znaleziony martwy. Wdowa po Jordanie podpisała pokwitowanie na чеки i pieniądze. Gronevelt prosił ją o dyskrecję, ale nie musiał się martwić. Skoro ta przystojna dama pochowała swojego męża w Vegas, nie sprowadzając ciała do domu, i nie pozwoliła dzieciom, aby przyszły na pogrzeb ojca, znaczyło to, że miała ku temu swoje powody.

Gronevelt, były senator i prawnicy eskortowali wdowę do czekającej na nią przed hotelem limuzyny. (Dworność Xanadu, zresztą jak wszystko pozostałe, była tylko na pokaz). Dzieciak, który na nią czekał, wyszedł im naprzeciw.

– Nazywam się Merlyn – powiedział do tej eleganckiej kobiety. – Byłem przyjacielem pani męża. Serdecznie pani współczuję.

Wdowa spostrzegła, że uważnie jej się przygląda. Wiedziała, że nie ma żadnego ukrytego celu, że był szczery. Ale wyglądał na zbyt zainteresowanego. Widziała go w kaplicy w towarzystwie młodej dziewczyny z opuchniętą od płaczu twarzą. Zastanawiała się, dlaczego wtedy do niej nie podszedł. Prawdopodobnie dlatego, że jego towarzyszka była dziewczyną Jordana.

– Cieszę się, że miał tutaj przyjaciela – odpowiedziała cicho.

Ubawiło ją badawcze spojrzenie młodego człowieka. Wiedziała, że ma w sobie coś, co przyciąga mężczyzn; nie tyle piękno, co skrytą pod nim inteligencję. Dostatecznie wielu mężczyzn zauważyło tę rzadką kombinację. Ponieważ wiele już razy była niewierna swojemu mężowi, zanim znalazła mężczyznę swojego życia. Zastanawiała się, czy ten młody mężczyzna, Merlyn, wiedział o niej i Jordanie, i o tym, co stało się tej ostatniej nocy. Ale nie interesowało jej to zbyt, nie czuła się winna. Jego śmierć, wiedziała o tym jak

nikt inny, była świadomym aktem, świadomym wyborem. Aktem złości i wrażliwego mężczyzny.

Pochlebiała jej fascynacja, z jaką młody człowiek się w nią wpatrywał. Nie wiedziała, że on widzi nie tylko jasną skórę, doskonałe rysy i czerwone, zmysłowe usta; widział i zawsze będzie miał w pamięci jej twarz – maskę anioła śmierci.

## Rozdział 4

Gdy powiedziałem wdowie po Jordanie, że nazywam się Merlyn, obdarzyła mnie opanowanym przyjacielskim spojrzeniem, pozbawionym poczucia winy czy żalu. Poznałem w niej kobietę, która sprawuje całkowitą kontrolę nad swoim życiem, nie w wyniku posiadania kurewskiego charakteru czy pewności siebie, ale inteligencji. Zrozumiałem, dlaczego Jordan nigdy nie powiedział na jej temat ostrzejszego słowa. Była specjalnym rodzajem kobiety, kochanej przez mnóstwo mężczyzn. Ale nie chciałem jej poznać. Byłem po stronie Jordana. Chociaż zawsze wyczuwałem jego chłód, odrzucenie nas wszystkich, ukryte pod dobrym wychowaniem i pozorami przyjaźni.

Od momentu, kiedy po raz pierwszy spotkałem Jordana, wiedziałem, że jest z nim coś nie tak. W drugim dniu pobytu w Vegas miałem szczęście w black jacku i dlatego wskoczyłem na wolne miejsce przy stole do bakarata. Bakarata to czysta gra losowa, ze stawką minimum dwudziestu dolarów. Twój los całkowicie spoczywa w rękach przeznaczenia, a ja zawsze nienawidziłem tego uczucia. Czuję, że jeśli tylko bym się postarał, potrafiłbym panować nad swym losem.

Usiadłem przy długim owalnym stole do bakarata i naprzeciw siebie zauważyłem Jordana. Był bardzo przystojnym czterdziesto-, no, może czterdziestopięcioletnim facetem. Miał gęste białe włosy, ale ich kolor nie był symptomem starości.

Urodził się z białymi włosami, prawdopodobnie wskutek obecności jakiegoś albinoskiego genu. Przy stoliku był on, ja, jeszcze jeden gracz i trzy wabiki na zapchanie miejsca. Jednym z wabików była Diana, siedząca dwa krzesła od Jordana, ubrana w charakterystyczny dla wabików sposób. Ale ja

obserwowałem Jordana.

Tego dnia wydawał mi się godny podziwu. Nie okazywał entuzjazmu po wygranej ani rozczarowania po stracie. Kiedy eleganckimi białymi dłońmi rozdawał karty, robił to z maestrią godną eksperta. Nagle, gdy obserwowałem, jak układa studolarowe sztony w piramidki, zrozumiałem, że nie interesuje go wynik gry.

Trzecim graczem był „nerwus”, klient notorycznie przegrywający pieniądze. Był niski i chudy, i można by go nazwać łysym, gdyby nie kruczoczarny kosmyk włosów pieczołowicie zaczesany na łysinę. Przepęniała go energia. Każdy jego ruch był gwałtowny. Gwałtownie rzucał pieniądze na stół, podnosił wygraną, liczył pieniądze przed sobą i gniewnie układał je na stosik, aby pokazać, że przegrał. Przy rozdawaniu często karta odwracała się licem do góry lub przelatowała obok wyciągniętej dłoni krupiera. Ale krupier był cierpliwym człowiekiem, nie tracił nigdy dobrych manier. Karta gracza przeleciała przez stół. Złośnik chciał dodać jeszcze studolarowy szton do puli. Krupier zaprotestował:

– Przykro mi, panie A., nie może pan tego zrobić.

Nachmurzona twarz pana A. przybrała jeszcze bardziej gniewny wyraz.

– Co jest, do kurwy nędzy, dostałem tylko jedną kartę. Kto mówi, że nie mogę?

Krupier spojrzał na kontrolera z prawej strony, na tego siedzącego nad Jordanem. Ten nieznacznie skinął głową i krupier odparł grzecznie:

– Panie A., może pan obstawić.

Już wkrótce kartą dla gracza okazała się czwórka – zła karta. Ale pan A. i tak przegrał, kiedy gracz wyciągnął kartę. Rozdanie przeszło na Dianę.

Pan A. obstawił gracza przeciwko bankowi. Spojrzałem na Jordana. Pochylił swoją białą głowę i nie zwracał uwagi na pana A. Ale ja tak. Pan A. położył pięć studolarowych banknotów w przegródce gracza. Diana rozdała karty mechanicznie. Pan A. dostał karty gracza. Ścisnął je i rzucił gwałtownie na stół. Dwie figury. Nic. Diana miała dwie karty, w sumie pięć punktów. Krupier zawołał: „Karta dla gracza”. Diana podała panu A. następną kartę. Kolejna figura. Nic.

– Bank wygrywa – śpiewnie zawołał krupier.

Jordan obstawił bank. Ja już miałem obstawić gracza, ale pan A. wkurwił mnie i dlatego obstawiłem bank. I zobaczyłem, jak pan A. kładzie tysiąc dolarów na gracza. Jordan i ja znów postawiliśmy na bank.

Diana wygrała drugie rozdanie z dziewiątką przeciw siódemce pana A. Pan A. posłał Dianie pełne wściekłości spojrzenie, jakby chciał ją wystraszyć, ale dziewczyna zachowała spokój.

Bardzo starała się być neutralna, nie angażować się emocjonalnie w grę i wykonywać ruchy z mechaniczną dokładnością. Ale pomimo tego, kiedy pan A. postawił tysiąc dolarów na gracza, a Diana wyciągnęła dziewiątkę, walnął pięścią w stół i wycedził: „Pierdolona pizda”. I popatrzył na nią z nienawiścią. Krupier prowadzący grę stanął jak wryty, ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy. Kontroler pochylił się w przód i jak Jehowa wychylił swą głowę z niebios. Napięcie przy stoliku rosło.

Obserwowałem Dianę. Zmieniła się na twarzy. Jordan zgarnął pieniądze jakby nieświadomy tego, co się stało. Pan A. wstał i podszedł do biurka szefa sali. Coś do niego szeptał. Szef przytaknął. Wszyscy przy stole wstali, aby rozprostować nogi, gdy przygotowywano nowe rozdanie. Widziałem, jak pan A. poszedł w kierunku korytarzy, prowadzących do pokoi hotelowych. Widziałem, jak szef sali rozmawiał z Dianą i po chwili ona też opuściła salę. Nietrudno było zgadnąć, Diana miała wyciąć numerek z panem A., aby przywrócić mu szczęście w grze.

Około pięciu minut zajęło krupierom przygotowanie nowego rozdania. Odszedłem na chwilę, aby zrobić kilka zakładów w ruletkę. Kiedy wróciłem, gra się rozpoczęła. Jordan siedział wciąż na tym samym miejscu. Przy stole było jeszcze dwóch mężczyzn wabików.

Pudełko zdążyło trzy razy okrążyć stół, kiedy wróciła Diana. Wyglądała okropnie. Grymas wykrzywił jej usta. Pomimo że jej twarz zdobił świeży makijaż, widać było, że jest kompletnie załamana. Zajęła miejsce pomiędzy mną i jednym z krupierów. On także zauważył, że coś jest nie w porządku. Po chwili schylił ku niej głowę i usłyszałem jego szept:

– Wszystko w porządku, Dianko? – Wtedy po raz pierwszy usłyszałem jej imię.

Przytaknęła. Podałem jej pudełko. Ale podczas wyciągania kart z pudełka trzęsły jej się dłonie. Pochyliła głowę, aby ukryć łzy w kąciakach oczu. Cała jej twarz „wstydziała się”, nie mógłbym znaleźć na to lepszego określenia. Cokolwiek pan A. jej zrobił w pokoju, była to wystarczająca kara za jego brak szczęścia w grze. Krupier nieznacznie posłał znak szefowi sali, a ten podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu. Wstała z krzesła i jej miejsce zajął mężczyzna wabik. Diana usiadła przy innej dziewczynie na jednym z krzesel



ustawionych wzdłuż ogrodzenia.

Pudełko wciąż przechodziło od banku do gracza i od gracza do banku. Starałem się dostosować swoje zakłady do tego zmiennego rytmu. Pan A. wrócił do stołu na to samo miejsce, gdzie zostawił pieniądze, papierosy i zapalniczkę.

Wyglądał jak nowo narodzony. Wziął prysznic i uczesał włosy. Nawet się ogolił. Już nie wyglądał tak wrednie. Wraz z nową koszulą i spodniami odpłynęła gdzieś jego opętańcza energia. Na pewno nie był rozluźniony, ale przynajmniej nie miotał się po sali jak cyklon.

Kiedy usiadł, zauważył Dianę siedzącą przy barierce i oczy mu załśniły. Posłał jej złośliwy, znaczący uśmiech. Diana odwróciła głowę.

Cokolwiek okropnego uczynił, odmienił tym nie tylko swój humor, ale także szczęście w grze. Bezustannie wygrywał i mordował tym takich miłych facetów jak Jordan i ja. Wkurwiło mnie to, a miałem też współczucie dla Diany, tak że umyślnie postanowiłem zepsuć dobry dzień pana A.

Są faceci, z którymi się przyjemnie gra, a są też tacy jak drzazga w tyłku. Przy stoliku do bakarata największą drzazgą w tyłku jest taki koleś, który kiedy dostanie pierwsze dwie karty, ściska je przez pięć minut w dłoni, podczas gdy cały stół czeka niecierpliwie na wyrok.

W tę grę właśnie zacząłem bawić się z panem A. Siedział na krześle numer dwa, a ja miałem numer pięć. Siedzieliśmy więc po tej samej stronie stołu i nie mogliśmy patrzeć sobie w oczy. Byłem o głowę wyższy i lepiej zbudowany od niego. Wyglądałem na dwadzieścia jeden lat. Nikt by nie zgadł, że mam ponad trzydzieści, a na karku trójkę dzieciaków i żonę w Nowym Jorku, od których właśnie uciekłem. Więc na zewnątrz byłem łatwym kąskiem dla faceta takiego jak pan A. Mogłem być silniejszy fizycznie, ale on pochodził z szemranego towarzystwa o ustalonej w Vegas reputacji. Wyglądałem na naiwnego dzieciaka, zgrywającego się na zapalonego gracza.

Podobnie jak Jordan, prawie zawsze obstawiałem bank. Ale kiedy pan A. dostał pudełko, poszedłem z nim łeb w łeb i obstawiłem gracza. Kiedy dostałem dwie karty gracza, przed odkryciem ściskałem je z największą troską. Pan A. wiercił się na krześle; wygrał, ale nie mógł się powstrzymać i przy następnym rozdaniu powiedział:

– No dalej, palancie, pospiesz się.

Położyłem karty koszulkami do góry i spojrzałem na niego spokojnie. Z jakiegoś powodu mój wzrok spotkał się ze wzrokiem Jordana. Obstawiał bank,

podobnie jak A., ale się uśmiechał. Podniosłem karty bardzo powoli.

– Panie M... – powiedział krupier – wstrzymuje pan grę. Nie możemy pracować. – Posłał mi promienny, przyjacielski uśmiech. – Choćby je pan nie wiadomo jak długo ścisnął, to się nie zmienia.

– Jasne – rzekłem i rzuciłem karty z miną pechowca. Pan A. znów uśmiechnął się złośliwie. Jednak kiedy zobaczył moje karty, cały stężał. Miałem niezwycięzoną dziewiątkę.

– Kurwa – przeklął.

– Czy położyłem karty wystarczająco szybko? – zapytałem grzecznie.

Posłał mi mordercze spojrzenie i odsunął od siebie pieniądze. Jeszcze nie załapał. Spojrzałem przez stół na Jordana. Uśmiechał się z zadowoleniem, pomimo wspólnej z panem A. przegranej. Ujeżdżałem pana A. przez następną godzinę.

Wiedziałem, że ma posłuch w kasynie. Kontroler za wszelką cenę starał się go uspokoić. Krupierzy traktowali go z ostrożną uległością. Ten facet robił pięćset – i tysiąc dolarowe zakłady. Ja zwykle obstawiałem po dwadzieścia. Więc jeśli byłyby jakieś kłopoty, to mnie bramkarze wynieśliby z kasyna.

Ale grałem uczciwie. Facet nazwał mnie palantem, a ja się nawet nie wkurzyłem. Kiedy krupier poprosił mnie o szybsze odsłanianie kart, grzecznie usłuchałem. Fakt, że pan A. był nabuzowany, świadczył tylko o tym, że jest kiepskim graczem. Kasyno straciłoby twarz, gdyby wzięli jego stronę. Nie mogli pozwolić panu A. na jakiś wyskok, ponieważ upokorzyłoby to zarówno ich, jak i mnie. Jako pokojowo nastawiony gracz byłem, w pewnym sensie, ich gościem i zasługiwałem na ich ochronę.

W pewnej chwili zobaczyłem, jak kontroler naprzeciw mnie sięga do telefonu. Wykonał dwie rozmowy. Obserwując go, przegapiłem rozdanie, kiedy pan A. trzymał bank. Rozluźniłem się. Krzesła przy stole były miękkie i bardzo wygodne. Można było siedzieć na nich przez cały dzień – i wielu tak robiło.

Kiedy odmówiłem obstawiania rozdania pana A., emocje opadły. Myśleli, że jestem za delikatny albo po prostu mam cykora. Gra trwała nadal. Za ogrodzenie weszło dwóch dużych kolesi w garniturach i krawatach. Zbliżyli się do szefa sali, który najwyraźniej powiedział im, że emocje opadły; rozluźnili się chyba, bo słyszałem, jak śmiali się i opowiadali dowcipy.

Następnym razem, kiedy pan A. trzymał bank, postawiłem dwadzieścia dolarów na gracza. Ku memu zdziwieniu, krupier odbierający dwie karty gra-

cza nie podał ich mnie, ale w przeciwległy kąt stołu, blisko Jordana. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Cully'ego.

Cully miał pociągłą, indiańską twarz, z niepasującym do niej, nienaturalnie zgrubiałym nosem. Uśmiechnął się znad stołu do mnie i do pana A. Postawił czterdzieści dolarów na gracza. Jego zakład przebił mój, więc jemu przypadły karty. Cully odwrócił je natychmiast. Były niedobre i pan A. go pokonał. Dopiero wtedy zauważył Cully'ego i uśmiechnął się szeroko.

– Hej, Cully! Grasz w bakarata? Ty pieprzony mistrzu liczenia.

Cully uśmiechnął się.

– Chcę dać odpocząć stopom.

– Graj ze mną, chłopie! – zaproponował A. – Z tymi kartami zrobimy bank.

Cully zaśmiał się, ale zauważyłem, że patrzył na mnie. Postawiłem swoje dwadzieścia dolarów na gracza. Cully momentalnie postawił czterdzieści, aby mieć pewność, że dostanie karty do ręki. Znow szybko odwrócił karty i znow przegrał.

– Chłopie, Cully, jesteś moją maskotką. Obstawiaj dalej przeciwko mnie – zawołał pan A.

Krupier wypłacił bankowi pieniądze i poinformował z szacunkiem:

– Panie A., zbliża się pan do granicy.

Pan A. zastanowił się przez chwilę.

– Niech leci – powiedział.

Wiedziałem, że będę musiał bardzo uważać. Starłem się nadać swej twarzy wyraz obojętności. Krupier prowadzący grę wzniosł dłoń, aby wstrzymać rozdanie kart, zanim zostaną zrobione zakłady. Spojrzał na mnie pytająco. Nie uczyniłem żadnego gestu. Krupier spojrział wtedy w drugi koniec stołu. Jordan, podobnie jak pan A., obstawił bank. Cully, obserwując mnie przez cały czas, postawił sto dolarów na gracza.

Krupier opuścił dłoń, ale zanim pan A. zdołał wyciągnąć kartę, ja rzuciłem stos banknotów na gracza. Szef sali i dwóch jego przyjaciół, gadających za moimi plecami, nagle zamilkło. Kontroler z przeciwka wlepił wzrok w stół.

– Pieniądze w grze – powiedziałem. Oznaczało to, że krupier mógł je policzyć dopiero po obstawieniu. Karty gracza musiały przypaść mnie.

Pan A. podał je krupierowi. Krupier popchnął karty, leżące koszulkami do góry, w moją stronę. Spojrzałem na nie przelotnie i odkryłem je. Pan A. zdążył tylko zobaczyć zawiedziony wyraz mojej twarzy, tak jakby były kiepskie.

Ale kiedy je odkryłem, ukazała się dziewiątka. Krupier przeliczył moje pieniądze. Postawiłem tysiąc dwieście dolarów i wygrałem.

Pan A. opadł na krzesło i zapalił papierosa. Naprawdę był nabuzowany. Czulem jego nienawiść. Uśmiechnąłem się do niego.

– Przepraszam – powiedziałem jak miły dzieciak. Obrzucił mnie spojrzeniem.

Z drugiej strony stołu Cully podniósł się i przesunął ku mnie. Usiadł na krześle pomiędzy mną i panem A., tak że on teraz miał dostać karty. Cully przysunął do siebie pudełko i zawołał:

– Hej, Cheech, graj ze mną. Mam dzisiaj szczęście. Widziałem kominiarza.

A więc pan A. nazywał się Cheech. Wiele mówiące pospolite nazwisko. Cheech najwyraźniej lubił Cully’ego. Widocznie Cully opanował umiejętność wzbudzania sympatii. Teraz, kiedy Cheech obstawiał bank, Cully zwrócił się w moją stronę.

– Hej, Dzieciaku – rzekł – rozpieprzmy to kasyno razem. Graj ze mną.

– Naprawdę masz dzisiaj szczęście? – zapytałem, otwierając szeroko oczy.

– Mogę skończyć to rozdanie. Może nie na sto procent, ale jest to możliwe.

– No to jazda – zawołałem i postawiłem dwadzieścia dolarów na bank.

Graliśmy razem: ja, Cheech, Cully i Jordan po drugiej stronie stołu. Jeden z wabików musiał wziąć karty gracza i wyciągnął zimną szóstkę. Cully wziął dwie figury, a w następnym ruchu zero – najgorszą kartę w bakaracie. Cheech przegrał tysiąc. Cully stracił setkę. Jordan pięćset, a ja marne dwadzieścia dolców. Byłem jedynym, który miał za złe Cully’emu przegraną. Potrząsnąłem żałośnie głową.

– Ojej – powiedziałem – straciłem dwudziestaka.

Cully uśmiechnął się szeroko i podał mi pudełko. Patrząc ponad nim, zobaczyłem ciemniejącą z furii twarz Cheecha. Ten młody złamas stracił dwadzieścia dolców i ośmiela się skamleć. Mogłem czytać jego myśli jak talię kart, ułożoną licami do góry na zielonym suknie.

Postawiłem dwadzieścia na bank, czekając na innych. Krupier prowadzący był młodym, przystojnym facetem; tym samym, który zapytał Dianę, czy dobrze się czuje. Na dłoni, którą wstrzymywał rozdawanie kart, aż do chwili zrobienia wszystkich zakładów, miał złoty sygnet z diamentem. Zobaczyłem, jak Jordan obstawia. Jak zwykle – na bank. Grał razem ze mną.

Cully postawił dwadzieścia na bank, odwrócił się do Cheecha i zaproponował:

– Chodź, graj z nami. Wygląda, że ten Dzieciak ma szczęście.

– Wygląda, jakby wciąż walił konia – zauważył Cheech.

Wszyscy krupierzy przyjrzeni mi się uważnie. Tylko kontroler, nieruchomy i sztywny, siedział na swoim wysokim krześle. Wyglądałem na dużego i silnego. Byli mną trochę rozczarowani.

Cheech postawił trzysta na gracza. Rozdawałem i wygrałem. Wciąż wygrywałem, a Cheech wciąż obstawiał przeciwko mnie. Po chwili poprosił o pióro. Cóż, nie zostało wiele kart, ale prowadziłem grę jak rasowy szuler. Nie zerkąłem w karty, nie wykrzykiwałem radośnie. Byłem z siebie dumny. Krupierzy opróżnili pojemnik i przygotowywali karty do następnego rozdania. Każdy płacił swoją część. Jordan wstał, aby rozprostować nogi, tak samo Cheech i Cully. Wepchnąłem wygraną do kieszeni. Szef sali przyniósł Cheechowi pióro. Wszystko było w najlepszym porządku. To był doskonały moment.

– Hej, Cheech! Czy to na pewno ja jestem złamasem? – Wybuchnąłem śmiechem. Zacząłem okrążyć stół, aby wyjść z sali do bakarata. Koniecznie chciałem przejść obok niego. Wiedziałem, że nie będzie dłużej mógł się powstrzymać przed zrobieniem jakiegoś numeru, tak jak nieuczciwy krupier nie może się powstrzymać przed wzięciem studolarowego sztonu.

Już go miałem. Tak przynajmniej myślałem. Ale Cully i dwóch olbrzymich facetów nagle stanęli między nami. Jeden z nich złapał pięść Cheecha, jakby to była piłeczka do ping-ponga. Cully zasłonił mnie ramieniem, odgradząc od nich.

– Ty skurwysynu! Wiesz, kim jestem? Wiesz, kim jestem? – krzyczał Cheech do przytrzymującego go faceta.

Ku memu zdziwieniu tamten puścił dłoń Cheecha i się odsunął. Wypełnił swoje zadanie. Był ochroniarzem, a nie katem. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zajęci byli poskramianiem jadowej furii Cheecha; wszyscy z wyjątkiem młodego krupiera z diamentowym sygnetem, który powiedział bardzo spokojnie:

– Panie A., wypada pan z gry.

Cheech z nieoczekiwaną zręcznością i furią przebił się przez obstawę i uderzył młodego krupiera w nos. Krupier zachwiał się. Krew ściekała mu strumyczkiem na nieskazitelnie białą koszulę i zniknęła w granatowobłękitnym pasie. Momentalnie minąłem Cully'ego i dwóch goryli i walnąłem Cheecha w skroń, posyłając go na deski. Wstał natychmiast. Byłem zdumiony.

Wyglądało to groźnie. Ten facet działał na paliwo nuklearne.

Wtedy kontroler zszedł z wysokiego krzesła; widziałem go wyraźnie w jasnym świetle lampy nad stołem. Jego twarz była zacięta i nienaturalnie blada. Jakby zakonserwowana latami przebywania w klimatyzowanym pomieszczeniu. Uniósł upiorną dłoń i powiedział spokojnie:

– Stój.

Wszyscy zamarli. Kontroler, wskazując na Cheecha długim, kościstym palcem, powiedział:

– Cheech, nie ruszaj się. Masz duże kłopoty. Możesz mi wierzyć. – Mówił to spokojnym, urzędowym tonem.

Cully prowadził mnie do bramy, a ja byłem więcej niż chętny, żeby odejść. Ale zaskoczyły mnie reakcje. Twarz młodego krupiera, pomimo krwi płynącej z nosa, miała morderczy wyraz. Nie był przerażony czy zmieszany ani na tyle poszkodowany, by nie mógł oddać. Ale nigdy na nikogo nie podniósł ręki. Także jego koledzy nie pospieszyli mu z pomocą. Wszyscy patrzyli na Cheecha z niepokojem, ale nie był to lęk przed nim, lecz współczucie.

Cully przepychał mnie przez tłum graczy, szepczących swoje przekleństwa i zaklęcia wudu nad kośćmi, black jackiem i obracającym się kołem ruletki. W końcu znaleźliśmy się w stosunkowo spokojnym wnętrzu kafejki.

Uwielbiałem tę kafejkę z zielonymi i żółtymi stolikami i krzesłami. Kelnerka była młoda i śliczna, ubrana w kusy uniform w kolorze złota. Przez szklane ściany widać było świat na zewnątrz: zieloną trawę, błękitny basen oraz specjalnie wyhodowane duże palmy. Cully poprowadził mnie do jednej z przegród, z dużym stołem na sześć osób i telefonami. Zajął przegrodę w sposób najzupełniej naturalny.

Gdy piliśmy kawę, minął nas Jordan. Cully natychmiast podskoczył i złapał go za ramię.

– Hej, stary – powiedział – napij się kawki ze swoimi kumplami od bakara. – Jordan potrząsnął głową i wtedy zobaczył mnie, siedzącego w środku. Posłał mi dziwny uśmiech, który mnie rozbawił, i zmienił zdanie. Wśliznął się do środka.

I w ten sposób spotkaliśmy się po raz pierwszy razem – z Jordanem i Cullym. Tego pierwszego dnia, kiedy zobaczyłem Jordana w Vegas, nie wyglądał źle – może z wyjątkiem białych włosów. Otaczała go aura nieprzystępności, która mnie zainteresowała, ale Cully jej nie zauważył. Cully był jednym z tych facetów, którzy nawet papieża zaciągnęliby na kawę.

Wciąż grałem niewiniątko.

– O co, do diabła, Cheech się tak wściekł? Myślałem, że się dobrze bawimy.

Jordan ocknął się, jakby po raz pierwszy zwrócił uwagę na to, co się dzieje. Uśmiechnął się jak na widok dziecka starającego się być dorosłym. Ale Cully nie był tak zachwycony.

– Posłuchaj, Dzieciaku – powiedział – kontroler załatwiłby sprawę w dwie sekundy. Jak myślisz, do diabła, po co on tam siedzi? Żeby, kurwa, w nosie dłubać? Żeby obcinać przechodzące panienki?

– Dobrze – przyznałem – ale nikt nie może powiedzieć, że to była moja wina. Cheech wypadł z gry. Ja byłem dżentelmenem. Musicie to przyznać. Nie było na mnie żadnych skarg z hotelu ani z kasyna.

Cully posłał mi serdeczny uśmiech.

– Tak, doskonale sobie radziłeś. Jesteś bardzo sprytny. Cheech tego nie złapał i wpadł prosto w pułapkę. Jednej rzeczy nie przewidziałeś. Cheech jest niebezpiecznym facetem. Muszę cię teraz spakować i wsadzić do samolotu. Co to, kurwa, w ogóle za nazwisko: Merlyn?

Nie odpowiedziałem wprost. Podwinąłem tylko koszulkę i odsłoniłem klatkę piersiową i brzuch. Miałem tam długą, paskudnie wyglądającą purpurową szramę. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu do Cully’ego i zapytałem:

– Wiesz, co to jest?

Nagle zrobił się czujny.

– Byłem na wojnie – powiedziałem. – Dostałem z karabinu maszynowego i musieli pozszywać wszystko do kupy. Myślisz, że robię sobie coś z ciebie i z Cheecha?

Nie zaimponowało to Cully’emu. Ale Jordan wciąż się uśmiechał. Nie wszystko, co powiedziałem, było prawdą. Wprawdzie brałem udział w działaniach wojennych, ale nigdy nie zostałem trafiony. To, co pokazałem Cully’emu, było pozostałością po operacji woreczka żółciowego. Testowali na mnie nowy sposób cięcia, co zostawiło tę imponującą bliznę.

– Dzieciaku – odparł Cully z westchnieniem – może jesteś twardszy, niż na to wyglądasz, ale nie na tyle, żeby zostać tutaj z Cheechem.

Przypomniało mi się, jak szybko Cheech wstał po uderzeniu, i zacząłem się martwić. Przez chwilę nawet myślałem, że zgódzę się na propozycję Cully’ego. Ale potrząsnąłem głową.

– Słuchaj, staram ci się pomóc – powiedział Cully. – Po tym, co się stało,

Cheech będzie cię szukał. A uwierz mi, nie jesteście sobie równi.

– Dlaczego nie? – zapytał Jordan.

Cully celebrował odpowiedź.

– Ponieważ Dzieciak jest istotą ludzką, a Cheech nie.

I w ten zabawny sposób zaczęła się nasza przyjaźń. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że staniemy się bliskimi kumplami. W gruncie rzeczy zaczęliśmy się na siebie lekko wkurwiać.

– Odwiozę cię na lotnisko – zaproponował Cully.

– Jesteś bardzo miłym gościem – rzekłem – lubię cię. Jesteśmy kumplami od bakarata. Ale kiedy jeszcze raz zaproponujesz mi, że zawiesz mnie na lotnisko, obudzisz się w szpitalu.

Cully zaśmiał się radośnie.

– Daj spokój – powiedział – bardzo ładnie walnąłeś Cheecha, ale on od razu wstał. Nie jesteś twardzielem. Spójrz prawdzie w oczy. – Już nie wytrzymałem i roześmiałem się, ponieważ była to prawda. Nie jestem twardzielem, nie leży to w moim charakterze. A Cully ciągnął: – Pokazałeś mi, gdzie zostałeś trafiony, ale to nie znaczy, że jesteś twardzielem. Jesteś tylko ofiarą twardziela. Gdybyś mi pokazał faceta, który nosi bliznę po twojej kuli, byłbym pod wrażeniem. Gdyby Cheech nie podniósł się po twoim uderzeniu, też byłbym pod wrażeniem. Daj spokój, wyświadczam ci przysługę. Bez jaj.

Cóż, miał rację. Ale nie robiło mi to różnicy. Nie chciałem wracać do żony, trójki dzieci i spieprzonego życia. Podobało mi się w Vegas. Podobało mi się kasyno. Granie to było to. Chciałem być samotny, nie będąc osamotniony. I zawsze coś się działo, jak w tej chwili. Nie byłem twardy, ale Cully nie wiedział, że absolutnie nic nie było w stanie mnie przerazić, ponieważ w tym czasie miałem wszystko w dupie.

A więc powiedziałem do Cully'ego:

– Tak, masz rację. Ale nie mogę wyjechać, nawet na kilka dni.

Omiótł mnie spojrzeniem i wzruszył ramionami. Wziął rachunek, podpisał go i wstał od stołu.

– Do zobaczenia, chłopaki – rzucił. I zostawił mnie sam na sam z Jordaniem.

Obaj czuliśmy się nieswojo. Nie mieliśmy ochoty na przebywanie ze sobą. Wyczułem, że obaj jesteśmy w Vegas z jednego powodu: chcemy ukryć się przed realnym światem. Nie mogliśmy jednak być niegrzeczni w stosunku do siebie. Jordan, ponieważ był dżentelmenem w każdym calu, a ja – pomimo że



zwykle odsuwanie się od ludzi nie sprawiało mi kłopotów – bo instynktownie poczułem do niego sympatię, co zdarza się niezmiernie rzadko, i nie chciałem ranić jego uczuć, zostawiając go samego.

– Jak pisze się twoje nazwisko? – zapytał Jordan.

– M-er-ly-n. – Zauważyłem brak zainteresowania i się uśmiechnąłem. – To jedno z tych archaicznych nazwisk.

Zrozumiał w mgnieniu oka i posłał mi uśmiech.

– Czy twoi rodzice myśleli, że wyrośniesz na maga?

I dlatego właśnie próbujesz szczęścia przy stole do bakarata?

– Nie – odparłem. – Merlyn to moje nazwisko. Zmieniłem je. Nie chciałem być królem Arturem ani Lancelotem.

– Merlin miał wiele kłopotów na głowie – powiedział Jordan.

– Taa... – odparłem – ale żył wiecznie.

I w ten oto sposób Jordan i ja zaprzyjaźniliśmy się, czy też raczej zapoczątkowaliśmy naszą przyjaźń sentymentalnym porozumieniem uczniów.

Rankiem, następnego dnia po zejściu z Cheechem, napisałem list do żony, informując ją, że wrócę do domu za kilka dni. Potem powlokłem się do kasyna i zobaczyłem Jordana przy stole do gry w crapa. Miał cienie pod oczami. Dotknąłem jego ramienia, a on odwrócił się i posłał mi promienny uśmiech, który zawsze na mnie działał. Może dlatego, że tylko do mnie uśmiechał się tak promiennie.

– Chodźmy na śniadanie – zaproponowałem. Chciałem, żeby trochę odpoczął. Jordan bez słowa zebrał swoje sztony i poszedł ze mną do kawiarni.

W dłoni wciąż trzymałem list. Jordan spojrzał na niego, a ja powiedziałem:

– Codziennie piszę do żony.

Jordan przytaknął i zamówił śniadanie. Zamówił pełen posiłek w stylu Vegas. Melon, jajka na bekonie, tosty i kawa. Jadł jednak niewiele, zaledwie kilka kęsów, i popił kawą. Ja zamówiłem krwisty befsztyk, który uwielbiałem, ale nie spodziewałem się, że dostanę go w Vegas.

Podczas posiłku zjawił się Cully z pięciodolarowymi, czerwonymi sztonymi w garści.

– Pozwólcie, że ja postawię – powiedział radośnie. – Policzyłem dokładnie rozdanie i dostałem dziesięć procent.

Usiadł, zamówił kawę i melona.

– Merlyn, mam dla ciebie dobre wieści – rzekł. – Nie musisz wyjeżdżać z miasta. Cheech popełnił wczoraj wielki błąd.

Teraz wkurwił mnie nie na żarty. Wciąż mówił o tym samym. Był jak moja żona, która bez końca przypominała mi, że muszę się przystosować. Nie muszę niczego robić. Ale niech mówi, Jordan, jak zwykle milczący, obserwował mnie przez chwilę. Czuję, że czyta mi w myślach.

Cully miał nerwowy sposób mówienia i jedzenia. Miał w sobie również mnóstwo energii, tak jak Cheech. Tylko jego energia była pozytywna, ułatwiała mu życie.

– Pamiętasz tego krupiera z zakrwawionym nosem? Zaplamiła mu całą koszulę. Ten dzieciak jest ulubionym bratankiem komisarza policji w Vegas.

Wtedy nie miałem zupełnie poczucia wartości. Cheech był idealnym twar-dzielem, wielkim graczem, może jednym z tych, którzy tworzyli Vegas. Cóż miał do tego bratanek komisarza policji z Vegas? I jego zakrwawiony nos? Tyle powiedziałem. Cully był zachwycony możliwością popisania się elokwencją.

– Musisz zrozumieć – rzekł – że jest tutaj jak król. Wielki, tłusty facio w stentonie, noszący czterdziestkępiątkę w kaburze. Jego rodzina mieszka w Nevadzie od początku istnienia tego stanu. Ludzie wybierają go co roku. Jego słowo jest prawem. Opłacają go wszystkie hotele w mieście. Każde kasyno pragnie, aby jakiś jego bratanek zechciał przyjąć u nich posadę krupiera i aby mogli płacić mu najwyższą stawkę krupierską. Zarabia tyle co kontroler. Musisz zrozumieć, że komisarz traktuje konstytucję i Kartę Praw jako wymysł pedalskich maminsyneków ze wschodu. Każdy gość z przeszłością kryminalną musi się zaraz po przyjeździe meldować na policji. I lepiej dla niego, żeby to zrobił. Nasz komisarz nie lubi hipisów. Zauważyłeś, że nie ma w mieście długowłosej młodzieży? O czarnych się nie wścieka. A włóczędzy czy nieroby? Vegas jest chyba jedynym miastem w tym kraju, gdzie ich nie ma. Lubi dziewczynki, są przydatne w kasynach; ale nie lubi alfonsów. Nie przeszkadza mu, kiedy jakiś chłopak żyje ze swojej dziewczyny i tym podobne. Ale jeśli jakiś koleś ma grupę dziewczyn, powinien mieć się na baczności. prostytutki zwykle wieszają się w celach albo podcinają sobie żyły. Szu-lerzy w więzieniach popełniają samobójstwa. Mordercy i oszuści także. Bardzo wielu ludzi kończy z sobą w więzieniach. Ale czy słyszałeś kiedyś o alfonsie, który by sam skończył z sobą? Cóż, rekord w tej dziedzinie należy do Vegas. W więzieniu naszego komisarza trzech alfonsów popełniło samobój-

stwo. Czy teraz masz pełny obraz sytuacji?

– A więc, co stało się z Cheechem? – zapytałem. – Czy siedzi w więzieniu?

Cully uśmiechnął się.

– Nie dostał się tam. Szukał pomocy u Gronevelta.

– U Xanadu Numer Jeden? – wymamrotał Jordan. Cully spojrzał na niego zaskoczony.

Jordan uśmiechnął się.

– Gdy przestaję grać, słucham rozmów telefonicznych.

Na twarzy Cully'ego odmalowało się zaniepokojenie. Po chwili podjął:

– Cheech prosił Gronevelta, aby ten pomógł mu wydostać się z miasta.

– Kto to jest Gronevelt? – zapytałem.

– Właściciel hotelu. I uwierz mi, jego dupa wisiała na włosku. Cheech nie jest tu sam.

Popatrzyłem na niego. Nie wiedziałem, co ma na myśli.

– Cheech jest ustosunkowany – powiedział znacząco Cully. – Gronevelt musiał go umieścić w szpitalu miejskim. Miał złamanie podstawy czaszki, obrażenia wewnętrzne i potrzebował pomocy chirurga plastycznego.

– Jezu! – wykrzyknąłem.

– Czynny opór władzy – dodał Cully. – To nasz komisarz. Kiedy Cheech dojdzie do siebie, będzie musiał na zawsze opuścić Vegas. I jeszcze coś. Zwolniono szefa sali bakarata, wyrzucono go na zbity pysk. Komisarz go obwinia za doprowadzenie do zajścia. Dostał zakaz pracy w Vegas. Musi znaleźć pracę na Karaibach.

– Nikt go nie zatrudni? – zapytałem.

– To nie tak – wyjaśnił Cully. – Komisarz powiedział mu, że nie chce go widzieć w mieście.

– I już? – zapytałem.

– I już. Był kiedyś taki jeden, który wrócił ukradkiem do miasta i znalazł pracę. Komisarz wszedł do kasyna i wyciągnął go stamtąd za szmaty. Włał mu tak, że tamtemu gówno w dupie się zagotowało. Wszyscy o tym mówili.

– Jak to, do diabła, jest możliwe? – zapytałem.

– Ponieważ komisarz jest wybranym przedstawicielem społeczności tego miasta.

Po raz pierwszy Jordan wybuchnął śmiechem. Miał donośny śmiech. Zmył nim rezerwę i chłód, jaki zawsze od niego promieniował.

Później, wieczorem tego samego dnia, Cully przyprowadził do kawiarni Dianę. Otrząsnęła się już z tego, co zrobił jej Cheech. Było jasne, że znają się z Cullym od dawna. Oczywiście też było, że Cully wystawiał ją nam na przynęę. Mogliśmy wziąć ją do łóżka w każdej chwili.

Cully żartował sobie trochę z jej biustu, nóg i ust – że były także urocze i że używała kruczoczarnych włosów jako pejcza. Ale wśród rubasznych komplementów ukrył też pochwały jej charakteru. „To jedna z niewielu dziewcząt w mieście, które cię nie natną – mówił. – Ona nie łajdaczy się za darmo. To takie dobre dziecko. Nie pasuje do tego miasta”. Po czym, aby pokazać swoje uwielbienie dla niej, trzymał złożoną dłoń pod koniuszkiem jej papierosa, aby nie musiała sięgać do popielniczki. Ta małomiasteczkowa galanteria była odpowiednikiem całowania księżnej w rękę.

Diana była bardzo spokojna, a ja odrobinę urażony, że bardziej zwraca uwagę na Jordana niż na mnie. Czyż nie pomściłem jej jak rycerz, którym przecież byłem? Nie upokorzyłem Cheecha? Ale kiedy wracała do pracy przy stole do bakarata, pochyliła się nade mną, pocałowała w policzek i z nieco smutnym uśmiechem powiedziała:

– Cieszę się, że nic ci nie jest. Martwiłam się o ciebie. Nie powinieneś się tak zachowywać.

Po czym odeszła.

Przez następne tygodnie opowiadaliśmy o sobie i poznawaliśmy się nawzajem. Popołudniowy drink stał się rytuałem, a poza tym często jedliśmy wspólnie obiad około pierwszej w nocy, kiedy Diana kończyła swoją zmianę przy stole. Ale właściwie wszystko zależało od przypadku. Kiedy ktoś z nas miał szczęście, grał nic nie jedząc, dopóki go nie opuściło. Najczęściej zdarzało się to Jordanowi.

Bywały również długie popołudnia, gdy siedzieliśmy przy basenie na palącym słońcu i dyskutowaliśmy czy też spacerowaliśmy wzdłuż skąpanego w neonach Stripu, gdzie jaśniejące budynki hoteli wydawały się mirażami otaczającej nas pustyni. I tak opowiedzieliśmy sobie nasze życiorysy.

Historia Jordana była chyba najprostsza i najbanalniejsza – dlatego wydawał się najzwyczajniejszą osobą w grupie. Miał doskonale szczęśliwe życie z typowym zakończeniem. Był geniuszem finansowym i w wieku trzydziestu pięciu lat stał się właścicielem przedsiębiorstwa handlującego stalą. Typ średniaka, zarobił na przyzwoite życie. Ożenił się z piękną kobietą, dorobił się domu i trójki dzieci. Przyjaciele, forsa, kariera i prawdziwa miłość. Trwało to

przez dwadzieścia lat.

I wtedy, jak to ujmował Jordan, jego żona wyrosła z niego. Starał się ochronić rodzinę przed ekonomią dżungli. Zabrało mu to wszystkie siły, całą energię. Ona była dobrą żoną i matką. Ale nadszedł czas, kiedy zapragnęła od życia czegoś więcej. Była mądrą, inteligentną, czytającą kobietą. Pożerała wprost opowiadania i sztuki, chodziła do muzeów, uczestniczyła w życiu kulturalnym miasta i wszystkim dzieliła się chętnie z Jordanem. Kochał ją jeszcze bardziej. Aż do dnia, kiedy zażądała rozwodu. Przestał wtedy ją kochać, przestał kochać dzieci, rodzinę i pracę. Zrobił dla nich wszystko. Chronił ich przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego, zbudował fortecę władzy i pieniędzy, nawet nie przypuszczając, że jej bramy zostaną otwarte od wewnątrz.

Nie są to jego słowa, a jedynie moja relacja. On powiedział po prostu, że „nie rósł ze swoją żoną”. Był tak pochłonięty pracą, że nie zwracał dostatecznej uwagi na rodzinę. Nie miał jej za złe, kiedy rozwiodła się z nim i wyszła za mąż za jednego z jego przyjaciół. Ponieważ ten przyjaciel był taki jak ona: mieli taki sam gust, umysłowość i chęć korzystania z radości życia.

Tak więc on, Jordan, zgodził się na wszystko, czego chciała. Sprzedał firmę i dał jej wszystkie pieniądze. Prawnik powiedział mu, że okazał się zbyt hojny, że będzie tego później żałował. Ale Jordan odparł, że to nie hojność, że jego była żona i jej nowy mąż nie są w stanie zarobić takich pieniędzy jak on.

– Nie powiedzielibyście tego o mnie – rzekł Jordan – ale mogę być wielkim biznesmenem. Mam oferty pracy z całego kraju. Gdyby nie to, że samolot wylądował w Vegas, zarabiałbym teraz swój pierwszy milion dolarów w Los Angeles.

To była dobra historia, ale według mnie za słodka. Był zbyt miłym facetem. To wszystko było zbyt cywilizowane.

Słabością Jordana było to, że nie przesypiał nocy. Każdego ranka schodziłem do kasyna przed śniadaniem i rzucałem kości, aby zaostrić sobie hazardowy apetyt. I zawsze zastawałem Jordana przy stole do crapa. Było oczywiste, że grał całą noc. Czasami, kiedy był zmęczony, szedł grać w ruletkę albo w black jacka. Z każdym dniem wyglądał coraz gorzej. Chudł i oczy pokryły mu się czerwoną siatką. Ale zawsze był układny i stonowany. I nigdy nie powiedział na swoją żonę ani jednego złego słowa.

Czasami, kiedy byliśmy sami z Cullym w barze czy na obiedzie, Cully py-

tał mnie: „Czy wierzysz temu popieprzeńcowi? Czy dasz wiarę, że facet może tak się dawać robić babie w konia? I dlaczego mówi o niej tak, jakby była jedyną cipą na świecie?”.

„Ona nie jest babą – odpowiadałem – była jego żoną przez wiele lat. Matką jego dzieci. Opoką jego wiary. Jest purytaninem z dawnych czasów, który dostał w łeb sputnikiem”.

To Jordan jako pierwszy odezwał się do mnie. Pewnego dnia powiedział:

– Zadajesz wiele pytań, ale sam milczysz. – Przerwał na chwilę, jakby zastanawiając się, czy rzeczywiście interesuje go, co mam do powiedzenia. Po chwili dodał: – Dlaczego jesteś w Vegas tak długo?

– Jestem pisarzem – odpowiedziałem. I od tego się zaczęło. Fakt opublikowania przeze mnie opowiadania poruszył ich do tego stopnia, że aż mnie to ubawiło. Ale naprawdę zdumiało ich to, że miałem trzydzieści jeden lat i uciekłem od żony i trójki dzieci.

– Myślałem, że masz najwyżej dwadzieścia pięć – zdziwił się Cully. – Nie nosisz obrączki.

Nigdy nie nosiłem.

– Niepotrzebna ci – rzekł żartobliwie Jordan. – Wyglądasz na winnego i bez niej. – Nie mogłem go jednak sobie wyobrazić z tym żartem na ustach parę lat wcześniej, gdy był jeszcze żonaty i mieszkał w Ohio. Wtedy uznałby to za grubiaństwo. A może wtedy nie był na tyle wolny. A może było to coś, co powiedziałyby jego żona, a on siedziałby tylko z przyzwalającym uśmiechem. Nie dotknęło mnie to. Opowiedziałem im historię mojego małżeństwa i wyszło na jaw, że blizna, którą im pokazałem, była szramą po operacji woreczka żółciowego, a nie raną z czasów wojny. W tym miejscu opowiadania Cully rzekł:

– Ty pieprzony artycho.

Wzruszyłem ramionami, uśmiechnąłem się i mówiłem dalej.

## Rozdział 5

Jestem człowiekiem bez historii. Nie pamiętam swoich rodziców. Nie mam wujków, kuzynów, swojego miasta. Mam tylko o dwa lata starszego brata. Miałem trzy lata, a mój brat Artie pięć, kiedy obaj znaleźliśmy się w sierocińcu pod Nowym Jorkiem. Matka nas tam zostawiła. Nie pamiętam jej wcale.

Nie powiedziałem o tym Cully'emu, Jordanowi i Dianie. Nigdy nie rozmawiam o tych sprawach. Nawet z moim bratem, Artiem, który jest mi bliższy niż ktokolwiek na świecie.

Nie rozmawiamy o tym, ponieważ brzmi to żałośnie, a nie jest do końca prawdziwe. Sierociniec był miłym miejscem z dobrą szkołą i inteligentnym administratorem. Było mi tam nieźle aż do chwili, kiedy Artie i ja opuściliśmy razem sierociniec. Brat miał osiemnaście lat, znalazł pracę i mieszkanie. Zamieszkałem razem z nim. Po kilku miesiącach także jego opuściłem, okłamałem komisję werbunkową i wstąpiłem do wojska, aby walczyć w drugiej wojnie światowej. I teraz w Vegas, szesnaście lat później, opowiadałem Jordanowi, Cully'emu i Dianie o wojnie i moich przeżyciach.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po wojnie, było zapisanie się na kursy literackie w New School for Social Research. Wszyscy wtedy chcieli zostać pisarzami, jak dwadzieścia lat później każdy miał nadzieję na zostanie producentem filmowym.

Trudno było zdobyć przyjaciół w wojsku. Łatwiej było w szkole. Tam także spotkałem swoją przyszłą żonę. Ponieważ, z wyjątkiem starszego brata, nie miałem innej rodziny, spędzałem mnóstwo czasu w szkole, włócząc się po kafejkach. Woląłem to od powrotu do pustych pokoi na Grove Street. Było fajnie. Co jakiś czas miałem szczęście i udawało mi się namówić jakąś

dziewczyne, aby zamieszkała ze mną przez kilka tygodni. Wszyscy faceci, z którymi się zaprzyjaźniałem, a którzy po wojsku poszli do szkoły na podstawie ustawy o rezerwistach, mówili moim językiem. Problem polegał na tym, że oni byli zainteresowani życiem literackim, a ja nie. Ja po prostu chciałem być pisarzem, ponieważ zawsze interesowało mnie wymyślanie opowiadań. Fantastycznych przygód izolujących mnie od świata.

Odkryłem, że czytam o wiele więcej od innych, nawet tych z tytułami magistrów filologii. Tak naprawdę nie miałem nic lepszego do roboty, chociaż zawsze grałem. Znalazłem kantor bukmacherów na East Side, obok Dziesiątej Ulicy, i każdego dnia obstawiałem piłkę nożną, koszykówkę i baseball. Pisałem krótkie opowiadania i zacząłem powieść wojenną. Moją żonę spotkałem na zajęciach z noweli. Była Irlandko-Szkotką z dużym biustem, olbrzymimi niebieskimi oczami i poważnym podejściem do życia. Krytykowała opowiadania innych ostrożnie, grzecznie, ale bardzo ostro. Nie miała okazji, aby ocenić moje, ponieważ jeszcze ich nie oddałem. Przeczytała swoje opowiadanie. Zdumiało mnie, ponieważ było bardzo dobre i bardzo zabawne. Dotyczyło jej irlandzkich wujków, ochlapusów.

Gdy skończyła, cała klasa naskoczyła na nią, zarzucając powielanie stereotypu irlandzkiego pijaka. Jej śliczną twarz zasnuło bolesne zdziwienie. W końcu dano jej dojść do głosu.

Miała piękny, miękki głos i tym głosem powiedziała:

– Ale ja wyrosłam wśród Irlandczyków. Wszyscy piją. Czy nie mam racji?

Pytanie było skierowane do nauczyciela, który także był Irlandczykiem. Nazywał się Maloney i zaliczał się do moich dobrych przyjaciół. Chociaż nie było po nim tego widać, był kompletnie pijany.

Maloney wyprostował się na krześle i autorytatywnie stwierdził:

– Skąd niby mam wiedzieć? Jestem Skandynawem.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, a biedna Valerie zakłopotana schyliła głowę. Broniałem jej, ponieważ, chociaż to było dobre opowiadanie, wiedziałem, że nigdy nie będzie prawdziwą pisarką. Wszyscy w klasie byli utalentowani, ale tylko kilku miało energię i chęć przebycia tej długiej drogi, porzucenia życia dla pisania. Byłem jednym z nich. Ona nie. Prosta sprawa. Pisać nie było jedyną rzeczą, którą pragnąłem robić w życiu.

Przed końcem semestru wreszcie oddałem swoje opowiadanie. Wszyscy byli zachwyceni. Po zajęciach Valerie podeszła do mnie i zapytała:

– Jak to się dzieje, że jestem taka poważna, a wszystko, co piszę, brzmi tak



zabawnie? A ty zawsze dowcipkujesz i zachowujesz się, jakbyś był niepoważny, a twoje opowiadanie wyciska łzy.

Była poważna. Jak zwykle. Zabrałem ją więc na kawę. Nosiła nazwisko O’Grady, którego nienawidziła za irlandzkość. Czasami mam wrażenie, że wyszła za mnie wyłącznie po to, aby się pozbyć tego O’Grady. Przeszliśmy na ty. Zdumiało mnie, że potrzebowałem ponad dwóch tygodni na zaciągnięcie jej do łóżka. Nie była swawolną dziewczką z akademika i pragnęła mnie o tym przekonać. Tego pierwszego razu musieliśmy ją upić, aby mogła oskarżyć mnie o wykorzystanie jej narodowej lub rasowej słabości. Ale w łóżku zaskoczyła mnie.

Przed tym wydarzeniem nie szalałem za nią. Ale w łóżku była wspaniała. Myślę, że są ludzie, którzy pasują do siebie na tym prymitywnym, podstawowym poziomie i odpowiednio na siebie reagują. Myślę, że oboje byliśmy zbyt nieśmiali, skryci i nie mogliśmy docenić poprzednich partnerów. A gdy już z jakiegoś niewyjaśnionego powodu porzuciliśmy nieśmiałość, okazało się, że w pełni sobie odpowiadamy. Po pierwszej wspólnie spędzonej nocy byliśmy nierozłączni. Chodziliśmy do kina w kampusie i oglądaliśmy zagraniczne filmy. Jedliśmy we włoskich i chińskich restauracjach, wracaliśmy do mojego pokoju i kochaliśmy się, a około północy odprowadzałem ją do metra, aby mogła dotrzeć do domu rodzinnego w Queens. Jeszcze nie miała na tyle odwagi, aby zostać na noc. Aż do pewnej soboty, kiedy nie mogła się opanować. Chciała zrobić mi niedzielne śniadanie i czytać ze mną rankiem niedzielne gazety. Opowiedziała więc rodzicom historyjkę, jaką zwykle opowiadają w takich wypadkach córki, i została na noc. To był wspaniały weekend. Ale kiedy wróciła do domu, rozpętała się burza. Rodzina naskoczyła na nią i kiedy spotkaliśmy się w poniedziałek wieczorem, była cała we łzach.

– Do diaska – rzekłem – pobierzmy się.

– Nie jestem w ciąży – powiedziała zdziwiona. I zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy wybuchnąłem śmiechem. Naprawdę nie miała poczucia humoru – chyba że pisała.

W końcu przekonałem ją, że mówię poważnie. Że naprawdę chcę się z nią ożenić. Zarumieniła się i zaczęła płakać.

Tak więc pewnego sobotniego popołudnia wybrałem się do Queens, do jej rodziny na obiad. To była duża rodzina: ojciec, matka, trzech braci, trzy siostry – wszyscy młodszy od Valerie. Jej ojciec pracował jako robotnik w Tammany Hall i zarabiał na życie polityką. Było też kilku wujków – wszyscy pi-

jani. Ale na wesoło. Jedni ludzie podczas obiadu się opychają, a oni się upijali. Nie było to bardziej niestosowne niż obżarstwo. Pomimo że prawie w ogóle nie piję, to za kołnierz nie wylewałem i w ten sposób spędziliśmy wesoło czas.

Jej matka miała brązowe, rozbiegane oczy. Najwyraźniej Valerie odziedziczyła zmysłowość po matce, a brak poczucia humoru po ojcu. Ojciec wraz z wujkami obserwowali mnie pijackim wzrokiem, starając się wy badać, czy nie jestem czasem łobuzem, który obiecując małżeństwo, dyma ich ukochaną Valerie.

Pan O'Grady poruszył wreszcie ten temat.

– Kiedy chcecie się pobrać? – zapytał. Wiedziałem, że jeśli dam złą odpowiedź, to z miejsca dostanę w mordę od ojca i trzech wujków. Wiedziałem, że ojciec nienawidzi mnie za to, że dymam jego małą dziewczynkę przed ślubem. Ale rozumiałem go. To proste. Przecież nie chcę nikogo orznać, nigdy tego nie robiłem. Dlatego zaśmiałem się i odparłem:

– Jutro rano.

Roześmiałem się, ponieważ wiedziałem, że ta odpowiedź ich przekona, ale nie będą mogli jej zaakceptować, ponieważ ich znajomi pomyśleliby, że Valerie jest w ciąży. Po długich rozmowach ustaliliśmy ślub za dwa miesiące, aby można było zrobić zaręczyny i prawdziwe rodzinne wesele. Też mi się to podobało. Nie wiedziałem, czy byłem zakochany. Byłem szczęśliwy i to mi wystarczało. Już nie byłem sam, mogłem zacząć prawdziwe życie. Będę miał rodzinę, żonę, dzieci, rodzina mojej żony stanie się moją rodziną. Osiedlę się na skrawku miasta, który stanie się moim. Już nie będę samotną, pojedynczą istotą. Będę obchodził święta i urodziny. Będę „normalny” po raz pierwszy w życiu. Armia przestała się naprawdę liczyć. Przez następne dziesięć lat będę starał się wrócić do życia.

Jedynymi ludźmi, których mogłem zaprosić na ślub, był mój brat, Artie, i kilku kolegów z New School. Ale tu rodził się problem. Musiałem wyjaśnić Valerie, że moje nazwisko naprawdę nie brzmi Merlyn. Czy raczej, że moje pierwsze nazwisko tak nie brzmiało. Po wojnie, zupełnie legalnie, zmieniłem je. Wyjaśniłem sędziemu, że jestem pisarzem i będzie to mój pseudonim literacki. Za przykład podałem mu Marka Twaina. Sędzia zgodził się ze mną, jakby znał setki pisarzy robiących podobnie.

Prawda była taka, że podchodziłem do pisarstwa mitycznie. Chciałem być czysty, nie zepsuty. Bałem się skojarzeń w przypadku, gdyby się ktoś dowie-

dział, kim naprawdę jestem. Chciałem tworzyć uniwersalne postacie. (Moja pierwsza książka była bardzo symboliczna). Chciałem mieć dwie absolutnie różne tożsamości.

To przez polityczne koneksje pana O'Grady'ego zatrudniono mnie jako pracownika federalnego Civil Service. Zostałem urzędnikiem komórki GS-6 w Jednostkach Rezerwy.

Po narodzinach dzieci życie w małżeństwie stało się nudne, ale jeszcze szczęśliwe. Valerie i ja nigdy nie wychodziliśmy. W święta odwiedzaliśmy mojego brata albo jej rodzinę. Kiedy ja pracowałem wieczorami, ona mogła odwiedzać swoich znajomych. Miała ich mnóstwo. W weekendy odwiedzała znajomych, a ja siedziałem z dziećmi i pracowałem nad książką.

Nigdy nie wychodziłem. Kiedy wypadła jej kolej na robienie przyjęcia, byłem wściekły i obawiam się, że nie potrafiłem tego ukryć. Valerie to wyczuwała. Pamiętam, jak kiedyś poszedłem do pokoju, aby zajrzeć do dzieci, zostałem i zacząłem czytać rękopis. Valerie zostawiła gości i zaczęła mnie szukać. Nigdy nie zapomnę tego jej spojrzenia przepełnionego bólem, kiedy zobaczyła mnie czytającego, najwyraźniej niechętnego do ponownego zejścia na dół do niej i do jej gości.

Mniej więcej w tym czasie zachorowałem po raz pierwszy. Obudziłem się z potwornym bólem w okolicy żołądka i pleców.

Nie mogłem sobie pozwolić na prywatną wizytę, dlatego dopiero na drugi dzień poszedłem do szpitala weteranów, gdzie przez cały tydzień robili mi wszystkie możliwe prześwietlenia i badania. Ale dostałem kolejnego ataku i z symptomów wynioskowano, że to woreczek żółciowy.

Tydzień później atak się powtórzył i napompowali mnie morfiną. Musiałem opuścić dwa dni w pracy. I wtedy, około Bożego Narodzenia, kiedy już miałem zakończyć nocną pracę, dopadł mnie kurewski atak. (Nie wspominałem, że nocami pracowałem w banku, aby dorobić trochę na święta). Ból był nie do zniesienia. Myślałem, że jakoś dojdę do Szpitala Weteranów na Dwudziestej Trzeciej. Wziąłem taksówkę i wysiadłem kilkadziesiąt metrów przed wejściem. Było już po północy. Kiedy taksówka odjechała, poczułem obezwładniający ból. Osunąłem się na kolana na ciemnej ulicy. Ból promieniował na całe plecy. Upadłem na lodowaty chodnik. Wokół nie było żywego ducha, nikogo, kto mógłby mi pomóc. Od wejścia dzieliło mnie kilka kroków. Byłem tak otepiały z bólu, że nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Nawet się nie bałem. Nawet chciałem umrzeć, żeby tylko przestało boleć.

Miałem w dupie żonę, dzieci, nawet mojego brata. Chciałem, żeby przestało mnie boleć. Przez chwilę pomyślałem o legendarnym Merlinie. Cóż, nie byłem, kurwa, magiem. Pamiętam, jak przetaczałem się z jednej strony na drugą, by złagodzić ból, i jak wylądowałem w ryszotoku. Krawężnik był moją poduszką.

Zobaczyłem świąteczne lampki, dekorację pobliskiego sklepu. Ból nieco zelżał. Leżałem tak, myśląc, że jestem jakimś kurewskim zwierzęciem. Oto leży artysta, opublikował jedną książkę, jeden krytyk nazwał go geniuszem, nadzieją literatury amerykańskiej; i teraz zdycha w ryszotoku jak pies. I nie było to z mojej winy. Po prostu dlatego, że nie miałem forsy w banku. Ponieważ nie było nikogo, kogo by to, cholera, obchodziło. Taka była prawda. Żal nad sobą był prawie tak dobry jak morfina.

Nie wiem, ile czasu zabrało mi wyczołganie się z ryszotoka i dobrnięcie do wejścia do szpitala, ale w końcu znalazłem się w kręgu światła. Pamiętam ludzi podnoszących mnie z ziemi i wiozących na wózku do izby przyjęć; odpowiadałem na jakieś pytania i nagle, jak za sprawą magicznej różdżki, znalazłem się w ciepłym, białym łóżku z uczuciem ogarniającej mnie senności i bez bólu; wiedziałem, że dostałem dawkę morfiny.

Kiedy się obudziłem, jakiś młody lekarz mierzył mi puls. Leczył mnie już kiedyś, stąd wiedziałem, że nazywa się Cohn.

– Dzwoniliśmy do pańskiej żony. Przyjedzie, kiedy tylko wyprawi dzieci do szkoły – powiedział, uśmiechając się szeroko.

Kiwnąłem głową i rzekłem:

– Myślę, że nie mogę czekać z tą operacją do po świątach.

Doktor Cohn spojrział na mnie z troską.

– Cóż, czeka pan już tyle – powiedział serdecznie – nie przeżyje pan świąt? Zamówimy termin na dwudziestego siódmego. Może pan przyjść wieczorem ostatniego dnia świąt, wszystko będzie przygotowane.

– Dobra – odparłem.

Ufałem mu. Rozmawiał już z władzami szpitala, aby załatwić mi domowe wizyty. Był jedynym facetem, który zrozumiał, kiedy powiedziałem, że nie chcę operacji przed świątami. Pamiętam, jak powiedział:

– Nie wiem, co pan chce osiągnąć, ale trzymam pana stronę.

Nie powiedziałem mu, że muszę pracować aż do świąt, aby moje dzieci, wierzące w Świętego Mikołaja, mogły dostać prezenty. Wtedy byłem bardzo odpowiedzialnym człowiekiem i musiałem zapewnić byt rodzinie. Była to je-

dyna rzecz, jaką miałem.

Zawsze będę pamiętał tego młodego lekarza. Wyglądał jak typowy lekarz z telewizyjnego serialu, z tym że był bezpretensjonalny. Nafaszerowanego morfiną posłał mnie do domu. Miał swoje powody. Kilka dni po operacji rzekł (widziałem, jaki był szczęśliwy, mogąc mi to powiedzieć):

– Posłuchaj, jesteś młodym facetem i nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś mieć dalej woreczka żółciowego. Testy nie wykazały żadnych zmian. Miałeś jedynie kilka kamyków. Możesz być pewien, że nie ma tam już niczego.

Dokładnie sprawdziłem. Nie martw się na zapas. Będziesz jak nowo narodzony.

W tym czasie nie wiedziałem, jak bardzo miał rację. Jak zwykle, dotarło to do mnie dopiero rok później – bał się, że to może być rak. Właśnie dlatego nie chciał mnie operować na tydzień przed świętami.

## Rozdział 6

Opowiedziałem Jordanowi, Cully'emu i Dianie, jak mój brat Artie i moja żona Valerie odwiedzali mnie codziennie. Jak Artie golił mnie i woził Valerie tam i z powrotem, podczas gdy jego żona opiekowała się naszymi dziećmi. Zobaczyłem złośliwy uśmiech na twarzy Cully'ego.

– No dobra – przyznałem. – Ta blizna, którą wam pokazałem, jest pozostałością po operacji woreczka żółciowego. Nie było żadnego strzelania z karabinu maszynowego. Gdybyś choć trochę myślał, to wiedziałbyś, że nikt nie przeżyłby takiej rany.

Cully wciąż się uśmiechał.

– Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że kiedy twoja żona wracała z bratem, dla zabicia czasu pieprzyła się z nim przed powrotem do domu? To dlatego od niej odszedłeś? – spytał.

Wybuchnąłem gromkim śmiechem. Wiedziałem, że muszę im opowiedzieć o Artiem.

– On jest bardzo przystojny – rzekłem. – Wyglądamy podobnie, ale on jest starszy.

Prawda jest taka, że wyglądam jak nieudana kopia mojego brata. Mam za grube usta. Zbyt głęboko osadzone oczy. Nos za duży. I wyglądam jak byk, ale powinniście zobaczyć Artiego. Powiedziałem im, że ożeniłem się z Valerie głównie dlatego, że była jedyną moją dziewczyną, która nie zakochała się w moim bracie.

Mój brat, Artie, jest niezwykle przystojny i delikatny. Ma oczy jak grecki posąg. Pamiętam nasze kawalerskie czasy, gdy zakochiwały się w nim dziewczyny, płakały, groziły, że zabiją się przez niego. Pamiętam, jaki był z tego powodu załamany. Ponieważ nie wiedział, o co, do diabła, w tym wszystkim chodzi. Nigdy nie widział swego piękna. Był przekonany, że ma

za małe dłonie i stopy, i w ogóle jest za mały. „Jak dzieciaczek” – stwierdziła kiedyś zalotnie jedna z dziewcząt.

Najbardziej jednak załamywało Artiego, że ma nad nimi taką władzę. W końcu zaczął tego nienawidzić. Och, jak ja bym to uwielbiał. Dziewczyny nigdy mnie tak nie kochały. Jak by mi się to teraz podobało – takie czyste i ślepe kochanie się w wyglądzie, miłością niewywołaną przez dobroć, zalety charakteru, inteligencję, czar, umysł czy siłę witalną. Krótko mówiąc, chciałbym być kochany miłością ślepą i bezgraniczną, która nie musiałaby być troskliwie pielęgnowana. Kocham taką miłość, tak jak pieniądze wygrane w szczęśliwy dzień w kasynie.

Ale Artie celowo starał się ukryć swój urok. Zaczął ubierać się konserwatywnie, co zupełnie do niego nie pasowało. Rozluźniał się jedynie w obecności osób, które kochał i z którymi czuł się bezpieczny. W innym wypadku był bezbarwny i trzymał wszystkich na dystans. Ale nawet wtedy wpadał w kłopoty. Ożenił się młodo i był chyba jedynym wiernym mężem w Nowym Jorku.

Pracował jako laborant w Federalnym Laboratorium Kontroli Żywności i z miejsca rozkochał w sobie wszystkie współpracowniczki. Najlepsza przyjaciółka jego żony z mężem zdobyli jego zaufanie i przez jakieś pięć lat byli przyjaciółmi. Artie przestał się pilnować i wkrótce najlepsza przyjaciółka żony zakochała się w nim i zerwała swoje małżeństwo, ogłaszając radosną nowinę całemu światu. Spowodowało to mnóstwo kłopotów i wzbudziło podejrzenia żony Artiego. Był to jedyny raz, kiedy widziałem, że jest na nią wściekły. Jego wściekłość była mordercza. Gdy żona oskarżyła go o spowodowanie całej tej sytuacji, odpowiedział jej zimno: „Jeśli w to wierzysz, to spierdalaj z mego życia”. Było to u niego tak niespotykane, że żona o mały włos nie umarła z wyrzutów sumienia. Myślę, że chciała, żeby był winny, tylko dlatego, aby mieć na niego haka. Ponieważ była całkowicie w jego mocy.

Wiedziała o nim coś, o czym wiedziałem jeszcze tylko ja i kilku ludzi. Nie mógł znieść, kiedy zadawał komuś ból. Komuś czy czemuś. Nie był w stanie nikogo skrzywdzić. Dlatego właśnie nienawidził zakochanych w nim kobiet. Był, jak myślę, zmysłowy, mógłby kochać setki kobiet i mogłoby mu się to podobać, ale nie chciał stwarzać konfliktów. Jego żona powiedziała kiedyś, że jedyną rzeczą, której brakuje ich związkowi, to kilka dobrych awantur. Nie, żeby się nie kłócili. Byli w końcu małżeństwem. Ale, jak powiedziała,

ich kłótnie kończyły się zwykle na jednym kuksańcu, oczywiście w cudzysłowie. Ona kłóciła się, kłóciła i kłóciła, a on załatwiał ją jedną zimną uwagą, która tak ją załamywała, że wybuchiała płaczem i ustępowała.

Ze mną było inaczej; Artie był starszy i traktował mnie zawsze jak młodszego brata. Znał mnie na wylot i rozumiał o wiele lepiej niż moja żona. I nigdy się na mnie nie wściekał.

Po operacji dochodziłem do siebie przez dwa tygodnie. Ostatniego dnia podziękowałem doktorowi Cohnowi, a on życzył mi powrotu do zdrowia.

Pielęgniarka przyniosła mi moje rzeczy i poprosiła o podpisanie kilku dokumentów. Eskortowała mnie do biura. Czułem się podle, ponieważ nikt po mnie nie przyszedł. Nikt z moich przyjaciół. Nikt z rodziny. Artie. Jasne, nie przypuszczali, że będę sam wracał do domu. Czułem się jak mały chłopiec, nikt mnie nie kochał. Czy naprawdę musiałem wracać po ciężkiej operacji do domu sam, metrem? Co będzie, jeśli zasłabnę? Albo zemdleję? Jezu, jak podle się czułem. I wtedy wybuchnąłem śmiechem. Ponieważ naprawdę czułem tę podłość.

Tak naprawdę to Artie zapytał mnie, kto odbierze mnie ze szpitala, a ja powiedziałem, że żona. Valerie zaproponowała mi, że przyjedzie po mnie, a ja na to, że nie musi; jeśli nie przyjedzie Artie, to wezmę taksówkę. Myślała więc, że powiedziałem Artiemu. Przyjaciele oczywiście byli przekonani, że odbierze mnie ktoś z rodziny. W rzeczywistości chodziło o to, że po prostu chciałem się na wszystkich obrazić.

Ktoś powinien jednak o tym wiedzieć. Zawsze byłem samowystarczalny. Nie potrzebowałem nigdy nikogo, kto musiałby się o mnie troszczyć. Mogłem żyć całkowicie sam i dla siebie. Ale tego szczególnego dnia pragnąłem nadmiernych manifestacji uczuć, o które w końcu bardzo łatwo na tym świecie.

Tak że kiedy wróciłem na oddział i zobaczyłem Artiego trzymającego moją walizkę, prawie wybuchnąłem płaczem. Wzruszyłem się i uściśniłem go serdecznie, co zdarzało się niezwykle rzadko. Potem zapytałem radośnie:

– Skąd, do diabła, wiedziałeś, że dzisiaj wychodzę?

Artie posłał mi zmęczony, smutny uśmiech.

– Ty gnojku. Dzwoniłem do Valerie. Dowiedziałem się, że mam cię odebrać. Tak jej powiedziałaś.



– Nie powiedziałem nigdy czegoś podobnego – zaprzeczyłem.

– Och, daj spokój – przerwał mi Artie. Wziął mnie pod łokieć i skierował w stronę wyjścia. – Znam cię, ale to nie w porządku wobec ludzi, którzy się o ciebie martwią. Tak się nie robi.

Nie pisałem ani słowa dopóty, dopóki nie znaleźliśmy się w samochodzie.

– Valerie powiedziałem tylko tyle, że może wpadniesz. Nie chciałem robić jej kłopotu – wyjaśniłem.

Na ulicy był okropny tłok, więc Artie nie mógł na mnie spojrzeć.

– Nie możesz tego robić Valerie – rzekł spokojnie. – Możesz to robić mnie, ale nie jej.

Znał mnie jak nikt na świecie. Nie musiałem mu tłumaczyć, że czuję się jak pieprzony straceniec. Dobijał mnie brak sukcesów literackich, wstyd z powodu porażki jako ojca i męża też mnie dobijał. Nie mogłem nikogo prosić o pomoc. Dosłownie nie byłem w stanie poprosić nikogo o zabranie mnie do domu. Nawet mojej żony.

Kiedy dojechaliśmy do domu, Valerie już na nas czekała. Miała zmieszany, wylękniony wyraz twarzy, kiedy całowała mnie na powitanie. Po chwili piliśmy kawę w kuchni. Valerie usiadła obok mnie i dotknęła mojej ręki.

– Nie rozumiem – rzekła – dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Chciał odstawiać bohatera – wyręczył mnie Artie. Ale powiedział tak tylko po to, żeby zeszła z tego tematu. Wiedział, że nie chcę odkrywać załamania nerwowego. Uważał, że tak będzie lepiej dla Valerie. A poza tym wierzył we mnie. Wiedział, że się z tego otrząsnę. Będzie dobrze. Każdy ma chwile słabości. Do diabła. Nawet bohaterowie się męczą.

Po wypiciu kawy Artie wyszedł. Podziękowałem mu, a on uraczył mnie swoim sardonycznym uśmiechem. Widziałem, że martwi się o mnie. Miał, jak dostrzegłem, napięcie w twarzy. Życie zaczynało go osłabiać. Kiedy wyszedł, Valerie posłała mnie do łóżka. Pomogła mi się rozebrać i położyła się koło mnie, też naga.

Zasnąłem momentalnie. Spokojny. Dotyk jej ciepłego ciała, dłoni, którym wierzyłem, jej oczy, usta i włosy uczyniły mój sen słodkim i świętym, nawet środki farmakologiczne nie zrobiłyby tego lepiej. Kiedy się obudziłem, już jej nie było. Dobiegał do mnie tylko jej głos z kuchni i głosy dzieci, które już wróciły ze szkoły. Oddałbym wszystko za tę chwilę.

Kobiety były dla mnie sanktuariami, prawda, że egoistycznie wykorzystywanymi, ale to dzięki nim życie stawało się znośne. Jak można by znosić porażki codziennego życia bez takiego sanktuarium? Jezu, gdy wracałem czasem do domu z pracy przerażony ilością długów, pewny końca swej pisarskiej kariery, wszystkie troski znikwały przy rodzinnej kolacji, bajkach opowiadanych dzieciom na dobranoc i przy wieczornych czułościach z oddaną żoną. To chyba cud. Ale, oczywiście, prawdziwym cudem było nie to, że zdarzał się on Valerie i mnie, ale że zdarzał się niezliczonym milionom mężczyzn i ich żonom, i dzieciom. I tak od tysięcy lat. Co stanie się z ludźmi, kiedy to minie? Nieważne, że nie zawsze łączy ich miłość, że czasami jest to czysta nienawiść. Teraz miałem już swoją historię.

Kiedyś i tak to minie.

Opowiedziałem tę historię w Vegas, we fragmentach, podczas kolacji o północy i nad drinkami w barze. Kiedy skończyłem opowiadać, Cully rzekł:

– Wciąż jednak nie wiemy, dlaczego opuściłeś żonę.

Jordan spojrział na niego z lekkim pobłażaniem. Już od dawna domyślał się prawdy.

– Nie zostawiłem żony i dzieci – odparłem. – Po prostu zrobiłem sobie małą przerwę. Codziennie piszę do domu. Pewnego ranka poczułem, że muszę wracać, i wsiądem w samolot.

– Tak po prostu? – zapytał Jordan. Nie było to pytanie ironiczne. Chciał wiedzieć.

Diana nie odzywała się, rzadko to robiła. Ale teraz poklepała mnie po kolanie i powiedziała:

– Wierzę ci.

– Kiedy przestaniesz wierzyć mężczyznom? – spytał ją Cully.

– Większość z nich to gnojki – odparła. – Ale Merlyn nie, przynajmniej na razie.

– Dzięki – powiedziałem.

– Ale nim będziesz – rzekła zimno Diana.

– A Jordan? – spytałem. Nie mogłem się oprzeć. Wiedziałem, że go kocha. Tak jak wiedział o tym Cully. Jordan nie wiedział, ponieważ nie chciał wiedzieć, i gównu go to obchodziło. Ale zwrócił grzecznie twarz w kierunku

Diany, jakby interesowała go jej opinia. Tego wieczoru wyglądał dobrze jak wszyscy diabli. Wystające kości policzkowe uwydatniły się na jego twarzy nienaturalnymi białymi plamami.

– Nie, ty nie – powiedziała. Jordan odwrócił twarz, nie chciał jej słuchać.

Cully, tak otwarty i szczery, opowiadał swoją historię na końcu i jak my wszyscy ukrył najważniejszą jej część, o czym przekonałem się wiele lat później. Ukazał nam natomiast uczciwy obraz swojego charakteru, tak nam się przynajmniej wydawało. Wiedzieliśmy, że miał jakieś tajemnicze powiązania z hotelem i jego właścicielem, Groneveltem. Ale było również prawdą, że był zdegenerowanym graczem i wiódł marny żywot. Jordana to nie bawiło, ale mnie – tak. Z założenia interesowało mnie wszystko, co odbiegało od normalności i karykatury typów ludzkich. Nie wydawałem sądów moralnych. Byłem ponad to. Po prostu słuchałem.

Cully był ucieleśnieniem mądrości życiowej. Był inspiracją. Nikt go nigdy nie „zrobi”. To raczej on ich „zrobi”. Miał silnie rozwinięty instynkt przeżycia, oparty na braku moralności. A i tak nie można go było nie lubić. Bywał zabawny. Interesował się wszystkim i odnosił się do kobiet w pozbawiony sentymentalizmu sposób, który uwielbiały.

Pomimo iż zawsze brakowało mu pieniędzy, mógł – jeśli chciał – iść do łóżka z każdą z baletniczek pracujących w hotelu. Stosował tylko romantyczne, słodkie gadki. Jeśli się opierała, wykorzystywał swój stary chwyt z futrami.

Było to banalnie łatwe. Prowadził taką dziewczynę do sklepu z futrami na Stripie. Właściciel był jego znajomym, o czym oczywiście nie wiedziały. Na żądanie Cully’ego właściciel układał na podłodze przed zdumioną baletniczką stosy futer. Kiedy dokonała wyboru, futrzarz zapisywał jej wymiary i informował, że futro będzie gotowe za dwa tygodnie. Wtedy Cully wypisywał czek na dwa lub trzy tysiące dolarów jako zaliczkę i prosił właściciela, aby dziewczynie wysłał futro, a jemu rachunek. I dawał dziewczynie kwit.

Wieczorem zabierał ją na kolację i pozwalał, aby postawiła kilka dolców w ruletkę; po czym zabierał ją do swego pokoju, gdzie, jak mówił, będzie musiała pójść ze względu na kwit warty kilka patyków, który miała w torebce. Skoro Cully tak ją kochał, to dlaczego nie? Futro by tego nie sprawiło. Cully by tego nie sprawił. Ale jedno i drugie razem? Poza tym, jak mawiał

Cully, należało czasami zagłuszyć sumienie, żeby wygrać.

Oczywiście dziewczyna nigdy nie dostawała tego futra. Po dwutygodniowym romansie Cully wywoływał kłótnię i rozstawał się z nią. I jak mówił, ani razu, nigdy, przenigdy dziewczyna nie oddała mu kwitu na futro. Za każdym razem pędziła do sklepu, starając się odzyskać pieniądze albo przynajmniej futro. Ale oczywiście właściciel tłumaczył spokojnym tonem, że Cully odebrał zaliczkę i wycofał zamówienie. Jego zapłatą były niektóre, szukające pocieszenia zawiedzione.

Cully miał jeszcze jeden sprawdzony numer na wrażliwe dziwki. Pił z nimi równo przez kilka wieczorów, uważnie słuchając opowiadań o ciężkim życiu. Był bardzo współczujący. Nie robił żadnych propozycji, nie wykonywał żadnych podejrzanych ruchów. Trzeciego wieczoru wyjmował banknot studolarowy z kieszeni, kładł go na stole, wkładał do koperty, po czym chował kopertę do kieszeni swojej kurtki. Wtedy proponował: „Posłuchaj, zwykle tego nie robię, ale naprawdę cię lubię. Usiądźmy wygodnie u mnie w pokoju, a to dam ci na taksówkę do domu”.

Dziewczyna niemrawo protestowała. Chciała mieć ten banknot. Ale nie chciała być uważana za dziwkę. Cully dalej roztaczał czar. „Słuchaj – przekonywał – będzie późno. Dlaczego miałabyś płacić za taksówkę? Przynajmniej to mogę dla ciebie zrobić. I naprawdę cię lubię. Cóż to szkodzi?”. Wówczas wyciągał kopertę z kieszeni i dawał ją dziewczynie, która wkładała ją do torebki. Cully zabierał ją na górę i pieprzył przez kilka godzin. Wtedy nadchodziła, jak mówił, najśmieszniejsza część dnia. W windzie dziewczyna rozdzierała kopertę i zamiast studolarowego wyjmowała banknot dziesięciodolarowy. Ponieważ, oczywiście, Cully miał w kieszeni dwie koperty.

Bardzo często dziewczyna wracała na górę i łomotała w drzwi Cully’ego. On szedł do łazienki i puszczał wodę do wanny, aby zagłuszyć hałas, golił się i czekał, aż ona odejdzie. Jeśli była mniej śmiała czy doświadczona, dzwoniła do niego z dołu i mówiła mu, że w kopercie znalazła dziesięć dolarów, a nie sto.

Cully uwielbiał to. Zwykle mówił: „Tak, oczywiście. Jaka jest taryfa? Dwa, trzy dolary? Ale chciałem być pewien, że ci wystarczy, dlatego dałem dziesięć”. „Widziałam, jak wsadzałeś sto dolarów do koperty” – mówiła dziewczyna. „Sto dolarów na taksówkę? – słusznie oburzał się Cully. – Kim do diabła jesteś, pieprzoną dziwką? Nigdy nie płaciłem żadnej dziwce. Słuchaj, myślałem, że jesteś uczciwą dziewczyną. Ty zmieniłaś to wszystko

w kupę gówna. Słuchaj, nie dzwoń do mnie więcej”.

Albo czasami, jeśli wiedział, że się wywinie: „Och, nie, kochanie. Pomyliłaś się”. I przygotowywał ją na następny numer. Niektóre wierzą, że działał w dobrej wierze lub (jak bystro zauważył Cully) były zmuszone uwierzyć w swoją pomyłkę, aby zachować twarz. Niektóre nawet od razu się z nim umawiają, aby udowodnić, że nie są dziwkami i nie poszły z nim do łóżka za sto dolarów.

Nie robił tego, aby oszczędzić pieniądze, które i tak przegrywał w kasynie. Chodziło o to, aby poczuć swoją siłę, aby „poruszyć” upatrzoną dziewczynę. Największym dla niego wyzwaniem była dziewczyna, która szła tylko z facekami, których lubiła.

Jeśli dziewczyna była nieskomplikowana, Cully musiał się namordować, żeby do niej cokolwiek dotarło; komplementy musiały być wtedy wyraźne i ekstrawaganckie. Narzekał na trudność w nawiązywaniu intymnych kontaktów z kobietami, których nie znał dobrze albo nie czuł do nich głębszych uczuć. Dawał im małe prezenciki i dwadzieścia dolarów na taksówkę. A i tak niektóre ze sprytniejszych nie chciały przestąpić progu jego pokoju. Wtedy zmieniał taktykę. Zaczynał mówić o swoim znajomym – bogatym, najlepszym facecie na świecie, który troszczy się o znajome dziewczyny z czystej przyjaźni. Ten przyjaciel poszedłby z nimi chętnie na drinka. Był to zwykle przedsiębiorca z Nowego Jorku czy właściciel firmy samochodowej z Chicago, oczywiście zapamiętały gracz. Dziewczyna nie miała nic do stracenia. Darmowy obiad z miłym, zamożnym człowiekiem.

Szli więc na obiad. Przyjaciel dawał jej kilka stówek albo przyrzekał przesłać nazajutrz drogi prezent. Był to czarujący mężczyzna, nie nachalny. I wiza futer, limuzyn, diamentowych pierścionków. Dziewczyna szła do łóżka z bogatym znajomym. A gdy już bogaty przyjaciel się zmył, piękna „nieporuszona” dziewczyna nie mogła odejść bez sztuczki Cully’ego z opłatą za przejazd.

Cully nie miał wyrzutów sumienia. Z jego punktu widzenia wszystkie kobiety niezamężne są oszustkami, próbującymi różnych sztuczek, z prawdziwą miłością włącznie, i dlatego należy odpłacać im pięknym za nadobne. Okazywał współczucie jedynie wtedy, kiedy dziewczyna nie waliła w drzwi i nie dzwoniła do niego z hallu. Wiedział, jak się czuła ponizona i wykpiąca. Czasami spotykał się z nią i, jeśli potrzebowała pieniędzy na przeżycie do końca miesiąca, śmiejąc się z rzekomego żartu, dawał jej setkę lub dwie.

Bo dla Cully'ego to były żarty. Coś, o czym mógł opowiadać swoim kolegom złodziejom, oszustom i szulerom. Wszyscy się śmiali i gratulowali mu, że się nie dał zrobić. Oszuści byli w pełni świadomi, że kobiety to ich wrogowie; choć prawda, że wrogowie wyposażeni w rzeczy niezbędne mężczyznom; ale byli dalecy od płacenia za nie swoim czasem, pieniędzmi czy uczuciem. Potrzebowali damskiego towarzystwa, pragnęli kobiecego ciepła wokół siebie. Płacili za bilety lotnicze tysiące dolarów, aby tylko mieć je przy sobie w Vegas czy Londynie. To było OK. Biedna dziewczyna musiała się pakować i jechać. Cóż, zarabiała pieniądze. W każdej chwili musiała być gotowa na szybki numerek lub przedobiednie ciągnięcie druta bez zwykłych uprzejmości. Bez kłótni. Przede wszystkim bez kłótni. Oto kutas. Zajmij się nim. Nieważne, czy mnie kochasz. Nieważne jedzenie. Nieważne zwiedzanie. Nieważna drzemka, później, nie teraz, wieczorem, jutro, dzień po świętach. Teraz. Szybka obsługa w wielu wariantach. Wielcy Szu muszą mieć wszystko cyscuś-glancuś.

Wywody Cully'ego uważałem za niezwykle cyniczne, ale kobiety uwielbiały go bardziej niż innych. Wydawało się, że go rozumieją, że przejrzały jego grę i zgadzają się na nią tylko po to, aby mu sprawić przyjemność. Niektóre z nabranych przez niego dziewczyn zostały oddanymi przyjaciółkami, zawsze gotowymi na numerek, gdyby poczuł się samotny.

O Jezu, a kiedy zachorował, przez jego pokój przewijały się tabuny dziewcząt myjących go, karmiących i pieprzących się z nim po to, by miał spokojny sen. Cully rzadko wściekał się na dziewczynę, kiedy jednak się to zdarzało, potrafił ze śmiertelnym lekceważeniem w głosie powiedzieć „spadaj” – słowo wywołujące piorunujący efekt. Może była to druga strona współczucia i szacunku, jaki okazywał im, zanim się wściekł, a może dlatego, że dziewczyna myślała, że nie ma powodu się na nią wściekać. Albo też że była to okrutna zapłata za zbyt małe zainteresowanie jego osobą.

A jednak, pomimo wszystko, dotknęła go śmierć Jordana. Był na niego piekielnie wściekły. Odebrał jego samobójstwo jako osobisty afront. Pieprzył coś w kółko o dwudziestu patykach, ale czułem, że wcale go to nie obchodzi. Kilka dni później, gdy wszedłem do kasyna, zastałem go przy stoliku do black jacka. Rozdawał karty. Podjął pracę w kasynie, zaprzestał hazardu. Nie wierzyłem, że zrobił to naprawdę. Ale tak było. Dla mnie to było tak, jakby wstąpił do stanu duchownego.

## Rozdział 7

Tydzień po śmierci Jordana opuściłem Vegas, jak mi się zdawało, na zawsze, i powróciłem do Nowego Jorku.

Cully odprowadził mnie na lotnisko. Piliśmy kawę w oczekiwaniu na odlot. Zdziwiło mnie to, że Cully był poruszony moim wyjazdem.

– Wrócisz – powiedział. – Wszyscy wracają do Vegas. Będę czekał. Zabawimy się wspaniale.

– Biedny Jordan – rzekłem.

– Taa... – mruknął Cully. – Nie zrozumieję tego do końca życia. Dlaczego to zrobił? Dlaczego, do diabła, to zrobił?

– Nigdy nie wyglądał na szczęściarza – powiedziałem.

Gdy zapowiedziano mój odlot, uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Jeśli wdepniesz w coś w domu, zadzwoń do mnie. Jesteśmy kumplami. Wyciągnę cię. – Uściskał mnie. – Jesteś facetem z jajami. Zawsze będziesz. Dlatego możesz w coś wdepnąć. Zadzwoń do mnie.

Naprawdę nie wierzyłem w szczerą propozycję. Cztery lata później on odniósł sukces, a ja stanąłem przed trybunałem, który chciał mnie uziemić. I wtedy, kiedy zadzwoniłem do Cully'ego, on przyleciał do Nowego Jorku, aby mi pomóc.

## Rozdział 8

Uciekając przed światłem dnia Zachodu, olbrzymi odrzutowiec wśliznął się w rozlewającą się ciemność stref czasowych Wschodu. Drżałem przed lądowaniem i przed tym, że będę musiał stanąć twarzą w twarz z Artiem, a on odwiezie mnie do domu w Bronksie, gdzie czekali na mnie żona i dzieci. Szczęśliwie miałem dla nich prezenty: dla dzieci miniaturowe automaty do gry, a dla Valerie pierścionek z perłą, który kosztował mnie dwieście dolarów. Ekspedientka ze sklepu z pamiątkami hotelu Xanadu chciała pięćset, ale Cully wyjednał u niej specjalną zniżkę.

Nie chciałem myśleć o tej chwili, kiedy wejdę przez drzwi domu i spojrzę w oczy żonie i trójce dzieci. Czuję się zbyt winny. Obawiałem się tego, co przejdę z Valerie. A więc myślałem o tym, co mi się przydarzyło w Vegas.

Myślałem o Jordanie. Jego śmierć nie załamała mnie. Przynajmniej tak to teraz odbierałem. Znałem go w końcu tylko przez trzy tygodnie i naprawdę go nie poznałem. Zastanawiałem się, co było takie poruszające w jego smutku? Był to smutek, którego nigdy nie doznałem i miałem nadzieję, że nigdy nie doznam. Zawsze go podejrzewałem, podchodziłem do niego jak do zadania szachowego. Oto człowiek, który kiedyś żył zwykłym, szczęśliwym życiem. Miał szczęśliwe dzieciństwo. Dużo opowiadał o tym, jak był szczęśliwy w dzieciństwie. Był szczęśliwy w małżeństwie. Wiódł dostatnie życie. Wszystko szło mu dobrze, aż do ostatniego roku. Dlaczego więc nie był w stanie się z tego otrząsnąć? „Albo się zmienię, albo zginę”, powiedział kiedyś. Samo życie. On po prostu nie mógł się zmienić. Jego wina.

Przez te trzy miesiące twarz mu wyszczuplała, a kości czaszki wyzierały na zewnątrz jak ostrzeżenie. W krótkim czasie jego ciało skurczyło się alarmująco, ale nic więcej nie zdradzało jego pragnienia. Kiedy wracam do tych dni, dostrzegam, że wszystko, co mówił i robił, miało mnie dezorientować.



Odmawiając oferowanych przez niego pieniędzy, chciałem wykazać bezinteresowność moich uczuć. Myślałem, że to mu pomoże. Ale on dawno stracił zdolność do tego, co Jane Austen nazwała błogosławieństwem uczucia.

Myślę, że uważał swą rozpacz (czy cokolwiek to było) za rzecz wstydliwą. Był prawdziwym Amerykaninem i pragnienie rozstania się z życiem uważał za hańbiące.

Zabiła go żona. To zbyt proste. Jego dzieciństwo, matka, ojciec, rodzeństwo? Nawet jeśli zaleczą się rany dzieciństwa, trudno wyrosnąć ze słabości. Wiek nie chroni przed niezabliźnionymi ranami.

Tak jak Jordan, pojechałem do Vegas z powodu dziecinnego poczucia zdrady. Żona wytrzymała ze mną przez pięć lat, nie narzekając, podczas gdy ja pisałem książkę. Nie była zbyt szczęśliwa z tego powodu, ale co, do diabła, przecież wieczorami zostawałem w domu. Kiedy moja pierwsza powieść okazała się fiaskiem, a ja miałem złamane serce, ona rzekła gorzko: „Wiedziałam, że się nie sprzeda”.

Byłem zrozpaczony. Czy uświadamiała sobie, jak się poczułem? To był jeden z najokropniejszych dni mojego życia i kochałem ją bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Starłem się wyjaśnić, że książka była dobra, tylko miała tragiczne zakończenie i wydawca chciał je zmienić, a ja odmówiłem. (Jak byłem z tego dumny! Miałem rację, nigdy się nie myliłem, jeśli chodziło o pracę, naprawdę). Myślałem, że żona będzie ze mnie dumna. Potwierdza to tylko tezę, jak durni są pisarze. Była wściekła. Żyliśmy biednie, miałem mnóstwo długów, skąd się, kurwa, urwałem? Myślałem, że kim, kurwa, jestem? (Oczywiście, nie używała tych słów. Ona nigdy w życiu nie powiedziała „kurwa”). Była tak wściekła, że zabrała dzieci, wyszła z domu i wróciła dopiero przed kolacją. I ona chciała być kiedyś pisarką!

Pomógł nam teść. Ale jednego dnia wpadł na mnie, jak wychodziłem z antykwiariatu z naręczem książek. Wkurwił się. Był piękny wiosenny, słoneczny dzień. Właśnie wyszedł ze swojego biura, opadły z sił i zmęczony. I oto szedłem ja, uśmiechając się wyczekująco do niesionych pod pachą drukowanych skarbów. „Jezu – powiedział – myślałem, że piszesz książkę, a ty się po prostu opierdalasz”. Znał to słowo wyśmienicie.

Kilka lat wcześniej opublikowałem książkę własnym sumptem, miałem dobre recenzje, ale mało pieniędzy. Teść, zamiast mi pogratulować, powiedział: „Cóż, nie przynosi to pieniędzy. Pięć lat pracy. Może byś się zajął utrzymaniem rodziny?”.

Grając w Vegas, przemyślałem wszystko. Dlaczego, do diabła, mieli mi współczuć? Dlaczego nie mieli mieć w dupie mojego hopla na temat tworzenia sztuki? Dlaczego, kurwa, miało ich to cokolwiek obchodzić? Mieli całkowitą rację. Ale już nie traktowałem ich tak jak kiedyś.

Jedynym człowiekiem, który mnie rozumiał, był mój brat Artie. I nawet on przez ostatnie lata był trochę mną zawiedziony, chociaż nigdy tego nie okazał. Był najbliższą mi osobą. Przynajmniej do czasu, kiedy się ożenił.

Jeszcze raz wzdrygnąłem się przed myślą o pójściu do domu i pomyślałem o Vegas. Cully nigdy nie mówił o sobie, chociaż go pytałem. Opowiadał co nieco o tym, co obecnie robił, ale rzadko o przeszłości. Zabawne, że byłem jedynym, którego to ciekawiło. Jordan i Cully prawie nie zadawali pytań. Gdyby tak nie było, pewnie powiedziałbym im więcej.

Chociaż Artie i ja dorastaliśmy jako sieroty w ośrodku, nie było to gorsze, a może nawet lepsze od szkół wojskowych i gimnazjów, do których rodzice oddawali swoje dzieci, aby się ich pozbyć. Artie był moim starszym bratem, ale to ja byłem zawsze większy i silniejszy. Przynajmniej fizycznie. Psychicznie on był twardy jak wszyscy diabli i o wiele uczciwszy. Jego fascynowała nauka, a ja kochałem fantazję. On czytał książki z zakresu chemii i matematyki i rozwiązywał problemy szachowe. Nauczył mnie grać w szachy, ale byłem zbyt niecierpliwy; to nie hazard. Czytałem książki. Dumasa i Dickensa, i Sabatiniego, Hemingwaya i Fitzgeralda, i później Joyce'a, i Kafkę, i Dostojewskiego.

Jestem pewien, że fakt bycia sierotą nie zostawił piętna na moim charakterze. Byłem taki jak inne dzieci. Później nikt nie mógł zgadnąć, że nie znaliśmy matki i ojca. Jedyną nienaturalną czy wynaturzoną rzeczą było to, że zamiast być sobie braćmi, Artie i ja byliśmy dla siebie matką i ojcem. W końcu opuściliśmy zakład. Artie dostał pracę, a ja zamieszkałem razem z nim. Wtedy Artie zakochał się i nadszedł czas, abym odszedł. Wstąpiłem do wojska, aby walczyć w wielkiej wojnie, drugiej światowej. Kiedy po pięciu latach wróciłem, znów staliśmy się braćmi. On był ojcem rodziny, a ja weteranem wojennym. I to wszystko. Jedyny raz, kiedy pomyślałem o nas jako o sierotach, to wtedy, gdy siedzieliśmy dłużej, a żona Artiego zmęczona szła spać. Pocałowała go na dobranoc. Pomyślałem wtedy, że Artie i ja jesteśmy wyjątkowi. W dzieciństwie nikt nigdy nie całował nas na dobranoc.

Tak naprawdę nigdy nie mieszkaliśmy w zakładzie. Obaj uciekaliśmy w świat książek. Moją ulubioną była o królu Arturze i okrągłym stole. Czytałem wszystkie wersje popularne i oryginalną Malory'ego. Oczywiście, traktowałem Artiego jako króla Artura. Mieli te same imiona i w moim dziecięcym umyśle łączyła ich łagodność charakteru. Ale ja sam nigdy nie identyfikowałem się z dzielnymi rycerzami, takimi jak Lancelot. Nawet w dzieciństwie nie interesował mnie Święty Graal. Nie chciałem zostać Galahadem.

Zakochałem się w Merlinie, jego mądrej magii i przemianach w sokoła czy inne zwierzęta. W jego znikaniu i pojawianiu się. Jego długiej nieobecności. Najbardziej jednak uwielbiałem chwilę, w której oznajmiał królowi Arturowi, że nie może już być jego prawą ręką. I powód. Zakocha się w dziewczynie i nauczy ją swojej magii. I że ona go zdradzi, używając przeciwko niemu magicznych zaklęć, których on sam ją nauczył. I to jak zostanie uwięziony w jaskini na tysiąc lat, zanim przestanie działać czar. I wtedy dopiero ma wrócić na świat. O rany, to był kochanek, to był mag. Przeżyje ich wszystkich. A więc jako dziecko starałem się być memu bratu Artiemu Merlinem. I wtedy, kiedy opuścił zakład, zmieniliśmy nasze nazwiska na Merlyn. I od tej pory nigdy nie rozmawialiśmy o naszym sieroctwie. Ani ze sobą, ani z nikim innym.

Samolot lądował. Vegas był moim Camelotem, ironią, którą wielki Merlin mógłby łatwo wyjaśnić. Teraz wracałem do rzeczywistości. Musiałem wyjaśnić wszystko bratu i żonie. Kiedy samolot zatrzymał się na stanowisku, zabrałem torby z prezentami.

## Rozdział 9

Wszystko okazało się proste. Artie nie pytał mnie, dlaczego uciekłem od Valerie i dzieci. Miał nowy samochód, duże kombi, i powiedział, że jego żona znów jest w ciąży. To będzie czwarte dziecko. Pogratulowałem mu. Postanowiłem posłać kwiaty jego żonie. Po chwili odwołałem to postanowienie. Nie posyła się kwiatów żonie faceta, któremu jest się winnym tysiące dolarów. I kiedy być może trzeba będzie pożyczać jeszcze w przyszłości. Nie przeszkadzałoby to Artiemu, ale nie wiem, jak odebrałaby to jego żona.

W drodze do osiedla w Bronksie, gdzie mieszkałem, zadałem Artiemu ważne dla mnie pytanie: „Co Valerie o mnie myśli?”.

– Rozumie cię – odparł Artie. – Nie jest zła. Ucieszy się na twój widok. Zrozum, nie tak trudno cię rozgryźć. I codziennie pisałeś. I dzwoniłeś do niej kilka razy. Potrzebowałeś chwili spokoju. – Starał się, żeby brzmiało to naturalnie, ale spostrzegłem, że moje miesięczne wakacje przeraziły go nie na żarty. Naprawdę się martwił.

Znaleźliśmy się na moim osiedlu, które zawsze mnie przygnębiało. Był to obszar zabudowany wysokimi sześciokatami, powstały z troski rządu o biednych ludzi. Miałem pięciopokojowe mieszkanie za pięćdziesiąt dolarów miesięcznie (z opłatami). Wszystko było dobrze przez pierwsze kilka lat. Zostało zbudowane za rządowe pieniądze i było wciąż dotowane. Pierwotnymi mieszkańcami była ciężko pracująca biedota. Gdy ich status wzrósł, przenieśli się do własnych domów. Tutaj ściągali najbiedniejsi, którym nigdy nie uda się żyć uczciwie, bo tego nie pragną. Narkomani, alkoholicy, rodziny bez ojców, żyjące z zasiłków. Większość z nowo przybyłych to czarni. Valerie mówiła, że nie może narzekać, bo okrzykną ją rasistką. Ale wiedziałem, że musimy się wkrótce stąd wynieść do „białej” dzielnicy. Nie chciałem utknąć w nowym getcie. Gównu mnie obchodziło, gdyby ktoś powiedział, że to rasi-

stowskie poglądy. Wiedziałem, że należę do mniejszości, mieszkam wśród ludzi, którzy nie lubią koloru mojej skóry i którzy mają bardzo mało do stracenia. Zdrowy rozsądek mówił mi, że nie była to bezpieczna sytuacja. I że będzie jeszcze gorzej. Nie lubiłem specjalnie białych, dlaczego więc miałem kochać czarnych? Oczywiście, rodzice Valerie pewnie wpłaciliby zaliczkę na nasz dom. Ale nie wziąłbym od nich pieniędzy. Wziąłbym pieniądze jedynie od mojego brata, Artiego. Szczęściarz Artie.

Samochód stanął.

– Wejź na górę, odpoczniesz, napijesz się kawy – zaproponowałem.

– Muszę wracać do domu – odparł Artie. – Poza tym, nie chcę oglądać żadnych scen. Przyjmij to jak mężczyzna.

Sięgnąłem do tyłu i wyciągnąłem torbę z samochodu.

– Dobra – powiedziałem. – Dzięki za podwiezienie. Przyjdę się z tobą zobaczyć za kilka dni.

– Nie ma sprawy – odparł Artie. – Jesteś pewien, że masz kasę?

– Mówiłem ci, że przyjechałem jako zwycięzca.

– Merlyn Mag – dodał. Obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Odszedłem po ścieżce prowadzącej do mojej bramy.

Czekałem, aż usłyszę szum silnika, ale myślę, że czekał, aż wejdę w drzwi. Nie obejrzałem się. Miałem klucz, ale wolałem zapukać. Nie wiem dlaczego. Tak jakbym nie miał prawa go użyć. Kiedy Valerie otworzyła, czekała, aż wejdę za próg i postawię walizkę w kuchni, potem dopiero mnie objęła. Była bardzo spokojna, bardzo blada i bardzo oddana. Pocałowaliśmy się całkiem zwyczajnie, jakby pierwsza separacja po dziesięciu latach małżeństwa nie była niczym wielkim.

– Dzieciaki chciały zaczekać na ciebie – powiedziała – ale było późno. Zobaczysz się z nimi, zanim wyjdą do szkoły.

– Dobrze – zgodziłem się. Chciałem iść do ich pokoi, ale obawiałem się, że obudzę je i zamęczą Valerie. Wyglądała na wyczerpaną.

Zaniósłem walizkę do sypialni, a Valerie poszła za mną. Zaczęła ją rozpakowywać, a ja usiadłem na łóżku. Obserwowałem ją. Była bardzo sprawna. Osobno, na bielizniarce, położyła pudełka, o których wiedziała, że są w nich prezenty. Brudne rzeczy podzieliła na dwa stosy: do prania i do czyszczenia na sucho. Następnie zaniósła je do łazienki i wrzuciła do kosza na brudną bieliznę. Nie wychodziła, więc poszedłem po nią. Gdy otworzyłem drzwi, Valerie płakała oparta o ścianę.

– Opuściłeś mnie – wyszlochała.

Wybuchnąłem śmiechem. Ponieważ to nie była prawda i nie wolno jej było tak mówić. Mogła być wrażliwa, mądra i inteligentna, ale powiedziała po prostu to, co czuła, bez artyzmu. Tak jak kiedyś pisała opowiadania w New School. I właśnie dlatego, że była tak szczerą, zaśmiałem się. I zaśmiałem się jeszcze dlatego, że wiedziałem, że poradzę sobie z nią i tą całą niezręczną sytuacją. Będę mądry, zabawny i czuły – sprawię, że dojdzie do siebie. Pokażę jej, że to nie było nic takiego.

– Pisałem codziennie – powiedziałem. – Dzwoniłem przynajmniej cztery, pięć razy.

Ukryła twarz w moich ramionach.

– Wiem – odparła. – Ale nie byłam pewna, czy wrócisz. Nic mnie nie obchodzi. Kocham cię. Chcę, żebyś był przy mnie.

– Ja też – rzekłem. To był najprostszy sposób na wypowiedzenie tego, co czułem.

Zaproponowała, że zrobi mi coś do zjedzenia, ale nie chciałem. Wziąłem szybki prysznic, a ona czekała już na mnie w łóżku. Zawsze wkładała nocną koszulę, nawet jeśli zamierzaliśmy się kochać i za chwilę miałem ją ściągnąć. To była spuścizna jej katolickiego dzieciństwa, a mnie się to podobało. W ten sposób nasza miłość stawała się ceremonią. I widząc ją tam, czekającą na mnie, byłem zadowolony, że dochowałem jej wierności. Miałem mnóstwo innych grzechów na sumieniu, ale przynajmniej był jeden, którego się ustrzegłem. I wtedy, tam, było to coś warte. Nie wiedziałem, czy miało to dla niej znaczenie.

Przy zgaszonych światłach, ostrożnie, aby nie pobudzić dzieci, kochaliśmy się jak zwykle od dziesięciu lat, w ciągu których znaliśmy się, mieliśmy dzieci i, jak myślę, darzyliśmy się miłością. Miała wspaniałe ciało, urocze piersi i była naturalnie i niewinnie pobudliwa. Każda część jej ciała reagowała na dotyk, a ona sama była zmysłowa. Nasze fizyczne kontakty były prawie zawsze satysfakcjonujące, i tak było tego wieczoru. Po chwili zapadła w głęboki sen; trzymała mnie za dłoń, dopóki przez sen nie odwróciła się na bok.

Nie spałem, mój organizm przestawił się o trzy godziny do przodu. Teraz, będąc bezpieczny w domu z żoną i dziećmi, nie mogłem zrozumieć, dlaczego uciekłem. Dlaczego zostałem w Vegas przez miesiąc, tak samotny i odcięty od świata. Poczulem odprężenie zwierzęcia, które dotarło do rezerwatu. Czułem się szczęśliwy w biedzie, uwięziony małżeństwem i obarczony dziećmi.

Czułem, że będę szczęśliwy w niepowodzeniach, tak długo, jak długo będę mógł leżeć przy swojej żonie, chroniącej mnie przed światem. I tak, pomyślałem, musiał się czuć Jordan, zanim usłyszał złe wieści. Ale nie byłem Jordanem. Byłem Merlynem Magiem, sprowadzę wszystko na dobre tory.

Sztuczka polegała na zapamiętywaniu wszystkich szczęśliwych, dobrych chwil. Większość tych dziesięciu lat była szczęśliwa. I nawet raz wkurwiłem się, ponieważ byłem zbyt szczęśliwy jak na swoje potrzeby, okoliczności i ambicje. Pomyślałem o kasynie jaśniejącym w piaskach pustyni i Dianie pracującej na wabia bez żadnej szansy na wygraną czy przegraną, na bycie szczęśliwą czy nieszczęśliwą. I o Cullym w zielonej liberii, tasującym karty dla kasyna. I o śmierci Jordana.

Leżąc teraz w łóżku, w otoczeniu rodziny, poczułem w sobie wielką siłę. Ochronię ich przed światem i przede mną.

Byłem pewien, że mogę napisać następną książkę i stać się sławnym. Byłem pewien, że Valerie i ja możemy być wiecznie szczęśliwi, że dziwna dziełca nas obojętność zostanie zniszczona. Nigdy jej nie zdradzę ani nie użyję swej magii, aby usnąć na tysiąc lat. Nie będę drugim Jordanem.

## Rozdział 10

Cully patrzył przez wielkie okna apartamentu Gronevelta. Czerwono-zielony oświetlony neonami Strip jak pyton pełznął w kierunku czarnych pustynnych gór. Cully nie rozmyślał o Merlynie ani o Jordanie, ani o Dianie. Nervowo czekał, aż Gronevelt wyjdzie ze swej sypialni, i przygotowywał odpowiedź, wiedząc, że jego przyszłość wisi na włosku.

Apartament Gronevelta był olbrzymim pomieszczeniem z wbudowanym barem oraz wielką jak jadalnia kuchnią. Wszystkie okna wychodziły na pustynię i otaczające góry. Kiedy Cully przeszedł niecierpliwie w kierunku kolejnego okna, Gronevelt pojawił się w łukowych drzwiach sypialni.

Był nienagannie ubrany i ogolony, chociaż minęła już północ. Podeszedł do baru i zapytał Cully'ego:

– Chcesz drinka? – Miał wschodni akcent z Nowego Jorku, Bostonu czy Filadelfii.

Dookoła pokoju stały półki z książkami. Cully zastanawiał się, czy Gronevelt naprawdę je czyta. Piszący o Gronevelcie dziennikarze byliby zdziwieni taką myślą.

Cully podeszedł do baru, a Gronevelt gestem dał mu do zrozumienia, żeby sam dokonał wyboru. Cully wziął do ręki szklanekę i wlał do niej trochę scotcha. Zauważył, że Gronevelt pije czystą wodę.

– Dobrze pracowałeś – rzekł Gronevelt – ale pomogłeś temu Jordanowi przy bakaracie. Grałeś przeciw mnie. Wziąłeś moje pieniądze i grałeś przeciw mnie.

– To był mój przyjaciel – odparł Cully. – To nic wielkiego. I wiedziałem, że to taki typ faceta, który zatroszczy się o mnie, kiedy wygra.

– Czy dał ci cokolwiek – zapytał Gronevelt – zanim się wykończył?

– Chciał nam dać po dwadzieścia patyków. Mnie, Dzieciakowi, który się



z nami kręcił po kasynie, i Dianie.

Cully'emu wydawało się, że Gronevelt jest raczej zainteresowany, a nie wkurwiony tym, że pomógł Jordanowi.

Gronevelt podszedł do wielkiego okna i patrzył na pustynne góry, świecące czarno w świetle księżyca.

– Ale nie dostałeś tych pieniędzy – stwierdził.

– Zachowałem się jak palant. Dzieciak powiedział, aby czekał z tym, aż wsiądzie do samolotu, a ja i Diana zgodziliśmy się poczekać. To błąd, którego już nigdy nie popełnię.

– Każdy popełnia błędy – odparł pojednawczo Gronevelt. – To nieważne, no, chyba że jest to śmiertelna pomyłka. Ty zrobisz ich jeszcze sporo. – Dopił wodę. – Czy chcesz się dowiedzieć, czemu Jordan to zrobił?

– Żona go opuściła – odparł Cully, wzruszając ramionami. – I jak myślę, zabrała mu wszystko, co miał. Ale może coś z nim było nie tak, może miał raka? Wyglądał jak upiór przez ostatnich kilka dni.

Gronevelt skinął głową.

– Ta bakaratowa przynęta to dobra dupa?

– Ujdzie.

W tym momencie Cully przerwał, widząc młodą dziewczynę wychodzącą z sypialni. Przez ramię miała niedbale przewieszoną torebkę. Cully rozpoznał w niej girlsę z hotelowej rewii. Nie tancerkę, lecz girlsę. Była piękna i Cully przypomniał sobie jej jędrne piersi, które widział na rewii.

Dziewczyna pocałowała Gronevelta w usta. Zignorowała Cully'ego, a Gronevelt jej nie przedstawił. Odprowadził ją do drzwi i Cully zobaczył, jak wyjmuje z portfela studolarowy banknot. Trzymał dziewczynę za rękę, kiedy otwierał drzwi i banknot zniknął. Kiedy sobie poszła, Gronevelt wrócił do pokoju i usiadł na jednej z dwóch sof. Znowu uczynił gest zapraszający Cully'ego do zajęcia miejsca.

– Wiem o tobie wszystko – mówił Gronevelt. – Jesteś artystą w liczeniu. Masz dobrą technikę przy kartach. Po twojej pracy widać, że jesteś bystry. Kazałem cię sprawdzać od pierwszego dnia.

Cully przytaknął i czekał.

– Jesteś graczem, ale jeszcze nie nałogowym. W zasadzie jesteś poza grą. Ale jak wiesz, wszyscy aryści liczenia kart mają w końcu zakaz wstępu do kasyna. Szefowie sal już dawno mieli ochotę wydać ten zakaz. Powstrzymałem ich. Wiesz o tym.

Cully czekał.

Gronevelt patrzył mu w oczy.

– Mam cię jak na talerzu... z jednym wyjątkiem. Chodzi o twój związek z Jordanem i zachowanie się w towarzystwie jego i tego dzieciaka. Dziewczyna, o ile mi wiadomo, chuj cię obchodzi. A więc, zanim pójdziemy dalej, wytłumacz mi to.

Cully nie spieszył się; był bardzo ostrożny.

– Wie pan, że jestem szulerem – rzekł Cully. – Jordan był dziwnym szajbusem. Dostałem cynk, że można nieźle przy nim zarobić. Dzieciak i dziewczyna to przypadek.

– A ten dzieciak, któż to jest? Ten numer, na który wziął Cheecha, był bardzo niebezpieczny.

Cully wzruszył ramionami.

– Miły bachor.

Gronevelt był niemal miły.

– Lubieś go. Naprawdę go lubieś, inaczej Jordan ani ty nigdy byście nie stanęli przeciwko mnie.

Nagle Cully zwietrzył pismo nosem. Gapił się na setki książek poupychanych na półkach.

– Tak, lubiełem ich. Dzieciak napisał książkę, nie zarobił dużo pieniędzy. Nie można przejść przez życie, nikogo nie lubiąc. To byli mili faceci. Nie byli szulerami. Można im ufać. Nigdy nie wrobią człowieka. Myślę, że to było dla mnie nowe doświadczenie.

Gronevelt zaśmiał się. Doceniał bystrość umysłu. Zainteresował się. Choć niewiele o tym wiedziało, Gronevelt był człowiekiem odczytanym, ale uważał to raczej za wadę.

– Jak on się nazywa? – zapytał od niechcienia, pomimo że był bardzo zainteresowany. – Jaki tytuł nosiła książka?

– Nazywa się John Merlyn. Tytułu nie pamiętam.

– Nigdy o nim nie słyszałem. Zabawne nazwisko – odparł Gronevelt. Zastanawiał się przez chwilę, starając się wszystko przemyśleć. – To prawdziwe nazwisko?

– Tak.

Nastąpiła długa cisza, jakby Gronevelt rozważał coś usilnie, w końcu westchnął i rzekł do Cully'ego:

– Dam ci życiową szansę. Jeśli będziesz potrafił trzymać gębę na kłódkę,

to zarobisz sporo szmalu i zostaniesz szychą w tym hotelu. Lubię cię i postawię na ciebie, ale pamiętaj: jeśli zechcesz mnie wykiwać, znajdziesz się w poważnych kłopotach. Mówię serio. Czy masz pojęcie, o czym mówię?

– Tak – odparł Cully – nie mam pietra. Wie pan, że jestem szulerem. Ale mam wystarczająco dużo oleju w głowie, żeby trzymać buzię w kubek, kiedy trzeba.

– Najważniejsze to trzymać buzię na kłódkę – przytaknął Gronevelt. Kiedy to powiedział, przypomniała mu się girlsa. Buzia na kłódkę. Chyba tylko to mu pomagało.

Przez chwilę poczuł zmęczenie, siły go opuszczały: zdarzało się to ostatnio coraz częściej. Ale wiedział, że po przejściu się przez kasyno odzyska dawną energię. Jak mityczny olbrzym, czerpał swą moc z życiodajnej podłogi kasyna, zabierał ją wszystkim swoim pracownikom, wszystkim, których znał, sławnym, bogatym i potężnym, przychodzącym tylko po to, by zniszczyły ich jego kości i karty przy stole z zielonym suknem. Długo milczał i spostrzegł, że Cully obserwuje go uważnie i ze zdziwieniem. Dawał swojemu nowemu pracownikowi fory.

– Buzia na kłódkę – powtórzył. – I musisz porzucić wszystkie te tanie szulerskie sztuczki, szczególnie z panienkami. Cóż z tego, że chcą prezentów? Cóż, jeśli naciągną cię na stówę tu, tysiącza tam? Ważne, że są opłacone. Sprawa zakończona. Nie możesz być nic winny kobietom. Nic. Zawsze się rozliczaj. Jeśli nie, to znaczy, że jesteś alfonsem lub złamasem. Zapamiętaj to. Dawaj im pszczołkę.

– Sto dolców? – zapytał żartobliwe Cully. – Nie można pięciu dych? Ja nie jestem właścicielem kasyna.

Gronevelt lekko się uśmiechnął.

– Kieruj się własnym rozeznanie. Ale jeśli masz coś dawać, dawaj pszczołkę.

Cully potakująco skinął głową. Zastanawiało go, kiedy Gronevelt przejdzie do sedna sprawy. I rzeczywiście Gronevelt zmienił temat.

– Teraz moim największym problemem – powiedział – są podatki. Jak wiesz, można się wzbogacić tylko po cichu. Niektórzy właściciele dogadują się ze swoimi partnerami. Palanty. I tak w końcu federalni ich dupną. Ktoś się wygada i już mają ciepło. Aż za bardzo. To jedyna rzecz, jakiej nie znoszę. Prawdziwe pieniądze są tam, gdzie jest „skubanie”... I tutaj właśnie możesz pomóc.

– Czy będę pracował przy liczeniu? – zapytał Cully. Gronevelt niecierpliwie potrząsnął głową.

– Będziesz tasował – odparł. – Przynajmniej na razie. Jeśli sobie poradzisz, zostaniesz moim osobistym asystentem. Obiecuję ci to. Ale musisz się sprawdzić. Pod każdym względem. Czy to, co mówię, jest jasne?

– Jasne – odparł Cully. – Ryzyko?

– Tylko z twojej strony – odparł Gronevelt. I nagle zaczął patrzeć na Cully’ego znacząco, jakby chciał, żeby ten bez słów pojął, o co mu chodziło.

Cully spojrzał mu prosto w oczy i ujrzał, że twarz Gronevelta przyjmuje wyraz znużenia i niesmaku. Nagle Cully zrozumiał. Jeśliby się nie sprawdził, jeśliby skrewił, to ma przed sobą perspektywę cichego pogrzebu na pustyni. Wiedział, że Gronevelt tego nie lubi. I wtedy poczuł dziwną więź z tym człowiekiem. Chciał go uspokoić.

– Niech się pan nie martwi, panie Gronevelt – powiedział – nie skrewię. Doceniam to, co pan dla mnie robi. Nie zawiodę pana.

Gronevelt wolno pokiwał głową. Odwrócony tyłem do Cully’ego, wyglądał przez wielkie okno na pustynię i ciemne góry.

– Słowa nic nie znaczą – rzekł. – Liczę na twój rozsądek. Przyjdź do mnie jutro w południe, a wszystko ci wyłożę. I jeszcze jedno.

Cully zmusił się do okazania zainteresowania.

– Wypierdol tę pieprzoną kurtkę, którą zawsze nosiliście, ty i twoi kołesie. To gówno Zwycięzcy z Vegas. Nie wiesz nawet, jak wkurzaliście mnie, paradyjąc po moim kasynie w tych szmatach. I to jest pierwsza rzecz, o której mi przypomniałeś. Powiedz temu pieprzonemu sklepikarzowi, żeby nie zamałwiał więcej tego gówna.

– Dobrze – odparł Cully.

– Wypijmy jeszcze jednego, a potem możesz iść – zaproponował Gronevelt. – Muszę zajrzeć do kasyna za chwilkę.

Nalali sobie i Gronevelt stuknął szklanką o szklankę Cully’ego jakby dla uczczenia nowo zawartej znajomości. Ośmieliło go to i zapytał o Cheecha.

Gronevelt smutno potrząsnął głową.

– Mógłbym równie dobrze podać ci fakty z życia miasta. Wiesz, że Cheech przebywa w szpitalu. Oficjalnie potracił go samochód. Wyzdrowieje, ale nie ujrysz go więcej w Vegas przed powołaniem nowego szefa policji.

– Myślałem, że Cheech ma znajomych – zdziwił się Cully.

Łyknął szkockiej. Był bardzo czujny. Chciał wiedzieć, jak się załatwia

sprawy na poziomie Gronevelta.

– Ma potężnych znajomych na wschodzie – odparł Gronevelt. – Chcieli, żebym pomógł mu wydostać się z Vegas. Powiedziałem im, że nie mam wyboru.

– Nie kapuję – dziwił się Cully. – Pan ma większe wtyki niż szef policji.

Gronevelt oparł się i pił wolno. Jako starszy i mądrzejszy zawsze lubił pouczać młodszych. I teraz tak było, choć wiedział, że Cully mu schlebia i zna odpowiedzi na te pytania.

– Zawsze możemy sobie poradzić z rządem federalnym, od tego mamy prawników, sędziów i polityków. Tak czy inaczej potrafimy załatwić swoje sprawy z gubernatorem czy Komisją do spraw Hazardu. To my trzymamy w garści to miasto. Mogę podnieść słuchawkę i kazać wyrzucić stąd każdego. Budujemy obraz Vegas – całkowicie bezpiecznego miasta dla graczy. Nie możemy tego zrobić bez policji. Aby policja spełniała swoje zadania, musimy im na to pozwolić. Szef policji musi być zadowolony. Musi też być twardej z zasadami. Nie może pozwolić, by żuł taki jak Cheech walnął jego bratanka i żeby mu się upiekło. Musi połamać mu gnaty. I musimy mu na to pozwolić. Ja. Cheech. Ludzie z Nowego Jorku muszą mu na to pozwolić. To niewygórowana cena.

– Szeryf jest tak potężny? – zapytał Cully.

– Musi być – odparł Gronevelt. – Tylko w ten sposób to miasto będzie funkcjonowało. Jest bystrym facetem, dobrym politykiem. Będzie deputowanym przez następne dziesięć lat.

– Dlaczego akurat dziesięć? – zapytał Cully.

Gronevelt uśmiechnął się.

– Potem będzie zbyt bogaty, żeby pracować. A to bardzo ciężka praca.

Gdy został sam, Gronevelt zebrał się do zejścia do kasyna. Była prawie druga w nocy. Zadzwoił do służby technicznej i polecił im pompować do kasyna czysty tlen, żeby uchronić graczy przed sennością. Postanowił zmienić koszulę. Z niewyjaśnionego powodu podczas rozmowy z Cullym stała się lepka i przepocona. Kiedy ją zmieniał, myślał o Cullym.

Zdawało mu się, że rozszyfrował tego faceta. Cully myślał, że incydent z Jordanem będzie działał na jego niekorzyść. Wprost przeciwnie. Gronevelt był zachwycony, kiedy Cully nie odstąpił Jordana przy stole do bakarata. Do-

wodziło to, że Cully nie był tanim, miernym szulerem, nie był jednym z tych słabych, lipnych tandeciarzy. Dowiódł, że jest wielkim Szu z sercem jak tramwaj.

Gronevelt przez całe życie był uczciwym szulerem. Wiedział, że prawdziwy szuler to taki, który oszuka cię raz, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć razy i wciąż będzie uważany za przyjaciela. Jednonumerowy szuler był zwykłym cieniasem, amatorem, trwonicielem własnego talentu. I Gronevelt rozumiał, że prawdziwy szuler musi mieć w sobie iskrę człowieczeństwa, znać uczucia współbraci, ba, nawet współczuć. Prawdziwy szuler musi być hojny, pomocny, musi być dobrym przyjacielem. Ta pozorna sprzeczność to cechy prawdziwego szulera. I wszystkie miały służyć jednemu celowi. Jako przyjaciel obdzierał kogoś ze skóry, aby zapewnić sobie rzeczy niezbędne w życiu. I nie było to takie proste. Czasami chodziło o pieniądze. Czasami o osiągnięcie władzy lub zdobycie środków do niej prowadzących. Oczywiście szuler powinien być bystry i bezkompromisowy, ale jeśli był bezbarwny, mierny, jeśli nie miał serca – był nikim. Cully miał serce. Ukazał je całemu światu, kiedy zdradzając Gronevelta, stanął obok Jordana przy stole do bakarata.

Gronevelt nie wiedział tylko jednego: czy Cully był szczery, czy sprytny? Wyczuł, że jest bardzo inteligentny. Tak inteligentny, że Gronevelt nie będzie musiał go na razie sprawdzać. Przez najbliższe lata Cully będzie absolutnie wierny i uczciwy. Wiedział, że uszczknie sobie swoje małe co nieco jako zapłatę za dobrze wykonaną pracę. Ale nic więcej. Tak, przez kilka najbliższych lat Cully będzie jego prawą ręką. Ale później podda się go ostrej kontroli, niezależnie od tego, jak bardzo będzie starał się okazać lojalność, wierność i uczciwość, a nawet prawdziwe uczucie swemu panu. To będzie największa pułapka. Prawdziwy szuler, taki jak Cully, zdradzi go we właściwym czasie. Gronevelt wiedział o tym i wiedział też, jak trudno będzie mu się z tym pogodzić.

# **Księga III**

# Rozdział 11

Ojciec Valerie załatwił, że nie wylali mnie z pracy. Podobno wzięłem urlop i byłem chory, nawet mi za ten okres zapłacono. Ale kiedy wróciłem, major, mój szef, był lekko wkurwiony. Nie przejąłem się tym. Jeśli pracujesz w administracji Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie jesteś ambitny i nic sobie nie robisz z małego poniżenia, twój szef nie ma nad tobą żadnej władzy.

Pracowałem jako urzędnik jednostek rezerwy GS-6. Ponieważ jednostki spotykały się tylko raz w tygodniu na treningach, byłem odpowiedzialny za całą pracę administracyjną trzech przypisanych mi jednostek. Była to błyskawiczna, prosta jak drut praca. Miałem sześciuset facetów, których musiałem umieszczać na liście płac, powielać im instrukcje na kopiarce i tym podobne gównu. Musiałem sprawdzać papierkową robotę innych. Na porannych odprawach składali raporty, rozkazy awansu i przygotowane wcześniej podziały zajęć. Nie było tak dużo pracy, jakby mogło się to wydawać, z wyjątkiem lata, kiedy wyjeżdżali na dwutygodniowe obozy szkoleniowe. Wtedy było co robić.

Pracowałem w miłym biurze. Był tam jeszcze jeden cywil, Frank Alcore, który był starszy ode mnie i aż do rozpoczęcia pracy w administracji należał do rezerwy. Frank z niepodważalną logiką namawiał mnie, bym został oszustem. Pracowałem z nim przez dwa lata, nie wiedząc, że zgarnia swoją dolę. Dowiedziałem się o tym dopiero po powrocie z Vegas.

Rezerwa armii Stanów Zjednoczonych była niezłym korytem. Przychodząc tylko na dwie godziny w tygodniu, dostawało się pełną dniówkę. Oficerowie powyżej dwudziestu dolców. Żołnierze wyżsi rangą i stażem ponad dziesięć. Plus prawo do emerytury. I w ciągu tych dwóch godzin chodziło się na wykład albo zasypiało na filmie.

Większość pracowników cywilnych administracji wstąpiła do rezerwy ar-



mii. Z wyjątkiem mnie. Mój magiczny kapelusz ochronił kolejnego frajera. Mogła wybuchnąć następna wojna i wtedy rezerwa jako pierwsza stanie się częścią regularnej armii.

Wszyscy myśleli, że zwariowałem. Frank Alcore błagał mnie, żebym się zapisał. Byłem szeregowym przez trzy lata drugiej wojny światowej, ale powiedział mi, że załatwi mi starszego majora za doświadczenie w pracy administracyjnej. Miodzio – patriotyczny obowiązek i podwójna pensja. Ale nie nawidziłem myśli o wykonywaniu rozkazów, nawet jeśli miałyby to być tylko przez dwie godziny tygodniowo i dwa tygodnie latem. Jako robot musiałem słuchać poleceń przełożonych. Istnieje jednak wielka różnica pomiędzy poleceniami i rozkazami.

Każdego dnia, kiedy czytałem gazetowe raporty o doskonale wyszkolonej rezerwie, kręciłem głową. Ponad milion ludzi po prostu się opierdalało. Zastanawiałem się, dlaczego jeszcze ich nie rozpuścili. Chociaż właściwie nic dziwnego: wiele miasteczek żyło z pieniędzy rezerwy. Wielu polityków z administracji rządowej czy Kongresu było wysokiej rangi oficerami rezerwy i tworzyło zgraną paczkę.

I wtedy zdarzyło się coś, co odmieniło moje życie. Co prawda na krótko, ale na lepsze pod względem psychologicznym i ekonomicznym. Zostałem przestępcą. Dzięki militarnym strukturom Stanów Zjednoczonych.

Wkrótce po moim powrocie z Vegas młodzi Amerykanie uświadomili sobie, że zaciągnięcie się na nowy sześciomiesięczny pobór zapewni im osiemnaście miesięcy wolności. Młody człowiek zgłaszał się na ochotnika na sześć miesięcy służby w wojsku w Stanach i odrabiał swoje przez pięć i pół roku w rezerwie. Oznaczało to dwie godziny tygodniowo zajęć plus dwa tygodnie obozu letniego. Jeśli został potem wciągnięty na listę poborowych, musiał odsłużyć pełne dwa lata, może nawet w Korei.

Ale nie było tylu miejsc. Setki chłopców składało podania i Waszyngton musiał wprowadzić limit miejsc i określone normy. Jednostki, którymi ja kierowałem, otrzymały normę trzydziestu osób na miesiąc. Kto pierwszy, ten lepszy.

W końcu miałem listę z około tysiącem nazwisk. Kontrolowałem listę i robiłem to uczciwie. Oficjalną władzę mieli moi szefowie – major służby czynnej i pułkownik rezerwy. Czasami przesuwali jakichś protegowanych na sam szczyt tej listy. Kiedy kazali mi to robić, nigdy nie oponowałem. Miałem to w dupie. Pracowałem nad następną książką. Czas, który poświęcałem na pra-

cę, ograniczał się tylko do odebrania wypłaty.

Zaczęło się robić gorąco. Powoływano coraz więcej poborowych. Na horyzoncie majaczyły Kuba i Wietnam. Wtedy zauważyłem, że coś tu śmierdzi. A musiało bardzo śmierdzieć, skoro zauważyłem to mimo kompletnego braku zainteresowania tym, co robię.

Frank Alcore był starszy ode mnie, miał żonę i dwójkę dzieci. Zajmowaliśmy te same stanowiska. On miał swoje jednostki i ja także miałem swoje. Zarabialiśmy tyle samo pieniędzy, coś około stu dolców tygodniowo. Ale on był rezerwistą w stopniu sierżanta i zarabiał dodatkowo patyka rocznie. A jednak przyjeżdżał do pracy nowym buickiem i parkował w pobliskim garażu, gdzie miejsce kosztowało trzy dolce dziennie. Obstawiał wszystkie rozgrywki piłki nożnej, koszykówki i baseballu, a ja wiedziałem, ile to kosztuje. Zastanawiałem się, kto daje mu cynk. Zagadnąłem go o to niby od niechcenia; mrugnął i powiedział, że ma swoje sposoby. Wykańczał swoich bukmacherów. Cóż, jego cyrk, jego mały – wiedziałem, że łyże jak pies. Wtedy pewnego dnia zabrał mnie na lunch do dobrej włoskiej knajpy na Dziewiątej Alei i ukazał swoje prawdziwe oblicze.

– Merlyn, ilu facetów wciążasz miesięcznie na listę? – zagadnął podczas kawy. – Jaką normę dostajesz z Waszyngtonu?

– Ostatnio trzydziestu – odparłem. – Od dwudziestu pięciu do czterdziestu, zależnie od strat.

– Te pierwsze miejsca to kupa forsy – powiedział Frank. – Można by zgarnąć niezłą sumkę.

Nie odpowiedziałem. Mówił dalej.

– Pozwól mi wykorzystać tylko pięć z twoich miejsc w miesiącu. Dam ci za każde sto dolców.

Kusząca propozycja. Pięćset dolców podwajało moje miesięczne wpływy. Ale potrząsnąłem głową i powiedziałem mu, żeby o tym zapomniał. Miałem na tyle charakteru. Nie zrobiłem nic nieuczciwego przez całe swoje dorosłe życie. Pospolite łapówkarstwo nie leżało w mojej naturze. W końcu byłem artystą. Wielkim pisarzem czekającym na sławę. Być nieuczciwym oznaczało być łajdakiem. Zamuliłbym narcystyczny obraz samego siebie. Nie było dla mnie ważne, że żona i dzieci żyją na skraju nędzy. Nie było ważne, że musiałem brać dodatkowe prace, aby związać koniec z końcem. Byłem bohaterem z urodzenia. Chociaż zastanowiło mnie, dlaczego ludzie płacą za dostanie się do armii.

Frank nie rezygnował.

– Niczym nie ryzykujesz – powiedział. – Te listy można sfalszować. Nie ma oryginału w sejfie. Nie musiałbyś brać forsy ani załatwiać interesów. Ja się tym zajmę. Ty tylko ich wciągniesz na listę. Wtedy forsa z rączki do rączki.

Cóż, jeśli dawał mi sto, musiał dostawać dwieście. Sam miał piętnaście miejsc, co dawało trzy patyki miesięcznie. Tylko nie zdawałem sobie sprawy, że nie mógł ich sam wykorzystywać. Oficerowie też mieli swoich pupilków. Politycy, kongresmani, senatorzy USA wysyłali dzieci do znajomych, aby uniknęły poboru. Zabierali chlebuś Frankowi, a on był słusznie wkurwiony. Mógł opchnąć tylko pięć miejsc w miesiącu. Ale i tak patyk miesięcznie wolny od podatku. Odmówiłem.

Zawsze można znaleźć tysiąc wymówek usprawiedliwiających rozpoczęcie działalności przestępczej. Uważałem siebie za człowieka honorowego, nigdy nie kłamałem ani nie oszukiwałem. Nie zrobiłbym niczego na lewo dla pieniędzy. Pomyślałem, że jestem jak mój brat, Artie. Ale Artie był uczciwy do szpiku kości. Nie wyobrażałem sobie, by mógł zostać przestępcą. Wielokrotnie opowiadał mi o tym, jak go naciskają w pracy. Jako chemik testujący nowe leki dla Federalnego Laboratorium Kontroli Żywności miał nieograniczone możliwości. Zarabiał nieźle. Kiedy przeprowadzał badania, często dyskwalifikował leki, które wcześniej przeszły pomyślnie testy. Nieraz firmy farmaceutyczne wysuwały korzystne oferty. Gdyby był trochę bardziej elastyczny, mógłby ruszyć z posad bryłę świata. Artie spławiał ich. I w końcu jeden z leków, który odrzucił, został przyjęty za jego plecami. Rok później na skutek działania toksycznych substancji kilku pacjentów zmarło i lek został wycofany. Cała historia dostała się do prasy i Artie był przez chwilę bohaterem. Nawet dostał awans. Ale dano mu do zrozumienia, że nie pójdzie wyżej. Że nigdy nie zostanie szefem z powodu braku zrozumienia wymogów politycznych swojej pracy. Nic go to nie obeszło i byłem z niego dumny.

Chciałem żyć uczciwym życiem, które było moim wielkim zmartwieniem. Szczyciłem się tym, że jestem realistą, dlatego nigdy nie miałem ambicji być doskonałym. Ale kiedy zrobiłem coś gównianego, miałem moralniaka i zwykle już tego nie robiłem. Niestety, często byłem sobą zawiedziony, ponieważ liczba gównianych rzeczy do roboty była tak wielka, że aż mnie to zaskakiwało.

Musiałem teraz przyswoić sobie myśl o zostaniu przestępcą. Chciałem być

uczciwy, ponieważ lepiej się czułem, mówiąc prawdę niż kłamiąc. Łatwiej mi było być niewinnym, niż mieć coś na sumieniu. Już to kiedyś przemyślałem. Moje pragnienie było czysto pragmatyczne, a nie romantyczne. Gdybym lepiej się czuł jako kłamca i złodziej, na pewno bym nim został. I dlatego byłem tak tolerancyjny wobec tych ludzi. To, jak myślałem, ich *métier*, niekoniecznie wybór moralny. Twierdziłem, że morale nie ma z tym nic wspólnego. Ale w głębi serca w to nie wierzyłem. Wierzyłem, że dobro i zło są wartościami same w sobie.

Prawdę mówiąc, zawsze rywalizowałem z innymi ludźmi. I dlatego chciałem być lepszy. Satysfakcję dawał mi mój brak zachłanności czy żądzы pieniędzy, podczas gdy inni zabijali się za nimi. Pogarda dla sławy, uczciwość wobec kobiet i świadoma niewinność. Odczuwałem przyjemność na myśl, że nie jestem podejrzliwy wobec motywów działania innych ludzi i mam do nich zaufanie. Prawdą jest, że nigdy nie ufałem sobie. Honorowa postawa to jedna rzecz, a lekkomyślność – druga.

Wolałem raczej zostać oszukanym, niż oszukać innego; wolałem zostać zdradzony, niż być zdrajcą; ochoczo przyjmowałem fakt, że jestem naciągany, ponieważ sam nie byłem naciągaczem. Wolałem być podrabiany, niż pisać plagiaty. I zrozumiałem, że to jest zbroja, w którą się zakułem, że nie było to godne pochwały. Świat nie mógł mnie skrzywdzić, jeśli ja nie czułem się winny. Cóż z tego, jeśli inni myśleli o mnie źle, skoro ja myślałem o sobie dobrze. Oczywiście nie zawsze tak było. Gdzieś zbroja przerdzewiała. I ja sam zrobiłem w niej kilka szpar.

A jednak... a jednak czułem, że w jakiś dziwny sposób był to najniższy rodzaj sprytu. Że moja moralność spoczywała na fundamencie z zimnego kamienia. Że po prostu nie było niczego w życiu, co potrafiłoby mnie skorumpować. Jedyne, czego pragnąłem, to stworzenia wielkiego dzieła literackiego. Ale nie dla pieniędzy, sławy czy władzy. Po prostu, aby służyć ludzkości. Ach, kiedyś będąc nastolatkiem opętany poczuciem winy i brzemieniem bezwartościowości i zmagania ze światem, natknąłem się na powieść Dostojewskiego *Bracia Karamazow*. Ta książka zmieniła moje życie. Dała mi siłę. Otworzyła mi oczy na kruche ludzkie piękno, nawet gdy kryła je nędzna zewnętrzna powłoka. Pamiętam ten dzień, kiedy skończyłem czytać, oddałem książkę do biblioteki zakładu i wyszedłem w cytrynowe słońce jesiennego dnia. Owładnęło mną uczucie łaski.

I dlatego jedynym moim pragnieniem było napisanie książki, która wy-

zwoli w czytelnikach to samo, co ja wtedy czułem. Było to dla mnie skończone doświadczenie mocy. I najczystsze. A kiedy ukazała się moja pierwsza książka, nad którą pracowałem przez pięć lat, którą wydałem z najwyższym trudem, ponieważ nie chciałem pójść na żaden artystyczny kompromis – pierwsza recenzja nazwała ją plugawą, zdegenerowaną książką, która nigdy nie powinna zostać napisana, a już na pewno nie wydana.

Książka przyniosła mi marne pieniądze. Dostałem kilka pomyślnych recenzji. Wiedziałem, że stworzyłem dzieło i w pewnym stopniu zaspokoilem swoją ambicję. Niektórzy ludzie pisali do mnie, że mógłbym być drugim Dostojewskim, ale te pocieszenia nie były w stanie zagłuszyć goryczy komercyjnej porażki.

Miałem pomysł na następną powieść, prawdziwą *Zbrodnię i karę*. Wydawca nie dał mi zaliczki. Każdy wydawca by tak postąpił. Przystałem pisać. Długi rosły, a moja rodzina żyła w nędzy. Moje dzieci nie miały tego, co ich rówieśnicy. Moja żona, za którą byłem odpowiedzialny, została pozbawiona radości płynącej z dobrobytu. Musiałem wyjechać do Vegas. I dlatego nie potrafiłem pisać. Teraz to jasne. Aby stać się artystą i dobrym człowiekiem, jakim pragnąłem być, musiałem przez jakiś czas brać łapówki. Można sobie wszystko wcisnąć.

A jednak złamanie mnie zajęło Frankowi Alcore sześć miesięcy. Frank mnie intrygował, ponieważ był wielkim graczem. Kiedy dawał żonie prezent, to zawsze było to coś takiego, co mógł oddać do komisu, kiedy potrzebował gotówki. I uwielbiałem sposób, w jaki traktował swoje konto w banku.

W soboty Frank załatwiał wszystkie rodzinne zakupy. Wszyscy okoliczni sprzedawcy znali go i dlatego bez sprzeciwu przyjmowali czeki. Kupował najlepsze kawałki cielęciny i wołowiny za co najmniej czterdzieści dolarów. Dawał rzeźnikowi czek na sto dolarów i inkasował sześćdziesiąt dolarów reszty w gotówce. Ten sam numer w spożywczym i warzywniaku. Nawet w monopolowym. W sobotnie południe miał już około dwustu dolarów reszty, którą stawiał na drużyny baseballowe. Nigdy nie miał centa na koncie. Jeśli przegrywał w sobotę, dostawał kredyt u swojego bukmachera i w niedzielę podwajał stawkę. Jeśli wygrał, pędził w poniedziałek rano do banku, by pokryć czeki. Jeśli przegrał, zaciągał pożyczkę w banku. W tygodniu pobierał łapówki za młodych rekrutów i regulował płatności.

Frank zabierał mnie na wieczorne ubawy, płacąc za wszystko łącznie z hot dogami. Był hojny i kiedy sięgałem po pieniądze, protestował i mawiał:

„Uczciwi faceci nie mogą pozwolić sobie na stawianie kumplom”. Zawsze dobrze się z nim czułem, nawet w pracy. Podczas przerw na lunch graliśmy w oko i zwykle ogrywałem go na kilka dolarów, nie dlatego, żebym grał lepiej, ale dlatego, że jego umysł był zajęty czym innym.

Każdy ma gotowe wytłumaczenie na złamanie swoich zasad. Prawda jest taka, że łamiesz się, jeśli jesteś do tego przygotowany.

Pewnego razu przyszedłem do biura; było tam pełno młodych ludzi gotowych zapisać się na sześciomiesięczny kurs w wojsku. Tak naprawdę to był już komplet. Na wszystkich ośmiu piętrach nie mieli ani jednego miejsca. A był to jeden z tych budynków, w których mogły się spokojnie pomieścić całe bataliony. Tylko połowa każdego piętra została przeznaczona na sale wykładowe i biura.

Moim pierwszym klientem był starszy człowiek, który przyprowadził ze sobą dwudziestojednolatka. Był prawie na końcu listy.

– Przykro mi, ale nie będziemy pana wzywać przez najbliższe sześć miesięcy – powiedziałem.

Starszy facet miał niespotykanie niebieskie oczy promieniujące mocą i pewnością siebie.

– Niech pan lepiej sprawdzi u swojego przełożonego – poradził.

W tej chwili zobaczyłem szefa dającego mi znaki przez szklane przepierzenie. Wstałem i poszedłem do jego biura. Major brał udział w wojnie koreańskiej i drugiej wojnie światowej, jego pierś zdobiły liczne baretki, ale teraz pocił się i denerwował.

– Niech pan posłucha – rzekłem – ten facet chciał, żebym z panem porozmawiał. Chce, żeby jego dzieciak znalazł się na początku listy. Powiedziałem mu, że nie jestem w stanie niczego zrobić.

– Zrób wszystko, co chce. Ten facet jest kongresmanem – odparł gniewnie major.

– A co z listą?

– Pierdol ją.

Wróciłem do biurka, przy którym siedział kongresman ze swoim protegowanym. Zacząłem przerabiać formularze. Teraz skojarzyłem nazwisko tego chłopaka. Kiedyś będzie warte setki milionów dolarów. Historia jego rodziny to nieprzerwane pasmo sukcesów w historii Ameryki. I oto siedział przede mną, zapisując się na sześciomiesięczny kurs militarny, aby uniknąć dwóch lat pełnej służby.

Kongresman zachowywał się nienagannie. Nie zadzierał nosa, nie naciskał i nie dawał odczuć, że swoją władzą zmusił mnie do postępowania wbrew regułom. Mówił cicho, spokojnie, przyjacielskim tonem. Podobało mi się to. Sprawił, że poczułem, jakbym to ja robił mu uprzejmość, i wspomniał, że jeśli kiedykolwiek czegokolwiek potrzebował, wystarczy zadzwonić do jego biura. Dzieciak trzymał buzię na kłódkę, odpowiadał tylko na pytania potrzebne do kwestionariusza.

Ale ja byłem nieco wkurwiony. Nie wiedziałem dlaczego. Nie miałem moralnych sprzeciwów wobec nadużyć władzy. Po prostu poczułem się, jakby wtargnięto na moje terytorium, i nie mogłem sobie z tym poradzić. A może chodziło o to, że dzieciak był tak kurewsko bogaty, dlaczego więc nie miałyby odsłużyć tych dwóch lat w wojsku?

Zrobiłem im też pewne świństwo, o którym nie mogli wiedzieć. Dałem chłopakowi paskudny WPP. WPP to Wojskowy Przydział Pracy. Fach, w którym będzie się szkolił podczas kursu. Zapisalem go do jednej z niewielu jednostek elektroników. Było prawie pewne, że dzieciak zostanie powołany jako jeden z pierwszych w czasie zagrożenia. Nie było to znowu takie świństwo, ale co, do diabła.

Major zaprzysiął chłopaka. Słowa przysięgi mówiły o tym, że nie należy się do partii komunistycznej ani żadnego z jej odłamów. Potem wszyscy uścisknęli sobie ręce. Chłopak panował nad sobą aż do chwili, kiedy wychodzili z mojego biura. Wtedy posłał kongresmanowi skryty uśmiech.

Był to uśmiech bachora, któremu udało się zrobić coś na przekór rodzicom czy innym dorosłym. Niemiły uśmiech. A nawet więcej niż niemiły. Wiedziałem, że nie jest złym chłopakiem, ale jego uśmiech pozbawił mnie wyrzutów sumienia z powodu tego fortelu z WPP.

Frank Alcore obserwował całe to wydarzenie zza swojego biurka. Nie marnował sposobności.

– Jak długo jeszcze masz zamiar być palantem? – zapytał. – Kongresman wyciągnął ci z kieszeni kilka setek. A Bóg wie, co on z tego ma. Tysiące. Gdyby dzieciak przyszedł prosto do nas, niańczyłbym go za jedyne pięćset.

Był szczerze wkurzony, rozśmieszyło mnie to.

– Nie bierzesz życia za poważnie – rzekł. – Trafiałaby ci się wielka forsa, rozwiązałybyś swoje problemy, gdybyś tylko chciał słuchać mądrych rad.

– To nie dla mnie – odparłem.

– Dobra, dobra – powiedział Frank. – Ale musisz zrobić coś dla mnie. Po-

trzebuję na gwałt wolnego miejsca na liście. Widziałeś tego rudego dzieciaka? Daje pięć stówek. W każdej chwili oczekuje wezwania. Raz dostał od nas odmowę na pół roku. Że to wbrew procedurze. A więc muszę go dzisiaj wciągnąć na listę. A nie mam już wolnych miejsc. Wciągniemy go na twoją listę i podzielimy się dołą po połowie. Tylko ten jeden raz.

Brzmiało to desperacko, dlatego odparłem:

– Dobra, przyślij go do mnie. Ale zatrzymaj sobie pieniądze. Nie potrzebuję ich.

– Dzięki. Zatrzymam twoją dołę. Na wypadek gdybyś zmienił zdanie.

Tego wieczoru, gdy wróciłem do domu, Valerie podała mi kolację, a potem bawiłem się trochę z dziećmi. Gdy poszły spać, powiedziała, że potrzebuje stu dolarów na wielkanocne ubranka i buty dla dzieci. Nie wspomniała nic o ubraniu dla siebie, pomimo że tak jak dla wszystkich katolików kupowanie nowego ubrania przed Wielkanocą było dla niej niemal religijną powinnością.

Następnego dnia rano wszedłem do biura i powiedziałem Frankowi:

– Słuchaj, zmieniłem zdanie. Chcę moją połowę.

Frank poklepał mnie po ramieniu.

– Mądry chłopiec – powiedział. Zaprowadził mnie do męskiej toalety, odliczył pięć pięćdziesięciodolarowych banknotów i podał mi je. – Będę miał następnego klienta przed końcem tygodnia. – Nic nie odpowiedziałem.

Był to jedyny raz w życiu, kiedy zrobiłem coś naprawdę nieuczciwego. I nie czułem się wcale podle. Ku memu zdziwieniu, czułem się wspaniale. Byłem radosny jak wszyscy diabli i kiedy wracałem do domu, kupiłem prezenty dla żony i dzieci. Gdy dałem Valerie sto dolarów na ubranka dla dzieci, widziałem, że kamień spada jej z serca. Nie będzie musiała prosić ojca o pieniądze. Tej nocy spałem wspaniale, jak już dawno mi się to nie zdarzyło.

Po jakimś czasie sam wszedłem w interes, bez Franka. Zaczęła się zmieniać cała moja osobowość. Życie przestępcy było fascynujące, wyzwoliło we mnie najlepsze cechy. Przestałem grać i przestałem pisać. Po prostu kompletnie straciłem zainteresowanie dla powieści, nad którą pracowałem.

Zacząłem studiować grube kodeksy armii, szukając luk prawnych, pozwalających ofiarom poboru na uniknięcie służby. Po pierwsze: dowiedziałem się, że kryteria medyczne były arbitralnie zawyżane lub zaniżane. Dzieciak, który został odrzucony przez komisję lekarską i uniknął poboru, mógł zostać powołany za pół roku. Wszystko zależało od normy zaciągu ustalanej przez



Waszyngton. Mogło to nawet zależeć od stanu budżetu. Była też klauzula mówiąca o niezdolności do służby poborowych po terapii wstrząsowej. Także homoseksualiści nie podlegali poborowi. Jeśli poborowy wykonywał jakąś techniczną pracę w prywatnej fabryce, jego kwalifikacje były zbyt cenne, aby mógł zostać żołnierzem.

Wtedy zacząłem obserwować swoich klientów. Byli przeważnie w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Najpewniejsi mieli pomiędzy dwadzieścia dwa i dwadzieścia trzy, świeżo po studiach, spanikowani perspektywą zmarnowania dwóch lat w wojsku. Szaleli z chęci zapisania się na sześciomiesięczny kurs rezerwy.

Wszyscy ci chłopcy mieli pieniądze lub pochodzili z rodzin, które je miały. Wszyscy uczyli się, aby mieć kiedyś dobrą pracę. Pewnego dnia będą należeć do wyższej klasy średniej, do ludzi bogatych, przodujących w różnych dziedzinach. W czasie wojny walczyliby o miejsca w szkole podoficerskiej. Teraz pragnęli zostać piekarzami, specjalistami od napraw munduru czy mechanikami samochodowymi. Jeden z nich, dwudziestopięcioletek, pracował na giełdzie nowojorskiej; inny był specjalistą od spraw bezpieczeństwa. W tym czasie Wall Street ożywała nowymi towarami, które od razu skakały o dziesięć oczek w górę, i te dzieciaki się bogaciły. Przepływały pieniądze. Oni płacili mnie, ja płaciłem Artiemu, któremu byłem winien kilka patyków. Był zdumiony i trochę zaniepokojony. Powiedziałem mu, że mam szczęście w grze. Zbyt się wstydziłem, aby powiedzieć mu prawdę; wtedy po raz pierwszy okłamałem Artiego.

Frank został moim doradcą.

– Uważaj na te dzieciaki – mawiał. – To urodzeni krętacze. Bądź twardy, a będą cię szanować.

Wzruszyłem ramionami. Nie dostrzegłem, do czego zmierzał.

– To banda pierdolonych maminsynków – powiedział. – Dlaczego nie mieliby pójść na dwa lata do woja zamiast opierdalać się w tej gównianej sześciomiesięcznej szkółce? Ty i ja walczyliśmy za kraj i gówno z tego mamy. Wszystkie te rodzinki są nadziane. Mają dobre posady, przyszłość przed nimi. I te kutasy nie chcą nawet iść do wojska.

Zdumiałem się jego wybuchem gniewu, bo przecież zawsze zachowywał się luzacko; nie było to obraźliwe słowo.

I wiedziałem, że jest szczerym patriotą, sumiennym podoficerem rezerwy. Łajdakiem był tylko jako cywil.

Przez najbliższe kilka miesięcy nie miałem najmniejszych kłopotów ze znalezieniem klienteli. Zrobiłem dwie listy: jedną oficjalną, a drugą listę łapowników. Byłem ostrożny – nie można być zbyt zachłannym. Wykorzystywałem dziesięć miejsc z oficjalnej listy i dziesięć z płatnej. Zarabiałem spokojnie swoje tysiąc dolarów miesięcznie. Po jakimś czasie zaczęli się przelicytowywać i cena osiągnęła trzysta dolarów. Czułem się winny, kiedy przychodził do mnie biedny dzieciak, a ja wiedziałem, że nie będzie w stanie przedostać się na początek przed poborem. Tak mnie to gryzło, że w końcu całkiem przestałem zważać na oficjalną listę. Dziesięciu musiało zapłacić, a innych dziesięciu szczęściarzy dostawało się za darmo.

Doświadczyłem władzy, o jakiej nawet mi się wcześniej nie śniło. Nie było to najgorsze uczucie.

Nie wiedziałem o tym, ale budowałem w ten sposób oddział oddanych sobie przyjaciół, którzy mieli później uratować moją skórę. Stosowałem też inną zasadę. Każdy artysta, pisarz, aktor czy początkujący reżyser teatralny dostawał się za darmo. Był to mój „okup”, ponieważ sam już nie pisałem – nie miałem specjalnej do tego motywacji – i czułem się winny. W zasadzie winy zbierałem równie szybko, jak pieniądze. I starałem się odkupić je w tradycyjny amerykański sposób: dobrymi uczynkami.

Frank psioczył, że brak mi instynktu biznesmena. Byłem zbyt miłym facetem, powinienem być twardszy, bo inaczej wszyscy mnie wykorzystają. Ale się mylił. Nie byłem takim miłym facetem, za jakiego on i reszta kolegów mnie uważała.

Ja po prostu patrzyłem w przyszłość. Nie trzeba było mieć wysokiego współczynnika inteligencji, aby wiedzieć, że pewnego dnia ta bomba wybuchnie. Wiedziało o tym zbyt wielu ludzi. Setki urzędników mających taką samą pracę brało łapówki. Tysiące rezerwistów wciągało się na listę tylko dlatego, że zapłacili wstępną składkę. Wciąż mnie zastanawiało, jak to się dzieje, że ludzie płacą, aby dostać się do wojska.

Pewnego dnia przyszedł do mnie mężczyzna około pięćdziesiątki ze swym synem. Był bogatym przedsiębiorcą, a jego syn początkującym prawnikiem. Ojciec miał ze sobą plik listów od polityków. Rozmawiał z majorem i – tego samego dnia – z pułkownikiem rezerwy. Rozmawiali z nim bardzo grzecznie, ale odesłali go do mnie, wykręcając się całym tym głównym z normami. Tak więc ojciec przyszedł do mnie, aby zapisać chłopaka na oficjalną listę. Nazywał się Hiller, a jego syn miał na imię Jeremy. Pan Hiller był przedsiębiorcą

samochodowym – sprzedawał cadillaki. Poleciałem synowi wypełnić kwestionariusz, a z ojcem ucieliśmy sobie pogawędkę.

Chłopak nic nie mówił, wyglądał na zakłopotanego. Pan Hiller zapytał:

– Jak długo musi odczekać na tej liście?

Usiadłem wygodniej i dałem mu wyuczoną odpowiedź:

– Pół roku.

– Przedtem zostanie wcielony do wojska! – wykrzyknął pan Hiller. – Byłbym panu wdzięczny, gdyby mógł pan to przyspieszyć.

I znów powtórzyłem wyuczoną kwestię:

– Jestem tylko urzędnikiem. Jedynymi ludźmi, którzy mogą cokolwiek zrobić, są oficerowie, z którymi już pan rozmawiał. A może powinien pan porozmawiać ze swoim kongresmanem.

Posłał mi długie, wściekłe spojrzenie i wyciągnął swoją wizytówkę.

– Jeśli będzie pan kupować samochód, proszę przyjść do mnie. Sprzedam go panu po kosztach własnych.

Spojrzałem na wizytówkę i zaśmiałem się.

– Dzień, w którym będę sobie mógł pozwolić na cadillaca – powiedziałem – będzie ostatnim dniem pracy tutaj.

Pan Hiller posłał mi miły, przyjacielski uśmiech.

– Tak właśnie myślałem. Ale jeśli mi pan pomoże, będę bardzo zobowiązany.

Następnego dnia dostałem telefon od pana Hillera. Przesłodzonym tonem pytał o moje zdrowie i poczynił kilka uwag na temat pogody. I wtedy powiedział, że był zaskoczony moją uczynnością, tak rzadko spotykaną u urzędników państwowych. Tak był zaskoczony i przepełniony wdzięcznością, że kiedy dowiedział się o rocznym dodge’u na sprzedaż, kupił go i chce mi sprzedać po cenie zakupu. I czy nie zechciałbym się z nim spotkać w tej sprawie na lunchu.

Powiedziałem panu Hillerowi, że na lunchu nie, ale mogę go odwiedzić po drodze z pracy w jego stacji sprzedaży. Stacja znajdowała się w Roslyn na Long Island i była oddalona o jakieś pół godziny od mojego osiedla w Bronksie. Kiedy tam dotarłem, wciąż świeciło się światło. Zaparkowałem swój samochód i szedłem wzdłuż rzędów cadillaców zzerany drobnomieszczańską zawiścią. Cadillaki były piękne, długie, błyszczące i ciężkie; niektóre błyszczące złotem, inne były kremowe, granatowe i krwistoczerwone. Zaglądałem do ich wnętrza, przyglądałem się drogim obiciom i wygodnym siedzeniom.

Nigdy nie przywiązywałem wagi do samochodów, ale w tej chwili opanowała mnie samochodowa mania.

Szedłem wzdłuż ceglanej ściany budynku i zobaczyłem jasnoniebieskiego dodge'a. Byłby to milutki samochód, gdybym wcześniej nie musiał przecho- dzić obok tysięcy pieprzonych cadillaców. Zajrzałem do środka. Wykończe- nie było staranne, ale nie wyglądało imponująco. Kurwa.

Zachowywałem się jak nuworyszowski złodziej. Coś bardzo dziwnego sta- ło się ze mną przez ostatnie kilka miesięcy. Biorąc pierwszą łapówkę, byłem nieszczęśliwy. Myślałem, że stracę dla siebie szacunek, ponieważ zawsze szczyliłem się swoją prawdomównością. Dlaczego więc podobała mi się rola oślizłego, nędznego łapownika i oszusta?

Prawda była taka, że czułem się szczęśliwy, ponieważ zdradziłem społe- czeństwo. Uwielbiałem brać pieniądze, zdradzając zaufanie rządu, który da- wał mi pracę. Uwielbiałem robić w jajo chłopaczków, którzy przychodzili do mnie. Oszukiwałem i kombinowałem, kwitując kolejne sukcesy pełnym za- dowolenia cmoknięciem. Nocami, leżąc w łóżku, obmyślałem nowe sposoby na wyciągnięcie pieniędzy, i zastanawiałem się nad zmianą, jaka we mnie za- szła. Doszedłem do wniosku, że jest to zemsta za odrzucenie mnie jako pisa- rza i rekompensata za bezwartościowe dziedzictwo sieroty. Za mój komple- tny brak sukcesu. I za moją kompletną nieprzydatność. I w końcu odniosłem sukces – potrafiłem doskonale zapewnić godne życie mojej żonie i dzieciom.

I dziwna sprawa: stałem się lepszym mężem. Pomagałem dzieciom odra- biać zadania domowe. Teraz, kiedy przestałem pisać, miałem więcej czasu dla Valerie. Chodziliśmy do kina. Stać mnie było na wynajęcie opiekunki do dzieci. Kupowałem żonie prezenty. Dostałem nawet kilka ofert z gazet, ale odrzuciłem je wszystkie. Powiedziałem żonie, że mam tę gotówkę za pracę w gazecie.

Byłem szczęśliwym złodziejem, ale w głębi duszy czułem, że kiedyś musi nadejść dzień rozrachunku. Dlatego porzuciłem myśli o kupieniu cadillaca i zdecydowałem się na błękitnego dodge'a.

Pan Hiller miał duże biuro, a w nim portret żony i dzieci na biurku. Nie było już sekretarki i, szczerze mówiąc, liczyłem na to, że pozbędzie się jej przed spotkaniem ze mną. Lubiłem interesy z inteligentnymi ludźmi. Bałem się głupców.

Pan Hiller wskazał mi fotel i poczęstował cygarem. Jeszcze raz zapytał o moje zdrowie. Wtedy przeszedł do rzeczy.

– Widział pan tego błękitnego dodge’a? Ładny wóz. Sprzedam go panu okazyjnie. Czym pan teraz jeździ?

– Fordem rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty – odparłem.

– Niech to będzie taka zamiana – powiedział pan Hiller. – Może pan mieć ten samochód za pięćset dolarów i pańskiego forda.

Starąłem się zachować spokój. Wyjąłem pięćset dolarów z portfela i powiedziałem:

– Załatwione.

Pan Hiller wyglądał na zdziwionego.

– Pomoże pan mojemu synowi, rozumie pan? – Naprawdę się martwił, czy załapałem.

I znowu byłem zdumiony, jak lubiłem takie transakcyjki. Wiedziałem, że mogę go przycisnąć. Mogę mieć tego dodge’a, jedynie zostawiając swój samochód. Zarabiałem na tej transakcji przynajmniej tysiąc dolarów, nawet wpłacając te pięćset. Ale nie wierzyłem w łobuzów dających zniżki. Po prostu miałem coś w sobie z Robin Hooda. Wciąż uważałem się za faceta odbierającego bogatym, dającego im tylko to, co im się należało. Ale to, co sprawiło mi największą radość, to wyraz jego twarzy – facet martwił się, czy dotarło do mnie, że samochód jest łapówką. Dlatego powiedziałem bardzo spokojnie, bez uśmiechu i oficjalnie:

– Pański syn zostanie wciągnięty na listę sześciomiesięcznego kursu w ciągu tygodnia.

Ulga i szacunek dla mnie rozjaśnił twarz pana Hillera.

– Dzisiaj załatwimy wszelkie formalności i osobiście zajmę się tablicami rejestracyjnymi – powiedział. Pochylił się nade mną i uścisnął mi rękę. – Wiele o panu słyszałem! Wszyscy mówią o panu w samych superlatywach.

Byłem zadowolony. Oczywiście wiedziałem, co to oznaczało. To, że miałem reputację uczciwego przestępcy. Cóż, było to coś. Osiągnięcie.

Kiedy urzędnicy wypełniali formularze, pan Hiller chciał uciąć sobie ze mną pogawędkę. Starął się dowiedzieć, czy działał sam, czy też pomagają mi major i pułkownik. Robienie interesów nauczyło go sprytu. Na początku prawił mi komplementy: jaki to ja jestem zmyślny, jaki bystry. Później zaczął zadawać mi pytania. Martwił się, że oficerowie mogą zapamiętać jego syna. Czy nie będą musieli go zaprzysięć? Odparłem, że będą musieli.

– Czy nie poznają go? – pytał. – Nie będą się dziwić, że tak szybko znalazł się na liście?

Miał rację, ale nie było to tak trudne do ukrycia.

– Czy ja pytałem pana o dodge’a? – zapytałem.

Pan Hiller uśmiechnął się do mnie ciepło.

– Oczywiście – powiedział. – Zna się pan na tym. Ale to mój syn. Nie chcę, żeby cierpiał za przewinienia ojca.

Zacząłem myśleć o czym innym. Pomyślałem, czy Valerie będzie zadowolona, kiedy zobaczy błękitnego dodge’a. Błękitny był jej ulubionym kolorem i szczerze nienawidziła rozklekotanego forda.

Zmusiłem się, by odpowiadać na pytania pana Hillera. Pamiętałem, że Jeremy miał długie włosy i nosił nienagannie skrojony garnitur z kamizelką i krawatem.

– Niech pan powie Jeremy’emu, żeby obciął włosy i włożył sportowe ciuchy, kiedy przyjdzie do mnie, do biura. Nie poznają go.

– Jeremy’emu się to nie spodoba.

– Wobec tego niczego nie musi robić. Nie lubię nakłaniać ludzi do rzeczy, których nie chcą. Sam się tym zajmę – powiedziałem z nutą zniecierpliwienia w głosie.

– Dobrze – odparł pan Hiller – zostawiam sprawę w pańskich rękach.

Kiedy przyjechałem do domu nowym autem, Valerie i dzieci byli tak zachwyceni, że musiałem ich zabrać na przejażdżkę. Dodge sunął jak marzenie, radio grało. Ford nie miał radia. Zatrzymaliśmy się na pizzę. Banalne to było, ale w naszym małżeństwie niezmiernie rzadkie, ponieważ musieliśmy liczyć się z każdym groszem. Po pizzy pojechaliśmy na lody, kupiłem też lalkę dla córki i gry dla chłopców, a dla Valerie czekoladki od Schraffta. Zachowywałem się jak prawdziwy luzak, wydawałem pieniądze jak księżę. Podczas jazdy śpiewałem piosenki. Kiedy położyliśmy dzieci do łóżka, Valerie kochała się ze mną, jakbym był Aga Chanem, który właśnie podarował jej brylant wielki jak Ritz.

Pamiętam dni, kiedy zastawiałem maszynę do pisania, aby kupić coś do jedzenia. Ale to było przed moją ucieczką do Vegas. Od tamtej pory fortuna się odwróciła. Żadnych dodatkowych zajęć; miałem w szafie dwadzieścia patyków ukrytych pomiędzy kartkami mojego starego maszynopisu. Był to złoty interes, mogłem zrobić fortunę, chyba żeby wybuchła bomba albo gdyby spadły wydatki na zbrojenia. Po raz pierwszy zrozumiałem, jak działa przemysł wojenny, od którego zależą losy oficerów i przemysłowców. Groźba ustabilizowanego świata wpędziłaby mnie w nędzę. Nie znaczyło to, że pragnę no-

wej wojny, ale nie mogłem powstrzymać się od śmiechu, kiedy zdałem sobie sprawę, że moje tak zwane liberalne nastawienie topniało w obliczu faktu, że Rosja i Stany Zjednoczone mogłyby nawiązać przyjacielskie stosunki.

Valerie trochę chrapała, ale nie przeszkadzało mi to. Pracowała ciężko przy dzieciach, zajmując się mną i domem. Zastanawiało mnie zawsze, dlaczego budzę się w środku nocy niezależnie od tego, jak jestem zmęczony. Valerie zawsze zasypiała przede mną. Czasami wstawałem, by popracować nad książką w kuchni, upichcić coś sobie i pójść spać około trzeciej, czwartej. Ale teraz nie pracowałem nad książką, dlatego nie miałem nic do roboty. Pomyślałem też, czy aby nie wznowić pracy: miałem czas i pieniądze. Ale prawda była taka, że byłem zbyt podniecony kręceniem, kombinowaniem i braniem łapówek i po raz pierwszy w życiu – wydawaniem pieniędzy na głupstwa.

Problemem było ukrycie tej forsy. Nie mogłem jej trzymać w domu. Pomyślałem o Artiem. On mógłby ją dla mnie przechować. Zrobiłby to, gdybym go poprosił. Ale nie byłem w stanie. On był tak nieprzyzwoicie uczciwy. Zapytałby mnie, skąd mam tę forszę, a ja musiałbym mu powiedzieć. Nigdy nie zrobił niczego nieuczciwego dla żony ani dzieci. Miał niezachwiane zasady. Zrobiłby to dla mnie, ale nie byłoby między nami jak dawniej. I tego nie byłbym w stanie znieść. Są rzeczy, których się nie robi lub nie powinno robić. Jedną z takich rzeczy było proszenie Artiego o przechowanie pieniędzy. Nie byłby to gest braterstwa ani przyjaźni.

Oczywiście są bracia, którym by się tego nie zaproponowało, ponieważ by je ukradli. Ta myśl przypominała mi Cully'ego. Zapytam go, jak najlepiej ukryć forszę. Oto moja odpowiedź. Cully będzie wiedział, to było jego *métier*. Musiałem rozwiązać ten problem. Miałem przecucie, że pieniądze będą napływać coraz szybciej.

Następnego tygodnia wciągnąłem bez najmniejszego problemu Jeremy'ego Hillera na listę, a wdzięczny pan Hiller zaproponował mi komplet nowych opon do mojego samochodu. Oczywiście myślałem, że to wdzięczność, i byłem zachwycony, że to taki miły facet. Zapomniałem, że jest biznesmenem. Kiedy mechanik montował nowe opony do mojego dodge'a, pan Hiller złożył mi kolejną propozycję.

Zaczął od uprzejmych komplementów. Z ujmującym uśmiechem mówił, jaki to ja jestem mądry, jaki uczciwy i że można na mnie polegać. Interesy ze mną to przyjemność i jeśli kiedykolwiek pomyślałbym o zmianie posady, to

on zaoferuje mi coś ekstra. Przełknąłem to wszystko, bardzo rzadko mnie w życiu chwalono, przeważnie robił to Artie i kilku krytyków literackich. Nawet nie przeczuwałem, co miało nastąpić.

– Jeden z moich przyjaciół bardzo potrzebuje pańskiej pomocy – powiedział pan Hiller. – Ma syna, który musi dostać się koniecznie na ten półroczny kurs.

– Jasne – odparłem. – Niech przyśle chłopaka i niech się powoła na pana.

– Jest pewien problem – rzekł pan Hiller. – Ten młody człowiek już otrzymał zawiadomienie o poborze.

Wzruszyłem ramionami.

– Ma chłopak pecha. Niech pan powie rodzicom, żeby go ucałowali na drogę.

Pan Hiller uśmiechnął się.

– Jest pan pewien, że tak inteligentny młody człowiek jak pan nie jest w stanie nic zaradzić? To może być warte kupę forsy. Jego ojciec to ważna figura.

– Nic się nie da – odrzekłem. – Przepisy wojskowe są jasne. Jeśli otrzyma kartę powołania do wojska, nie może być już wciągnięty na listę półrocznego programu rezerwy. Ci z Waszyngtonu nie są aż tak tępi. Inaczej każdy czekałby na kartę powołania, a dopiero potem zgłaszał się na kurs.

– Jego ojciec chciałby się z panem zobaczyć. On chce zrobić wszystko, co tylko... rozumie pan?

– Nie ma mowy. Nie jestem w stanie mu pomóc.

– Niech pan to zrobi dla mnie – powiedział. I wtedy zrozumiałem. Nawet jeśli pójde z nim się zobaczyć i powiem mu to samo, to zrobię bohatera z pana Hillera. Cóż, za cztery nowiutkie opony mogę spędzić pół godziny z tym bogatym facetem.

– Dobrze – odparłem.

Pan Hiller napisał na skrawku papieru nazwisko: Eli Hemi i numer telefonu. Poznałem to nazwisko. Eli Hemi był rekinem przemysłu odzieżowego. Miał konflikty ze związkami zawodowymi, ale za to dobre stosunki w mafii. Był także lwem salonowym. Kupował polityków, wspierał akcje charytatywne i tak dalej. Jeśli był takim rekinem, to dlaczego zwrócił się do mnie? Zapytałem o to Hillera.

– Ponieważ jest inteligentny – odpowiedział. – Jest sefardyjczykiem. Są najsprytniejsi ze wszystkich Żydów. Mają w sobie krew włoską, hiszpańską



i arabską; ta mieszanka daje ludzi bardzo inteligentnych, ale za to bezwzględnych. Eli Hemi nie chce, aby jego syn był zakładnikiem u jakiegoś polityka, który może w zamian poprosić go o dużą przysługę. Taniej i bezpieczniej jest przyjść do pana. A poza tym powiedziałem mu, jaki pan jest uczynny. Żeby być całkiem szczerym, to muszę panu powiedzieć, że jest pan jedyną osobą, która jest w stanie mu pomóc. Grube ryby nie zajmują się poborem. To za grząski grunt dla nich. Politycy boją się tego jak ognia.

Przypomniał mi się kongresman, który przyszedł do mojego biura. Musiał być to facet z jajami. A może był u kresu swojej kariery politycznej i miał wszystko w dupie. Pan Hiller obserwował mnie uważnie.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – rzekł. – Ja też jestem Żydem. Ale z sefardyjczykami należy być bardzo ostrożnym, bo można zostać wyrolowanym. Kiedy więc się pan z nim zobaczy, proszę podać jakiś termin. – Przerwał i zaniepokojony zapytał: – Pan nie jest Żydem, prawda?

– Nie wiem. – Zacząłem się zastanawiać, co myślę o sierotach. Wszyscy byliśmy dziwolągami. Nie znaleźliśmy swoich rodziców, nie martwiliśmy się, czy byli Żydami, czy czarnymi.

Następnego dnia zadzwoniłem do biura pana Hemsiego. Wszyscy ojcowie moich klientów dawali mi tylko numery do pracy, zupełnie jakbym był ich podrywka. Ale ode mnie chcieli dostać numer domowy, tak na wszelki wypadek, gdyby mieli ochotę skontaktować się ze mną o północy. Otrzymywałem niezliczone telefony, co zastanawiało moją żonę. Mówiłem jej, że to w sprawach związanych z hazardem lub pracą w gazecie.

Pan Hemi poprosił mnie o przybycie do biura w porze lunchu. Był to jeden z wielkich budynków z odzieżą na Siódmej Ulicy, jakieś dziesięć minut drogi od mojego biura. Miła przechadzka w wiosenny dzień. Spoglądałem na koleśki pchających wózki wypełnione ubraniami i pomyślałem, jak ciężko muszą pracować za nędzne grosze, podczas gdy ja zgarniałem fortunę za idiotyczną papierkową robotę. Większość z nich to byli czarni. Dlaczego, do diabła, nie „skubali klientów”, jak się o nich mówiło. O, gdyby mieli odpowiednie wykształcenie, mogliby kraść tak jak ja, nie raniąc nikogo.

W budynku recepcjonista poprowadził mnie przez sale wystawowe, w których prezentowano nowe modele na nadchodzący sezon. W końcu otworzył małe, brudne drzwi i okazało się, że za nimi znajdowało się biuro Hemsiego. Byłem bardzo zdziwiony przytulnością tego gabinetu, ponieważ cały budynek był zaniedbany. Recepcjonista przekazał mnie sekretarce, nieodpowied-

nio ubranej kobiecie w średnim wieku, która zaprowadziła mnie do sanktuarium szefa.

Pan Hemi był potężnym facetem. Gdyby nie doskonale skrojony garnitur, strojna biała koszula i ciemnoczerwony krawat, wyglądałby jak Kozak. Miał silną, pobrużdżoną twarz naznaczoną piętnem melancholii. Wyglądał niemal szlachetnie i uczciwie. Wstał zza biurka i uściśnął moją dłoń dwiema rękami na powitanie. Popatrzył mi głęboko w oczy. Był tak blisko mnie, że zobaczyłem jego skórę pod gęstymi stalowoszarymi włosami.

– Mój przyjaciel ma rację, pan ma dobre serce. Wiem, że mi pan pomoże – powiedział smutno.

– Naprawdę nie mogę pomóc. Chciałbym, ale nie mogę.

Wyjaśniłem mu też całą złożoność problemu z powołaniem, tak jak to wytłumaczyłem panu Hillerowi. Mój głos brzmiał chłodniej, niżbym sobie tego życzył. Nie lubię ludzi patrzących mi głęboko w oczy.

Usiadł i smutno pokiwał głową. Po czym tak, jakby nie słyszał ani słowa z tego, co powiedziałem, mówił do mnie melancholijnym głosem.

– Moja żona to biedna kobieta, ciągle niedomaga. Utrata syna w takiej chwili zabije ją. Żyje tylko dla niego. Dwuletnia służba ją zabije. Panie Merlyn, musi mi pan pomóc. Jeśli pan to zrobi, uszczęśliwię pana do końca życia.

Nie przekonał mnie. Nie wierzyłem w jego słowa. Ale ostatnie zdanie mnie dopadło. Tylko królowie i cesarze mogą powiedzieć: „Uszczęśliwię cię do końca życia”. Jakież miał zaufanie do swojej potęgi! Później oczywiście zrozumiałem, że mówił o pieniądzach.

– Niech mi pan pozwoli się zastanowić – odparłem. – Może coś mi wpadnie do głowy.

Pan Hemi kiwał głową, ciągle bardzo smutny.

– Wiem, że panu się uda. Wiem, że ma pan głowę na karku i dobre serce. Ma pan dzieci?

– Tak.

Pytał mnie o wszystko: ile ich mam, o wiek, płeć. Ile lat ma żona. Zachowywał się jak wujek. Wtedy poprosił mnie o adres i telefon, aby w razie potrzeby skontaktować się ze mną.

Kiedy wychodziłem, odprowadził mnie do windy. Pomyślałem, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Nie miałem żadnego pomysłu, jak wymazać nazwisko jego syna z listy werbunkowej. I pan Hemi nie mylił się – miałem dobre serce. Miałem wystarczająco dobre serce, aby nie mamicić go sukcesem

i wyciągać od niego pieniądze. Chłopak dostał kartę powołania i spędzi najbliższe dwa lata w wojsku. Matka będzie musiała nauczyć się czekać.

Następnego dnia Valerie zadzwoniła do mnie do pracy. Była bardzo podniecona. Powiedziała mi, że właśnie dostała specjalną przesyłkę złożoną z pięciu kartonów wypełnionych ubraniami. Były tam zimowe i jesienne ubranka dla dzieci – wszystkie wspaniałe. Był także karton z ubraniami dla niej. Wszystkie były zbyt drogie, jak na naszą kieszeń.

– Jest też wizytówka – powiedziała. – Pan Hemi. Kto to jest? Merlyn, one są piękne. Dlaczego nam je podarował?

– Napisałem dla niego kilka broszur reklamowych. Nie byłoby z tego wiele pieniędzy, ale obiecał, że wyśle coś mojej rodzinie. Myślałem jednak, że będzie tego kilka sztuk.

Słyszałem radość w głosie Valerie.

– To musi być porządny człowiek. Tutaj jest ciuchów za około tysiąc dolarów.

– To świetnie – rzekłem. – Porozmawiamy w domu.

Odłożyłem słuchawkę i powiedziałem Frankowi o całej sytuacji.

Frank zaczął robić mi wyrzuty.

– Jesteś na muszce – tłumaczył mi. – Ten facet teraz będzie oczekiwał, że zrobisz coś dla niego. Jak masz zamiar sobie z tym poradzić?

– Kurwa. Nie wiem, dlaczego zgodziłem się na spotkanie z nim.

– To przez te cadillaki, które widziałeś u Hillera. Jesteś jak ci kolorowi. Wracają do swoich chat w Afryce, dopiero kiedy mogą zajechać na podwórko cadillakiem.

Zauważyłem odrazę w jego głosie. Prawie powiedział „czarnuchy”, ale zmienił to na „kolorowi”. Zastanawiałem się, czy wstydził się wypowiadać te słowa, czy też bał się mnie obrazić. Co do lubiących cadillaki facetów z Harlemu zawsze zastanawiałem się, dlaczego ludzi to wkurwia. Ponieważ sami nie mogą sobie pozwolić na takie auto? Ponieważ nie chcą się zadłużać na kupno niepotrzebnej rzeczy? Ale z tymi cadillacami miał rację. Właśnie z ich powodu spełniłem prośbę Hillera i spotkałem się z Hemsim. Chyba miałem nadzieję, że nagrodą będzie jeden z tych błyszczących, luksusowych samochodów.

Tego wieczoru Valerie zrobiła na moją cześć pokaz mody. Wspomniała o pięciu kartonach, ale nie mówiła nic o ich rozmiarach. Były olbrzymie. Ona i dzieciaki miały przynajmniej po dziesięć nowych ubrań. Już dawno nie wi-

działem mojej żony tak podnieconej. Dzieciaki były zadowolone, ale w tym wieku nie przywiązywały większej wagi do ubrań, nawet moja córka. Pomyślałem, że przy odrobinie szczęścia spotkam jakiegoś producenta zabawek, którego syn będzie chciał uniknąć poboru.

Ale wtedy Valerie powiedziała, że trzeba będzie kupić nowe buty do kompletu. Zaproponowałem, żeby wstrzymała się z tym jeszcze i w pamięci zanotowałem, aby mieć oko na synów producentów obuwia.

Zastanawiające było to, że myślałem, iż pan Hemsy traktuje nas nieco z góry i rzeczy są raczej drugiego sortu. Byłby to przyjacielski gest bogacza przekazującego zużyte ciuchy biednej rodzinie. Ale był to towar pierwszej jakości, na który nie mógłbym sobie pozwolić niezależnie od tego, ile łapówek bym dostał. Warto to było przynajmniej pięć tysięcy dolarów, nie tysiąc. Spojrzałem na wizytówkę. Widniało na niej nazwisko: Hemsy i nazwa firmy z adresem i telefonem. Nie było żadnej korespondencji. Żadnej wiadomości. Pan Hemsy był bardzo sprytnym facetem. Nie zostawił po sobie żadnego śladu, dowodu wysłanej przesyłki – nie można go było o nic oskarżyć.

W biurze myślałem, że może odeślę mu to wszystko z powrotem. Ale kiedy zobaczyłem, jak szczęśliwa jest moja żona, wiedziałem, że to niemożliwe. Leżałem w łóżku do trzeciej, zastanawiając się, jak wyciągnąć z kłopotów syna pana Hemsiego.

Następnego dnia po przyjściu do biura podjąłem decyzję. Nie zrobię niczego takiego, co będzie można wytropić za rok, dwa. Byłoby to niebezpieczne. Co innego umieścić chłopaka na początku listy półrocznego programu rezerwy, a co innego wykreślić go z listy poborowych.

Najpierw zadzwoniłem do biura werbunkowego. Rozmawiałem z jednym z urzędników, facetem takim jak ja, przedstawiłem się i opowiedziałem mu zmyśloną historyjkę. Powiedziałem mu, że Paul Hemsy był na mojej liście dwa tygodnie temu, ale zawiadomienie wysłałem pod zły adres. Że to wszystko moja wina i że najprawdopodobniej będę miał kłopoty w pracy przez jego rodzinę. Poprosiłem go, żeby wycofano jego nazwisko z listy poborowych, abym mógł go umieścić na swojej. Wysłałbym wtedy oficjalne pismo zawiadamiające, że Paul Hemsy został zapisany na półroczny kurs rezerwy i mogliby go skreślić z listy głównej. Mówiąc to, starałem się używać normalnego, niezbyt lęklivego tonu. Mówiłem głosem faceta, który zrobił źle i teraz chce to naprawić. Powiedziałem mu, że jeśli mi pomoże, to postaram się umieścić dziecko jego znajomego na półrocznym kursie.

Ten ostatni chwyt wymyśliłem w nocy. Byłem pewien, że urzędnicy z biura werbunkowego, którzy spotykają się z chłopakami tuż przed poborem, mają pewnie setki błagalnych próśb od przedpoborowych chwytających się brzytwy. Pomyślałem sobie, że w takiej sytuacji miejsce na półrocznym kursie warte jest pewnie z tysiąc dolarów.

Ale facet w biurze werbunkowym był kompletnie bezinteresowny i uczynny. Myślę, że nawet nie załapał, o co mi chodziło. Powiedział, że na pewno wycofa nazwisko chłopaka i że nie ma sprawy, a mnie przyszło do głowy, że pewnie już jakiś bystrzejszy facet wykorzystywał go w ten sposób. Tak czy inaczej, na drugi dzień dostałem stosowne dokumenty z biura werbunkowego i powiadomiłem Hemsiego, żeby nazajutrz przysłał do mnie syna.

Wszystko poszło gładko. Paul Hemi był cichym, spokojnym, bardzo nieśmiałym chłopcem, tak mi się przynajmniej wydawało. Został zaprzysiężony i od tej chwili czekał na rozpoczęcie kursu. Sam wyciągnąłem jego papiery i od kiedy zaczął się kurs, w biurze werbunkowym wszelki ślad po nim zagiął. Zmieniłem go w ducha.

Wówczas już wiedziałem, że wokół zrobiło się gorąco i że w aferę zamieszane są wysoko postawione osoby. Ale nie na darmo byłem Merlynem Magiem. Włożyłem swoją czapkę w złote gwiazdy i zacząłem myśleć. Pewnego dnia wszystko się wyda. Byłem całkowicie czysty, z wyjątkiem forsy trzymanej w domu. Musiałem ją ukryć. To podstawowa sprawa. Musiałem też zorganizować sobie inny potwierdzony dochód, abym mógł otwarcie wydawać pieniądze.

Mógłbym ukryć pieniądze u Cully'ego w Las Vegas. Ale co będzie, jeśli Cully poszedł do ciupy lub został zabity? Co do legalnych pieniędzy, to miałem wiele ofert na recenzowanie książek lub prace redakcyjne, które to oferty zawsze odrzucałem. Byłem pisarzem, twórcą opowiadań. Pisanie czegoś innego wydawało mi się zbyt ponizające. Ale co tam, do diabła, w końcu byłem przestępcą i nic już nie mogło mnie poniżyć.

Frank zaprosił mnie na lunch, zgodziłem się. Frank był w doskonałej formie. Wesolutki i radosny. Miał szczęśliwy tydzień w grze i pieniądze płynęły do niego strumieniem. Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, wierzył w swoją dobrą passę i nieprzerwany dopływ forsy z łapówek. Nie uważając się za maga, wierzył jednak w baśniowy świat.

## Rozdział 12

Prawie dwa tygodnie później mój agent umówił mnie na spotkanie z sekretarzem redakcji Everyday Magazines. Była to grupa periodyków zalewająca Amerykę informacjami, pseudoinformacjami, seksem, pseudoseksem, kulturą i ludową filozofią. Filmowe ploty, mocne wrażenia dla roboli w zarękwkach, sprawozdania sportowe, komiksy o rybołówstwie i łowiectwie. Ich as, pismo o ambicjach literackich, skierowane było do bywałych w świecie kawalerów znających się na awangardowym kinie.

Istny bufet szwedzki zatrudniający wolnych strzelców zdolnych opublikować blisko pół miliona słów w miesiącu. Agent powiedział mi, że Artie szepnął słówko sekretarzowi redakcji, aby przygotować grunt.

W Everyday Magazines wszyscy wydawali się nie na swoim miejscu. Nikt nie wyglądał na zasiedziałego pracownika. A jednak czasopisma przynosiły dochód. Zabawne, jako urzędnicy państwowi tworzyliśmy zgrany zespół, każdy był zadowolony, a i tak robiliśmy parszywą robotę.

Sekretarz redakcji, Eddie Lancer, uczeszczał razem z moim bratem na wykłady na uniwersytecie w Missouri i to właśnie Artie przekazał mojemu agentowi wiadomość o tej pracy. Oczywiście, Lancer po dwóch minutach rozmowy wiedział, że się do tego kompletnie nie nadaję. I tak było naprawdę. Do diabła, nawet nie miałem pojęcia, jak wygląda praca w redakcji. Ale Lancer twierdził, że to całe szczęście. Gównu go obchodziło doświadczenie. Lancer szukał facetów dotkniętych schizofrenią.

Później powiedział mi, że miałem wysoki wskaźnik, jeśli chodzi o to kryterium.

Eddie Lancer był także pisarzem; wydał kurewsko dobrą książkę, którą zaczytywałem się rok wcześniej. Znał moją książkę, powiedział, że mu się podobała, i to też zaważyło na przyjęciu mnie do pracy. Na jego biurku leżał

wielki nagłówek wyrwany z porannego „Timesa”: NAD WALL STREET  
CIAŻY WOJNA NUKLEARNA.

Zauważył, że się temu przyglądam, i zapytał:

– Czy chcesz napisać krótki kawałek na ten temat?

– Jasne – odpowiedziałem.

I napisałem. Była to historia młodego przedsiębiorczego człowieka, lękającego się o swoje akcje w obliczu bomby atomowej spadającej na Wall Street. Nie nabijałem się z niego wprost, nie starałem się moralizować. Napisałem prosto z mostu. Jeśli ktoś podzielał obawy młodego człowieka, to on również mu się podobał. Jeśli nie, konał ze śmiechu.

Opowiadanie podobało się Lancerowi.

– Będzie z ciebie pociecha – powiedział. – Cała filozofia polega na umiejętności zadowolenia obu stron. Głupkom się to spodoba i inteligentni będą zachwyceni. – Przerwał na chwilę. – Bardzo różnisz się od swego brata.

– Tak, wiem – odparłem. – Ty też.

Lancer uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Byliśmy najlepszymi kumplami na studiach. Jest najuczciwszym facetem, jakiego spotkałem w życiu. Wiesz, kiedy poprosił mnie o rozmowę z tobą, byłem zdumiony. Po raz pierwszy w życiu prosił mnie o przysługę.

– Robi to tylko dla mnie.

– Najszczęśliwszy facet na świecie – dodał Lancer.

– To będzie jego gwóźdź do trumny – powiedziałem i obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

Lancer i ja należeliśmy do tych, którzy potrafią przetrwać. Znaczyło to, że nie mówiliśmy wszystkiego i byliśmy do pewnego stopnia szalbierzami. Naszą wymówką były książki, które mieliśmy napisać. I dlatego musieliśmy przetrwać. Każdy ma swoje dobre wytłumaczenie.

Ku swemu zdumieniu (ale nie Lancera), okazałem się doskonałym dziennikarzem. Potrafiłem pisać duperelne przygody, historie wojenne i pikantne opowiadania miłosne dla najlepszych magazynów. Umiałem napisać porywającą, obrazoburczą recenzję filmową i trzeźwą, obrazoburczą recenzję książkową. Albo entuzjastyczną recenzję, zachęcającą ludzi do sprawdzenia na własnej skórze tego, co jest tak doskonałe. Nigdy nie podpisywałem się swoim nazwiskiem pod tymi artykułami. Nie ze wstydu. Wiedziałem, że są szmirowate, a jednak uwielbiałem je. Uwielbiałem je, ponieważ przez całe życie nie miałem nic, z czego mógłbym być dumny. Byłem ciurą na wojnie i pe-

chowcem przy stole do gry. Nie miałem żadnego hobby ani zdolności manualnych. Nie potrafiłem zreperować samochodu ani hodować roślin. Marnie pisałem na maszynie i byłem drugorzędny, skorumpowany urzędnikiem państwowym. Jasne, byłem artystą, ale nie było to nic wielkiego. Tylko taka religia czy mania. Ale teraz do czegoś doszedłem, potrafiłem wyśmienicie komponować klozetową literaturę. Uwielbiałem to, ponieważ po raz pierwszy dobrze zarabiałem. Legalnie.

Honoraria za te historyjki wynosiły przeciętnie czterysta dolarów miesięcznie, co wraz z pensją urzędnika dawało mi dwie stówy tygodniowo. Ta praca wyzwoliła we mnie więcej energii, wróciłem do swojej drugiej książki. Eddie Lancer także pracował nad nową książką i w ten sposób spędzaliśmy większość czasu na dyskusjach literackich, a nie na rozmowach o artykułach prasowych.

Po pół roku pracy jako wolny strzelec stałem się tak dobrym przyjacielem Eddiego, że zaoferował mi etat. Ale ja nie miałem zamiaru porzucić dwóch do trzech patyków tygodniowo, jakie wyciągałem w biurze rezerwy. Złoty interes z łapówkami trwał już blisko dwa lata. Teraz miałem do tego taki sam stosunek jak Frank. Nie przypuszczałem, że cokolwiek może zakłócić to pasmo sukcesów. Prawdą też było to, że podniecało mnie życie złodzieja.

Wiodło mi się coraz lepiej. Pisanie szło mi dobrze i każdej niedzieli zabierałem Valerie i dzieci na przejażdżki na Long Island, gdzie domy wyrastały jak grzyby po deszczu. Już wybraliśmy dom dla siebie. Cztery sypialnie, dwie łazienki, dwadzieścia sześć tysięcy dolarów płatnych w ciągu roku i tylko dziesięcioprocentowa zaliczka. Teraz właśnie należało poprosić Eddiego Lancera o przysługę.

– Zawsze podobało mi się Las Vegas – powiedział Eddiemu. – Chciałbym coś o tym napisać.

– Jasne, kiedy tylko zechcesz – odparł. – Napisz też coś o panienkach. – I przygotował delegację.

Później zastanawialiśmy się nad kolorową ilustracją do tego artykułu. Zawsze robiliśmy to razem, ponieważ było z tym mnóstwo zabawy i śmiechu. Jak zwykle Eddie wymyślił w końcu coś ekstra. Wspaniała dziewczyna w skąym kostiumie wykonująca taniec brzucha. Z jej pępka wytaczały się czerwone kostki układające się w szczęśliwą jedenastkę. Tytuł miał brzmieć: *Niech ci szczęście sprzyja z dziewczynami z Las Vegas.*

Najpierw jednak należało wywiązać się z innego zobowiązania. Bułka



z masłem. Miałem przeprowadzić wywiad z najślawniejszym pisarzem Ameryki, Osanem.

Eddie Lancer podpisał ze mną umowę na artykuł w „Everyday Life”, najbardziej wykwintnym magazynie całej sieci. Po tym wywiadzie mogłem lecieć do Vegas.

Eddie Lancer uważał Osana za największego pisarza Ameryki, ale był zbyt skrępowany, żeby samemu przeprowadzić z nim wywiad. Byłem jedynym pracownikiem, na którym to nazwisko nie wywierało specjalnego wrażenia. Nie uważałem, żeby był aż tak dobry. Poza tym nie wierzyłem żadnemu pisarzowi ekstrawertykowi. A Osano pojawiał się setki razy w telewizji, sędziował w Cannes, dawał się aresztować za protest przeciwko Bóg wie czemu. Za każdym razem mieszał z błotem nową powieść jednego ze swoich przyjaciół.

Poza tym było mu łatwo. Jego pierwsza powieść, napisana w wieku dwudziestu pięciu lat, przyniosła mu światowy rozgłos. Miał bogatych rodziców i dyplom prawniczy z Yale. Nie wiedział, co to znaczy walczyć o swoją sztukę. A najważniejsze, że kiedyś wysłałem mu egzemplarz mojej książki, czekając na burę, a on nawet nie potwierdził jej odbioru.

Gdy przeprowadzałem z nim wywiad, był pisarzem o bogatym dorobku i miał wielu wydawców. Wciąż potrafił wymóc na wydawnictwach słone zaliczki i zjechać krytyków literackich. Ale większość z jego książek to literatura faktu. Od przynajmniej dziesięciu lat nie był w stanie skończyć powieści.

Wówczas pracował nad swoim dziełem, długą powieścią, która miała być najgenialniejszą książką od czasu *Wojny i pokoju*. Wszyscy krytycy byli co do tego zgodni. Tak jak Osano. Jedno z wydawnictw wypłaciło mu sto tysięcy dolarów zaliczki i po dziesięciu latach nie mogło się doprosić nawet konspektu pracy. W tym czasie napisał kilka książek na bieżące tematy, które zostały uznane przez większość krytyków za lepsze niż powieści. Wydał je w ciągu kilku miesięcy i otrzymał pokaźny czek. Ale nie sprzedawały się dobrze. Znużył już swoich czytelników. Dlatego w końcu przyjął posadę zastępcy redaktora naczelnego w jednym z najbardziej renomowanych niedzielnych pism literackich.

Wydawca przed Osanem pracował na tym stanowisku dwadzieścia lat. Był to facet z najwyższymi kwalifikacjami. Miał dyplomy z najlepszych uczelni; był intelektualistą pochodzącym z bogatej rodziny. Z klasą. Przez całe życie oddawał się greckiej namiętności. Wszystko byłoby dobrze, gdyby z wiekiem nie robił się coraz bardziej bezczelny. Pewnego słonecznego, podniecającego

popołudnia został przyłapany w swoim biurze z młodym gońcem, za sięgającym sufitu regałem z książkami. Gdyby młody goniec był znanym angielskim pisarzem, pewnie nic by się nie stało. I gdyby książki w regale były recenzowane, nie byłoby źle. Ale książki nie zostały nawet rozdane lektorom. Dlatego odszedł na zasłużoną emeryturę.

Kierownictwo wiedziało, że z Osanem wszystko jest w porządku. Był jak najbardziej ortodoksyjny w tych sprawach. Kochał kobiety we wszystkich rozmiarach, o różnych kształtach i w różnym wieku. Zapach kobiecej pizdy zmieniał go w bezrozumne bydlę. Pieprzył panienki z takim zaangażowaniem, jak narkoman wstrzykiwał sobie działkę. Jeśli nie podupczył sobie jednego dnia ani żadna nie pociągnęła mu druta, wpadał w szal. Ale nie był exhibicjonistą. Drzwi swojego biura zawsze zamykał na zamek. Czasami była to małolata zafascynowana literaturą. Czasami lalunia z towarzystwa, przekonana, że jest z największym pisarzem Ameryki. Albo głodująca pisarka, która pragnęła otrzymać kilka książek do recenzji, aby pogodzić potrzeby ciała i ducha. Osano bezwstydnie wykorzystywał swoją pozycję wydawcy, pisarza o światowej sławie i – co go najbardziej gryzło – pretendenta do literackiej Nagrody Nobla. Mawiał, że dopiero Nobel bierze prawdziwe intelektualistki. Przez ostatnie trzy lata rozpętał istną kampanię wśród swoich kolegów po piórze, aby pokazać intelektualistkom, że najznakomitsze kwartalniki literackie typują jego kandydaturę do tej nagrody.

Dziwne, ale sam Osano nie miał złudzeń co do swojego fizycznego czaru czy magnetyzmu. Ubierał się dobrze, na ubrania wydawał fortunę, ale mimo to nie był atrakcyjnym mężczyzną. Miał nieproporcjonalną twarz i wodniste, jasnozielone oczy. Posiadał jednak moc życiową przyciągającą innych ludzi. W samej rzeczy, większą część swej sławy zawdzięczał nie osiągnięciom na polu literatury, ale osobowości i błyskotliwej inteligencji pociągającej zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

A kobiety szalały za nim: inteligentne studentki, odcytane panie z towarzystwa, bojowniczkami Ruchu Wyzwolenia Kobiet, które przeklinały go i starały się go złapać, aby, jak mówiły, mogły go tak potraktować, jak mężczyźni traktowali kobiety w czasach królowej Wiktorii. Jednym z jego trików w książkach było bezpośrednie zwracanie się do kobiet.

Nigdy nie podobał mi się jako pisarz i nie spodziewałem się, że go polubię. Człowiek to jego praca. Tyle że okazało się to nieprawdą. Cóż, są na świecie oddani swej pracy lekarze, dociekliwi nauczyciele, uczciwi prawnicy, idealni-

styczni politycy, cnotliwe kobiety, zdrowi na umyśle aktorzy, mądrzy pisarze. I Osano, pomimo łgarskiego stylu i opluwania, był naprawdę wspaniałym facetem, nie przynudzał nawet wtedy, kiedy mówił o swoim pisarstwie.

Stworzył niemal imperium recenzentów. Miał dwie sekretarki, dwudziestu etatowych recenzentów i całe mnóstwo „wolnych strzelców”, od uznanych autorów po przymierających głodem poetów, pechowych pisarzy, profesorów wyższych uczelni i członków elity intelektualnej. Wykorzystywał ich i nienawidził. I sam pisał recenzje jak wariat.

Pierwsza strona w niedzielnym piśmie literackim jest czymś, za co dałby się zabić każdy pisarz. Osano wiedział o tym. On sam, po opublikowaniu jakiejś swojej książki, niemal automatycznie dostawał się na pierwsze strony pism w całym kraju. Mimo swojej popularności nienawidził pisarzy piszących powieści, był o nich zazdrosny. A czasem podpadł mu jakiś wydawca. Dlatego zwykle na pierwszą stronę dawał ciężkostrawną biografię Napoleona czy Katarzyny II napisaną przez jakiegoś naukowca. Zarówno książka, jak i recenzja były niestrawne, ale Osano był uszczęśliwiony. Wszystkich doprowadzał do furii.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem Osana, był na ustach wszystkich ludzi związanych z życiem literackim, plotkowano tylko o nim, dyskutowano o jego bohaterach. Grał rolę wielkiego pisarza ogarniętego żądzą życia. I miał do tego odpowiednie rekwizyty.

Pojechałem do Hamptons, gdzie Osano wynajął letni dom, i zastałem go zasiedziałego (to jego określenie) jak starego sułtana. Mając pięćdziesiąt lat, dochował się szóstki dzieci z czterech małżeństw; był przed piątym, szóstym i ostatnim – siódmym. Miał na sobie niebieskie tenisowe krótkie spodnie i niebieską kurtkę tak skrojoną, aby ukrywała wystający mięsień piwny. Jego twarz dotknięta była już czarem zmarszczek, pasującym do przyszłego laureata Nagrody Nobla. Jeśliby pominąć złośliwe zielone oczka, mógł wydawać się słodziutki. Dzisiaj właśnie taki był. To przecież szef najbardziej poczytnego tygodnika literackiego; cokolwiek by napisał, wszyscy i tak będą całowali go za to w tyłek. Nie wiedział, że przybyłem, aby go wykończyć, ponieważ byłem pechowym pisarzem z jedną opublikowaną powieścią i drugą rodzącą się dopiero w bólach. Jasne, on napisał jedną wielką, prawie wspaniałą powieść. Ale reszta była gównem warta i jeśli „Everyday Life” pozwoli mi na to, ukazę światu, kim naprawdę jest ten facet.

Napisałem niezły artykuł, w którym go zjechałem. Ale Eddie Lancer od-

rzucił go. Chciał, aby Osano napisał dla nich duży artykuł polityczny, i nie mogli go rozwścieczyć. Cóż, straciłem dzień. No, może nie do końca, ponieważ dwa lata później Osano zadzwonił do mnie i zaproponował mi pracę asystenta w nowo powstającym piśmie literackim. Osano zapamiętał mnie, czytał mój artykuł, który został odrzucony w redakcji. Byłem dla niego facetem z jajami, tak przynajmniej mówił. Dodał, że jestem dobrym pisarzem i w jego książkach podobają mi się te same rzeczy co jemu.

Pierwszego dnia usiedliśmy w ogrodzie i przyglądaliśmy się jego dzieciom, grającym w tenisa. Muszę teraz przyznać, że naprawdę je kochał i był dla nich doskonałym ojcem. Może dlatego, że sam był dużym dzieckiem.

Ale mniejsza z tym; sprowadziłem rozmowę na temat kobiet, Ruchu Wyzwolenia Kobiet i płci. Z lubością rzucił się w wir opowiadania. Był bardzo zabawny. I chociaż w książkach mógł się wydawać pedałowaty, to w życiu prywatnym należał do klasy męskich szowinistów z Teksasu. Podczas rozmowy o miłości powiedział mi, że ile razy zakochał się w dziewczynie, przedstawiał się zazdrosny o swoją żonę. Następnie spojrzał na mnie wzrokiem pisarza i rzekł:

– Żaden mężczyzna nie jest zdolny do zazdrości o więcej niż jedną kobietę w tym samym czasie... chyba że jest Portorykańczykiem. – Czuł, że może żartować sobie z Portorykańczyków, ponieważ jego radykalne poglądy były powszechnie znane.

Gospodyni wyszła przed dom i wrzeszczała na dzieci, bijące się na korcie tenisowym. Zachowywała się bardzo apodyktycznie i wymagająco w stosunku do dzieci, jakby była ich matką. Jak na swój wiek (liczyła sobie tyle lat co Osano), była przystojną kobietą. Patrzyłem na nią z ciekawością. Szczególnie wtedy, kiedy posławszy nam pogardliwe spojrzenie, zniknęła we wnętrzu domu.

Skierowałem rozmowę na temat kobiet, co nie przysporzyło mi większych trudności. Poglądy Osana były cyniczne, bardzo łatwe do przyjęcia, kiedy nie szaleje się na punkcie jakiejś konkretnej osoby. Mówił bardzo autorytatywnie, co pasowało do pisarza, o którym plotkowano więcej niż o jakimkolwiek pisarzu od czasów Hemingwaya.

– Słuchaj, mały – powiedział. – Miłość jest jak mały czerwony samochódzik, który dostaje się na Gwiazdkę w wieku sześciu lat. Jesteś tak niewyobraźalnie szczęśliwy, że nie możesz się z nim ani na chwilę rozstać. Ale wcześniej czy później odpadną kółka. Wtedy rzucasz go w kąt i zapominasz

o nim. Zakochiwanie się jest wspaniałe, ale bycie zakochanym to klęska.

Z szacunkiem, którego – zdaje się – oczekiwał, spytałem go:

– A co z kobietami? Czy myśli pan, że one to tak samo odbierają, skoro twierdzą, że myślą podobnie jak mężczyźni?

Posłał mi szybkie spojrzenie swych niewiarygodnie zielonych oczu. Poruszyłem go, ale nie zareagował. Była to jedna ze wspaniałych cech tego człowieka. Po chwili odpowiedział:

– Ruch Wyzwolenia Kobiet twierdzi, że my sprawujemy władzę i kontrolę nad ich życiem. Jest to podobnie idiotyczne twierdzenie jak to, że kobiety są czystsze seksualnie niż mężczyźni. Kobiety pieprzą się z każdym, zawsze, wszędzie, tylko boją się o tym mówić. Te gadki Ruchu Wyzwolenia Kobiet o procentowej większości mężczyzn u władzy!!! Ci faceci nie są mężczyznami, nawet nie są ludźmi. Oto czyje miejsca chcą zająć kobiety. Nie wiedzą, że trzeba iść tam po trupach.

– Przecież jest pan jednym z tych mężczyzn – wtrąciłem.

– Tak i, mówiąc metaforycznie, musiałem iść po trupach. Kobiety zdobędą to, co mężczyźni już mają. To znaczy: gówna, wrzody i zawały. Do tego mnóstwo gównianych zajęć, znienawidzonych przez mężczyzn. Ale jestem jak najbardziej za równością. Będę mógł walczyć z tymi cipami. Słuchaj, płacę alimenty czterem zdrowym niewiastom, które mogłyby same na siebie zarabiać. Tylko dlatego, że nie są równe.

– Pana romanse są prawie tak sławne jak pana książki – powiedziałem. – Jak pan radzi sobie z kobietami?

Osano wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie interesuje cię, jak piszę książki?

– Pana książki mówią same za siebie – odparłem kurewsko gładko.

Spojrzał na mnie uważnie i po chwili kontynuował.

– Nigdy nie traktuj kobiety zbyt dobrze. Kobiety trzymają się ochlapusów, kurwiarzy, szulerów i brutali. Nie mogą wytrzymać ze słodziutkim, miłym facetem. A wiesz dlaczego? Nudzą się. Nie chcą być szczęśliwe. To nudne.

– Czy wierzy pan w wierność? – zapytałem.

– Jasne. Słuchaj: kochanie kogoś oznacza, że druga osoba stanowi centralny punkt twojego życia. Kiedy to się zmienia, to już nie jest miłość. To coś innego. Może coś lepszego, bardziej praktycznego. W gruncie rzeczy miłość jest nieuczciwym, niestabilnym i paranoicznym związkiem. Mężczyźni są gorsi od kobiet. Kobieta może pieprzyć się setki razy i mogłaby to robić na

okrągło. Pierwszy krok w dół jest wtedy, kiedy nie chce się pieprzyć, kiedy ty masz na to ochotę. Słuchaj, nie ma wymówek. Nieważne bóle głowy, bez picu. Kiedy cizia roluje cię w łóżku, to oznacza koniec. Zaczynaj szukać wsparcia z zewnątrz. Nie przyjmuj wymówek.

Zapytałem go o kobiety, które mogą mieć dziesięć orgazmów przy jednym męskim. Machnął tylko ręką.

– U kobiet to jest inaczej – odparł. – Dla nich to jest takie małe bzyk. Inaczej faceci. Faceci flaki sobie wypruwają. Freud był blisko, ale nie doszedł do tego. Mężczyźni naprawdę pieprzą. Kobiety nie.

Cóż, myślę, że nie wierzył we wszystko, co mówił, ale przesada była częścią jego stylu.

Przeszliśmy na temat helikopterów. Uważał, że za dwadzieścia lat samochód będzie zbędny, że każdy będzie miał swój helikopter. Należało jeszcze wykonać kilka technicznych poprawek, wmontować hamulce pozwalające kobietom latać i wtedy drogi wyjdą z użytku.

– Tak – powiedział – to oczywiste. – Oczywiste było także to, że tego ranka brakowało mu kobiety, dlatego znów zmienił temat. – Dzisiaj faceci są do dupy. Mówią do swoich panienek: jasne, możesz pieprzyć się z każdym i tak będę cię kochał. Gówniarze. Słuchaj: każdy facet, który wie, że cizia będzie pieprzyć się z nieznajomymi, myśli o niej jak o wywłoce.

Byłem urażony i zarazem zdumiony tym porównaniem. Wielki Osano, który swoim pisarstwem doprowadzał kobiety do ekstazy. Jeden z największych, najbardziej otwartych umysłów Ameryki. Albo nie zrozumiałem, o co mu chodzi, albo był to po prostu bełkot. Zobaczyłem, że gospodyni wymierza dzieciakom siarczyste policzki.

– Daje pan swojej gospodyni wiele swobody – zauważyłem.

Był teraz tak skoncentrowany, że wyłapywał wszystko bez udziału świadomości. Dokładnie wiedział, co myślałem o jego ostatnich wynurzeniach. Może dlatego powiedział mi prawdę o swojej gospodyni. Aby mnie zaszokować.

– To moja pierwsza żona – rzekł. – Jest matką trójki najstarszych.

Wybuchnął śmiechem, kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy.

– Nie, nie pieprzę jej. Żyjemy sobie razem zgodnie. Płacę jej cholernie dobrą pensję, ale nie alimenty. Jedyna żona, której nie płacę alimentów.

Najwyraźniej oczekiwał pytania, dlaczego. Zadałem je.

– Ponieważ, kiedy napisałem swoją pierwszą książkę i stałem się bogaty,

zabiło jej to klina. Była zazdrosna o moją sławę i uwagę, jaką przyciągała moja osoba. Ona też pragnęła, by zwracano na nią uwagę. Dlatego gdy pewien młody facio, mój wielbiciel, zainteresował się nią, przyjęła to za dobrą monetę. Była pięć lat od niego starsza, ale jeszcze bardzo seksowna. Muszę jej to przyznać, że naprawdę się zakochała. A niech jej będzie. Tylko że nie rozumiała, że facet, pieprząc się z nią, chciał pograżyć wielkiego pisarza Osana. Poprosiła mnie o rozwód i połowę dochodu z książki. Nie miałem nic przeciwko temu. Chciała też zabrać dzieci, ale nie miałem zamiaru oddawać ich jej i temu kutasowi. Powiedziałem więc, że jeśli wyjdzie za mąż za tego faceta, dostanie dzieci. Facet w ciągu dwóch lat rozpieprzył jej życie i przehulał całą forszę. Zapomniała o dzieciach. Znow była panienką. Jasne, odwiedzała je często, ale była zajęta podróżowaniem po świecie za moją forszę i miętoszeniem kutasa tego szczawia. Kiedy forsa się skończyła, facet się zmył. Wróciła i chciała odzyskać dzieci. Ale teraz nie było o tym mowy. W końcu opuściła je na dwa lata. Zrobiła mi wielką scenę, mówiła, że nie może bez nich żyć. Dlatego zatrudniłem ją jako gosposię.

– To najgorsze świństwo, o jakim słyszałem – powiedziałem chłodno.

W jego niespokojnych zielonych oczach błysnął gniew. Po chwili uśmiechnął się i rzekł pojednawczo:

– Może to i nie wygląda najlepiej, ale postaw się na moim miejscu. Kocham swoje dzieci. Jaki to ojciec, co nie potrafi ich zatrzymać? Co za gówno! Wiesz, że mężczyźni nigdy nie są w stanie otrząsnąć się z tego gówna? Żonka jest zmęczona małżeństwem, więc mężczyzna traci własne dzieci. I przygląda się temu, jakby mu obcięli jaja. Cóż, ja temu nie przyglądałem się spokojnie. Zatrzymałem dzieci i od razu się ożeniłem. A kiedy druga żona zaczęła przeginać pałę, także się jej pozbyłem.

– A co z dziećmi? – zapytałem spokojnym głosem. – Czy nie przeszkadza im, że matka jest gospodynią?

Znow błysk zielonych oczu.

– O kurwa, przecież jej nie ponizam. Jest gospodynią tylko wtedy, gdy chwilowo nie jestem żonaty. Kiedy indziej pełni raczej funkcję guwernantki. Wynajmuje ode mnie dom. Słuchaj, myślałem, żeby dać jej więcej forsy, by mogła kupić sobie własny dom i stała się niezależna. Ale to lekkomyślna pizda, jak one wszystkie. Znow zaczęłyby trwonić pieniądze.

Skończyłaby w rynsztoku. Nie mam nic przeciwko temu, ale przysporzyłyby mi kłopotów, a ja muszę pisać książki. Dlatego kontroluję jej wydatki. Ma

przy mnie cudowne życie. Wie, że jeśli podpadnie, to będzie musiała ruszyć tyłek do roboty. To skutkuje.

– Nie jest pan przypadkiem mizoginistą? – zapytałem z uśmiechem.

Zaśmiał się.

– Jeśli mówisz to do faceta, który był żonaty cztery razy, nie musi nawet zaprzeczać. Ale dobrze, naprawdę jestem przeciwnikiem Ruchu Wyzwolenia Kobiet pod jednym względem. Ponieważ teraz większość kobiet ma sieczkę w głowie. Może to nie ich wina. Słuchaj, jak spotkasz babkę, która nie chce się pieprzyć co dwa dni, pozbądź się jej jak najszybciej. No, chyba że zabrała ją karetka i ma czterdzieści szwów na cipie. Guzik mnie obchodzi, czy to lubi, czy nie. Czasami mnie się to też nie podoba, a muszę się starać jak wszyscy diabli. Jeśli się kogoś kocha, to ma się obowiązek pieprzyć jak jasna cholera. Jezu, nie wiem, czemu wciąż się żenię. Przysięgam, że już więcej tego nie zrobię, ale zawsze mnie wyrolują. Zawsze wierzyłem, że to nie małżeństwo je unieszczęśliwia. Mają sieczkę we łbie.

– Czy nie uważa pan, że przy sprzyjających okolicznościach kobiety mogą stać się równe?

Osano potrząsnął głową.

– Zapominają, że wiek działa na ich niekorzyść. Facet po pięćdziesiątce może mieć mnóstwo młodych pańienek. Babka po pięćdziesiątce zajmuje się przeważnie robótkami ręcznymi. Jasne, kiedy zdobędą władzę polityczną, przeforsują prawo, że dla zrównania praw mężczyźni między czterdziestką i pięćdziesiątką muszą poddać się operacji postarzenia. Tak działa demokracja. To też jedno wielkie gówno. Słuchaj, kobietki i tak mają dobrze, nie powinny narzekać. W dawnych czasach nie zdawały sobie sprawy, że mają prawa jak w związkach zawodowych. Nie mogłeś wywalić ich z pracy, nawet jeśli miały paskudny charakter. Paskudne w łóżku, paskudne w kuchni. I komu było dobrze ze swoją żoną po kilku latach małżeństwa? Jeśli było dobrze, to znaczyło, że była zdzirą. I teraz chcą być równe. A niech im, dałbym im równość. Wiem, co mówię – byłem żonaty cztery razy.

Wydałem na to wszystko, co zarobiłem.

Tego dnia Osano naprawdę nienawidził kobiet. Miesiąc później w porannej gazecie przeczytałem, że ożenił się po raz piąty. Z aktorką małej teatralnej trupy. Była o połowę młodsza. Tyle o zdrowym rozsądku pierwszego piora Ameryki. Nigdy nie śniło mi się, że będę z nim pracował, aż do dnia jego śmierci. Cudownym trafem będzie wtedy kawalerem, wciąż zakochanym



w kobiecie, w kobietach.

Tego dnia zrozumiałem, w czym tkwił problem. Miał fioła na punkcie kobiet. Była to jego słabość, której nienawidził.

## Rozdział 13

W końcu byłem gotowy do podróży do Las Vegas, gdzie znowu miałem zobaczyć Cully'ego. Po raz pierwszy od trzech lat, bowiem tyle czasu minęło od chwili, gdy Jordan po wygraniu czterystu tysięcy dolarów strzelił sobie w łeb w pokoju hotelowym.

Byliśmy w kontakcie. Cully dzwonił do mnie kilka razy w miesiącu i na Boże Narodzenie posyłał prezenty dla mnie, żony i dzieci. Poznałem, że pochodzą one ze sklepu z pamiątkami w hotelu Xanadu i zostały kupione po niższej cenie, albo – jak znałem Cully'ego – dostał je za darmo. Ale i tak było to miłe z jego strony. Opowiadałem Valerie o Cullym, nigdy nie wspominając o Jordanie.

Wiedziałem, że Cully ma dobrą posadę w hotelu, ponieważ jego sekretarka, odbierając telefon, mówiła: „Słucham, biuro asystenta dyrektora hotelu”. A ja zastanawiałem się, w jaki sposób w ciągu zaledwie kilku lat zdołał wspiąć się tak wysoko. Zmienił mu się głos i sposób mówienia; mówił głosem ściszym, był bardziej szczery, grzeczniejszy i serdeczniejszy. Jak aktor grający inną rolę. Przez telefon mogliśmy tylko trajlować i plotkować o wielkich wygranych i pechowcach, opowiadać sobie historyjki o indywidualach mieszkających w hotelu. Nigdy jednak Cully nie mówił o sobie. W końcu, zwykle pod koniec rozmowy, jeden z nas wspominał Jordana; a może to wspomnienie o nim kończyło rozmowę. Był jak szlaban.

Valerie spakowała moją walizkę. Jechałem na weekend, tak że opuszczałem tylko jeden dzień pracy w biurze rezerwy. W odległej przyszłości, którą już przeczuwałem, artykuł w gazecie może dać mi przykrywkę dla glin, a właśnie z ich powodu jechałem teraz do Vegas.

Dzieci były już w łózkach, kiedy Valerie pakowała mi torbę. Miałem zamiar wyruszyć wcześniej rano. Posłała mi błądy uśmiech.

– O Boże – powiedziała – ostatnim razem było strasznie. Myślałam, że nie wrócisz.

– Musiałem pojechać. Nasze sprawy szły nie najlepiej.

– Od tamtego czasu wszystko się zmieniło – rzekła pojednawczo. – Trzy lata temu nie mieliśmy wcale pieniędzy.

O matko, byliśmy na takim dniu, że musiałam prosić ojca o pieniądze, obawiając się, że to odkryjesz. I zachowywałeś się tak, jakbyś mnie już nie kochał. Ta podróż zmieniła wszystko. Po powrocie nie wściekałeś się na mnie i stałeś się cierpliwszy w stosunku do dzieci. I zacząłeś pracować w gazetach.

Uśmiechnąłem się do niej.

– Pamiętasz? Wróciłem z tarczą. Z kilkoma dodatkowymi tysiącami. Może gdybym wrócił na tarczy, byłoby jeszcze gorzej.

Valerie zatrasnęła walizkę.

– Nie – powiedziała – zmieniłeś się. Stałeś się szczęśliwszy ze mną i z dziećmi.

– Przekonałem się, że tęsknię.

– O, tak – zakpiła – w otoczeniu tych panienek z Vegas.

– Są za drogie, potrzebowałem forsy na grę.

Austriackie gadanie, ale część z tego była prawdą. Gdybym powiedział jej, że nawet nie spojrzałem na inną kobietę, nie uwierzyłaby mi. Ale mogłem podać dobre powody. Czułem się tak winny z powodu kiepskiego spełniania roli ojca i męża, który nie potrafi niczego ofiarować swojej rodzinie, który nawet nie może zarobić na ich utrzymanie, że nie miałem sumienia do tego dodać jeszcze grzechu niewierności. I decydujące było też nasze dopasowanie w łóżku. Była wszystkim, czego pragnąłem, idealna dla mnie. I myślałem, że z nią jest tak samo.

– Czy będziesz dzisiaj jeszcze pracował? – zapytała. Naprawdę pytała o to, czy będziemy się kochać, aby mogła się przygotować. Później ona zasypiała, a ja siadałem do pracy. Mogła nie wstawać aż do południa. Była strasznym śpiochem. Mnie się to nigdy nie udawało.

– Tak – odpowiedziałem. – Chcę popracować. I tak jestem zbyt podniecony tą wyprawą, by zasnąć.

Była prawie północ, ale ona poszła do kuchni, aby zaparzyć dla mnie dzbanek kawy i zrobić kilka kanapek, przy takim zaopatrzeniu mogłem pracować do trzeciej, czwartej rano, a i tak budziłem się przed nią.

Najgorszym brzemieniem życia pisarza, przynajmniej dla mnie, była bez-

senność. Leżąc w łóżku, nie byłem w stanie wyłączyć maszyny z pomysłami dotyczącymi książki, nad którą pracowałem. Kiedy leżałem tak po ciemku, postacie literackie ożywały i stawały się istotami z krwi i kości, tak że zapomniałem o żonie i dzieciach. Ale dzisiaj wieczorem miałem inny, niekoniecznie twórczy powód, by popracować. Chciałem, żeby Valerie zasnęła, abym mógł spokojnie wyjąć gotówkę z ukrycia.

Z najgłębszego kąta szafy w sypialni wyciągnąłem swoją starą Kurtkę Zwycięzcy z Vegas i zaniósłem ją do kuchni. Nie miałem jej na sobie, odkąd wróciłem z wyprawy. Jej jaskrawe kolory wyblakły nieco w szafie, ale i tak wyglądała strojnie. Włożyłem ją i poszedłem do kuchni. Valerie spojrzała na nią i powiedziała:

– Merlyn, chyba nie włożysz tego.

– To moja szczęśliwa kurtka – zaprotestowałem. – Poza tym będzie mi wygodnie w samolocie.

Wiedziałem, że to ona wepchnęła ją na dno szafy, abym jej nigdy więcej nie wkładał. Nie śmiała jej wyrzucić. Teraz mogła się przydać.

– Jesteś taki przesądny – westchnęła.

Myliła się. Rzadko bywałem przesądny, mimo że uważałem się za maga – to jednak nie to samo.

Gdy Valerie pocałowała mnie na dobranoc, zacząłem przeglądać rękopis wyciągnięty z szuflady w sypialni. Przez godzinę pracowałem nad nim. Potem zajrzałem do sypialni, by się przekonać, czy już zasnęła głębokim snem. Pocałowałem ją leciutko. Nie ruszyła się nawet. Bardzo lubiłem, gdy całowała mnie na dobranoc. Był to prosty pocałunek żony, odgradzający od samotności i zdrady świata zewnętrznego.

I zwykle leżąc w łóżku wcześniej rano, kiedy Valerie jeszcze spała, całowałem ją w usta z nadzieją, że zbudzi się i rozproszy moją samotność, kochając się ze mną. Ale tym razem miałem świadomość, że jest to judaszowy pocałunek, tylko częściowo czuły, którym chciałem sprawdzić, czy śpi dostatecznie mocno, abym mógł wyciągnąć schowane pieniądze.

Zamknąłem cicho drzwi od sypialni i poszedłem do szafy w przedpokoju. Były tam moje stare rękopisy: kopie i oryginał mojej książki, która przyniosła mi trzy tysiące dolarów. Było tam całe mnóstwo papieru, kopie odbite przez kalkę, poprawki, to, co – jak kiedyś myślałem – uczyni mnie znanym, szanowanym i bogatym. Sięgnąłem głębiej po czerwona teczkę związaną tasiemką. Wyciągnąłem ją i zaniósłem do kuchni. Popijając kawę, przeliczy-

łem wszystkie pieniądze. Było tego trochę ponad czterdzieści tysięcy dolarów. Ostatnio pieniądze napływały szerokim strumieniem. Stałem się Tiffanym łapowników; miałem bogatych i zaufanych klientów. Zostawiłem w kopercie około siedmiu tysięcy dolarów w dwudziestodolarowych banknotach. Trzydzieści trzy tysiące w studolarowych banknotach wepchnąłem do pięciu wcześniej zabranych z sypialni długich kopert. Następnie poupychałem koperty w różnych kieszeniach Kurtki Zwycięzcy z Vegas. Zaciągnąłem zamki w kieszeniach i powiesiłem kurtkę na oparciu krzesła.

Rankiem, kiedy Valerie będzie obejmowała mnie na pożegnanie, może wyczuć, że mam coś w kieszeniach, ale powiem jej, że to notatki potrzebne do reportażu o Vegas.

## Rozdział 14

Kiedy wysiadłem z samolotu, Cully już czekał na mnie. Terminal był wciąż niewielki – od samolotu do budynku musiałem przejść na piechotę, ale konstrukcja lotniska pozwalała na dobudowanie w przyszłości kolejnego skrzydła. Vegas się rozrastało. Tak jak Cully.

Wyglądał inaczej: był wyższy i szczuplejszy. Był dobrze ubrany – miał na sobie garnitur od Sy Devore’a i sportową koszulę. Inaczej przycięte włosy. Zdziwiłem się, kiedy objął mnie na powitanie i powiedział: „Ten sam stary Merlyn”. Roześmiał się na widok Kurtki Zwycięzcy z Vegas i powiedział mi, że będę się musiał jej pozbyć.

Miał dla mnie duży biały apartament z pełnym barkiem i kwiatami na stole.

– Musisz mieć tu niezłe chody – powiedziałem.

– Nie narzekam. Rzuciłem granie. Jestem po drugiej stronie stołu, wiesz o tym?

– Tak – odparłem. Czuję się zabawnie z Cullym.

Zmienił się. Nie wiedziałem, czy mogę mu zaufać i zwierzyć się z planu. Przez trzy lata facet mógł się zmienić. Poza tym znaliśmy się tylko przez kilka tygodni.

Ale kiedy piliśmy razem, powiedział szczerze:

– Strasznie się cieszę, że cię widzę, Dzieciaku. Myślisz czasem o Jordanie?

– Przez cały czas.

– Biedny Jordan. Wygrał czterysta tysięcy dolarów. Dlatego zrezygnowałem z gry. I wiesz, od jego śmierci miałem niesamowite szczęście w grze. Gdybym grał w karty, wygrałbym cały ten hotel.

– Jasne – odparłem. – Co u Gronevelta?

– Jestem jego prawą ręką. Ufa mi, jak ja tobie. Skoro o tym mowa, potrze-

bowałbym asystenta. Jeśli tylko zechcesz przenieść się ze swoją rodziną do Vegas, dam ci świetną pracę.

– Dzięki – odpowiedziałem. Byłem naprawdę wzruszony. Zastanawiałem się wtedy nad jego uczuciami w stosunku do mnie. Wiedziałem, że nie jest człowiekiem, który każdemu ufa. – Co do pracy, nie mogę ci teraz odpowiedzieć. Przyjechałem tu, aby prosić cię o przysługę. Zrozum, jeśli nie będziesz w stanie zrobić tego dla mnie, wal prosto z mostu, przynajmniej spędzimy miło razem kilka dni.

– Masz to u mnie – powiedział Cully – cokolwiek to jest.

Zaśmiałem się.

– Poczekaj, aż usłyszysz.

Przez moment wydawało mi się, że Cully jest zły.

– Gównu mnie obchodzi, co to jest. Masz to u mnie, jeśli tylko będzie to w mojej mocy.

Wyjaśniłem mu całą sprawę. To, że brałem łapówki i miałem trzydzieści trzy patyki w kieszeniach, i to, że musiałem je ukryć na wypadek, gdyby bomba wybuchła. Cully słuchał mnie uważnie, cały czas przyglądając mi się. W końcu uśmiechnął się szeroko.

– No i z czego, do diabła, się śmiejesz? – zapytałem.

Cully wybuchnął śmiechem.

– Wyglądasz jak facet spowiadający się księdzu z morderstwa. Kurczę, każdy by tak zrobił na twoim miejscu. Ale muszę przyznać, że jestem zdumiony. Nie mogę sobie wyobrazić ciebie szantażującego kogokolwiek.

Czułem, jak twarz zaczyna mi płonąć.

– Nigdy nie prosiłem tych facetów o pieniądze – powiedziałem. – Nigdy nie brałem pieniędzy z góry. Po fakcie mogli mi zapłacić to, co obiecali, a mogli mnie wyrolować. Gównu mnie to obchodziło. – Wyszczrzyłem do niego zęby w uśmiechu. – Jestem skorumpowanym urzędnikiem, a nie kurwą.

– Drobnym oszustem – powiedział Cully. – Po pierwsze, myślę, że za bardzo się tym przejmujesz. Wygląda, że może to trwać wiecznie. Nawet jeśli się wyda, najgorsze co ci się może przytrafić, to utrata pracy i wyrok w zawieszeniu. Ale masz rację, musisz gdzieś ukryć forszę. Federalni to prawdziwe pijawki, kiedy ją znajdą, zabiorą ci wszystko.

Zainteresowało mnie jego pierwsze zdanie. Jednym z moich koszmarów było to, że pójdę do więzienia, zostawiając Valerie i dzieci na pastwę losu.

Dlatego ukrywałem wszystko przed moją żoną. Nie chciałem, żeby się martwiła. Nie chciałem także, aby straciła o mnie dobre mniemanie. Nosiła przecież w sercu obraz czystego, nieskorumpowanego artysty.

– Dlaczego myślisz, że nie pójdę do więzienia, jeśli się wszystko wyda? – zapytałem Cully’ego.

– To przestępstwo cywilne. Do diabła, przecież nie zrobiłeś banku, nie zastrzeżyłeś jakiegoś biednego złamasa ani nie okradłeś wdowy. Po prostu brałeś forszę od jakichś młodocianych gnojek, którzy za wszelką cenę starali się skrócić sobie służbę wojskową. Jezu, ale jaja. Faceci płacą, żeby dostać się do woja. Nikt w to nie uwierzy. Sędzia wyrzyga się ze śmiechu.

– Tak, teraz też mi się to wydaje zabawne.

Nagle Cully przeszedł do sedna sprawy.

– Dobra, powiedz mi, co chcesz, abym zrobił. Masz to załatwione. I kiedy federalni przyskrzynią cię, przyrzeknij, że od razu do mnie zadzwonisz. Wydostanę cię, dobra? – Uśmiechnął się do mnie z czułością.

Przedstawiłem mu swój plan. Chciałem wymienić tysiąc dolarów na sztony i grać o małe stawki. Zrobiłbym tak we wszystkich kasynach w Vegas, po czym wymienię sztony na gotówkę, zabierając pokwitowanie z kasy. Ci z FBI nawet nie sprawdzą w kasynach. A czekę przekażę Cully’emu i odbiorę, kiedy będę potrzebował gotówki.

Cully uśmiechnął się do mnie.

– Dlaczego nie powierysz mi pieniędzy? Nie ufasz mi?

Wiedziałem, że żartuje, ale potraktowałem to poważnie.

– Myślałem o tym, ale co będzie, jeśli coś ci się stanie? Na przykład katastrofa lotnicza. Albo znów złapiesz bakcyła hazardu. Teraz ci ufam, ale skąd mam wiedzieć, że jutro czy za rok nie dostaniesz szmergla?

Cully pokiwał głową z aprobatą. Po chwili zapytał mnie:

– A co z twoim bratem, Artiem? Jesteście z sobą tak blisko. Nie może przetrzymać tych pieniędzy?

– Nie mogę go o to prosić.

– Tak, domyślam się. – Cully jeszcze raz kiwnął głową. – Jest zbyt uczciwy, mam rację?

– Tak – odparłem. Nie chciałem wchodzić w zawilości, dotyczące mego stanu ducha. – Nie podoba ci się mój plan? Uważasz, że jest zły?

Cully wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

– Nie jest zły – powiedział. – Ale nie powinieneś zbierać czeków z wszyst-



kich kasyn. To będzie wyglądać podejrzanie. Szczególnie, jeśli forsa ma tutaj zostać przez jakiś czas. To śmierdzi na kilometr. Ludzie zostawiają pieniądze w kasie do czasu, aż je przegrywają albo opuszczają Vegas. Oto, co powinie-  
neś zrobić: kup we wszystkich kasynach sztony i zostaw je w naszej kasie. Wiesz, trzy, cztery razy dziennie po tysiąc dolarów. I weź rachunek. Tak, żeby wszystkie rachunki były w naszej kasie. Jeśli federalni zaczną węszyć albo napiszą do hotelu, przejdzie to przeze mnie, a ja cię osłonię.

Martwiłem się o niego.

– Nie będziesz miał przez to kłopotów? – zapytałem.

– Codziennie to robię – westchnął cierpliwie Cully. – Dostajemy mnóstwo pytań z urzędu podatkowego. Pytają, ile faceci przegrali. A ja wysyłam im stare dane. Nie ma sposobu, aby mnie sprawdzili. Za każdym razem upew-  
niam się, czy istnieją jeszcze dokumenty, które mogłyby naprowadzić ich na ślad.

– Jezu, nie chcę, żeby zniknęły moje rachunki z kasy. Nie będę w stanie odzyskać pieniędzy.

– Daj spokój, Merlyn – zaśmiał się Cully. – Jesteś tylko małym łapowni-  
kiem. Nie przyjedzie tutaj armia federalnych, aby o ciebie pytać. Wyślą ci list albo wezwanie do sądu. Nawet tego nie zrobią. Spójrz na to z innej strony: jeśli wydasz tę forszę, a oni się przyczepią, możesz powiedzieć, że ją wygra-  
łeś. Nie mogą ci udowodnić, że tak nie było.

– A ja nie będę mógł udowodnić, że tak było – powiedziałem.

– Jasne, że możesz. Ja to potwierdzę, tak samo jak szef sali i krupier przy stole do gry w crapa. Miałeś niesamowite szczęście w grze. Nie martw się o szczegóły. Twoim jedynym problemem jest, gdzie ukryć rachunki z kasy.

Przez chwilę nad tym myśleliśmy. Cully znalazł rozwiązanie.

– Czy masz adwokata? – zapytał.

– Nie, ale przyjaciel brata jest prawnikiem.

– Wobec tego sporządź testament. Zapiszesz w nim wszystkie depozyty kasowe z tego hotelu w wysokości trzydziestu trzech tysięcy dolarów swojej żonie. Mniejsza o znajomego brata. Wykorzystamy mojego znajomego praw-  
nika z Vegas, któremu można zaufać. Prawnik wyśle oficjalnie zapieczętowa-  
ną kopię testamentu twojemu bratu, Artiemu. Powiedz Artiemu, żeby jej nie otwierał. W ten sposób o niczym się nie dowie i nie będzie w to zamieszany. Nigdy się nie dowie. Musisz mu tylko powiedzieć, żeby nie otwierał koperty, lecz przetrzymał ją dla ciebie. Prawnik wyśle także list w tej sprawie. Nie ma

mowy, żeby Artie wpadł w kłopoty. I nie dowie się niczego. Po prostu wymyśl jakiś powód, dla którego spisałeś testament.

– Artie o nic nie będzie pytał – powiedziałem. – Po prostu zrobi to i nie zada żadnego pytania.

– Masz świętego brata. Ale co zrobisz z rachunkami? Federalni wszystko wywęszą. Dlaczego nie zakopać tego w jakieś stare rękopisy, tak jak zrobiłeś z gotówką? Nawet jeśli zdobędą nakaz rewizji, nie zauważą kilku papierków.

– Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Pozwól, że sam się będę o to martwił. A co się stanie, jeśli je zgubię?

Cully nie załapał albo tylko sprawiał takie wrażenie.

– Mamy zapis w naszej kartotece – powiedział. – Podpiszesz oświadczenie, że zgubiłeś kwity. Wystarczy podpis, żeby odebrać gotówkę.

Oczywiście, wiedział, co zrobię. Podrę te kwity, ale nie powiem mu, aby nie był tego pewien, aby nie mógł mieszać w zapiskach kasyna. Znaczyło to, że do końca mu nie ufam, ale przełknął to gładko.

– Proponuję urządzić dzisiaj małą wieczorną orgię – powiedział. – Będą dwie najładniejsze panienki z kasyna.

– Żadnych kobiet – zastrzegłem się.

Cully był zdumiony.

– Jezu, nie zmęczyłeś się jeszcze dymaniem swojej żony? Przez te wszystkie lata?

– Nie, nie zmęczyłem się.

– Masz zamiar być jej wierny przez całe życie? – zapytał Cully.

– Mowa – odpowiedziałem ze śmiechem.

Cully potrząsał głową, także się śmiejąc.

– W takim razie jesteś prawdziwym Merlynem Magiem.

– Masz rację.

Poszliśmy więc na kolację we dwójkę. Później Cully obszedł ze mną wszystkie kasyna, kupując w każdym sztonów za tysiąc dolarów. Przydała się moja Kurtka Zwycięzcy z Vegas. W różnych kasynach piliśmy z szefami sal i szefami zmian i z girlsami. Wszyscy traktowali Cully'ego jak ważnego gościa i opowiadali fascynujące historie o Vegas. Było wspaniale. Kiedy wróciliśmy do Xanadu, wepchnąłem moje sztony przez okienko w kasie i dostałem kwit na piętnaście tysięcy dolarów. Ukryłem go w portfelu. Ani razu jeszcze nie zagrałem. Cully cały czas kręcił się koło mnie.

– Muszę trochę pograć – powiedziałem.

Cully uśmiechnął się szelmowsko.

– Jasne, jasne, jeśli przegrasz więcej niż pięćset dolców, złamię ci, kurwa, łapę.

Przy stole do gry w crapa wyjąłem pięć studolarowych banknotów i zmieniłem je na sztony. Robiłem małe pięciodolarowe zakłady, obstawiając wszystkie numery. Wygrywałem i przegrywałem. Wróciłem do swoich starych hazardowych wzorców, krążąc pomiędzy crapem, black jackiem i ruletką. Do miłego prostego hazardu, niskich stawek, przegrywania i wygrywania, uzyskiwania niskich procentów. Była pierwsza w nocy, kiedy sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem dwa tysiące dolarów, żeby kupić za nie sztony. Cully nie powiedział ani słowa.

Włożyłem sztony do kieszeni i poszedłem w kierunku kasy, aby wymienić je na kwit. Cully opierał się o pusty stół do crapa i obserwował mnie. Pokiwał głową z aprobatą.

– Załapałeś więc – powiedział.

– Jestem Merlynem Magiem, a nie jakimś parszywym szulerem – powiedziałem. I była to prawda. Nie czułem dawnego podniecenia, nie miałem ochoty na odlot. Miałem wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić rodzinie dom i polisę ubezpieczeniową. Miałem dobre źródło zarobków. Znowu byłem szczęśliwy. Kochałem żonę i pracowałem nad nową powieścią. Gra była zabawą, niczym więcej. Tego wieczoru straciłem tylko dwieście dolców.

Cully zabrał mnie na filizankę mleka i hamburgery.

– Będę musiał popracować w dzień – powiedział. – Mogę ci zaufać? Nie będziesz grał?

– Nie martw się. Będę zajęty zamienianiem gotówki na sztony w całym mieście. Zejdę do pięciuset dolarów, aby nie rzucać się zbyt szybko w oczy.

– To świetny pomysł – rzekł Cully. – W tym mieście jest więcej agentów FBI niż krupierów. – Zamilkł na chwilę. – Jesteś pewien, że nie chcesz żadnego śpionki do poduszki? Mam kilka piękności. – Podniósł słuchawkę telefonu.

– Jestem zbyt zmęczony – powiedziałem. I była to prawda. Tutaj w Vegas było dopiero po pierwszej, ale w Nowym Jorku była czwarta rano, a ja jeszcze się nie przestawiłem.

– Gdybyś czegoś potrzebował, po prostu przyjdź do mnie do biura. Choćby dla zabicia czasu, żeby pogadać trochę o pierdołach.

– Dobra, przyjdę.

Następnego dnia obudziłem się koło południa i zadzwoniłem do Valerie. W Nowym Jorku była trzecia po południu, a Valerie prawdopodobnie zabrała dzieci do swoich rodziców na Long Island. Zadzwoniłem więc tam. Słuchawkę podniósł jej ojciec. Zadał mi kilka podejrzliwych pytań o to, co właściwie robię. Wyjaśniłem mu, że przygotowuję artykuł. Nie wydawał się przekonany, ale w końcu podał słuchawkę Valerie. Powiedziałem jej, że złapię poniedziałkowy samolot i z lotniska przyjadę taksówką.

Była to jedna ze zwyczajnych małżeńskich rozmów telefonicznych. Nienawidziłem tego. Powiedziałem jej, że nie zadzwonię więcej, bo to strata czasu i pieniędzy. Zgodziła się ze mną. Wiedziałem, że nazajutrz znów będzie u swoich rodziców i nie chce, żebym tam dzwonił. Uzmysłowiłem sobie, że jej wyprawy do nich denerwują mnie. Była to infantylna zazdrość. Valerie i dzieci były moją rodziną, należeli do mnie; nie miałem nikogo prócz nich, jeśli nie liczyć Artiego. Nie chciałem się dzielić nimi z dziadkami. Wiedziałem, że to głupie, ale i tak nie miałem ochoty dzwonić tam znowu. Co, do diabła, w końcu to tylko dwa dni i ona też może do mnie zadzwonić.

Następny dzień spędziłem, włócząc się po kasynach wzdłuż Stripu w centrum miasta. Wymieniałem tam gotówkę w wysokości dwustu lub trzystu dolarów na sztony i wszędzie robiłem małe zakłady przed wyruszeniem do następnego kasyna.

Uwielbiałem suchy, ognisty żar Vegas, dlatego poruszałem się na piechotę. Zjadłem obiad u Sandsa, siedząc przy stoliku obok pięknych kurewek, spożywających posiłek przed pracą. Były młode, śliczne i podniecone. Niektóre z nich miały na sobie wyjściowe ciuchy. Śmiały się i opowiadały sobie historijki jak nastolatki. Nie zwracały na mnie uwagi, a ja, jedząc posiłek, udawałem, że też nic mnie nie obchodzi. Ale starałem się podsłuchać ich rozmowę. Raz wydawało mi się nawet, że słyszę nazwisko Cully'ego.

Do Xanadu wróciłem taksówką. Taksówkarze w Vegas są przyjacielscy i pomocni. Ten zapytał mnie, czy nie chciałbym się zabawić. A ja powiedziałem, że nie. Kiedy wysiadałem z taksówki, życzył mi miłego dnia i podał nazwę restauracji, gdzie serwowali wspaniałe chińskie żarcie.

W kasynie w Xanadu wymieniłem sztony z innego kasyna na kwit kasowy, który upchnąłem w portfelu. Miałem teraz dziewięć kwitów i tylko ponad dziesięć tysięcy dolarów do zamiany. Opróżniłem kurtkę i włożyłem pieniądze do kieszeni marynarki. Wszystko w setkach schowane w dwóch białych kopertach. Przewiesiłem Kurtkę Zwycięzcy z Vegas przez ramię i poszedłem

do biura Cully'ego.

Znajdowało się ono w skrzydle hotelu przeznaczonym na pomieszczenia administracyjne. Idąc korytarzem, skręciłem w odnogę z napisem: „Biura”. Po chwili zatrzymałem się przed drzwiami z tabliczką: „Asystent dyrektora hotelu”. W sekretariacie siedziała piękna, młoda dziewczyna. Podałem jej nazwisko, a ona zaanonsowała mnie przez interkom. Z biura wyszedł Cully, objął mnie i uścisnął mi dłoń. Ta jego nowa osobowość wciąż mnie odpychała. Była zbyt demonstracyjna, zbyt na pokaz, wcześniej był inny.

Miał stylowo urządzone gabinet, z kanapą i miękkimi fotelami oraz dyskretnym oświetleniem, rozjaśniającym ściany, na których wisiały prawdziwe olejne obrazy. Nie mogłem powiedzieć, czy były dobre. Miał też w biurze trzy monitory. Jeden pokazywał korytarz hotelowy, drugi – stół do crapa, a trzeci – stół do bakarata. Patrząc w pierwszy monitor, zobaczyłem faceta otwierającego drzwi do pokoju i trzymającego za tyłek młodą dziewczynę.

– Lepsze programy niż w Nowym Jorku – powiedziałem.

– Muszę mieć oczy szeroko otwarte – przyznał Cully.

Nacisnął kilka guzików na konsoli i obrazy na monitorach się zmieniły. Teraz zobaczyliśmy hotelowy parking, stół do black jacka i kasjera w kawiarni, przeliczającego pieniądze.

Rzuciłem Kurtkę Zwycięzcy z Vegas na biurko Cully'ego.

– Możesz ją teraz zatrzymać – powiedziałem.

Cully gapił się na kurtkę przez dłuższą chwilę, a potem zapytał:

– Wymieniłeś już całą gotówkę?

– Większość. Kurtka już nie będzie mi potrzebna. – Zaśmiałem się. – Moja żona nienawidzi jej prawie tak jak ty.

Cully podniósł kurtkę.

– Wcale jej nie nienawidzę, tylko Gronevelt nie chce tego widzieć. Jak myślisz, co stało się z kurtką Jordana?

Wzruszyłem ramionami.

– Prawdopodobnie jego żona oddała ją razem z resztą ubrań do Armii Zbawienia.

Cully ważył kurtkę w ręce.

– Lekka – rzekł – ale szczęśliwa. Jordan wygrał w takiej czterysta tysięcy patyków. I potem się zabił. Tępy, pierdolony skurwiel.

– Głupio – potwierdziłem.

Cully delikatnie położył kurtkę na biurku. Po chwili usiadł i zaczął się ki-

wać na krześle.

– Wiesz, myślałem, że zwariowałeś, kiedy odrzuciłeś te jego dwadzieścia patyków. I byłem naprawdę wkurwiony, gdy odradziłeś mi przyjąć moją część. Ale być może była to najszczęśliwsza rzecz w moim życiu. I tak bym to przegrał i czuł się potem jak szmata. Wiesz, po samobójczej śmierci Jordana odmowa przyjęcia pieniędzy zwróciła mi szacunek do samego siebie. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale czuję, że go nie zdradziłem, tak jak nie zdradziliście go ty i Diana. Byliśmy nieznajomymi i tylko nam zależało na Jordanie. Niewystarczająco jednak, jak sądzę. Albo nic to dla niego nie znaczyło. Ale w końcu znaczyło to coś dla mnie. Czy czujesz to samo?

– Nie – odparłem – ja po prostu nie chciałem tej pieprzonej forsy. Wiedziałem, że się załatwi.

Poderwało to Cully’ego.

– Gówno prawda, Merlynie Magu. Jebiesz węża.

– Nie mówię, że świadomie. Czuję to gdzieś w środku. Nie zdziwiło mnie, kiedy mi powiedziałaś, pamiętasz?

– Tak – odparł Cully – gówno cię to obeszło. Pomiąłem tę uwagę milczeniem.

– Co u Diany?

– Ciężko to przeżyła. Kochała Jordana. Wiesz, że pieprzyłem ją w dzień pogrzebu? Był to najdziwniejszy numer, jaki kiedykolwiek odwalilem. Była dzika, szalona, płakała i pieprzyła się ze mną. Przeraziła mnie jak jasna cholera. – Westchnął. – Następne kilka miesięcy spędziła, upijając się i wypłakując na moim ramieniu. Potem spotkała tego kanciastego o mało co milionera i teraz jest zwykłą damą gdzieś w Minnesocie.

– Co masz więc zamiar zrobić z tą kurtką? – zapytałem. Cully niespodziewanie się uśmiechnął.

– Dam ją Groneveltowi. Chodź, chcę, żebyś go poznał. – Wstał z krzesła, chwycił kurtkę i wyszedł. Podążyłem za nim. Sekretarka wpuściła nas do olbrzymiego, prywatnego biura Gronevelta.

Gronevelt podniósł się z krzesła, wyglądał starzej, niż go pamiętałem. Musi mieć już pod osiemdziesiątkę, pomyślałem. Był nienagannie ubrany. Białe włosy przydawały mu czaru aktora charakterystycznego. Cully przedstawił nas sobie. Gronevelt uściśnął mi dłoń.

– Czytałem pańską książkę – powiedział cichym głosem. – Tylko tak dalej. Będzie pan kiedyś wielkim pisarzem. Książka jest doskonała. – Byłem zdu-

miony. Gronevelt przeszedł przez wszystkie szczeble kariery w tym interesie. Musiał być bardzo złym facetem, skoro wciąż jeszcze bano się go w Las Vegas. Nie przypuszczałem, że czyta książki. Jeszcze raz zemściło się na mnie myślenie stereotypami.

Wiedziałem, że soboty i niedziele dla ludzi typu Gronevelta i Cully'ego, którzy prowadzili wielkie hotele w rodzaju Xanadu, były pracowite. Na weekendy przybywali klienci z całych Stanów Zjednoczonych, którzy musieli zostać dobrze obsłużeni. Pomyślałem więc, że tylko przywitam się z Groneveltem i będę spadał.

Cully rzucił jaskrawą, czerwonebieską Kurtkę Zwycięzcy z Vegas na biurko Gronevelta ze słowami: „To już ostatnia. Merlyn w końcu ją oddał”.

Zauważyłem, że Cully się uśmiecha. Zachowywał się jak ulubiony bratanek groźnego wujka, który wie, jak sobie z nim radzić. Zauważyłem także, że Gronevelt nie wypadł z roli. Pobłaźliwie traktował bratanka, który sprawiał mnóstwo kłopotów, ale w gruncie rzeczy był utalentowany i wierny. Przyszły dziedzic.

Gronevelt zadzwonił po sekretarkę i, kiedy weszła, powiedział do niej: „Proszę mi znaleźć wielkie nożyce”. Zastanawiałem się, gdzie, u diabła, sekretarka dyrektora hotelu Xanadu znajdzie o szóstej wieczór w sobotę wielkie nożyce. Wróciła z nimi po dwóch minutach. Wziął je i zaczął ciąć moją Kurtkę Zwycięzcy z Vegas. Popatrzył na mnie bez mrugnięcia powieką i powiedział:

– Nie wie pan, jak bardzo nienawidziłem was trzech, przechadzających się po moim kasynie w tych pierdolonych kurtkach. Szczególnie tej nocy, kiedy Jordan wygrał forszę.

Obserwowałem, jak moja kurtka zmienia się na jego biurku w stos pociętych kawałków, i wiedziałem, że czeka na odpowiedź.

– Nie ma pan przecież nic przeciwko zwycięzcom, prawda? – zapytałem.

– Nie chodzi o pieniądze – rzekł Gronevelt. – To było takie kurewsko patetyczne. Cully też nosił tutaj tę kurtkę. Był, jest i zawsze będzie nałogowym graczem. Teraz tylko się maskuje.

– Jestem biznesmenem – próbował zaprotestować Cully. Ale Gronevelt machnął na niego ręką i Cully zamilkł, patrząc na pocięte skrawki materiału na biurku.

– Mogę znieść szczęście – powiedział Gronevelt – ale umiejętności i sprytu nienawidzę.

Teraz Gronevelt, aby zająć czymś ręce, ciął na małe paski tanią, zrobioną ze sztucznego jedwabiu podszewkę kurtki. Mówił bezpośrednio do mnie:

– A ty, Merlyn, jesteś najgorszym, pierdolonym graczem, jakiego kiedykolwiek widziałem przez ponad pięćdziesiąt lat pracy w biznesie. Jesteś gorszy niż nałogowy gracz. Jesteś graczem romantycznym. Myślisz sobie, że jesteś jakąś postacią z powieści Ferber, kreującej tego dupnego gracza na bohatera.

Grasz jak kretyn. Czasami idziesz w procenty, czasami w przeczucie, innym razem próbujesz systemu, strzelasz w ciemno, kręcisz się jak gówno pod lodem. Słuchaj, jesteś jednym z niewielu facetów na świecie, którym bym radził, żeby zupełnie przestali grać. – Odłożył nożyce i posłał mi przyjacielski, szczery uśmiech. – Ale, do diabła, pasuje to do ciebie.

Poczułem się dotknięty i on to widział. Uważałem się za sprytnego gracza, na przemian stosującego logikę i magię. Gronevelt zdawał się czytać w moich myślach.

– Merlyn – powiedział – podoba mi się to nazwisko. Pasuje do ciebie. O ile wiem, nie był wielkim magiem, tak jak ty. – Znów ujął nożyce i zaczął ciąć. – Ale dlaczego, do diabła, zaczęłaś tego zawodowego mordercę, tego śmiecia?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie zaczepiałem go. Ale pan wie, jak to jest. Czułem się parszywie po opuszczeniu domu, wszystko szło źle. Chciałem się po prostu na kimś wyżyć.

– Wybrałaś złego faceta – powiedział Gronevelt. – Cully ocalił ci tyłek. Z moją małą pomocą.

– Dzięki.

– Proponowałem mu pracę, ale on jej nie chce – wtrącił się Cully.

I tu mnie zdziwił. Najwyraźniej Cully rozmawiał już o tym z Groneveltem. I wtedy nagle uświadomiłem sobie, że Cully musiał mu wszystko o mnie powiedzieć. I o ewentualnym kryciu mnie przed federalnymi.

– Po przeczytaniu twojej książki pomyślałem sobie, że mógłbyś zostać naszym rzecznikiem prasowym – powiedział Gronevelt. – Taki dobry pisarz jak ty.

Nie chciałem mu mówić, że to zupełnie dwie różne sprawy.

– Moja żona nie opuści Nowego Jorku. Ma tam rodzinę. Ale dziękuję za ofertę.

– Skoro grasz w ten sposób – rzekł Gronevelt – może rzeczywiście lepiej,



żebyś nie mieszkał w Las Vegas. Kiedy następnym razem przyjedziesz do Vegas, zjemy razem kolację. – Wzięliśmy to za zakończenie rozmowy i wyszliśmy z gabinetu.

Cully miał umówioną kolację z jakimiś szychami z Kalifornii, której nie mógł odwołać, tak że zostałem sam. Zarezerwował dla mnie stolik w restauracji hotelowej, wobec czego tam poszedłem. Akurat trafiłem na typowe dla Vegas przedstawienie z prawie gołym dziewczęcym chórem, tancerkami i piosenkarkami. Jedyna rzecz, która wzbudziła mój podziw, to numer z tresowanymi niedźwiedziami.

Na scenę wyszła piękna kobieta z sześcioma wielkimi niedźwiedziami i zaczęła pokazywać różne sztuczki. Po udanym numerze całowała niedźwiedzia w pysk, a on cofał się grzecznie do szeregu. Niedźwiedzie były tak kudłate, że wyglądały jak bezpłciowe zabawki. Ale dlaczego kobieta uczyniła z pocałunku komendę? O ile mi wiadomo, niedźwiedzie się nie całują. I wtedy zrozumiałem, że pocałunek był dla publiczności, miał ją przerazić i rzucić na kolana. Byłem ciekaw, czy kobieta zrobiła to świadomie, czy uczyniła z pocałunku symbol pogardy i subtelną obrazę. Nigdy nie cierpiałem cyrku i zabraniałem dzieciom chodzenia tam. Nigdy też nie lubiłem sztuczek ze zwierzętami. Ale ta zafascynowała mnie na tyle, że obejrzałem ją od początku do końca. Może jakiś niedźwiedź sprawi mi miłą niespodziankę.

Po skończonym przedstawieniu zawędrowałem do kasyna, aby zamienić resztę pieniędzy na sztony, a następnie sztony na kwity. Była prawie jedenasta w nocy.

Zacząłem grać w crapa i zamiast robić małe zakłady, nagle zacząłem stawiać po pięćdziesiąt do stu dolarów. Przegrałem już trzy tysiące, kiedy za moimi plecami pojawił się Cully, prowadząc do stołu swoje grube ryby. Uśmiechnął się sardonicznie na widok dwudziestopięciodolarowych sztonów i moich zakładów.

– Już chyba wystarczy, co? – zapytał. Czułem się jak palant i gdy wypadła siódemka, zabrałem pozostałe sztony i wymieniłem je na kwity. Kiedy się odwróciłem, Cully już na mnie czekał.

– Napijmy się – zaproponował i poprowadził mnie do baru, gdzie z Jordaniem i Dianą zwykliśmy zalewać robaka. Z przyciemnionego wnętrza obserwowaliśmy jasno oświetlone kasyno. Kelnerka, która spostrzegła Cully'ego, podeszła do stolika w chwili, gdy przy nim usiedliśmy.

– Wyszło sztydło z worka – powiedział Cully – ten pieprzony hazard jest

jak malaria – zawsze wraca.

– W twoim przypadku też?

– Kilkakrotnie, ale to nic wielkiego. Ile przegrałeś?

– Około dwóch patyków. Większość forsy zamieniłem na kwity. Dzisiaj kończę.

– Jutro niedziela – powiedział Cully. – Mój przyjaciel prawnik będzie czekał, żebyś mógł sporządzić testament i wysłać go bratu. Potem przyssam się do ciebie jak pijawka, aż wsiądziesz do samolotu odlatującego do Nowego Jorku.

– Próbowaliśmy już czegoś takiego z Jordanem – odparłem kpiąco.

Cully westchnął.

– Dlaczego to zrobił? Szczęście mu sprzyjało. Mógł stać się zwycięzcą. Powinien się tego trzymać.

– Może nie chciał kusić losu – stwierdziłem, ale chyba sam w to nie wierzyłem, co Cully zauważył.

Następnego dnia rano Cully zadzwonił do mojego pokoju i zjedliśmy razem śniadanie. Potem podwiózł mnie do biura prawnika, gdzie sporządziłem testament w obecności świadków. Kilkakrotnie powtarzałem, że mój brat, Artie, musi otrzymać kopię dokumentu, aż w końcu Cully przerwał mi niecierpliwie.

– Wszystko zostało wyjaśnione – powiedział – nie martw się. Będzie precyzyjnie załatwione.

Kiedy opuściliśmy biuro, Cully obwiózł mnie po mieście i pokazał mi nową budowę. Wieża hotelu Sandsa jaśniała nowym złotym blaskiem pod pustynnym niebem.

– Miasto będzie jeszcze rosło – powiedział Cully.

Bezkresna pustynia rozciągała się aż do odległych gór.

– Jest mnóstwo miejsca – zauważyłem.

Cully zaśmiał się.

– Zobaczysz, hazard to przyszłość.

Zjedliśmy lekki lunch i dla uczczenia starych czasów poszliśmy do Sandsa z dwoma studolarowymi banknotami, aby zagrać w crapa. Cully powiedział kpiąco: „Widziałem dzisiaj kominiarza”, więc pozwoliłem mu rzucać. Jak zwykle miał pecha, ale zauważyłem, że nie wkłada w to serca. Gra nie sprawiała mu radości. Zmienił się. Potem pojechaliśmy na lotnisko, a on czekał, aż wejdem do hali odlotów.

– Zadzwoń do mnie, jeśli wpędzisz się w kłopoty – powiedział Cully. – Następnym razem nie zapomnij o kolacji z Groneveltem. Lubi cię, a dobrze jest mieć go po swojej stronie.

Przyznałem mu rację. Wyciągnąłem kwity kasowe z kieszeni. Kwity opiewające na trzydzieści tysięcy dolarów, płatne w hotelu Xanadu. Moje wydatki, gra i bilety lotnicze wyniosły około trzech tysięcy. Podałem kwity Cully’emu.

– Zatrzymaj je dla mnie – powiedziałem. – Zmieniłem zdanie.

Cully przeliczył białe papierki. Było ich dwanaście. Sprawdził kwoty.

– Ufasz mi? – zapytał. – Trzydzieści patyków to nie przelewki.

– Muszę komuś zaufać – odparłem – a poza tym widziałem, jak odrzuciłeś dwadzieścia patyków od Jordana, chociaż cienko przędłeś.

– Tylko dlatego, że mnie zawstydziłeś. Ale zaopiekuję się tym. Jeśli zrobi się gorąco, przeleję twoją forszę na moje konto – tak na wszelki wypadek. Abyś nie zostawił po sobie śladu.

– Dzięki, Cully. Dzięki za hotel, posiłki i wszystko. I dzięki za pomoc. – Czuję gwałtowny przypływ uczuć. Był jednym z moich niewielu przyjaciół. A i tak zdziwiło mnie, kiedy objął mnie na pożegnanie, zanim wsiadłem do samolotu.

Dopiero w odrzutowcu zagłębiającym się w ciemniejsze wschodnie strefy czasowe, uciekającym od zachodzącego, wtapiającego się w mrok słońca, pomyślałem o uczuciach Cully’ego do mnie. Znaliśmy się przecież od tak niedawna. Pomyślałem, że to dlatego, że obaj nie byliśmy ciekawi ludzi. Tak jak Jordan. I obaj byliśmy świadkami porażki Jordana i jego poddania się śmierci.

Zadzwoń z lotniska, aby powiedzieć Valerie, że przyjechałem dzień wcześniej. Ale nikt nie podnosił słuchawki. Nie chciałem dzwonić do domu jej ojca, więc pojechałem taksówką do Bronksu. Valerie wciąż nie było w domu. I znów poczułem znaną, irytującą zazdrość o to, że zabrała dzieci, by odwiedziły dziadków na Long Island. Ale potem pomyślałem – co tam. Dlaczego miałyby spędzać niedzielę sama w naszym blokowisku, kiedy mogła spotkać się ze swoją irlandzką rodziną, braćmi, siostrami i ich przyjaciółmi, gdzie dzieci mogły bawić się na świeżym powietrzu, na zielonej trawie.

Zaczekam na nią. Wkrótce będzie w domu. Tymczasem zadzwoniłem do

Artiego. Odebrała jego żona i powiedziała, że Artie poszedł się położyć, ponieważ nie czuł się najlepiej. Prosiłem, żeby go nie budziła, to nic pilnego. Z uczuciem lekkiej paniki zapytałem, co mu się stało. Odparła, że jest przemęczony pracą. Nawet nie było po co wzywać lekarza. Powiedziałem jej, że zadzwonię jutro do niego do pracy i odwiesiłem słuchawkę.

## Rozdział 15

Następny rok należał do najszcześniejszych okresów mojego życia. Czekałem na ukończenie budowy domu. Po raz pierwszy miałem stać się właścicielem swojego domu. W związku z tym czułem się trochę nieswojo. W końcu będę jak wszyscy inni. Wolny, niezależny od innych ludzi.

Myślę, że wzięło się to z głębokiego niesmaku z powodu mieszkania w osiedlu. Czarni i biali stopniowo się dorabiali i nie chcieli już tam mieszkać. Kiedy się wyprowadzali, ich miejsce zajmowali tak zwani nieprzystosowani. Ci, którzy wprowadzają się na ich miejsce, będą mieszkać w tych domach do końca swych dni. Ćpuny, alkoholicy, amatorzy alfonsi, drobni złodzieje i okazyjni gwałciciele.

Przed inwazją tej zbieraniny policja odtrąbiła odwrót na z góry upatrzone pozycje. Nowi mieszkańcy byli mniej spokojni i od razu zaczęli wszystko rozwalać. Kiedy wracałem z pracy, zastawałem puste butelki po whisky na klatce, a na ławkach przed domem gromadzili się pijacy. Były organizowane imprezy, które ściągały gliny z miasta. Kiedy dzieci wracały ze szkoły, Valerie odbierała je z przystanku. Nawet raz mnie zapytała, czy nie moglibyśmy przeprowadzić się do domu jej rodziców, zanim wybudują nasz. Stało się to po tym, jak zgwałcono i zrzuciono z dachu dziesięcioletnią Murzynkę.

Powiedziałem: „Nie, wytrzymamy. Zostaniemy”. Wiedziałem, o czym myśli, ale wstydziła się to głośno powiedzieć. Bała się czarnych. A ponieważ została wychowana i wykształcona w duchu liberalizmu i wiary w równość, nie mogła pogodzić się z faktem, że boi się czarnych.

Ja patrzyłem na to inaczej. Uważałem się za realistę, a nie bigota. To, co się działo, to zamiana nowojorskich osiedli w slumsy, nowe getta izolujące czarnych od reszty społeczeństwa. W efekcie osiedla stawały się *cordon sanitaire*. Takie małe harlemy pobielone miejskim liberalizmem. Zbierały się tu-

taj szumowiny białego społeczeństwa, ludzie, którzy nie byli w stanie utrzymać siebie i swoich rodzin, zbyt nieprzystosowani, aby utrzymać strukturę rodziny w całości. Kto tylko miał choć trochę pieniędzy, uciekał czym prędzej na przedmieścia, do prywatnych domów i wynajmowanych mieszkań w centrum. Ale wciąż jeszcze nie zmieniły się proporcje. Biali wciąż licznie przewyższali czarnych w stosunku dwa do jednego. Normalne rodziny, czarne i białe, wciąż stanowiły nieznaczną większość. Wydawało mi się, że osiedle powinno być bezpieczne przynajmniej przez rok, zanim się przeprowadzimy. Reszta gównu mnie obchodziła. W pewien sposób pogardzałem tymi ludźmi. Byli podobni do zwierząt, pozbawieni wolnej woli, zadowolający się egzystencją z dnia na dzień, ubarwioną wodą, prochami i pieprzeniem się dla zabicia czasu. Powoli osiedle stawało się jeszcze jednym pierdolonym sierocińcem. Ale jak to się stało, że nadal tutaj mieszkałem? Kim byłem?

Na naszym piętrze mieszkała młoda Murzynka z czwórką dzieci. Była mocno zbudowana, zmysłowa, zawsze wesoła i skora do żartów. Mąż ją opuścił, zanim wprowadziła się do osiedla i dlatego go nie znałem. Wzorowa matka w dzień: dzieci były zawsze schludnie ubrane, regularnie posyłane do szkoły; często widywałem je na przystanku. Matka nie uczestniczyła w wieczornych imprezach. Za to widywaliśmy ją, jak wystrojona po kolacji spieszyła na randkę, zostawiając dzieci same. Najstarsze z nich miało zaledwie dziesięć lat. Valerie tylko potrząsała głową, a ja mówiłem jej, że to nie nasza sprawa.

Ale pewnego wieczoru, kiedy już leżeliśmy w łóżkach, usłyszeliśmy wycie syreny strażackiej. W mieszkaniu czuć było spalenizną. Okna naszej sypialni były położone dokładnie na wprost mieszkania Murzynki i mogliśmy przez nie oglądać, jak scenę z filmu, płomienie tańczące w środku i małe dzieci biegnące tam i z powrotem po pokoju. Valerie wskoczyła w swoją nocną koszulę, porwała koc z łóżka i wybiegła z mieszkania. Pobiegnę za nią. Przybyliśmy na miejsce dokładnie w chwili, kiedy otworzyły się drzwi i czwórka dzieciaków wypadła z mieszkania, w którym rozpętało się istne piekło. Valerie pobiegła za dziećmi. Zastanawiałem się, co robi. Leciała jak opętana, ciągnąc koc po ziemi. Wtedy zobaczyłem to, co ona widziała wcześniej. Najstarsza dziewczynka, wychodząca na końcu, aby przepuścić młodszych, straciła równowagę. Całe plecy miała w ogniu. Wyglądała jak pochodnia paląca się ciemnoczerwonym płomieniem. Upadła. Zwijała się agonalnie na betonowej podłodze, kiedy Valerie doskoczyła do niej i owinęła ją w koc. Strażacy za-

czeli już gasić pożar i w hallu unosił się brudny, szary dym.

Strażacy przejęli inicjatywę i po chwili wróciliśmy z Valerie do mieszkania. Na drogach osiedlowych pojawiły się jazgoczące karetki. Wtedy nagle zobaczyliśmy tę Murzynkę w mieszkaniu naprzeciw. Waliła na oślep w szybę i głośno krzyczała. Krew spływała po jej ubraniu. Nie wiedziałem, co, do diabła, robi, i nagle zrozumiałem, że starała się nadziać na kawałki szkła. Strażacy wyłonili się za nią z brudnego dymu i zza potrzaskanych mebli. Odciągnęli ją od okna i po chwili zobaczyliśmy, jak zapiętą pasami znoszą ją na noszach do karetki.

Te tanie osiedla zostały tak zaprojektowane, aby ogień nie mógł rozprzestrzeniać się na inne kondygnacje. Spłonęło tylko jedno mieszkanie. Mała dziewczynka, pomimo groźnych poparzeń, miała wkrótce wyzdrowieć. Matkę już wypisali ze szpitala.

W sobotnie popołudnie tydzień później Valerie zabrała dzieci do dziadków, abym mógł spokojnie pracować nad książką. Pracowałem mi się bardzo dobrze, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi. Było tak delikatne, że ledwo usłyszałem je z kuchni.

Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem chudego, czekoladowego faceta. Miał lekki wąsik i rozprostowane włosy. Wymamrotał swoje nazwisko, a ja, choć go nie usłyszałem, skinąłem głową. Wtedy powiedział:

– Chcę tylko podziękować panu i pańskiej żonie za to, co zrobiliście dla mojego dziecka. – I wtedy dotarło do mnie, że był ojcem rodziny pogorzalców.

Zapytałem, czy nie chce wstąpić na drinka. Wiedziałem, że był bliski płaczu, upokorzony i zawstydzony tymi podziękowaniami. Powiedziałem, że żony nie ma w domu i że powiem jej o jego wizycie. Przekroczył próg, aby mnie nie obrazić, ale nie przyjął zaproszenia.

Robiłem, co mogłem, ale musiało po mnie być widać, że go nienawidziłem. Nienawidziłem go od pożaru. Był jednym z tych czarnych facetów, którzy zostawiają swoje żony i dzieci, aby nieźle się bawić i żyć własnym życiem. Czytałem co nieco o rozbitych czarnych rodzinach w Nowym Jorku. I o tym, jak trudności w przystosowaniu i organizacja społeczeństwa zmuszają ich do opuszczenia rodzin. Rozumiałem to, ale emocjonalnie byłem przeciwny. Kim, kurwa, byli, aby żyć własnym życiem? Ja tak nie mogłem.

Wtedy zobaczyłem łzy płynące po jego twarzy. I zauważyłem, że nad brązowymi oczami ma długie rzęsy.

– Och, człowieku – powiedział – moja dziewczynka zmarła dziś rano. Zmarła w szpitalu. – Wyglądał, jakby miał zemdleć, ale podtrzymałem go. – Miała wyzdrowieć, oparzenia nie były tak groźne, ale umarła. Poszedłem ją odwiedzić i każdy w szpitalu mi się przyglądał. To ja byłem jej ojcem? Gdzie byłem? Co robiłem? Winią mnie za to, wiesz?

Valerie trzymała butelkę żytniówki, na wypadek, gdyby ojciec i bracia przyszli ją odwiedzić. Zwykle ani ja, ani ona nie piliśmy. Nie wiedziałem, gdzie, do diabła, schowała tę butelkę.

– Poczekaj chwilę – powiedziałem do płaczącego. – Musisz sobie chlapnąć.

Znalazłem w kuchni butelkę i dwie szklanki. Piliśmy czystą i zauważyłem, że już się lepiej czuje. Dochodził do siebie. Obserwując go, zrozumiałem, że nie przyszedł, aby podziękować ludziom, którzy pomogli jego córce. Przyszedł, aby wylać swój smutek i poczucie winy. Więc słuchałem go i zastanawiałem się, czy widział oskarżenie wypisane na mojej twarzy.

Opróżnił szklankę, a ja mu dolałem. Opadł ciężko na sofę.

– Wiesz, nigdy nie chciałem opuścić żony i dzieci. Ale ona była zbyt żywotna, zbyt silna. Ciężko pracowałem. Miałem dwie posady i oszczędzałem pieniądze. Chciałem kupić dom i dobrze wychować dzieci. Ale ona chciała się zabawić. Była za silna i musiałem odejść. Próbowiałem częściej widywać dzieci, ale nie pozwalała mi. Gdybym dał jej więcej pieniędzy, wydałaby je na siebie, a nie na dzieci. Zaczęliśmy się coraz bardziej oddalać od siebie. Znalazłem kobietę, która chciała żyć tak jak ja. I tak stałem się obcym człowiekiem dla moich własnych dzieci. I teraz wszyscy będą mnie winić za śmierć mojej małej. A przecież nie należę do tych, którzy zostawiają swoje stare, aby iść własną drogą.

– To twoja żona zostawiła dzieci same – powiedziałem.

– Nie można jej winić – westchnął. – Wariuje, jak zostaje wieczorem w domu. I nie ma pieniędzy na piastunkę. Mogłem tylko wytrzymać z nią albo ją zabić – jedno z dwojga.

Nic nie mówiłem, tylko go obserwowałem, a on obserwował mnie. Wiedziałem, jak czuje się upokorzony, ponieważ opowiadał to wszystko nieznanemu, i do tego białemu mężczyźnie. I wtedy zrozumiałem, że byłem jedyną osobą, której mógł wyznać swój wstyd. Ponieważ ja naprawdę się nie liczyłem i ponieważ Valerie zdusiła płomień na plecach jego córki.

– Omal się nie zabiła tej nocy – powiedziałem.



Znów wybuchnął płaczem.

– Och, jak ona kocha dzieci. To nic, że je zostawia. I tak je kocha. Nigdy sobie tego nie daruje – o to się boję. Zapije się na śmierć, stoczy się, człowieku. Nie wiem, co mogę dla niej zrobić.

Nic nie mogłem na to powiedzieć. Skrycie myślałem sobie, że mam dzień z głowy. Nie będę w stanie nawet przebrnąć przez notatki. Zaproponowałem mu coś do jedzenia. Dopił drinka i wstał. I znów wyraz upokorzenia i wstydu zagościł na jego twarzy, kiedy jeszcze raz dziękował za to, co Valerie zrobiła dla jego córki. Po czym wyszedł.

Kiedy żona wróciła z dziećmi do domu i opowiedziałem jej, co się stało, poszła płakać do sypialni. Ja robiłem kolację dla dzieci. Pomyślałem sobie, że potępiłem człowieka, zanim go poznałem. Na podstawie przeczytanej literatury umieściłem go w konkretnej szufladce pomiędzy pijakami i ćpunami. A on przecież uciekał od swoich ziomeków, od biedy, pragnął wydostać się z zaklętego kręgu, w którym się urodził. I zostawił swoją córkę na pastwę ognia. Nigdy sobie nie wybaczy, jego samoocena była o wiele surowsza niż to, na co ja go skazałem w swojej ignorancji.

Tydzień później małżeństwo włóczęgów po drugiej stronie korytarza wdało się w bójkę i on podciął jej gardło. Byli biali. Ona miała kochanka, który nie stanął w jej obronie. Na szczęście nie była to śmiertelna rana i imprezowa małżonka wyglądała potem teatralno-romantycznie z białymi bandażami spowijającymi jej szyję.

Wiedziałem, że wyprowadzamy się we właściwym czasie.

## Rozdział 16

Łapówkowy interes kwitł w najlepsze w biurze rezerwy armii. Po raz pierwszy w swojej karierze urzędniczej otrzymałem wyśmienitą ocenę. Z konieczności studiowałem wszystkie skomplikowane przepisy prawne i stałem się w końcu najlepszym specjalistą na tym polu.

Dzięki swej wiedzy wynalazłem system wahadłowy dla moich klientów. Kiedy kończyli sześciomiesięczną służbę i przechodzili do mojej jednostki rezerwy na spotkania i dwa tygodnie obozu letniego, neutralizowałem ich. Wyszukałem doskonały, legalny system, pozwalający im na omińnięcie drugiej części imprezy. Mogłem im teraz po sześciu miesiącach aktywnej służby zaproponować wciągnięcie na listę „rezerwy rezerwy”, powoływanej tylko w czasie wojny. Żadnych cotygodniowych spotkań, żadnych obozów letnich. Oczywiście cena poszła w górę. I jeszcze jedno: pozbywając się ich, zwalniałem miejsce dla innych.

Pewnego ranka rozłożyłem „Daily News” i zobaczyłem tam zdjęcie trzech młodych mężczyzn. Dwóch z nich wciągnąłem na listę zaledwie wczoraj. Dwieście dolców każdy. Serce zaczęło mi walić i zrobiło mi się niedobrze. Cóż to może być, jeśli nie początek końca? Bomba wybuchła. Zmusiłem się, aby przeczytać notatkę. Ten facet w środku był synem największego polityka stanu Nowy Jork. Notatka piała peany na cześć syna znanego polityka, zaciągającego się na ochotnika do armii – to wszystko.

A jednak fotografia w gazecie przeraziła mnie. Zobaczyłem się w więzieniu i moją rodzinę zdaną na pastwę losu. Oczywiście wiedziałem, że rodzice żony zaopiekują się nią i dziećmi, ale mnie tam nie będzie. Stracę rodzinę. Jednak kiedy poszedłem do biura i opowiedziałem o tym Frankowi, roześmiał się i powiedział, że to wspaniale. Dwóch z moich płatnych klientów na pierwszej stronie „Daily News”. Po prostu wspaniale. Wyciął fotografię

i przypiął ją na tablicy ogłoszeń swoich oddziałów. My dwaj świetnie się bawiliśmy. Major myślał, że ten wycinek ma służyć podniesieniu morale.

Ta zabawna historia w pewnym stopniu uspiła moją czujność. Tak jak Frank zacząłem wierzyć, że będzie to się ciągnąć w nieskończoność. I mogłoby tak być, gdyby nie kryzys berliński, po którym prezydent Kennedy zdecydował się powołać setki tysięcy oddziałów rezerwy. Nie wróżyło to dobrze.

Kiedy rozeszły się wieści o powołaniu rezerwy na rok czynnej służby, sztab zmienił się w dom wariatów. Poborowi, którzy zapłacili, aby dostać się na sześciomiesięczny kurs, oszaleli. Wściekli się. Najgorsze, że byli tam najwięksi młodzi pyskacze w kraju. Początkujący prawnicy, maklerzy z Wall Street, geniusze reklamy i wszyscy oni dali się oszukać armii Stanów Zjednoczonych. Wpieprzyli się w sześciomiesięczny program, zostali oszukani, sprzedani, złapani na jeden mały haczyk, na który nie zwracali uwagi. Nie przypuszczali, że mogą zostać powołani do czynnej służby. Miastowe chłopaki w barakach. Nie byłem tym zachwycony, chociaż pogratulowałem sobie w myślach tego, że nie skusiły mnie łatwe pieniądze rezerwy. A jednak moje dochody szlag trafił. Nie będzie już co miesiąc tysiąca dolarów wolnych od podatku. A wkrótce mieliśmy się przeprowadzić do nowego domu na Long Island. Nie przyszło mi do głowy, że właśnie nadciąga katastrofa, którą dawno temu przewidziałem. Byłem zbyt zajęty ogromem papierkowej roboty, związanej z przejściem moich jednostek do czynnej służby.

Trzeba było przyjąć zaopatrzenie i mundury, wydać rozkazy treningowe. Zaczęło się powoływanie do wojska zeszlórocznych rezerwistów. Wszyscy wiedzieli, że armia ma swoje prawa. Szczególnie uderzyło to tych, którzy już od trzech, czterech lat służyli w rezerwie i byli tuż-tuż od wolności. Podczas tych kilku lat rozwinęli skrzydła, pożenili się, narobili dzieci. Czuli się spokojni i bezpieczni. I nagle to wszystko okazało się iluzją.

A pamiętajcie, że były to najzdolniejsze dzieciaki Ameryki, przyszli potentaci finansowi, sędziowie, idole rockowi. Nie przyjęli tego spokojnie. Jeden młody człowiek, wspólnik swojego ojca na giełdzie, skierował żonę do szpitala psychiatrycznego i starał się o zwolnienie z wojska ze względu na jej załamanie nerwowe. Wysłałem te wszystkie papiery, oficjalne zaświadczenia od lekarzy i ze szpitala. Nie pomogło. Waszyngton odbierał codziennie tysiące takich listów i wydawało się, że kłopoty tego typu nikogo nie wybawią. Biedny facet otrzymał odpowiedź, że gdy rozpocznie służbę czynną, rozpatrzeniem jego prośby zajmie się Czerwony Krzyż. Czerwony Krzyż musiał

robić dobrą robotę, ponieważ miesiąc później, kiedy przeniesiono jednostkę tego faceta do fortu Lee w Wirginii, jego załamana nerwowo żona przyszła do mojego biura i złożyła podanie o przyjęcie jej do służby do tego obozu. Była pogodna i najwyraźniej cieszyła się dobrym zdrowiem. Na tyle dobrym, że nie mogła już zostać w szpitalu. A może lekarze nie byli w stanie już dłużej kryć oszustwa.

Również pan Hiller dzwonił do mnie w sprawie syna, Jeremy'ego. Powiedziałem mu, że nic nie jestem w stanie poradzić. Naciskał mnie i naciskała, a ja powiedziałem żartem, że gdyby jego syn był homoseksualistą, mogłoby go to zwolnić od czynnej służby. W słuchawce zapadła głucha cisza, dopiero po chwili Hiller podziękował mi i się rozłączył. Oczywiście dwa dni później Jeremy przyszedł do mojego biura i wypełnił stosowne podanie, mające świadczyć o jego homoseksualizmie. Ostrzegłem go, że ta notatka na zawsze pozostanie w jego aktach, że może kiedyś tego żałować. Widziałem, że niechętnie to robi, ale w końcu powiedział: „Mój ojciec mówi, że lepsze to niż być zabitym na wojnie”.

Wysłałem papiery. Wróciły z kwatery Pierwszego Sztabu Armii na Governors Island. Hiller został powołany, a jego sprawę rozpatrzy komisja regularnej armii. Jeszcze jedno pudło.

Byłem zdumiony, że nie zadzwonił do mnie Eli Hemi. Syn producenta odzieży, Paul, nawet się nie pokazał w moim biurze. Tajemnica wyjaśniła się, kiedy dostałem dokumenty od znanej sławy psychiatrycznej, autora wielu naukowych publikacji. Dokumenty zaświadczały, że Paul Hemi został poddany terapii elektrowstrząsów z powodu złej kondycji psychicznej podczas ostatnich kilku miesięcy i nie może zostać powołany do czynnej służby, ponieważ mogłoby to zagrażać jego zdrowiu. Sprawdziłem w przepisach. Oczywiście pan Hemi znalazł wyjście z sytuacji. Musiał mu to doradzić ktoś stojący wyżej ode mnie. Przesłałem jego papiery na Governors Island. Wkrótce wróciły wraz ze zwolnieniem Paula Hemsiego z Rezerwy Armii Stanów Zjednoczonych. Zastanawiałem się, ile to kosztowało jego ojca.

Starałem się pomóc każdemu, kto znalazł się w trudnym położeniu. Pilnowałem, aby dokumenty dotarły do kwatery na Governors Island i dzwoniłem w tej sprawie. Innymi słowy, starałem się pomóc moim klientom, jak tylko mogłem najlepiej. Inaczej niż Frank Alcore.

Frank został powołany do czynnej służby wraz ze swoją jednostką. Stawiał to sobie za punkt honoru. Nawet nie próbował wymigać się od wojska, cho-

ciaż jego żona, dzieci, starzy rodzice byłiby doskonałą wymówką. Miał bardzo mało współczucia dla tych z jego jednostki, którzy starali się uniknąć rocznej służby. Jako oficer administracyjny batalionu i jako starszy sierżant był w stanie załatwić zwolnienie ze służby. Robił co mógł, aby jak najmniej osób dostało zwolnienie. Żaden z jego ludzi nie dostał odroczenia, nawet jeśli mieli słuszne powody. Większość z nich to ci, którzy zapłacili mu mnóstwo forsy za dostanie się na sześciomiesięczny kurs rezerwy. Zanim Frank ze swoimi jednostkami opuścił miasto i zakwaterował się w forcie Lee, sprawa ta zepsuła dużo krwi.

Wielu żartowało sobie ze mnie, że nie dałem się złapać rezerwie i że musiałem coś wiedzieć. Ale były to żarty przemieszane z szacunkiem. Byłem jedynym facetem wokół, który nie dał się skusić łatwymi pieniędzmi i stosunkowym bezpieczeństwem. Byłem trochę z siebie dumny. Tak naprawdę to przemyślałem to sobie kilka lat temu. Korzyść materialna nie rekompensowała możliwego, choć małego zagrożenia. Szanse powołania do czynnej służby były jak jeden do tysiąca, ale i tak oparłem się pokusie. A może przewidziałem przyszłość? Jak na ironię, w pułapkę dało się złapać mnóstwo żołnierzy walczących w drugiej wojnie światowej. Nie mogli w to uwierzyć. Ci, którzy walczyli trzy, cztery lata w starej wojnie, teraz musieli znów wskoczyć w zielone szmaty. Prawda, że większość z wiarusów nie uczestniczyła w walce, ale i tak byli wkurwieni. Nie było to uczciwe. Tylko Frank Alcore zdawał się nie mieć nic przeciwko temu. „Zbierałem śmietankę – mawiał – teraz muszę za nią zapłacić. Merlyn, zawsze myślałem, że jesteś głupkiem, a teraz okazało się, że jesteś największym spryciarzem z nas wszystkich”.

Pod koniec miesiąca, kiedy prawie wszyscy już wyjechali, kupiłem Frankowi prezent. Był to zegarek na rękę ze wszystkimi bajerami i kompasem. Całkowicie wstrząsoodporny. Kosztował mnie dwieście dolców, ale naprawdę lubiłem Franka. I myślę, że czułem się trochę winny, ponieważ on jechał, a ja nie. Był tak wzruszony prezentem, że objął mnie czule na pożegnanie.

– Możesz go zawsze zastawić, kiedy będzie ci się źle działo – powiedziałem. Roześmialiśmy się obaj.

Przez następne dwa miesiące budynek kwatery był dziwnie pusty i cichy. Połowa jednostek wyruszyła już na roczną służbę. Sześciomiesięczny program umarł śmiercią naturalną, już nie był to taki świetny interes. Wypadłem z kursu. Nie było nic do roboty, dlatego pracowałem w biurze nad powieścią. Major, tak samo jak i sierżant czynnej armii, byli prawie nieobecni. I ponie-

waż Frank został powołany, prawie cały czas byłem sam w biurze. Któregoś spokojnego dnia młody facet przyszedł do mojego biura i usiadł przy biurku. Zapytałem go, co mogę dla niego zrobić. Zapytał mnie, czy go sobie przypominam. Miałem mgliste wspomnienia, więc podał swoje nazwisko: Murray Nadelson.

– Zrobił mi pan przysługę – rzekł. – Moja żona miała raka.

I wtedy przypomniałem sobie wszystko. Miało to miejsce prawie dwa lata temu. Jeden z moich szczęśliwych klientów zaaranżował mi spotkanie z Murrayem Nadelsonem. Poszliśmy we trójkę na lunch. Ten klient to świetnie prosperujący makler z Wall Street o nazwisku Buddy Stove. Zręczny krętacz. Wtedy powiedział mi, że żona Murraya Nadelsona ma raka. Jej kuracja była droga i Murray nie mógł pozwolić sobie na opłacenie mnie. Był także przerażony tym, że może zostać na dwa lata wysłany gdzieś za morze. Zapytałem, dlaczego nie stara się o odroczenie ze względu na zły stan zdrowia żony. Mówił, że próbował, ale podanie zostało odrzucone.

Nie brzmiało to dobrze, ale pozwoliłem mu skończyć. Buddy Stove wyjaśnił, że jedną z wielkich zalet sześciomiesięcznego programu była służba w kraju, i że wobec tego Murray mógłby mieszkać wraz z żoną koło bazy treningowej. Chcieli też, żeby po sześciu miesiącach został przeniesiony do grupy kontrolnej, aby nie musiał przychodzić na spotkania. Powinien spędzać ze swoją żoną jak najwięcej czasu.

Pokiwałem głową; dobrze, zrobię to. Wtedy Buddy Stove odkrył wszystkie karty. Chciał, abym zrobił to za darmo. Bez opłaty. Jego przyjaciel, Murray, nie mógł wydać ani centa.

Murray nie patrzył mi w oczy, głowę trzymał nisko pochyloną. Pomyślałem, że to oszustwo, tylko że nie mogłem sobie wyobrazić, aby można było powiedzieć, że żona ma raka, wyłącznie po to, by wymigać się od opłaty. I wtedy coś mnie tknęło. Co będzie, jeśli wszystko się wyda i w gazetach napiszą o mnie: „Oto facet, który wymusił łapówkę na zrozpaczonym mężu”. Wyszedłbym na najgorszego łajdaka przed światem i przed sobą. Dlatego powiedziałem: „Jasne, dobra” i wspomniałem coś jeszcze o tym, że żona Murraya wyzdrowieje. I tak skończył się ten lunch.

Byłem trochę wkurwiony. Regularnie umieszczałem na liście każdego, kto mówił, że nie może sobie pozwolić na taki wydatek. Zdarzało się to mnóstwo razy. Obciążylem tym konto swojej dobrej woli. Przeniesienie do grupy kontrolnej w rezerwie na pięć i pół roku było warte mnóstwo forsy. Wtedy po raz

pierwszy poproszono mnie, abym zrobił to za darmo. Sam Buddy Stove zapłacił pięćset dolarów za tę szczególną przysługę plus dwieście za wciągnięcie go na listę.

Zrobiłem wszystko, co trzeba, gładko i prosto. Murray Nadelson odsłużył swoje sześć miesięcy, potem ukryłem go w grupie kontrolnej, gdzie był tylko nazwiskiem. Co, u diabła, robił teraz przy moim biurku? Potrząsnąłem głową i czekałem.

– Dostałem telefon od Stove’a – powiedział Murray. – Został powołany z grupy kontrolnej. Potrzebowali kogoś z jego umiejętnościami w jednej z jednostek i przenieśli go do służby czynnej.

– Ma pecha ten Buddy – rzekłem. Mój głos nie był zbyt współczujący, nie chciałem, aby myślał, że mam zamiar mu pomóc.

Ale Murray Nadelson patrzył mi prosto w oczy, jakby zbierał odwagę, aby mi coś powiedzieć. A ja odchyliłem się do tyłu na krześle i powiedziałem:

– Nie mogę nic dla niego zrobić.

Nadelson potrząsnął stanowczo głową.

– On o tym wie. – Zamilkł na chwilę. – Wie pan, nigdy panu tak naprawdę nie podziękowałem za to, co pan dla mnie zrobił. Był pan jedynym bezinteresownym człowiekiem. Chcę panu powiedzieć to tylko ten jeden raz. Nigdy nie zapomnę, co pan dla mnie zrobił. Dlatego do pana przyszedłem. Może teraz ja będę w stanie panu pomóc.

Zakłopotало mnie to. Nie chciałem, żeby oferował mi pieniądze. Co było, minęło. Poza tym podobała mi się myśl o dobrym uczynku, który spełniłem.

– Nie ma o czym mówić – powiedziałem. Wciąż byłem niespokojny. Nie chciałem pytać go o żonę, nigdy nie uwierzyłem w tę historię. Czułem się niezręcznie z powodu jego wdzięczności za sympatię, jaką go obdarzyłem. Przecież to tylko normalne stosunki międzyludzkie.

– Buddy prosił, żebym do pana przyszedł – rzekł w końcu Nadelson. – Chciał pana ostrzec, że w forcie Lee pełno jest agentów FBI, wypytyjących chłopaków z pana jednostek. Wie pan, o pieniądze za dostanie się na listę. Wypytywali o pana i Franka Alcore’a. Wygląda na to, że pański przyjaciel ma poważne kłopoty. Około dwudziestu chłopaków zeznało, że go przekupiło. Buddy mówi, że za kilka miesięcy w Nowym Jorku ma się odbyć jego proces. Nie wie nic na pana temat. Chciałby pana ostrzec przed nierozważnymi krokami. Jeśli potrzebuje pan prawnika, on panu go załatwi.

Przez chwilę nawet nie dostrzegłem Nadelsona. Miałem ciemność przed

oczami. Żołądek niemal wyskoczył mi z gardła. Opadłem na krzesło. Opętały mnie szaleńcze myśli o niesławie i aresztowaniu. Valerie przerażona, jej ojciec wściekły, mój brat, Artie, zawstydzony i zawiedziony. Nie było to już bez troskie odgrywanie się na społeczeństwie. Nadelson czekał, aż coś powiem.

– Jezu Chryste – wymamrotałem. – Jak na to wpadli? Nie było żadnych akcji przed poborem. Kto ich napuścił?

Nadelson wydawał się czuć winnym za swoich kolegów „po łapówce”. Kilku kolesiów tak się wkurwiło, kiedy dostali kartę powołania, że napisali anonimowy list do FBI o tym, jak to zapłacili za umieszczenie na liście sześciomiesięcznego programu rezerwy. Chcieli, żeby Alcore za to beknął, i obwiniali go. Niektórzy byli wkurwieni, ponieważ odrzucił ich podania o odroczenie. Poza tym w obozie on zgrywał starego trepa i to też się nie podobało. Dlatego postanowili go udupić i się im udało.

Myśli kłębiły mi się w głowie. To już prawie rok, od kiedy zadekowałem forszę u Cully’ego. Przez ten czas zdążyłem zebrać kolejne piętnaście tysięcy. No i miałem się wkrótce przenieść do nowego domu na Long Island. Wszystko waliło się w najmniej odpowiednim momencie. FBI przesłuchuje wszystkich w forcie Lee; było tam ponad stu moich klientów. Ilu z nich zezna, że dali mi pieniądze?

– Czy Stove jest pewien, że będą sądzić Franka? – zapytałem Nadelsona.

– Muszą. Chyba że rząd ukręci łeb tej sprawie, no wie pan, pochowają głowy w piasek.

– Czy jest jakaś szansa?

Murray potrząsnął przecząco głową.

– Nie, ale Buddy mówi, że powinien pan na to gwizdać. Wszyscy chłopcy od pana uważają, że jest pan klawym facetem. Nigdy nie naciskał pan o forszę, a Alcore tak. Nikt nie chce pana krzywdy. Buddy pouczył wszystkich, żeby pana w to nie mieszać.

– Podziękuj mu ode mnie – powiedziałem.

Nadelson wstał i uścisnął mi dłoń.

– Jeszcze raz chcę panu podziękować – rzekł. – Jeśli będzie panu potrzebny świadek pańskiej uczciwości, czy ktoś z kim będzie chciało rozmawiać FBI, proszę tylko zadzwonić. Zrobię, co w mojej mocy.

Odwzajemniłem jego uścisk. Byłem mu naprawdę wdzięczny.

– Czy mogę coś dla pana zrobić? – zapytałem. – Może odwołać pana



z grupy kontrolnej?

– Nie – odparł Nadelson. – Mam synka, pamięta pan? Moja żona umarła dwa miesiące temu. Jestem bezpieczny.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy to mówił. Głos miał przepełniony gorzką pogardą dla samego siebie. Twarz wyrażała wstyd i nienawiść. Winił się za to, że żyje. A jednak nie pozostało mu nic innego, jak kroczyć ścieżką wytyczoną przez życie. Musiał zająć się synkiem, chodzić do pracy co rano i spełnić prośbę przyjaciela: ostrzec mnie i podziękować za coś, co kiedyś miało dla niego znaczenie, a teraz zupełnie je straciło. Złożyłem mu kondolencje. Teraz mu wierzyłem, wiedziałem już, że to klasa facet. Czułem się jak kupa gówna, ponieważ posądzałem go niesłusznie. Być może zostawił to na koniec dlatego, że wiedział, co myślałem o jego chorej żonie dwa lata temu, kiedy Buddy Stove błagał o pomoc dla niego, a on trzymał spuszczoną głowę. Taki mały rewanz był mu bardzo potrzebny.

Spędziłem cały tydzień w strachu, zanim spadł ten miecz Damoklesa. Afera wybuchła w poniedziałek. Byłem zdziwiony, że major przyszedł do biura o bladym, jak na jego zwyczaje, świcie. Spojrzał na mnie dziwnie i zniknął w swoim biurze.

Punktualnie o dziesiątej weszło do biura dwóch mężczyzn, pytając o majora. Od razu wiedziałem, kim są. Wyglądali dokładnie tak, jak opisują ich w książkach. Ubrani tradycyjnie: pod krawatem, w garniturach i kapeluszach. Starszy miał około czterdziestu pięciu lat i kanciastą, lekko znudzoną twarz. Ten drugi był jakby z innej pary. Był dużo młodszy, żyłasty i miał posturę faceta, który w życiu nie uprawiał sportu. Pod ubraniem uwidaczniała się wkleśła klatka piersiowa. Miał młodziutką i przystojną twarz zdradzającą dobre usposobienie. Wskazałem im biuro majora. Spędzili u niego około pół godziny. Kiedy wyszli, skierowali się do mojego biurka. Starszy zapytał oficjalnie:

– Czy obywatel Merlyn?

– Tak – odrzekłem.

– Czy możemy porozmawiać chwilę na osobności? Mamy pozwolenie pańskiego przełożonego.

Wstałem i zaprowadziłem ich do jednego z pokoi, które służyły za sale wykładowe garnizonu rezerwy. Obydwaj momentalnie otworzyli swoje portfele, ukazując zielone legitymacje. Starszy przedstawił się:

– Nazywam się James Wallace. Jestem funkcjonariuszem Federalnego Urzędu Śledczego. A to Tom Hannon.

Facet nazwiskiem Hannon posłał mi przyjacielski uśmiech.

– Chcemy zadać panu kilka pytań. Nie musi pan na nie odpowiadać bez porozumienia się z adwokatem. Ale jeśli pan zdecyduje się jednak odpowiedzieć, wszystko może być użyte przeciwko panu. OK?

– OK – odpowiedziałem. Usiadłem przy stole, a oni naprzeciwko, tak że byłem jak w kleszczach.

Starszy, Wallace, zapytał:

– Czy domyśla się pan, dlaczego tu jesteśmy?

– Nie – odrzekłem. Postanowiłem, że nie dam się złapać na tanie numery. Nie będę robił niczego, żeby im ułatwić rozmowę. Mogli wiedzieć, że domyślałem się, po co tu przyszli, ale cóż z tego?

Hannon zapytał:

– Czy wie pan coś o braniu od rezerwistów łapówek przez Franka Alcore'a?

– Nie. – Moja twarz pozostała beznamiętna. Postanowiłem się nie zgrywać. Żadnego zdumienia, uśmiechów, które mogłyby wywołać dodatkowe pytania czy ataki. Niech myślą, że kryję kolegę. Byłoby to naturalne, nawet gdybym był niewinny.

– Czy kiedykolwiek za cokolwiek brał pan pieniądze od rezerwistów? – zapytał Hannon.

– Nie.

Wallace mówił wolno i z rozmysłem.

– Wie pan o wszystkim. Wciągał pan młodych ludzi na listę tylko wtedy, kiedy zapłacili panu za to. Wraz z Alcore'em manipulowaliście tymi listami. Jeśli pan zaprzeczy, będzie to kłamstwo przed oficerem federalnym, a to jest karalne. Pytam jeszcze raz, czy kiedykolwiek otrzymał pan pieniądze lub inne dobra za przesunięcie czyjegoś nazwiska na liście?

– Nie.

– Mamy pańskiego koleśia Franka Alcore'a – zaśmiał się nagle Hannon. – Zeznał, że byliście współnikami. I być może był pan w zмовie z innymi cywilnymi pracownikami w budowaniu tego łapówkowego interesu. Jeśli pójdzie pan na współpracę i powie nam grzecznie o wszystkim, będzie to tylko z korzyścią dla pana.

Nie było to pytanie, dlatego patrzyłem na niego wyczekująco, nic nie mówiąc.

– Wiemy, że był pan głównymmacherem w tym interesie – wtrącił spokoj-

nym, beznamiętnym głosem Wallace. I wtedy po raz pierwszy złamałem swoje postanowienie. Wybuchnąłem śmiechem. Był to tak naturalny śmiech, że nie mogli poczuć się obrażeni. Nawet, jak widziałem, Hannon uśmiechnął się półgębkiem.

To określenie „głównymacher” tak mnie rozbawiło. Po raz pierwszy poczułem się jak w kinie na kiepskim filmie. Spodziewałem się, że usłyszę coś takiego raczej z ust Hannona – wyglądał na niedoświadczonego żółtodzioba. Pomyślałem, że Wallace to niebezpieczny typ choćby dlatego, że był starszy rangą.

Zaśmiałem się też, ponieważ teraz wiedziałem, że zmierzają w ślepią uliczkę. Poszukiwali zakonspirowanej „komórki” kierowanej przez „mózg”. Gdyby było inaczej, FBI nie zainteresowałaby się w ogóle tą sprawą. Nie mogli wiedzieć, że to tylko para urzędasów postanowiła dorobić sobie kilka dolców do pensji. Zapomnieli i nie chcieli zrozumieć, że mieszkamy w Nowym Jorku, gdzie co dzień każdy w taki czy inny sposób łamie prawo. Zdawali się nie dostrzegać, że tutaj każdy sobie rzepkę skrobie. Ale nie chciałem ich wkurwić, dlatego spojrzałem Wallace’owi prosto w oczy i powiedziałem żałośnie:

– Chciałbym być kiedyś głównymmacherem od czegokolwiek zamiast zwykłym urzędasem.

Wallace zmierzył mnie wzrokiem.

– Masz coś jeszcze? – zapytał Hannon.

Hannon potrząsnął głową.

Wallace wstał.

– Dziękujemy za pański czas – powiedział.

Hannon podniósł się z krzesła, zrobiłem to samo. Staliśmy tak przez chwilę obok siebie, po czym machinalnie podałem Wallace’owi rękę. Uścisnął ją. Tak samo Hannon. Wyszliśmy z sali. Skinęli mi głowami na pożegnanie i skierowali się schodami do wyjścia. Wróciłem do siebie.

Byłem całkowicie opanowany, zupełnie spokojny. Wcale nie zdenerwowałem. Zastanowiłem się nad tym wyciąganiem grabuli. Myślę, że przełamało to moje wewnętrzne napięcie. Dlaczego to zrobiłem? Sądzę, że był to gest wdzięczności za nieupokorzenie i niezastraszenie mnie. Za to, że pilnowali, aby przesłuchanie było cywilizowane. Zauważyłem, że mieli dla mnie współczucie. Oczywiście byłem winien, ale na małą skalę. Ot, biedny urzędas zagarniający kilka dolców. Jasne, gdyby mogli, wsadziliby mnie do pudła, ale oświadczyli mi i nie chcieli tego robić. A być może byłem dla nich

zbyt małym kąskiem do ugryzienia? Może sami nie byli w stanie powstrzymać się od śmiechu na myśl o tym przestępstwie. Faceci płacą, żeby dostać się do woja. Zaśmiałem się. Czterdzieści pięć patyków to nie kilka nędznych docłów. Najwyraźniej zaczynałem się nad sobą użalać.

Kiedy tylko wróciłem do biura, major poprosił mnie do siebie. Na mundurze miał takie małe bibelociki. Walczył w drugiej wojnie światowej i w Korei i miał nad kieszenią przynajmniej dwadzieścia baretek.

– No i jak wypadłeś? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Myślę, że dobrze.

Major pokręcił głową ze zdumieniem.

– Powiedzieli mi, że to trwało od lat. Jak, do diabła, to się wam, chłopaki, udawało? – Jeszcze raz potrząsnął głową z podziwem.

– Myślę, że to sranie w banie – powiedziałem. – Nigdy nie widziałem, żeby Frank brał od kogoś choćby dziesięć centów. Po prostu jakiś wkurwiony szczeniak chciał mu dopiec.

– Taa – odrzekł major – ale jest tam ze stu facetów, którzy pojedą zeznać przed sądem. To nie sranie w banie. – Przez chwilę patrzył na mnie z uśmiechem. – W jakiej jednostce służyłeś na wojnie?

– W Czwartej Zmotoryzowanej.

– Dostałeś Brązową Gwiazdę. Niewiele, ale zawsze coś. – On miał Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce, co widać było na baretkach.

– Tak, to niewiele – odparłem. – Ewakuowałem francuskich cywilów spod ognia artyleryjskiego. Myślę, że nawet nie zabiłem żadnego Niemca.

Major pokiwał głową.

– Niewiele – zgodził się. – Ale więcej niż kiedykolwiek osiągnęli ci chłopcy. Dlatego jeśli będę mógł ci pomóc, to daj mi znać, dobrze?

– Dzięki – odrzekłem.

Kiedy wstałem, major powiedział gniewnie, jakby do siebie:

– Te skurwiele zadawały mi pytania. Odpowiedziałem, żeby poszli się wybranzłować. Mnie też podejrzewają.

– Potrząsnął głową. – Dobra, uważaj na siebie.

Bycie przestępcą amatorem nie popłaca. Zacząłem na wszystko reagować tak, jak morderca przechodzący psychologiczne męki na filmie. Ile razy roz-

legało się dzwonienie do drzwi, skakałem na równe nogi. Myślałem, że to gliny czy FBI. Oczywiście za każdym razem byli to sąsiedzi, znajomi Valerie, którzy wpadali na pogaduszki albo żeby coś pożyczyć. W biurze agencji FBI odwiedzali mnie regularnie, zwykle z jakimś młodym człowiekiem, który miał mnie rozpoznać. To na pewno byli rezerwiści, którzy zapłacili za miejsce na liście. Pewnego razu Hannon wpadł, aby pogadać, a ja poszedłem po kawę i kanapki dla nas i dla majora. Kiedy tak siedzieliśmy, Hannon odezwał się słodziutkim głosem:

– Jesteś fajny facet, Merlyn. Rzygać mi się chce na myśl o posłaniu cię do pudła. Ale wiesz, wysłałem tam całe mnóstwo miłych facetów. Zawsze sobie myślę: jaka szkoda. Gdyby chcieli sobie chociaż trochę pomóc.

Major usiadł głębiej w fotelu, aby zobaczyć moją reakcję. Ja tylko wzruszyłem ramionami i dalej pochłaniałem kanapki. Nie uważałem za słuszne odpowiadać na takie uwagi. Wywołałoby to ogólną dyskusję nad łapownictwem. W ogólnej dyskusji mogłoby mi się coś wypsnąć, co na pewno pchnęłoby śledztwo do przodu. Dlatego milczałem. Zapytałem majora, czy mógłbym dostać kilka dni urlopu, aby pomóc żonie w zakupach przedświątecznych. W biurze nie było wiele pracy, a poza tym mieliśmy cywilnego pracownika w zastępstwie Franka i mógłby się z powodzeniem wszystkim zająć. Major powiedział, że nie ma sprawy. Hannon zgłupiał. Jego uwaga o posyłaniu miłych facetów do więzienia była głupia. Był za młody, aby kogokolwiek posłać do więzienia. Uważałem go za żółtodzioba, miłego żółtodzioba, ale nie za faceta, który mógłby mnie posłać do pudła. Gdyby to zrobił, byłbym pierwszy w jego życiu.

Rozmawialiśmy chwilę, po czym Hannon wyszedł. Major popatrzył na mnie z szacunkiem.

– Nawet jeśli nie znajdą niczego na ciebie, radzę ci, żebyś rozejrzył się za nową pracą – rzekł.

Boże Narodzenie było bardzo ważną chwilą w życiu Valerie. Uwielbiała kupować prezenty dla rodziców, dzieci, dla mnie, sióstr i braci. W tym roku miała o wiele więcej pieniędzy niż zazwyczaj. Na chłopców czekały w szafie dwa rowery. Dla ojca kupiła importowany irlandzki sweter zapinany na guziki i tak samo drogi szal z irlandzkiej koronki dla matki. Nie wiedziałem, co kupiła dla mnie. Zawsze trzymała to w tajemnicy. I ja też nie zdradzałem się przed czasem. Z prezentem dla niej nie miałem kłopotów. Kupiłem za gotówkę mały pierścionek z brylantem – po raz pierwszy kupiłem coś, co było

prawdziwą biżuterią. Nie dałem jej pierścionka zaręczynowego. Wówczas żadne z nas nie wierzyło w takie burżuazyjne nonsensy. Po dziesięciu latach się zmieniła. Wiedziałem, że będzie zachwycona.

W Wigilię dzieci pomagały Valerie przystroić choinkę, a ja zająłem się pracą w kuchni. Valerie ciągle była nieświadoma moich kłopotów w pracy. Napisałem kilka stron powieści i poszedłem do pokoju podziwiać drzewko. Całe było srebrne z małymi niebieskimi, czerwonymi i złotymi dzwoneczkami ze srebrną obwódką. Na szczycie jaśniała duża gwiazda. Valerie nie lubiła elektrycznych lampek. Nie pasowały jej do drzewka.

Dzieciaki były tak podekscytowane, że sporo czasu zabrało nam położenie ich do łóżek. Wciąż się wymykały z pokoju, a my nie chcieliśmy być dla nich twardzi, nie w Wigilię. W końcu zmęczyły się i poszły spać. Sprawdziłem, czy wszystko jest w porządku. Czekwały na Świętego Mikołaja w piżamach, wykąpane i z umytymi zębami. Wyglądały tak uroczo, że nie mogłem uwierzyć, że to moje dzieci, że należą do mnie. Tamtego dnia naprawdę kochałem żonę. Poczujęm, że jestem szczęściarzem.

Wróciłem do pokoju. Valerie upychała paczki z prezentami pod choinką.

– Nie mogłem ci wiele podarować – powiedziałem. – To tylko taki drobny prezent. – Wiedziałem, że nie spodziewała się pierścionka z brylantem.

Uśmiechnęła się i pocałowała mnie. Naprawdę nie obchodziło jej, co dostawała na Gwiazdkę. Wolą kupować prezenty... szczególnie dla dzieci, potem dla mnie i swojej rodziny: ojca, matki, braci i sióstr. Dzieci dostały po cztery, pięć prezentów.

Między innymi taki lukstorpeda rower dla najstarszego syna. Żałowałem, że go kupiła, ponieważ będę musiał go złożyć. A nie miałem zielonego pojęcia jak.

Valerie otworzyła butelkę wina i zrobiła kilka kanapek. Otworzyłem wielkie kartonowe pudło z częściami roweru. Rozłożyłem to wszystko na podłodze w pokoju wraz z instrukcją montażu. Spojrzałem tylko na nią i powiedziałem:

– Poddaję się.

– Nie bądź niemądry – zaśmiała się Valerie.

Usiadła po turecku na podłodze i popijając wino, studiowała instrukcję. Po chwili zaczęła składać. Ja byłem tylko do trzymania kluczy. Poszedłem po śrubokręt i klucz i przytrzymałem kolejne części, kiedy ona je skręcała. Była prawie trzecia w nocy, kiedy uporaliśmy się z tym złomem. Wino się

już skończyło i byliśmy wyczerpani nerwowo. Wiedzieliśmy, że dzieciaki wyskoczą z łóżek o bladym świetle. Mieliśmy przed sobą tylko cztery godziny snu. Później mieliśmy jechać do domu rodzinnego Valerie, gdzie oczekiwał nas długi dzień zabawy i radości.

– Lepiej chodźmy spać – zaproponowałem.

Valerie wyciągnęła się na podłodze i powiedziała:

– Chyba tu zostanę.

Położyłem się obok niej. Przewróciliśmy się na bok, tak że mogliśmy się objąć nogami. Spoczywaliśmy tam zmęczeni i zadowoleni. I wtedy usłyszeliśmy głośne pukanie do drzwi. Valerie podniosła się szybko z wyrazem zdumienia na twarzy i spojrzała na mnie pytająco.

Mój skołatany, przepełniony winą umysł miał już gotowy scenariusz. Oczywiście było to FBI. Celowo czekali do Wigilii, aby mnie zaskoczyć. Przyszli tu z nakazem aresztowania i rewizji. Znajdą piętnaście tysięcy dolarów, które schowałem w domu, i zabiorą mnie do pułła. Albo pozwolą mi spędzić święta Bożego Narodzenia z żoną i z dziećmi pod warunkiem, że zacznę zeznawać. Jeśli tego nie zrobię, zostanę poniżony. Żona znienawidzi mnie za to, że aresztowali mnie w święta, a płaczące dzieci w końcu obrócą się przeciwko ojcu.

Musiałem nie najlepiej wyglądać, ponieważ Valerie zapytała: „Coś nie tak?”. Znów usłyszeliśmy głośne pukanie do drzwi. Valerie wyszła do przedpokoju, aby je otworzyć. Usłyszałem, jak z kimś rozmawia, i poszedłem zażyć lekarstwo. Usłyszałem jej kroki zmierzające do kuchni. Niosła cztery butelki mleka.

– To mleczarz – powiedziała. – Roznosi wcześniej, aby mógł wrócić do domu, zanim dzieci się obudzą. Zobaczył światło przez szparę pod drzwiami i zapukał, aby życzyć nam wszystkiego najlepszego. To miły człowiek. – Weszła do kuchni.

Poszedłem za nią i ciężko opadłem na krzesło. Valerie usiadła mi na kolanach.

– Założę się, że spodziewałaś się jakiegoś szalonego sąsiada czy bandziora. Zawsze myślisz o najgorszym. – Pocałowała mnie czule. – Chodźmy spać. – Pocałowała mnie, tym razem namiętnie, i poszliśmy do łóżka.

Gdy skończyliśmy się kochać, ona wyszeptała:

– Kocham cię.

– Ja ciebie też – odpowiedziałem. I uśmiechnąłem się do siebie w ciemno-

ści. Byłem największym cykorem wśród złodziejasków zachodniego świata.

Trzy dni po świętach przyszedł do mojego biura nieznajomy i spytał, czy nazywam się John Merlyn. Potwierdziłem, a on podał mi zaklejoną kopertę. Kiedy ją otworzyłem, już go nie było. Ciężkie, gotyckie litery oznajmiały:

## SĄD OKRĘGOWY STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Następnie zwykłymi dużymi literami:

### DZIELNICA POŁUDNIOWA NOWEGO JORKU

Następnie, w bloku, dużymi literami, moje nazwisko, adres i „POZDROWIENIA”. Poniżej było napisane:

### WEZWANIE

„WZYWAMY do stawienia się przed SĄDEM ORZEKAJĄCYM Zjednoczonych Stanów Ameryki” i dalej padało miejsce i czas. Pismo kończyło się informacją, że powodem wezwania jest „domniemane pogwałcenie paragrafu 18 KK”, wraz z pogrózką, że gdybym nie stawił się przed sądem, mogę być pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

Teraz przynajmniej wiedziałem, jakie prawo złamałem. Paragraf 18 KK. Nigdy o nim nie słyszałem. Przeczytałem to jeszcze raz. Każdemu pisarzowi by się to spodobało. Musieli to wziąć z jakiegoś starego angielskiego kodeksu. Zabawne, jak precyzyjni potrafią być prawnicy – nie zostawili żadnych niedomówień. Przeczytałem to jeszcze raz:

„WZYWAMY do stawienia się przed SĄDEM ORZEKAJĄCYM Zjednoczonych Stanów Ameryki”.

Brzmiało wspaniale. Mógłby to napisać Szekspir. Teraz, kiedy w końcu to się stało, chciałem mieć to już za sobą – wóz albo przewóz. Pod koniec pracy zadzwoniłem do Las Vegas i połączyłem się biurem Cully’ego. Powiedziałem mu, co się stało, i że za tydzień muszę stawić się przed sądem. Poradził mi, żebym niczego nie robił i nie denerwował się. Przyleci jutro do Nowego Jorku i zadzwoni do mnie z hotelu.



# **Księga IV**

## Rozdział 17

Cztery lata po śmierci Jordana Cully stał się prawą ręką Gronevelta. Nie był już artystą liczenia, chyba tylko w duszy – grał rzadko. Ludzie zwracali się do niego, używając prawdziwego nazwiska: Cully Cross. Jego kod telefoniczny brzmiał „Xanadu 2”. Najważniejsze było jednak to, że Cully miał teraz „ołówkę”, najpotężniejszy instrument w Las Vegas. Składając podpis, mógł otrzymać darmowy pokój w hotelu, jedzenie, alkohol dla swoich ulubionych klientów i przyjaciół. Nie nadużywał „ołówka”, królewskiego przywileju, zarezerwowanego dla właścicieli hoteli i bardziej wpływowych właścicieli kasyn.

Cully odebrał telefon Merlyna w kasynie w sali do black jacka, gdzie miał namierzony podejrzany stolik numer trzy. Obiecał Merlynowi, że przyjedzie do Nowego Jorku i pomoże mu. Po chwili wrócił do obserwacji trzeciego stołu.

Ten stół od trzech tygodni tracił pieniądze. Według reguł rachunku prawdopodobieństwa, jak twierdził Gronevelt, było to niemożliwe – musiał być przewał. Cully szpiegował go przez „szklane oko”. Oglądał wiele razy taśmy, obserwował osobiście, ale nie mógł nic odkryć. Nie chciał meldować o tym Groneveltowi, dopóki nie rozwiąże problemu. Czuł, że po prostu ten stolik ma pecha, ale wiedział, że Gronevelt nigdy nie przyjmie takiego tłumaczenia. Gronevelt wierzył, że kasyno na dłuższą metę nie może przegrywać; w oparciu o rachunek prawdopodobieństwa zasadach gry nie było miejsca na pecha. Tak jak gracze wierzyli w swe szczęście, tak Gronevelt ufał tylko cyfrom. Jego stoliki nie przegrywały.

Po telefonie od Merlyna Cully znów przeszedł koło trzeciego stołu. Był

ekspertem od wszelkiego rodzaju przeważów i doszedł do wniosku, że to rzeczywiście przypadek. Zda sprawę Groneveltowi, niech on podejmie decyzję, czy zostawić krupierów, czy ich wywalić.

Cully wszedł na pierwsze piętro, aby w kawiarni napić się kawy. Sprawdził, czy w jego biurze nikt nie zostawił wiadomości, i poszedł do biura Gronevelta. Sekretarka powiedziała mu, że Gronevelt jest w swym apartamencie w hotelu. Poprosił ją, żeby zadzwoniła i spytała, czy może się z nim zobaczyć.

Zawsze zastanawiał się, dlaczego Gronevelt mieszka w hotelu. Na pierwszym piętrze był olbrzymi narożny apartament, ale by się tam dostać, trzeba było przejść przez wielki zewnętrzny taras z basenem i jasnozieloną sztuczną trawą w kolorze tak jaskrawym, że w słońcu Vegas nie wytrzymałaby tygodnia.

Gronevelt był sam. Miał na sobie flanelowe spodnie i rozpiętą koszulę. Wyglądał zadziwiająco czerstwo jak na swój wiek. Akurat skończył czytać. Na pokrytej aksamitem kanapie leżała jeszcze książka.

Gronevelt zaprowadził Cully'ego do barku, aby nalał im whisky z wodą. Usiedli naprzeciw siebie.

– Te straty przy stoliku do black jacka to wypadek przy pracy – powiedział Cully. – Przynajmniej tak ja to widzę.

– Niemożliwe – odparł Gronevelt. – Bardzo dużo nauczyłeś się przez ostatnie trzy lata, ale konsekwentnie odrzucasz prawo procentów. Niemożliwe, aby przez trzy tygodnie jeden stolik stracił tyle pieniędzy. Coś tu śmierdzi.

Cully wzruszył ramionami.

– Cóż więc mam robić?

– Wydam polecenie dyrektorowi kasyna – rzekł spokojnie Gronevelt – aby wywalił krupierów na zbity pysk. On chce ich przenieść do innego stolika, aby sprawdzić, co będzie się działo. Wiem, co się będzie działo. Lepiej ich od razu wywalić.

– Dobrze – odparł Cully. – Ty tu rządzisz. – Upił łyk ze szklanki. – Pamiętasz Merlyna? Tego faceta, który pisze książki?

– Miły dzieciak – powiedział Gronevelt, skinąwszy głową. Cully odstawił szklankę. Nie lubił wody, ale Gronevelt nienawidził pić do lustra.

– Ten cykor wpadł. Potrzebuje mojej pomocy. I tak miałem lecieć za tydzień do Nowego Jorku, więc pomyślałem, że mógłbym polecieć jutro. Oczy-

wiecie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Jasne – odrzekł Gronevelt. – Jeśli będę mógł coś dla niego zrobić, to zadzwoń. To dobry pisarz. – Powiedział to tak, jakby było to jakieś usprawiedliwienie. Po chwili dodał: – Zawsze możemy mu dać tutaj pracę.

– Dzięki – odparł Cully. – Zanim wyrzucisz tych krupierów, pozwól mi jeszcze raz spróbować. Jeśli to przewał, zrobimy jak będziesz chciał. Wkurwia mnie, że nie mogę tego rozgryźć.

Gronevelt zaśmiał się.

– Dobrze. Gdybym miał twoje lata, też byłbym ciekawy. Posłuchaj, przynieś tutaj te kasety, obejrzymy je razem i przedyskutujemy kilka spraw. A potem, jutro, ze świeżym umysłem będziesz mógł lecieć do Nowego Jorku, dobrze? Prześlij mi te kasety przed rozpoczęciem nocnej zmiany, między ósmą i drugą, abyśmy mogli wykorzystać ruch po przedstawieniu.

– Skąd wiesz, że po przedstawieniu będzie ruch? – zapytał Cully.

– Musi tak być. – Kiedy Cully podniósł słuchawkę, Gronevelt dodał: – Zadzwoń, niech nam przyniosą coś do jedzenia.

Podczas jedzenia oglądali film wideo. Cully był tak zajęty pokazem, że jedzenie nie sprawiało mu przyjemności. Ale Gronevelt zdawał się wcale nie patrzeć na obraz. Jadł spokojnie i wolno, popijając do steku czerwone wino. Nagle film gwałtownie się zatrzymał. Gronevelt wcisnął pauzę.

– Nie widziałeś tego? – zapytał.

– Nie – odparł Cully.

– Podpowiem ci. Szef sali jest czysty. Ale nie porządkowy. Jeden z krupierów też jest czysty, ale dwóch pozostałych – nie. Oszuści! Przyjmują pięciodolarowe sztony na wymianę i wypłaty. Prawie za każdym razem powinni brać dwudziestopięciodolarowe sztony. Teraz rozumiesz?

Cully potrząsnął głową.

– To technicznie niewykonalne.

Gronevelt usiadł wygodnie i zapalił olbrzymie hawajskie cygaro. Lekarze pozwalali mu na jedno dziennie, wypalał je zawsze po obiedzie.

– Nie widziałeś tego, bo to zbyt proste – powiedział.

Gronevelt zadzwonił do dyrektora kasyna, po czym przełączył wideo na podejrzany stolik. Na ekranie Cully zobaczył dyrektora kasyna podchodzącego do krupiera. Towarzyszyło mu dwóch członków ochrony w cywilnych ubraniach.

Na ekranie było widać, jak dyrektor sięgnął do tacy krupiera i wyjął garść

czerwonych pięciodolarowych sztonów. Gronevelt zmienił obraz.

Dziesięć minut później dyrektor wszedł do apartamentu. Rzucił garść pięciodolarowych sztonów na biurko Gronevelta. Ku zdziwieniu Cully'ego nic rozsypały się po stole.

– Miał pan rację – powiedział dyrektor do Gronevelta.

Cully podniósł duży czerwony cylinder. Wyglądał jak poukładane pięciodolarowe sztony, ale był tylko imitującym krążki, pustym w środku cylindrem. W środku miał sprężynę wciągającą do wewnątrz podstawę. Cully namęczył się trochę, zanim podanymi przez Gronevelta nożycami rozmontował tę konstrukcję. W środku ukrytych było pięć studolarowych czarnych sztonów.

– Teraz widzisz – odparł Gronevelt. – Facio wchodzi do gry i wręcza krupierowi fałszywe sztony. Ten kładzie je obok setek, naciska i w dno wchodzi czarny szton. Chwilę później wypłaca facetowi pięć studolarowych krążków. Dwa razy w ciągu wieczoru – tysiąc dolców dziennie wolnych od podatku. Bogacą się ukradkiem.

– Jezu – jęknął Cully – nigdy bym ich nie nakrył.

– Nie przejmuj się tym. Jedź do Nowego Jorku, pomóż swojemu kumpłowi i dopilnuj tam wszystkiego. Będziesz przewoził trochę pieniędzy, więc przyjdź do mnie na godzinę przed odlotem. Kiedy wrócisz, będę miał dla ciebie dobre wiadomości. W końcu się trochę rozruszasz i poznasz kilku ważnych ludzi.

Cully zaśmiał się.

– Nie potrafiłem rozwalić małego przewału i dostaję awans?

– Jasne, po prostu potrzebujesz trochę więcej doświadczenia. No i musisz być twardszy.

## Rozdział 18

Cully siedział w pierwszej klasie samolotu do Nowego Jorku. Popijał wodę, a na kolanach trzymał metalową walizeczkę, pokrytą skórą i zamykaną na skomplikowany zamek. Jak długo Cully będzie ją trzymał, nic nie może się stać zamkniętemu w środku milionowi dolarów. On sam nie mógł jej otworzyć.

W Vegas Gronevelt przeliczył w obecności Cully'ego pieniądze, włożył je do walizki, którą od razu zamknął. Odbiorcy z Nowego Jorku nie wiedzieli, kiedy ma nadejść przesyłka. To zależało wyłącznie od Gronevelta. Ale i tak Cully się denerwował. Ściskając walizeczkę, myślał o ostatnich latach. Przeszedł długą drogę, nauczył się mnóstwa rzeczy, a pójdzie jeszcze dalej, nauczy się jeszcze więcej. Wiedział, że prowadzi niebezpieczne życie, obstawia wysokie stawki.

Dlaczego Gronevelt wybrał właśnie jego? Co w nim widział? Co przewidywał? Cully Cross z metalową walizeczką na kolanach starał się odkryć swe przeznaczenie. Kiedy liczył karty przy black jacku i jakie karty zostały w talii, kiedy czekał na serię szczęśliwych rzutów w kości i wtedy, gdy używał wszystkich swych umiejętności, pamięci i intuicji, aby odczytać, co przyniesie mu los. Prawie cztery lata temu Gronevelt zaczął faworyzować Cully'ego. Już od dawna był szpiegiem w hotelu Xanadu, na długo przed przybyciem Jordana i Merlyna, i należycie wypełniał swe obowiązki. Gronevelt był trochę zawiedziony, gdy zaprzyjaźnił się z Merlynem i Jordanem. I zły, gdy wziął stronę Jordana przy sławnym rozdaniu bakarata. Cully myślał, że od tej chwili jego kariera jest skończona, ale dziwnym trafem po tym incydencie Gronevelt dał mu prawdziwą pracę. Cully często zastanawiał się nad tym.

W pierwszym roku Gronevelt zrobił Cully'ego krupierem black jacka, co zdawało się bardzo odległe od pozycji prawej ręki szefa. Cully podejrzewał,

że znowu będzie musiał szpiegować. Ale Gronevelt miał konkretniejsze plany. Zrobił Cully'ego odpowiedzialnym za „skubanie” pieniędzy.

Gronevelt uważał, że właściciele hoteli, którzy skubią pieniądze w przeliczalni, to palanty i FBI prędzej czy później wpadnie na ich trop. Skubanie w przeliczalni było zbyt oczywiste. Podejrzenie wyglądało, gdy właściciele czy ich reprezentanci stawiali się tam osobiście i każdy wynosił paczkę banknotów, zanim Komisja do spraw Hazardu w Nevadzie otrzymała raport o wpływach. Szczególnie gdy było pięciu lub sześciu właścicieli, którzy kłócili się, ile każdy z nich powinien wziąć z wierzchu. Gronevelt wprowadził coś, co uważał za doskonalszy system. Tak przynajmniej powiedział Cully'emu.

Wiedział, że Cully jest „mechanikiem”. Nie był mistrzem, ale radził sobie doskonale. To znaczy, że mógł zatrzymać pierwszą kartę dla siebie, zaczynając tasowanie od drugiej. Godzinę przed swoją nocną karawaniarską zmianą, Cully meldował się w apartamencie Gronevelta i otrzymywał instrukcje. O określonej godzinie – pierwszej albo czwartej w nocy – gracz w black jacka, ubrany w garnitur określonego koloru, zrobi kilka zakładów, zaczynając od stu dolarów, potem podnosząc do pięciuset, a potem schodząc do dwudziestu pięciu. Będzie to znak, że jest uprzywilejowanym klientem, który powinien wygrać od dziesięciu do dwudziestu tysięcy dolarów w ciągu kilku godzin. Mężczyzna będzie grał w otwarte karty. Widząc kartę gracza, Cully zatrzyma dobrą kartę dla klienta, zaczynając rozdawanie od drugiej. Cully nie wiedział, jak w końcu pieniądze trafiają do Gronevelta i jego współników. Po prostu wykonywał swoją pracę bez zadawania zbędnych pytań. No i trzymał buzię na kłódkę.

Ale tak samo jak mógł policzyć kolejność kart w rozdaniu, zapamiętywał wysokość wygranych. Klienci Gronevelta wygrywali około dziesięciu tysięcy dolarów tygodniowo. Przez rok nazbierało się tego około pół miliona dolarów. Piękny przewał bez podatków i bez konieczności dzielenia się z prawowitymi współwłaścicielami hotelu i kasyna. Gronevelt skubał także swoich współników.

Aby trzymać te przegrane w tajemnicy, Gronevelt przesuwiał Cully'ego co noc do innego stolika. Czasami też przesuwiał go na inną zmianę. A jednak Cully martwił się, że dyrektor kasyna odkryje układ. Chyba że Gronevelt go przed tym przestrzegł.

By pokryć straty, Cully ogrywał zwykłych graczy. Robił to skutecznie

przez trzy tygodnie, aż pewnego dnia przez telefon został wezwany do apartamentu Gronevelta.

Jak zwykle Gronevelt posadził go i dał mu drinka. Po czym powiedział:

– Cully, skończ z tym gównem. Nie oszukuj klientów.

– Myślałem, że właśnie tego pan chce – odrzekł Cully.

– Mądrała – uśmiechnął się Gronevelt. – Ale to nie jest potrzebne. Twoje straty są tuszowane przez księgowość. Nie nakryją cię. Gdyby tak się stało, poradzę sobie z tym. – Zrobił małą pauzę. – Z frajerami graj uczciwie, bo wpadniemy w kłopoty, z którymi nie będziemy sobie mogli poradzić.

– Czy widać to na filmach? – zapytał Cully.

Gronevelt potrząsnął głową.

– Nie, jesteś niezły, nie w tym rzecz. Ale chłopcy z Komisji do spraw Hazardu mogą wysłać gracza, który usłyszy szelest odkładanej karty. Oczywiście może się to zdarzyć również podczas gry z jakimś moim klientem, ale wtedy dojdzie on do wniosku, że oszukujesz hotel. I tak jestem czysty. Mam także świetny pomysł na Komisję do spraw Hazardu. Dlatego właśnie pracujesz o specjalnych porach. Ale kiedy działasz na własną rękę, nie mogę cię chronić. I wtedy oszukujesz klientów na rzecz hotelu. To duża różnica. Ci faceci z komisji nie przejmują się, kiedy to nas leją. Ale ze zwykłymi frajerami to zupełnie inna bajka. Zatuszowanie tego kosztowałoby mnóstwo pieniędzy.

– Dobrze – powiedział Cully – ale jak pan to odkrył?

– Procenty! – odrzekł niecierpliwie Gronevelt. – Procenty nigdy nie kłamia. Zbudowaliśmy te hotele na procentach. Jesteśmy bogaci dzięki procentom. Więc gdy nagle twoja karta krupiera wykazuje więcej pieniędzy, znaczy to, że oszukujesz dla mnie. Nie może się tak dziać, chyba że byłbyś najszcześliwszym krupierem w historii Vegas.

Cully usłuchał, ale dalej zastanawiał się, jak to działa.

Dlaczego Gronevelt tak się męczył? Dopiero później, gdy stał się w Xanadu numerem dwa, odkrył szczegóły. Gronevelt skubał nie tylko państwo, ale przede wszystkim właścicieli kasyna. Odkrył też, że wygrywający klienci byli przysyłani z Nowego Jorku przez tajnego wspólnika Gronevelta o nazwisku Santadio. Klienci myśleli, że on, Cully, był krupierem podstawionym przez wspólnika w Nowym Jorku i że pogrążają Gronevelta. A tymczasem Gronevelt i jego ukochany hotel byli zabezpieczeni na sto różnych sposobów.

Gronevelt zaczął swoją karierę jako gracz w Steubenville w Ohio, ochraniający przez znaną mafię z Cleveland, kontrolującą miejscowych polityków.



Pracował w nielegalnych spółkach i w końcu wyruszył do Nevady. Ale był lokalnym patriotą. Każdy młody człowiek ze Steubenville, który chciał pracować jako krupier w Vegas, przyjeżdżał do Gronevelta. Jeśli ten nie mógł znaleźć mu pracy u siebie, posyłał go do innego kasyna. Można ich było spotkać na Bahamach, w Puerto Rico, na Riwierze Francuskiej czy nawet w Londynie. W Reno i Vegas były ich setki. Wielu z nich zostało dyrektorami kasyn i szefami sal. Gronevelt był niekoronowanym królem zielonego sukna.

Gronevelt z tych setek wybierał swojego szpiega. Nawet dyrektor kasyna w Xanadu pochodził ze Steubenville. Dlaczego więc wybrał Cully'ego, obcego, z innego regionu kraju? Cully często się nad tym zastanawiał. I oczywiście później, gdy poznał wszystkie niuanse pracy w kasynie, domyślił się, że dyrektor o wszystkim wiedział. Dopiero teraz do niego dotarło, że wybrano go, ponieważ gdyby coś poszło nie tak, mógł zostać spisany na straty. Miał za to beknąć tak czy inaczej.

Gronevelt pomimo swojego zamiłowania do książek przybył z Cleveland do Vegas z paskudną reputacją. Nie był człowiekiem, którego można było wykantować, oszukać czy zrobić w konia. I przez ostatnie lata uświadamiał to Cully'emu. Czasami na poważnie, czasami na wesoło – w specyficzny dla hazardzistów z Vegas sposób.

W następnym roku Cully dorobił się biura obok Gronevelta, ponieważ został jego asystentem. Do jego obowiązków należało obwożenie Gronevelta po mieście i towarzyszenie mu wieczorem w kasynie, witanie się z jego starymi znajomymi i dobrymi klientami, szczególnie zamiejscowymi. Gronevelt uczynił Cully'ego także pomocnikiem dyrektora kasyna, aby nauczył się wszystkiego na miejscu. Musiał poznać szefów zmian, szefów sal, porządkowych i wszystkich krupierów.

Każdego ranka o dziesiątej jadł śniadanie w gabinecie Gronevelta w jego towarzystwie. Przed pracą zapoznawał się z danymi na temat wygranych i przegranych z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Szef kasjerów przed śniadaniem przynosił Groneveltowi kwit, a ten czytał go przed pierwszym kąsem soczystego melona. Wyglądał on tak:

Kości	w grze 400 000 \$	bank 60 000 \$
Black jack	w grze 200 000 \$	bank 40 000 \$
Bakarat		
Ruletka	w grze 100 000 \$	bank 40 000 \$

Inne (koło fortuny, keno włączone wyżej)

Automaty do gry podliczano raz na tydzień i raport o kwotach przedstawiany był Groneveltowi oddzielnie. Przeważnie przynosiły zysk około stu tysięcy dolarów tygodniowo. Sam miód. Kasyno nie mogło na tym stracić. Był to czysty zysk, ponieważ maszyny wyrzucały tylko niewielki procent włożonych pieniędzy. Jeśli dochody spadały, mógł to być wyłącznie przewał.

Inaczej było w wypadku gier – jak crap, black jack, a szczególnie bakarata. W tych grach kasyno zarabiała najwyżej szesnaście procent kwoty w grze. Ale nawet bank mógł mieć zły dzień). Szczególnie w wypadku bakarata, gdzie zawzięci gracze czasami zbierali tłuste kaski.

W bakaracie nigdy niczego nie można było przewidzieć. W niektóre wieczory stół do bakarata pożerał dzienne zyski całego kasyna. Ale bywało, że przynosił olbrzymie dochody. Cully był pewien, że Gronevelt zorganizował skubanie przy bakaracie, ale nie wiedział jak. Zauważył kiedyś, że kilku facetów z Ameryki Południowej przegrało przy stole duże sumy, a następnego dnia wykazane wpływy były o wiele mniejsze, niż można się było spodziewać.

Dobra passa gracza była zmorą kasyna. Były takie dni w historii Vegas, kiedy dobra passa przy crapie ciągnęła się tygodniami i kasyno miało szczęście, jeśli udało się przerwać ją choćby na jeden dzień. Czasami udawało się również graczom w black jacka, którzy ogrywali bank przez trzy, cztery dni. W wypadku ruletki bardzo rzadko się zdarzał jeden przegrany dzień) w miesiącu. A koło fortuny i keno stanowiły oczywiście pułapki na niedzielnych graczy.

Były to szczegóły techniczne pracy kasyna. Rzeczy, których łatwo można było się nauczyć podczas odpowiedniego treningu i w odpowiednim czasie. Ale u Gronevelta Cully nauczył się o wiele więcej.

Gronevelt przekonał wszystkich, że nie wierzy w szczęście. Jedynym prawdziwym, nieomylnym bóstwem była skala procentowa. I składał jej ofiary. Kiedy tylko ktoś wygrał dwadzieścia pięć tysięcy w keno, Gronevelt wywalał cały personel. Dwa lata po powstaniu hotelu Xanadu kasyno nie miało szczęścia. Przez trzy tygodnie nie było ani jednego szczęśliwego dnia i kasyno straciło blisko milion dolarów. Gronevelt wylał wszystkich na zbity pysk z wyjątkiem dyrektora, pochodzącego ze Steubenville.

I to poskutkowało. Po zwolnieniach skończyły się chude dni. Zyski sięgnę-

ły pięćdziesięciu tysięcy dziennie. I o ile było Cully'emu wiadomo, w całej swojej historii hotel nie miał nigdy ujemnego salda rocznego. Nawet pomimo skubania Gronevelta.

Podczas tego pierwszego roku Cully'emu nawet przez myśl nie przeszło, aby skubnąć coś na własną rękę. Byłoby to takie proste, wystarczyło dogadać się ze znajomym przy stoliku, aby uszczknąć kilka dolców. Ale Cully wiedział, że stanowiłoby to śmiertelne niebezpieczeństwo. Grał o wyższą stawkę. Wyczuł samotność Gronevelta, potrzebę przyjaźni, którą Cully zaspokajał. I opłacało mu się to z nawiązką.

Dwa razy w miesiącu Gronevelt zabierał Cully'ego do Los Angeles na zakupy w sklepach z antykami. Kupowali stare złote zegarki, stare fotografie Los Angeles i Las Vegas. Szukali starych młynków do kawy, samochodów zabawek, skarbonek w kształcie lokomotyw czy wież kościołów z lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, starych złotych spinaczy do banknotów, za które sprzedawca dostawał czarny szton studolarowy, albo rzadkich monet. Dla specjalnych klientów miał stare chińskie lalki w zszarzałych od upływu lat koronkach, wiktoriańskie kasetki na biżuterię i zabytkowe nordyckie kufle na piwo.

Każdy z tych przedmiotów kosztował od stu do dwustu dolarów. Gronevelt wydawał za każdym razem po kilka tysięcy dolarów. Wraz z Cullym jedli obiad w Los Angeles, nocowali w hotelu w Beverly Hills i na drugi dzień wracali samolotem do Vegas.

Cully wioził antyki w torbie, a w Xanadu pakował je elegancko i dostarczał Groneveltowi do apartamentu. Gronevelt każdego lub prawie każdego wieczoru wkładał jeden z nich do kieszeni i dawał w prezencie teksaskim nafciarzom czy nowojorskim przemysłowcom, którzy co roku przegrywali kilkaset tysięcy dolarów.

Cully podziwiał elegancję, z jaką Gronevelt potrafił się zachować w tych sytuacjach. Rozwijał pakunek i wręczał graczowi złoty zegarek. „Kiedy byłem w Los Angeles, zobaczyłem ten drobiazg i od razu pomyślałem o panu – wmawiał graczowi. – Kazałem go naprawić i wyczyścić, pokazuje bardzo dokładny czas. – Po chwili dodawał obojętnie: – Powiedziano mi, że zrobiono go w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, ale kto ich tam wie. Wie pan, jacy oszuści prowadzą takie sklepy”.

W ten sposób sprawiał wrażenie, że darzy gracza szczególną estymą. Podsuwał myśl, że zegarek jest niezwykle cenny. I na dodatek wiele go koszt-

wało, aby przywrócić mu dawną sprawność. Było w tym ziarno prawdy. Zegarek działał znakomicie, a on bardzo dbał o klientów, którzy zresztą wyczuwali jego przyjazne nastawienie. Gronevelt potrafił wywołać u nich to uczucie, obdarowując ich szacunkiem i troską.

Często też byli jego gośćmi. Wielcy gracze oczywiście korzystali z PPA: pokój, posiłki i alkohol za darmo. Ale Gronevelt obdarzał tym przywilejem także bogatych, pięciodolarowych graczy. Był mistrzem wciągania w hazard.

Kolejna lekcja, jakiej udzielił Gronevelt Cully'emu, dotyczyła uczciwości wobec młodych dziewcząt. Był surowym nauczycielem. Ochrzaniał Cully'ego z góry na dół. „Dlaczego, do kurwy nędzy, wciskasz im kit za trochę dymania? Czy jesteś, kurwa, złodziejem? Czy wybebeszyłybyś im torebki w poszukiwaniu drobnych? Co z ciebie za facet? Buchnąłbyś takiej samochód? Wyniósłbyś im z domu zastawę po kolacji? Dlaczego więc kradniesz im cipy? To ich jedyny majątek, szczególnie tych pięknych. Jeśli jeszcze raz wytniesz numer z pszczołką, to możesz sobie z nimi zostać. Będziesz wolny. Żadnych kitów o znajomościach. Żadnych kitów o małżeństwie. Czy wierności. Czy próśb o tysiąc dolarów pożyczki. I pamiętaj, za pięć takich pszczołek każda może być twoja, nawet w dniu własnego ślubu”.

Cully był zdumiony tym wybuchem. Najwyraźniej Gronevelt dowiedział się o jego sztuczках z kobietami, ale – co było równie jasne – Gronevelt nie znał kobiet tak jak on. Nie rozumiał ich masochistycznych ciągotek. Ich oddania, ich potrzeby wiary w oszustwo.

Ale nie protestował. Powiedział tylko oschle: „To nie takie proste, jak ci się wydaje. U niektórych nawet tysiąc pszczołek nie pomoże”.

Gronevelt, o dziwo, zaśmiał się i przyznał mu rację. Opowiedział nawet pewną zabawną historię ze swojego życia. W początkach hotelu Xanadu pewna teksaska milionerka grała w kasynie. Gronevelt podarował jej stary japoński wachlarz wart pięćdziesiąt dolarów. Spadkobierczyni teksaskiej fortuny, przystojna wdowa po czterdziestce, zakochała się w nim. Gronevelt był przerażony. Chociaż był starszy od niej o dziesięć lat, wolał młode panienki. Po pracowitym dniu zabrał ją na górę i poszli razem do łóżka. Gdy wychodziła, może z przyzwyczajenia, głupiej przekory czy okrutnego poczucia humoru podsunął jej pszczołkę, mówiąc, aby kupiła sobie coś ładnego. Do dzisiaj nie wie, dlaczego to zrobił.

Naftowa dziedziczka spojrzała na banknot i wsunęła go do torebki. Podziękowała mu uprzejmie. Dalej przychodziła do kasyna, ale nie sprawiała już

wrażenia zakochanej.

Trzy lata później Gronevelt szukał inwestorów zainteresowanych rozbudową hotelu. Twierdził, że dodatkowe pokoje zawsze się przydają. „Gracze grają tam, gdzie srają – mawiał. – Niech się nie włączą. Trzeba im dać salkę koncertową, restaurację. Zatrzymać ich w hotelu przez pierwsze czterdzieści osiem godzin. Potem już wsiąkną”.

Zaproponował ten interes naftowej dziedziczce. Zgodziła się bez wahania. Bez słowa wyjęła książeczkę czekową i wypisała kwotę. Czek opiewał na sto dolarów.

– Morał z tej historii jest taki – zakończył Gronevelt – nigdy nie traktuj inteligentnej, bogatej babki jak biednej durnej kurewki.

Czasami w Los Angeles Gronevelt kupował stare książki. Ale zwykle, kiedy był w nastroju, wolał lecieć do Chicago na aukcje. Miał w apartamencie niezłą kolekcję, zamkniętą w przeszklonej biblioteczce. Kiedy Cully przeprowadził się do nowego biura, znalazł na biurku prezent od Gronevelta: pierwsze wydanie książki o grach hazardowych z 1847 roku. Cully przeczytał ją z zainteresowaniem i przez jakiś czas trzymał na biurku. Następnie, nie wiedząc, co ma z nią zrobić, odniósł ją Groneveltowi. „Doceniam ten prezent, ale to nie dla mnie” – powiedział. Gronevelt bez słowa skinął głową. Cully zrozumiał, że go zawiódł, ale – o dziwo – scementowało to ich przyjaźń. Kilka dni później dostrzegł tę książkę w biblioteczce Gronevelta. Zrozumiał, że nie popełnił błędu, i był zadowolony, że otrzymał ten prezent – widoczną oznakę sympatii. Choć to wcielenie Gronevelta nie pasowało do jego charakteru.

Później zobaczył następne wcielenie Gronevelta, o którym wiedział, że musi istnieć. Cully zawsze, trzy razy dziennie, był obecny przy liczeniu sztonów ze wszystkich stołów do crapa, black jacka, ruletki i gotówki przy baka-racie. Wchodził nawet do kas, aby tam liczyć sztony. Kierownik kas, stary i zaufany pracownik pamiętający jeszcze pierwsze dni kasyna, był trochę zbyt nerwowy, ale ponieważ sztony, kwity i banknoty zawsze się zgadzały, Cully złożył winę za te odczucia na swą podejrzliwą naturę.

Pewnego dnia Cully, wiedziony impulsem, kazał wyciągnąć tace ze sztonami z sejfu. Nie potrafił powiedzieć, co go do tego skłoniło. Gdy wyjęto metalowy koszyk, okazało się, że są tam dwie tace pełne fałszywych studolarowych sztonów. Pustych w środku czarnych cylindrów. Ukryte w najdal-

szym kącie sejfów nie były używane, chociaż w rachunkach figurowały jako prawdziwe. Kierownik kasy udał przerażenie i zaskoczenie, chociaż oczywiście to wszystko nie mogło się stać bez jego udziału. Cully podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Gronevelta. Ten niezwłocznie zszedł do kasy i sam sprawdził sztony. Dwie tace warte sto tysięcy dolarów. Gronevelt wskazał palcem na kierownika kasy. To był przerażający moment.

Poorana bruzdami, opalona twarz Gronevelta zrobiła się sinoblada, ale jego głos nie zmienił się.

– Wypierdalaj stąd – powiedział. Po czym zwrócił się do Cully’ego: – Niech zda ci wszystkie klucze. I chcę mieć natychmiast szefów wszystkich sal ze wszystkich trzech zmian u siebie. Gównu mnie obchodzi, gdzie są teraz. Ci, którzy są na wakacjach, niech wsiadają w samolot i przylatują natychmiast. – Gronevelt odwrócił się i wyszedł z kasy.

Kiedy kierownik kasy zdawał klucze Cully’emu, do pokoju weszło dwóch mężczyzn, których Cully wcześniej nie widział. Kasjer najwyraźniej ich znał, bo zbladł i ręce poczęły mu się trząść jak w delirium.

Ci dwaj kiwnęli na niego głowami, a on odpowiedział takim samym gestem.

– Kiedy skończycie, szef chce pana widzieć w swoim biurze – rzekł jeden z nich. Cały czas ignorowali Cully’ego.

Cully podniósł słuchawkę i połączył się z Groneveltem.

– Jest tutaj dwóch facetów, mówią, że to ty ich wysłałeś – powiedział.

– To prawda – przyznał lodowatym głosem Gronevelt.

– Tylko sprawdzam – wyjaśnił Cully.

Głos Gronevelta złagodniał.

– Dobrze – powiedział. – Odwaliłeś dobrą robotę. – Zamilkł na chwilę. – Reszta to nie twój interes, Cully. Zapomnij o tym, zrozumiałeś?

Szefa kasjerów widziano później gdzieś w okolicach Vegas. Po miesiącu Cully dowiedział się, że jego żona zgłosiła oficjalnie zaginięcie męża. Nie docierało to najpierw do Cully’ego, choć krążyły żarty, że pewnie ktoś go zakopał na pustyni. Nie śmiał nigdy wspomnieć o tym Groneveltowi, a i on nigdy nie mówił z nim na ten temat. Nawet nie pochwalił go za to odkrycie. Było tak jak dotychczas. Cully nie dopuszczał do siebie myśli, że jego obowiązkowość przyczyniła się do zakopania kasjera na pustyni.

W ostatnich miesiącach Gronevelt ukazał mu się w mniej makabrycznym świetle. Był energiczny i potrafił szybko podejmować decyzje.

Wszyscy właściciele kasyn zaczęli budować wielkie kasyno dla cudzoziemców. Anglicy od razu zostali skreśleni, pomimo że byli największymi pechowcami dziewiętnastego wieku. Koniec Imperium Brytyjskiego oznaczał też koniec ich fortun. Miliony Brytyjczyków z Indii, Australii, Wysp Południowych i Kanady nie miało najmniejszego zamiaru napełniać kasy w kasynach. Anglia stała się nagle biednym krajem, którego bogaci obywatele zaczęli walczyć o zniesienie wysokich podatków i trzymali się swych posiadłości. Ci, których stać było na hazard, woleli arystokratyczne kluby we Francji, Niemczech czy swoim Londynie.

Francuzów także skreślono. Francuzi nie podróżowali i nigdy nie stawiali na podwójne zero w Vegas.

Najwięcej spodziewano się po Niemcach i Włochach. Niemcy w wyniku powojennej eksplozji przemysłowej mieli wielu milionerów i kochali podróże, uwielbiali hazard i kobiety z Vegas. W napuszonym stylu Vegas było coś takiego, co odpowiadało teutońskiemu duchowi, przywoływało wspomnienia o *Oktoberfest* i może *Götterdämmerung*. Niemcy przy grze wykazywali też pogodne usposobienie i dużą sprawność.

Włoscy milionerzy byli jak losy na loterii w Vegas. Gdy się upijali, grali jak wariaci; pozwalali sobie na sześć-, siedmiodniowe samobójcze szaleństwa w towarzystwie wynajętych przez kasyno naciągaczy. Wydawali się mieć nieprzebrane ilości pieniędzy, ponieważ nikt z nich nie płacił podatku od wzbogacenia. To, co miało powędrować do kasy w Rzymie, spoczywało spokojnie w klimatyzowanym pomieszczeniu kasy w Vegas. Dziewczynki uwielbiały włoskich milionerów, ponieważ dawali im kosztowne podarki i dlatego, że po sześciu dniach zakochiwali się na zabój w naciągaczkach, rolujących ich na wielkie sumy przy stolikach do crapa.

Jeszcze lepsi byli gracze z Meksyku i Ameryki Południowej. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co się w tej Ameryce Południowej dzieje, ale ich specjalne samoloty lądowały jeden za drugim, przywożąc milionerów z pampy. Dla nich wszystko było tanie, zostawiali przy stołach do bakarata miliony sztuk bydła. Przyjeżdżali ze swymi żonami, narzeczonymi i dorastającymi synami, aby zrobić z nich prawdziwych mężczyzn. Byli także ulubionymi klientami dziewcząt z Las Vegas. Mniej wylewni niż Włosi, a także, jak wieść niosła, mniej obeznani ze sztuką miłosną, mieli za to większe apetyty.

Pewnego dnia Cully był właśnie w biurze Gronevelta, gdy przyszedł dyrektor kasyna ze szczególnym problemem. Pewien gracz z Ameryki Południowej zażyczył sobie przysłania do swego pokoju ośmiu dziewcząt, wyłącznie blondynek i rudych (żadnych brunetek!), które miałyby co najmniej pięć stóp i sześć cali wzrostu.

Gronevelt chłodno przyjął tę prośbę.

– I o której chce, żeby zdarzył się ten cud? – zapytał.

– Około piątej – odrzekł dyrektor kasyna. – Chce je zabrać na obiad i później spędzić z nimi całą noc.

Gronevelt nawet się nie skrzywił.

– Ile daje?

– Około trzech patyków. Dziewczyny wiedzą, że da się go naciągnąć na ruletkę i bakarata.

– Dobra, załatw mu to – zdecydował Gronevelt. – Ale powiedz dziewczynom, żeby go zatrzymały jak najdłużej w hotelu. Nie chcę, żeby tracił pieniądze gdzie indziej.

Kiedy dyrektor wychodził, Gronevelt zapytał:

– Co on ma, do diabła, zamiar robić z ośmioma kobietami?

– O to samo ja go spytałem. Odpowiedział, że jest tutaj z synem.

Gronevelt uśmiechnął się.

– Oto prawdziwa ojcowska duma – rzekł. A gdy dyrektor kasyna już wyszedł, potrząsnął głową i powiedział Cully’emu: – Zapamiętaj: oni grają tam, gdzie srają i gdzie sobie używają. Ojciec już umrze, a syn będzie dalej tu przyjeżdżał. Za trzy kawałki będzie miał noc, której nigdy nie zapomni. Jest warty milion dolców dla Xanadu, no, chyba że w jego kraju wybuchnie następna rewolucja.

Ale największą chlubę, perłę w koronie graczy stanowią Japończycy. Na widok ich gry włosy stają człowiekowi dęba, poza tym zawsze przybywają do Vegas grupami. Przyjeżdżają całe pociągi przemysłowców, którzy zapragnęli wygrać trochę dolarów wolnych od podatków, a ich przegrane przez cztery dni sięgają miliona dolarów. I to właśnie Cully przyciągnął największą grupę Japończyków do hotelu Xanadu i Gronevelta.

Cully był właśnie w trakcie miłosnej przygody z cyklu „zatańcz ze mną jeszcze, a ja cię popieszczę” – z tancerką z orientalnej trupy. Dziewczyna nazywała się Daisy, ponieważ jej japońskie imię było nie do wymówienia. Miała około dwudziestu lat i przyjechała do Vegas pięć lat temu. Wspaniale tań-



czyła, ładniutka jak z obrazka. Myślała o zrobieniu operacji oczu, aby wyglądać mniej orientalnie, i piersi, aby nadać im bardziej wypukło-amerykański kształt. Przeraziło to Cully'ego i powiedział jej, że zniszczy swoją urodę. Daisy porzuciła myśl o operacji tylko dlatego, że Cully okazywał, trochę jednak udawaną, namiętność do jej podobnych do pączków piersi.

Zaprzyjaźnili się, a ona dawała mu lekcje japońskiego, kiedy zostawał na noc. Rankiem po pierwszym spotkaniu na śniadanie dała mu zupę, a kiedy zaprotestował, powiedziała, że w Japonii każdy je zupę na śniadanie, a ona, gdy jeszcze mieszkała w wiosce koło Tokio, zawsze robiła najlepszą. Rzeczywiście była wyśmienita: lekkostrawna i kojąca żołądek po męczącej nocy.

To właśnie Daisy przekazała Cully'emu wiadomość o podróży japońskiego potentata do Vegas. Rodzina Daisy przysyłała jej gazety: tęskniła za domem i cieszyła się każdym słowem napisanym o Japonii. Powiedziała Cully'emu, że tokijski przemysłowiec, niejaki pan Fummiro, udzielił wywiadu, w którym powiedział, że chciałby założyć amerykański oddział swojego koncernu telewizyjnego. Daisy dodała też, że pan Fummiro był znanym w Japonii graczem i na pewno przyjedzie do Vegas. Był także utalentowanym pianistą, kształcił się w Europie i na pewno zostałby profesjonalnym muzykiem, gdyby nie musiał przejąć firmy po ojcu.

Tego dnia Cully i Daisy poszli do jego biura w hotelu Xanadu i wspólnymi siłami, aby nie popełnić jakiegoś nietaktu przeciw orientalnej *politesse*, ułożyli list, który Daisy przepisała.

Cully zapraszał w nim pana Fummiro, aby zechciał być gościem hotelu Xanadu tak długo, jak tylko sobie zażyczy. Prosił także pana Fummiro, aby przyjechał z tyloma swoimi znajomymi, ilu zapragnie zabrać ze sobą. W subtelny sposób list dawał do zrozumienia, że nie będzie to kosztowało ani centa. Nawet spektakle będą za darmo. Przed wysłaniem listu Cully otrzymał błogosławieństwo Gronevelta, ponieważ sam nie miał jeszcze pełnej władzy, jaką dawał „ołówki”. Cully obawiał się, że Gronevelt zechce podpisać list. Nic takiego jednak się nie stało. A więc gdyby przyjechali, byłiby oficjalnie klientami Cully'ego, a on ich gospodarzem.

Odpowiedź nadeszła po trzech tygodniach. Do tego czasu Cully pilnie przykładał się do lekcji z Daisy. Dowiedział się, że rozmawiając z Japończykiem, zawsze musi się uśmiechać. Że zawsze gestem i słowem musi wyrażać najwyższy szacunek. Powiedziała mu, że jeśli Japończyk wydaje cichy syk, oznacza to gniew, niebezpieczeństwo. Zupełnie jak u grzechotnika. Cully pa-

miętał ten syk z filmów o drugiej wojnie światowej w Japonii. Myślał wtedy, że to tylko taka maniera aktorska.

Odpowiedzią na list był telefon z jednego z biur pana Fummiry w Los Angeles. Proszono, aby w hotelu Xanadu zarezerwowano dwa apartamenty dla pana Fummiry, prezesa Światowego Przedsiębiorstwa Handlowego, i zastępcy Fummiry, pana Niigety. Oraz dziesięciu pokoi dla członków ekipy pana Fummiry. Dzwoniono do Cully'ego, ponieważ to on wysłał ofertę. Po tej rozmowie oszalały z radości zadzwonił do Daisy i powiedział, że za kilka dni zabiera ją na zakupy. Powiedział jej też, że ma zamiar przygotować jeszcze dziesięć apartamentów, aby wszyscy członkowie wyprawy czuli się dobrze. Odradziła mu to, wyjaśniając, że pan Fummiro straciłby twarz przed innymi, gdyby otrzymali takie same apartamenty. Wtedy Cully zapytał, czy Daisy nie miałaby ochoty polecieć z nim do Los Angeles, aby kupić kilka kimon dla pana Fummiry. Okazało się, że to także mogłoby obrazić pana Fummire, który czuł się człowiekiem Zachodu, chociaż na pewno w domu nosił kimono. Cully gorączkowo szukał jeszcze czegoś; zaproponował Daisy, aby była tłumaczem i towarzyszką posiłków Japończyka. Niestety, Daisy była przekonana, że jest to ostatnia rzecz, jakiej pan Fummiro by pragnął. Czułby się niesłychanie niezręcznie w towarzystwie zamerykanizowanej rodaczki, obserwującej jego poczynania w innym kraju.

Cully zgodził się na wszystko. Przy jednym tylko się uparł. Chciał, żeby Daisy gotowała im japońskie zupy na śniadanie przez trzy dni. Cully postanowił przychodzić do jej mieszkania bardzo wcześnie rano i zabierać zupę, tak że kiedy pan Fummiro zażyczy sobie śniadania, dostanie ją od razu. Daisy wściekała się, ale obiecała spełnić prośbę.

Późnym popołudniem zatelefonował do niego Gronevelt.

– Co, do diabła, robi fortepian w apartamencie czterysta dziesięć? – zapytał. – Właśnie dzwonił do mnie dyrektor kasyna. Podobno zwariowałaś i robisz straszne zamieszanie.

Cully wyjaśnił, że to z powodu przyjazdu pana Fummiry i jego zamiłowania do muzyki. Gronevelt chrząknął i powiedział:

– Weź mojego rollsa, gdy będziesz jechał po nich na lotnisko. – Tego samochodu używał tylko do transportu najbogatszych teksaskich milionerów i ich gości, którymi zajmował się osobiście.

Następnego dnia Cully zjawił się na lotnisku w asyście trzech szwajcarów z hotelu, którzy mieli prowadzić rollsa i dwa cadillaki limuzyny. Zdobył po-

zwolenie na wjechanie samochodów na płytę lotniska, aby goście nie musieli przechodzić przez terminal. Sam przywitał pana Fummirę, gdy ten tylko wysiadł z samolotu.

Grupa Japończyków była nie do przeoczenia, nie tylko ze względu na orientalne rysy twarzy, ale z powodu ubrań. Wszyscy mieli na sobie źle skrojone czarne, komunijne garnitury, całości dopełniały białe koszule i czarne krawaty. Wyglądali jak banda prowincjonalnych urzędników, a nie jak rada nadzorcza najpotężniejszego japońskiego koncernu.

Pan Fummiro wyróżniał się w grupie. Był z nich najwyższy, około pięciu stóp dziesięciu cali, i przystojny, miał wyraziste rysy twarzy, szerokie ramiona i kruczoczarne włosy. Wyglądał jak tania imitacja orientalnej gwiazdy filmowej z Hollywoodu. Przez ułamek sekundy Cully pomyślał, że to jakiś przewał.

Z całej grupy tylko jeden mężczyzna był podobny do pana Fummiry. Był odrobinę niższy, ale dużo szczuplejszy. Suszył zęby jak karykatura Japończyka. Pozostali nie wyróżniali się niczym szczególnym. Wszyscy nieśli czarne aktówki.

Cully wyciągnął z nabożeństwem dłoni i powiedział:

– Nazywam się Cully Cross z Xanadu. Witamy w Las Vegas.

Pan Fummiro zaśnił grzecznym uśmiechem. Miał doskonałe, duże, zdrowe zęby, a w głosie wyczuwało się jedynie lekki obcy akcent.

– Miło mi pana poznać – rzekł. Następnie przedstawił suszącego zęby jako pana Niigetę, swego zastępcę. Wymamrotał nazwiska pozostałych; każdy ceremonialnie uściśnął dłoń Cully’ego. Cully zabrał ich kwity bagażowe i zapewnił, że walizki zostaną odwiezione do hotelu.

Zapakował ich do samochodów. Sam pojechał rollsem z Fummirą i Niigeta. Po drodze zapewnił ich, że wszystko jest przygotowane. Fummiro poklepał wieko aktówki Niigety i powiedział w swoim angielskim:

– Przywieźliśmy wam gotówkowe pieniądze.

Uśmiechnęli się do Cully’ego. Cully odwzajemnił uśmiech.

Pamiętał, aby się uśmiechać, kiedy opowiadał im o luksusach hotelu. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy nie wspomnieć o damskim towarzystwie, ale wiedziony instynktem to przemilczał.

W hotelu zaprowadził ich od razu do pokoi i polecił portierowi wypełnić za nich formularze. Wszyscy mieli pokoje na tym samym piętrze. Fummiro i Niigeta dostali dwa apartamenty połączone drzwiami. Fummiro osobiście

sprawdził wszystkie pokoje i z satysfakcją skonstatował, że jego apartament ma o wiele wyższy standard. Ale dopiero na widok fortepianu w jego oku błysnęło prawdziwe zadowolenie. Od razu usiadł i przebiegł palcami po klawiaturze. Cully miał nadzieję, że fortepian jest dobrze nastrojony. Fummiro, usatysfakcjonowany, pokiwał głową, uśmiechnął się szeroko i powiedział: „Bardzo dobry, bardzo miłe” i energicznie uściśnął dłoń Cully’ego.

Potem kazał Niigecie otworzyć aktówkę. Cully wybałuszył oczy. Wypełniały ją szczelnie starannie owinięte banderolami paczki banknotów. Nie miał pojęcia, ile tam mogło być.

– Chcielibyśmy oddać to na przechowanie do waszej kasy – powiedział Fummiro – abyśmy mogli wyciągnąć tyle pieniędzy, ile będzie nam potrzeba na nasze małe wakacje.

– Oczywiście – odrzekł Cully. Niigeta zatrzasnął aktówkę i poszedł razem z Cullym na dół, zostawiając Fummirę samego, aby ten się odświeżył.

Poszli do biura dyrektora kasyna, gdzie pieniądze zostały przeliczone. Było tego pięćset tysięcy dolarów. Cully dopilnował właściwego wypełnienia kwitu, aby w każdej chwili goście mogli otrzymać swoje pieniądze. Dyrektor kasyna osobiście będzie pilnował, by szefowie sal i porządkowi rozpoznawali Fummirę i Niigetę. Wystarczyło, żeby którykolwiek z nich skinął, a momentalnie jeden z porządkowych miał przynieść żadaną ilość sztonów. Bez formalności i legitymowania. Mieli być traktowani po królewsku, z najwyższym szacunkiem. Szczególnie, że szacunek wynikał z faktu posiadania pieniędzy.

Przez następne trzy dni Cully zjawiał się wcześniej rano w hotelu z zupą Daisy. Obsługa miała polecenie, aby podać ją Fummirze, gdy tylko zażyczy sobie śniadania. Cully dawał mu godzinę na posiłek i następnie delikatnie pukał do drzwi, aby życzyć mu dobrego dnia. Zastawał Fummirę grającego namiętnie na fortepianie; pusta miska stała na stole. Rankiem Cully przynosił mu bilety na przedstawienia i proponował trasy wycieczek dla niego i jego grupy. Pan Fummiro zawsze grzecznie się uśmiechał z wdzięcznością, a pan Niigeta wchodził ze swojego apartamentu, żeby przywitać się z Cullym i zachwycać doskonałą zupą. Cully pamiętał o uśmiechu i kiwaniu głową na wzór gości.

Podczas trzech dni pobytu banda Japończyków terroryzowała okoliczne kasyna. Podróżowali i grali razem przy stole do bakarata. Kiedy Fummiro trzymał bank, wszyscy grali razem z nim. Mieli kilka sukcesów, ale szczęśliwie nie w Xanadu. Obstawiali tylko bakarata, grając z *joie de vivre* raczej

włoską niż wschodnią. Fummiro walił pudełkiem w stół, gdy sam sobie wyciągnął dziewiątkę lub ósemkę. Był urodzonym graczem i cieszył się jak dziecko wygraną z dwutysięcznodolarowego zakładu. Zdumiewało to Cully'ego. Wiedział, że Fummiro ma majątek szacowany na około pół miliarda dolarów. Dlaczego takie mizerne (choć niemałe jak na Vegas) wygrane tak go radują?

Tylko raz w oczach Japończyka zobaczył sztylety. Pewnej nocy, gdy Fummiro trzymał bank, Niigeta obstawił gracza. Fummiro posłał mu zabójcze spojrzenie i powiedział coś po japońsku. Po raz pierwszy Cully usłyszał syk, dźwięk, przed którym ostrzegęła go Daisy. Niigeta wymamrotał jakieś przeprosiny przez zęby i momentalnie przesunął zakład na bank.

Wyprawa była olbrzymim sukcesem dla wszystkich. Fummiro i jego grupa wrócili do Japonii ze stoma tysiącami wygranych dolarów, ale w Xanadu stracili ponad dwieście tysięcy. Wyrównali sobie straty w innych kasynach. Zapoczątkowali w Las Vegas legendę o Japończykach. Banda dziesięciu mężczyzn w czarnych garniturach chodzących od kasyna do kasyna. Był to przerażający widok: dziesięciu facetów o wyglądzie grabarzy przychodzących po zwłoki zysku lokalu. Szef sali bakarata dowiadywał się, dokąd jechali, i telefonicznie zawiadamiał właściwe kasyno o konieczności przyjęcia ich z pełną pompą. Wszyscy szefowie sal wynagradzali takie informacje. W ten właśnie sposób Cully dowiedział się, że Niigeta był niecnym świntuszkiem, koszącym wszystkie luksusowe dziwki w innych hotelach. Co oznaczało, że nie chciał, aby Fummiro się dowiedział, że woli pieprzyć, niż grać.

Kiedy odlatywali do Los Angeles, Cully odwiózł ich na lotnisko. Podarował Fummirze jeden ze starych złotych zegarków z dewizką i przekazał pozdrowienia od pana Gronevelta. Sam Gronevelt zawitał kiedyś podczas obiadu, aby przedstawić się i pełnić honory gospodarza.

Fummiro był szczerze wdzięczny za gościnność i, zanim goście wsiedli do samolotu, Cully musiał przejść przez ceremonię zwyczajowych uścisków dłoni. Później Cully wrócił do hotelu i polecił usunąć fortepian z apartamentu 410, po czym udał się do biura Gronevelta. Gronevelt pogratulował mu serdecznie i gorąco uścisnął.

– Jedna z najlepszych akcji, jaką widziałem w Las Vegas – powiedział. – Skąd ty wytrzasnąłeś tę zupę?

– Od małej imieniem Daisy – odparł Cully. – Czy mogę jej kupić jakiś prezent na koszt hotelu?

– Nawet za kafla – odrzekł Gronevelt. – Wyrobiłeś sobie doskonałe chody u tych żółtków. Trzymaj się ich. Wyślij prezenty na Boże Narodzenie i specjalne zaproszenia. Ten Fummiro jest największym wtapiaczem, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Cully zmarszczył brwi.

– Dałem ciała z ciziami – powiedział. – Wiesz, ten Fummiro to przemiły facet i nie chciałem się od razu zbyt spoufalać.

– Postąpiłeś słusznie – zgodził się Gronevelt. – Nie martw się, on wróci. Jeśli zachce mu się panienki, to o nią poprosi. Nie zarabiasz takiej forsy jak on, żebyś mógł o to zapytać.

Jak zwykle Gronevelt miał rację. Trzy miesiące później Fummiro wrócił i po spektaklu zażyczył sobie jednej z jasnowłosych długonogich tancerek. Cully wiedział, że chodziła w kurs, pomimo małżeństwa z krupierem od Sandsa. Po przedstawieniu zapytał szefa sali, czy mógłby zaprosić ją na jednego z nim i z Fummirą. Wszystko poszło gładko i Fummiro zaprosił dziewczynę na późną kolację do siebie. Dziewczyna spojrzała pytająco na Cully'ego, a ten skinął głową. Po chwili zostawił ich samych. Poszedł do swego biura i zadzwonił do szefa dziewczyny, aby ten załatwił zastępstwo za nią na tę noc. Rano Cully nie poszedł do apartamentu Fummiry. Później zadzwonił do dziewczyny i dał jej wolny cały dzień.

Wszystkie kolejne wyprawy Japończyków do Vegas wyglądały podobnie. Daisy nauczyła szefa kuchni, jak przyrządzać japońską zupę, która później została włączona do stałego menu. Cully dowiedział się, że Fummiro zawsze oglądał w telewizji powtórki pewnego filmu o Dzikim Zachodzie. Uwielbiał go. Szczególnie podobała mu się jedna blondynka grająca rolę dzielnej, acz kobiecej i niewinnej tancerki. Cully myślał intensywnie. Poprzez swoje znajomości w świecie filmu skontaktował się z tą aktorką, nazwiskiem Linda Parsons. Poleciał do Los Angeles, zjadł z nią obiad i opowiedział jej o namiętności pana Fummiry. Zafascynowały ją opowieści Cully'ego o grze Japończyka i o tym, jak odwiedzał hotel Xanadu z milionem dolarów w gotówce, które potrafił przegrać w trzy dni przy bakaracie. Cully dostrzegł dzieciinną, niewinną zachłanność w jej oczach. Powiedziała Cully'emu, że z ochotą odwiedzi Las Vegas, gdy Fummiro przyjedzie następnym razem.

Miesiąc później Fummiro i Niigeta wprowadzili się do hotelu na cztero-dniowy pobyt. Cully od razu powiedział Fummirze o Lindzie Parsons, która chciała go poznać. Oczy mu się zaświeciły. Pomimo swoich czterdziestu

kilku lat był chłopięco przystojny, a radość dodawała mu jeszcze uroku. Poprosił Cully'ego, aby niezwłocznie zadzwonił do dziewczyny, Cully obiecał spełnić prośbę, nie wspominając, że miała przyjechać do Vegas jutrzejszego popołudnia. Tego wieczoru Fummiro grał jak wariat i przegrał trzysta tysięcy dolarów.

Następnego dnia rano Fummiro zapragnął kupić sobie granatowy garnitur. Z niewiadomych przyczyn uważał to za szczyt amerykańskiej elegancji. Cully zamówił w pracowni Sy Devore'a w hotelu Sands uszycie takiego garnituru specjalnie na jego miarę. Cully posłał z Fummirą jednego pracownika z Xanadu, aby wszystkiego dopilnował.

Linda Parsons przyleciała do Vegas wcześniejszym, przedpołudniowym samolotem. Cully wyjechał po nią na lotnisko i zawiózł do hotelu. Chciała się odświeżyć przed przyjściem Fummiry, dlatego Cully zaprowadził ją do apartamentu Niigety, który, jak przypuszczał, był ze swoim szefem. Okazało się to fatalną pomyłką.

Zostawiwszy dziewczynę w apartamencie, Cully poszedł do swojego biura i starał się zlokalizować Fummirę. Ten jednak wyszedł już od krawca i najwyraźniej zatrzymał się na dłużej w którymś z kasyn. Był nie do wytropienia. Po godzinie otrzymał telefon z apartamentu Fummiry. Dzwoniła Linda Parsons. Była nieco zawiedziona.

– Mógłbyś wpaść na górę? – poprosiła. – Mam kłopoty językowe z twoim przyjacielem.

Cully o nic nie pytał. Fummiro mówił dostatecznie dobrze po angielsku, ale z jakichś powodów udawał, że nie zna języka. Może zawiódł się na dziewczynie. Cully zauważył przy pierwszym spotkaniu, że panienska ma znacznie dłuższy przebieg, niż to się wydawało na ekranie. A może Linda zrobiła albo powiedziała coś, co uraziło jego orientalną wrażliwość.

Gdy zapukał, otworzył mu Niigeta, który puszył się dumny jak paw. Z łazienki wyszła Linda odziana w japońskie kimono w złote smoki.

– Jezu Chryste – wykrztusił.

Linda posłała mu blady uśmiech.

– Zrobiłeś mnie w jajo – powiedziała. – Nie jest taki nieśmiały ani przystojny, ani nie zna angielskiego. Mam nadzieję, że jest przynajmniej bogaty.

Niigeta wciąż się uśmiechał i puszył, nawet skłonił się Lindzie, gdy mówiła. Oczywiście nie rozumiał ani słowa.

– Pieprzyłaś się z nim? – Cully był na skraju rozpacz. Linda zrobiła minę.

– Gonił mnie po całym apartamencie. Myślałam, że będzie romantyczny wieczór z kwiatami i skrzypcami, ale nie mogłam sobie z nim poradzić. A więc pomyślałam sobie, co mi tam. Skoro jest takim jurnym żółtkiem, to miejmy to za sobą. Tak, pieprzyłam się z nim.

Cully potrząsnął głową.

– Pieprzyłaś się nie z tym, co trzeba.

Linda patrzyła na niego przez chwilę z wyrazem zaskoczenia i grozy na twarzy, a następnie wybuchnęła śmiechem. Śmiała się jak szalona. Opadła na sofę, a kimono odsłoniło jej białe udo. Cully patrzył jak urzeczony, ale po chwili otrząsnął się. To była poważna sprawa. Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Daisy. Natychmiast powiedziała: „Żadnych zupek więcej”. Cully poprosił, żeby sobie nie stroiła żartów, bo sprawa jest poważna, i natychmiast przyjechała do hotelu. Następnie zadzwonił do Gronevelta i wyjaśnił mu całą sprawę. Gronevelt powiedział, że już schodzi, Cully modlił się, aby nie pojawił się Fummiro.

Piętnaście minut później przyszli Gronevelt i Daisy. Linda, robiąc drinki dla Cully’ego, Niigety i siebie, wciąż chichotała. Gronevelt był dla niej niesłychanie uprzejmy.

– Przykro mi, że tak się stało – powiedział – proszę o chwilę cierpliwości. Poskładamy to wszystko do kupy.

– Następnie zwrócił się do Daisy: – Wyjaśnij, proszę, panu Niigecie dokładnie, co się stało. Że zabrał kobietę panu Fummirze. Że ona myślała, że on jest Fummirą. Powiedz mu, że pan Fummiro jest w niej bardzo zakochany i poszedł uszyć sobie nowy garnitur na to spotkanie.

Niigeta słuchał uważnie z nieodłącznym uśmiechem na twarzy. Ale oczy mówiły co innego. Zapytał o coś Daisy po japońsku i Cully usłyszał po raz drugi charakterystyczny syk. Daisy zaczęła mówić bardzo szybko. Uśmiechała się cały czas, ale uśmiech Niigety spelzał mu z twarzy z każdym jej słowem, a kiedy skończyła, osunął się nieprzytomny na podłogę.

Daisy przejęła dowodzenie. Chwyciła butelkę whisky, wlała mu jej trochę do gardła i pomogła podnieść się na sofę. Linda patrzyła na niego współczująco. Niigeta, żywo gestykulując, mówił coś do Daisy. Gronevelt zapytał, o czym on mówi. Daisy wzruszyła ramionami.

– Powiedział, że to koniec jego kariery. Mówi, że pan Fummiro pozbędzie się go. Że przez niego pan Fummiro stracił honor.

– Powiedz mu, niech trzyma głowę na kłódkę – polecił Gronevelt. – Po-



wiedz mu, że teraz zachoruje, a ja wyślę go do szpitala, a następnie poleci do Los Angeles na dalszą kurację. Z Fummirą wszystko załatwimy sami. Niech nie puszcza pary z gęby, a my dopilnujemy, żeby Fummiro nigdy się o tym nie dowiedział.

Daisy przetłumaczyła słowa Gronevelta, a Niigeta skinął głową. Na jego oblicze powrócił uprzejmy uśmiech, który miał jednak w sobie coś z upiornego grymasu. Gronevelt zwrócił się do Cully'ego:

– Zaczekaj z panią Parsons na Fummirę. Zachowujcie się jak gdyby nigdy nic. Ja zajmę się Niigetą. Nie można go tutaj zostawić, znów zemdleje, gdy zobaczy szefa. Odprowadzę go.

I tak właśnie było. Kiedy Fummiro wrócił, zastał świeżo umalowaną i elegancko ubraną Lindę Parsons, czekającą na niego z Cullym. Fummiro był oczarowany, a Linda zachwycona jego urodą; oczywiście w taki niewinny sposób, jak panienka z telewizyjnego westernu.

– Myślę, że nie masz nic przeciwko temu – powiedziała – że zajmę apartament twojego przyjaciela. W ten sposób możemy spędzać więcej czasu razem.

Fummiro załapał. Dziewczyna nie była zwykłą dziwką, która od razu pcha się facetowi do łóżka. Najpierw musi się zakochać. Zgodził się z nią z czarującym uśmiechem na twarzy.

– Oczywiście, oczywiście – rzekł.

Cully odetchnął z ulgą. Linda doskonale grała swoją rolę. Pożegnał się i zatrzymał na chwilę w przedpokoju. Po kilku minutach usłyszał, jak Fummiro gra na fortepianie, a Linda śpiewa jakąś piosenkę.

W ciągu następnych trzech dni Linda Parsons i Fummiro mieli klasyczny, niemal idealny romans w Las Vegas. Szaleli za sobą i każdą chwilę spędzali razem. W łóżku, przy stole do gry i na zakupach w sklepikach i butikach hoteli Stripu. Linda uwielbiała japońską zupę na śniadanie i grę Fummiry na fortepianie. Fummiro uwielbiał jej jasną cerę blondynki, mlecznobiałe, trochę zbyt obfite uda, długie nogi i miękkie, opadające, pełne piersi. Ale najbardziej podobał mu się jej nieustający dobry humor i wesołość. Zwierzył się Cully'emu, że Linda jest świetną gejszą. Daisy powiedziała, że to największy komplement, jaki człowiek pokroju Fummiry mógł wypowiedzieć. Fummiro twierdził także, że Linda przynosi mu szczęście w grze. Do końca pobytu stracił tylko dwieście tysięcy dolarów. Wliczając w to cenę futra z norek, pierścionka z brylantem, konia i mercedesa, które kupił Lindzie. Wykpił się

tanim kosztem. Bez Lindy straciłby pół, a może i cały milion przy stole do bakarata.

Po raz pierwszy Cully pomyślał o Lindzie jak o luksusowej cichodajce. Po odjeździe Fummiry zaprosił ją na obiad przed powrotem do Los Angeles. I okazało się, że naprawdę szalała za Fummirą.

– To taki interesujący facet – powiedziała. – I doskonale gra na fortepianie. No i jest świetny w łóżku. Nic dziwnego, że Japonki robią wszystko dla swych mężczyzn.

Cully uśmiechnął się.

– Myślę, że inaczej traktuje swoje kobiety w domu.

– Tak, wiem – westchnęła Linda. – I tak było wspaniale. Wiesz, on mi cały czas robił zdjęcia. Pomyślałbyś, że to męczące, ale ja to uwielbiałam. Też mu robiłam zdjęcia. To przystojniak.

– Bogaty przystojniak – dodał Cully.

Linda wzruszyła ramionami.

– Już byłam z bogatymi facetami. Zrobiłam na tym niezłą forszę. Ale on to takie duże dziecko. Chociaż nie podobało mi się, jak grał w kasynie. Boże! Mogłabym żyć z dziesięć lat za to, co on przegrywał jednego wieczoru.

Czy aby na pewno? – spytał w duchu Cully. I natychmiast postanowił nie dopuścić do ponownego spotkania Fummiry z Lindą Parsons. A głośno powiedział, uśmiechając się złośliwie:

– Taa, aż mi się serce krajało. Mogło go to zniechęcić do dalszej gry.

Linda uśmiechnęła się do niego.

– Jasne. Dzięki ci za wszystko. To były jedne z najpiękniejszych chwil mojego życia. Może się kiedyś jeszcze spotkamy.

Wiedział, do czego zmierzała. Ale tylko uśmiechnął się serdecznie.

– Kiedy zatęsknisz za Vegas, zadzwoń do mnie. Wszystko na koszt firmy z wyjątkiem sztonów.

– Myślisz, że Fummiro zadzwoni do mnie, gdy będzie się tu wybierał? – spytała nieco natarczywie Linda. – Dałam mu mój numer telefonu w Los Angeles. Powiedziałam nawet, że polecę na wakacje do Japonii, kiedy odbębnię zdjęcia, a on mówił, że będzie zachwycony, kiedy go o tym zawiadomię. Ale był dziwnie oszczędny w zachętach.

Cully potrząsnął głową.

– Japończycy nie lubią, gdy kobieta jest zbyt agresywna. Oni są pod tym względem tysiąc lat do tyłu. Szczególnie tacy faceci jak Fummiro. Najlepiej

dać sobie spokój i rozegrać to z głową.

– Myślę, że masz rację – westchnęła.

Cully odwiózł ją na lotnisko i pocałował na pożegnanie w policzek.

– Zadzwoń do ciebie, gdy tylko Fummiro pojawi się jeszcze raz – przyrzekł.

Kiedy wrócił do hotelu, poszedł do apartamentu Gronevelta i powiedział ironicznie:

– Jest coś takiego, jak przedobrzenie z klientem.

– Nie bądź zły – odparł Gronevelt. – Jeszcze wyjmiemy mu tego miliona. Ale masz rację. Aktorka nie jest dobrą dziewczyną dla gracza. Dlatego, że nie jest przesadnie zachłanna, jest bezpośrednia. I co najgorsze – inteligentna.

– Skąd wiesz? – zapytał Cully.

Gronevelt uśmiechnął się.

– Trafiłem?

– Jasne. Będę ich trzymał z dala od siebie.

– Nie będziesz musiał. Ten facet jest za silny. Nie potrzebuje tego, co ona chce mu dać. Nie więcej niż raz. Raz jest przyjemnie. Ale to wszystko. Gdyby było inaczej, lepiej by się o nią zatroszczył przed wyjazdem.

Cully był nieco zbity z tropu.

– Mercedes, futro z nerek i pierścionek z brylantem? To mało?

– Guzik – odparł Gronevelt. I miał rację. Następnym razem Fummiro nawet nie wspomniał o Lindzie Parsons. I stracił swój milion.

## Rozdział 19

Samolot wyłaniał się już z ciemności poranka i stewardesy roznosiły kawę i śniadanie. Podczas śniadania Cully trzymał przez cały czas walizeczkę przy sobie, a kiedy skończył jeść, dostrzegł na horyzoncie stalowe wieże Nowego Jorku. Ten widok zawsze napawał go lękiem. Tak jak w Vegas pustynia otaczała miasto, tak w Nowym Jorku wszędzie wokół roztaczał się bezkres budynków ze stali i szkła. Przygnębiało go to.

Samolot podchodził do lądowania, następnie zrobił majestatyczny zwrot w lewo. Mijając cementowoszare budynki i połacie zielonej trawy, stopniowo obniżał swój lot. Opadł na płytę lotniska na tyle mocno, że obudził jeszcze śpiących pasażerów.

Cully poczuł się świeżo i rześko. Chciał jak najszybciej spotkać się z Merlynem; cieszyła go myśl o spotkaniu. Dobry, stary Merlyn, taki sam jak zawsze, jedyny człowiek na świecie, któremu ufał.

## Rozdział 20

Tego dnia, kiedy miałem stawić się przed sądem, mój syn przechodził z dziewiątej klasy do liceum. Valerie chciała, żebym zwolnił się z pracy, aby przyjść na pokazy. Powiedziałem jej, że nie mogę, ponieważ mam ważne spotkanie w sprawie poboru. Wciąż nie miała pojęcia o moich kłopotach. Nie byłaby w stanie pomóc, a tylko by się martwiła. Jeśli wszystko pójdzie gładko, nigdy się nie dowie. Bardzo pragnąłem, żeby tak się stało. Nie wierzyłem, aby dzielenie się kłopotami ze współmałżonkiem, gdy ten nie jest w stanie im zaradzić, przyniosło kiedykolwiek pożytek.

Była dumna z syna. Kiedyś, kilka lat temu, przekonaliśmy się, że chłopak nie umie czytać, a i tak przechodzi z klasy do klasy. Valerie wściekła się jak wszyscy diabli i zaczęła go uczyć; radziła sobie świetnie. Teraz zbierał najlepsze oceny. Ja też byłem wówczas wściekły. To jeszcze jedna rzecz, którą miałem za złe Nowemu Jorkowi. Mieszkaliśmy w biednej dzielnicy, wśród pobierających zasiłek i czarnych. Szkołę gównem obchodziło, czy dziecko się czegoś nauczyło, czy nie. Po prostu przepychano dzieci z klasy do klasy, aby jak najszybciej pozbyć się kłopotu.

Valerie nie mogła doczekać się przeprowadzki. Nasz nowy dom znajdował się w dzielnicy Long Island. W tamtej szkole nauczyciele pilnowali postępów w nauce, aby mieć pewność, że ich uczniowie dostaną się na studia. A poza tym – chociaż Valerie o tym nie mówiła – rzadko można tam było spotkać czarnego. Cieszyła się, że jej dzieci będą dorastały w takim środowisku, jakie ona pamiętała ze swojej katolickiej szkoły. Nie miałem nic przeciwko temu. Nie chciałem jej tłumaczyć, że problemy, od których chce uciec, są głęboko zakorzenione w całym społeczeństwie i że ucieczka do eleganckich trawników na Long Island niczego nie zmieni.

A poza tym miałem inne zmartwienia. Mogłem iść do więzienia. Zależało

to tylko od sądu, przed którym miałem jutro się stawić. Wszystko od tego zależało. Gdy tego dnia wstałem z łóżka, poczułem się podle. Valerie zabierała dzieci do szkoły i miała tam zostać na uroczystościach. Powiedziałem, że idę do pracy później, więc wyszli przede mną. Zrobiłem sobie kawę i pijąc ją, zastanawiałem się nad tym, co powiem przed sądem.

Postanowiłem wszystkiego się wypierać. Cully zapewnił mnie, że nie ma sposobu na ujawnienie mojego łapownictwa. Najgorsze, że musiałem wypełnić kwestionariusz dotyczący stanu majątkowego. Jedno z pytań brzmiało: czy posiadam dom. I tu wchodziłem na niepewną ścieżkę. Wprawdzie wpłaciłem zaliczkę na dom w Long Island, ale faktycznie jeszcze go nie miałem. Napisałem więc „nie”. Zastanawiałem się, czy FBI na to wpadnie. Wydawało mi się, że tak.

Przypuszczałem, że jedno z pytań sądu będzie dotyczyło wpłaconej zaliczki. A ja będę musiał to potwierdzić. Wtedy zapytają mnie, dlaczego zataiłem to w kwestionariuszu, i będę musiał im wyjaśnić. A co się stanie, jeśli Frank Alcore załamał się w śledztwie i przyznał, że byliśmy współnikami? Postanowiłem nie przyznawać się mimo wszystko. Słowo Franka przeciwko mojemu. Zawsze prowadził interesy sam, nikt mu nie pomagał. Pamiętam jeszcze, jak jeden z jego klientów starał się przekupić mnie podczas jego nieobecności, wręczając kopertę z pieniędzmi. Odmówiłem. I okazało się, że świetnie na tym wyszedłem. To właśnie ten klient napisał anonim do FBI i zaczęło się całe śledztwo. Czysty fuks. Będzie zeznawał i powie, że odmówiłem – to był mój atut.

Czy Frank załamie się i rzuci mnie na pożarcie? Raczej wątpliwe. Jego jedyną drogą ratunku było wkopanie kogoś z dowództwa. Pułkownika albo majora. Haczyk tkwił w tym, że oni o niczym nie wiedzieli. Poza tym uważałem Franka za równego faceta, który nie zakabluje kolegi tylko dlatego, że sam wpadł. Ponadto miał zbyt wiele na sumieniu. Jeśli zostanie uznany za winnego, straci posadę, rentę, stopień wojskowy i dochody z tym związane. Będzie musiał nadrabiać bezczelnością.

Moim największym zmartwieniem był Paul Hems. Chłopak, dla którego zrobiłem najwięcej i którego ojciec obiecał mi dostatnie bytowanie do końca życia. Od załatwienia sprawy pan Hems nie odezwał się ani razu. Nawet nie dał znać o sobie parą rajstop. Spodziewałem się wiele po nim, przynajmniej kilka patyków, ale te kartony z ciuchami były pierwszą i zarazem ostatnią rzeczą, jaką od niego otrzymałem. Nie naciskałem i nie prosiłem o nic wię-

cej. Poza tym te kartony były warte kilka tysięcy. Nie „uszcęśliwiły mnie do końca życia”, ale co tam. Nic sobie z tego nie robiłem.

Jednak kiedy FBI zaczęło śledztwo, dotarli do tego, że Paul Hemi po otrzymaniu karty powołania został zdjęty z listy poborowych i wpisany na listę rezerwy. Wiedziałem, że moja oficjalna prośba dotycząca Paula Hemsiego została przekazana do naczelnego dowództwa. Musiałem założyć, że FBI dotarło do urzędnika z komendy uzupełnień i wyciągnęło z niego moją historijkę. Ale to jeszcze nic nielegalnego. Tylko taki zwyczajny administracyjny hokus-pokus. Ale jeśli Paul Hemi załamał się i wyznał, że zostałem przekupiony?

Wyszedłem z domu i pojechałem do szkoły mojego syna. Było tam wielkie boisko z cementowym placem do gry w baseball, a cały teren otoczono wysoką siatką. Przejeżdżając, widziałem obchody dnia promocji. Zaparkowałem samochód przy siatce i przywarłem do ogrodzenia.

Chłopcy i dziewczęta stali w rzędach, wszyscy ładnie ubrani, uczesani, z czystymi buziakami, pełni dziecięcej dumy oczekiwali na uroczyste przejście w dorosłość.

Dla rodziców ustawiono specjalne ławki i wybudowano wielką platformę dla dygnitarzy: dyrekcji szkoły i miejscowego polityka – starego pryka w czapce z otokiem, z wyglądu przypominającej te z Legionu Amerykańskiego z roku 1920. Nad platformą powiewała amerykańska flaga. Słyszałem, jak dyrektor mówił, że nie ma czasu, aby rozdawać indywidualnie dyplomy, ale gdy wywołają poszczególne klasy, uczniowie mają wystąpić z szeregu i zwrócić się w kierunku audytorium.

Obserwowałem to przez kilka minut. Po wyczytaniu poszczególnych klas rząd chłopców i dziewcząt występował do przodu i odwracał się w kierunku trybuny, aby zebrać owacje ojców, matek i krewnych. Skupione twarze przepełniała duma. Byli bohaterami dnia. Chwalili ich dygnitarze, a rodzice przyjmowali owacjami. Niektórzy z tych biednych gnojków w dalszym ciągu nie umieli czytać. Nikt z nich nie był przygotowany na wejście w wielki świat, na radzenie sobie z problemami. Byłem zadowolony, że nie widzę twarzy mego syna. Wróciłem do samochodu.

W pobliżu budynku sądu federalnego zaparkowałem samochód i wszedłem na ogromne marmurowe korytarze. Na górę pojechałem windą. Zaskoczyła mnie olbrzymia liczba poborowych z naszych jednostek. Była ich przynajmniej setka. Niektórzy witali się ze mną skinieniem głowy, niektórzy ściskali

mi dłoń, żartując z całej tej sprawy. Przy jednym z wielkich okien zobaczyłem Franka Alcore'a. Podszedłem do niego i podałem mu dłoń. Wydawał się spokojny, ale twarz miał napiętą.

– Co za gówno! – powiedział, odpowiadając na mój uścisk dłoni.

– Taa – odparłem. Nikt nie nosił munduru z wyjątkiem Franka. Miał na piersi wszystkie baretki z drugiej wojny światowej i dystynkcje sierżanta. Wyglądał jak stary wiarus. Wiedziałem, że ma nadzieję, iż sąd oddali oskarżenie przeciw mężczyźnie wypełniającemu patriotyczny obowiązek obrony kraju. Oby tak się stało...

– Jezu – powiedział Frank. – Przyleciało nas chyba ze dwie setki z fortu Lee. Gówniarze. Wszystko dlatego, że te chujki nie potrafią przełknąć powołania do wojska.

Zdumiało mnie to, byłem pod wrażeniem. Wydawało się, że tak niewiele zrobiliśmy. Braliśmy tylko pieniądze za urzędniczy hokus-pokus. Nie wydawało się to aż taką zbrodnią. Po prostu spotkały się w tym samym czasie interesy dwóch stron, dla obu korzystne i nieszkodliwe dla nikogo. Oczywiście, złamaliśmy prawo, ale nie zrobiliśmy naprawdę niczego złego. I oto rząd wydawał tysiące dolarów, żeby wpakować nas do więzienia. To nie było w porządku. Nie zastrzeliliśmy nikogo, nie obrabowaliśmy banku, nie zdefraudowaliśmy składek, nie byliśmy paserami, nie braliśmy udziału w zbiorowym gwałcie, nawet nie byliśmy ruskimi szpiegami. O co, u licha, cały ten szum? Zaśmiałem się. Z nieznanых przyczyn nagle opanowało mnie dobre samopoczucie.

– Z czego ty się, do diabła, śmiejesz? – zapytał Frank. – To poważna sprawa.

Koło nas stało kilka osób, wielu mogło nas słyszeć. Powiedziałem pogodnie:

– A czym mam się przejmować? Jesteśmy niewinni i wiemy, że to stek bzdur. Pierdol to.

Uśmiechnął się do mnie. Załapał.

– Taa... Ale i tak zabiłbym kilku tych chujków.

– Nie mów tego nawet żartem. – Posłałem mu ostrzegawcze spojrzenie. Mogą mieć podsłuch. – Przecież nie mówisz tego poważnie.

– No pewnie, że nie – przyznał niechętnie Frank. – Pomyślałby kto, że będą dumni, mogąc służyć krajowi. Ja się nie dekowałem podczas wojny.

Woźny, stojący przy drzwiach z napisem „Sąd Orzekający”, wywołał na-



zwisko Franka. Kiedy Frank wchodził do środka, zobaczyłem wychodzącego Paula Hemsiego. Podszedłem do niego.

– Cześć, Paul – powiedziałem – jak się masz? – Wyciągnąłem dłoń do uścisku. Czuł się chyba nieszczęśliwie, ale nie wyglądał na winnego. – Co u ojca?

– W porządku – odparł. Zawahał się nagle. – Nie mogę panu powiedzieć, co zeznałem. Wie pan o tym. Ale ojciec mówi, że wszystko będzie dobrze i nie musi się pan o nic martwić.

Poczułem nagłą ulgę. Tak naprawdę to martwiłem się tylko o niego. Cully twierdził, że potrafi wszystko załatwić z rodziną Hemsich, i wydawało się, że to zrobił. Nie wiedziałem, w jaki sposób Cully tego dokonał, i wcale mnie to nie obchodziło. Odprowadzałem Paula wzrokiem do windy, gdy podszedł do mnie jeszcze jeden mój klient, dzieciak, początkujący reżyser teatralny, którego wpisałem za darmo. Martwił się o mnie. Powiedział, że on i jego kole-dzy mogą zeznać, że nigdy od nikogo nie wziąłem pieniędzy. Podziękowa-łem mu i uściśnąłem dłoń. Żartowałem i uśmiechałem się, nie była to poza. Wcieliłem się w beztroskiego łapownika, będącego uosobieniem niewinności narodu amerykańskiego. Uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że bawi mnie cała ta historia. W gruncie rzeczy miałem sąd w ręku; zewsząd podchodzili do mnie moi klienci, mówiąc, że cały ten proces to jedno wielkie gówno namieszane przez kilku gnojków. Pomyślałem wtedy, że Frank może puścić farbę. Akurat wyszedł z sali i usłyszałem, jak wywołują moje nazwisko. Frank był nieco ponury, ale i wściekły, i nie byłem w stanie stwierdzić, czy pękł i stara się to ukryć. Przeszedłem przez olbrzymie drzwi i znalazłem się w sali sądu. Zanim tam wszedłem, wymazałem z twarzy beztroski uśmiech.

Było zupełnie inaczej niż w kinie. Grupa sędziów siedziała na składanych krzeselkach. Nie było tam nawet ławy sędziowskiej. Prokurator okręgowy czytał na stojąco coś ze sterty papieru na biurku. Stenotypista siedział za ma-lutkim stolikiem. Wskazano mi miejsce na krześle ustawionym na niewyso-kim podwyższeniu, aby ława przysięgłych mogła mnie dokładnie widzieć. Czułem się prawie jak kontroler przy stole do bakarata.

Prokurator okręgowy był młodym człowiekiem, ubranym w tradycyjny czarny garnitur, białą koszulę i błękitny krawat w delikatny rzucik. Miał gę-ste czarne włosy i bladą cerę. Nigdy nie poznałem jego nazwiska. Bardzo spokojnym, zrównoważonym głosem zadawał mi pytania. Starał się po prostu zebrać dowody, a nie wyrzucić wrażenie na przysięgłych.

Przy zadawaniu pytań nie podchodził do mnie, cały czas stał za biurkiem. Pierwsze pytanie dotyczyło danych osobistych i miejsca pracy.

– Panie Merlyn – rzekł – czy kiedykolwiek wyłudzał pan od kogokolwiek pieniądze?

– Nie – odparłem. Podczas udzielania odpowiedzi patrzyłem w oczy jemu albo przysięgłem. Zachowywałem się poważnie, chociaż z niewiadomych przyczyn opanowała mnie wesołość. Wciąż miałem dobry humor.

Prokurator okręgowy zapytał:

– Czy otrzymywał pan kiedykolwiek od kogokolwiek pieniądze za wciągnięcie na listę półrocznego programu rezerwy?

– Nie.

– Czy wiadomo panu coś o sprzecznym z prawem przyjmowaniu pieniędzy w zamian za traktowanie preferencyjne?

– Nie – odpowiedziałem, wciąż patrząc na niego i na grupę ludzi siedzących na niewygodnych składanych krzesłach.

Pomieszczenie nie miało okien i było źle oświetlone. Nie widziałem dokładnie ich twarzy.

– Czy wiadomo panu o jakimś wyższym oficerze, który, wykorzystując swoją pozycję, starał się umieścić kogoś na liście sześciomiesięcznego kursu rezerwy?

Wiedziałem, że zada takie pytanie. Pomyślałem, czyby nie wspomnieć o kongresmanie, który ratował od armii dziedzica stalowej fortuny. Albo o tym, jak pułkownik wraz z kilkoma oficerami rezerwy umieszczali na liście synów swoich znajomych. Może odstraszyłoby to sędziów albo skierowało śledztwo na inne tory. Ale wtedy przyszło mi do głowy, że tego właśnie chciało FBI i jeślibym powiedział coś na temat grubych ryb, zaczęłyby działać ze zdwojoną energią. Poza tym gdyby prasa dowiedziała się o kongresmanie, zaczęłyby rozdmuchiwać całą historię. Dlatego zdecydowałem się trzymać gębę na kłódkę.

Gdybym został postawiony w stan oskarżenia, mój adwokat zawsze jeszcze mógłby wykorzystać tę informację. Dlatego teraz pokręciłem głową i powiedziałem: „nie”.

Prokurator okręgowy zebrał papiery z biurka i nie patrząc mi w oczy, rzekł:

– To wszystko. Jest pan wolny.

Podniosłem się z krzesła i wyszedłem z sali. I wtedy zrozumiałem, dlaczego

go jestem tak rozradowany, pogodny, niemal w euforii.

Naprawdę byłem magiem! Przez te lata, kiedy wszyscy naokoło brali łapówki, ja zajrzałem w przyszłość i wszystko przewidziałem. Te pytania, sąd, FBI, wizję więzienia. I na wszystko rzuciłem czar. Ukryłem pieniądze u Cully'ego. Usilnie się starałem nie zrażać do siebie ludzi, z którymi robiłem lewe interesy. Nigdy wyraźnie nie zażądałem konkretnej sumy pieniędzy. I jeśli któryś z moich klientów wyrolował mnie, nie miałem o to najmniejszych pretensji. Nawet do pana Hemsiego, który obiecał uszczęśliwić mnie na całe życie. Cóż, uszczęśliwił mnie, wpływając na syna. Może to właśnie mnie uratowało, nie Cully. A jednak to Cully zdjął mnie z tarczy strzelniczej. Ale nawet, jeśli potrzebowałem niewielkiej pomocy, i tak byłem magiem. Wszystko toczyło się dokładnie tak, jak zaplanowałem. Byłem z siebie dumny. Nie uważałem się za nędznego łapówkarza, który sprytnie przedsięwziął środki ostrożności.

# Rozdział 21

Po wyjściu z lotniska Cully kazał się zawieźć taksówkarzowi do znanego banku na Manhattanie. Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta rano. Gronevelt prawdopodobnie rozmawia teraz z wiceprezesem banku, w którym miały zostać złożone pieniądze.

Wszystko zostało zaplanowane. Cully wszedł do gabinetu wiceprezesa, a gdy zamknięto drzwi na zamek, przekazał mu teczkę.

Ten otworzył ją swoim kluczem i przeliczył pieniądze w obecności Cully'ego. Następnie wypełnił i wręczył mu kwit. Wymienili uścisk dłoni i Cully wyszedł. Po opuszczeniu banku Cully wyciągnął wcześniej przygotowaną omarkowaną kopertę z kieszeni, włożył tam kwit, zakleił ją i wrzucił do skrzynki na rogu. Zastanawiał się, jak to wszystko działało, jak wiceprezes ukryje wpływy i kto odbiera pieniądze. Pewnego dnia będzie musiał się dowiedzieć.

Cully i Merlyn spotkali się w Oak Room hotelu Plaza. Przy obiedzie nie rozmawiali o interesach. Dopiero w Central Parku Merlyn opowiedział Cully'emu całą historię, a ten kiwał głową i czynił współczujące uwagi. Z tego, co się zorientował, była to operacja na małą skalę. Nawet jeśli uznają go za winnego, dostanie wyrok w zawieszeniu. Tylko że Merlyn to taki poczciwy chłop, który wyrok, nawet w zawieszeniu, będzie uważał za plamę na honorze. Z tym będzie najgorzej, pomyślał Cully.

Gdy Merlyn wspomniał nazwisko Hemsiego, Cully wiedział, że skądś je zna. A teraz, podczas spaceru po Central Parku, gdy Merlyn opowiedział mu o spotkaniu z Hemsim seniorem, wszystko mu się przypomniało. Hemsi był potentatem branży odzieżowej, przyjeżdżał na weekendy do Vegas, podobnie

na Boże Narodzenie i Nowy Rok. Charles Hemi był zapalonym graczem i zdeklarowanym dziwkarczem. Nawet jeśli przyjeżdżał do Vegas z żoną, Cully musiał mu organizować numerki. W kasynie, pod nosem pani Hemi, Cully wkładał mu do ręki klucz z numerem pokoju, informował go szeptem, o której będzie tam dziewczyna.

Charles Hemi szedł do kawiarni, aby ujść podejrziwemu oku żony. Z kawiarni przechodził labiryntem korytarzy i bocznych przejść do właściwego pokoju, gdzie czekała go lubieżna panienka. Wszystko zabierało mu mniej niż pół godziny. Charlie dawał dziewczynie studolarowy szton i całkowicie odprężony schodził do kasyna korytarzami wyłożonymi niebieską wykładziną. Mijając ruletkę, uważnie obserwował grającą żonę, rzucał kilka słów zachęty, kilka sztonów (nigdy czarnych), a następnie włączał się wesolutko w wir gry przy stole do crapa. Duży, rubaszny, pogodny facet, kiepski gracz – prawie zawsze przegrywał, ale nie był w stanie przerwać. Cully nie przypominał go sobie od razu.

Hemi miał długi w każdym kasynie w Vegas. Tylko Xanadu był winien z pięćdziesiąt patyków. Niektóre kasyna wysłały już ponagląjące listy. Gronewelt poradził Cully’emu, aby się z tym wstrzymał.

– Sam zapłaci – powiedział Gronewelt. – A później będzie pamiętał, jakimi jesteście miłymi facetami i większość forsy tego dupka zostanie u nas.

– Ten dupek ma długów na przeszło trzysta tysięcy dolarów w całym Vegas – zaprotestował Cully. – Nikt go od roku nie widział. Myślę, że będzie strugał wariata.

– Być może – odparł Gronewelt. – Ma spory interes w Nowym Jorku. Jeśli będzie miał dobry rok, wróci. Nie będzie sobie w stanie odmówić hazardu i dziwek. Teraz pewnie chodzi na herbatki do znajomych z żoną i dziećmi. Może czasami ustrzeli jakąś panienkę w pracy. Ale to go kosztuje dużo nerwów, bo wie o tym zbyt wielu jego znajomych. Tutaj, w Vegas, jest czysty. Poza tym jest maniakiem kości. Tacy nie zostawiają stołu ot, tak sobie.

– A jeśli nie będzie miał pomyślnego roku?

– Wtedy zaczniesz wydawać pieniądze Hitlera – odparł Gronewelt. Spozstrzegł zdziwiony i rozbawiony wyraz twarzy Cully’ego. – Tak nazywają je chłopaki z przedsiębiorstw odzieżowych. Podczas wojny wszyscy zarobili na spekulacjach czarnorynkowych. Mnóstwo forsy przepłynęło wtedy przez nich, ponieważ rząd racjonował tkaniny. Tych pieniędzy nie musieli zgłaszać do urzędu podatkowego. A nawet nie mogli. Wszyscy się wzbogacili. Tej

forsy nie mogą ujawnić. Jeśli chcesz się wzbogacić w tym kraju, musisz to zrobić po kryjomu.

To zdanie Cully zawsze pamiętał. „Musisz się wzbogacić po kryjomu”. Było to credo Vegas, ale nie tylko Vegas – także wszystkich, którzy tu przyjeżdżali. Właściciele supermarketów, obracających gotówką, szefów firm konstrukcyjnych, szarych eminencji kościołów różnych wyznań, zbierających pieniądze na tacę, przedstawiciele wielkich korporacji zatrudniających legalnych doradców, głowiących się nad tym, jakby tu wzbogacić się po kryjomu.

Cully słuchał Merlyna z roztargnieniem. Dzięki Bogu, Merlyn nie był gadatliwy. Gdy skończył, przez chwilę szli w milczeniu, a Cully układał sobie w głowie wszystkie informacje. Ażebym się upewnić, poprosił Merlyna o ponowne opisanie pana Hemsiego. Nie, to nie był Charlie. Chyba jeden z jego braci, wspólnik i – z tego, co usłyszał – dominujący partner. Cully nigdy nie widział w Charliem pracowitego przedsiębiorcy. Zastanawiał się nad krokami, które powinien podjąć. Był to majstersztyk i Gronevelt na pewno zaaprobuje jego plan. Miał tylko trzy dni do następnej rozprawy, ale to powinno wystarczyć.

Dlatego teraz mógł się rozkoszować spacerem z Merlynem po Central Parku. Rozmawiali o dawnych czasach. Znów gnębiły ich stare pytania. Dlaczego Jordan to zrobił? Dlaczego facet po wygraniu czterystu kafli odstrzelał sobie mózg? Obaj byli za młodzi, aby marzyć o pustce sukcesu, chociaż Merlyn znał ją z literatury. Cully uważał to za bzdury. Wiedział, jak szczęśliwym mógł go uczynić „ołówka”. Zostanie cesarzem.

Będzie gościł bogatych, potężnych ludzi, piękne kobiety, przewoził je samolotem z drugiego końca świata – zapłaci za to hotel Xanadu. Tylko dlatego, że on, Cully, użyje „ołówka”. Będzie mógł zajmować luksusowe apartamenty, zamawiać najdroższe żarcie, wina, piękne kobiety – jedną, dwie, czasami trzy. I naprawdę piękne. Będzie w stanie przenieść zwykłych śmiertelników na kilka dni, nawet na tydzień, do rajów. Wszystko za darmo.

Tyle że będą musieli sobie sami kupować sztony: zielone i czarne, i będą musieli grać. To niska cena. Poza tym będą mogli wygrać, jeśli się im powiedzie. Cully pomyślał łaskawie, że użyje „ołówka” dla Merlyna. Merlyn będzie miał wszystko za darmo, kiedy tylko przyjedzie do Vegas.

A teraz Merlyn stał się przestępcą. No, może tylko drobnym krętaczem.

Było jednak oczywiste, że jest to jednorazowy incydent. Każdy to przechodzi, przynajmniej raz w życiu. I Merlyn okazywał zażenowanie z tego powodu, przynajmniej przed Cullym. Utracił gdzieś swój spokój i pewność siebie. Wzruszyło to Cully'ego. On nigdy nie był niewinny i cenił tę cechę u innych.

Dlatego, kiedy się żegnali, Cully objął Merlyna.

– Nie martw się, wyjdiesz z tego – rzekł. – Stań przed ławą przysięgłych i zaprzeczaj wszystkiemu. Dobrze?

Merlyn zaśmiał się.

– Cóż więcej mogę zrobić?

– Kiedy przyjedziesz do Vegas, wszystko będzie na koszt firmy – dodał Cully. – Będziesz moim gościem.

– Nie mam Kurtki Zwycięzcy z Vegas.

– Nie martw się. Jeśli popłyniesz na kupę forsy, sam poprowadzę rozdanie w black jacka.

– To kradzież, a nie gra. Skończyłem z tym, gdy dostałem wezwanie do sądu.

– Tylko żartowałem – powiedział Cully. – Nie zrobiłbym tego Gronevelto-  
wi. Może gdybyś był śliczną cizią, ale ty jesteś brzydki.

Ze zdumieniem zauważył, że Merlyn znów się zmieszał. Najwyraźniej uważał się za brzydala. Na pożegnanie Cully zapytał Merlyna, czy nie potrzebuje trochę swoich pieniędzy, a Merlyn odpowiedział, że na razie nie. Tak się rozstali.

Po powrocie do hotelu Plaza Cully zatelefonował do kilku kasyn w Vegas. Tak, długi Charlesa Hemsiego wciąż nie były pokryte. Zadzwoił do Gronevelta, aby przedstawić mu swój plan, ale zmienił zdanie. Nikt nie wie, ile macek ma w mieście FBI. Dlatego tylko wspomniał, że zostanie w Nowym Jorku kilka dni, i poprosił o wykaz długów tamtejszych klientów. „Poproś ich ładnie o zwrot” – powiedział lakonicznie Gronevelt. I Cully odpowiedział, że oczywiście. Cóż miał robić? Rozmawiali na podsłuchu FBI. Ale Gronevelt był zaniepokojony i Cully wiedział, że w Vegas będzie domagał się wyjaśnień. Będzie z nim szczery, nigdy nie próbował z nim krętać.

Następnego dnia spotkał się z Charliem Hemsim. Udał się nie do jego biura, ale na pole golfowe w Roslyn, na Long Island. Wynajął brykę i pojechał tam wcześniej. Zamówił sobie drinka w barze i czekał.

Po dwóch godzinach zobaczył, jak Charles Hemiś wchodzi do sali. Cully wstał i wszedł do hallu, gdzie Charles gawędził ze znajomymi przed pójściem do szatni. Zobaczył, jak podaje jednemu z nich jakieś pieniądze. Ten frajer właśnie puszczał forszę w golfa, puszczał ją wszędzie. Cully podszedł do nich.

– Charlie – powiedział z serdecznością rodem z Vegas w głosie. – Dobrze cię znów widzieć. – Wyciągnął dłoń na powitanie, a Hemiś ją uściskał.

Dostrzegł, że rozpoznaje go, ale nie jest w stanie sobie przypomnieć, skąd się znają. Cully przypomniał mu – hotel Xanadu. Cully. Cully Cross.

Wyraz twarzy Hemiś się zmienił. Przez chwilę walczył na niej gniew i irytacja, ale zaraz ozdobił ją kupiecki uśmiech. Cully wykonał najbardziej czarowny ze swoich uśmiechów i, poklepując go po plecach, powiedział:

– Stęskniliśmy się za tobą. Nie było cię już tak dawno. Jezu, cóż za fart. Jak trafienie w ruletce.

Partnerzy golfowi skierowali się do szatni i Charlie chciał iść za nimi. Odwrócił się plecami do rozmówcy. Był wielkim mężczyzną, większym od Cully’ego. Cully odczekał trochę, po czym zawołał:

– Charlie, poczekaj chwilę. Przyjechałem ci pomóc.

– Pragnął, by jego głos zabrzmiał szczerze, nie prosząco, a jednak odezwały się nuty groźne, twarde jak stal.

Tamten zawahał się i Cully już go miał.

– Charlie, posłuchaj, to nic nie kosztuje. Mogę zlikwidować twoje długi w Vegas. Za darmo. Trzeba tylko, żeby twój brat wyświadczył mi drobną przysługę.

Naznaczona hulaszczym trybem życia twarz Hemiś stała się kredowobiała. Potrząsnął głową.

– Nie chcę mieszać do tego brata. Zamorduje mnie. Nie możesz powiedzieć bratu.

– Kasyna mają dość czekania, Charlie – rzekł miękko, nawet współczująco Cully. – Pojawiają się spece od ściągania należności, wiesz, jak oni pracują. Idą do kogoś do pracy, robią widowisko. Krzyczą, żeby im oddać pieniądze. Nie będzie miłe, kiedy zobaczysz facetów siedem stóp wzrostu i trzysta funtów żywej wagi wrzeszczących na ciebie.

– Mojego brata nie wystraszą – odparł Hemiś. – Jest twardzielem i ma znajomości.

– Jasne. Wcale nie twierdziłem, że zmuszą cię do zwrócenia długu, jeśli nie zechcesz go oddać. Ale w ten sposób twój brat się o tym dowie i narobi



sporo brudu. Słuchaj, obiecuję ci coś. Załatw mi spotkanie z bratem, a ja wstrzymam wszelkie roszczenia. Będziesz mógł pojechać do Vegas. Będziesz musiał grać za gotówkę. Jeśli wygrasz, zwrócisz część długu. To dobry układ, nie? – Cully uczynił niemal przeproszający gest.

Zauważył, że w oczach Charliego pojawiło się zainteresowanie. Ten facet nie był w Vegas od roku. Musiał tęsknić za ruchem w interesie. Cully przypomniał sobie, że w Vegas Hemi nigdy nie grał w golfa. Co znaczy, że nie przepadał za sportem. Wielu graczy lubiło sobie strzelić partyjkę porannego golfa. Charliego śmiertelnie to znudziło. A jednak się wahał.

– Twój brat i tak się dowie – powiedział Cully. – Lepiej, żeby dowiedział się ode mnie niż od poborców. Znasz mnie. Wiesz, że ja nigdy nie przegnam.

– Co to za przysługa? – zapytał Charlie.

– Mała, ma lutka. Zgodzi się, gdy tylko usłyszysz, co to jest. Przysięgam. Nie będzie miał nic przeciwko. Zrobi to z ochotą.

Charlie uśmiechnął się smutno.

– Nie robi tego z ochotą. Ale chodź, wejdziemy do klubu na jednego i pogadamy.

Po godzinie Cully wracał do Nowego Jorku. Stał nad Charliem, kiedy ten umawiał go telefonicznie z bratem. Oszukiwał, łudził i zachęcał do tego Charliego na tuzin sposobów. Mówił, że nikt go nie będzie więcej niepokoił. Że następnym razem, kiedy przyjedzie do Vegas, dostanie najlepszy apartament i wszyscy spełnią każdą jego zachciankę. Dostanie w prezencie od firmy długonogą blond tancerkę z Anglii, mówiącą z pięknym brytyjskim akcentem i mającą najśliczniejszą dupę, jaką kiedykolwiek widział. Będzie mógł spędzić z nią całą noc. Spodoba mu się. I on jej.

Umówili się, że Charlie odwiedzi Vegas pod koniec miesiąca. Kiedy Cully wyjeżdżał, Charlie miał wrażenie, że zrobił świetny interes.

Cully najpierw poszedł do hotelu Plaza, aby się odświeżyć i przebrać. Odesłał limuzynę. Do centrum odzieżowego postanowił udać się na piechotę. W pokoju włożył jeden ze swoich najlepszych garniturów od Sy Devore'a, jedwabną koszulę i brązowy krawat w kratę. Rękawy koszuli spiął spinkami. Charlie Hemi przedstawił mu aż nadto dobrze obraz swego brata i Cully nie chciał wyrzucić złego wrażenia.

Idąc przez ulice centrum odzieżowego, Cully czuł obrzydzenie do tego brudnego miasta i zmiętych, zniszczonych twarzy wokół. Czarni lub starszakiowie zniszczeni alkoholem, o czerwonych twarzach, popychali metalowe wózki z jaskrawie kolorowymi ubraniami. Jeździli tymi wózkami jak kawalerzyści, zatrzymując ruch na ulicach i nieomal wpadając na przechodniów. Brnęli wśród hałd papieru, resztek jedzenia i pustych butelek jak w pustynnym piasku. Chodniki były tak zapchane przechodniami, że nawet na dworze trudno było oddychać. Budynki wyglądały jak szare narośla rakowe wznoszące się ku niebu. Przez chwilę Cully pożałował swojej sympatii dla Merlyna. Nienawidził tego miasta. Był zdumiony, że ktoś może chcieć tu mieszkać. A ludzie robili sobie jaja z Vegas. I z grania. Kurwa. Vegas przynajmniej jest czyste.

Wejście do budynku Hemsiego wydawało się w miarę czyste. Kafelki w hallu pokryte były cieńszą warstwą osadu niż gdzie indziej. Jezu, pomyślał Cully, co za syf. Ale kiedy wysiadł z windy na szóstym piętrze, musiał zmienić zdanie. Recepcjonista i sekretarka nie dorównywali standardom Vegas, ale biuro Eli Hemsiego – tak. I Eli Hemi, co Cully zauważył od razu, nie był facetem, którego można było wychujać.

Pan Hemi był ubrany jak zwykle w ciemny jedwabny garnitur, miał perłowski krawat i nieskazitelnie białą koszulę. Masywna głowa schylała się w takt słów Cully'ego. Głęboko osadzone oczy zdawały się wyrażać smutek. Ale z całej jego postury promieniowała energia i siła. Biedny Merlyn, pomyślał Cully, po co zadawał się z takim facetem.

Cully streszczał się na tyle, na ile pozwalały na to okoliczności. Mógł sobie oszczędzić czarowania.

– Przyszedłem tutaj, aby pomóc dwóm ludziom – powiedział Cully. – Pańskiemu bratu Charliemu i mojemu przyjacielowi o nazwisku Merlyn. Proszę mi wierzyć, to mój jedyny cel. Aby im pomóc, musi pan wyświadczyć mi pewną przysługę. Jeśli pan odmówi, nie będę w stanie zrobić niczego więcej. Ale jeśli pan odmówi, nie zrobię także niczego, aby kogokolwiek skrzywdzić. Wszystko zostanie po staremu. – Przerwał na chwilę, aby Hemi mógł zabrać głos, ale tamten słuchał dalej uważnie. Nawet nie drgnęła mu powieka. Cully ciągnął: – Pański brat jest winny mojemu hotelowi Xandau w Vegas ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Poza tym ma w Vegas długów na kolejne dwieście pięćdziesiąt. Muszę dodać, że mój hotel nigdy nie będzie naciśkał na pańskiego brata ze spłatą weksli. Jest zbyt dobrym klientem i wspa-

niałym człowiekiem. Pozostałe kasyna mogą zrobić kilka nieprzyjemnych rzeczy, ale nie są w stanie rzeczywiście zmusić go do zapłaty tej kwoty, jeśli użyje pan swoich wpływów. Ale w takim wypadku będzie pan musiał wyświadczyć swoim znajomym przysługę, która może kosztować o wiele więcej niż to, o co proszę.

Eli Hemsi westchnął i zapytał cichym, ale mocnym głosem:

– Czy mój brat jest dobrym graczem?

– Niezupełnie – odrzekł Cully. – Ale to nie ma żadnego znaczenia. Każdy przegrywa.

– Nie jest lepszy w interesach – westchnął znów Hemsi. – Mam zamiar go wykupić, pozbyć się go, wylać własnego brata. Ze swoją słabością do kobiet i kasyn jest tylko kulą u nogi. Za młodu był wspaniałym sprzedawcą. Najlepszym.

Teraz jest za stary i w ogóle go to nie interesuje. Nie wiem, czy mu pomogę. Wiem, że nie będę spłacać jego długów. Ja nie gram, nie znajduję w tym przyjemności. Dlaczego miałbym opłacać jego rozrywki?

– Nie proszę pana o to – powiedział Cully. – To sam mogę zrobić. Mój hotel wykupi weksle od kasyn. Nie będzie musiał ich spłacać, chyba że przyjedzie do nas i u nas wygra. Nie damy mu więcej kredytu i dopilnuję, aby tak było w każdym kasynie w Vegas. Nie jest w stanie sobie zaszkodzić, jeśli będzie grał za gotówkę. To ważne. Dla niego. Tak jak podpisywanie weksli jest ważne dla nas. Mogę mu zapewnić taką ochronę.

Hemsi wciąż wpatrywał się uważnie w Cully'ego.

– Czy mój brat nadal gra?

– Nigdy nie uda się panu go powstrzymać – odparł szczerze Cully. – Na paru takich jak pan jest wielu takich jak on. Szara rzeczywistość jest za mało ekscytująca. Zbyt banalna.

Eli Hemsi skinął głową. Musiał to przemyśleć.

– Ale to przecież marny interes dla pana – powiedział Cully'emu. – Nikt nie potrafi ściągnąć pieniędzy od mojego brata, sam pan to powiedział, a więc odchodzi pan z kwitkiem. A wtedy mój braciszek idiota przyjeżdża z dziesięcioma, dwudziestoma tysiącami dolarów i wy to od niego wygrywa. Czyż nie tak?

– Może być też inaczej – powiedział ostrożnie Cully. – Może podpisać weksle na olbrzymią forszę. Wystarczająco dużo, aby pewni ludzie zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie opłaca się ich ściągnąć za pomocą bardziej

drastycznych metod. Kto wie, na ile człowiek potrafi zgłupieć? Proszę mi wierzyć, pański brat nie jest w stanie wyrzec się Vegas. Ma to we krwi. Z całego świata ściągają do nas ludzie takiego pokroju. Trzy, cztery razy do roku. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. I tego ani pan, ani ja nie zrozumiemy. Proszę też zapamiętać, ja będę musiał wykupić te weksle, to będzie mnie coś niecoś kosztować. – Cały czas Cully zastanawiał się, jak skłoni Gronevelta, aby przystał na jego propozycję. Postanowił martwić się tym później.

– A co to za przysługa? – W końcu zadał to pytanie łagodnym, chociaż mocnym głosem, głosem świętego, przepełnionym jakąś duchową mocą. Cully był pod wrażeniem i po raz pierwszy zaczął się martwić, czy pomysł wypali.

– Jedynie świadectwo pańskiego syna, Paula, może pogrążyć mojego przyjaciela Merlyna. Kiedyś pan przyrzekł uszczęśliwić go na całe życie. – I tu Cully pozwolił sobie na zaostrenie głosu. Irytowała go moc tego człowieka. Moc zrodzona z sukcesu finansowego, moc pucybuta przekształconego w milionera, moc czerpana ze zwycięskich walk staczanych z życiem, nawet jeśli musiał ją dzielić z głupim bratem.

Ale Eli Hemsy nie wyczuł ironii. Nawet się nie uśmiechnął. Wciąż słuchał.

– Zeznanie pańskiego syna jest jedynym dowodem przeciwko Merlynowi. Pamięta pan Merlyna? Jasne, rozumiem, Paul był przestraszony. – Nagle zobaczył groźne iskierki w ciemnych oczach rozmówcy. Musiał być zły, że jakiś nieznajomy zna imię jego syna i używa go z taką poufałością, niemal pogardliwie. Cully posłał mu rozbijający uśmiech. – Ma pan miłego chłopaka, panie Hemsy. Wszyscy uważają, że go podeszli, zastraszyli, aby złożył zeznanie FBI. Rozmawiałem już z kilkoma wyśmienitymi prawnikami. Mówią, że może odwołać swoje zeznania albo zeznawać w taki sposób, że nie przekona ławy przysięgłych i nie popadnie w tarapaty z FBI. Albo w ogóle odwoła zeznania. – Patrzył na twarz Hemsiego. Nie można było z niej niczego wyczytać. – Spodziewam się, że pański syn jest kryty. Rozumiem, że załatwił pan chłopakowi zwolnienie z wojska. Nie oskarżą go. Wyjdzie z tego w stu procentach bez skazy. Domyślam się, że ma pan wszystko nagrane. Ale, obiecuję panu, jeśli wyświadczy mi tę przysługę, to niczego to nie zmieni.

– Żałuję, że nie mogę tego zrobić. Ten Merlyn to miły chłopak – powiedział Hemsy. Teraz głos miał zmieniony: mocniejszy, a jednak trochę perswadowujący, jak głos sprzedawcy. – Pomógł mi, będę mu zawsze wdzięczny. – Cully zauważył, że słowo „zawsze” było u niego w częstym użyciu. Żadnych

półśrodków. Przyrzekł Merlynowi, że uszczęśliwi go na całe życie. Teraz zamierzał być wdzięczny na zawsze. Pierwszorzędna pierdolona deklaracja faceta, wymigującego się od zobowiązań. Cully zdenerwował się tym, że facet traktuje Merlyna jak pierwszego lepszego szmondaka. Ale słuchał dalej z uśmiechem na twarzy.

– Nic nie mogę zrobić – powtórzył Hemi. – Nie mogę narażać mojego syna. Żona nie darowałaby mi tego. Syn jest dla niej wszystkim. Mój brat jest już dorosły. Kto mu pomoże? Kto wyprostuje mu życiorys? Ale synem muszę się jeszcze opiekować. To moja rola. Jak się to skończy, proszę mi wierzyć, będę robił dla Merlyna wszystko. Przez dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat. Nigdy go nie zapomnę. Kiedy to się skończy, może mnie pan prosić o wszystko. – Pan Hemi podniósł się z krzesła i podał mu rękę, wyrażając tym gestem swą troskliwość i wdzięczność. – Żałuję, że syn nie ma takiego przyjaciela jak pan.

Cully uściśnął podaną dłoń, wciąż uśmiechając się do niego.

– Nie znam pańskiego syna, ale jestem przyjacielem pańskiego brata. Odwiedzi mnie w Vegas pod koniec miesiąca. Ale niech się pan nie martwi. Zajmę się nim. Ochronię go przed kłopotami. – Spostrzegł pełne uwagi spojrzenie Hemsiego. Właściwie mógł od razu wyłożyć swoje karty. – Ponieważ nie może mi pan pomóc, załatwię Merlynowi dobrego prawnika. Prawdopodobnie prokurator okręgowy mówił panu, że jeśli Merlyn zostanie uznany za winnego, to dostanie wyrok w zawieszeniu. I wszystko rozejdzie się po kościach, to znaczy pański syn nie będzie musiał iść do wojska. Może tak być. Ale Merlyn nie zostanie uznany za winnego. Będzie proces. Pański syn będzie musiał stawić się na rozprawie. Zeznawać. Zrobi się dużo szumu. Nie chcę pana martwić, ale dziennikarze na pewno dowiedzą się, gdzie jest i co robi Paul. Nieważne, z kim pan to załatwiał. Pański syn będzie musiał iść do wojska. Gazety robią wokół takich spraw dużo szumu. I, pomijając wszystko, pan i pański syn narobicie sobie wrogów, którzy, aby użyć pańskiego sformułowania, „unieszczęśliwią pana na całe życie”.

W odpowiedzi na tak otwartą groźbę Hemi odchylił się na krzesle i zmierzwił Cully’ego wzrokiem. Jego ciężka twarz wyrażała więcej smutku niż przygnębienia i zła. Cully powtórzył:

– Ma pan kontakty. Niech pan zadzwoni do tych ludzi i posłucha ich rad. Niech pan spyta o mnie. Niech pan im powie, że pracuję dla Gronevelta w hotelu Xanadu. Jeśli będą mieli takie samo zdanie jak pan i zadzwonią do

Gronevelta, nic na to nie będę mógł poradzić. Ale pan będzie miał wobec nich dług do spłacenia.

Hemsi rozparł się na krześle.

– Mówi pan, że wszystko pójdzie gładko, jeśli mój syn zrobi to, o co pan prosi?

– Gwarantuję to.

– Nie odeślą go z powrotem do wojska?

– Za to także mogę ręczyć. Mam przyjaciół w Waszyngtonie, tak jak pan. Ale moi przyjaciele potrafią robić rzeczy, których pańscy nie zrobią choćby dlatego, żeby nie łączono ich z panem.

– Dziękuję – powiedział Eli Hemsi, odprowadzając Cully’ego do drzwi. – Dziękuję panu bardzo. Muszę to wszystko przemyśleć. Będę z panem w kontakcie.

Jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie.

– Zatrzymałem się w hotelu Plaza – rzekł Cully – i wyjeżdżam do Vegas jutro rano. Gdyby mógł pan do mnie zadzwonić wieczorem, byłbym wdzięczny.

Ale to Charles Hemsi zadzwonił do niego. Był pijany i radosny.

– Cully, ty sprytny gnojku. Nie wiem, jak to zrobiłeś, ale mój brat prosił o przekazanie ci, że się zgadza. Zgadza się z tobą całkowicie.

Cully rozluźnił się. Eli Hemsi zadzwonił w kilka miejsc, aby go sprawdzić. Gronevelt również musiał włączyć się do gry. Czuł do niego olbrzymią sympatię i wdzięczność.

– To wspaniale – rzekł Charliemu. – Do zobaczenia w Vegas pod koniec miesiąca. Zabawisz się wyśmienicie.

– Nie przegapię tego. I nie zapomnij o tej tancerce.

– Nie zapomnę – zapewnił go Cully.

Po rozmowie przebrał się i zszedł na kolację. W restauracji zadzwonił z automatu do Merlyna.

– Wszystko w porządku. To było tylko nieporozumienie. Będzie dobrze.

Głos Merlyna dobiegał jakby z oddali, prawie nieobecny i nie był tak przepełniony wdzięcznością, jakby sobie tego Cully życzył.

– Dzięki – powiedział Merlyn. – Do zobaczenia wkrótce w Vegas. – I odłożył słuchawkę.

## Rozdział 22

Cully Cross zatuszował moją sprawę, ale biedny patriota Frank Alcore został uznany za winnego, zwolniony z wojska i osądzony. Dostał rok więzienia. Tydzień później major wezwał mnie do swojego biura. Nie był zły ani poirytowany; nawet się uśmiechał.

– Nie wiem, jak to zrobiłeś, Merlyn – powiedział – aleś się wywinął. Gratulacje. I bez jaj, to jakiś kretyński dowcip. Powinni wszystkich tych chłopaków pozamykać. Cieszę się z tobą, ale dostałem rozkazy i muszę mieć pewność, że to się nigdy nie powtórzy. Mówię jak przyjaciel. Nie naciskam cię. Radzę ci, abyś zrezygnował z państwowej posady. Od razu.

Byłem zszokowany i zrobiło mi się trochę słabo. Myślałem, że już po wszystkim, a tu nagle wylewają mnie z roboty. Jak, do diabła, spłacę te wszystkie rachunki? Jak zapewnię rodzinie utrzymanie? Jak zapłacę za nowy dom na Long Island, do którego mieliśmy się właśnie wprowadzać?

Staralem się trzymać pokerową twarz.

– Sąd oczyścił mnie z zarzutów. Dlaczego miałbym odejść?

Major musiał czytać mi w myślach. Pamiętam, że Jordan i Cully żartowali w Vegas, jak to można mnie rozszyfrować.

– Dla twojego własnego dobra – rzekł ze współczuciem. – Błacharze mają swoich ludzi w całym budynku, FBI będzie dalej węszyć. Wszyscy chłopcy z rezerwy będą starali się wymuszać na tobie różne rzeczy. Będą dodawać do pieca. Ale jeśli zrezygnujesz, wszystko rozejdzie się po kościach. Śledczy dadzą sobie spokój.

Chciałem go zapytać o innych pracowników cywilnych biorących łapówki, ale major mnie uprzedził.

– Znam przynajmniej dziesięciu takich jak ty pracowników cywilnych, którzy mają zamiar zrezygnować. Niektórzy już to zrobili. Uwierz mi: jestem

po twojej stronie. Nic ci nie będzie. Marnujesz czas w tej pracy. W twoim wieku mógłbyś się już lepiej ustawić.

Przytaknąłem. Myślałem podobnie. Jak dotąd w życiu rzeczywiście nie dokonałem niczego istotnego. Jasne, napisałem książkę, ale jako urzędnik zarabiałem setkę tygodniowo. Prawda, dorabiałem jeszcze trzy, cztery setki na artykułach w prasie, ale po wyczerpaniu się żyły złota musiałem wykonać jakiś ruch.

– Dobrze – powiedziałem. – Napiszę podanie o zwolnienie w ciągu dwóch tygodni.

Major pokiwał głową i uściśnął mi dłoń.

– Masz jeszcze dwa tygodnie płatnego urlopu – powiedział – wykorzystaj je na szukanie pracy. Ja zajmę się wszystkim. Wpadaj tylko raz na jakiś czas, aby ruszyć coś w papierach.

Wróciłem do biurka i napisałem podanie o zwolnienie. Nie było najgorzej. Miałem przed sobą około dwudziestu płatnych dni wakacji. Około czterystu dolarów. Pomyślałem o wyciągnięciu swoich piętnastu tysięcy dolarów z funduszu emerytalnego, ale wtedy w wieku sześćdziesięciu pięciu lat byłbym załatwiony. Ale to dopiero za trzydzieści lat. Do tego czasu mogę wykitować. Były jeszcze pieniądze z łapówek ukryte u Cully'ego. Ponad trzydzieści kałków. Przez chwilę ogarnęła mnie panika. Co będzie, jeśli Cully nie zechce oddać mi pieniędzy? Nic nie będę mógł zrobić. Byliśmy przyjaciółmi, wyciągnął mnie z kłopotów, ale nie miałem co do niego złudzeń. Był szulerem z Vegas. Co będzie, jeśli zażąda tych pieniędzy w zamian za przysługę, którą mi wyświadczył? Nie mogłem tego wykluczyć. Wykupiłem się z więzienia. O Jezu!

Ale najbardziej bałem się powiedzieć Valerie, że straciłem pracę. I wyjaśnić to jej ojcu. Jej stary zacznie wypytywać znajomych i tak dowie się wszystkiego.

Tego wieczoru nic Valerie nie mówiłem. Następnego dnia urwałem się z pracy i poszedłem zobaczyć się z Eddiem Lancerem. Opowiedziałem mu o wszystkim, a on śmiał się, potrząsając głową. Kiedy skończyłem, powiedział zaskoczony:

– Wiesz, zawsze mnie coś zadziwi. Myślałem, że jesteś najbardziej kryształowym facetem zaraz po twoim bracie, Artiem.

Powiedziałem Eddiemu, że branie łapówek i łamanie prawa pozytywnie oddziaływało na moją psychikę. W jakiś sposób uwalniało mnie od goryczy.



Opowiedziałem o odrzuceniu mojej powieści przez czytelników, bezsensie życia, porażkach i marnych widokach na przyszłość.

Lancer patrzył na mnie ze swoim charakterystycznym uśmieszkiem na twarzy.

– A ja myślałem, że jesteś najmniej neurotycznym facetem na świecie. Masz szczęśliwe małżeństwo, wspaniałe dzieci, bezpieczne życie. Pracujesz nad nową książką. Czego, u diabła, jeszcze chcesz?

– Nowej pracy – powiedziałem mu.

Eddie Lancer myślał nad tym przez chwilę. Dziwne, ale nie czułem zakłopotania, zwracając się do niego.

– Tak między nami mówiąc, to będę tu jeszcze tylko przez pół roku – powiedział. – Będzie nowy wydawca. To ja go rekomenduję, więc będzie mi winny przysługę. Poproszę go, aby dawał ci wystarczająco dużo zleceń.

– Wspaniale.

– Do tego czasu zawałę cię robotą – dodał prędko Eddie. – Trochę opowiadań przygodowych, romansowego gówna i kilka recenzji, które zwykle robię sam. W porządku?

– Jasne – odparłem. – Kiedy skończysz swoją książkę?

– Za kilka miesięcy – odrzekł Lancer. – A ty?

Znów to znienawidzone pytanie. Prawda była taka, że miałem jedynie zarys powieści o jednej ze spraw kryminalnych w Arizonie. Ale nic na piśmie. Oddałem konspekt wydawcy, lecz odmówił wypłacenia zaliczki. Powiedział, że nie robi się na tym kasy, bo treścią było porwanie i zamordowanie dziecka. Nikt nie będzie współczuł porywaczowi – głównemu bohaterowi. Pragnąłem stworzyć drugą *Zbrodnię i karę*, co wystraszyło mojego wydawcę.

– Pracuję nad tym – powiedziałem zatem – a końca nie widać.

Lancer uśmiechnął się współczująco.

– Jesteś dobrym pisarzem. Kiedyś staniesz się sławny. Nie przejmuj się.

Rozmawialiśmy dłuższą chwilę na temat pisarstwa i książek. Przyznaliśmy zgodnie, że bylibyśmy lepszymi pisarzami, niż niejeden z robiących karierę twórców gniotów. Kiedy wyszedłem od niego, miałem doskonały nastrój. Zawsze tak było po spotkaniu z Lancerem. Z niewyjaśnionych przyczyn był jednym z niewielu ludzi, przy których czułem się swobodnie, a jego inteligencja i talent zawsze dodawały mi skrzydeł.

I tak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Znów byłem pisarzem, wiodłem uczciwe życie, wymknąłem się katowi i za kilka miesięcy wprowa-

dzę się wraz z rodziną do nowego domu. Może mała zbrodnia popłaca.

Dwa miesiące później wprowadziłem się do nowo wybudowanego domu na Long Island. Mieliśmy osobny pokój dla każdego dziecka, trzy łazienki i pralnię. Nie będę musiał już leżeć w wannie, podczas gdy woda ściekająca z wypranych ubrań będzie kapać mi na twarz. Koniec z kolejkami do łazienki. Opętał mnie luksus prywatności. Miałem własny gabinet do pracy, ogród i trawnik. Istna Kanada. A przecież tak wielu ludzi uważało to za naturalne.

Najważniejsze ze wszystkiego było to, że miałem świadomość bezpieczeństwa i stabilizacji mojej rodziny. Zostawiliśmy biednych i zdesperowanych za sobą. Nigdy nas nie dogonią; ich tragedie nie pociągną za sobą naszych. Moje dzieci nigdy nie będą sierotami.

Pewnego dnia, siedząc na moim podmiejskim ganku, zrozumiałem, że jestem szczęśliwy, może nigdy nie byłem tak szczęśliwy w życiu. I to mnie trochę wkurwiało. Skoro byłem artystą, to dlaczego cieszyły mnie takie zwykłe przyjemności jak żona, którą kochałem, dzieci i tani dom na przedmieściu? Jedno było pewne: nie byłem Gauguinem. Może dlatego nie pisałem. Byłem zbyt szczęśliwy. I poczułem żal do Valerie. Złapała mnie. Jezu.

Jednak nawet to nie mogło mnie zadowolić. Wszystko układało się po myślnie. I przyjemność z posiadania dzieci była taka banalna. Były obrzydliwie „słodziutki”. Kiedy mój syn miał pięć lat, zabrałem go na spacer i wtedy kot wyskoczył z jakiejś bramy. Mój syn odwrócił się do mnie i powiedział: „Tato, czy to jest czarna luda?”. Kiedy opowiedziałem o tym Valerie, była zachwycona i chciała posłać tę opowieść do jakiejś gazety, która płaci za dostarczanie takich historyjek. Moja reakcja była inna. Może przeżywał go tak jakiś kolega i dzieciak był bardziej zdziwiony nowym zwrotem niż obrażony? Myślałem nad zagadkami języka i pierwszymi doświadczeniami mojego dziecka. I zazdrościłem mu niewinności dzieciństwa, tego, że ma rodziców, którym może mówić takie rzeczy i którzy później będą się tym zachwycać.

Przypomniałem sobie jeszcze jeden dzień, w którym wybraliśmy się na niedzielną przechadzkę. Oglądaliśmy wystawy na Piątej Alei i rzeczy, na które nigdy by nas nie było stać. Naprzeciw nas szła kobieta wzrostu około trzech stóp, ubrana elegancko w zamszową kurtkę, białą bluzę i czarną tweedową spódnicę. Moja córka przyłgnęła do płaszcza Valerie i wskazując palcem na karlicę, spytała: „Mamusiu, co to jest?”.

Valerie była przerażona i czerwona ze wstydu. Zawsze bała się ranić czyichś uczuć. Uciszała córkę, aż kobieta przeszła dalej. Następnie wyjaśniła jej, że ta pani należy do ludzi, którzy nie urosli. Moja córka nie zrozumiała do końca.

– To znaczy, że ona nie urosła. To znaczy, że jest taką starszą panią jak ty?  
– spytała.

Valerie uśmiechnęła się do mnie.

– Tak, kochanie – powiedziała. – Nie myśl już o tym. Niewielu ludziom się to zdarza.

Tego wieczoru, kiedy opowiadałem dzieciom bajkę na dobranoc, córka wydawała się pogrążona w myślach i nieobecna. Zapytałem, o czym myśli. Córka podniosła oczy i zapytała:

– Tatusiu, czy ja naprawdę jestem małą dziewczynką, czy tylko starszą panią, która nie urosła?

Wiedziałem, że miliony ludzi na świecie opowiadało sobie takie historie o swoich dzieciach. Było to okropnie pretensjonalne. A jednak uważałem, że dzieląc z dziećmi ich życie, wzbogacam swoje. Czułem, że całe moje życie składa się z drobnych, nic nieznaczących cząstek.

I znów moja córka. Pewnego wieczoru zezłościła Valerie złym zachowaniem. Rzuciła w brata jedzeniem, wylała picie i przewróciła sosjerkę. W końcu Valerie wrzasnęła na nią:

„Jeszcze raz i cię zabiję”.

Był to oczywiście tylko taki zwrot. Ale córka popatrzyła na nią uważnie i zapytała: „Masz spluwę?”.

Zabawne było to, że najwyraźniej wierzyła, że brak broni wyklucza dzieciobójstwo. Nic jeszcze nie wiedziała o wojnie, zarazie, gwałcicielach i pedofilach, wypadkach samochodowych i katastrofach lotniczych, pałowaniu, raku, truciznie, wyrzucaniu przez okna. Zaśmialiśmy się z Valerie. Żona powiedziała: „Oczywiście nie mam broni, nie bądź niemądra”. I z twarzy dziewczynki zniknął wyraz zatroskania. Valerie nigdy więcej nie dała się ponieść nerwom.

Moja żona też mnie czasami zadziwiała. W miarę upływu lat stawała się coraz bardziej konserwatywna i wierząca. Nie była już tą dziewczyną z cyganerii z kampusu w Greenwich, która chciała zostać pisarką. Trzymanie zwierząt na osiedlu było zabronione i Valerie nigdy nie ujawniła się ze swoją do nich miłością. Teraz kupiła szczeniaczka i kotka. Nie byłem zadowolony, nie

przekonał mnie nawet idylliczny obrazek: dzieci bawiące się ze zwierzątkami na trawniku. Nigdy nie lubiłem psów czy kotów trzymanyh w domu – przypominały mi karykatury sierot.

Byłem zbyt szczęśliwy z Valerie. Nie miałem wtedy pojęcia, jak cenną i rzadką rzecz posiadam. I jak doskonałą matką i żoną była Valerie. Kiedy dzieci się przewracały i kaleczyły, nigdy nie zawracała mi tym głowy. Wykonywała prace domowe należące zwykle do mężczyzn, do których ja nie miałem cierpliwości. Jej rodzice mieszkali teraz zaledwie pół godziny drogi od nas, dlatego często zabierała dzieci samochodem do dziadków, nie pytając nawet, czy miałbym ochotę pójść. Wiedziała, że nienawidzę takich wizyt i czas spędzony samotnie poświęcam na pracę nad książką.

Ale z jakichś powodów dręczyły ją nocne koszmary. Musiałem ją budzić w nocy, ponieważ często płakała i krzyczała. Pewnej nocy była tak przerażona, że objąłem ją mocno i zapytałem, co się jej śniło. Wyszepiała mi do ucha: „Nigdy nie mów, że umieram”.

Przeraziła mnie jak wszyscy diabli. Nieustannie wyobrażałem sobie, jak idzie do lekarza i otrzymuje złe wiadomości. A następnego dnia, gdy ją o to zapytałem, niczego nie pamiętała. Sugerowałem, aby poszła do lekarza, lecz wyśmiała mnie. Powiedziała: „To przez to moje wychowanie. Myślę, że po prostu boję się iść do piekła”.

Przez dwa lata pisałem na zlecenie artykuły do tygodników. Do obrzydliwości szczęśliwy w małżeństwie patrzyłem, jak rosną moje dzieci. Valerie często odwiedzała swoją rodzinę, a ja spędzałem większość czasu w pracowni w piwnicy, tak że nie widywaliśmy się często. Podczas pracy nad powieścią, która powinna uczynić mnie sławnym i bogatym, miałem przynajmniej trzy zamówienia z gazet w miesiącu. Porwanie i morderstwo było moją zabawą, historie do prasy – chlebkiem i masełkiem. Obliczyłem, że pisząc w takim tempie, skończę powieść za jakieś trzy lata, ale nie obchodziło mnie to wcale. Zawsze gdy czułem się samotny, czytałem od nowa stopy rękopisów. Cudownie było obserwować, jak dzieci rosną, a Valerie coraz mniej boi się śmierci. Ale nic nie trwa wiecznie. Nie trwa, ponieważ się tego nie chce. Jeśli wszystko układa się świetnie, człowiek szuka sobie zmartwień.

Po dwóch latach dziesięciogodzinnych dni pracy, mieszkania w podmiejskim domu, chodzenia do kina raz w miesiącu i czytania wszystkiego, co na-

winie się pod rękę, odebrałem telefon od Eddiego Lancera, który zapraszał mnie na kolację w mieście. Po raz pierwszy od dwóch lat miałem zobaczyć Nowy Jork nocą. Jeździłem tam, aby podpisywać umowy z wydawcami magazynów, ale zawsze wracałem na obiad. Valerie doskonale gotowała i nie chciałem opuszczać wieczoru z rodziną i nocnej porcji pracy.

Eddie Lancer wrócił właśnie z Hollywood i obiecał mi wspaniałe opowieści i doskonałą kuchnię. Jak zwykle zapytał o moją książkę. Zawsze traktował mnie tak, jakby wiedział, że zostanę wielkim pisarzem: uwielbiałem to. Był jednym z niewielu ludzi, jakich znałem, którzy zdawali się mieć wrodzoną uprzejmość, nieskażoną pragmatyzmem. Potrafił być bardzo zabawny, czego mu zazdrościłem. Przypominał mi Valerie z czasów New School. Ona też miała tę cechę. Nawet teraz niekiedy potrafiła mnie rozbawić.

Dlatego powiedziałem Eddiemu, że następnego dnia jadę podpisać jakąś umowę i później z chęcią się z nim zobaczę.

Zabrał mnie do knajpy Pearl, o której nigdy nie słyszałem.

Byłem tak tępy, że nie wiedziałem, że to chińska restauracja. Po raz pierwszy w życiu jadłem chińskie potrawy i kiedy powiedziałem o tym Eddiemu, zdumiał się. Zrobił mi cały wykład na temat chińskich potraw, a nawet odczytał kartkę z mojego ciasteczka szczęścia. Nie pozwolił mi go zjeść.

– Nie, nie, nigdy ich nie jedz – powiedział. – To banalnie proste. Najcenniejszą rzeczą wyniesioną z tego wieczoru będzie nauka, aby nigdy nie jeść ciasteczek szczęścia w chińskich restauracjach.

Nasze rozmowy i spotkania były zabawne. Kilka miesięcy później przeczytałem jego opowiadanie w piśmie „Esquire”, gdzie opisywał całe zdarzenie. Była to wzruszająca historia, nabijał się z nas obu. Od momentu przeczytania tego opowiadania poznałem go lepiej i wiedziałem, że dobrym nastrojeniem maskuje samotność i wyobcowanie. I wtedy przyszło mi na myśl, że wiem, co naprawdę o mnie myśli. Odmalował mnie jako człowieka, który wie, co robi, i kroczy pewnie przez życie. Rozbawiło mnie to do łez.

Ale mylił się co do tej jedynej rzeczy, którą wyniosę z tego wieczoru. Ponieważ po kolacji namówił mnie do pójścia na przyjęcie literackie, gdzie ponownie spotkałem Osana.

Byliśmy przy deserze i kawie, Eddie polecił mi lody czekoladowe. Powiedział, że to jedyny deser, jaki pasuje do chińskiego jedzenia.

– Zapamiętaj sobie – powiedział – nigdy nie jedz ciasteczka szczęścia i zawsze zamawiaj lody czekoladowe.

Następnie, jakby od niechcienia, zapytał, czy nie poszedłbym z nim na przyjęcie. Nie uśmiechało mi się to. Czekala mnie półtoragodzinna jazda i z niecierpliwością wyczekiwałem powrotu do domu i kilku godzin pracy.

– No chodźże – namawiał – przecież nie możesz być całe życie pustelnikiem. Daj sobie dzisiaj spokój. Będzie dobra woda, rozmowy i kilka ładnych lasek. Możesz nawiązać cenne kontakty. Krytykowi trudniej jest zmieszać cię z gównem, jeśli zna cię osobiście. A i wydawca spojrzy łaskawszym okiem na twoje pomysły, skoro cię już poznał i polubił. – Eddie wiedział, że nie miałem jeszcze wydawcy najnowszej powieści. Mój pierwszy wydawca nie chciał mnie więcej widzieć, ponieważ sprzedał tylko dwa tysiące egzemplarzy i książka nigdy nie znalazła wielu czytelników.

Dlatego poszedłem na przyjęcie i spotkałem Osana. Tak jak ja, nie dał poznać po sobie, że wie coś o jakimś wywiadzie. Ale w tydzień później dostałem list, w którym zapraszał mnie na lunch i zaproponował pracę.

## Rozdział 23

Zacząłem pracować u Osana z wielu powodów. Po pierwsze była to interesująca i prestiżowa posada. Od kiedy Osano kilka lat temu został wydawcą jednego z najbardziej wpływowych pism literackich w kraju, zaczął mieć kłopoty z personelem. Dlatego zostałem jego asystentem. Zarabiałem nieźle i praca nie przeszkadzała mi w pisaniu książki. Poza tym byłem dotąd zbyt szczęśliwy w domu i stałem się odludkiem. Byłem szczęśliwy, ale miałem bezbarwne życie. Łaknąłem dreszczu podniecenia, niebezpieczeństwa. Wciąż uciekałem do wspomnień z Vegas, do tego, jak rozkoszowałem się tam samotnością i rozpaczą. Czy to choroba umysłowa, kiedy się rozpamiętuje nie-szczęście i gardzi szczęściem trzymanym w dłoniach?

Pracę przyjąłem głównie z powodu Osana. Oczywiście był najbardziej znanym pisarzem Ameryki. Ceniony za swój cykl powieści, znany z łamania prawa i rewolucyjnego podejścia do społeczeństwa. Otoczony aurą skandalu obyczajowego. Walczył z każdym i przeciwko wszystkiemu. Jednak na przyjęciu, na które zabrał mnie Eddie Lancer, był czarujący i wszystkich fascynował. A przecież ludzie obecni na przyjęciu należeli do śmietanki literackiej i sami woleli być adorowani niż adorować.

Muszę przyznać, że Osano i mnie oczarował. Wdał się w żarliwą dyskusję z jednym z najbardziej znanych krytyków literackich Ameryki, który był także jego bliskim przyjacielem i pomocnikiem w pracy. Ale krytyk ośmielił się wygłosić opinię, że pisarze tworzący literaturę faktu, a co więcej, że niektórzy krytycy – to również artyści. Osano naskoczył na niego.

– Ty druciarski krwio pijco – krzyczał; w jednej ręce trzymał szklanę, a drugą jak gdyby zamierzał się do ciosu. – Masz na tyle tupetu, żeby żerować na innych pisarzach i jeszcze śmiesz twierdzić, że jesteś artystą? Ty nawet nie wiesz, co to jest sztuka. Artysta tworzy tylko z samego siebie, rozu-

miesz, pierdolony cwelu? On jest jak, kurwa, pajak, co ma pajęczynę zapakowaną do środka. A wy, chuj, po prostu przychodźcie i zamiatajcie ją miotłami gospodyń domowych, zanim jeszcze zdąży ją upleść. Nadajecie się tylko do miotły, pierdalone palanty, ot, co. – Jego przyjaciel stał jak wryty, ponieważ chwilę temu chwalił Osana za jego książkę z literatury faktu, mówiąc, że to prawdziwa sztuka.

Po zejściu Osano podszedł do grupy kobiet, zawsze gotowych go adorować. Było wśród nich kilka feministek i nie minęło pięć minut, kiedy ta grupa znalazła się w centrum uwagi. Jedna z kobiet krzyczała na niego, a on – z błyskiem w zielonych, kocich oczach – słuchał rozbawiony.

– Wy, kobiety, chcecie równości – wypalił – a nie rozumiecie gry władzy. Waszym atutem są wasze cipy i to pokazujecie zwykle waszym przeciwnikom. Oddajcie je. Bez nich nie miałybyście w ogóle żadnej władzy. Mężczyźni mogą żyć bez uczucia, ale nie bez seksu. Kobiety muszą mieć uczucie i radzą sobie bez seksu. – Przy ostatnim stwierdzeniu kobiety rzuciły się do niego, gwałtownie protestując.

– Kobiety narzekają na małżeństwo – nie przerywał sobie Osano – podczas gdy jest to najlepszy układ, jaki mogą dostać. Małżeństwo jest jak akcje. Jest tu inflacja i dewaluacja. Dla mężczyzn ich wartość spada, i to spada z każdym dniem. Wicie dlaczego? Kobiety tracą na wartości z wiekiem. I po kilku latach przywiązujemy się do nich jak do pierwszego samochodu. Kobiety nie starzeją się tak jak mężczyźni. Możecie sobie wyobrazić pięćdziesięciolatkę, która nakłania dwudziestolatkę do pójścia do łóżka? Bardzo niewiele kobiet ma na tyle wyrachowane podejście, aby kupować mężczyzn, jak oni to robią z kobietami.

Jedna z kobiet wykrzyknęła:

– Ja mam dwudziestoletniego kochanka. – Była przystojną kobietą około czterdziestki.

Osano uśmiechnął się do niej złośliwie.

– Gratuluję – powiedział. – Ale co będzie po pięćdziesiątce? Teraz, gdy młodziutkie dziewczęta dają tak łatwo, będzie pani musiała wystawać przed podstawówką i proponować chłopakom rower wyścigowy. I czy myśli pani, że młodzi kochankowie zakochują się w pani, tak jak młode dziewczęta w mężczyznach po pięćdziesiątce? W pani wypadku nie działa freudowski obraz ojca. I muszę przyznać, że mężczyzna po czterdziestce wygląda lepiej niż dwudziestolatek. Po pięćdziesiątce jest w dalszym ciągu atrakcyjny. To



czysta biologia.

– Gówno prawda – powiedziała przystojna czterdziestolatka. – Młode panienki robią z was, staruchów, wałów, a wy w to wierzycie. Nie jesteście przystojniejsi, macie po prostu więcej władzy. I wszystkie prawa są po waszej stronie. Kiedy to zmienimy, wszystko się zmieni.

– Jasne – odparł Osano – przeforsujecie prawo nakazujące mężczyznom przeprowadzenie operacji pobrzydzania. W imię fair play i równych praw. Może nawet utniecie nam jaja w majestacie prawa. To jednak nie zmieni faktów. – Zrobił krótką pauzę. – Zna pani najgorszą strofę poetycką? To Browning. „Starzej się wraz ze mną! Najlepsze jeszcze przed nami...”.

Kręciłem się tu i tam, i słuchałem. To, co mówił Osano, uważałem za mierzwę. Miałem odmienne wyobrażenie o pisarstwie. Nienawidziłem dyskusji literackich, chociaż czytałem artykuły i kupowałem pisma.

Cóż, do diaska, znaczyło być artystą? Nie decydowała o tym wrażliwość. Nie inteligencja. Ani cierpienia. Ekstaza. Wszystko to była mierzwa.

Prawda jest taka, że pisarz to koło zębate. Po kilku latach nagle, nieoczekiwanie zabiera się do pisania. Najgorsze jednak było to, że stabilizacja nie zawsze owocuje arcydziełem.

Pisarstwo to cholernie ciężka i dokuczliwa praca. Bezsensowność. Utrata zaufania do siebie i otaczającego świata. Stajesz się tchórzem i hipochondrykiem. Unikasz odpowiedzialności za życie emocjonalne, a jest to jedyne, co możesz zrobić. I może dlatego czułem dumę z całego tego śmiecia, które wypisywałem dla gazet. To była jakaś umiejętność, rzemiosło. Nie byłem marnym, pieprzonym artychą.

Osano nigdy tego nie rozumiał. Zawsze uważał się za artystę. Tak samo kilka lat później nie rozumiał fenomenu Hollywoodu, nie rozumiał, że przemysł filmowy jest młody, jest jak mały berbec, którego należało jeszcze wysadzać na nocnik, a nie winić za zasrywanie wszystkiego wokół.

Jedna z kobiet zapytała:

– Osano, masz takie powodzenie u kobiet. Jaki jest sekret twojego sukcesu? – Wszyscy się zaśmiali, on też. Wzbudził tym mój podziw. Mój Boże, facet, który po pięciu małżeństwach mógł sobie jeszcze pozwolić na śmiech!

– Mówię im, że ma być w stu procentach tak, jak ja chcę – odparł Osano. – Akceptują moją dominację. Zawsze im powtarzam, że kiedy nie będzie się im podobało, mogą się wyprowadzić. Żadnych kłótni, wyjaśnień, negocjacji, po prostu fora ze dwora. I tego nie mogą zrozumieć: najpierw się zgadzają, a jak

się już wprowadzą do mnie – natychmiast łamią te zasady. Starają się uszczknąć coś dla siebie. I kiedy nie są w stanie tego uzyskać, zaczynają się kłótnie.

– Cóż za wspaniała propozycja – powiedziała jedna z kobiet – a co dostają w zamian?

Osano rozejrzył się wokół i z niezmienioną twarzą odparł:

– Uczciwe ciupcianie. – Kilka kobiet głośno zaprotestowało.

Kiedy zdecydowałem się u niego pracować, przeczytałem wszystkie jego książki. Wczesne były wyśmienite, z ostrymi, precyzyjnymi scenami. W powieściach postacie doskonale komponowały się z fabułą. Miał mnóstwo pomysłów. Jego późniejsze książki sięgały głębiej, były bardziej refleksyjne i pompatyczne. Zachowywał się jak dostojnik obnoszący się ze swoimi zasługami. Wszystkie jednak książki stanowiły wyzwanie dla krytyki, dawały recenzentom pretekst do rozkładania wszystkiego na drobne fragmenty, dyskusji i kąśliwych uwag. Ale ostatnie trzy książki uważałem za mierne. Krytycy wręcz przeciwnie.

Zacząłem nowe życie. Jeździłem do Nowego Jorku i rozpoczynałem pracę o jedenastej. Biura wydawnictwa były olbrzymie, a tempo pracy gorączkowe; książki nadchodziły dosłownie tysiącami. Choć mieliśmy miejsce na około sześćdziesiąt recenzji tygodniowo, wszystkie nadesłane egzemplarze należało przynajmniej przekartkować. W pracy Osano był niesłychanie uprzejmy dla wszystkich swoich pracowników. Stale pytał o moją powieść i deklarował przeczytanie przed publikacją i poradę w sprawach edytorskich. Ale ja byłem zbyt dumny, żeby mu ją pokazać. Pomimo że był sławny, a ja nie, uważałem się za lepszego pisarza.

Po długich wieczorach wypełnionych pracą Osano pił whisky z butelki, którą zawsze trzymał w biurku, i dawał mi długie wykłady na temat literatury, życia pisarza, wydawców, kobiet i innych aktualnie zajmujących go tematów. Pracował wtedy od pięciu lat nad wielką powieścią, która, jak wierzył, przyniesie mu literacką Nagrodę Nobla. Pobrał już olbrzymią zaliczkę, więc wydawca denerwował się i naciskał. Bardzo wkurwiało to Osana. Ten kutas – mawiał o nim – poradził mi, abym przeczytał klasyków dla inspiracji. Ta ignorancka pierdoła. Czy kiedykolwiek próbowałeś czytać jeszcze raz klasykę? Jezu, te stare pryki jak Hardy i Tołstoj, i Galsworthy mieli to z głowy. Po czterdziestu stronach puszczała sobie bąka. I wiesz dlaczego? Trzymali czytelników w garści. Za jaja. Nie podróżowali, bo któż by chciał mieć bąble na dupie od obijania się w tych powozach. W Anglii nie można było sobie na-

wet podymać. Może dlatego francuscy pisarze byli bardziej zdyscyplinowani. Francuzi byli przynajmniej za dupczeniem, nie tak jak te wiktoriańskie palanty. Pytam się, dlaczego facet mający telewizor i dom przy plaży powinien czytać Prousta?

Nigdy nie byłem w stanie przebrnąć przez Prousta, więc kiwnąłem zgodnie głową. Ale czytałem wszystko inne i nie był w stanie tego zastąpić telewizor czy dom na plaży.

– Mówią, że *Anna Karenina* to dzieło sztuki – ciągnął Osano. – Ten gówniany gniot. To dzieło pogardzającego kobietami chłopaczka z wyższych sfer. Nigdy nie ukazuje, co ta babka naprawdę czuje. Przedstawia po prostu konwencjonalny obraz czasów i miejsc. A następnie przez sto stron poucza, jak należy gospodarować na ruskiej farmie. Wpycha to tam, jakby kogokolwiek to obchodziło. A kogo, kurwa, obchodzi Wroński i cierpienia duszy jego? Jezu, nie wiem, kto gorszy: Ruscy czy Angole. Dla tych skurwieli Dickensa czy Trollope’a pięćset stron to małe piwo. Pisali, kiedy się zmęczyli pracą w ogrodzie. Francuzi przynajmniej są zwięźli. A ten pieprzony Balzac? Zabraniam! Zabraniam czytać dzisiaj tego drania.

Wziął spory łyk whisky i westchnął.

– Nikt z nich nie miał pojęcia, jak wykorzystywać język – ciągnął. – Nikt z wyjątkiem Flauberta, ale on nie jest taki wielki. Co wcale nie znaczy, że Amerykanie są lepsi. Ten pieprzony Dreiser nawet nie znał znaczenia słów. To analfabeta, słowo daję. Pierdolony aborygen. Jeszcze jeden twórca dziewięćsetstronicowych gniotów. Nikt by ich, kurwa, dzisiaj nie wydał, a nawet gdyby, to krytycy rozszarpaliby ich na strzępy. Chłopie, wtedy mieliby za swoje. Bez startu. – Westchnął zmęczony. – Merlyn, mój chłopie, pisarze tacy jak my są na wymarcu. Wynajdą kolejną rakietę, głupie programy w telewizji, będą kręcić filmy. Można to sobie wszystko o kant dupy rozbić. – Po chwili kładł się wykończony na kanapie, którą trzymał na takie okazje w biurze. Starłem się go pocieszyć.

– To doskonały pomysł na artykuł do „Esquire” – powiedziałem – zamordowanie sześciu klasyków. Tak jak to, co napisałeś o współczesnych pisarzach.

Osano zaśmiał się.

– Jezu, to by dopiero była zabawa. Robiłem sobie jaja, aby wszyscy się trochę powkurwiali. Ale poskutkowało. Stałem się wielki, a oni malutcy. I to jest literacka zabawa, tylko że te bezmózgie gnoje o tym nie wiedziały. Po-

miotali się trochę w tych swoich wieżach z kości słoniowej, myśląc, że to wystarczy.

– A więc nie powinno to być trudne. Ale nie zdziw się, kiedy historycy literatury naskoczą na ciebie.

Osano był najwyraźniej zainteresowany. Wstał z kanapy i podszedł do biurka.

– Jakich dzieł klasyków nie cierpisz najbardziej? – spytał.

– *Silas Marner* – powiedziałem. – A to w dalszym ciągu jest lekturą.

– Stara lesba George Eliot – rzekł Osano. – Nauczyciele uwielbiają ją. Dobra, to jedno. Ja najbardziej nienawidzę *Anny Kareniny*. Tołstoj jest lepszy od Eliot. Nikogo Eliot już nie obchodzi, ale jak walnę w Tołstoja, to się profesorki wzburzą.

– Dickens? – zapytałem.

– Konieczność – potwierdził Osano. – Ale nie *Dawid Copperfield*. Muszę przyznać, że uwielbiam tę książkę. To naprawdę był zabawny gość z tego Dickensa. Mogę go dupnąć na sprawach damsko-męskich. To pieprzony hipokryta. I pisał mnóstwo gówna. Całe tony.

Zaczęliśmy układać listę. Mieliśmy na tyle przyzwoitości, żeby nie molestować Flauberta i Jane Austen. Ale kiedy zaproponowałem Goethego i *Cierpienia młodego Wertera*, poklepał mnie po plecach i zawył z radości.

– Najidiotyczniejsza książka na świecie – powiedział. – Zrobię z niej niemieckiego hamburgera.

W końcu nasza lista wyglądała tak:

*Silas Marner*

*Anna Karenina*

*Cierpienia młodego Wertera*

*Dombey i syn*

*Szkarłatna litera*

*Lord Jim*

*Moby Dick*

Proust (wszystko)

Hardy (wszystko)

– Potrzeba nam jeszcze jednego, żeby było przynajmniej dziesięć – powie-

dział Osano.

– Szekspir – zaproponowałem.

Osano pokręcił głową.

– Wciąż kocham Szekspira. Wiesz, to ironia losu; pisał dla pieniędzy, szybko, był drobnomieszczańskim ignorantem, a i tak nikt go nie może tknąć. I gównu go obchodziło, czy to, co pisał, było prawdą, byle było piękne i wzruszające. Co myślisz o tym: „Miłość przestaje być miłością w chwili, gdy znajdziesz drugą jej podobną”? Mogę podać setki przykładów. Ale on jest za wielki. Nawet jeśli zawsze nienawidziłem tego pierdolonego Macduffa czy kretyna Otella.

– Potrzeba nam jeszcze jednej pozycji – przypomniałem.

– Taa – i Osano nagle uśmiechnął się radośnie. – Zobacz, Dostojewski. To nasz człowiek. Co myślisz o *Braciach Karamazow*?

– Życzę powodzenia – powiedziałem.

Osano odparł ostrożnie:

– Nabokov twierdzi, że to gniot.

– Jemu też życzę powodzenia – dodałem.

A więc utknęliśmy i Osano zdecydował, żeby zostać przy dziewięciu. Poza tym unikniemy banalnej dziesiątki. Zastanawiałem się, dlaczego nie możemy dobrnąć do dziesięciu.

Jeszcze tej nocy Osano napisał artykuł, który został opublikowany dwa miesiące później. Był doskonały, irytujący i z każdego zdania przebijała obietnica, że nowa powieść Osana nie powtórzy starych błędów i zastąpi wszystkie te klasyczne dzieła. Artykuł wzniecił niesamowity ferment i w całym kraju ukazały się krytyki, atakujące Osana i mieszające z błotem powstającą powieść. Osano był szalbierzem pierwszej wody. Cully byłyby z niego dumny. Postanowiłem, że muszę ich kiedyś z sobą poznać.

W pół roku stałem się prawą ręką Osana. Kochałem swoją pracę. Czytałem mnóstwo książek, tak że Osano po przeczytaniu moich notatek mógł zlecić pracę jednemu z recenzentów. Nasze biuro było oceanem książek. Topiło się w nich, skakało przez nie, leżały na wszystkich biurkach i krzesłach. Były podobne do mrówek pokrywających padlinę. Zawsze kochałem i ceniłem książki, ale teraz zacząłem rozumieć pogardę i lekceważenie niektórych intelektualistów krytyków; byli ordynansami bohaterów.

Najbardziej lubiłem czytać; szczególnie powieści i biografie. Nie rozumiałem dzieł z zakresu filozofii ani niektórych krytyków erudytych, dlatego Osa-

no powierzał te książki ekspertom z danej dziedziny. Zrównanie z ziemią nadętych krytyków literackich stanowiło dla niego czystą przyjemność. Kiedy protestowali, mówił im, że „oceniał strzał, a nie gracza”. Takie jawne kpiarstwo rozogniało ich jeszcze bardziej. Ale, wciąż mając nadzieję na literacką Nagrodę Nobla, hołubił niektórych z nich, dając im sporo miejsca w gazecie. Było zaledwie kilka odstępstw od tej reguły. Szczególnie nienawidził angielskich pisarzy i francuskich filozofów. I w miarę upływu czasu coraz bardziej nienawidził swojej pracy i uciekał przed nią jak mógł najdalej.

Bez skrupułów wykorzystywał swoją pozycję. Pracownicy z działów kontaktu z czytelnikami poszczególnych wydawnictw wiedziały, że jeśli chcą uzyskać pozytywną recenzję u Osana, to wystarczy zaprosić go na obiad i wcisnąć mu ciemnotę. Jeśli dziewczyna była młoda i ładna, dawał jej do zrozumienia, że dostanie miejsce w gazecie w zamian za tyłek. Mówił to całkiem otwarcie, co mnie na początku zaszokowało. Myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko w przemyśle filmowym. Stosował tę samą technikę wobec młodych recenzentek poszukujących zleceń. Mieliśmy olbrzymi budżet i mnóstwo niewykorzystanych recenzji, za które trzeba było zapłacić. I zawsze dotrzymywał umów. Jeśli znajdował zrozumienie, wychodził im na przeciw. Kiedy zacząłem pracę, miał już we wszystkich literackich pismach Ameryki mnóstwo przyjaciółek, które swoją pozycję zawdzięczały hojności seksualnej. Zachwycał mnie kontrast pomiędzy tym i wysoce intelektualnym, moralnym tonem artykułów.

Zwykle tuż przed oddaniem numeru zostawałem z Osanem dłużej w pracy. Szliśmy razem na kolację i na drinka, a potem on zaszywał się w swojej samotni. Zawsze chciał załatwić mi jakąś panienkę, ale ja wciąż powtarzałem, że jestem szczęśliwy w małżeństwie. Stało się to wkrótce dowcipem z bardzo długą brodą. „Nie zmęczyłeś się jeszcze pieprzeniem żony?” – pytał. Tak jak Cully. Nie odpowiadałem, ignorowałem go. To nie była jego sprawa. Potrząsał głową i mawiał: „Jesteś ósmym cudem świata. Żonaty od stu lat i jeszcze podoba ci się pieprzenie z żoną”. Czasami, kiedy posyłałem mu pełne irytacji spojrzenie, cytował jakiegoś nie znanego mi poetę: „Nie łotr za progiem, lecz czas twym wrogiem”. Był to jego ulubiony cytat. Stosował go często.

Pracując tam, poczułem przedsmak świata literatury. Zawsze marzyłem, żeby stać się jego częścią. Wyobrażałem to sobie jako miejsce, gdzie nikt nie kłóci się o pieniądze. Że skoro tworzą ogólnie podziwianych bohaterów – są im podobni. I oczywiście przekonałem się, że są tacy sami jak wszyscy, tylko

bardziej stuknięci. Odkryłem także, że Osano również ich nienawidzi. Zwykł mawiać:

– Jedyne pisarz jest kimś specjalnym. Nie ci popierdoleni twórcy opowiadań, autorzy scenariuszy telewizyjnych, poeci, dramaturdzy i ci popieprzeni twórcy literatury lekkiej. Wszystko to pozerzy. Płaskie to. Ani krzty ikry. Trzeba mieć ikrę przy pisaniu powieści. – Jeszcze chwilę o tym mówił, po czym brał kartkę papieru; wiedziałem, że zapowiadało to esej o ikrze w niedzielnym wydaniu.

Kiedy indziej przejeżdżał się po miernych recenzjach.

Spadał odbiór książek, a on winił za to nieprofesjonalnych krytyków.

– Jasne, to cwane typki, jasne, że mają wiele ciekawych rzeczy do powiedzenia. Ale nie są w stanie sklecić nawet jednego przyzwoitego zdania. Są jak jąkały. Włazą ci na łeb, kiedy starasz się uważnie słuchać każdego słowa, wypowiedzanego przez zaciśnięte zęby.

Co tydzień Osano publikował swój esej na drugiej stronie. Miał ostre, wspaniałe pióro, które co tydzień powiększało listę jego wrogów. Jednego razu opublikował pochwałę kary śmierci. Wykazał, że w każdym referendum liczba ludzi popierających karę śmierci stanowiłaby przeważającą większość. Że tylko elicie, do której zaliczał czytelników swojego artykułu, udało się zawiesić wyroki śmierci w USA. Twierdził, że jest to wynikiem spisku wyższych urzędników państwowych. Dowodził, że rządowi było na rękę danie swobody wszystkim złodziejom, bandziorom, włamywaczom, gwałcicielom i mordercom. Że jest to wentyl dla klas niższych, aby nie miała ciągotek rewolucyjnych. Że jest to niska cena, jaką płacą wyższe instancje za zachowanie status quo. Elity żyły w dobrych dzielnicach, posyłały dzieci do elitarnych szkół i wynajmowały sobie ochroniarzy, aby ustrzec się przed zemstą proletariatu. Wyśmiewał się z liberałów mówiących, że życie jest święte i kara śmierci będzie jeszcze jednym krokiem ku brutalizacji społeczeństwa. Jesteśmy tylko zwierzętami i, jak mawiał, nie zasługujemy na lepsze traktowanie niż słonie w Indiach, które za zabicie człowieka skazuje się na śmierć. W gruncie rzeczy, twierdził, skazany na śmierć słoń ma większe prawo iść do nieba niż ćpun morderca, który po komfortowym pięcio-, sześćoletnim pobycie w więzieniu zostaje wypuszczony na wolność, by dalej mordować klasę średnią. Wskazywał na to, że kara śmierci jest najskuteczniejszym środkiem profilaktycznym i za przykład podawał szanującą prawo Anglię, gdzie policjant nie nosi nawet broni. Przypisywał to faktowi, iż nie dalej niż

w dziewiętnastym wieku w Anglii karano śmiercią ośmioletnie dzieci za kradzież haftowanej chustki. Dowodził, że takie środki prewencji zmieniły potencjalnych przestępców w polityków i sprowadziły do Anglii socjalizm. Szczególnie jedno zdanie rozwścieczyło czytelników: „Nie wiemy, czy najwyższy wymiar kary będzie środkiem profilaktycznym, ale wiemy, że trup mordercy nie będzie dalej mordował”.

Zakończył esej gratulacjami dla rządu USA za zapewnienie niższej klasie ciągłości pracy w zawodach takich jak złodziej i morderca, aby odciągnąć ich od życia politycznego.

Był to obrazoburczy esej, ale tak dobrze napisany, że wszystko miało swoje logiczne wytłumaczenie. Przez redakcję przewaliły się setki listów zawierających protesty znanych intelektualistów i liberałów. Specjalny list, napisany przez najbardziej radykalną organizację, skupiającą znanych pisarzy Ameryki, został wysłany do wydawcy, aby ten zdjął Osana z zajmowanego stanowiska. Osano wydrukował go w następnym numerze.

Był wciąż zbyt sławny, aby go wywalić. Wszyscy czekali na jego wielką powieść. Tę, która miała mu zapewnić Nagrodę Nobla. Czasami, gdy wchodziłem do biura, zastawałem go nad żółtymi kartkami papieru, które zaraz zgarniał do szuflady. Chociaż wiedziałem, co to jest, nigdy go o to nie pytałem, a i on nie przejawiał zbytnej gadatliwości pod tym względem.

Kilka miesięcy później znów popadł w tarapaty. Napisał esej, w którym, opierając się na przeprowadzonych badaniach, dowodził, że najprawdopodobniej stereotypy są prawdziwe. Włosi to urodzeni przestępcy, Żydzi – najlepsi w robieniu pieniędzy, grze na skrzypcach i naukach medycznych i co najgorsze, częściej niż inne nacje umieszczają rodziców w domach starców. Cytował dane mówiące o tym, że Irlandczycy są pijakami na skutek nieznannej biologicznej ułomności czy diety lub na skutek tego, że są utajonymi homoseksualistami. I tak dalej. To była afera. Ale nie zatrzymała Osana.

Chyba zwariował. Pewnego razu zarezerwował sobie stronę tytułową na esej o helikopterach. Wciąż go to gryzło. Helikoptery zastąpią samochody i kiedy to się stanie, miliony mil betonowych autostrad zmienią się na tereny uprawne. Helikopter pozwoli rodzinom wrócić do tradycyjnych struktur, ponieważ będą mogły odwiedzać daleko mieszkających krewnych. Był przekonany, że wkrótce samochody staną się zbędne. Może dlatego, że nienawidził samochodów. Nawet na weekendy spędzane w Hamptons wynajmował specjalny helikopter.



Twierdził, że kilka technicznych przeróbek uczyni helikopter tak łatwym do prowadzenia jak samochód. Wskazywał na fakt, że automatyczna skrzynia biegów spowodowała, że miliony kobiet na świecie przestało mieć problemy z wajchą. I ta mała wzmianka wznieciła gniew bojowniczek Ruchu Wyzwolenia Kobiet. Co gorsze, w tym samym czasie pewien znany wykładowca opublikował studia dotyczące Hemingwaya. Miał mnóstwo przyjaciół i na zbieraniu materiału spędził około dziesięciu lat. Recenzja ukazała się na pierwszych stronach wszystkich literackich pism z wyjątkiem naszego. Osano zamieścił ją na piątej stronie i przeznaczył na nią tylko trzy kolumny zamiast całości. Wówczas wydawca wezwał Osana do swego apartamentu na ostatnim piętrze biurowca i przez trzy godziny słuchał jego wyjaśnień. Kiedy Osano zjechał windą, uśmiechając się od ucha do ucha, powiedział:

– Merlyn, mój chłopie, a jednak tchnąłem trochę życia w tego szmatławca. Ale myślę, że powinieneś poszukać sobie nowej pracy. Ja się nie martwię, prawie skończyłem powieść i będę miał teraz sporo czasu.

Przez blisko rok, gdy dla niego pracowałem, nie byłem w stanie zrozumieć, jakim cudem udaje mu się w ogóle pracować. Pieprzył wszystko, co nie uciekało na drzewo, i chodził na wszystkie przyjęcia w Nowym Jorku. W tym czasie wyskrobał krótką powieść za sto tysięcy dolarów zaliczki. Pisał w czasie pracy i zajęło mu to jakieś dwa miesiące. Krytycy piali z zachwytem i, chociaż nie sprzedawała się dobrze, została nominowana do National Book Award. Przeczytałem tę książkę; została napisana prościutkim stylem, charakterystyka była żałosna, a intryga opętańcza. Pomimo kilku skomplikowanych myśli uważałem ją za głupią. Osano bez wątpienia był umysłem pierwszej wody, ale według mnie książka to całkowite fiasko. Nigdy nie zapytał, czy ją czytałem. Najwyraźniej nie chciał znać mojej opinii. Wiedział, że to gówno, tak mi się wydaje. Któregoś dnia powiedział: „Teraz, kiedy mam kasę, będę mógł skończyć tę wielką powieść”. Jego słowa zabrzmiały jak przeprosiny.

Polubiłem Osana, ale zawsze się go trochę bałem. Potrafił mnie przejrzeć jak nikt na świecie. Wciągał mnie w rozmowy o literaturze, hazardzie i kobietach. I wtedy, gdy ze mnie już wyciągnął zwierzenia, oceniał to, co powiedziałem. Bezbłędnie wyczuwał pretensjonalność u wszystkich z wyjątkiem siebie. Kiedy opowiedziałem mu o tym, co się stało w Vegas z Jordanem i jak zmieniło to moje życie, pomyślał chwilę i palnął mówkę.

– Trzymasz się tego zdarzenia, wracasz do niego, wiesz dlaczego? – zapy-

tał. Krążył pośród stosów książek, wymachując rękami. – Ponieważ zdajesz sobie sprawę, że to jedyny obszar, w którym jesteś bezpieczny. Ty nigdy byś się nie rozwalil. Nie strzeliłbyś sobie w łeb. Wiesz, że cię lubię, gdyby tak nie było, nie zostałbyś moją prawą ręką. I ufam ci bardziej niż komukolwiek, kogo znam. Posłuchaj, wyznam ci coś. W tamtym tygodniu musiałem zmienić testament z powodu tej pierdolonej Wendy. – Wendy była jego trzecią żoną i wciąż doprowadzała go do furii swoimi żądaniami, pomimo że zdążyła powtórnie wyjść za mąż. Gdy tylko wspominał jej imię, w jego oczach pojawiało się szaleństwo. Ale po chwili się uspokoił. Posłał mi jeden ze swoich dziecięcych, słodkich uśmiechów. – Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza – powiedział – że wyznaczyłem cię na wykonawcę testamentu we wszystkich sprawach związanych z moją spuścizną literacką.

Zaniemówiłem. Byłem przyjemnie zaskoczony. Ale nie chciałem, żeby mi tak ufał czy tak mnie lubił. Nie mogłem odwzajemnić tych uczuć. Rzeczywiście dobrze czułem się w jego towarzystwie, fascynował mnie meandrami swego umysłu. I chociaż próbowałem temu zaprzeczać – imponowała mi jego sława. Myślałem o nim jak o kimś bogatym, sławnym i potężnym, a to, że mi zaufał tak bardzo, wskazało mi jego słaby punkt, co mnie skonsternowało. Zniszczył moje złudzenia na swój temat.

Potem mówił o mnie.

– Wiesz, w głębi duszy pogardzasz Jordanem, ale nie chcesz się do tego przyznać. Nie wiem, ile razy wysłuchiwałem tych twoich historii. Jasne, lubiłeś go, było ci przykro z powodu jego śmierci, może go nawet rozumiałeś. Może. Ale nie byłeś w stanie pogodzić się z faktem, że facet z takimi perspektywami rozwała sobie łeb. Ponieważ wiesz, że pomimo iż miałeś dziecięć razy gorsze życie, nigdy byś tego nie zrobił. Jesteś nawet szczęśliwy. Wiedziesz gówniany żywot, na nic cię nie stać, wypruwasz sobie flaki w pracy, dobrze się ożeniłeś, jesteś artystą z połową życia za sobą i ani odrobiną nadziei na sukces. Ale ogólnie rzecz biorąc, jesteś szczęśliwy. Jezu, wciąż lubisz się pieprzyć ze swoją żoną – od ilu to już? – dziesięciu, piętnastu lat. Jesteś najmniej wrażliwym kutasem, jakiego spotkałem w życiu. Jedno wiem, jesteś najtwardszy. Żyjesz we własnym świecie, robisz tylko to, na co masz ochotę. Kierujesz swoim życiem. Nigdy nie wpadasz w tarapaty; kiedy ci się to zdarza, nie panikujesz i wydostajesz się z nich bez trudu. Cóż, podziwiam cię, ale ci nie zazdroszczę. Nigdy nie widziałem, byś robił lub mówił coś rzeczywiście podłego, ale tak naprawdę to myślę, że wszyscy cię gówno obcho-

dzą. Po prostu sam sobą sterujesz.

Czekał na moją reakcję. Uśmiechał się z wyzywającym błyskiem w swych zielonych oczach. Wiedziałem, że bawi się nieźle, ale jednocześnie był całkiem serio, dlatego poczułem się urażony.

Chciałem powiedzieć o wielu rzeczach. Chciałem mu powiedzieć, jak to jest dorastać jako sierota. I o tym, że ominęło mnie coś ważnego: jądro każdego ludzkiego doświadczenia. O tym, że nie miałem rodziny, niczego czym mógłbym związać się ze światem. Miałem tylko brata. Kiedy ludzie rozmawiali o życiu, nie wiedziałem, o co im chodzi, dopóki nie poznałem Valerie. Dlatego zgłosiłem się na ochotnika do wojska. Pojmowałem wojnę jako jeszcze jedno uniwersalne doświadczenie i nie chciałem być go pozbawiony. I miałem rację. Wojna była moją rodziną, niezależnie od tego, jak głupio to brzmi. Byłem zadowolony, że to mnie nie ominęło. A to, czego Osano nie wiedział – a może tylko nie mówił, zakładając, że wszystko wiem – to że wcale nie jest łatwo kierować życiem. Nie mogłem wiedzieć, że nigdy nie rozumiałem szczęścia. W młodości życie było dla mnie pasmem nieszczęść spowodowanych różnymi okolicznościami. Stałem się w miarę szczęśliwy także za sprawą tych właśnie okoliczności. Ożenek z Valerie, dzieci, umiejętność czy też dar pisania, który sprawiał, że mogłem zarobić na życie. Było to kontrolowane szczęście zbudowane na tym, co nazywam ślepyim losem. Wiedziałem, że ten kij ma dwa końce. Żyłem ograniczony pewnymi barierami, barierami klasy, do której się dostałem. Miałem niewielu przyjaciół, żadnych kontaktów towarzyskich, nie byłem zainteresowany odniesieniem sukcesu.

Chciałem po prostu przejść spokojnie przez życie, a przynajmniej tak mi się wydawało.

Osano obserwował mnie z uśmiechem na twarzy.

– Jesteś największym, skurwysyńskim twardzielem, jakiego widziałem w życiu – rzekł. – Nie pozwalasz nikomu zbliżyć się do siebie. Nie pozwolisz nikomu zajrzeć w swoje myśli.

– Posłuchaj, zapytaj mnie o moje zdanie na jakiś temat, a ci odpowiem. Nawet nie musisz pytać. Twoja ostatnia książka to kupa gówna, a recenzje przypominają spowiedź pacjenta od czubków.

Osano zaśmiał się.

– Nie to miałem na myśli – powiedział. – Nigdy nie zarzuciłem ci braku szczerości. Ale niech ci będzie. Kiedyś dowiesz się, o co mi chodziło. Szczególnie jeśli zaczniesz gonić za babkami i nawinie ci się taka jak Wendy.

Od czasu do czasu do biura wpadała Wendy. Ognista brunetka ze wzrokiem i ciałem naładowanym seksem. Była bardzo zdolna i Osano dawał jej książki do recenzji. Jedyna z jego sześciu żon, która się go nie bała i starała się ze wszystkich sił obrzydzić mu żywot. Gdy miał kłopoty z zapłatą alimentów, próbowała go wsadzić do więzienia. Kiedy publikował nową książkę, szła do sądu i występowała o podwyższenie alimentów na wychowanie ich dzieci. Zameldowała u siebie w mieszkaniu dwudziestoletniego pisarza i wspomagała go finansowo. Pisarz był ćpunem i Osano martwił się o dzieci.

Osano opowiadał takie historie o swoim małżeństwie z Wendy, że aż wydawały mi się nieprawdopodobne. Pewnego razu wybierali się na przyjęcie i gdy już byli w windzie, Wendy nie chciała mu powiedzieć, na którym piętrze mają wysiąść. Tak się wściekł, że zaczął ją dusić – była to zabawa, którą nazywał „zadusić tę kurę”. Najlepsze wspomnienie tego małżeństwa. Jej twarz zaczęła sinieć, ale wciąż potrząsała głową, odmawiając odpowiedzi na pytanie, na którym piętrze mają wysiąść. Musiał ją puścić. Wiedział, że ma większego szmergla niż on.

Czasami podczas drobniejszych awantur wzywała policję, aby wyrzuciła go z mieszkania, a policjanci stawali jak wryci na widok, jaki zastawali w mieszkaniu: pocięte nożyczkami ubrania Osana. Przyznawała się do tego, ale twierdziła, że mimo wszystko nie miał prawa jej uderzyć. Przemilczała tylko, że usiadła na stercie pociętych koszul i krawatów i onanizowała się swoim wibratorem.

Osano miał w zanadrzu wiele historii o wibratorze. Poszła do psychiatry, ponieważ nie mogła osiągnąć orgazmu. Po trzech miesiącach przyznała się, że lekarz rznął ją, mówiąc, że to część terapii. Osano nie był zazdrosny; czuł tylko wstręt. Był to – jak mówił – wstręt, a nie nienawiść. To różnica.

Ale wściekał się za każdym razem, gdy odbierał rachunek od psychiatry i wyładowywał złość na niej. „Płacę kolesiówi stówę tygodniowo za rżnięcie mojej żony i to ma być ta współczesna medycyna?”. Opowiedział tę historię na jakimś przyjęciu i Wendy tak się wściekła, że przestała chodzić do psychiatry i kupiła sobie wibrator. Każdego wieczoru przed kolacją zamykała się przed dziećmi na godzinę w sypialni i onanizowała się tą maszynką. Zawsze osiągała orgazm. Żelazną zasadą tych seansów było to, że nie należało jej przeszkadzać. Cała rodzinka, z dziećmi włącznie, nazywała to szczęśliwą go-

dzinką.

Mówił, że ostatecznym powodem, który skłonił go do zostawienia żony, to jej upór w kwestii F. Scotta Fitzgeralda. Twierdziła, że ukradł co lepsze kawałki swojej żonie, Zeldzie. Że mogła być świetną pisarką, gdyby tego nie zrobił. Osano chwycił ją za włosy i podetknął jej pod nos *Wielkiego Gatsby'ego*.

– Przeczytaj to, durna pizdo – powiedział. – Przeczytaj dziesięć zdań, porównaj to sobie z książką jego żony, a dopiero później przyjdź i wciskaj mi to gównno.

Przeczytała obie i nie zmieniła zdania. Złał ją na kwaśne jabłko, podbił oczy i zostawił na dobre.

Ostatnio Wendy odniosła nad Osanem zwycięstwo, które doprowadziło go do białej gorączki. Wiedział, że płaci alimenty na jej młodego kochanka. Otóż pewnego dnia przyszła do niego córka i poprosiła o pieniądze na ciuchy. Wyjaśniła, że ginekolog zabronił jej nosić dzinsy z powodu stanu zapalnego pochwy i kiedy poprosiła matkę o pieniądze, ta odparła „idź do ojca”. Było to pięć lat po rozwodzie.

Aby uniknąć awantury, Osano dawał córce pieniądze do ręki. Wendy nie sprzeciwiała się, ale po roku zaskarżyła Osana o zaległe roczne alimenty. Córka zeznawała na korzyść ojca. Osano był pewien wygranej, jeśli tylko sąd pozna wszystkie okoliczności. Tymczasem sąd nie tylko nakazał wypłacić zaległe pieniądze, ale też nakazał przekazywać pieniądze bezpośrednio matce. W rezultacie zapłacił podwójnie.

Wendy, upojona zwycięstwem, starała się być przyjacielska w stosunku do niego. W obecności dzieci ukrócił jej zapędy, mówiąc zimnym głosem: „Jesteś najgorszą pizdą, jaką widziałem w życiu”. Następnego razu, gdy Wendy przyszła do gazety, zakazał jej wstępu i rozwiązał z nią wszelkie umowy. Zdumiewało go to, że jego była żona nie rozumiała, dlaczego się na nią gniewa. Obgadała go wśród znajomych, mówiła, że nigdy nie zadowolili jej w łóżku, że nie mógł mu stanąć. I tak naprawdę to był utajonym homoseksualistą, lubiącym młodych chłopców. Starła się nie dopuścić, by dzieci spędziły z nim wakacje, ale ten pojedynek wygrał. Opublikował w magazynie złośliwą satyrę o swojej byłej żonie. Może nie był sobie w stanie poradzić z nią na co dzień, ale literacki portret był okrutny, a ponieważ znali ją wszyscy zajmujący się literaturą, została rozpoznana od razu. Była wstrząśnięta, oczywiście na tyle, na ile w jej przypadku było to możliwe, i zostawiła go w spokoju.

Ale tkwiła w jego życiu jak drzazga w dupie. Nie mógł myśleć o niej bez emocji.

Pewnego razu przyszedł do biura, mówiąc, że chcą nakręcić film na podstawie jednej z jego starych powieści i że musi pojechać, aby spojrzeć na scenariusz. Podróż była opłacona. Zaoferował mi wspólną wyprawę. Zgodziłem się, zastrzegając jednocześnie, że chciałbym odwiedzić starego przyjaciela w Vegas. Nie miał nic przeciwko temu. Był akurat po, między kolejnymi żonami, i nie uśmiechała mu się samotna wyprawa na terytorium wroga. Chciał mieć przy sobie przyjaciela. Tak przynajmniej mówił. A ponieważ nigdy nie byłem w Kalifornii, i do tego na czyjś koszt, wydawało mi się to świetnym pomysłem. Nie wiedziałem, że ciężko odpracuję tę podróż.

## Rozdział 24

Byłem w Vegas w czasie, kiedy Osano zakończył narady nad scenariuszem. A więc poleciałem na powrót do Los Angeles, aby towarzyszyć mu w drodze do Nowego Jorku. Cully chciał, abym przywiózł Osana do Las Vegas, ale ten nie dał się namówić.

Gdy odwiedziłem go w apartamencie w Beverly Hills, Osano był chyba najbardziej wkurwiony, od kiedy go poznałem. Czuł, że filmowcy traktują go jak gówno. Czy wiedzieli, że był znany na całym świecie od Londynu do New Dehli, Moskwy i Sydney? Drukowali go w ponad trzydziestu językach ze słowiańskim włącznie. Z niewyjaśnionego powodu jednak każdy film kręcony na podstawie jego książek był klapą.

Osano wkurwiał się jeszcze z innego powodu. Jego ego cierpiało, że reżyser jest ważniejszy od niego – pisarza. Gdy próbował załatwić swojej dziewczynie małą rolę, nic z tego nie wyszło, a jeszcze bardziej się wściekł, kiedy zobaczył, że kamerzysta i aktor drugoplanowy wprowadzili swoje dziewczyny. Pierdolony kamerzysta i druga halabarda z lewej mieli więcej do powiedzenia niż wielki Osano. Miałem nadzieję, że uda mi się go powstrzymać od zdemolowania studia. A mieliśmy jeszcze czekać całą dobę na poranny samolot z Los Angeles. Aby go uspokoić, skontaktowałem go z jego agentem z Zachodniego Wybrzeża, bystrzakiem tenisistą, który miał wielu klientów w show-biznesie. Miał także najładniejsze przyjaciółki, jakie kiedykolwiek widziałem. Nazywał się Doran Rudd.

Doran starał się, jak mógł, ale kiedy burza wisi w powietrzu, nic nie da się zrobić.

– Potrzebna ci noc odpoczynku – poradził Doran – trochę luzu, kolacja z piękną towarzyszką, trochę środków nasennych. Może jakąś pigułeczkę druciareczkę? – Doran był czarujący w stosunku do kobiet, ale w męskim

gronie ubliżał ile wlezie rodzajowi kobiecemu.

Cóż, Osano musiał trochę powybrzydzać, zanim się zgodził. W końcu, znany pisarz, kandydat do Nagrody Nobla, nie mógł dawać sobą kierować jak dzieciak. Ale agent już nieraz radził sobie z klientami pokroju Osana. Radził sobie z sekretarzem stanu, prezydentem i największym świętym amerykańskiego Kościoła ewangelickiego, który przyciągał miliony do świętego tabernakulum, będąc jednocześnie najjurniejszym facetem, jakiego Doran widział w życiu.

Z przyjemnością obserwowałem, jak Doran urabia pisarza. To nie Vegas, gdzie rozsyłano dziewczęta do pokoi jak pizzę. To była klasa.

– Znam pewną bardzo inteligentną dziewczynę, która marzy, żeby cię poznać – powiedział Doran. – Czytała wszystkie twoje książki. Uważa, że jesteś największym amerykańskim pisarzem. Bez kitu. I nie jest taka jak te twoje panienki. Skończyła psychologię na Uniwersytecie Kalifornijskim i dorabia sobie pisaniem scenariuszy. Wymarzona dziewczyna dla ciebie.

Oczywiście nie nabierał Osana. Osano wiedział, że dowcip polegał na tym, aby dać się namawiać na coś, na co się miało ochotę. Nie mógł się więc opierać.

– Doskonale, ale czy ją przerznię? – spytał.

Agent już wykręcał numer ołówkiem ze złotą końcówką.

– Masz dziewięćdziesiąt procent szans – odparł.

– Jak to obliczyłeś? – zapytał szybko Osano. Zawsze tak robił, gdy ktoś bawił się z nim w statystyki. Nienawidził ich. Wierzył nawet, że „New York Times” fabrykował notowania „swoich” firm, ponieważ gdy podali, że akcja kosztuje 295 dolarów, to kiedy chciał je sprzedać – oferowano mu tylko 290.

Doran stanął jak wryty. Przestał wykręcać numer.

– Odkąd się znamy, poznałem ją z pięcioma facetami. Czterech z nich zaliczyło.

– To osiemdziesiąt procent – powiedział Osano. Doran wykręcił numer. Kiedy podniesiono słuchawkę z drugiej strony, rozparł się na obrotowym krześle i mrugnął do nas znacząco. Następnie zaczął swój taniec.

Podziwiałem to, co robił. Naprawdę podziwiałem. Był wyśmienity. Jego głos stał się teraz ciepły, a śmiech szczery.

– Katherine – zagruchał agent. – Jesteś moją ulubioną klientką. Posłuchaj, rozmawiałem z reżyserem, który chce zrobić ten western z Clintem Eastwoodem. Czy uwierzysz, że pamięta ciebie sprzed roku? Powiedział, że spisałaś



się najlepiej z całej grupy, ale on musiał zaangażować kogoś z nazwiskiem i później tego żałował. Nieważne, chce się z tobą spotkać jutro o jedenastej lub o trzeciej. Zadzwoń jeszcze, aby podać ci dokładny termin. Dobrze? Słuchaj, będzie dobrze, mam przecucie. Myślę, że to punkt zwrotny. Twój czas nadszedł. Nie, nie żartuję. – Słuchał przez chwilę. – Jasne, jasne, myślę, że będziesz w tym świetna. Całkowicie rewelacyjna. – Wywrócił do nas oczami, co sprawiło, że poczułem do niego antypatię. – Tak, odesłałem ich do ciebie. Hej, posłuchaj, czy wiesz, kto siedzi u mnie w biurze? Pudło. Pudło. Pisarz. Osano. Tak, nie żartuję. Nie, naprawdę. Tak, to naprawdę on. Możesz mi wierzyć lub nie, ale to on wspomniał o twojej pracy przy *City Death*. Czy to nie zabawne? Tak, on jest waćpanny fanem. Tak, mówiłem mu, że uwielbiasz jego książki. Słuchaj, mam świetny pomysł. Idę z nim dzisiaj do Chasena na kolację, dlaczego nie miałybyś uświetnić swoją osobą tego wieczoru? Doskonale. Podstawię limuzynę o ósmej. Dobrze, kochanie. Jesteś wspaniała. Wiem, że mu się spodobaś. Nie chce już spotykać się z tymi pannikami. Nie podoba mu się nawet ten typ kobiety. Potrzebuje konwersacji i pomyślałem sobie, że będziecie do siebie pasować. Jasne, pa, złotko.

Agent odłożył słuchawkę na widełki, oparł się wygodnie i powiedział do nas z szerokim uśmiechem:

– To naprawdę miła cipka.

Zauważyłem, że cała ta scena przygnębiła Osana. Naprawdę lubił kobiety i nienawidził, kiedy się je oszukiwało. Często mawiał, że woli być oszukany przez kobietę, niż żeby to on miał ją oszukiwać. Już raz wyłożył mi swoją filozofię miłości. Lepiej być ofiarą niż katem. „Popatrz na to z tej strony – mówię. – Gdy jesteś zakochany w jakiejś babce, czerpiesz co tylko najlepsze z tego związku, nawet jeśli jesteś oszukiwany.

Czujesz się świetnie, cieszysz się każdą chwilą. To ona kiepsko się bawi. Ona pracuje... ty się bawisz. Po cóż więc narzekać, kiedy cię rzuca i dowiadujesz się, że robiła cię w konia?”

Cóż, jego filozofia została wystawiona tego wieczoru na próbę. Wrócił do domu przed północą, zadzwonił do mojego pokoju, po czym przyszedł na jednego, aby opowiedzieć mi, co się stało. Wtedy właśnie akcje Katherine miały spaść. Była urocą, żywą brunetką i najwyraźniej adorowała Osana. Kochała go. Uwielbiała. Była poruszona do głębi na myśl o wspólnej kolacji. Doran załapał i ulotnił się po kawie. Osano i Katherine pili właśnie ostatnią butelkę szampana przed udaniem się do hotelu. I w tym momencie szczęście

odwróciło się od Osana, chociaż mógłby się jeszcze wykręcić, gdyby nie za-  
drażnięto jego dumy.

Wieczór spieprzył mu jeden z najdziwniejszych aktorów w Hollywood: na-  
zywał się Dickie Sanders, miał na koncie jednego Oscara i sześć sukcesów  
kasowych. Jego niezwykłość polegała na tym, że był karłem. Nie wyglądało  
to tak źle, jak brzmiało. Był po prostu bardzo niskiego wzrostu. Ale bardzo  
przystojnym. Można by powiedzieć, że był miniaturą Jamesa Deana. Ten sam  
słodko-smutny uśmiech błąkał mu się na ustach, wywołując spustoszenie  
wśród kobiecych serc. Nie mogły mu się oprzeć. I jak powiedział później Do-  
ran, która babka może oprzeć się pragnieniu pójścia do łóżka z przystojnym  
karłem?

A więc gdy Dickie Sanders wszedł do restauracji, było po zawodach. Był  
sam i podszedł do ich stolika, aby się przywitać z Katherine. Wydawało się,  
że się znają, Katherine pracowała przy filmie, w którym on grał główną rolę.  
Poza tym adorowała go. Osano wkurwił się i, zostawiwszy ją z karłem, wró-  
cił do hotelu.

– Co za pojebane miasto – powiedział. – Facet taki jak ja przegrywa z głu-  
pim karłem. – Był naprawdę rozżalony. Jego sława nic nie znaczyła. Nadcho-  
dząca wielkimi krokami Nagroda Nobla nic nie znaczyła. Nagrody Pulitzera  
i National Book Award mógł odłożyć do szafy. Przegrał z karłem – i nie  
mógł tego znieść. W końcu musiałem go zaprowadzić do pokoju i położyw-  
szy do łóżka, pocieszyłem go:

– Słuchaj, to nie karzeł, to po prostu bardzo krótki facet.

Następnego dnia rano, gdy już wsiedliśmy na pokład boeinga 747, Osano  
był wciąż załamany. Z powodu Katherine, ale także spieprzonej adaptacji  
jego książki. Miał rację, scenariusz był do kitu. Był w tak złym nastroju, że  
wymusił na stewardesie scotcha jeszcze przed startem.

Zajmowaliśmy miejsca z przodu samolotu, koło jednej z tych wysmukłych  
i eleganckich par w średnim wieku. Mężczyzna miał we wzroku coś błagal-  
nego. Miało się wrażenie, że żyje we własnym piekle, ale całkowicie na nie  
zasługuje. Zasługiwał na nie z powodu zewnętrznej arogancji, szykownego  
stroju i pogardliwego spojrzenia. Cierpiał i, na Boga, chciał sprawić, żeby  
wszyscy inni też cierpieli.

Jego żona wyglądała jak klasyczna zepsuta kobieta. Była oczywiście boga-  
ta, bogatsza niż jej mąż, chociaż niewykluczone, że oboje byli bogaci. Przeja-  
wiała się to już w sposobie, w jaki wzięli menu od stewardesy i ostentacyjnie

potępiali Osana za popijanie nielegalnego drinka.

Kobieta zachowała urodę za pomocą skomplikowanych zabiegów chirurgicznych i obnosiła się z opalenizną, którą zawdzięczała solarium oraz słońcu Południa. Jej usta wykrzywiał grymas pogardy dla świata, co jest chyba najbrzydszą rzeczą u kobiety. U jej stóp spoczywała klatka z najpiękniejszym francuskim pudlem na świecie. Srebrne loki opadały mu na oczy. Miał różowy pyszczek i różową kokardę na głowie, a drugą na ogonie. Był to najszcześliwszy i najśłodszy psiak, jakiego widziałem. Te dwie godne pożałowania istoty, jego właściciele, czerpały przyjemność z faktu posiadania takiego psa. Twarz mężczyzny łagodniała, ilekroć na niego patrzył. Kobieta nie okazywała radości, ale dumę posiadacza, zupełnie jak paskudna starucha pilnująca ślicznej córki, którą ma sprzedać na targu. Gdy wyciągała dłoń w kierunku pudła, wyglądała jak papież podający pierścień do ucałowania.

Osano był bardzo spostrzegawczy. Nigdy niczego nie przeoczył, nawet jeśli wydawało się, że patrzy w drugą stronę. Teraz, spoglądając w swoją szklanę, powiedział:

– Wolałbym raczej, żeby pies mi ciągnął druta niż ta baba. – Ryk silników zagłuszył jego słowa, a jednak poczułem się nieswojo. Posłała nam zimne, sprośne spojrzenie, ale może zawsze tak patrzyła na innych.

Nagle poczułem się winny za potępienie tych dwojga. Byli w końcu ludźmi. Może moje przypuszczenia były tylko spekulacjami? Dlatego powiedziałem do Osana:

– Może nie są tacy źli, na jakich wyglądają?

– Ależ owszem, są – odparł Osano.

Dyskusja nie prowadziła do niczego. Osano mógł być sobie szowinistą czy rasistą, ale na swój rachunek. To niczego nie zmieniało. Dlatego puściłem tę uwagę mimo uszu i kiedy stewardesa zaklinowała nas półmiskami z kolacją, opowiadałem mu historie o Las Vegas.

Nie mógł uwierzyć, że kiedyś byłem hazardzistą.

Ignorując tamtą dwójkę, zapytałem Osana:

– Czy wiesz, jak gracze mówią na samobójstwo?

– Nie.

Uśmiechnąłem się.

– Wielki As.

Osano potrząsnął głową.

– Czy to nie wspaniałe? – zadrwił.

Zauważyłem, że czuł lekką pogardę dla melodramatyzmu tego sformułowania, ale nie przerywałem.

– To właśnie powiedział do mnie Cully tamtego ranka. Podszedł i powiedział: „Wiesz, co zrobił ten pieprzony Jordan? Wyciągnął Wielkiego Asa z rękawa. Ten chuj wyciągnął Wielkiego Asa”. – Przerwałem, przypominając sobie to zdarzenie sprzed lat. Zabawne. Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego określenia. – Mówił to wielką literą. Wiesz, Wielki As.

– Dlaczego, myślisz, że on to zrobił? – zapytał Osano. Nie interesowało go to zbytnio, ale zapytał, gdyż zauważył, że byłem przygnębiony.

– Skąd mam, do diabła, wiedzieć? – powiedziałem. – Myślałem, że jestem inteligentny. Myślałem, że go rozgryzłem. Prawie go rozgryzłem, a on mnie nabrał. To mnie wykańcza. Zachwiał moją wiarę w jego człowieczeństwo, tragiczne człowieczeństwo. Nie pozwól nikomu zachwiać twojej wiary w jego człowieczeństwo.

Osano uśmiechnął się i kiwnął głową w kierunku napuszonej pary.

– Na przykład takim jak oni? – zapytał. I wtedy zrozumiałem, że opowiedziałem mu tę historię właśnie z ich powodu.

Omiotłem spojrzeniem kobietę i mężczyznę.

– Może – odrzekłem.

– Dobra. Ale nie zawsze idzie jak po maśle. Szczególnie z bogatymi. Wiesz, co jest nie tak z bogatymi? Myślą, że są tak samo dobrzy jak wszyscy inni, tylko dlatego, że mają kupę szmalu.

– A nie są? – zdziwiłem się.

– Nie. Są jak garbaci.

– Garbaci nie są tak dobrzy jak wszyscy? – zapytałem. Nieomal nie wymówiłem słowa „karły”.

– Nie – odparł Osano. – Podobnie jak ludzie z jednym okiem, krytycy, brzydkie dupy i tchórzliwe gnojki. Muszą się napocić, aby zrównać się z innymi ludźmi. A ta dwójka nigdy tego nie robiła. Nigdy tam nie dojdą.

To, co mówił, było trochę irracjonalne i nielogiczne, ale mógł mieć w końcu zły dzień. I nie każdemu karzeł odbiera miłość jego życia. Niech mu będzie.

W czasie obiadu Osano pił marnego szampana i zakąszał marnym żarciem, które chętnie wymieniłoby się na zapiekankę z Coney Island. Kiedy opuścili ekran, Osano podniósł się z miejsca i chwiejnym krokiem pomaszerował do koktajlbaru. Dopilem kawę i podążyłem za nim.

Usiadł w fotelu z wysokim oparciem i zapalił hawańskie cygaro. Pczęstował i mnie. Smakowałem je z lubością, co sprawiało dużą przyjemność Osanowi. Zawsze był hojny, acz ostrożny ze swoimi cygarami. Kiedy częstował, obserwował cię uważnie, aby sprawdzić, czy na nie zasługujesz. Bar się powoli zapełniał. Stewardesa była zajęta przyrządzaniem koktajli. Gdy przyniosła Osanowi jego martini, ten uczynił gest, jakby chciał ją zatrzymać.

Zauważyłem, że jedną z zalet sławy jest to, że takie rzeczy zawsze ci się opieką. Po pierwsze, byłeś pewny siebie. Po drugie, dziewczyna, zamiast uważać cię za starego satyra, jest wniebowzięta, że spodobała się komuś tak sławnemu. Skoro Osano chciał ją przerznąć, musiała być wyjątkowa. Dziewczyny nie wiedziały, że Osano jest tak jurny, iż rzucał się na wszystko, co nosi spódnicę – z wyjątkiem Szkota. Ale to w końcu nic złego, skoro sporo facetów jego pokroju nie miałyby również nic przeciwko Szkotowi.

Dziewczyna była oczarowana Osanem. Podeszła do niego również przystojna pasażerka w podeszłym już wieku, z nawiedzoną, interesującą twarzą. Powiedziała nam, jak to właśnie przeszła operację serca i nie pieprzyła się przez ten cały czas, a teraz jest gotowa. Kobiety zawsze mówiły mu takie rzeczy. Czują, że mogą powiedzieć mu wszystko, ponieważ jest pisarzem i je rozumie. Także dlatego, że był sławny, co czyniło go interesującym.

Osano wyciągnął pudełko na pigułki od Tiffany'ego w kształcie serca. Było pełne białych tabletek. Wziął jedną i podsunął pudełko „sercowej damie” i stewardesie.

– No dalej – powiedział – to niezły proch. Polecimy wysoko. – Po chwili zmienił zdanie. – Nie, nie ty – powiedział „sercowej damie”. – Nie w twoim stanie. – Zrozumiałem wtedy, że nie ma u niego szans.

Ponieważ naprawdę były to tabletki penicyliny, które brał zawsze przed stosunkiem, aby uniknąć dodatniego wassermana. Zawsze stosował ten chwyt, aby zabezpieczyć się na dwa fronty. Wrzucił sobie jedną tabletkę do gardła i spłukał ją łykiem szkockiej. Stewardesa ze śmiechem wzięła drugą, a Osano przyglądał jej się z uroczym uśmiechem na twarzy. Podsunął mi pudełko, a ja potrząsnąłem tylko głową.

Stewardesa była piękną dziewczyną, ale nie mogła poradzić sobie naraz z nim i „sercową damą”. Starając się ściągnąć z powrotem uwagę na siebie, spytała Osana słodziutkim głosem:

– Czy jest pan żonaty?

Wiedziała, jak zresztą wszyscy, że nie tylko był żonaty, ale nawet wielo-

krotnie żonaty. Nie wiedziała, że podobne pytania irytują go, ponieważ zawsze czuł się winny, oszukując swoje żony – nawet te rozwiedzione. Osano wyszczerzył zęby w uśmiechu i odpowiedział chłodno:

– Jestem żonaty, mam kochankę i stałą sympatię. Teraz szukam damy, z którą mógłbym się trochę zabawić.

Zabrzmiało to obraźliwie. Dziewczyna zarumieniła się i poszła do innych pasażerów.

Osano zajął się konwersacją ze starszą damą, dając jej wykład na temat pierwszego zbliżenia. Brał ją trochę pod włos.

– Słuchaj – powiedział. – Nie chcesz chyba tak od razu się pieprzyć po sześciu miesiącach? Nie będzie to miłe dla faceta, bo będziesz się trochę bała. Na pierwszy raz wystarczy, że facet położy się koło ciebie – ty będziesz w półśnie. Weź proszek nasenny i powolutku, nie za szybko, dasz się wyliżać, kapujesz? I weź sobie fachowca. Prawdziwego francuskiego dżentelmena.

Kobieta nieco się zaczerwieniła. Osano uśmiechnął się do niej. Wiedział, co robi. Ja także poczułem się nieco skrępowany. Zawsze zakochiwałem się odrobinę w tajemniczych nieznajomych. Zwykle po godzinie odkochiwałem się, wiedziałem, że tak też będzie w przypadku tej pani. Zauważyłem, że zastanawiała się, czy nie wybrać Osana do roli francuskiego dżentelmena. Nie wiedziała, że jest dla niego za stara, a cała ta gra ma służyć tylko złapaniu stewardesy.

Siedzieliśmy tam, w tym pudle poruszającym się z prędkością sześciuset mil na godzinę, nie czując niczego. Ale Osano robił się coraz bardziej pijany i rzeczy powoli się komplikowały. „Sercowa dama” też już była na cyku, mardziła coś o śmierci i o tym, że nie może znaleźć odpowiedniego faceta, który by ją przeleciał. Zdenerwowało to Osana. Powiedział jej:

– Możesz zawsze zagrać Wielkim Asem.

Oczywiście nie wiedziała, o czym mówił. Ale zrozumiała, że to koniec audiencji, i wyraz zawodu na jej twarzy zirytował Osana jeszcze bardziej. Zamówił kolejnego drinka, a stewardesa, zazdrosna i wkurwiona, że nie zwraca na nią uwagi, podała mu szklankę i uśmiechnęła się w irytujący, obraźliwy sposób, w jaki młodzi zwykle odnoszą się do starych, kiedy chcą im pokazać swoją wyższość. Osano wyglądał tego dnia na tyle lat, ile miał.

W tej chwili para z psem weszła do baru. Ona była chyba jedyną kobietą, w której nie byłbym w stanie się zakochać. Grymas ust, sztucznie opalona

twarz z usuniętymi ręką chirurga śladami życia – wszystko to było odpychające, nie dało się o niej marzyć, no, chyba że ktoś ma sadomasochistyczne upodobania.

Mężczyzna niósł pięknego pudła, który z zadowolenia wywiesił język. Trzymanie psa na rękach przydawało temu facetowi z surową twarzą wyrazu bezbronności. Jak zwykle, Osano zdawał się ich nie zauważać, chociaż ich spojrzenia świadczyły o tym, że go rozpoznają. Prawdopodobnie z telewizji. Osano bywał setki razy w telewizji i zawsze wzbudzał sympatię w tak głupi sposób, że obniżał tym swą prawdziwą wartość.

Para zamówiła drinki. Kobieta powiedziała coś do mężczyzny, a ten posłusznie postawił psa na podłodze. Pudel trzymał się ich przez chwilę, po czym zaczął węszyć dookoła. Wiedziałem, że Osano nienawidzi zwierząt, ale udawał, że nie zauważa pudła węszącego koło jego stóp. Rozmawiał dalej z „sercową damą”, która w pewnym momencie pochyliła się, żeby poprawić pudłowi kokardę i została polizana różowym językiem. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to jest ze zwierzętami, ale ten pudel wydawał się... seksowny. Powróciłem do obserwacji pary. Pudel po przejściu całej salki wrócił do właścicieli i usiadł kobiecie na nodze. Założyła ciemne okulary, które z niewiadomych przyczyn wydały mi się złowróżbne, i kiedy stewardesa przyniosła zamówienie, powiedziała coś do niej. Stewardesa patrzyła na nią zaskoczona.

Chyba właśnie wtedy musiałem nieco się zdenerwować. Wiedziałem, że Osano jest nabuzowany. Nienawidził być uwięziony w samolocie, pragnął wywinąć się z rozmowy z kobietą, której nie chciał przerznąć. Teraz zaprzątało go tylko to, jak zwabić młodą stewardesę na dziki numerek w toalecie. A gdy ona podeszła do mnie z drinkiem i powiedziała mi coś do ucha, wiedziałem, że Osano robi się zazdrosny. Myślał, że dziewczyna woli mnie – byłaby to największa obraza dla jego sławy. Mógł zrozumieć, że dziewczyna chce kogoś przystojniejszego i młodszego, ale żeby odrzucała kogoś sławnego?

Tymczasem jej chodziło o coś innego.

– Ta pani prosi – szepnęła – aby przekazać panu Osanowi, żeby zgasił swoje cygaro. Mówi, że to przeszkadza jej psu.

Jezu Chryste. Pies nawet nie powinien mieć wstępu do baru bez smyczy. Powinien być w klatce. Każdy to wiedział.

– Co powinnam zrobić? – szepnęła dziewczyna z troską w głosie.

Domyślałem się, że to, co się potem stało, było też moją winą. Wiedziałem,

że Osano się wścieknie, tym bardziej teraz, ale byłem ciekaw reakcji ludzi. Zastanawiałem się, czy stewardesa będzie miała na tyle odwagi, aby powiedzieć takiemu facetowi jak Osano, aby zgasił swoją ulubioną hawanę z powodu jakiegoś pierdolonego psa. Szczególnie, że zapłacił za bilet pierwszej klasy, aby móc palić w barze. Chciałem też zobaczyć, jak Osano usadza nadętą lalunię na swoim miejscu. Mnie było wszystko jedno, mogłem zgasić swoje cygaro. Ale znałem Osana. Prędzej posłałby samolot do piekła, niż to zrobił.

Stewardesa czekała na odpowiedź. Wzruszyłem ramionami.

– To pani tu pracuje – powiedziałem. I była to złośliwa odpowiedź.

Myślę, że stewardesa też tak to odebrała. A może po prostu chciała poniżyć Osana, ponieważ już nie zwracał na nią uwagi. A może po prostu była jeszcze dzieckiem biorącym wszystko za dobrą monetę? Osano na pierwszy rzut oka wydawał się łatwiejszym przeciwnikiem niż ta wydra.

Cóż, wszyscy popełniliśmy fatalną pomyłkę. Stewardesa stanęła obok Osana i powiedziała:

– Czy mógłby pan zgasić cygaro? Ta pani mówi, że dym przeszkadza jej psu.

Zielone oczy Osana stały się chłodne jak lód. Spojrzał na stewardesę.

– Niech to jeszcze raz usłyszę – poprosił.

Wtedy byłem już gotów wyskoczyć z samolotu. W spojrzeniu Osana dostrzegłem maniacką furię. Żarty się skończyły. Kobieta patrzyła na niego z obrzydzeniem. Marzyła o kłótni.

O prawdziwej awanturze. Jej mąż wyglądał przez okno, kontemplantując bezkresny horyzont. Najwyraźniej znane mu były tego rodzaju sceny i był pewien, że żona weźmie górę. Na ustach błąkał mu się nawet nieprzyjemny uśmieszek. Tylko pudełek był wystraszony. Z trudem łapał powietrze, wstrząsany lekką czkawką. Bar był zadymiony, ale nie tylko od cygara Osana. Prawie wszyscy palili papierosy i miało się odczucie, że właściciele pudła chętnie wszystkim zakazałoby palenia.

Stewardesa, przerażona tonem głosu Osana, stała jak sparaliżowana. Nie mogła wykrztusić ani słowa. Ale kobieta z psem się nie przestraszyła. Widać było, że delektuje się wyrazem twarzy Osana. Było oczywiste, że nikt nigdy nie dał jej w twarz, wybijając kilka zębów. Taka możliwość nigdy jej przez myśl nie przeszła. Dlatego pochyliła się w kierunku Osana. Zamknąłem oczy i usłyszałem, jak mówi do niego chłodnym tonem z dobrym akcentem:



– Pańskie cygaro przeszkadza mojemu psu. Mógłby pan je zgasić?

Słowa były dostatecznie ułożone, ale ton wypowiedzi – wysoce obraźliwy. Spostrzegłem, że tylko czeka na argument, że pies nie powinien zostać wpuszczony do baru i że to pomieszczenie jest przeznaczone na palarnię. Domyślałem się, że gdyby powiedziała, że to jej przeszkadza dym, Osano pozbyłby się cygara. Ale tu chodziło o psa. Chciała zrobić scenę.

Osano zrozumiał to w sekundę. Dotarło to do niego. I myślę, że to właśnie wyprowadziło go z równowagi. Zobaczyłem, że znów się uśmiecha, uśmiech był nawet przyjacielski, ale zimne, zielone oczy były oczami szaleńca.

Nie wydarł się na nią. Nie uderzył jej. Spojrzał tylko na jej męża, aby upewnić się, co ten robi. A on uśmiechał się blado. Podobało mu się to, co robiła jego żona, tak się przynajmniej wydawało. Osano wystudiowanym ruchem zgasił cygaro w popielniczce. Kobieta patrzyła na niego z pogardą. Wtedy wyciągnął rękę przez stół, jakby miał zamiar pogłaskać psa. Ja wiedziałem lepiej. Dłoń Osana powędrowała w kierunku karku zwierzęcia.

Teraz wydarzenia potoczyły się zbyt szybko, abym mógł im zapobiec. Osano uniósł biedne zwierzę, wstał z miejsca i zaczął je dusić obiema rękami. Pudel zakaszłał, zakrztusił się, merdał ogonem, nie wiedząc, co się dzieje. Oczy wyszły mu na wierzch. Kobieta krzyknęła i zaczęła drapać twarz Osana. Jej mąż nawet nie drgnął. W tym momencie samolot wszedł w jakiś prąd powietrzny i wszyscy się zachwiali. Osano, pijany i zajęty duszeniem psa, zatoczył się i upadł, wciąż trzymając pudła za gardło. Aby się podnieść, musiał go puścić. Kobieta krzyczała coś o tym, że go zabije. Stewardesa krzyczała w szoku. Osano podniósł się, obdarował wszystkich uśmiechem i skierował się do wciąż wrzeszczącej na niego kobiety. Pomyślała, że może wstydzi się tego, co zrobił, i ona może go dalej obrazać. Nie wiedziała, że Osano postanowił udusić ją jak psa. Po chwili dotarło to do niej... zamilkła.

Osano powiedział ze stoickim spokojem:

– A teraz, pizdo, dostaniesz, co ci się należy. – I runął na nią. Był jak w amoku. Uderzył ją w twarz. Uchyliłem się przed ciosem i wczepiłem w niego. Ale on już zacisnął dłonie na jej szyi, chcąc stłumić wydobywający się z jej gardła krzyk przerażenia. Koktajlbar zmienił się w dom wariatów. Samolot musiał mieć obstawę, ponieważ dwóch mężczyzn podbiegło do Osana i wykręciło mu ręce, starając się zrobić z jego płaszcza coś na kształt kaptana bezpieczeństwa. Ale on był w szale i miotał nimi po całym pomieszczeniu, a wszyscy patrzyli na tę scenę przerażeni. Starłem się go uspokoić, ale

nic do niego nie docierało. Był jak berserk w bitewnym szale. Przeklinał kobietę i jej męża. Dwóch ochroniarzy starało się go uspokoić, wołając do niego po nazwisku, a trzeci, przystojny, atletycznie zbudowany chłopak, powiedział, że jak będzie się zachowywał spokojnie, to go puszcza. Osano wciąż walczył. Wtedy ten silny chłopak stracił cierpliwość.

Osano dalej miotał przekleństwa i rzucał się trochę dlatego, że taką miał naturę, ale również ponieważ wiedział, że jest sławny i nic mu nie mogą zrobić. Chłopak wyczuł to instynktownie, ale jego młodzieńcza duma została urażona. I wściekł się. Chwyił Osana za włosy i szarpnął tak, że prawie można było usłyszeć chrupnięcie. Złapał go za szyję od tyłu i powiedział:

– Skręcę ci kark, sukinsynu. – Osano uspokoił się.

Jezu, jakie było później zamieszanie. Kapitan samolotu chciał, żeby zapakować Osana w kaftan, ale uprosiłem, żeby tego nie robił. Ochroniarze kazali innym opuścić bar i wraz z Osanem siedzieliśmy tam w ich towarzystwie do końca podróży. Wypuścili nas dopiero, gdy w samolocie nie było pasażerów, tak że nie widzieliśmy więcej tej kobiety. Ale to ostatnie spojrzenie wystarczyło. Zmyli jej krew z twarzy, ale jednego oka prawie nie mogła otworzyć, a z ust została miazga. Mąż niósł pudła machającego ogonem w nadziei za skarżenia sobie opieki i czułości właściciela. Oczywiście, później wniesiono jakieś skargi, ale z nimi uporali się prawnicy. Cała historia dostała się do prasy. Wielki amerykański pisarz, pretendent do Nagrody Nobla, nieomal zamordował francuskiego pudła. Biedny psiak. Biedny Osano. Ta cipa okazała się akcjonariuszką tych linii lotniczych, poza tym miała jeszcze miliony innych dolarów, i oczywiście nawet nie mogła zagrozić, że będzie latać innymi liniami. Osano zaś był w wyśmienitym nastroju. Nie kochał specjalnie zwierząt. „Skoro potrafię je jeść, potrafię także zabijać” – mawiał. Gdy zauważyłem, że chyba jeszcze nie jadł psiny, powiedział: „Ugotuj, to zjem”.

Jedna rzecz umknęła Osanowi. Ta wariatka też była człowiekiem. Jasne, była stuknięta, jasne, aż się prosiła, żeby jej rozkwasić twarz – nawet mogło jej to wyjść na dobre. Ale nie zasługiwała na to, co Osano jej zrobił. Naprawdę nie mogła poradzić nic na to, kim się urodziła. Dawny Osano zgodziłby się ze mną. Z jakichś powodów teraz nie był do tego zdolny.

## Rozdział 25

Seksowny pudel nie zdechł, a więc dama nie wniosła oskarżenia. Najwyraźniej nie miała za złe Osanowi zdeformowania twarzy. Może nawet jej się to podobało? Posłała Osanowi przyjacielski list, zostawiający mu drzwi otwarte. Trzeba było słyszeć ten zabawny warkot, jaki wydał z siebie Osano, wrzucając list do kosza na śmieci.

– Dlaczego nie dasz jej szansy? – spytałem. – Może okazać się interesująca.

– Nie lubię bić kobiet. Ale ta suka chce być moim workiem treningowym.

– Mogłaby być kolejną Wendy – rzekłem. Wiedziałem, że go fascynowała, pomimo rozvodu i przykrości, jakich mu przysporzyła.

– Jezu! To wszystko, czego pragnę. – Ale uśmiechnął się. Wiedział, o co mi chodziło. Może bicie kobiet nie jest mu znowu takie niemiłe. Ale chciał pokazać mi, jak bardzo się myłę.

– Wendy była jedyną moją żoną, którą uderzyłem – powiedział. – Moje wszystkie żony pierdoliły się z moimi przyjaciółmi, kradły moje pieniądze, puszczały o mnie ploty, naciągały mnie na alimenty, ale nigdy żadnej nie uderzyłem. Nawet nie mogą powiedzieć, że bym ich nie lubił. Jesteśmy nadal dobrymi znajomymi. Ale ta zdzira Wendy to co innego. Jest klasą samą dla siebie. Gdybyśmy nadal byli małżeństwem, zabiłbym ją.

Duszenie pudła dostało się do kręgów literackich Nowego Jorku. Osano martwił się o Nobla. „Te cholerne Skandynawy kochają psy” – powiedział. Rozpoczął kampanię pisania listów do wszystkich swoich przyjaciół i znajomych. Dalej publikował krytyczne eseje na temat najważniejszych dzieł literackich. Do tego artykuły literackie, które zawsze uważałem za stek bzdur. Jego wielka powieść była jedyną rzeczą, którą pisał ręcznie. Resztę wystukiwał dwoma palcami na maszynie wśród stosów książek leżących na biurku.

Nie znam nikogo, kto by szybciej stukał na maszynie, a on przecież używał do pisania tylko dwóch palców. Dosłownie brzmiało to jak seria z karabinu maszynowego. I tym swoim karabinowym pisaniem definiował, jaka powinna być amerykańska powieść, wyjaśniał dlaczego Anglia nie wytwarza już wielkiej literatury z wyjątkiem powieści szpiegowskiej, rozprawiał się z najnowszymi dokonaniem Faulknera, Mailera, Styrona, Jonesa i każdego, kto mógłby zagrozić jego pozycji przyszłego noblisty. Był tak błyskotliwy i miał tak obrazowy język, że przekonywał każdego bez trudu. Publikując te paszkwile, oczyszczał sobie przedpole, ścierając przeciwników na proch. Jedy-nym problemem było to, że jeśli zagłębiało się w jego twórczość, to odkry-wało się tylko dwie wczesne powieści sprzed dwudziestu lat, które mogły świadczyć o wielkości jego pisarstwa. Pozostałe powieści i literatura faktu nie były tak dobre.

Prawda była taka, że przez ostatnie dziesięć lat stracił swą popularność i literacką reputację. Napisał zbyt wiele książek w pośpiechu, obraźliwymi ese-jami narobił sobie sporo wrogów. Nawet kiedy całował kogoś w tyłek, robił to z arogancją i wyższością, które mieszał w takich proporcjach (jak artykuł o Einsteinie, który dotyczył zarówno Einsteina, jak i Osana), że robił sobie wrogów wśród tych, których głaskał. Napisał jedno takie zdanie, które wywołało burzę. Mianowicie, że różnica między dziewiętnastowieczną literaturą angielską a francuską polegała na tym, że Francuzi uprawiali seks, a Anglicy nie. Nasi czytelnicy zagotowali się z furii.

Na dodatek jego zachowanie było skandaliczne. Wydawcy dowiedzieli się o awanturze w samolocie i wzmianki o tym dostały się na kolumny towarzy-skie. Na jednym z wykładów na Uniwersytecie Kalifornijskim poznał dzie-więtnastoletnią studentkę literatury, wyglądającą raczej na gwiazdkę z rewii niż miłośniczkę książek, którą naprawdę była. Zabrał ją do Nowego Jorku i zamieszkali razem. Trwało to pół roku, ale w tym czasie zdążył zabrać ją na wszystkie przyjęcia literackie. Osano był sporo po pięćdziesiątce; jeszcze nie siwy, chociaż już szpakowaty. Widok ich razem wywoływał uczucie lekkiego niesmaku. Szczególnie kiedy Osano się upijał i dziewczę musiało go holować do domu. Pił także w biurze. Oszukiwał dziewiętnastolatkę, spotykając się z czterdziestolatką, która właśnie napisała jakiś bestseller. Książka nie była aż tak dobra, ale Osano napisał esej na całą stronę, piejąc z zachwyty nad au-torką, w której widział przyszłość literatury amerykańskiej.

Robił też coś, czego nienawidziłem. Pisał pochwały na ostatnią stronę

okładki do książek swoich przyjaciół, jeśli go o to poprosili. Widywało się bardzo mierne powieści, ale z zamieszczonymi na odwrocie notkami Osana: „Najlepsza powieść z Południa od czasów *Lie Down in Darkness* Styrona”. Lub: „Szokująca książka, która cię zaskoczy” – było to niesmaczne, ponieważ starał się pogodzić interesy obu stron: swoich przyjaciół i czytelnika, ostrzegając go za pomocą dwuznacznej noty.

Nie było z nim najlepiej. Pomyślałem, że może to choroba psychiczna. Ale nie znałem przyczyny. Miał niezdrowo opuchniętą twarz: oczy mu stale błyszczały – to też nie było normalne. Chodził dziwnie, kulejąc i zataczając się czasem na lewą stronę. Martwiłem się o niego. Pomimo że nie akceptowałem jego pisarstwa, zmagania z Noblem za pomocą bandyckich manewrów, chęci przelecenia każdej kobitki, na swój sposób go lubiłem. Rozmawiał ze mną na temat mojej powieści, zachęcał mnie do pracy, dawał mi rady, próbował pożyczać pieniądze, chociaż wiedziałem, że ciągnie resztkami, żyłowany przez wszystkie żony i ośmioro czy dziewięcioro dzieci. Pisał ogromnie dużo, chociaż jego publikacje nie zawsze stały na odpowiednio wysokim poziomie. Jego artykuły ukazywały się zawsze w jednym, a czasem dwóch lub trzech miesięcznikach; co roku publikował książkę na „gorący” temat, jak to określali wydawcy. Wydawał pismo i co tydzień zamieszczał tam swój esej. Trochę pracował dla filmu. Zarabiał górę pieniędzy, ale prawie zawsze był na skraju bankructwa. Nie tylko z powodu zaciągniętych długów, ale przede wszystkim przez trwonienie olbrzymich zaliczek. Powiedziałem mu, że kopie sobie dołek, z którego się nie wydobędzie, ale on tylko niecierpliwie machał ręką.

– Mam asa w rękawie – powiedział. – Prawie skończyłem wielką powieść. Może wyjdzie w przyszłym roku. I wtedy znów będę bogaty. I hajda do Skandynawii po Nobla. Pomyśl tylko, ile tych wielkich blondyn będziemy mogli przerznąć. – Zawsze to dodawał przy opowieści o Noblu.

Najgorsze kłótnie między nami wybuchały, kiedy pytał mnie, co ogólnie myślę o jego artykułach o literaturze. I za każdym razem doprowadzałem go do furii, mówiąc, że jestem tylko bazarzem.

– To ty jesteś artystą z bożą inspiracją – mówiłem. – Jesteś intelektualistą, masz na tyle oleju w głowie, że mógłbyś napisać wystarczająco dużo tej skrobaniny na sto kursów literackich. Ja jestem asekurantem. Przystawiam ucho do ściany i cierpliwie czekam.

– Ty i twoje asekurantstwo, gówna prawda – powiedział Osano. – Po pro-

stu inaczej reagujesz. Masz pomysły. Jesteś prawdziwym artystą. Ale podoba ci się rola maga, sztukmistrza, który kontroluje wszystko: to co piszesz, całe twoje życie. Tak właśnie się zachowujesz.

– Masz kiepskie pojęcie o magach – powiedziałem. – Mag czyni magię. To wszystko.

– I myślisz, że to wystarcza? – zapytał Osano. Uśmiechał się smutno.

– Dla mnie tak.

Osano pokiwał głową.

– Wiesz, kiedyś byłem wielkim magiem, czytałeś moją pierwszą książkę. Wszystko to magia, prawda?

Byłem rad, że mogłem się zgodzić. Miałem do niej osobisty stosunek.

– Sama magia – potwierdziłem.

– Ale to nie wystarczało – powiedział Osano – nie mnie.

W takim razie, biedny jesteś, pomyślałem. A on zdawał się czytać w moich myślach.

– Nie, to nie tak, jak myślisz – powiedział. – Nie mogłem po prostu tego powtórzyć, ponieważ nie chcę tego robić, może nie potrafię. Po tej książce nie byłem już magiem, stałem się pisarzem. – Wzruszyłem ramionami, jak myślę trochę obojętnie. Osano dostrzegł to. – Moje życie zmieniło się w kupę gówna, ale o tym wiesz. Zazdroszczę ci twojego. Wszystko pod kontrolą. Nie pijesz, nie palisz, nie latasz za spódniczkami. Po prostu piszesz, grasz i strugasz dobrego męża i ojca. Jesteś nijakim magiem, Merlyn. Bardzo bezpiecznym magiem. Bezpieczne życie, książki; rozgoniłeś wszystkie troski.

Był na mnie wkurwiony. Myślał, że mnie dotknie. Nie zdawał sobie sprawy, że sam jest pełen szamba. I ponieważ nie miałem mu tego za złe, znaczyło, że moja magia skutkuje. Tylko tyle mógł zobaczyć, odpowiadało mi to. Myślał, że kontroluję swoje życie, że nie cierpię lub zabraniam sobie cierpieć, że nie odczuwam samotności, która jego pchała w objęcia coraz to innych kobiet, wódy i kokainy. Nie zdawał sobie sprawy z dwóch rzeczy, że cierpiał, ponieważ tracił zmysły. I że każdy na świecie cierpiał, był samotny i starał się znaleźć jakieś wyjście. Nic wielkiego. Można powiedzieć, że życie to też nic wielkiego, nie mówiąc już o jego pieprzonej literaturze.

I wtedy nagle dosięgnął mnie cios ze strony, której się najmniej spodziewałem. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie żona Artiego, Pam. Powiedziała,

że chce się ze mną zobaczyć w ważnej sprawie. Czy mógłbym przyjechać od razu? Ogarnęła mnie panika. Podświadomie zawsze martwiłem się o Artiego. Wyglądał mizernie i był wiecznie zmęczony. Na jego przystojnej twarzy stres bardziej było widać niż u większości. Byłem tak spanikowany, że zacząłem błagać ją, aby mi powiedziała przez telefon, co się stało, ale nie chciała. Powiedziała tylko, że nie są to problemy ze zdrowiem. To był ich wspólny problem i oczekiwała mojej pomocy.

Natychmiast mi ulżyło. Najwyraźniej to ona miała jakiś problem, a nie Artie. Urwałem się wcześniej z pracy, aby się z nią zobaczyć. Mieszkali na South Shore. Było to bardzo blisko mnie, nie musiałem nadkładać drogi. Myślałem, że wysłucham jej i wrócę tylko trochę spóźniony na kolację do domu. Nie chciałem nawet dzwonić do Valerie.

Zawsze lubiłem wizyty w domu mojego brata. Miał piątkę miłych dzieci, do których przychodziło mnóstwo kolegów i koleżanek, a Pam najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Zawsze trzymała w pogotowiu wielkie słoje z ciasteczkami i galony mleka. Jedne dzieci oglądały telewizję, inne bawiły się na trawniku. Rzuciłem im „cześć” na przywitanie, one odpowiedziały też krótkim „cześć”, Pam zaprowadziła mnie do kuchni z dużym oknem wykuszowym. Kawa na mnie czekała. Pam pochyliła głowę, po czym nagle spojrzała mi w oczy, i powiedziała: „Artie ma przyjaciółkę”.

Pomimo tylu dzieci, Pam wciąż wyglądała młodo, miała ładną, smukłą figurę, bardziej kobiecą po porodach i twarz zmysłową jak Madonna. Pochodziła z miasteczka na wschodzie, poznali się na studiach. Jej ojciec był prezesem małego banku. Nikt w jej rodzinie od trzech pokoleń nie miał więcej niż dwójkę dzieci, dlatego w oczach rodziców stała się męczennicą płodności. Nie mogli tego zrozumieć, ja tak. Raz zapytałem o to Artiego, a on powiedział:

– Pod tą pozą Madonny kryje się najbardziej namiętna kobieta na Long Island. I to mi odpowiada. – Gdyby ktokolwiek inny powiedział coś podobnego o swojej żonie, poczułbym się urażony.

– Szczęściarz z ciebie – zauważyłem.

– Tak – odparł Artie. – Myślę, że się nade mną uzala, wiesz ta sprawa z sierocińcem. Chce mieć pewność, że już nigdy nie będę samotny. Coś w tym rodzaju.

– Szczęściarz, szczęściarz z ciebie – powtórzyłem.

I dlatego teraz, gdy Pam go oskarżała, poczułem gniew. Znałem Artiego. Wiedziałem, że nie byłby w stanie oszukiwać żony. Nigdy nie naraziłby rodziny ani szczęścia, które mu dawała, na niebezpieczeństwo.

Pam opuściła głowę, miała łzy w oczach. Ale wciąż mnie obserwowała. Jeśli Artie miał romans, jedynym człowiekiem, któremu by o tym opowiedział, byłem ja. Miała nadzieję, że zdradzę się jakoś.

– To nieprawda – powiedziałem. – Za Artiem zawsze goniły kobiety, ale on tego nienawidził. Jest najszczęśliwszym facetem na ziemi. Wiesz przecież, że bym go nie krył. Nie podkablowałbym go, ale też i nie krył.

– Wiem – odparła. – Ale widzisz, przychodzi do domu później przynajmniej trzy razy w tygodniu. Wczoraj wieczorem miał ślad szminki na koszuli. I dzwoni dokądś, jak się już położę, późno w nocy. Czy to do ciebie dzwoni?

– Nie. – Czuję się podle. To mogła być prawda. Wciąż w to nie wierzyłem, ale musiałem sprawdzić.

– Poza tym wydaje więcej pieniędzy niż kiedyś – dodała Pam. – Och, do cholery. – Płakała już teraz, nie kryjąc łez.

– Czy przyjdzie dzisiaj na kolację? – zapytałem. Pam przytaknęła. Zadzwoń do domu, aby powiedzieć, że zostanę na kolacji u Artiego. Często tak robiłem, gdy nagle poczułem, że muszę go zobaczyć, więc Valerie o nic nie pytała. Kiedy odłożyłem słuchawkę, zwróciłem się do Pameli:

– Czy znajdzie się trochę dla mnie?

Uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– Oczywiście – rzekła.

– Pójdę po niego na stację – powiedziałem. – Jeszcze przed kolacją wyjaśnimy sobie wszystko. – Przesadziłem chyba jednak trochę, mówiąc na wyrost: – Mój brat jest niewinny.

– O jasne – zadrwiła Pam, ale się uśmiechnęła.

Na stacji, gdy czekałem na brata, zrobiło mi się ich żal. Było jednak nieco samozadowolenia w moim współczuciu. To zawsze za mnie brat musiał się czerwienić, teraz role się odwróciły. Pomimo dowodów: szminki na koszuli, pieniędzy i telefonów, wiedziałem, że Artie jest czysty jak łąza. W najgorszym przypadku mógł trochę ulec, może dziewczyna była zbyt natarczywa. Ale i tak nie mogłem w to uwierzyć. Współczucie mieszało mi się z zazdrością o atrakcyjność Artiego, której ja nigdy nie będę miał. Z uczuciem niejakiej satysfakcji pomyślałem, że bycie niezbyt przystojnym ma swoje dobre stro-



ny.

Artie nie był zaskoczony moim widokiem. Już raz kiedyś wyszedłem po niego na stację. Lubiłem to robić, a Artie się cieszył. I zawsze wprawiała mnie w dobry nastrój jego radość, gdy widział mnie czekającego na dworcu. Tym razem, obserwując go uważnie, zauważyłem, że nie jest specjalnie zadowolony z mojej obecności.

– Co, do diabła, tutaj robisz? – powiedział, ale objął mnie i się uśmiechnął. Dla mężczyzn miał zarezerwowany niesamowicie słodki uśmiech. Taki sam miał jako dziecko i od tego czasu nic się nie zmieniło.

– Przybyłem, by cię ocalić – powiedziałem pogodnie. – Pam już idzie do prokuratora.

Zaśmiał się.

– Jezu, tylko nie to – wykrztusił. Zazdrość Pam była znana.

– Tak jest – powiedziałem. – Późne powroty, telefony, i w końcu klasyczny dowód: szminka na koszuli. – Czułem się wyśmienicie, ponieważ, gdy tylko zobaczyłem Artiego, wiedziałem, że to pomyłka.

Artie niespodziewanie usiadł na dworcowej ławce. Zobaczyłem zmęczoną twarz. Stałem nad nim trochę niespokojny.

Spojrzał na mnie z dołu. Spostrzegłem niespotykane u niego piętno żalu.

– Nie martw się – powiedziałem. – Wszystko załatwię.

Próbował się uśmiechnąć.

– Merlynie Magu, lepiej włóż tę swoją pierdoloną czarodziejską czapkę. A przynajmniej usiądź. – Zapalił papierosa. Znow pomyślałem, że pali za dużo. Usiadłem koło niego i począłem gorączkowo głowić się nad tym, jak ich pogodzić. Jedno wiedziałem: nie chciałem jej okłamywać, tak samo, jak nie chciałem, żeby Artie to robił.

– Nie zdradzam Pam – powiedział. – I to wszystko, co mam ci do powiedzenia.

Nie miałem cienia wątpliwości, że mówi prawdę. Nigdy by mnie nie okłamał.

– Jasne – rzekłem. – Ale musisz powiedzieć Pameli, co się dzieje, inaczej oszaleje. Dzwoniła do mnie do pracy.

– Jeśli powiem Pam, będę musiał powiedzieć i tobie – odrzekł Artie. – A ty nie będziesz chciał tego wysłuchać.

– Powiedz mi. Co za różnica? Zawsze mi wszystko mówiłeś. Dlaczego miałyby mnie to zabołec?

Artie upuścił papierosa na betonową płytę peronu.

– Dobrze – zgodził się. Położył mi dłoń na ramieniu, a ja poczułem przerażenie. Kiedy byliśmy dziećmi, zawsze tak robił, by mnie podtrzymać na duchu. – Daj powiedzieć mi wszystko i nie przerywaj.

– Jasne – odparłem. Twarz mi rozgorzała. Bałem się tego, co nastąpi.

– Przez ostatnie kilka lat starałem się odnaleźć naszą matkę – zaczął Artie.  
– Kim jest, gdzie jest, kim my jesteśmy. Miesiąc temu udało mi się.

Wstałem. Odsunąłem się od niego. Artie też wstał i próbował mnie zatrzymać.

– Jest pijaczką – powiedział. – Umalowana, wygląda całkiem nieźle. Ale jest sama jak palec. Chce się z tobą spotkać. Mówi, że nic nie mogła zro...

– Nie mów mi nic więcej – przerwałem mu. – Nigdy więcej. Ty rób, co ci się żywnie podoba, ale ja spotkam się z nią raczej w piekle niż na ziemi.

– Daj spokój, daj spokój – powiedział. Starał się mnie ułagodzić. Znów chciał położyć mi rękę na ramieniu, ale wyrwałem mu się i poszedłem w stronę samochodu. Artie podążył za mną. Wsiadliśmy i pojechaliśmy do niego do domu. Już się uspokoiłem, ale widziałem, że Artie jest załamany, więc zacząłem pierwszy:

– Powinieneś powiedzieć Pam.

– Zrobię to – odrzekł.

– Wstąpisz na kolację? – zapytał, kiedy zatrzymałem się przed podjazdem. Stał przy samochodzie i znów próbował położyć mi dłoń na ramieniu.

– Nie – odpowiedziałem.

Widziałem, jak wchodzi do domu, zgarniając do środka dzieciaki bawiące się na zewnątrz. Później odjechałem. Prowadziłem wolno i spokojnie. Nauczyłem się panować nad sobą.

Po spojrzeniu Valerie widać było, że wie, co się stało. Dzieci spały, a ona podała mi kolację. Kiedy jadłem, przejechała dłonią po mojej głowie i szyi. Usiadła naprzeciw mnie, piła kawę i czekała, aż zacznę mówić.

– Pam prosiła, żebyś do niej zadzwonił.

Zadzwoniłem. Pam starała się usprawiedliwić przede mną za zamieszanie, jakiego narobiła. Powiedziałem, że to żadne zamieszanie i chyba lepiej się czuje, znając prawdę. Pam zachichotała i powiedziała:

– Jezu, wolałabym, żeby to było to, co podejrzewałam. – Znów była pogodna. Teraz role się odwróciły. Najpierw ja jej współczułem, to ona była w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ja byłem tym facetem, który mógł jej

pomóc czy ją uratować. Teraz wydawało jej się, że to niesprawiedliwe, że role się odwróciły. Tego właśnie dotyczyły przeprosiny. Poradziłem jej, żeby się nie martwiła.

Pam wydusiła w końcu z siebie:

– Merlyn, ty chyba naprawdę tak nie myślisz, że nie chcesz jej widzieć?

– Czy Artie mi wierzy? – zapytałem.

– Mówi, że wiedział o tym od dawna. Nie powiedziałby ci, zanimby cię nie ułagodził. Tylko że ja narobiłam szumu. Zbeształ mnie za to, że wszystko się przedwcześnie wydało.

Zaśmiałem się.

– Widzisz – powiedziałem. – Ty zaczęłaś ten zły dzień, a teraz to on jest zraniony.

– Jasne – przyznała Pam. – Słuchaj, jest mi naprawdę przykro z twojego powodu.

– To nie ma ze mną nic wspólnego – powiedziałem.

Pam jeszcze raz mi podziękowała i odłożyła słuchawkę.

Valerie obserwowała mnie uważnie. Została poinstruowana przez Pam, a może nawet przez Artiego, jak sobie z tym poradzić, i była bardzo ostrożna. Ona i Pam były naprawdę wspaniałymi kobietami, ale pewnych rzeczy nie rozumiały. Rodzice nie chcieli im pozwolić na zwiążanie się z facetami pochodzącymi nie wiadomo z jakiej rodziny. Mogłem sobie tylko wyobrazić te pełne grozy opowiadania o podobnych przypadkach. Co będzie, jeśli w naszej rodzinie były jakieś wrodzone wady psychiczne lub fizyczne? Czarna, żydowska czy protestancka krew i tym podobne pierdoły. Cóż, poniewczasie ujawnił się całkiem ładny szczegół. Domyśliłem się, że Pam i Valerie nie są zbyt zadowolone z romantycznego podejścia do sprawy mojego brata i odnalezienia naszej matki.

– Czy chcesz ją zaprosić do domu, aby zobaczyła nasze dzieci? – zapytała Valerie.

– Nie – odparłem.

Moja żona wyglądała na zakłopotaną i trochę przerażoną. Wyobrażałem sobie, że myślała o tym, iż jej własne dzieci mogłyby się jej kiedyś wyprzeć.

– To twoja matka. Musiała mieć bardzo nieszczęśliwe życie.

– Czy wiesz, co oznacza słowo „sierota”?! Sprawdziłaś w słowniku? Oznacza dziecko, któremu umarli rodzice. Albo małe zwierzątko, które zostało porzucone lub straciło matkę.

Którą definicję wolisz?

– Dobra – powiedziała Valerie. Była przerażona. Poszła sprawdzić, co u dzieci, i potem weszła do sypialni. Słyszałem, jak myje się w łazienc. Siedziałem do późna, czytając i robiąc notatki, a kiedy kładłem się do łóżka, ona już głęboko spała.

Po kilku miesiącach skończyło się. Artie zadzwonił i powiedział, że matka znów zniknęła. Umówiliśmy się na wspólny obiad w mieście, aby móc spokojnie porozmawiać. Nie byliśmy w stanie mówić o tym przy naszych żonach, jakby był to zbyt wstydlivy temat. Artie wydawał się radosny. Powiedział, że matka zostawiła list. Napisała w nim, że zawsze dużo piła i lubiła chodzić po barach, by podrywać facetów. Była przechodzoną panią w średnim wieku, ale mimo to Artie ją lubił. Sprawił, że przestała pić, kupił nowe ubranie, wynajął jej ładnie urządzone mieszkanie i samochód, dał jej pełną swobodę. Opowiedziała mu wszystko, co się z nią działo. To naprawdę nie była jej wina. Tu mu przerwałem. Nie chciałem tego słuchać.

– Czy jeszcze raz będziesz jej szukał? – zapytałem go.

Artie uśmiechnął się swoim pięknym, smutnym uśmiechem.

– Nie – odrzekł. – Nawet teraz byłem jej solą w oku. Tak naprawdę nie lubiła mojego towarzystwa. Przy pierwszym spotkaniu zagrała rolę, jakiej od niej oczekiwałem. Myślę, że z poczucia winy pozwoliła mi, abym się nią zajął. Ale naprawdę tego nie chciała. Pewnego razu nawet chciała mnie uwieść, ale myślę, że to było tylko tak dla hecy. – Zaśmiał się. – Chciałem, żeby przyszła do nas do domu, odmówiła.

– Jak Pam znosiła to wszystko?

Artie zaśmiał się na cały głos.

– Jezu, była o nią zazdrosna. Powinieneś zobaczyć ten wyraz ulgi na twarzy, gdy jej powiedziałem, że już po wszystkim. Muszę ci przyznać, braciszku, że kiedy o tym usłyszałeś, nie drgnął ci nawet jeden mięsień.

– Ponieważ tak czy inaczej gównu mnie to obchodziło – odparłem.

– Cóż. Wiem. Nieważne. Myślę, że i tak byś jej nie polubił.

Pół roku później Artie przeszedł lekki zawał serca. Zatrzymali go w szpitalu i do pracy poszedł dopiero po miesiącu. Odwiedzałem go codziennie w szpitalu, a on twierdził z uporem maniaka, że ma tylko niestrawność, a nie jakiś ciężki przypadek.

Poszedłem do biblioteki i przeczytałem wszystkie dostępne książki o zawałach serca. Dowiedziałem się z nich, że jest to typowa reakcja pozawał-

wa. Pam panikowała. Gdy Artie wyszedł ze szpitala, zaaplikowała mu dietę, wyrzuciła wszystkie papierosy i sama przestała palić, aby go nie korciło. Ciężko mu było, ale się udało. I może ten zawał go trochę przestraszył, bo zaczął dbać o siebie. Zażywał długich spacerów przepisanych przez lekarzy, uważał z jedzeniem i nigdy już nie sięgał po tytoń. Pół roku później wyglądał lepiej niż kiedykolwiek. „Dzięki Bogu, że przestał palić – mówiła Pam. – Wypalał już trzy paczki dziennie. To właśnie go wykańczało”.

Przytaknąłem, ale nie wierzyłem w to. Myślę, że zawiniły tu te dwa miesiące, gdy starał się odnaleźć matkę.

I kiedy tylko Artie wyzdrowiał, ja wpadłem w tarapaty. Straciłem pracę recenzenta. Nie z mojej winy, ale dlatego, że wylano Osana, a ja jako jego prawa ręka wylądowałem wraz z nim na bruku.

Osanowi wybaczało się wiele: pogardę dla najbardziej wpływowych kół literackich w kraju, dla polityków, fanatyków kultury, liberałów, konserwatystów, Ruchu Wyzwolenia Kobiet, radykałów, jego seksualne eskapady, hazard i wykorzystywanie prywatnych znajomości do sięgnięcia po Nagrodę Nobla. Poza tym książkę broniącą pornografii, nie ze względu na jej wysokie walory, ale jako odpowiednika rozrywki intelektualnej elit dla biedoty. Z tych to powodów każdy wydawca z miłą chęcią wywaliłby go z pracy, ale od kiedy został szefem pisma, nakład wzrósł dwukrotnie.

W tym czasie zarabiałem dobrze. Pisałem mnóstwo artykułów za Osana. Umiałem doskonale naśladować jego styl. On dawał mi piętnastominutowe wykłady o swoich poglądach na dany temat, zwykle były to cudownie zwiariowane poglądy. Po takiej lekcji pisanie artykułu szło mi bardzo łatwo. Gdy kończyłem pisać, przychodził do mnie i ręką mistrza zmieniał zwrot lub dwa, po czym dzieliliśmy się pieniędzmi. Połowa jego pieniędzy stanowiła moje podwójne honorarium.

Nawet za to nas nie wylali. Załatwiła nas żona Osana, Wendy. Chciaż może to niesprawiedliwy pogląd, bo to Osano nas załatwił; Wendy podała mu tylko narzędzie.

Osano spędził cztery tygodnie w Hollywood, podczas gdy ja pisałem za niego recenzje. Załatwiał jakieś sprawy z filmowcami, a ja przysyłałem mu eseje pocztą, by je zaakceptował przed drukiem. Kiedy w końcu wrócił do Nowego Jorku, wydał przyjęcie powitalne na swoją cześć i na cześć kupy forsy, którą zarobił w Hollywood. Zaprosił wszystkich przyjaciół.

Przyjęcie odbywało się w jego domu na East Side, w którym mieszkała

jego ostatnia była żona z trójką dzieci. Osano mieszkał w kawalerce w Village, tylko na to mógł sobie pozwolić, a pomieszczenie było za małe na przyjęcie.

Poszedłem, ponieważ nalegał. Valerie nie chciała iść. Nie lubiła Osana ani imprez poza gronem rodziny. Przez te lata zawarliśmy niepisaną umowę. Wymawialiśmy się od towarzyskich zobowiązań drugiej strony. Ja miałem dużo pracy nad książką i esejami, ona zaś twierdziła, że nie ufa płatnym opiekunkom do dzieci i sama musi się nimi zajmować. Oboje cieszyliśmy się z tego układu. Dla niej było to łatwiejsze, ponieważ ja nie miałem żadnego życia towarzyskiego z wyjątkiem spotkań z Artiem i w redakcji.

Przyjęcie Osana było jednym z najistotniejszych wydarzeń w kręgu literackim Nowego Jorku. Przyszli najważniejsi z „New York Times Book Review”, krytycy i pisarze, z którymi Osano nie był jeszcze na ścieżce wojennej. Siedziałem w rogu i rozmawiałem z byłą żoną Osana, gdy weszła Wendy. Pomyślałem od razu: Jezu, kłopoty. Wiedziałem, że nie została zaproszona.

Osano dostrzegł ją w tym samym momencie i zaczął zbliżać się do niej nierównym, chwiejnym krokiem, którym poruszał się od jakiegoś czasu. Był trochę wstawiony i obawiałem się, że zrobi scenę, dlatego wstałem i podszedłem do nich. Przybyłem na miejsce dokładnie wtedy, kiedy Osano się witał.

– Czego, kurwa, chcesz? – zapytał. Potrafił być przerażający, gdy wpadł w złość, ale z tego, co mi opowiadał, wiedziałem, że Wendy jest jedyną osobą, która lubi doprowadzać go do takiego stanu. Niemniej byłem zdziwiony jej reakcją.

Wendy była ubrana w dzinsy i sweter i miała chustkę zawiniętą na głowie, dzięki czemu jej smągła twarz przypominała Meduzę. Kręcone ciemne włosy wystawały spod chustki jak małe czarne węże.

Popatrzyła na Osana zimnym spojrzeniem, które wyrażało złowrogi triumf. Kipiała w niej nienawiść. Z zadowoleniem rozejrzała się po pokoju, jakby był to raj utracony, z którego wygnał ją Osano.

– Muszę powiedzieć ci coś ważnego – rzekła do swojego eksmęża.

Osano opuścił rękę ze szklanką z whisky. Posłał jej paskudny uśmiech.

– A więc mów i wypierdalaj stąd.

– To zła wiadomość – powiedziała nerwowo Wendy.

Osano zaśmiał się szczerze i jednocześnie zaczepnie. Ruszyło go. – Zawsze masz złe wiadomości – powiedział i znów się zaśmiał.

Wendy obserwowała go z cichą satysfakcją.

– Muszę ci to powiedzieć w cztery oczy.

– O kurwa – przeklął Osano. Znał Wendy, marzyła o scenie. Zabrał ją więc na górę do pracowni. Dopiero później dotarło do mnie, że nie zabrał jej do sypialni, wciąż miała na niego haka i obawiał się, że będzie próbował ją przelecieć. I wiedział, że ona z dziką rozkoszą mu odmówi. Ale zabranie jej do pracowni stanowiło poważny błąd. Był to jego ulubiony pokój, wciąż trzymany dla niego jako pracownia. Miał duże okno, przez które Osano uwielbiał patrzeć w czasie pracy i przyglądać się wydarzeniom na zewnątrz.

Nie wiem dlaczego, ale czułem, że Osano będzie potrzebował pomocy. Kręciłem się więc wokół schodów na dole. Dlatego właśnie ja pierwszy usłyszałem potworny krzyk Wendy i pierwszy zareagowałem. Wbiegłem na schody i kopniakiem otworzyłem drzwi.

Zobaczyłem, jak Osano jej dopada. Odpychała go ramionami, próbowała rozcapierzonymi palcami kościstych dłoni dosięgnąć jego twarzy. Była przeżona, a jednocześnie zachwycona. Widziałem to wyraźnie. Krew ciekła z dwóch ran na prawym policzku Osana. I zanim zdążyłem go zatrzymać, uderzył Wendy w twarz tak, że upadła. W następnej sekundzie jednym ruchem uniósł ją jak szmacianą lalkę i z olbrzymią siłą cisnął przez okno pracowni. Roztrzaskała szybę i zniknęła.

Nie wiem, czy bardziej przeraził mnie widok Wendy przelatującej przez okno, czy widok szaleństwa na twarzy Osana. Wypadłem z pokoju i krzyknąłem: „Dzwońcie po pogotowie!”. Następnie porwałem płaszcz wiszący w przedpokoju i wybiegłem na zewnątrz.

Wendy leżała na betonie jak owad z połamanymi kończynami. Kiedy wybiegłem z domu, podnosiła się na rękach, ale nie mogła wstać. Wyglądała jak pajak próbujący chodzić, znów upadła.

Uklęknąłem obok niej i przykryłem ją płaszczem. Zdjąłem marynarkę, złożyłem i podsunąłem dziewczynie pod głowę. Bolało ją, ale nie krwawiła. Nie dostrzegłem też, aby oczy zachodziły jej mgłą. Ten niebezpieczny objaw, który poznałem jeszcze w czasach wojny. Twarz miała spokojną. Trzymałem ją za rękę, była ciepła.

– Nic ci nie będzie – powiedziałem. – Karetka jest w drodze. Nic ci nie będzie.

Otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się do mnie. Wyglądała pięknie i zrozumiałem, dlaczego Osano miał takiego bzika na jej punkcie. Bolało ją,

ale się uśmiechała.

– Tym razem załatwiłam tego skurwysyna na dobre – rzekła.

W szpitalu okazało się, że miała złamany duży palec u nogi i obojczyk. Była przytomna i powiedziała policji, co się stało. Gliniarze zabrali Osana na posterunek. Zadzwoiłem do jego prawnika. Poradził mi, żeby o ile to możliwe, trzymać gębę na kłódkę, a on już wszystko załatwi. Znał Osana i Wendy o wiele dłużej, dlatego w lot wszystko zrozumiał. Powiedział, żebym został tam, gdzie jestem, a on oddzwoni.

Nie muszę dodawać, że przyjęcie zakończyło się dopiero z chwilą przesłuchiwania wszystkich przez policję. Powiedziałem, że nie widziałem niczego poza Wendy wypadającą z okna. Nie, nie widziałem, żeby Osano był blisko niej, powiedziałem im. Na tym śledztwo utknęło. Była żona Osana dała mi kielicha i usiadła obok mnie na sofie. Na jej twarzy błąkał się zabawny uśmieszek.

– Zawsze wiedziałam, że to się tak skończy – powiedziała.

Prawnik oddzwonił dopiero po trzech godzinach. Wykupił Osana za kaucją, ale, jak mówił, ktoś powinien się nim zaopiekować przez kilka dni, gdy wróci do swojej pracowni w Village. Czy nie mógłbym tam z nim pojechać i rozmówić się z dziennikarzami? Powiedziałem, że tak. Adwokat pouczył mnie, co mam mówić. Osano zeznał, że Wendy rzuciła się na niego, a on w obronie własnej pchnął ją i dlatego straciła równowagę i wypadła przez okno. Taką wersję przedstawiono prasie. Prawnik był pewien, że we własnym dobrze pojętym interesie Wendy potwierdzi ten przebieg wydarzeń. Jeśli Osano pójdzie do więzienia, Wendy straci alimenty. Wszystko zostanie wyciszone w kilka dni, pod warunkiem, że on nie będzie mówił niczego na swoją niekorzyść. Osano będzie u siebie za godzinę, adwokat go tam zawiezie.

Pojechałem taksówką do Village. Siedziałem na podeście przed wejściem, gdy zajechała limuzyna z kierowcą. Osano wysiadł.

Wyglądał okropnie; był trupio blady i rozdygotany. Przeszedł szybko obok mnie i wsiedliśmy razem do windy. Ręce tak mu się trzęsły, że wiedziałem, iż nigdy nie uda mu się włożyć klucza do zamka, więc zrobiłem to za niego.

Kiedy znaleźliśmy się w kawalerce, opadł na rozkładaną wersalkę. Wciąż nie powiedział do mnie ani słowa. Leżał, przykrywając twarz dłońmi w geście zmęczenia, a nie rozpaczy. Rozejrzałem się po pokoju i pomyślałem, że Osano, jeden z najbardziej znanych pisarzy światowych, żyje w takiej norze.



Ale zaraz potem pomyślałem, że przecież rzadko tu przebywa. Mieszkał w swoim domu w Hamptons czy w Provincetown lub u jednej ze swoich bogatych rozwódek, z którymi miewał kilkumiesięczne romanse.

Usiadłem w zakurzonej foteli i kopnąłem stertę książek w róg.

– Powiedziałem gliniarzom, że niczego nie widziałem.

Osano odsłonił twarz. Ku memu zdziwieniu zobaczyłem dziki uśmiech.

– Chryste, widziałeś, jak ładnie szybowała? Zawsze mówiłem, że to pierdolona wiedźma. Nie uderzyłem jej tak mocno. Sama poleciała.

Gapiałem się na niego przez chwilę.

– Myślę, że dostajesz pierdolca. Myślę, że powinieneś się spotkać z lekarzem. – Mówiłem to chłodnym głosem. Nie mogłem zapomnieć widoku Wendy leżącej na ulicy.

– Nic jej nie będzie. I nie pytaj dlaczego. A może myślisz, że zawzięcie defenestruję wszystkie swoje byłe żony?

– Nie możesz się tym tłumaczyć – odparłem.

Osano wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie znasz Wendy. Założę się o dwadzieścia dolców, że kiedy usłyszysz, co zrobiła, przyznasz mi rację.

– Zakład stoi.

Poszedłem do łazienki, zmoczyłem ręcznik i rzuciłem mu go. Wytarł sobie twarz i kark, wzdychając z lubością, kiedy zimna woda chłodziła jego skórę.

Osano pochylił się ku mnie.

– Przypomniała mi, że od dwóch miesięcy wysyła listy, błagając o pieniądze na nasze dziecko. Oczywiście nie wysłałem jej żadnych pieniędzy, wydałaby je na siebie. Następnie powiedziała, że nie chciała mnie niepokoić w Hollywood z powodu dziecka, które zachorowało na zapalenie opon mózgowych, a ona musiała je umieścić z braku pieniędzy na oddziale dla biednych. Możesz sobie wyobrazić, co za pizda? Nie chciała mnie zawiadamiać, bo wymyśliła sobie, że zwali wszystko na mnie.

Wiedziałem, że Osano kochał wszystkie swoje dzieci. Zdumiewała mnie ta jego uczuciowość. Zawsze przesyłał im prezenty urodzinowe i spędzał z nimi wakacje. Wpadał, aby się z nimi od czasu do czasu zobaczyć, zabrać do teatru czy na mecz. Zdziwił mnie teraz jego brak troski o chore dziecko. Zrozumiał, o co mi chodzi.

– Dzieciak miał tylko podwyższoną temperaturę i jakąś infekcję układu oddechowego. Kiedy ty rznąłeś rycerza przed Wendy, ja dzwoniłem do szpi-

tala. Powiedzieli mi, że nie ma się o co martwić. Rozmawiałem już z lekarzem; ma dopilnować przewiezienia chłopca do prywatnego szpitala. Wszystko jest w porządku.

– Chcesz, abym z tobą trochę został? – zapytałem.

Osano potrząsnął głową.

– Muszę zająć się moimi dziećmi, skoro pozbawiłem ich matki. Jutro ta suka wyjdzie ze szpitala.

Przed wyjściem zadałem mu jedno pytanie:

– Czy pamiętałeś o tym, że tam są tylko dwa piętra, kiedy wyrzucałeś ją przez okno?

– Jasne – odpowiedział, uśmiechając się. – A ponadto nie przypuszczałem, że potrafi tak latać. Mówiłem ci, że to więdźma.

Następnego dnia wszystkie dzienniki na pierwszych stronach zamieściły artykuły o tym wydarzeniu. Osano wciąż jeszcze był sławny. W końcu nie poszedł do więzienia, ponieważ Wendy nie wniosła oskarżenia. Zeznała, że nie pamięta, może się potknęła i sama wypadła z okna. Ale stało się to dopiero drugiego dnia i szkoda była nie do naprawienia. Osano musiał zrezygnować z posady na własną prośbę, a ja wraz z nim. Jedna z gazet dowcipkowała, że jeśli Osano zdobędzie Nagrodę Nobla, będzie pierwszym noblistą, który wyrzucił żonę przez okno. Ale prawda była taka, że ta mała komedia przekreśliła wszelkie jego szanse w tym względzie. Nie można było przyznawać szacownej nagrody takiemu furiatowi jak Osano. Sam Osano sobie nie pomógł, pisząc później artykuł satyryczny o dziesięciu najlepszych sposobach na zamordowanie żony.

Ale teraz obydwaj byliśmy w kłopotach. Musiałem zarabiać na zlecenie, nie mając stałej pracy. Osano musiał ukryć się gdzieś przed prasą. Mogłem rozwiązać ten problem. Zadzwoiłem do Cully'ego do Vegas i wyjaśniłem mu, co się stało. Poprosiłem, aby ukrył Osana na kilka tygodni w hotelu Xanadu. Wiedziałem, że nikt go tam nie będzie szukał. I Osano poszedł na to. Nigdy nie był w Vegas.

## Rozdział 26

Po ukryciu Osana w Vegas musiałem rozwiązać swój problem. Nie miałem pracy, dlatego brałem teraz prawie każde zlecenie. Pisałem recenzje dla „Time’a”, „New York Timesa”, poza tym następca Osana dał mi trochę pracy. Zbyt to jednak szarpało mi nerwy. Nigdy nie byłem pewien, ile pieniędzy dostanę i kiedy. Dlatego postanowiłem skończyć książkę, licząc na to, że przyniesie mi mnóstwo pieniędzy. Przez następne dwa lata życie było banalnie proste. Pracowałem po dziesięć, piętnaście godzin w pracowni. Chodziłem z żoną do supermarketu. Zabierałem dzieci w letnie weekendy do Jones Beach, aby odciążyć Valerie. Czasami w nocy łykałem kofeinę, aby móc pracować do trzeciej, czwartej w nocy.

Podczas tych dwóch lat widziałem się z Eddiem Lancerem na kilku kolacjach. Eddie zajął się teraz pracą dla Hollywood; stało się jasne, że nie będzie już pisał powieści. Podobało mu się tamtejsze życie, kobiety, łatwa forsa i poprzysiągł sobie, że koniec z powieściami. Cztery z jego scenariuszy stały się prawdziwymi hitami i to zaspokajało jego ambicje. Zaproponował mi wspólną pracę, gdybym zdecydował się przenieść. Odmówiłem. Nie widziałem siebie w filmie. Ponieważ pomimo zabawnych historii, jakie mi opowiadał, było jasne, że praca tam to nic przyjemnego. Nie było się tam już artystą. Tylko tłumaczem czyichś pomysłów.

Podczas tych lat widywałem się z Osanem co miesiąc. Zatrzymał się w Vegas na tydzień, po czym zniknął. Cully skarżył mi się, że zniknął z jego ulubioną dziewczyną, Charlie Brown. Cully nie był wściekły, tylko zdumiony. Powiedział mi, że dziewczyna jest śliczna, zarabiała krocie pod jego opieką, żyła pełnią życia i porzuciła to wszystko dla tłustego faceta, który nie tylko miał mięsień piwny, ale na dokładkę był najbardziej kopniętym człowiekiem, jakiego widział w życiu.

Powiedziałem Cully'emu, że jestem mu winien przysługę i jeśli spotkam to dziewczę z Osanem w Nowym Jorku, kupię jej bilet na pierwszy samolot odlatujący do Vegas.

– Powiedz jej tylko, żeby się ze mną skontaktowała – poprosił Cully. – Powiedz jej, że za nią tęsknię, powiedz, że ją kocham, cokolwiek jej powiedz. Chcę tylko, żeby wróciła. W Vegas jest warta fortunę.

Przystąpiłem na to. Ale gdy spotykałem się z Osanem na kolacji, zawsze przychodził sam i nie wyglądał na takiego, co to przyjmuje czułości od dziewczyny z opisanymi przez Cully'ego cechami.

To dziwne uczucie słuchać o czyimś sukcesie, sławie. Sława, jak spadająca gwiazda, pojawia się nie wiadomo skąd. Ale ja przyjąłem to jak najnaturalniejszą rzecz pod słońcem.

Przez dwa lata wiodłem żywot pustelniczy, po czym oddałem książkę wydawcy i zapomniałem o tym. Miesiąc później zadzwonił do mnie, mówiąc, że odsprzedał prawa do drugiego wydania pewnemu wydawnictwu za pół miliona dolarów. Zaniemówiłem. Wszyscy: wydawca, agent, Osano, Cully ostrzegali mnie, że książka o porwaniu dziecka, w której porywacz jest głównym bohaterem, nie odniesie sukcesu. Byłem zaskoczony, a wydawca powiedział:

– To taka pasjonująca historia, że przestało być to ważne. Kiedy tego wieczoru wróciłem do domu i powiedziałem Valerie, co się stało, też nie wydała się zaskoczona.

– Będzie nas stać na większy dom – powiedziała spokojnym głosem. – Dzieci rosną i potrzebują więcej pokoi. – I życie toczyło się tak jak dotychczas, jeśli nie liczyć tego, że Valerie znalazła dom oddalony zaledwie o dziesięć minut drogi od jej rodziców.

W tym czasie książka została wydana. Od razu stała się bestsellerem w Stanach. A jednak nie zmieniło to ani trochę mojego życia. Gdy przemyślałem sprawę, doszedłem do wniosku, że to dlatego, iż mamy tak niewielu przyjaciół. Cully, Osano, Eddie Lancer i już. Oczywiście, mój brat był ze mnie bardzo dumny i chciał wydać przyjęcie na moją cześć. Powiedziałem mu, że nie mam nic przeciwko temu, ale mnie na tym przyjęciu nie będzie. To, co mnie naprawdę wzruszyło, to recenzja Osana zamieszczona na pierwszej stronie przeglądu literackiego. Chwalił mnie i wskazywał błędy. Swoim starym zwyczajem przeceniał książkę, ponieważ byłem jego przyjacielem. Po

czym, jak zwykle, przeszedł na swój temat i swojej powieści.

Zadzwoiłem do niego, ale nikt nie odpowiadał. Napisałem zatem list i dostałem odpowiedź. Zjedliśmy razem kolację w Nowym Jorku. Wyglądał okropnie, ale miał obok siebie bardzo ładną, młodą blondynkę, która mówiła rzadko, za to pochłaniała tyle jedzenia, ile my razem wzięci. Przedstawił ją jako Charlie Brown i zdałem sobie sprawę, że to jest ta dziewczyna od Cully'ego. Nigdy jednak nie przekazałem jej wiadomości od niego. Nie chciałem ranić Osana.

Miałem wtedy takie zabawne zdarzenie, które zawsze będę pamiętał. Zaproponowałem Valerie, aby kupiła sobie jakiś nowy ciuch, a ja zaopiekuję się dziećmi. Poszła ze swoimi przyjaciółkami i wróciła zadowolona z naręczem pakunków.

Starłem się zacząć pracę nad nową książką, ale mi nie szło, dlatego poprosiłem ją, aby pokazała mi, co kupiła. Odpakowała torbę i wyciągnęła żółtą sukienkę.

– Kosztuje dziewięćdziesiąt dolarów – powiedziała. – Wyobrażasz sobie? Dziewięćdziesiąt dolarów za letnią sukieneczkę?

– Wygląda pięknie – pochwaliłem. Valerie przymierzała ją.

– Wiesz – szczebiotała – nie mogłam się zdecydować, zielona czy żółta. Wybrałam tę żółtą. Myślę, że w żółtym mi lepiej, prawda?

– Kochanie, czy nie wydaje ci się, że mogłaś kupić dwie? – zapytałem rozbawiony.

Popatrzyła na mnie przez chwilę zaskoczona, po czym też się roześmiała.

– Możesz sobie kupić żółtą, zieloną, czerwoną i niebieską – dodałem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że wkraczamy w nowe życie. Ale i tak sukces nie był tak wielki i zadowalający, jak to sobie wyobrażałem. A więc, jak zwykle, przeczytałem fachową literaturę i dowiedziałem się, że nie jestem odosobniony i że większość ludzi, którzy przez całe życie starali się osiągnąć sukces w swojej dziedzinie, po dokonaniu tego skaczą zwykle z dziesiątego piętra.

Była zima, gdy zdecydowałem się zabrać rodzinę na wakacje do Puerto Rico. Po raz pierwszy, odkąd byliśmy małżeństwem, stać nas było na wspólny wyjazd. Moje dzieci nigdy nie były nawet na obozie.

Bawiliśmy się świetnie, pływając, ciesząc się słońcem, nieznanymi miejscami i jedzeniem. Pozostawienie za sobą chłodów, by następnego dnia rozkoszować się słońcem i orzeźwiającą bryzą, było wspaniałe. Wieczorem za-

brałem Valerie do kasyna w hotelu, gdzie dzieci mogły poczekać na nas. Co piętnaście minut Valerie sprawdzała, czy nie dzieje im się krzywda, aż w końcu zabrała je do apartamentu, a ja grałem do czwartej nad ranem. Oczywiście teraz, gdy byłem bogaty, miałem szczęście i wygrałem kilka tysięcy dolarów i, co zabawne, cieszyły mnie bardziej te wygrane niż sukces literacki oraz olbrzymie sumy, jakie otrzymywałem ze sprzedaży książki.

Gdy wróciliśmy do domu, czekała mnie jeszcze większa niespodzianka. Studio filmowe, Malomar Films, chciało mi zapłacić sto tysięcy dolarów za sprzedaż pomysłu na scenariusz i pięćdziesiąt tysięcy plus zwrot kosztów za napisanie scenariusza w Hollywood.

Omówiłem to z Valerie. Naprawdę nie chciałem pisać scenariuszy. Powiedziałem jej, że odstąpię prawa, ale odrzucę propozycję napisania scenariusza. Myślałem, że będzie zadowolona, ale ona powiedziała:

– Myślę, że powinieneś pojechać. Pojedziesz między ludzi, poznasz ich. Wiesz, martwię się o ciebie, jesteś takim odludkiem.

– Moglibyśmy pojechać wszyscy.

– Nie. Jestem bardzo szczęśliwa ze swoją rodziną tutaj i nie chcę zabierać dzieci, by dorastały w Kalifornii.

Jak wszyscy w Nowym Jorku, Valerie uważała Kalifornię za egzotyczny przyczółek Stanów Zjednoczonych, pełen narkomanów, morderców i oszalałych sekciarzy, którzy wygarniali ze spluwy do każdego katolika w promieniu stu metrów.

– Kontrakt mówi o sześciu miesiącach – przypomniałem. – Ale mógłbym pracować i co miesiąc przyjeżdżać.

– Brzmi świetnie. A poza tym, mówiąc szczerze, może odpoczęlibyśmy od siebie.

Zdziwiło mnie to.

– Ja nie potrzebuję odpoczywać od ciebie – powiedziałem.

– Ale ja tego potrzebuję. Mąż pracujący w domu szarpie nerwy. Zapytaj każdej kobiety. Psuje to cały porządek w domu. Nigdy wcześniej tego nie mówiłam, bo nie było nas stać na kupienie pracowni dla ciebie, ale teraz bardzo bym tego chciała. Mógłbyś coś wynająć, wychodzić rano i wracać wieczorem. Jestem pewna, że byłoby ci lepiej pracować.

Nawet dzisiaj nie wiem, dlaczego to, co powiedziała, tak bardzo mnie uraziło. Byłem szczęśliwy, mogąc pracować w domu, i bolało mnie, że Valerie nie podziela mojej radości.

I chyba to zadecydowało o moim wyjeździe do Kalifornii. Była to infantylna reakcja. Skoro nie chce mnie w domu, wyjadę i zobaczymy, jak jej będzie. Wtedy przysięgłbym, że to, co podniecało innych pisarzy, nie wywoływało u mnie dreszczyku. O Hollywood przyjemnie było czytać, ale nawet nie chciałem go widzieć.

Zrozumiałem, że pewien etap życia mam za sobą. W swojej recenzji Osano pisał: „Wszyscy pisarze, źli i dobrzy, są herosami. Walczą samotnie i muszą mieć wiarę świętych. Częściej są pokonani, niż odnoszą zwycięstwo, i łotrowski świat nie okazuje im litości. Ich moc maleje (dlatego właśnie większość powieści ma słabe fragmenty, które stają się łatwym celem do ataku); kłopoty świata rzeczywistego, choroby dzieci, zdrady przyjaciół, wiarołomstwo żon muszą usunąć się na bok. Pisarze nic sobie nie robią z ran i walczą dalej, prosząc o cuda i świeżą energię”.

Nie pochwalałem melodramatyzmu, ale była to prawda, i pomyślałem, że oto opuszczam szeregi herosów. Nie dam złamanego grosza, czy nie był to typowy pisarski sentymentalizm.

# **Księga V**



## Rozdział 27

Chociaż wytwórnia filmów Malomar Films korzystała ze środków finansowych Tri-Culture Studios Mosesa Wartberga, była zupełnie niezależna i posiadała niezły dorobek. Dlatego też Bernard Malomar miał wolną rękę na realizację powieści Johna Merlyna.

Malomar pragnął jedynie robić dobre filmy, a w Tri-Culture Studios Wartberga, śledzącego każdy jego krok, nie było to proste. Nienawidził Wartberga. Byli wrogami, ale Wartberg był interesującym i nietuzinkowym wrogiem. Malomar szanował jego geniusz finansowy i organizacyjny. Wiedział, że producenci tacy jak on nie mogą bez Wartbergów egzystować.

Malomar, siedząc w swoim przytulnym biurze, musiał teraz znosić większego nudziarza niż Wartberg, chociaż mniej niebezpiecznego. Gdyby przyrównać Wartberga do raka odbytu, jak złośliwie mawiał Malomar, Jack Houlinan byłby małym hemoroidem, na krótką metę o wiele bardziej dokuczliwym.

Jack Houlinan, wiceprezes Wydziału do spraw Kontaktów z Widzami, był w swoim żywiole, z zabójczą powagą wcielając się w postać geniusza kontaktów międzyludzkich. Kiedy prosił cię o zrobienie czegoś bzdurnego i spotykał się z odmową, gwałtownie i entuzjastycznie potwierdzał twoje prawo do odmowy. Jego ulubionym powiedzeniem było: „Jeśli o mnie chodzi, wszystko w porządku. Nigdy nie nakłaniałbym cię do czegoś, czego nie chcesz zrobić. Tylko pytałem”. Mawiał to po godzinie męczarni, po której miałeś pewność, że jeżeli nie skoczysz z dachu Empire State Building, to w „Timesie” nie zostanie umieszczona nawet wzmianka o twoim filmie.

Ale w stosunku do swoich szefów, na przykład kierownika produkcji filmu Merlyna i swego osobistego klienta, Ugo Kellina, był szczery, bardziej ludzki. I teraz rozmawiał szczerze z Bernardem Malomarem, który naprawdę nie

miał czasu na pierdoły.

– Mamy kłopoty – mówił Houlinan. – Myślę, że ten pieprzony film może być największym niewypałem w historii naszego studia.

Malomar był najmłodszym szefem studia od czasów Thalberga i podobała mu się rola tępego geniusza. Nawet nie drgnęła mu powieka, gdy powiedział:

– Nie widziałem tego filmu, ale myślę, że lecisz sobie w konia. Martwisz się o Kellina. Chcesz, żebyśmy wydali fortunę tylko dlatego, że ten kutas zdecydował się sam reżyserować, a ty ubezpieczasz mu tyły.

Houlinan był osobistym rzecznikiem prasowym Kellina, z pensją pięćdziesięciu patyków rocznie. Kellino był wielkim aktorem, ale też klinicznym przypadkiem egocentryka – to nierzadka choroba gwiazdorów, aktorek, reżyserów, a nawet asystentek, które wyobrażają sobie, że są autorkami scenariusza. Ego w krainie filmu to jak gruźlica w zagłębiu górniczym. Wykańczająca i pustosząca choroba, ale niekoniecznie śmiertelna.

Dzięki tej obsesji byli bardziej interesujący. Tak samo z Kellinem. Na ekranie był tak dynamiczny, że umieszczano go na liście pięćdziesięciu najbardziej znanych w świecie ludzi. Laminowane wycinki z gazet, dotyczące jego życia i trzymane przez niego w pracowni, nosiły dopiski czerwoną kredką: „zerznąć”, Houlinan powtarzał zawsze z uwielbieniem: „Kellino przeźnie nawet jeża”. Akcentował to ostatnie słowo, jakby nie był to stary męski żart, lecz określenie, które stworzył specjalnie dla swojego klienta.

Rok temu Kellino nalegał na reżyserowanie swego następnego filmu. Był jednym z nielicznych, którzy mogli sobie pozwolić na takie żądanie. Ale musiał sztywno trzymać się budżetu. Wytwórnia Malomar Films mogła pozwolić sobie wyłącznie na dwa miliony. Podano tę kwotę na wszelki wypadek, gdyby Kellino oszalał i zaczął kręcić setki ujęć z jakąś swoją przyjaciółką lub przyjacielem. Tę dwójkę wkręcił do filmu bez wyraźnej szkody dla całości obrazu. Ale potem przegiął pałę ze scenariuszem. Długie monologi, łagodne światła, ocieniające jego zrozpaczoną twarz; a on opowiadał historię swego tragicznego dzieciństwa, aby wyjaśnić, dlaczego pieprzy na ekranie chłopców i dziewczyny. Implikował, że gdyby miał przyzwoite dzieciństwo, nigdy nikogo by nie przerznął. Dlatego końcowy montaż nie mógł być legalnie robiony w studiu. Oczywiście, zrobiliby to, gdyby było konieczne. Malomar nie martwił się zbyt. Dzięki nazwisku Kellina wytwórni zwrócą się dwa miliony. To pewne. Wszystko powyżej tej sumy będzie czystym zyskiem. W najgorszym wypadku mógł zakopać film w dystrybucji; nikt by go nie zo-

baczył. A on i tak osiągnąłby swój główny cel: żeby Kellino zagrał w adaptacji bestsellera Merlyna, co do której Malomar czuł w kościach, że przyniesie wytwórni fortunę.

Houlinan powiedział:

– Musimy zrobić specjalną kampanię. Wydamy mnóstwo pieniędzy. Reklama będzie na miarę filmu.

– Jezu Chryste – wymamrotał Malomar. Zwykle był grzeczniejszy, ale zmęczył się Kellinem, zmęczył się Houlinanem i zmęczył się knotami. Oczywiście niczego to nie przesądzało. Był także zmęczony pięknymi kobietami i uroczymi mężczyznami. Był zmęczony pogodą Kalifornii. Aby rozproszyć te myśli, obserwował Houlinana. Z nim i Kellinem miał ciężkie życie.

Houlinan był wspaniale ubrany. Miał jedwabny garnitur, jedwabny krawat, włoskie buty i piageta na rękę. Czarne ze złotymi okuciami oprawki okularów były robione na specjalne zamówienie. Miał zniewalająco słodką irlandzką twarz podobną do twarzy modlących się krasnoludków, które wypełniały ekrany telewizorów w Kalifornii w niedzielne poranki. Aż trudno uwierzyć, że był to zatwardziały skurwysyn i w dodatku szczyił się tym.

Rok temu Kellino i Malomar pokłócili się w restauracji, kłótnia przekształciła się w wulgarną pyskówkę, zakończoną artykułami w prasie. Ale Houlinan tak poprowadził kampanię, że uczynił z Kellina bohatera, a z Malomara podłego łajdaka. Szefa miernej wytwórni filmowej zamierzającego się na heroiczną gwiazdę. W tym Houlinan był geniuszem, nieco jednak krótkowzrocznym. Od tamtej pory Malomar kazał mu sobie za to płacić.

W ciągu ostatnich pięciu lat nie było miesiąca, w którym gazety nie opisywałyby, jak to Kellino pomaga komuś nieszczęśliwшему od siebie. Jakieś biedne dziewczę chore na leukemię potrzebowało transfuzji krwi od dawcy mieszkającego na Syberii? Piąta strona gazet mówiła, jak to Kellino wysłał swój prywatny odrzutowiec na Syberię. Jakiś czarny poszedł do więzienia na Południu za protestowanie? Kellino wysłał kaucję. Kiedy włoski policjant, ojciec siedmiorga dzieci, został poszatowany w zasadzce Czarnych Panter w Harlemie, czyż Kellino nie wysłał wdowie czeku na dziesięć tysięcy dolarów i nie ustanowił stypendium dla wszystkich siedmiorga dzieci? Kiedy jeden z członków Czarnych Panter został oskarżony o zamordowanie jakiegoś gliniarza, Kellino posłał dziesięć tysięcy dolarów na jego obronę. Kiedy tylko zachorował jakiś aktor starej daty, gazety notowały, że Kellino brał koszty leczenia na siebie i zapewniał mu epizodyczną rolę w swoim następnym filmie,

aby weteran sceny miał z czego żyć. Jeden ze starszych aktorów z milionem oszczędzonych dolców i nienawiścią do swego zawodu, udzielił wywiadu, w którym obrażał hojność Kellina, pluł na niego i nawet wielki Houlinan nie mógł tego zatuszować.

Houlinan miał jeszcze inne ukryte talenty. Był alfonsiem, którego niezawodny nos do wyszukiwania świeżych gwiazdeczek czynił go sławnym w celuloidowej dziczy Hollywoodu. Houlinan często chwalił się swoją techniką. „Mów każdej aktorce, że była świetna. Mów jej to trzy razy jednego wieczoru, a ściągnie ci spodnie i wyrwie kutasa z korzeniami”. Był także strażą przednią Kellina: wielokrotnie sprawdzał talenty łóżkowe dziewczyny przed podaniem jej dalej. Te, które były zbyt neurotyczne nawet jak na tolerancyjne standardy środowiska, nigdy nie trafiały do Kellina. Ale, jak zwykle mawiał Houlinan, nawet odrzucone przez Kellina warte były obróbki. Malomar powiedział coś, co po raz pierwszy tego dnia sprawiło mu przyjemność:

– Zapomnij o dużym budżecie reklamowym. To nie jest film tego rodzaju.

Houlinan popatrzył na niego uważnie.

– A gdyby tak zrobić małą prywatną promocję u znaczniejszych krytyków? Niektórzy z nich są twoimi dłużnikami.

– Nie chciałbym tego zmarnować na ten film – odparł chłodno Malomar. Nie wspomniał, że ma zamiar wykorzystać swoje kontakty w przyszłym roku, gdy będzie kręcił duży film. Miał już wszystko rozplanowane, ale pan Houlinan nie będzie maczał w tym palców. Chciał, aby gwiazdą był sam film, a nie Kellino.

Houlinan spojrział na niego uważnie i rzekł:

– To znaczy, że sam będę musiał się tym zająć.

– Tylko pamiętaj – odparł znużony Malomar – że to film kręcony przez wytwórnię Malomar Films. Uzgadniaj wszystko ze mną. Jasne?

– Oczywiście – powiedział Houlinan z taką emfazą, jak gdyby niczego innego w życiu nie robił, tylko uzgadniał z Malomarem szczegóły.

– Jack, moja wytrzymałość też ma swoje granice. Pamiętaj o tym.

– Nigdy nie zapominam – odpowiedział z uśmiechem Houlinan. – Czy kiedykolwiek mi się to zdarzyło? Słuchaj, mam tutaj taką panienkę z Belgii. Ulokowałem ją w hotelu Beverly Hills. Możemy się naradzić jutro przy śniadaniu?

– Kiedy indziej – odparł Malomar. Był zmęczony panienkami, które przylatują z całego świata tylko po to, by zostać wydmuchane. Był zmęczony

tymi pięknie rzeźbionymi twarzyczkami, smukłymi, wiotkimi, eleganckimi ciałami w eleganckich ubraniach, pięknosciami, z którymi musiał ustawicznie się fotografować na premierach i w restauracjach.

Był znany nie tylko jako najbardziej utalentowany reżyser w Hollywood, ale także jako mężczyzna, który posiadał najpiękniejsze kobiety. Tylko najbliżsi znajomi wiedzieli, że wolał kochać się z pulchnymi Meksykankami pracującymi u niego w domu. Kiedy żartowali z jego upodobań, zwykle mówił im, że woli odpoczywać u boku prawdziwej kobiety, bo piękności z okładek mają tylko skórę i kości, Meksykańska pokojówka to miód z mlekiem. Nie zawsze była to prawda; po prostu Malomar, świadomy swej elegancji chciał okazać wobec niej dystans.

Teraz pragnął tylko jednego: zrobić dobry film. Najszczęśliwszą porą dnia były godziny po kolacji, gdy mógł zamknąć się w montażowni i pracować do białego świtu nad nowym filmem.

Kiedy Malomar wypchnął Houlinana za drzwi, sekretarka powiedziała, że czeka na niego pisarz ze swoim agentem, Doranem Ruddem. Malomar polecił ich wprowadzić. Przedstawił ich Houlinanowi, który nowo przybyłym posłał szybkie spojrzenie. Znał Rudda. Szczery, czarujący facet – po prostu fajdak. Typowy. Pisarz także był typowy. Naiwny literat przyjeżdżający do Hollywood pracować nad scenariuszem, oczarowany fabryką snów, daje się robić w konia producentom, reżyserowi i całej wytwórni, następnie traci głowę dla jakiejś gwiazdeczki, rujnuje sobie życie, rozwodząc się z żoną, z którą jest już dwadzieścia lat, dla panienki, którą na przekąskę przerznął każdy reżyser w mieście. Taki, co pieni się, widząc, jak jego toaletowa powiastka zmienia się na ekranie. Ten nie był wyjątkiem. Był cichy, nieśmiały i ubrany jak obdartus. Nie taki modny obdartus, jacy się ostatnio zdarzali nawet wśród producentów, jak Malomar i gwiazdy, które szyły sobie specjalnie sprane dzinsy z łątami u najdroższych krawców – ale prawdziwy obdartus. I brzydki jak ten pieprzony Francuzik, który zdobywa teraz taką popularność w Europie. Cóż, on, Houlinan, pozwoli sobie na wstępne darcie łacha.

Houlinan powitał pisarza Johna Merlyna bardzo serdecznie i powiedział, że jego książka jest najlepszą rzeczą, jaką czytał w życiu. Nawet nie znał jej tytułu.

Przed drzwiami zatrzymał się na chwilę, odwrócił się i powiedział do pisarza:

– Słuchaj, Kellino chciałby sobie zrobić z tobą zdjęcie dzisiaj po południu.

Później mamy konferencję z Malomarem. Będzie to doskonała reklama dla filmu. Pasuje ci o trzeciej? Myślę, że skończycie do tego czasu.

Merlyn zgodził się. Malomar wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wiedział, że Kellina nawet nie ma w mieście, opalał się w Palm Springs i nie będzie go przynajmniej do szóstej. Houlinan chciał, aby Marlyn poszukał go trochę i dowiedział się, kto pociąga za sznurki w Hollywood. Cóż, mógł się okazać pojętnym uczniem.

Malomar, Doran Rudd i Merlyn długo uzgadniali szczegóły scenariusza. Malomar doszedł do wniosku, że Marlyn jest sensownym i chętnym do współpracy facetem, a nie standardową pierdołą. Wcisnął agentowi zwyczajową ciemnotę o milionie budżetu, pomimo że wszyscy wiedzieli, iż wydadzą co najmniej pięć. Kiedy wychodzili, Malomar zdziwił się po raz pierwszy. Powiedział Merlynowi, że ten mógłby poczekać na Kellina w bibliotece. Merlyn spojrział na zegarek i odparł łagodnie:

– Jest dziesięć po trzeciej. Nigdy nie czekam na nikogo dłużej niż dziesięć minut, nawet na moje dzieci. – Po czym wyszedł.

Malomar uśmiechnął się do agenta.

– Ci pisarze – zauważył. Tym samym tonem mówił: „Ci aktorzy”. I „ci reżyserzy”, „ci producenci”. Nigdy nie mówił w ten sposób o aktorkach, ponieważ nie potrafił poniżyć istoty ludzkiej potrafiącej pogodzić konieczność walki z cyklami menstruacyjnymi z pragnieniem bycia aktorką. Z tego powodu dostawały pierdolca od razu na wstępie.

Doran Rudd wzruszył ramionami.

– On nawet na lekarzy nie czeka. Musieliśmy kiedyś iść razem do lekarza. Byliśmy umówieni na dziesiątą. Zna pan poczekalnie u lekarzy. Trzeba poczekać minutę. Powiedział do rejestratorki: „Jestem punktualnie, dlaczego doktor się spóźnia”. Po czym wyszedł.

– Jezu... – jęknął Malomar.

Bolało go coś w klatce piersiowej. Poszedł do łazienki, łyknął pigułkę, ułożył się na kanapie i zapadł w drzemkę zaleconą przez lekarza. Jedną z jego sekretarek obudzi go, kiedy przyjdzie Houlinan lub Kellino.

*Kamienna kobieta to reżyserski debiut Kellina. Jako aktor jest zawsze doskonały; jako reżyser – niekompetentny; jako filozof – żałosny i pretensjonalny. Nie znaczy to, że Kamienna kobieta jest złym filmem. Nie jest knotem, ale*

zaledwie płytkim obrazkiem.

Kellino dominuje na ekranie; kreowane przez niego postacie zawsze do nas przemawiają, ale w tym filmie grana przez Kellina postać nic nas nie obchodzi. Jak może nas obchodzić ktoś, kto odrzuca życie dla granej przez Selinę Denton bezmózgiej panienci, która przyciąga mężczyzn zapatrzonych w okrągłutkie piersi i pupę – stereotypowy obraz z męskich szowinistycznych fantazji erotycznych? Aktorstwo Seliny Denton, czyli jej klasycznie toporny styl grania, twarz wykrzywiona w grymasach ekstazy – jest po prostu żenująca. Kiedy dotrze do reżyserów z Hollywood, że publiczność chciałaby zobaczyć na ekranie prawdziwą kobietę? Aktorka taka jak Billie Stroud, ze swoją ujmującą powierzchownością, inteligentnym i dynamicznym aktorstwem i urodą (jest naprawdę piękna, jeśli nie będziemy jej sądzić według stereotypów z reklam mydła, stereotypów, które od czasu wynalezienia telewizji wynoszą na piedestał mężczyźni Ameryki) z pewnością uratowałyby ten film. Zdziwiające, że Kellino, aktor inteligentny i twórczy, nie zdawał sobie z tego sprawy, gdy obsadzał role. Najwyraźniej miał zbyt wiele na głowie jako gwiazda, reżyser i współproducent, żeby zrobić przynajmniej ten krok.

Scenariusz Hascoma Wattsa jest jednym z tych pseudoliterackich wynurzeń, które znajdujemy w gazetach, lecz absolutnie nie nadaje się na film. Oczekuje się od nas, że wczujemy się w tragedię człowieka, któremu tak naprawdę nie dzieje się krzywda, który w końcu popełnia samobójstwo, ponieważ jego powrót do aktorstwa okazuje się fiaskiem i ponieważ samolubna idiotka używa swych wdzięków (wszystko na naszych oczach), aby go zdradzić w najbanalniejszy sposób, spotykany tylko w powieściach.

Partner Kellina stara się zbawić świat. Jest dobrego serca, ale w sposób trochę faszystowski. Łagodny liberał zmienia się w faszystowskiego dyktatora na podobieństwo Mussoliniego. Również z gruntu faszystowski jest sposób traktowania kobiet w tym filmie; jedyne ich zajęcie to manipulowanie mężczyznami za pomocą swego ciała. Kobiety aktywne w polityce reżyser ukazuje jako niszczycielki walczących o lepsze jutro mężczyzn. Czy Hollywood może uwierzyć, że pomiędzy mężczyzną i kobietą istnieją stosunki, w których płęć nie gra roli? Czy chociaż raz nie można pokazać, że kobiety takie posiadają „męskie” cnoty: wiarę w człowieczeństwo i pragnienie rozpaczliwej walki o przyszłość? Czy filmowcy mają na tyle wyobraźni, żeby przewidzieć, iż istnieją kobiety, którym być może, powtarzam: być może spodobałby się film przedstawiający je jako istoty ludzkie, a nie zbuntowane lalki przecinające

*sznureczki wiążące je z mężczyznami?*

*Kellino nie jest utalentowanym reżyserem; jest raczej amatorem. Umieszcza kamerę we właściwym miejscu, problem polega jednak na tym, że nie wie, co ma dalej z nią zrobić. Przed kompletną klapą, jaką zapowiadał popieprzony scenariusz, film ratuje wyłącznie jego aktorstwo. Reżyseria Kellina nie była najlepsza, ale też nie stała się gwoździem do trumny. Reszta obsady jest, krótko mówiąc, paskudna. Ocenianie aktora po wyglądzie nie jest może najuczciwszym podejściem do sprawy, ale fizjonomia George'a Fowelsa jest zbyt oślizła nawet jak na taką rolę. Selina Denton – zbyt pusta nawet jak na rolę kompletnie głupiej dziewczyny. Czasami warto obsadzać osoby w rolach do nich niepasujących i być może to powinien zrobić Kellino. A może nie było o co kopii kruszyć? Faszystowska filozofia scenariusza, szowinistyczna koncepcja „słodkiej idiotki” skazała ten film na niepowodzenie, jeszcze przed włożeniem rolki z filmem do kamery.*

– Pierdolona pizda. – Houlinan nie powiedział tego w złości, lecz z całkowitą bezradnością. – Czego ona, do kurwy nędzy, chce od tego filmu? I dlaczego, na rany Chrystusa, upiera się, że Billie Stroud jest niezłą laską? Przez czterdzieści lat pracy w filmie nie widziałem brzydszej gwiazdy. Nie pojmuję tego.

– Wszyscy ci popieprzeni krytycy zawsze podzielają jej zdanie – powiedział po namyśle Kellino. – Możemy spisać ten film na straty.

Malomar przysłuchiwał się tej rozmowie. Jaka ładna była z nich para takich pierdół. Cóż, do diabła, znaczyła wypowiedź Clary Ford? Film z Kellinem zarobi na sobie i jeszcze przyniesie zyski. Tylko tyle od niego oczekiwał. I teraz miał Kellina w adaptacji książki Johna Merlyna. A Clara Ford, chociaż taka bystra, nie dowie się, że będzie tam reżyser wspomagający.

Clara Ford była krytykiem szczególnie znienawidzonym przez Malomara. Mówiła tak autorytatywnie, pisała z taką werwą, miała tyle znajomości, ale nie miała pojęcia, jak się kręci film. Narzekała na obsadę. Czy nie wiedziała, że obsada głównej kobiecej roli zależała od tego, kogo aktualnie dmuchał Kellino, a epizodów od tego, kogo dmuchał reżyser? Czy nie zdawała sobie sprawy, że był to zazdrośnie strzeżony przywilej filmowców? O każdą rolę starało się przynajmniej tysiąc pańienek i można było przynajmniej połowę z nich wypieprzyć za darmo; wystarczyło zaprosić na jedno przesłuchanie



i przyrzec, że zawiadomi się je o następnym. Wszyscy ci pieprzeni reżyserzy kompletowali haremy o wiele większe od tych utrzymywanych przez najbogatszych ludzi w kraju i złożone z pięknych, inteligentnych kobiet. Nie trzeba było się starać. Nawet to sprawiało za duże kłopoty. Malomara bawiło, że Clara Ford jako jedyna osoba potrafiła dobić nieczułego Houlinana.

Kellino był zły z innego powodu.

– Co ona, do diabła, z tym faszyzmem? Przez całe życie byłem antyfaszystą – wściekał się.

– To tylko takie pieprzenie w bambus – odparł znużonym głosem Malomar. – Ona używa słowa „faszysta”, tak jak my „kurwa”. Czyli nie ma niczego złego na myśli.

Kellino był wściekły jak jasna cholera.

– Gównu mnie obchodzi moje aktorstwo, ale nikt bezkarnie nie będzie mnie nazywał faszystą.

Houlinan chodził tam i z powrotem po pokoju. Już sięgał do pudełka Malomara z cygarami „Monte Cristo”, ale się powstrzymał.

– Ta baba nas wykończy – powiedział. – Zawsze nas wykańcza. A i twój zakaz, Malomar, wpuszczania jej na prapremiery niewiele pomoże.

Malomar wzruszył ramionami.

– Nie ma pomóc, robię to dla własnej satysfakcji.

Obydwaj popatrzyli na niego z ciekawością. Wiedzieli, co to oznacza, a jednak nie pasowało do niego. Malomar wyczytał to dzisiaj w scenariuszu.

– Nic na to teraz nie poradzimy. Ale co zrobimy z Clarą Ford przy następnym filmie? – spytał Houlinan.

– Ty jesteś rzecznikiem prasowym Kellina, rób, co chcesz. Clara to twoja milusia.

Malomar miał nadzieję, że zakończy to zebranie wcześniej. Gdyby chodziło tylko o Houlinana, już byłoby po wszystkim. Ale Kellino był gwiazdą wielkiego formatu i należało całować jego dupę z cierpliwością, okazując najwyższe uwielbienie.

Malomar zaplanował sobie spędzenie popołudnia i wieczoru w montażowni, jego największej miłości. Był jednym z najlepszych producentów i wiedział o tym. A poza tym uwielbiał ciąć taśmę w ten sposób, aby leciały do kosza główki wszystkich gwiazdek. Łatwo je rozpoznawał. Przeważnie były to zbliżenia pięknej dziewczyny obserwującej akcję. Reżyser ją pewnie wymłócił i tak jej się odpłacał. Malomar od razu ucinął jej głowę, chyba że raz

na milion podobało mu się jakieś ujęcie. Ileż to panienek starało się chociaż przez ułamek sekundy pokazać na ekranie, wierząc, że ten ułamek sekundy zapewni im bogactwo i sławę! Czy myślały, że ich talent spadnie na wszystkich jak grom z jasnego nieba? Malomar zmęczony był pięknosciami, szczególnie jeśli odznaczały się jeszcze inteligencją. Nie znaczyło to wcale, że od czasu do czasu nie dawał się uwieść. Zawarł trzy nieudane małżeństwa, wszystkie z aktorkami. Teraz szukał dziewczyny, która nie próbowałaby go na nic naciągnąć. Na widok piękności czuł się tak, jak adwokat, gdy w kancelarii dzwoni telefon. Mogło to oznaczać tylko kłopoty.

– Niech przyjdzie tu jakaś twoja sekretarka – powiedział Kellino.

Malomar nacisnął przycisk na biurku i w tym momencie, jak na zawołanie, pojawiła się dziewczyna. I całe szczęście. Malomar miał cztery sekretarki: dwie pilnowały zewnętrznych drzwi i dwie wejścia do jego sanktuarium. Siedziały po dwie naprzeciw siebie, jak harpie. Niechby się waliło czy paliło, gdy nacisnął guzik, zawsze któraś się pojawiała. Trzy lata temu zdarzyło się coś niespotykanego. Nacisnął guzik i nic. Jedna z nich miała załamanie nerwowe w biurze obok i jakiś pośledni producent opatrywał jej głowę. Druga poszła do księgowości, aby zebrać dane o finansach jakiegoś filmu. Trzecia tego dnia była chora. Czwarta walczyła z przemożną chęcią zrobienia siusiu, zaryzykowała i przegrała. Żadna się nie pojawiła. Wylał wszystkie cztery.

Kellino dyktował list do Clary Ford. Malomar podziwiał jego styl. Wiedział, do czego tamten zmierza. Nie zadał sobie trudu, aby powiedzieć mu, że to nie ma sensu.

– *Droga Panno Ford* – dyktował Kellino. – *Tylko szczery zachwyt dla Pani pracy skłonił mnie do napisania tego listu i wskazania kilku punktów w Pani recenzji, z którymi się nie zgadzam. Proszę nie myśleć, że się skarżę. Szanuję Pani fachowość i podziwiam inteligencję na tyle, aby nie turbować Pani bezzasadną skargą. Chciałbym zaznaczyć tylko, że porażka mojego filmu, o ile można to nazwać porażką, wynikała wyłącznie z mojego braku doświadczenia reżyserskiego. Wciąż uważam, że scenariusz został wspornie napisany. Uważam, że moi współpracownicy wykazali duży profesjonalizm, a jedynie zostali zdominowani przeze mnie – amatora. To wszystko, co mam szanownej Pani do zakomunikowania i proszę pozwolić, że jako wielbiciel Pani talentu wyrażę tylko nadzieję, iż spotkamy się kiedyś na lunchu i porozmawiamy o sztuce. Wiem, że muszę się jeszcze sporo nauczyć jako reżyser, zanim zdecyduję się na reżyserowanie kolejnego filmu (a mogę Panią zapewnić, że nie-*

*prędko będzie miało to miejsce), a jakąż inną osobą może być lepszą nauczycielką niż Pani? Szczerze oddany Kellino.*

– Nic z tego nie będzie – powiedział Malomar.

– Może tak, może nie – odrzekł Houlinan.

– Będziesz musiał ją wypierdolić – dodał Malomar. – Ale ona jest za sprytna, aby się nabrać na takie bzdety.

– Ja naprawdę ją podziwiam. Naprawdę chciałbym się czegoś od niej nauczyć – sprostował Kellino.

– Nieważne! – Houlinan prawie krzyczał. – Przerznij ją, Jezu. To jest jedyny sposób. Wypierdol ją.

Nagle Malomar poczuł, że ma ich obu dosyć.

– Tylko nie w moim biurze – powiedział. – Zjeżdżajcie stąd i dajcie trochę popracować.

Wyszli. Malomar nie odprowadził ich do drzwi.

Następnego ranka Houlinan robił w swoim biurze to, co lubił najbardziej. Przygotowywał reklamę filmu, w której jego klient zawsze wychodził jak Bóg. Oczywiście skonsultował się wcześniej z Kellinem. Napisał:

TRI-CULTURE STUDIOS I WYTWÓRNIA  
MALOMAR FILMS

przedstawiają

FILM PRODUKCJI MALOMAR-KELLINO

w rolach głównych

UGO KELLINO

FAY MEADOWS

Film Ugo Kellina

JOYRIDE

Reżyseria: Bernard Malomar

„W pozostałych rolach...” i tu napisał kilka nazwisk mniejszą czcionką, dla zaakcentowania ich drugorzędności. Następnie: „Kierownik Produkcji: Ugo Kellino i Hagan Cord”. Następnie: „Producenci: Malomar i Kellino”. I dalej o wiele mniejszą czcionką: „Scenariusz: John Merlyn, na podstawie własnej powieści”. Usiadł wygodnie na krześle i podziwiał efekty swojej pracy. Zadzwoił po sekretarkę i kazał jej to przepisać, jednocześnie prosząc o przyniesienie nekrologowej kartoteki Kellina.

Uwielbiał na nią patrzeć. Była pokaźnych rozmiarów. Spędzili cały mie-

siąc w Palm Springs, opracowując z Kellinem noty pośmiertne. Wprawdzie Kellino nie spodziewał się jeszcze śmierci, ale chciał być pewien, że kiedy to nastąpi, wszyscy będą wiedzieli, że umarł wielki człowiek. Kartoteka zawierała też grubą teczkę z adresami wszystkich znajomych z show-biznesu, których należy poprosić o kilka słów o zmarłym. Był też projekt dwugodzinnego programu telewizyjnego.

Do udziału w nim zaproszą zaprzyjaźnionych aktorów. Poza tym przewidywali wyjątki z najlepszych ról Kellina i reportaż z dwukrotnego wręczenia mu nagrody dla najlepszego aktora. Poza tym napisali zabawny scenariusz, w którym koledzy po fachu w żartobliwy sposób mówią o jego aspiracjach reżyserskich.

Była lista wszystkich, którym Kellino pomógł. Niektórzy z nich mieli opowiedzieć jak to Kellino ocalił ich w dramatycznej sytuacji, żądając, by nikomu o tym nie mówili.

Była też lista jego eksmałżonek, które można poprosić o wypowiedź, i tych, których nie należy o to prosić. W stosunku do jednej z nich mieli szczególne plany: postanowili w chwili śmierci Kellina wysłać ją na safari w Afryce, tak aby nikt z prasy nie był w stanie się z nią skontaktować. Od byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych zdołali już zdobyć wypowiedź.

Dokumenty zawierały również specjalny list do Clary Ford, proszący, aby i ona coś przysłała. Nigdy nie pokazał Kellinowi jej odpowiedzi. Przeczytał ją jeszcze raz: „Kellino był wielkim aktorem, który zagrał świetne role w kilku filmach. Szkoda, że odszedł przedwcześnie, nie zdoławszy osiągnąć szczytów, na które mógłby się wspiąć, gdyby grał odpowiednie dla siebie role u dobrego reżysera”.

Za każdym razem gdy to czytał, musiał nalewać sobie głębszego. Nie wiedział, kogo bardziej nienawidzi, Clary Ford czy Johna Merlyna. Houlinan nienawidził zarozumiałych pisarzy, a Merlyn był jednym z nich. Kim, kurwa, był ten skurwysyn, aby nie mógł poczekać trochę na sfotografowanie się z Kellinem? Ale o ile mógł narobić smrodu Merlynowi, to Clara Ford była poza jego zasięgiem. Próbował wywalić ją z pracy, organizując kampanię niezadowolonych czytelników, naciskając przez Tri-Culture Studio, ale ona była po prostu dla niego za mocna. Pragnął, aby Kellino miał więcej szczęścia; wkrótce się dowie. Kellino miał z nią randkę. Zabrał ją na kolację i Houlinan żywił nadzieję, że Kellino zadzwoni do niego i zrelacjonuje mu przebieg spotkania.

## Rozdział 28

Podczas pierwszych tygodni pobytu w Hollywood przypisałem temu miastu nazwę Kraju Muchówki. Uważałem to za zabawną, nawet trochę odbrązowiającą nazwę.

Muchówka to owad. Samica jest bardzo drapieżna, a akt płciowy tak ją rozochoca, że samiec w końcowym spazmie traci głowę. Ale w cudownym procesie ewolucyjnym samiec muchówki nauczył się podstawiać substytut: kawałek pożywienia owinięty w produkowaną przez niego sieć. Kiedy mordercza samiczka rozplątuje sieć, on dosiada jej, kopuluje i bierze nogi za pas. Lepiej rozwinięty z punktu widzenia ewolucji samiec muchówki wykonczył sobie, że musi tylko owinąć sieć na kamyku, dodając niewielką ilość żarła. W wielkim skoku ewolucyjnym samiec muchówki zmienił się w producenta filmowego z Hollywood. Kiedy powiedziałem to Malomarowi, ten skrzywił się, spojrział na mnie i wybuchnął śmiechem.

– No dobra – powiedział – a ty zaryzykowałbyś swój łeb za chwilę dymania?

Początkowo każdego poznanego tutaj człowieka uważałem za zdolnego do odgryzienia komuś ucha, stopy czy łokcia, byleby tylko pozwoliło mu to osiągnąć sukces. I nadal, w miarę poznawania wszystkich realiów, zdumiewała mnie pasja filmowców. Naprawdę uwielbiali swoją robotę. Asystentki, sekretarki, księgowi, kamerzyści, techniczni, aktorzy i aktorki, reżyserzy, a nawet producenci. Wszyscy mówili: „film, który robię”. Wszyscy uważali się za artystów. Zauważyłem, że jedynymi ludźmi stojącymi z boku byli scenarzyści. Może dlatego, że każdy wprowadzał zmiany do ich scenariusza. Każdy wtrącał swoje trzy grosze. Nawet asystentki zmieniały zdanie lub dwa; albo żona jednego z aktorów ingerowała w jego kwestie, a ten przychodził na drugi dzień, mówiąc, że wydaje mu się, iż powinno to zostać zagrane w ten

właśnie sposób. Oczywiście przepisane partie miały wyeksponować jego talent, a nie służyć filmowi. Było to niesłychanie irytujące dla pisarza. Każdy chciał postawić na swoim.

Uważałem, że kręcenie filmów jest sztuką dyletantów, ale nie szkodziło to filmowi, ponieważ samo medium jest niezwykle silne. Za pomocą kombinacji ujęć, kostiumów, muzyki i prostej fabułki ludzie absolutnie pozbawieni talentu mogli naprawdę kreować sztukę. Może to zbyt wielkie słowa. Mogli stworzyć coś, co dawało im poczucie ważności, wartości.

Oglądanie filmów daje wielką przyjemność i doznania emocjonalne. Lecz niewiele się z nich można nauczyć. Nie mogą zgłębić postaci tak jak powieść. Nie nauczą tego co książka. Sprawiają, że dostrzegasz pewne aspekty życia, ale ich nie rozumiesz. Magia filmu wszystkiemu może przypisać jakąś wartość. Dla niektórych ludzi staje się narkotykiem, nieszkodliwą kokainą. Dla innych – cenną terapią. Któż nie chciałby zapisać swej przeszłości lub przyszłości, przedstawiając się w najkorzystniejszym dla siebie świetle?

Tak przynajmniej widziałem wtedy pobudki, z których kręcono filmy. Później, zarażony troszkę tą chorobą, zacząłem uważać, że może był to zbyt okrutny i snobistyczny sąd.

Zastanawiałem się, cóż w tym jest takiego, że każdy w to wpada. Malomiar ubóstwiał kręcić filmy. Wszyscy ludzie z branży chcieli decydować o najdrobniejszych szczegółach. Reżyserzy, gwiazdy, operatorzy, wszyscy.

Zdawałem sobie sprawę, że w dzisiejszych czasach film jest najbardziej witalną ze sztuk, i to wywoływało moją zawiść. Na wyższych uczelniach studenci, zamiast pisać powieści, kręcili własne filmy. I wtedy zrozumiałem, że być może film nie jest nawet sztuką. To forma terapii. Każdy chciał opowiedzieć historię swego życia, przekazać własne uczucia, przemyślenia. A ile książek wydano z tych pobudek? Ale magia słowa pisanego, malarstwa i muzyki nie była tak silna. Filmy łączą w sobie wszystko – powinny być nie do przebiccia.

Z takim arsenałem środków trudno zrobić zły film. Można być największym głupkiem, a i tak zrobić dobry film. Nic dziwnego, że w przemyśle filmowym kwitł nepotyzm. Można było dosłownie zlecić bratankowi napisanie scenariusza, z dziewczyny uczynić gwiazdę i synowi powierzyć kierowanie studiem. Kino potrafiło z każdego uczynić artystę. Nie matura, lecz chęć szczerą...

A jak to się działo, że aktorzy nie mordowali reżyserów? Przez tyle lat zna-

lazłoby się z tysiąc powodów finansowych i artystycznych. Dlaczego reżyser nigdy nie zamordował szefa produkcji? Dlaczego pisarz nigdy nie zamordował reżysera? Najwyraźniej kino oczyszczało ludzi z wewnętrznych napięć – miało działanie terapeutyczne.

Czy możliwe, aby pewnego dnia najlepszym lekiem dla umysłowo nierównoważonych stała się produkcja własnego filmu? Chryste, wystarczy pomyśleć, ilu ludzi w tym przemyśle jest niespełna rozumu lub bliskich obłądu. Aktorki i aktorzy należeli do nich z całą pewnością.

Niech więc tak będzie. W przyszłości wszyscy będą siedzieć w domu, oglądać filmy nakręcone przez swoich znajomych. Będą ratować w ten sposób czyjeś życie. Pomyślcie o tym. I w końcu – każdy dupek będzie miał szansę zostania artystą. Najwyraźniej skoro filmowcy mogli kręcić dobre filmy, to każdy mógł. Bankierzy, krawcowe, prawnicy, którzy nawet nie mieli tej odrobiny szaleństwa niezbędnej przy kręceniu filmów. Co więc się stanie, jeśli każdy głupek będzie mógł nakręcić film? Jedynym problemem będzie obniżenie kosztów. Niepotrzebni okażą się psychiatrzy i talent. Każdy stanie się artystą.

Wszyscy ci niemili ludzie nigdy nie potrafią zrozumieć, że na uwielbienie należy zapracować, a i tak pomimo ich narcyzmu, infantylizmu, samouwielbienia są w stanie przedstawić się na ekranie w całkiem przyjemny sposób. Można ich pokochać tylko jako cienie. W prawdziwym życiu nie zapracowali na to. Można oczywiście powiedzieć, że wszyscy artyści tak robią; na co dzień wielki pisarz potrafi być nie do wytrzymania. Na przykład ten kutas Osano. Ale tacy jak on przynajmniej mają dar, talent, który powoduje, że czytanie ich dzieł sprawia zadowolenie, uczy lub skłania do głębszych przemyśleń.

A w filmie wszystko jest możliwe bez talentu, bez daru. Można nakłonić bogatego kutasa, aby chciał opisać swoje przeżycia i bez wielkiego reżysera, gwiazd i tak dalej... tylko poprzez magię filmu kreować się na bohatera. Wielką przyszłością kina jest to, że mogą je tworzyć beztalencia, co wcale nie znaczy, że nadmiar talentu jest czymś nagannym.

Przy pracy nad scenariuszem spędzaliśmy mnóstwo czasu z Malomarem w jego posiadłości, w której nie czułem się dobrze. Zbyt duża dla jednej osoby. Olbrzymie pokoje z ciężkimi meblami, kort tenisowy, basen i oddzielny budynek, który mieścił pracownię filmową i salę projekcyjną. Pewnego wieczoru zaproponował mi pracę przy innym filmie, ale powiedziałem mu, że

nie przepadam za kinem. Myślę, że moje zarozumiałstwo wkurwiło go niewąsko.

– Wiesz, o wiele lepiej by nam się pracowało, gdybyś tak nie pogardzał przemysłem filmowym – powiedział.

Dotknęło mnie to trochę. Z jednej strony szczyliłem się tym, że moje maniery są na tyle dobre, aby nie okazywać takich uczuć. Z drugiej jednak profesjonalna duma podpowiadała mi, że się opierdalam przy tej pracy. Poza tym zacząłem szanować Malomara. Był producentem i reżyserem i mógłby najeżdżać na mnie podczas wspólnej pracy, ale tego nie robił. Gdy proponował zmianę w scenariuszu, zwykle miał rację. Kiedy się mylił i mogłem mu to udowodnić, przyznawał mi rację. Krótko mówiąc, nie pasował do ukutego przeze mnie obrazu Hollywood – Kraju Muchówki.

Dlatego zamiast oglądać filmy czy pracować nad scenariuszem, kłóciliśmy się. Powiedziałem mu, co myślę o całym tym interesie i ludziach w nim pracujących. Im więcej mówiłem, tym spokojniejszy był Malomar. Pod koniec uśmiechał się.

– Mówisz jak cipa, która już nie może rwać facetów – podsumował Malomar. – Kino jest nową formą sztuki i boisz się, że twoja sztuka stanie się niepotrzebna. Jesteś po prostu zazdrosny.

– Filmów nie można porównywać do literatury – powiedziałem. – Film nie potrafi tego co książka.

– To nieistotne. Film jest tym, czego chcą i będą chcieli ludzie. A te wszystkie twoje bzdury o producentach i muchówkach... Przyjeżdżasz na kilka miesięcy i od razu wszystkich oceniasz. Negujesz. A tymczasem każdy biznes jest taki – polega na metodzie kija i marchewki. Jasne, ci ludzie są popierdoleni, jasne, oszukują, jasne, seks jest dla nich paciorkiem, ale co z tego? Nie chcesz dostrzec, że wszyscy ci ludzie: producenci i pisarze, reżyserzy i aktorzy przechodzą przez pasmo tortur. Kształtują swój warsztat i kunszt przez lata i pracują ciężiej od każdego, kogo znam. Naprawdę są oddani swojej pracy i niezależnie od tego, co mówisz, zrobienie dobrego filmu wymaga wiele poświęcenia i talentu. Aktorzy i aktorki są jak cholerna piechota. Giną. I nie dostają dobrych ról za dupę. Muszą udowodnić swój artyzm, muszą znać rzemiosło. Jasne, że zdarzają się popieprzeńcy i maniacy, którzy przepuszczają pięć milionów dolarów na film, obsadzając w nim swojego chłopca lub dziewczynę. Ale to działanie na krótką metę. Przejeżdżasz się po producentach i reżyserach. Cóż, reżyserów nie muszę bronić. To naj-



cięższa praca w tym interesie. Ale producenci też nie są bezużyteczni. Są jak poskramiacze lwów w zoo. Wiesz, co najpierw trzeba zrobić, aby nakręcić film? Najpierw trzeba całować tyłki rady ekonomicznej studia. Następnie musisz być matką i ojcem dla jakichś popierdolonych gwiazd. Musisz starać się, aby ekipa była zadowolona, bo inaczej wykończą cię udawanymi chorobami i pracą po godzinach. Musisz też uważać, aby nie powybijali się nawzajem. Słuchaj, nienawidzę Moseesa Wartberga, ale uważam go za geniusza finansowego. To on napędza ten cały interes. Szanuję jego geniusz w takim stopniu, w jakim pogardzam jego artystycznym smakiem. Za każdym razem muszę z nim walczyć jako producent i jako reżyser. Myślę, że nawet ty się zgodzisz, że kilka moich filmów można nazwać sztuką.

Czepiasz się producentów. Cóż, to są faceci, którzy składają wszystko do kupy. I robią to, dopieszczając przez dwa lata tysiące sponsorów, finansistów, aktorów, reżyserów i pisarzy. I producenci muszą naładować im do łbów mnóstwo sieczki. Może dlatego zwykle mają taki mierny smak. A i tak większość z nich wierzy w sztukę bardziej niż w talent. Lub w to, co ją otacza. Nigdy nie zobaczysz takiego, który by nie przyszedł na wręczenie Oscara.

– To tylko ego – odparłem – a nie wiara w sztukę.

– Ty z tą twoją pierdoloną sztuką! Jasne, że tylko jeden na sto filmów jest coś wart. A z książkami jak jest?

– Książki mają inną funkcję – broniłem się. – Filmy pokazują tylko świat zewnętrzny.

Malomar wzruszył ramionami.

– Jesteś naprawdę saską pierdołą.

– Filmy to nie sztuka. To magiczne sztuczki dla dzieci – upierałem się, jednak moje przekonania zostały zachwiane.

– Może masz rację – westchnął Malomar. – W każdej formie to magia, a nie sztuka. To mydlenie oczu, aby ludzie zapomnieli o śmierci.

Nie była to prawda, ale nie chciałem się kłócić. Wiedziałem, że od zawału Malomar ma problemy, i nie chciałem mu wytykać, że ma to wpływ na jego zdanie. Według mnie to właśnie sztuka objaśnia każdemu z nas, jak żyć.

Cóż, wprawdzie nie przekonał mnie, ale od tamtej pory rozglądałem się z mniejszym uprzedzeniem. W jednym miał rację. Byłem zazdrosny o filmy. Praca była tak łatwa, nagrody tak wysokie, a sława tak upajająca. Znienawidziłem myśl o powrocie do pisania powieści samotnie w swoim pokoju.

W rzeczywistości cała moja pogarda była dziecinną zawiścią. Nigdy nie będę mógł stać się częścią świata filmu. Nie miałem odpowiedniej natury ani talentu. Zawsze będę nim pogardzał z powodów bardziej snobistycznych niż moralnych.

Przeczytałem wszystko o Hollywood, to znaczy o przemyśle filmowym. Słyszałem, jak pisarze, szczególnie Osano, wracali na Wschód, przeklinając wytwórnie, nazywając producentów najgorszymi mendami, szefów wytwórni pomyłką w ewolucji, przeginającymi pałę tępakami, przy których kryminalista o ksywie „Czarna Łapa” wydaje się siostrą miłosierdzia. Cóż, oni opuszczali Hollywood z takim nastawieniem, z jakim ja je witałem.

Byłem święcie przekonany, że sobie poradzę. Kiedy Doran zabrał mnie na pierwsze spotkanie w Malomarem i Houlinanem, rozgryzłem ich od razu. Houlinan to pestka, ale Malomar był bardziej skomplikowany, niż przypuszczałem. Doran to oczywiście karykatura. Ale prawdę mówiąc, lubiłem Dorana i Malomara. Houlinana znienawidziłem od pierwszego wejrzenia. Kiedy powiedział mi, żebym zrobił sobie zdjęcie z Kellinem, miałem na końcu języka: „spierdalaj”. A kiedy Kellino nie pokazał się na czas, byłem już pewien. Nienawidzę czekania na kogoś. Wyszedłem. Nie byłem wściekły na nich za spóźnienie, dlaczego oni mieliby mieć mi za złe, że na nich nie czekam?

To, co czyniło Hollywood fascynującym, to różne gatunki muchówek.

Młodzi faceci z pudełkami filmów pod pachą, skryptami i kokainą w mieszkaniach służbowych, mający nadzieję na kręcenie filmów, którzy wyszukiwali do przesłuchań utalentowane młode dziewczęta i facetów, pieprzyli się z nimi dla zabicia czasu. Następnie ci prawdziwi producenci w biurach wytwórni, zaopatrzeni w sekretarki i sto tysięcy dolarów na rozruch. Dzwonili do agentów, aby ci przysyłali im kandydatów. Ci producenci mieli na sumieniu przynajmniej jeden film. Zwykle był to niskonakładowy knot, z którego zyski nie pokrywały nawet kosztów taśm, a pokazywano go w samolotach i gospodach dla kierowców. Ci producenci płacili dziennikom kalifornijskim za wzmiankę, w której ich film zaliczano do najlepszej dziesiątki roku. Lub za artykuł mówiący, że frekwencja na tym filmie w Ugandzie była większa niż na *Przeminęło z wiatrem*; co znaczyło, że w Ugandzie nigdy nie pokazywano *Przeminęło z wiatrem*. Ci producenci zwykle mieli na swoich biurkach kilka fotografii wielkich gwiazd, zaopatrzonych w napisy: „Nie-

zrównanemu, ukochanemu”. Ich dzień składał się ze spotkań z pięknymi, wybijającymi się aktorkami, które śmiertelnie poważnie traktowały swoją pracę i nie miały pojęcia, że takie spotkania producenci organizowali dla zabicia czasu lub dlatego, że mieli chęć na ciągnięcie druta, co zapewniało im apetyt przed obiadem. Jeśli byli naprawdę napaleni na jakąś aktorkę, zabierali ją na obiad do wytwórni i przedstawiali przechodzącym właśnie szychom. Szychy traktowały to rutynowo pod warunkiem, że nie przekraczano ustalonych granic. Oni wyrosli już z tej dziecinady. Byli zbyt zajęci, chyba że dziewczyna była wyjątkowa. Wtedy mogła mieć fuksa.

Wszyscy znali tę grę; wiedzieli, że jest to pisane patykiem na wodzie, ale wiedzieli też, że mogą mieć szczęście. Dlatego próbowali swoich szans z producentami, reżyserami, gwiazdami, ale jeśli znali zasady i mieli trochę oleju w głowie, nigdy nie wiązali nadziei z pisarzem. Teraz zrozumiałem, jak musiał czuć się Osano.

Ale ja zawsze wiedziałem, że jest to część tej pułapki. Tak jak pieniądze, wygodne apartamenty, pochlebstwa, poczucie ważności podczas realizacji wielkiego filmu. Dlatego nigdy mnie to nie brało. Gdybym był trochę bardziej jurny, poleciałbym do Vegas i rozegrał to na chłodno. Cully wiele razy próbował podesłać mi do pokoju luksusową dziwkę. Zawsze odmawiałem. Nie dlatego, że bym był święty, oczywiście wiele razy mnie kusilo. Ale bardziej lubiłem grę i z tego powodu miałem już wystarczająco dużo poczucia winy.

Spędziłem w Hollywood dwa tygodnie, grając w tenisa, chodząc na obiady z Doranem i Malomarem, uczęszczając na przyjęcia. Były to interesujące przyjęcia. Na jednym z nich spotkałem przebrzmiałą sławę, która w młodości była moją nieodwzajemnioną miłością. Musiała mieć z pięćdziesiątkę, ale wyglądała całkiem nieźle po operacji plastycznej i tych wszystkich środkach konserwujących. Była już nieco tłusta, z twarzą nabrzmiętą od alkoholu. Upiła się i próbowała uwieść każdego faceta i każdą kobietę na przyjęciu, ale nie znalazła chętnych. A kiedyś była przedmiotem fantazji milionów rozognionych Amerykanów. Uznałem to za ciekawe zjawisko. Myślę, że tak naprawdę mnie to też przytłoczyło. Przyjęcia były na medal. Znane twarze aktorek i aktorów. Pewnych siebie agentów. Czarujących producentów. Żywiołowych reżyserów. Muszę przyznać, że byli o wiele bardziej czarujący i interesujący niż na co dzień.

Uwielbiałem łagodny klimat, wysadzone palmami ulice Beverly Hills i od-

wiedzenie kin na West Wood, gdzie spotykałem kolegów ze studiów, którzy teraz byli ważnymi postaciami kina; towarzyszyły im naprawdę piękne dziewczyny. Zrozumiałem, dlaczego pokolenie nowelistów z lat trzydziestych „zaprzedało się”. Po cóż przez pięć lat pisać powieść i dostać za nią dwa patyki, kiedy można było żyć tym życiem i zarabiać taką samą forszę w tydzień?

W ciągu dnia pracowałem w biurze, miałem nasiadówki z Malomarem, jadłem lunch w wytwórni, włóczyłem się po planie i obserwowałem zdjęcia. Na planie zawsze fascynowała mnie intensywność przeżyć aktorów. Pewnego razu naprawdę się przeraziłem. Oglądałem parę aktorów w scenie, w której chłopiec morduje swoją dziewczynę podczas aktu płciowego. Po skończeniu ujęcia ta dwójka padła sobie w ramiona, łkając, jakby tragedia była ich udziałem. Zeszli z planu objęci.

Lunch w wytwórni sprawiał mi dużą przyjemność. Spotykało się tam ludzi filmu i wydawało mi się, że każdy czytał moją książkę; przynajmniej tak mówili. Byłem zdumiony tym, że aktorzy naprawdę nie mówią wiele. Byli dobrymi słuchaczami. Producenci paplali jak nakręceni, reżyserzy byli zajęci i zwykle w towarzystwie trzech lub czterech asystentów. Najlepiej czuła się tutaj obsługa techniczna. Ale obserwowanie zdjęć nudziło mnie. Nie było mi tu źle, ale tęskniłem za Nowym Jorkiem. Tęskniłem za Valerie i dziećmi, i za obiadami z Osanem. Były takie wieczory, gdy najchętniej wskoczyłbym w samolot do Vegas, przespał się i wrócił następnego dnia.

Kiedyś, po kilku moich wyprawach do Nowego Jorku, Doran zaprosił mnie na przyjęcie do wynajmowanego przez siebie domu w Malibu. Mieli przyjść krytycy, producenci, ludzie z produkcji, aktorzy i reżyserzy. Nie miałem nic lepszego do roboty i nie chciałem lecieć do Vegas, dlatego poszedłem na przyjęcie Dorana, na którym po raz pierwszy spotkałem Janelle.

## Rozdział 29

Było to jedno z tych niedzielnych nieformalnych spotkań w domu w Malibu, który wyposażony był w kort tenisowy i basen z podgrzewaną wodą. Od oceanu dom oddzielał tylko wąski pas piasku. Nie obowiązywały stroje wieczorowe. Zauważyłem, że większość mężczyzn rzucała klucze od samochodów na stół w pierwszym pokoju, i kiedy zapytałem o to Eddiego Lancera, powiedział mi, że w Los Angeles męskie spodnie są tak doskonale uszyte, że nie można niczego wepchnąć do kieszeni. W miarę przesuwania się przez różne sale docierały do mnie fragmenty interesujących rozmów. Wysoka, szczupła, ciemnowłosa i agresywnie wyglądająca kobieta kleiła się do przystojnego faceta w czapce, o wyglądzie producenta. Niewielka, drobna blondynka ruszyła w ich kierunku i powiedziała do kobiety: „Połóż jeszcze raz łapę na moim mężu, a walnę cię prosto w cipę”. Mężczyzna w żeglarskiej czapce, jękając się, odpowiedział: „To... to... to... to nic. Nic jej z tego nie p... p... przyjdzie”.

Przechodząc przez sypialnię, zobaczyłem parę i usłyszałem, jak kobieta mówi piskliwym głosem: „No ruszże się”.

Gdzie indziej znów nowojorski pisarz, którego rozpoznałem po głosie, mówił: „Przemysł filmowy. Gdybyś był znanym dentystą, pozwoliliby ci robić operację mózgu”. Jeszcze jeden wkurwiony pisarz, pomyślałem.

Zawędrowałem na parking blisko Pacific Coast Highway i tam zobaczyłem Dorana, otoczonego grupą przyjaciół, podziwiających stutza bearcata. Ktoś powiedział Doranowi, że ten samochód kosztuje sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Doran odparł: „Za taką forszę powinien dawać łapę i myśleć”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Po chwili dodał: „Skąd masz tyle zimnej krwi, żeby tak po prostu parkować? To tak jak brać nocne zmiany, ożeniwszy się z Marilyn Monroe”.

Naprawdę poszedłem na przyjęcie, aby spotkać się z Clarą Ford, według mnie najlepszą amerykańską recenzentką filmową. Była inteligentna jak wszyscy diabli. Pisała wspaniałe artykuły, czytała mnóstwo książek, oglądała każdy film i zgadzałem się z jej recenzjami w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto. Kiedy chwaliła film, wiedziałem, że prawie na pewno będzie mi się podobał lub przynajmniej wysiedzę do końca. Jej recenzje były bliskie sztuce, dlatego podobało mi się, że nie uważała się za artystkę. Lubiła swoją pracę. Na przyjęciu nie miałem zbyt wielu szans, aby z nią porozmawiać, ale nie przeszkadzało mi to. Chciałem po prostu zobaczyć, jaką jest kobietą. Przyszła z nadskakującym jej Kellinem. A ponieważ większość z przybyłych kręciła się wokół Kellina, Clara Ford znalazła się w centrum uwagi. Ja usiadłem w rogu i obserwowałem.

Clara Ford była jedną z tych drobnych, łagodnych kobiet, które zwykle uważane są za nieładne, ale jej twarz wręcz jaśniała inteligencją, i w moich oczach była piękna. Fascynowało mnie w niej połączenie twardości z niewinnością. Była wystarczająco twarda, aby wszystkich nowojorskich krytyków przedstawić jak zarozumiałych dupków. Było to dla niej proste jak abecadło i robiła to z zacięciem prokuratorskim. Zrobiła idiotę z jednego faceta, którego zabawne, niedzielne recenzje filmowe były żalosne. Pisząc jako entuzjastka filmu awangardowego z Greenwich Village, wykazała, jakim jest idiotą. Miała na tyle sprytu, aby przedstawić go jednocześnie jako głupka i eksperta, najbardziej tępego faceta, który kiedykolwiek cokolwiek napisał, ale jednak posiadającego wyczucie filmowe. Kiedy skończyła, w swojej niemodnej torebce miała jaja wszystkich adwersarzy.

Widziałem, że dobrze się bawi na przyjęciu. Zdawała sobie sprawę z tego, że Kellino próbuje nabierać ją na „romanse”. Poprzez jazgot panujący w sali słyszałem, jak Kellino mówi: „Agent jest kretyńskim ekspertem *manque*<sup>1</sup>. To był jego stary numer wycinany krytykom, mężczyznom i kobietom. Odnosił wielki sukces, nazywając jednego krytyka na oczach drugiego *fagasem manque*.”

Teraz Kellino był tak kurewsko uprzejmy w stosunku do Clary Ford, że wyglądało to jak scena z filmu. Kellino prezentował swoje dołki w twarzy jak mięśnie, ale ona pomimo całej swojej inteligencji, wiedła w oczach.

Nagle ktoś się koło mnie odezwał:

– Czy myślisz, że Kellino pozwoli jej się wyruchać na pierwszej randce?

Powiedziała to bardzo atrakcyjna blondynka. Miała około trzydziestki. Tak

jak u Clary Ford, inteligencja dodawała jej urody.

Miała wystające kości policzkowe, tworzące urocze wypukłości, i nie można było zarzucić jej, że upiększyły ją kosmetyki. Miała niewinne brązowe oczy, w których mógł malować się równie dobrze dziecięcy zachwyt, jak i tragizm bohaterek. Jeśli zabrzmiało to jak opis ukochanej u Dumasa, to nic nie szkodzi. Może tak jej nie odbierałem, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. To przyszło później. Wtedy brązowe oczy wyglądały raczej na psotne. Świetnie się bawiła, stojąc na zewnątrz oka cyklonu. Co niespotykane u pięknych kobiet, roztaczała wokół siebie atmosferę radości i szczęścia, tak jak dzieci, o których dorośli chwilowo zapomnieli i które mogą robić, co tylko chcą. Przedstawiliśmy się sobie. Powiedziała, że nazywa się Janelle Lambert.

Teraz ją poznałem. Grała ogony w różnych filmach i zawsze była dobra; wkładała w to mnóstwo pracy. Podobała się na ekranie, ale nigdy nie można było o niej powiedzieć, że jest wspaniała. Widziałem, że podziwiała Clarę Ford i miała nadzieję, że zamieni z nią parę słów. Ponieważ nie udało jej się, Janelle w zabawny sposób starała się być złośliwa. W ustach innej kobiety ta uwaga byłaby po prostu niesmaczna, ale jej to pasowało.

Wiedziała, kim jestem, i powiedziała kilka konwencjonalnych zdań na temat mojej książki. A ja przybrałem swoją nieobecną pozę, tak jakbym prawie nie słyszał komplementu. Podobał mi się sposób, w jaki się ubierała – skromnie, bardzo szykownie, bez przesadnej elegancji.

– Podejdźmy do nich – zaproponowała.

Myślałem, że chce poznać Kellina, tymczasem ona starała się wciągnąć Clarę Ford do rozmowy. Mówiła mądre rzeczy, ale Ford oblała ją kubłem wody z powodu jej urody. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało.

Nagle Janelle odwróciła się i odeszła od grupy. Podążyłem za nią. Kiedy dopadłem ją przy drzwiach, spostrzegłem, że płacze.

Jej załzawione oczy wyglądały cudownie. Były złotobrązowe z ciemniejszymi kropkami (później dowiedziałem się, że to za sprawą szkieł kontaktowych), a łzy rozszerzyły je jeszcze i uczyniły bardziej złocistymi. Wydało się też, że miała na oczach lekki makijaż, który teraz się rozpląwał.

– Jesteś piękna, kiedy płaczesz – powiedziałem. Naśladowałem Kellina w jednej z jego czarujących ról.

– Och, pierdol się, Kellino – powiedziała.

Nienawidziłem kobiet, używających słów „pierdolić”, „pizda” i „chuj”, ale ona była jedyną kobietą, która słowo „pierdolić” wypowiadała lekko i z hu-

morem. „P” i „r” miały lekkie południowe brzmienie.

Może było to oczywiste, że nigdy nie wypowiedziała takich słów aż do teraz. Może dlatego szczyrzyła do mnie zęby, abym wiedział, że wie o moim podrabianiu Kellina. Tak, nie uśmiechała się czarująco, ale szczyrzyła zęby.

– Nie wiem, dlaczego tak się zachowuję – powiedziała. – Nigdy nie chodzę na przyjęcia. Przyszłam, ponieważ wiedziałam, że tu będzie. Bardzo ją podziwiam.

– To dobry krytyk – przyznałem.

– O, jest bardzo inteligentna. Raz napisała o mnie coś miłego. I wiesz, myślałam, że mnie polubi. A ona mnie spławiła. Bez powodu.

– Miała mnóstwo powodów. Jesteś piękna, a ona nie. Ma plany wobec Kellina i nie chciała, abyś je pokrzyżowała.

– To głupie. Ja nie lubię aktorów.

– Ale jesteś piękna i potrafisz prowadzić inteligentną konwersację. Dlatego musiała cię znienawidzić.

Po raz pierwszy spojrzała na mnie z prawdziwym zainteresowaniem. Ja byłem już dalej. Lubiłem ją, ponieważ była piękna. Lubiłem ją, ponieważ nie widywano jej na przyjęciach. Lubiłem ją, ponieważ nie przepadała za aktorami takimi jak Kellino, cholernie przystojnymi, czarującymi, ubranymi w nie-nagane eleganckie garnitury, z włosami przyciętymi przez Rodina. I dlatego, że była inteligentna. Potrafiła także rozplakać się w miejscu publicznym, jeśli jakiś krytyk jej dokuczył. Skoro jest łagodnego serca, może mnie nie zabije. Dzięki jej wrażliwości udało mi się zaprosić ją na obiad i do kina. Nie wiedziałem tego, co mógłby powiedzieć mi Osano, że wrażliwa, bezbronna kobieta wykończy cię w ciągu minuty.

Co dziwniejsze, nie była dla mnie obiektem seksualnym. Po prostu spodobała mi się jak jasna cholera. Pomimo że była piękna i miała wspaniały uśmiech, nie była seksbombą na pierwszy rzut oka. Lub też byłem zbyt mało doświadczony, aby to dostrzec. Później, kiedy poznał ją Osano, powiedział, że poczuł jej namiętność, która iskrzyła jak kabel elektryczny. Gdy powtórzyłem to Janelle, odparła, że musiała zmienić się po poznaniu mnie. Przed naszym spotkaniem była absolutnie oziębła. Kiedy żartowałem z niej, mówiąc, że jej nie wierzę, zapytała mnie z promiennym uśmiechem, czy kiedykolwiek słyszałem o wibratorach.

Zabawna rzecz, ale kiedy dorosła kobieta opowiada ci, jak onanizowała się wibratorem, to tylko przyciąga cię do niej. Ale to łatwe do zrozumienia. Zna-



czyło, że nie oddaje się wszystkim jak leci, chociaż jest piękna, i żyje w czasach, w których mężczyźni dopadają kobiety tak szybko, jak kot dopada mysz, zwykle z tego samego powodu.

Spotkaliśmy się z pięć razy w ciągu dwóch tygodni, zanim w końcu poszliśmy do łóżka. I być może było nam lepiej, zanim to zrobiliśmy.

Pracowałem w dzień w wytwórni i później wieczorami z Malomarem nad scenariuszem, a następnie wracałem do hotelu Beverly Hills, aby poczytać. Czasami chodziłem do kina. Potem spotykałem się z Janelle w mieszkaniu, a następnie obwoziła mnie po wszystkich kinach, szliśmy do restauracji i później znowu do domu. Piliśmy kilka głębszych, rozmawialiśmy, po czym o pierwszej wracała do siebie.

Powiedziała mi, dlaczego rozwiodła się z mężem. Gdy była w ciąży, cały czas miała ochotę się kochać, ale on jej wtedy nie chciał. Po porodzie uwielbiała zajmować się dzieckiem.

Była zachwycona, że z jej piersi płynie mleko i że sprawia to radość dziecku. Chciała, aby mąż skosztował jej mleka, aby ssał jej pierś i poczuł, jak płynie. Myślała, że to będzie wspaniałe. Mąż odwrócił się od niej z obrzydzeniem. Tym samym był dla niej skończony.

– Nikomu o tym wcześniej nie mówiłam – powiedziała.

– Jezu – powiedziałem – to wariat.

Pewnego razu, późno w nocy, usiadła koło mnie na sofie. Obejmowaliśmy się jak dzieciaki, po czym zsunąłem jej figi na uda. Powstrzymała mnie i wstała. Ja miałem spodnie już opuszczone. A ona zataczała się ze śmiechu, mówiąc: „Przykro mi, jestem inteligentną kobietą, ale nie potrafię”. Spojrzeliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Rozebrani wyglądaliśmy przeza-bawnie. Ona z białymi majtkami na gołych stopach, a ja ze spodniami i slipami płączącymi się wokół kostek.

Wtedy lubiłem ją na tyle, że się nie wściekłem. I co dziwniejsze, nie poczułem się odrzucony.

– W porządku – powiedziałem i podciągnąłem spodnie. Ona też się ubrała i objęliśmy się, siedząc na sofie. Przed wyjściem zapytałem, czy nie przyszłaby jutro. Gdy się zgodziła, wiedziałem, że pójdziemy do łóżka.

Następnego wieczoru przyszła i pocałowała mnie w progę. Po czym z niewinnym uśmiechem na twarzy powiedziała:

– Kurczę, wiesz, co się stało?

Pomimo mojej niewinności, wiedziałem doskonale, że jeżeli przyszła partnerka mówi coś takiego, to znaczy, że jest źle. Ale nie przejąłem się zbytnio.

– Zaczął mi się okres – wyjaśniła.

– Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie tym bardziej – rzekłem. Wzięłem ją za rękę i zaprowadziłem do sypialni.

W dwie sekundy byliśmy w łóżku nadzy, tylko ona w majtkach, pod którymi wyczułem podpaskę.

– Zdejmij to – poprosiłem. Posłuchała. Całowaliśmy się i obejmowaliśmy.

Po pierwszej nocy nie byliśmy w sobie zakochani. Po prostu lubiliśmy się jak wszyscy diabli. Kochaliśmy się jak nastolatki. Tylko całowanie i zwykłe pieprzenie. Rozmawialiśmy objęci, czując się ciepło i bezpiecznie. Miała satynową skórę i cudowną, jędrną pupę. Była jedną z tych kobiet, których pupy nigdy nie dałoby się pomylić z męską. Wprawdzie nie widziałem ich zbyt wiele, ale gdy przeglądałem zdjęcia w magazynach, często zastanawiało mnie to, że tyłek jest praktycznie bezpłciowy. Inaczej po cóż byłaby ta wymyślna bielizna.

Miała małe piersi z dużymi czerwonymi sutkami. Kochaliśmy się dwa razy w ciągu godziny, czego już dawno nie robiłem. W końcu poczuliśmy pragnienie i poszedłem do drugiego pokoju, aby otworzyć przygotowaną wcześniej butelkę szampana. Kiedy wróciłem do sypialni, miała na sobie majtki. Siedziała po turecku na łóżku, próbując zetrzeć mokrym ręcznikiem ciemne plamy z białego prześcieradła. Obserwowałem ją gołą, z lampkami szampana w dłoni i wtedy po raz pierwszy poczułem przytłaczającą czułość, która była zapowiedzią katastrofy. Spojrzała na mnie brązowymi oczami krótkowidza, uśmiechnęła się i odgarnęła włosy.

– Nie chcę, żeby pokojowa zobaczyła – powiedziała.

– Nie, nie chcemy, aby wiedziała, co robiliśmy – poparłem ją.

Wróciła do pracy z dużym zapalem, przyglądała się z bliska prześcieradłu, aby upewnić się, że niczego nie przeoczyła. Następnie rzuciła mokry ręcznik na podłogę i wzięła ode mnie kieliszek z szampanem. Usiedliśmy obok siebie na łóżku, pijąc i robiąc do siebie zabawne miny. Tak jak byśmy stanowili załogę przechodzącą ważne testy. Ale wciąż nie byliśmy w sobie zakochani. W łóżku było dobrze, ale nie świetnie. Byliśmy szczęśliwi, bo byliśmy razem, i kiedy musiała iść do domu, zaproponowałem jej, aby została, ale odmówiła, a ja nie zadawałem więcej pytań. Pomyślałem, że może mieszka

z facetem i może wracać późno, byle nie zostawała na noc. Ale nie przeszkadzało mi to. Wspaniale nie być zakochanym.

Jedyna dobra rzecz, jaką da się powiedzieć o Ruchu Wyzwolenia Kobiet, to że być może uczyni zakochiwanie się mniej staromodnym. Ponieważ, oczywiście, kiedy się już zakochaliśmy, to w najbardziej staromodny sposób. Podczas kłótni.

Wcześniej mieliśmy małe kłopoty. Pewnej nocy w łóżku nie mogłem skończyć, choć nie jestem impotentem. Janelle starała się jak mogła, ale nic z tego nie wychodziło. W końcu zaczęła wrzeszczeć i krzyczeć na mnie, że nigdy już nie będzie się kochać, nienawidzi seksu i po co w ogóle zaczynaliśmy. Płakała w poczuciu bezsily. Zacząłem się z niej trochę nabijać.

Wyjaśniłem, że to nic takiego, że jestem zmęczony. Mam mnóstwo rzeczy na głowie, tak jak film za pięć milionów dolarów plus poczucie winy i kac Amerykanina z dwudziestego wieku, który wie, że podwójne życie. Objąłem ją i rozmawialiśmy przez chwilę, po czym bez wysiłku udało nam się. Wciąż nie było wspaniale, jedynie dobrze.

Dobra. Musiałem później pojechać do Nowego Jorku, aby dopilnować spraw rodzinnych i kiedy wróciłem do Kalifornii, umówiliśmy się na spotkanie powitalne. Byłem tak zdenerwowany, że jadąc do hotelu wynajętym samochodem, przejechałem na czerwonym świetle i miałem stłuczkę. Nic mi się nie stało, ale musiałem wynająć nowy samochód. I chyba byłem w szoku, ale wyjątkowo łagodnym. Kiedy zadzwoniłem do Janelle, była zdumiona. Żle mnie zrozumiała, myślała, że spotkanie ma się odbyć nazajutrz. Byłem wściekły jak wszyscy diabli. Prawie się zabiłem, aby się z nią zobaczyć, a ona próbuje ze mną wyświechtanych sztuczek. Byłem jednak uprzejmy.

Powiedziałem, że jutro mam ważne sprawy, ale zadzwonię do niej później w tygodniu, kiedy będę wolny. Ponieważ nie wiedziała, że jestem wściekły, rozmawialiśmy przez chwilę. Nie zadzwoniłem. Pięć dni później ona zadzwoniła do mnie. Jej pierwsze słowa brzmiały:

– Ty sukinsynu, myślałam, że naprawdę mnie lubisz. A ty bawisz się ze mną w gówniarskie zagrania. Dlaczego po prostu nie przyszedłeś i nie powiedziałeś, że nie chcesz się więcej spotykać?

– Słuchaj – odparłem – to ty robisz mnie w konia. Doskonale wiedziałas, że umówiliśmy się na tamten dzień. Odwołałaś spotkanie, ponieważ miałaś coś lepszego do roboty.

Odpowiedziała mi bardzo spokojnie i przekonująco:

– Źle cię zrozumiałam lub ty się pomyliłeś.

– Cholerna kłamczucha! – krzyknąłem. Nie mogłem uwierzyć, że jestem tak infantylnie nabuzowany. A może to było coś więcej? Ufałem jej, myślałem, że jest wspaniała, a ona zagrała najstarszym kobiecym trikiem. Znałem to, ponieważ zanim się ożeniłem, dziewczęta stosowały ten wybieg, aby być ze mną. Dlatego nie myślałem o nich poważnie.

To było to. Było już po wszystkim i gównu mnie to obchodziło. Ale dwa dni później zadzwoniła do mnie.

Przywitaliśmy się i ona powiedziała:

– Myślałam, że naprawdę mnie lubisz.

I co powiedziałem? „Kochanie, wybacz mi”. Nie wiedziałem, dlaczego powiedziałem „kochanie”. Nigdy nie używałem tego słowa. Ale rozładowało to napięcie.

– Chcę cię zobaczyć.

– A więc przyjdź – zaproponowałem.

– Teraz? – roześmiała się. Była pierwsza w nocy.

– Pewnie.

Znów się zaśmiała.

– Dobra.

Przyszła po dwudziestu minutach. Miałem już przygotowaną butelkę szampana.

– Chcesz iść do łóżka? – zapytałem.

– Tak – odparła.

Dlaczego tak trudno jest opisać czystą radość? Był to najbardziej niewinny seks na świecie – było wspaniale. Tak świetnie nie czułem się, od kiedy, będąc dzieckiem, bawiłem się piłką w lecie. I wtedy zrozumiałem, że jestem w stanie przebaczyć Janelle wszystko, kiedy była ze mną, i nie jestem w stanie przebaczyć jej niczego, gdy była daleko.

Już raz powiedziałem Janelle, że ją kocham, a ona zabroniła mi mówić nieprawdę. Nie byłem pewien, czy to prawda, czy nie, ale zgodziłem się. Nie powiedziałem jej tego teraz. Ale po pewnym czasie, kiedy w nocy budziliśmy się i kochaliśmy, usłyszałem, jak powiedziała poważnie: „Kocham cię”.

Jezu Chryste. Cały ten interes jest do dupy. Używa się go nawet w reklamach, nakłaniających cię, abyś kupił krem do golenia albo latał jakąś linią lotniczą. Dlaczego więc przynosi to takie efekty? Po tym wszystko się zmieniło. Akt seksualny stał się misterium. Dosłownie nie widziałem żadnej innej

kobiety, wystarczył mi jej widok, aby poczuć rosnące podniecenie. Kiedy wychodziła po mnie na lotnisko, zaciągałem ją między samochody na parkingu tylko po to, aby dotknąć jej piersi i nóg i całować bez końca przed podróżą do hotelu.

Nie mogłem czekać. Raz, kiedy protestowała ze śmiechem, opowiedziałem jej o niedźwiedziach polarnych. Jak to niedźwiedź polarny reaguje na zapach swojej partnerki. Czasami musi przemierzyć tysiące mil przez Arktykę, zanim ją zerznie. I dlatego było tak mało niedźwiedzi polarnych. Była zdumiona, a kiedy zrozumiała, że z niej żartuję, dała mi szturchańca. Wyjaśniłem jej, że naprawdę tak na mnie działa. Że to nie była miłość ani wpływ jej urody, inteligencji i wszystkiego tego, z czym od dzieciństwa utożsamiała się kobieta w moich marzeniach. To nie było to. Bezsensowne byłoby też gadanie o powinowactwie dusz. Po prostu jej ciało wydzielало odpowiedni zapach. Było to proste i jasne jak słońce.

Wspaniale, że zrozumiała. Wiedziała, że nie jestem słodkim facetem, że buntowałem się przeciwko uległości i stereotypowej romantycznej miłości. Objęła mnie i powiedziała: „Dobra, dobra”. A kiedy dodałem: „Nie kąp się za często”, znów mnie objęła i powiedziała: „Dobra”.

Naprawdę romans z Janelle był ostatnią rzeczą, której bym pragnął. Miałem szczęśliwe małżeństwo. Kiedyś kochałem swoją żonę bardziej niż kogokolwiek na świecie i nawet wtedy, gdy ją zacząłem zdradzać, podobała mi się bardziej niż jakakolwiek inna kobieta. Dlatego po raz pierwszy czułem się winny wobec nich dwóch. A historyjki o miłości zawsze mnie irytowały.

Cóż, byliśmy bardziej skomplikowani niż białe niedźwiedzie. A morał bajki, którego nie dopowiedziałem Janelle, brzmiał, że samica białego niedźwiedzia nie ma takich samych problemów co samiec.

I wtedy, oczywiście, zacząłem robić równie idiotyczne rzeczy jak wszyscy zakochani. Zacząłem o nią wypytywać. Czy umawia się z producentami i aktorami, żeby dostać jakąś rolę. Czy ma inne romanse. Czy ma innego przyjaciela. Innymi słowy, czy jest zwykłą wywłoką, pieprzącą się z milionem innych facetów. Człowiek robi straszne głupstwa, kiedy się zakochuje. Nie spotyka się z nikim innym. Zawsze ufa swoim sądom i wskaźnikom z lędźwi. Jest nieufny wobec kobiet. W zakochaniu jest coś naprawdę gównianego.

Gdybym znalazł na jej honorze najmniejszą plamkę, nie zakochałbym się. Czy to miał być pieprzony romantyzm? Nic dziwnego, że kobiety nienawidzą mężczyzn w dzisiejszych czasach. Moim jedynym wytłumaczeniem było to,

że jako piszący pustelnik nie byłem wyrachowany w stosunkach z kobietami. Nie mogłem też pozwolić, aby stała się przedmiotem skandalu. Nie chodziła na przyjęcia, nie wiązano jej z żadnym aktorem. W gruncie rzeczy, jak na dziewczynę pracującą w filmie, niewiele o niej wiedzano. Nie przebywała wraz z tłumem filmowców w jadłodajniach na planie, gdzie przychodził każdy. Jej nazwisko nie pojawiała się w plotkarskich magazynach. Mówiąc krótko: była wymarzoną dziewczyną dla pustelnika. Nawet lubiła czytać. Czegóż więcej mógłbym pragnąć?

Wypytyjąc o nią, dowiedziałem się ku swemu zdumieniu, że wyrosłi razem z Doranem Ruddem w małym miasteczku w Tennessee. Powiedział mi o niej, że jest najbardziej przyzwoitą dziewczyną w Hollywood. Dodał także, że bym nie marnował czasu na zaciągnięcie jej do łóżka. Uradowało mnie to. Spytałem go, co o niej myśli, a on odparł, że jest najlepszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Dopiero później od Janelle dowiedziałem się, że byli kiedyś kochankami, mieszkali razem i to Doran przywiózł ją do Hollywood.

Cóż, była bardzo niezależna. Pewnego razu chciałem zapłacić za benzynę, kiedy jechaliśmy jej samochodem. Roześmiała się i odmówiła. Nie przywiązywała wagi do mojego stroju i spodobało jej się, że mnie też nie obchodzi, jak ona jest ubrana. Chodziliśmy w dzinsach i swetrach do kina, a czasem nawet do drogich restauracji. Mogliśmy sobie na to pozwolić. Wszystko szło doskonale. W łóżku było cudownie. Gra wstępna była bardziej podniecająca niż pornograficzne ekscesy.

Czasami rozmawialiśmy o tym, aby kupić jej figlarną bieliznę, ale nie zdobyliśmy się na to. Kilkakrotnie ustawialiśmy lustro, aby schwycić nasze odbicia, ale ona była krótkowidzem, a bez sensu byłoby zakładać okulary. Pewnego razu przeczytaliśmy razem książkę o seksie analnym. Zapaliliśmy się do tego i ona się zgodziła. Postępowaliśmy bardzo ostrożnie, ale nie mieliśmy wazeliny, więc użyliśmy jej kremu nawilżającego. Śmieszne to było, ponieważ czułem się paskudnie, jak w chłodni. Co do niej, krem nie poskutkował i krzyczała jak jasna cholera. Wtedy daliśmy sobie spokój. To nie dla nas, byliśmy zbyt prostolinijni. Chichocząc jak dzieciaki, pobiegliśmy do łazienki. Książka bardzo rygorystycznie traktowała problem higieny po seksie analnym. Z tego incydentu wyciągnęliśmy nauczkę, że nie potrzebujemy żadnej pomocy. Było wspaniale. Od tego czasu żyliśmy szczęśliwie, dopóki nie staliśmy się wrogami.

Podczas tego pasma szczęścia blond Szeherezada opowiedziała mi historię

swego życia. Dlatego od tej chwili żyłem nie dwoma, lecz trzema życiami. Życiem rodzinnym w Nowym Jorku, z żoną i dziećmi, życiem z Janelle w Los Angeles i jej życiem przed naszym spotkaniem. Używałem boeinga 747 jak latającego dywanu. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Praca w filmie była relaksująca jak warcaby czy hazard. W końcu znalazłem to, czym życie być powinno, i nigdy nie byłem bardziej czarujący. Moja żona była szczęśliwa, Janelle była szczęśliwa, dzieci były szczęśliwe. Artie nie wiedział, co się dzieje, ale pewnego wieczoru, kiedy jedliśmy razem kolację, powiedział nagle:

– Wiesz, po raz pierwszy w życiu nie martwię się o ciebie.

– Kiedy to się zaczęło? – spytałem, myśląc o sukcesie książki i rozpoczęciu pracy nad filmem.

– W tej chwili – odparł Artie – przed sekundą.

Zapaliła mi się czerwona lampka.

– Co masz dokładnie na myśli? – zapytałem.

Artie zastanowił się przez chwilę.

– Nigdy nie byłeś naprawdę szczęśliwy – odrzekł. – Zawsze byłeś ponurym smutasem, nie miałeś prawdziwych przyjaciół, tylko czytałeś i pisałeś książki. Nie mogłeś znieść przyjęć, muzyki, filmu czy czegoś innego. Nie znosiłeś świątecznych kolacji w rodzinnym gronie. Jezu, nawet dzieci cię nie cieszyły.

Byłem zaszokowany i dotknięty. To nieprawda. Może tak się wydawało, ale to nie była prawda. Zrobiło mi się niedobrze. Skoro Artie myślał o mnie w ten sposób, co sądzili inni? Znów dało znać o sobie znane uczucie pustki.

– To nieprawda – powiedziałem.

Artie uśmiechnął się do mnie.

– Oczywiście, że nie. Chcę tylko rzec, że jesteś o wiele bardziej otwarty w stosunku do innych ludzi. Valerie mówi, że dużo łatwiej się z tobą żyje.

Znów ukłucie. Moja żona musiała narzekać przez te wszystkie lata, a ja o niczym nie wiedziałem. Nigdy mnie nie winiła. Ale w tej chwili zdałem sobie sprawę, że w pierwszych latach małżeństwa nic nie zrobiłem, by była szczęśliwa.

– Cóż, ale teraz jest szczęśliwa – powiedziałem.

Artie przytaknął. A ja pomyślałem sobie, że to idiotyczne zdradzać żonę, aby ją uszczęśliwić. Uświadomiłem sobie, że kocham Valerie bardziej niż kiedykolwiek. Rozśmieszyło mnie to. Było to tak wygodne i zupełnie jak

w książkach, które czytałem. Ponieważ gdy tylko znalazłem się w klasycznej sytuacji niewiernego męża, natychmiast zacząłem czytać literaturę na ten temat.

– Czy Valerie nie przeszkadzają moje wyjazdy do Kalifornii? – zapytałem. Artie wzruszył ramionami.

– Myślę, że to lubi. Wiesz, ja do ciebie przywykłem, ale jesteś facetem, który czasami działa na nerwy.

Znów mnie to ubodło, ale nie potrafiłem wściekać się na brata.

– To dobrze – odparłem. – Jutro znów wyjeżdżam do Kalifornii, aby pracować nad filmem.

Artie uśmiechnął się. Wiedział, co czuję.

– Obyś tylko wracał. Nie możemy żyć bez ciebie.

Nigdy przedtem nie powiedział niczego tak sentymentalnego, ale teraz zrozumiał, że zranił moje uczucia. Wciąż mi matkował.

– Odpierdol się – powiedziałem, znów szczęśliwy.

Wydawało się niewiarygodne, że po dwudziestu czterech godzinach byłem trzy tysiące mil dalej, w łóżku z Janelle, słuchając historii jej życia.

Pierwszą rzeczą, którą mi powiedziała, było, że dorastali razem z Doranem Ruddem na południu w miasteczku Johnson City w stanie Tennessee. W końcu zostali kochankami i przenieśli się do Kalifornii, gdzie ona zaczęła pracować jako aktorka, a Doran Rudd jako agent.



## Rozdział 30

Gdy Janelle przybyła do Hollywood z Ruddem, miała tylko jeden problem. Syna. Skończył dopiero trzy lata i był za mały, aby go ciągnąć ze sobą. Zostawiła dziecko z byłym mężem. W Kalifornii mieszkała z Doranem. Obiecał jej start w filmie i załatwił kilka ról, tak mu się przynajmniej wydawało. W rzeczywistości on nawiązywał kontakty, a uroda i czar Janelle zrobiły resztę. Wtedy była mu wierna, chociaż on zdradzał ją z każdą. Kiedyś nawet zaproponował jej pójście do łóżka jednocześnie z nim i jeszcze innym facetem. Zbrzydziła ją sama myśl o tym. Nie z powodu moralności; po prostu miała aż nadto jednego faceta traktującego ją jako obiekt seksualny, a myśl, że dwóch naraz raczyłoby się jej ciałem, była odpychająca. Wtedy, jak mówiła, była zbyt prostolinijna, aby zdać sobie sprawę, że miałyby okazję zobaczyć dwóch facetów uprawiających ze sobą seks. Gdyby wiedziała, co się święci, zapewne by się zdecydowała, aby zobaczyć, jak Doran dostaje w dupę, co mu się słusznie należało. Zawsze wierzyła, że największą odpowiedzialność za to, co stało się w jej życiu, jest klimat w Kalifornii. Często mówiła Merlynowi, że tutaj mieszkają dziwni ludzie. I widać było, jak uwielbia tę dziwność, niezależnie od tego, ile szkody jej wyrządzała.

Doran starał się wkreślić do przemysłu filmowego jako producent. Kupił jakiś okropny scenariusz nieznanego autora, którego jedyną zaletą było to, że autor zgodził się przyjąć procent z dystrybucji, a nie honorarium z góry. Doran namówił starego reżysera wielkiego formatu, aby to wyreżyserował, i wyblakłego gwiazdora, aby zagrał główną rolę.

Oczywiście żadna wytwórnia nawet nie spojrzała na scenariusz. Film zapowiadał się dobrze, ale wyłącznie w oczach dyletanta. Doran był doskonałym kupcem i załatwiał pieniądze z zewnątrz. Pewnego dnia przyprowadził do domu „szansę”: wysokiego, nieśmiałego, przystojnego mężczyznę lat około

trzydziestu pięciu. Bardzo łagodnego. Takiego, co to nie wciska ciemnoty. Był pracownikiem solidnej instytucji, która zajmowała się inwestycjami. Nazywał się Theodore Lieverman. Zakochał się w Janelle już przy kolacji.

Kolację jedli u Chasena. Doran wziął rachunek i wyszedł wcześniej na spotkanie z pisarzem i reżyserem. Pracowali nad scenariuszem, jak rzekł Doran, marszcząc brwi. Już wcześniej zdążył poinstruować Janelle.

– Ten facet może nam załatwić milion dolarów na film. Bądź dla niego miłą. Pamiętaj, że grasz drugą rolę kobiecą.

Tak wyglądała technika Dorana. Obiecywał drugą rolę kobiecą, aby mieć atut przetargowy. Gdyby Janelle stanęła okoniem, podbiłby stawkę do pierwszej roli kobiecej. Choć to i tak nic nie znaczyło. W razie czego mógł złamać oba przyrzeczenia.

Janelle nie miała najmniejszego zamiaru być miłą w rozumieniu Dorana. Ale była zaskoczona Theodore'em Lievermanem, który okazał się słodkim facetem. Nie sypał rubasznymi dowcipasami o gwiazdkach. Nie przystawiał się do niej. Był uroczo nieśmiały. Podbiła go jej uroda i inteligencja, co dało jej poczucie władzy. Kiedy odwiózł ją do mieszkania jej i Dorana, zaprosił ją na drinka. I znów okazał się dżentelmenem w każdym calu. Dlatego Janelle go polubiła. Zawsze interesowała się ludźmi, fascynowali ją. Dowiedziała się od Dorana, że Ted Lieverman wkrótce odziedziczy dwadzieścia milionów dolarów. Nie powiedział jej tylko, że ma żonę i dwójkę dzieci. To Lieverman jej o tym powiedział.

– Żyjemy w separacji – rzekł zmieszany. – Nasz rozwód został wstrzymany, ponieważ jej prawnicy żądają zbyt wiele pieniędzy.

Janelle uśmiechnęła się zniewalająco i tym zawsze wytrącała broń z ręki wszystkim mężczyznom z wyjątkiem Dorana.

– Co to jest „zbyt wiele pieniędzy”?

– Milion dolarów – odrzekł Theodore Lieverman, krzywiąc się. – Mniej więcej w porządku, ale ona chce to w gotówce, a prawnicy odradzają mi sprzedaż akcji.

– Tam, do diabła! Masz dwadzieścia milionów, co za różnica? – spytała Janelle żartobliwie.

Po raz pierwszy Lieverman żywiej zareagował.

– Nie rozumiesz. Tak jak większość ludzi. To prawda, że mam od szesnastu do osiemnastu milionów, ale z gotówką jest krucho. Widzisz, jestem właścicielem posiadłości, obligacji i korporacji, ale nie mogę przerwać ciągu in-

westycji. Dlatego tak naprawdę mam bardzo mały płynny kapitał. Chciałbym wydawać pieniądze tak jak Doran. A jak wiesz, Los Angeles jest bardzo drogim miastem.

Janelle uświadomiła sobie, że spotkała znany z literatury typ milionera sknerusa. Skoro zaś nie był ani dowcipny, ani czarujący, ani atrakcyjny seksualnie, ponieważ, mówiąc krótko, nie miał żadnych atutów poza swoją słodyczą i pieniędzmi, co do których jasno dał do zrozumienia, że nie ma zamiaru się nimi dzielić – pozbyła się go po następnym drinku. Doran po przyjeździe do domu tego wieczoru był zły.

– Do diabła! To mogła być nasza żyła złota – powiedział. Wtedy właśnie zdecydowała się go opuścić.

Następnego dnia znalazła małe mieszkanie w Hollywood przy wytwórni Paramount i na własną rękę poszukała sobie pracy w filmie. Po kilku dniach pracy chora z tęsknoty za dzieckiem i Tennessee, wróciła do domu na dwa tygodnie. Tylko tyle mogła wytrzymać w Johnson City.

Zastanawiała się, czy nie wziąć ze sobą syna, ale było to niemożliwe, dlatego jeszcze raz zostawiła go ze swoim eksmężem. Czuła się podle, opuszczając go, ale jednocześnie była zdecydowana zarobić trochę pieniędzy i zrobić karierę, zanim założy prawdziwy dom.

Jej były mąż w dalszym ciągu pozostawał pod wpływem jej czaru. Wyglądała lepiej, bardzo elegancko, była bardziej doświadczona. Celowo go uwodziła i odepchnęła w momencie, kiedy starał się z nią przespać. Wyszedł w podłym nastroju. Pogardzała nim. Naprawdę go kiedyś kochała, a on zdradził ją z inną kobietą, gdy Janelle była w ciąży. Odmawiał picia mleka z jej piersi.

– Chwilę, chwilę – powiedział Merlyn – jeszcze raz.

– Co takiego? – zapytała Janelle. Uśmiechnęła się.

Merlyn czekał.

– Miałam wielkie cycki po porodzie. I byłam zafascynowana mlekiem. Chciałam, żeby go skosztował, opowiadałam ci już o tym.

Po rozwodzie odmówiła przyjęcia alimentów z czystej pogardy. Kiedy wróciła do mieszkania w Hollywood, zastała dwie wiadomości nagrane na automatycznej sekretarce. Jedną zostawił Doran, a drugą Theodore Lieverman.

Najpierw zadzwoniła do Dorana. Był zdumiony jej wyjazdem do Johnson City, ale ani słowem nie wspomniał o ich wspólnych znajomych. Jak zwykle,

zbyt natarczywie próbował kierować rozmowę na to, co było dla niego ważne.

– Słuchaj – mówił. – Ten Ted Lieverman ma bzika na twoim punkcie. Nie żartuję. Jest wściekle zakochany i nie chodzi mu tylko o twój tyłek. Jeśli dobrze to rozegrasz, możesz wyjść za dwadzieścia milionów dolarów. Chciał się z tobą skontaktować, dlatego dałem mu twój numer. Zadzwoń do niego. Możesz żyć jak królowa.

– On jest żonaty.

– Rozwód zostanie przeprowadzony w przyszłym miesiącu, sprawdziłem to. To bardzo prosty, fajny facet. Raz tylko spróbuje cię w łóżku i będziesz miała jego i jego miliony na zawsze. – Miał już opracowany plan; Janelle była jednym z jego atutów.

– Jesteś obrzydliwy – powiedziała Janelle.

– Kochanie, przestań. Przecież już nie jesteśmy ze sobą – czarował Doran. – Jesteś najlepszą dupą, jaką znałem w życiu. Lepszą od tych wszystkich hollywoodzkich lasek. Tęsknię za tobą. Wierz mi, rozumiem, dlaczego odeszłaś. Ale to nie znaczy, że nie mamy zostać przyjaciółmi. Staram się ci pomóc, musisz dorosnąć. Daj szansę temu facetowi, o to tylko proszę.

– Dobrze, zadzwonię do niego – powiedziała Janelle.

Nigdy jej nie zależało na pieniądzach dla samych pieniędzy.

Ale teraz pomyślała, co mogłaby dzięki nim osiągnąć. Mogłaby sprowadzić swojego syna i nająć służbę, która opiekowałaby się nim podczas jej pracy. Mogła pobierać lekcje u najlepszych nauczycieli aktorstwa. Stopniowo zaczynała kochać swój zawód. Przekonała się, że właśnie to chce robić w życiu. Ze swą miłością do aktorstwa nie zdradziła się nawet przed Doranem, choć on i tak to wyczuwał. Pochłaniała setki książek poświęconych teatrowi i filmowi. Zaangażowała się w pracę małego, teatralnego warsztatu, którego reżyser nadawał sobie tyle ważności, że aż ją to bawiło i była oczarowana. Kiedy powiedział jej, że jest jednym z największych samorodnych talentów, jakie widział w życiu, prawie się w nim zakochała i zupełnie naturalnie poszła z nim do łóżka.

Pozbawiony wdzięku, skąpy, bogaty Theodore Lieverman trzymał złoty klucz do zbyt wielu drzwi, by miała do niego nie zadzwonić. Umówiła się z nim tego wieczoru na kolację.

Lieverman był jak zwykle słodki, cichy i nieśmiały, dlatego przejęła inicjatywę. W końcu zmusiła go, aby opowiedział coś o sobie. Przy okazji ujawni-

ło się kilka szczegółów. Miał siostry bliźniaczki, o kilka lat młodsze od niego, które zginęły w katastrofie lotniczej. W wyniku tej tragedii przeżył załamanie nerwowe. Teraz jego żona chciała rozwodu, miliona dolarów w gotówce i części akcji. Stopniowo poznawał życie wyprane z emocji – dostatnie dzieciństwo pozostawiło go słabym i bezbronnym. Jedyne, co umiał, to robić pieniądze. Jego schemat dofinansowania filmu Dorana był bez zarzutu. Musiał być ostrożny, inwestorzy grali z nim w kotka i myszkę. On, Lieverman, władowały w to gotówkę przeznaczoną na rozwój.

Spotykali się co wieczór przez blisko trzy tygodnie i zawsze był tak miły i nieśmiały, że Janelle w końcu zaczęła się niecierpliwić. Po każdej randce posyłał jej kwiaty. Kupił jej broszkę od Tiffany’ego, zapalniczkę od Gucciego i stary złoty pierścionek u Roberta. I był wściekle w niej zakochany. Starła się zaciągnąć go do łóżka i była zaskoczona jego oporami. Mogła okazywać tylko swoją gotowość. W końcu poprosił ją, aby pojechała z nim do Nowego Jorku i Puerto Rico. Musiał tam pojechać w interesach. Zrozumiała, że z jakichś powodów nie może się z nią kochać w Los Angeles. Prawdopodobnie z poczucia winy. Niektórzy mężczyźni już tacy są. Mogli być niewierni tylko o tysiąc mil od żon. Przynajmniej za pierwszym razem. Wydało jej się to zabawne i interesujące.

Zatrzymali się w Nowym Jorku; zabrał ją na swoje spotkanie. Widziała, jak negocjuje prawa autorskie filmu i scenariusza napisanego przez znanego pisarza. Był sprytny, stonowany i tutaj stanowiło to o jego sile. Tej pierwszej nocy, gdy w końcu znaleźli się w łóżku w apartamencie w hotelu Plaza, dowiedziała się czegoś o Theodorze Lievermanie.

Był prawie całkowitym impotentem. Z początku szukała winy w sobie. Robiła wszystko, co mogła. Następnej nocy poszło mu trochę lepiej. W Puerto Rico jeszcze lepiej. Ale był najbardziej niedoświadczonym i nudnym kochankiem, jakiego kiedykolwiek miała. Była zadowolona z powrotu do Los Angeles. Kiedy odwiózł ją do mieszkania, oświadczył się jej. Powiedziała, że musi przemyśleć jego propozycję.

Nie miała najmniejszego zamiaru wychodzić za niego, dopóki Doran jej nie zrugął.

– Przemyśleć to? Przemyśleć? Rusz głową – powiedział. – Ten facet szaleje za tobą. Wyjdiesz za niego. Wytrzymasz z nim jakiś rok, dostaniesz przynajmniej milion na pożegnanie, a on wciąż będzie cię kochał. Jesteś kowalem swego losu. Masz teraz szansę na rozwinięcie skrzydeł. Poza tym przy nim

poznasz innych bogatych facetów. Facetów, których polubisz, może nawet pokochasz. Możesz zmienić całe swoje życie. Ponudzisz się przez rok. Tam, do diabła, to nie boli. Nie namawiałbym cię do złego.

To było w stylu Dorana, który myślał, że jest bardzo sprytny. Że otwiera oczy Janelle na prawdy życia, które każda kobieta zna od kołyski. Doran wiedział, że Janelle nienawidziła takiego postępowania. Nie z powodu moralności, ale dlatego, że nie była w stanie zdradzić nikogo w ten sposób. Z takim wyrachowaniem. I również dlatego, że miała w sobie ciekawość życia, że nie zniosłaby rocznej nudy. Ale, jak szybko wtrącił, szanse na nudę były duże, nawet bez udziału Theodore'a. No i jeszcze mogłaby uszczęśliwić go przez ten rok.

– Wiesz, Janelle – mówił Doran – twoje towarzystwo, nawet gdy masz paskudny dzień, jest lepsze niż towarzystwo innych ludzi u szczytu formy. – Był szczery, co rzadko mu się zdarzało, odkąd skończył dwanaście lat. Choć, co prawda, ta szczerowość miała mu przynieść korzyść.

Ale to Theodore swoim niezwykle agresywnym zachowaniem przeważał szalę. Kupił piękny dom w Beverly Hills za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, z basenem i kortem tenisowym oraz dwójką służących. Wiedział, że Janelle uwielbia grać w tenisa, że uczyła się gry w Kalifornii i wdała się w romans ze swoim trenerem, szczupłym, ślicznym blondynkiem, który ku jej zaskoczeniu pobrał należność za lekcje. Później kobiety uświadomiły ją, jacy są mężczyźni z Kalifornii. Najpierw pozwalają zapłacić za ich drinki w barze, a później proponują spędzenie wspólnie nocy. I nawet nie dadzą ci na taksówkę. Podobał jej się trener w łóżku i na korcie tenisowym i sama w obu tych dziedzinach czyniła postępy. Wreszcie znużył ją, ponieważ ubierał się lepiej niż ona. Poza tym był homo niepewny i obskakiwał zarówno jej przyjaciół, jak i przyjaciółki, co nawet otwarta na wszelkie nowości Janelle uważała za lekką przesadę.

Nigdy nie grała w tenisa z Lievermanem. Kiedyś wspomniał, że w szkole średniej pokonał Arthura Ashe'a, więc pomyślała, że jest o kilka klas wyżej od niej, i jak wszyscy dobrzy tenisiści woli nie grać z żółtodziobami. Ale kiedy przekonał ją, aby wprowadziła się do nowego domu, urządził przyjęcie tenisowe.

Uwielbiała ten dom. Była to luksusowa posiadłość w Beverly Hills z pokojami gościnnymi, gabinetem i basenem z podgrzewaną wodą. Snuła wspólnie z Theodore'em plany wyłożenia domu drewnem. Razem chodzili na zakupy.

Ale teraz w łóżku był kompletną dętką i Janelle niczego już nie próbowała. Obiecał jej, że po rozwodzie, za niecały miesiąc, wszystko będzie w porządku. Janelle miała nadzieję, że istotnie tak się stanie, ponieważ czuła się winna i postanowiła, że skoro wychodzi za niego dla pieniędzy, powinna być wierną żoną. A życie bez seksu działało jej na nerwy. W dniu party tenisowego poczuła, że wszystko zaczyna się sypać. Coś tu śmierdziało. A ponieważ Theodore Lieverman wzbudzał w niej, jej przyjaciółach i nawet cynicznym Doranie zaufanie, pomyślała, iż to poczucie winy szuka ujścia.

Tego dnia Theodore w końcu pokazał, na co go stać. Grał dobrze, ale też był zielony. Absolutnie nie mógł pokonać Arthura Ashe'a. Janelle była zdumiona. Nigdy na myśl jej nie przyszło, że jej kochanek jest kłamcą. Nie była pierwszą naiwną. Zawsze uważała kochanków za kłamców. Ale Theodore nigdy nie wciskał kitu, nie oszukiwał, nie wspominał o swoich pieniądzach czy kołach finansjery, w jakich się obracał. Prawie z nikim nie rozmawiał, wyjąwszy Janelle. Był tak niezwykle powściągliwy jak na Kalifornię, że zdumiewało to Janelle. Ale kiedy zobaczyła go na korcie, wiedziała, że ją okłamał. I to okłamał wyśmienicie. Rzucił zwykłą wzmiankę, której już nigdy więcej nie powtórzył. Nie wątpiła w to, co mówił. Tak jak nie wątpiła w niego. Bez dwóch zdań, kochał ją. Okazywał jej to za każdym razem, co oczywiście nie zmniejszało jego impotencji. Wieczorem po przyjęciu powiedział jej, że może sprowadzić swojego syna z Tennessee. Zgodziłaby się, gdyby jej nie okłamał. Dobrze, że odmówiła, gdyż następnego dnia, kiedy Theodore wyszedł do pracy, Janelle miała gościa.

Gościem była pani Lieverman. Urocza, drobna istota, ale przerażona i najwyraźniej pod wrażeniem urody Janelle, jakby nie wierzyła, że jej mąż jest takim szczęściarzem. Kiedy tylko się przedstawiła, Janelle poczuła olbrzymią ulgę i gorąco ją przywitała.

Pani Lieverman zadziwiła Janelle. Nie była zła. Jej pierwszymi słowami były:

– Mój mąż jest nerwowy i bardzo wrażliwy. Proszę mu nie mówić o mojej wizycie.

– Oczywiście – zgodziła się Janelle. Była podniecona i szczęśliwa. Teraz żona zechce zabrać swojego męża i otrzyma go tak szybko, że dostanie zawrotu głowy.

– Nie wiem, skąd Ted bierze na to pieniądze. Dobrze zarabia, ale nie ma żadnych oszczędności – powiedziała ostrożnie pani Lieverman.

Janelle zaśmiała się. Już знаła odpowiedź, ale dla pewności zapytała:

– A co z dwudziestoma milionami dolarów?

– O Boże, o Boże – wykrztusiła pani Lieverman. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– I nigdy nie pokonał Arthura Ashe’a w tenisa w szkole średniej – stwierdziła Janelle.

– O Boże, Boże – łkała pani Lieverman.

– I nie rozwodzie się za miesiąc.

Pani Lieverman tylko zaszlochała w odpowiedzi.

Janelle podeszła do barku, nalała dwie szkockie i zmusiła gościa do wypicia alkoholu.

– Skąd się pani dowiedziała? – zapytała Janelle.

Pani Lieverman otworzyła torebkę, wyciągnęła paczkę listów i podała ją Janelle. Wszystko to były rachunki. Janelle popatrzyła na nie uważnie. Teraz wszystko zrozumiała. Lieverman wystawił czek na dwadzieścia pięć tysięcy za dom. Do rachunku dołączony został list, w którym domagał się możliwości wprowadzenia się przed uiszczeniem całej opłaty. Czek został cofnięty z banku. Przedsiębiorstwo budowlane groziło, że zamknie Lievermana w więzieniu. Czeki dla służby zostały w banku odrzucone. Czeki za przyjęcie tenisowe podobnie.

– O kurczę – westchnęła Janelle.

– On jest taki wrażliwy – powiedziała pani Lieverman.

– Powinien się leczyć.

Pani Lieverman skinęła głową.

– Czy to z powodu katastrofy lotniczej sióstr? – spytała Janelle.

Z ust pani Lieverman dobył się okrzyk zgrozy i przerażenia.

– Nigdy nie miał żadnej siostry. Czy pani mnie rozumie? To patologiczny kłamca. Kłamie przy każdej okazji. Nie ma sióstr, nie ma pieniędzy, nie rozwodzi się ze mną. Wydał pieniądze firmy na wycieczkę z panią do Nowego Jorku i Puerto Rico i na wydatki związane z tym domem.

– Więc dlaczego, do diabła, chce pani, aby wrócił?

– Ponieważ go kocham – odparła pani Lieverman.

Janelle rozważała przez chwilę jej słowa. Miała męża kłamcę, oszusta, mąż miał kochankę, nie mógł mu stanąć – tyle już wiedziała o nim, znając go tylko pobieżnie; aha, jeszcze to, że był kiepskim tenisistą. Kim więc, do diabła, była pani Lieverman?



Janelle poklepała ją po ramieniu, dała następnego drinka i powiedziała:

– Proszę poczekać pięć minut.

Tyle właśnie zabrało jej wrzucenie wszystkich swoich rzeczy do dwóch walizek od Vuittona, które dostała od Theodore’a, prawdopodobnie kupione za czek bez pokrycia. Zeszła na dół z walizkami i powiedziała do jego żony:

– Odchodzę. Proszę poczekać tu na swego męża. Niech mu pani powie, że nie chcę go już więcej widzieć. Jest mi naprawdę przykro z pani powodu. Musi mi pani uwierzyć, mówił, że pani go opuściła. Że pani na nim nie zależało.

Pani Lieverman przytaknęła żałośnie.

Janelle zostawiła nowiutkiego mustanga, którego kupił jej Theodore. Będzie skonfiskowany – nie miała co do tego złudzeń. Na razie nie miała dokąd pójść. Przypomniała sobie o przyjaciółce – reżyserce i projektantce mody, Alice De Santis; postanowiła pojechać do niej i prosić ją o radę. Gdyby Alice nie było w domu, pojedzie do Dorana. Wiedziała, że zawsze ją przyjmie.

Janelle podobało się to, że Merlyn zachwycał się tą historią. Nie śmiał się. Jego radość nie była złośliwa. Uśmiechał się tylko z zamkniętymi oczami i rozmyślał. W końcu powiedział to, co powinien powiedzieć, ze zdziwieniem graniczącym z podziwem:

– Biedny Lieverman, biedny Lieverman.

– A, co ze mną, ty draniu? – zapytała Janelle w udawanej furii. Położyła się nago na nim i objęła go za szyję. Merlyn otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Opowiedz mi inną historię.

Zamiast tego kochała się z nim. Miała w zanadrzu jeszcze jedną historię, ale on nie był jeszcze na nią przygotowany. Najpierw musiał pokochać ją, jak ona go kochała. Jeszcze nie był gotów. Szczególnie na opowieść o Alice.

# Rozdział 31

Znalazłem się w punkcie, do którego zwykle docierają kochankowie. Są tak szczęśliwi, że nie mogą uwierzyć, iż na to zasługują. I wtedy zaczynają myśleć, że wszystko to lipa. Tak było i ze mną – zazdrość i podejrzliwość zastrzywały mi rozkosze cielesne. Pewnego razu miała przesłuchanie i nie mogła wyjść mi na spotkanie na lotnisko. Innym razem, jak zrozumiałem, zarwała noc i musiała się przespać, ponieważ czekała na ranny telefon z wytwórni. Nawet kiedy się ze mną kochała wczesnymi popołudniami, abym nie czuł się zawiedziony i uwierzył jej, czułem, że kłamie.

– Dzisiaj jadłem lunch z Doranem. Mówił mi, że na Południu miałaś czternastoletniego kochanka – powiedziałem.

Janelle uniosła głowę i posłała mi słodki uśmiech, który pomógł mi przezwyciężyć nienawiść.

– Tak – odparła – to było wiele lat temu.

I opuściła głowę. Na jej nieobecnej twarzy odmalował się wyraz rozbawienia – zapewne na wspomnienie tamtego romansu. Wiedziałem, że zawsze ciepło wspominała swoje miłosne uniesienia, nawet jeśli źle się dla niej kończyły. Znowu spojrzała na mnie.

– Czy to ci przeszkadza? – zapytała.

– Nie – odparłem, chociaż, o czym ona nie wiedziała, nie było mi to obojętne.

– Przykro mi – powiedziała. Patrzyła na mnie przez chwilę, po czym odwróciła głowę. Wyciągnęła dłonie, które wślizgując się za koszulę, pieściły moje plecy. – To było takie niewinne.

Nic nie powiedziałem, tylko się odsunąłem, ponieważ jej dotyk sprawiał, że wybaczałem jej wszystko.

I znowu oczekując, że skłamie, zapytałem:

– Doran powiedział, że z powodu tego czternastolatka stanęłaś przed sądem za uwiedzenie nieletniego.

Z całego serca pragnąłem, aby skłamała. Nie obchodziło mnie, czy była to prawda. Tak samo jak nie winiłbym jej, gdyby była alkoholiczką czy morderczynią. Chciałem ją kochać, to wszystko. Obserwowała mnie spokojnym, badawczym spojrzeniem, jakby chciała się dowiedzieć, jaka odpowiedź może mnie zadowolić.

– Co chcesz, żebym ci powiedziała? – zapytała, patrząc mi prosto w oczy.

– Po prostu powiedz mi prawdę.

– Dobrze więc, to prawda, ale zostałam niewinniona. Sędzia oddalił sprawę.

Poczułem niesamowitą ulgę.

– W takim razie nie zrobiłaś tego.

– Czego? – zapytała.

– Ty wiesz czego.

Znów posłała mi lekki, pół smutny, pół kpiarski uśmiech.

– Masz na myśli, czy kochałam się z czternastolatkiem? – zapytała. – Tak, kochałam się.

Czekała na moje wyjście z pokoju. Nawet się nie ruszyłem. Jej twarz przybrała jeszcze bardziej kpiarski wyraz.

– Był bardzo wyrośnięty jak na swój wiek.

Zaintrygowało mnie to. Zainteresowało z powodu śmiałości wyznania.

– To zmienia postać rzeczy – odparłem oschle.

Wybuchła radosnym śmiechem. Oboje byliśmy źli na siebie.

Janelle miała mi za złe, że się ośmieliłem ją oceniać. Widziała, że miałem zamiar wyjść, dlatego powiedziała:

– To fajna historia, spodoba ci się.

Zobaczyła, że połknąłem haczyk. Opowieści lubiłem prawie tak samo jak miłość fizyczną. Przez wiele wieczorów słuchałem jej po kilka godzin, zafascynowany historią jej życia, zastanawiając się, co przemilczała, chcąc chronić moje wrażliwe męskie uszy.

Jak mi kiedyś powiedziała, że to kocha mnie najbardziej. Za głód opowieści. I za wstrzymywanie się od komentarzy. Wiedziała, że układałam sobie w głowie pewne fakty. Nie potępiałem jej za nic. I wiedziała, że nigdy tego nie zrobię.

Po rozwodzie Janelle wzięła sobie kochanka – Dorana Rudda. Był prezydentem lokalnej rozgłośni radiowej. Raczej wysoki, trochę od niej starszy. Promieniował energią, był zawsze czarujący, zabawny i w końcu znalazł Janelle pracę w radiu. Była to przyjemna i dobrze płatna praca jak na Johnson City.

Doran miał obsesję, aby być znanym wszem wobec. Miał olbrzymiego caddillaca, ciuchy kupował w Nowym Jorku i zaprzysiął sobie, że kiedyś będzie wielki. Podziwiał wszystkich artystów. Chodził na przedstawienia teatrów objazdowych z Broadwayu i zawsze posyłał liścik i kwiaty jednej z aktorek, po czym proponował kolację. Zdumiewało go, jak łatwo dawały się zaprowadzić do łóżka. Stopniowo przekonywał się o ich samotności. Błyszczące na scenie, wyglądały nieco żałośnie w pokojach hoteli drugiej klasy. Zawsze opowiadał Janelle o swoich przygodach. Byli bardziej przyjaciółmi niż kochankami.

Pewnego dnia dostrzegł swą szansę. W sali koncertowej miasta występował duet wokalny, ojciec i syn. Ojciec grał na pianinie. Dopóki nie przekonał się, że jego dziewięcioletni syn potrafi śpiewać, zarabiał na życie, rozładowując samochody w Nashville. Ojciec, ciężko pracujący mężczyzna z Południa, który nienawidził swej pracy, nagle dostrzegł w swoim synu nadzieję na spełnienie marzeń. Mógł uciec od nijakiego życia i nużącej harówki.

Wiedział, że syn jest dobry, ale naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo. Uczucie chłopca pieśni gospel sprawiało mu przyjemność, a i pieniądze z tras koncertowych nie były bez znaczenia. Młody cherubin, sławiący Jezusa czystym sopranem, był obiektem zainteresowania miejscowej publiczności. Ojcu bardzo podobało się nowe życie. Był towarzyskim zwierzęciem, wodził oczyma za pięknymi dziewczynami, ciesząc się z oddalenia od swej zużytej żony, która oczywiście zostawała w domu. Matka także marzyła o luksusach, jakich może jej dostarczyć czysty głos syna. Oboje byli zachłanni nie zachłannością bogatych – sposobem życia – lecz zachłannością głodującego na bezludnej wyspie, który, nagle ocalony, może spełniać swoje wszystkie zachcianki. Kiedy więc Doran poszedł za kulisy, aby wychwalać głos chłopca i złożyć propozycję rodzicom, znalazł wdzięcznych słuchaczy. Doran wiedział, jak dobry jest chłopak, i wkrótce doszedł do wniosku, że to jest właśnie jego szansa. Przekonał rodziców, że nie chce żadnych procentów z ich koncertów. Chciał być menażerem chłopca i brać tylko trzydzieści procent od dochodów powyżej dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie.

Była to oczywiście propozycja nie do odrzucenia. Jeśli dostaną niewiary-

godną kwotę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie, cóż z tego, że Doran dostanie trzydzieści procent z reszty? A czy ich chłopak, Rory, zdoła zarobić więcej? Niemożliwe. Nie było takich pieniędzy. Doran zapewnił także Horatia Bascombe'a i panią Edith Bascombe, że nie obciążą ich wydatkami. Zatem przygotowano i podpisano kontrakt.

Doran natychmiast ruszył do ataku. Pożyczył pieniądze na wydanie płyty z pieśniami gospel. Była to niesłychanie trafiona inwestycja. W pierwszym roku Rory zarobił ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Doran natychmiast przeniósł się do Nashville i nawiązał kontakty w świecie muzycznym. Wziął ze sobą Janelle i uczynił ją asystentką w swej nowej agencji muzycznej. W drugim roku Rory zarobił ponad sto tysięcy dolarów, większość na singlu ze starą religijną balladą, którą Janelle znalazła w archiwum Dorana. Doran nie miał za grosz smaku, nigdy nie zdałby sobie sprawy z wartości tej pieśni.

Doran i Janelle mieszkali teraz razem. Ale on rzadko bywał w domu. Podróżował do Hollywood w sprawie filmu i do Nowego Jorku, aby podpisać kontrakt na wyłączność z jedną z największych wytwórni płytowych. Wszyscy mieli stać się milionerami. I wtedy nastąpiła katastrofa. Rory przeziębził się poważnie i wydawało się, że stracił głos. Doran zaprowadził go do najlepszego specjalisty w Nowym Jorku. Specjalista wyleczył Rory'ego, ale wtrącił zdawkową uwagę, która zaniepokoiła Dorana.

– Jego głos i tak się zmieni, kiedy będzie przechodził mutację – powiedział.

O tym Doran nie pomyślał. Może dlatego, że Rory był duży jak na swój wiek. A może dlatego, że był całkowicie niewinnym chłopcem. Rodzice chronili go przed dziewczętami. Kochał muzykę i był uzdolniony w tym kierunku. Poza tym do jedenastego roku życia ciągle niedomagał. Doran szalał. Był jak człowiek, który znał tajemnicę kopalni złota i zgubił mapę. Planował zarobić na Rorym miliony dolarów, a teraz wszystko spaliło na panewce. Miliony dolarów przeszło koło nosa. Dosłownie miliony!

Wtedy Doran wpadł na jeden ze swoich wspianiałych pomysłów. Sprawdził to pod kątem medycznym. Kiedy już miał wszystko opracowane, zdradził pomysł Janelle. Była przerażona.

– Jesteś straszliwym skurwysynem – powiedziała ze łzami w oczach.

Doran nie mógł zrozumieć jej przerażenia.

– Słuchaj, robił to kiedyś Kościół katolicki – tłumaczył.

– Robili to dla Boga, a nie dla złotej płyty.

Doran potrząsnął głową.

– To nieważne. Muszę przekonać dzieciaka i rodziców, a to będzie nie lada praca.

– Jesteś naprawdę walnięty. Nie pomogę ci, a nawet gdybym to zrobiła, nie uda ci się przekonać żadnego z nich.

– Ojciec jest najważniejszy. Myślę, że mogłabyś być dla niego miła. Zmiękczyć go trochę.

Jeszcze nie nabył kalifornijskiej gładkości i sprytu. Dlatego kiedy Janelle rzuciła w niego ciężką popielniczką, był zbyt zdumiony, aby się odsunąć. Z krwawiących ust wypłuł zęba. Nie był zły. Potrząsnął tylko głową, zdumiony naiwnością Janelle.

Janelle wtedy by go już opuściła, ale zbyt ją to wszystko ciekawiło. Chciała zobaczyć, czy Doranowi uda się przeprowadzić swój plan.

Doran był, mówiąc krótko, dobrym psychologiem. Zawsze potrafił znaleźć nieprzetarty jeszcze szlak. Jednym z kluczy był pan Horatio Bascombe. Ojciec mógłby omamić żonę i syna. Był on również najbardziej bezbronny wobec pułapek, które niosło życie. Koniec kariery syna oznaczałby powrót pana Bascombe'a do dawnego życia. Koniec podróży po kraju, grania na pianinie, podszczyptywania pańienek, zamawiania egzotycznych potraw. Pozostałaby tylko zużyta żona. Ojciec miał najwięcej do stracenia. Głos Rory'ego był dla niego ważniejszy niż dla kogokolwiek innego.

Doran kusił pana Bascombe'a śliczną tancereczką z erotycznego jazzowego klubu w Nashville. Następnego wieczoru zaprosił go na kolację z cygarami. Przy cygarze nakreślił karierę chłopca. Musical na Broadwayu, album z piosenkami napisanymi przez znanych braci Dean, następnie duża rola w filmie, która mogła uczynić Rory'ego tak sławnym jak Judy Garland czy Elvis Presley. Napłynęły tyle pieniędzy, że nie da się ich zliczyć. Bascombe spijał to wszystko z jego ust, mruczając jak kot. Nie był zachłanny, ponieważ wszystko było pewne. Nieuniknione. Był milionerem. Wtedy Doran ostudził jego zapędy.

– Jest jeden problem – powiedział. – Lekarze mówią, że wkrótce zmieni mu się głos. Wchodzi w okres dojrzewania.

Bascombe zaniepokoił się nieco.

– Jego głos stanie się głębszy. Może to i lepiej.

Doran potrząsnął głową.

– To wysoka, czysta słodycz głosu czyni go supergwiazdą. Pewnie, może

być lepiej. Ale przynajmniej pięć lat zajmie nam szkolenie go i dostosowanie do nowej roli. A i tak mamy jeden procent szans. Z głosem takim jak teraz sprzedam go każdemu.

– Cóż, może jednak głos mu się nie zmieni – powiedział Bascombe.

– Może nie – zgodził się Doran i zostawił tę kwestię otwartą.

Dwa dni później Bascombe przyszedł do mieszkania Dorana. Janelle wpuszczała go i poczęstowała drinkiem. Przyglądał jej się uważnie, ale ona go ignorowała. Kiedy Doran zaczął mówić, wyszła z pokoju.

Tej nocy po wspólnych uniesieniach Janelle spytała Dorana:

– No i jak tam twój brudny planik?

Doran promieniował radością. Wiedział, że Janelle pogardza nim, ale mimo wszystko ta wspaniała dziewczyna dzieliła się z nim swoim ciałem. Podobnie jak Rory nie znała swojej wartości. Doran czuł zadowolenie. To właśnie lubił: dobrą obsługę. I ludzi, którzy nie znali swej wartości.

– Kupiłem już tego starego chciwca – powiedział – teraz muszę popracować nad matką i dzieckiem.

Doran, który uważał się za najlepszego kupca pod słońcem, przypisywał swój sukces tej właśnie umiejętności. Prawda, miał też dużo szczęścia. Nie słychanie trudne życie przed cudownym objawieniem głosu syna zmiękczyło pana Bascombe'a. Nie mógł porzucić snu o potędze i znów zmienić się w niewolnika. Nie było w tym nic niezwykłego. Natomiast naprawdę dużo szczęścia Doran miał z matką.

Pani Bascombe była kiedyś podfruwajką z małego południowego miasteczka, trochę zbyt puszczalską jak na swoje kilkanaście lat. Horatio Bascombe, małomiasteczkowy uwodziciel, zaprowadził ją do ołtarza. Wraz z upływem lat jej uroda blakła, a ona sama wsiąkła w bagienko dewocji. Im trudniej było jej lubić własnego męża, tym bardziej atrakcyjny stawał się Jezus. Głos jej syna był ofiarą dla Jezusa. Doran wykorzystał to. Kiedy rozmawiał z panią Bascombe, Janelle była w pokoju. Wiedział, że zdenerwuje się bardziej, jeśli w tak delikatnej sprawie będzie rozmawiać tylko z mężczyzną.

W rozmowie z panią Bascombe Doran był czarujący i uważny. Mówił, że nadejdzie taki dzień, kiedy setki milionów ludzi na całym świecie usłyszą głos jej syna, Rory'ego, sławiącego Jezusa. W krajach katolickich, muzułmańskich, Izraelu i krajach Afryki. Jej syn stanie się najpotężniejszym ewangelistą religii chrześcijańskiej od czasów Lutera. Będzie większy od Billa Grahama, większy od Orala Robertsa – według pani Bascombe dwóch najświęt-

szych ludzi na ziemi. Poza tym ochroni to jej syna przed najpowszechniejszym grzechem ludzkim. Taka była wola boża.

Janelle obserwowała ich. Doran ją fascynował. Robił takie rzeczy, nie będąc złym, a tylko zachłannym. Był jak dzieciak, kradnący matce pieniądze na cukierki. Po godzinie opór pani Bascombe zaczął słabnąć. Doran wykończył ją.

– Pani Bascombe, wiem, że poniesie pani tę ofiarę dla Jezusa. Największym problemem jest pani syn, Rory. To tylko chłopak, a wie pani, jacy oni są.

Pani Bascombe posłała mu ponury uśmiech.

– Tak – powiedziała – wiem. – Rzuciła szybkie, jadłowite spojrzenie na Janelle. – Ale mój Rory to dobry chłopiec. Zrobi, co mu każę.

Doran westchnął z ulgą.

– Wiedziałem, że będę mógł na panią liczyć.

Wtedy pani Bascombe powiedziała chłodno:

– Robię to dla Jezusa, ale chcę sporządzić nowy kontrakt. Chcę piętnaście procent z pana trzydziestu jako wspólnik. I mój mąż nie może o niczym wiedzieć.

– Niech pani dalej krzewi tę wiarę pierwszych chrześcijan – westchnął Doran. – Mam nadzieję, że uda się to pani załatwić.

Mamuśka Rory’ego załatwiła to. Nikt nie wiedział jak. Wszystko zostało ustalone. Jedynie Janelle nie podobał się ten pomysł. Była przerażona, tak przerażona, że przestała sypiać z Doranem, a on rozważał możliwość pozbycia się jej. Doranowi został teraz ostatni problem. Musiał znaleźć lekarza, który utnie czternastolatкови jaja. Skoro mógł to nakazać papież w dawnych czasach, mógł też i Doran.

Niestety, Janelle spartoliła sprawę. Wszyscy zebrali się w mieszkaniu Dorana. Doran zastanawiał się, jak wysiudać panią Bascombe z jej piętnastu procent, dlatego na nic nie zwracał uwagi. Janelle wstała, wzięła Rory’ego za rękę i zaprowadziła do sypialni.

– Co pani robi z moim chłopcem? – zaprotestowała pani Bascombe.

– Wszystko będzie dobrze – odparła słodko Janelle. – Chcę mu tylko coś pokazać. – Zamknęła drzwi sypialni na klucz. Następnie bardzo zdecydowanie popchnęła Rory’ego w kierunku łóżka, rozpięła mu pasek, zdjęła spodnie



i slipy. Włożyła jego rękę między swoje nogi i przytuliła piersi do jego głowy.

Po trzech minutach było po wszystkim i wtedy chłopak zadziwił Janelle. Podciągnął spodnie, zapominając o slipach. Otworzył drzwi sypialni i wpadł do pokoju. Pierwszym ciosem dosięgnął twarzy Dorana. Następnie rzucił się na niego, młóćąc rękami jak wiatrak, aż ojciec musiał go powstrzymać.

Janelle, leżąc naga w łóżku, uśmiechnęła się do mnie.

– Doran nienawidzi mnie, nawet po tych sześciu latach. Kosztowało go to miliony.

Ja także się uśmiechnąłem.

– A co się działo na procesie?

Janelle wzruszyła ramionami.

– Miałam ludzkiego sędziego. Rozmawiał ze mną i z chłopcem, a następnie zamknął sprawę. Ostrzegł rodziców i Dorana, że mogą zostać postawieni w stan oskarżenia, i nakazał im trzymać gębę na kłódkę.

– Co ci powiedział? – spytałem po chwili milczenia. Janelle znów się uśmiechnęła.

– Powiedział mi, że gdyby był trzydzieści kilogramów młodszy, dałby wszystko, abym była jego dziewczyną.

– Jezu – westchnąłem – to wszystko trzyma się kupy. Ale teraz chciałbym, żebyś odpowiedziała jak na spowiedzi. Przyrzekasz?

– Przyrzekam.

Milczałem chwilę, obserwując ją.

– Czy podobało ci się pieprzenie z czternastolatkiem? – zapytałem w końcu.

– Było super – powiedziała bez wahania.

– Dobra. – Zmarszczyłem brwi, starając się skupić, co wywołało wesołość Janelle. Uwielbiała, kiedy się starałem ją rozgryźć. – No tak, miał kręcone włosy i był dobrze zbudowany. Gładka skóra, jeszcze bez śladów pryszczki. Długie rzęsy i niewinność ministranta. O matko! Powiedz prawdę: było ci trochę głupio, ale w głębi duszy czułaś się usprawiedliwiona. Inaczej byś tego nie zrobiła, nawet gdybyś bardzo chciała. Chłopak zawojował cię do razu. I w ten sposób mogłaś mieć rybki i akwarium. Uratowałaś go, pieprząc się z nim. Wspaniale. Mam rację?

– Nie – odpowiedziała Janelle, uśmiechając się słodko.

Westchnąłem, po czym wybuchnąłem śmiechem.

– Intrygantka z ciebie.

Wiedziałem, że mnie pokonała. Działała bezinteresownie, ocalając męskość dojrzewającego chłopca. A że poza tym doświadczyła dreszczu emocji – no cóż, na to zasługują wszyscy cnotliwi. Tam na Południu każdy służy Jezusowi na swój sposób.

I, Jezu, kochałem ją jeszcze bardziej.

## Rozdział 32

Malomar przeżył ciężki dzień i zebranie z Mosesem Wartbergiem i Jeffem Wagonem. Klócili się o film Merlyna. Wartbergowi i Wagonowi nie spodobał się od pierwszego wejrzenia. Spotkanie przekształciło się w zwykłą kłótnię. Chcieli zrobić z filmu knota z wartką akcją i ostrzejszymi charakterami. Malomar był twardy.

– To dobry scenariusz. I pamiętajcie, że tylko pierwszy szkic.

– Nie musisz nam mówić. Wiemy o tym. Rozważaliśmy już to pod tym kątem – powiedział Wartberg.

– Wiecie – odrzekł chłodno Malomar – że zawsze interesuje mnie wasze zdanie i dokładnie je rozważam. Ale wszystko, co powiedzieliście do tej pory, jest bez sensu.

– Malomar, wiesz, że ci ufamy – rzekł pojednawczym tonem Wagon, uśmiechając się czarująco. – Dlatego podpisujemy z tobą umowy. Kurczę, masz pełną kontrolę nad swoimi filmami. Ale musimy opierać nasze sądy na zdaniu opinii publicznej. Pozwoliliśmy ci przekroczyć budżet o milion dolarów. Daje nam to, jak myślę, moralne prawo, aby mieć coś do powiedzenia w kwestii kształtu tego filmu.

– To od samego początku był gówniany budżet. Wszyscy o tym wiedzieliśmy i wszyscy tak uważaliśmy.

– Wiesz, że w przypadku wszystkich naszych umów, kiedy przekraczasz budżet, tracisz kontrolę nad filmem. Chcesz zaryzykować? – spytał Wartberg.

– Jezu – jęknął Malomar – nie mogę uwierzyć, że gdyby ten film zarobił mnóstwo pieniędzy, zdobylibyście się na przypomnienie mi tego punktu.

Wartberg posłał mu uśmiech rekina.

– Może tak, może nie. To ryzyko, które podejmujesz, upierając się przy obecnej wersji filmu.

Malomar wzruszył ramionami.

– Podejmę to ryzyko i jeśli to wszystko, co macie mi do powiedzenia, to wracam do montażowni.

Po opuszczeniu Tri-Culture Studios Malomar poczuł się kompletnie wyczerpany. Zastanawiał się nad powrotem do domu i krótką drzemką, ale miał zbyt wiele pracy. Zamierzał popracować przez przynajmniej pięć godzin. Znow dokuczały mu nieznaczące bóle w klatce piersiowej. Te skurwiele mnie wykończą, pomyślał. I wtedy uświadomił sobie, że od jego zawału Wartberg i Wagon mniej się o niego troszczyli, kłócili się z nim więcej i walczyli o każdego centa. Może naprawdę chcieli go wykończyć?

Westchnął. Miał tyle spraw na głowie i jeszcze ten pierdolony Merlyn, kłapiący dziobem, że producenci z Hollywood nie są artystami. A on ryzykował życie, starając się uratować jego koncepcję filmu. Miał ochotę zadzwonić do Merlyna i napuścić go na Wartberga i Wagona, aby sam z nimi walczył, ale wiedział, że Merlyn w takiej sytuacji po prostu zrezygnuje z pracy. Był innowiercą. Nie podzielał miłości Malomara do filmu i jego możliwości.

Tam, do diabła, pomyślał Malomar, nakręci film taki, jak chce. Merlyn będzie szczęśliwy, a kiedy spłyną pieniądze – wytwórnia będzie szczęśliwa. A jeśli będą starali się zyskać większe procenty z powodu przekroczenia budżetu, przeniesie swoją wytwórnię gdzie indziej.

Kiedy limuzyna się zatrzymała, Malomara ogarnęło znane uczucie ożywienia. Ożywienie artysty, idącego do pracy, w wyniku której powstanie coś wspaniałego.

Pracował przez blisko siedem godzin i kiedy wrócił do domu, zbliżała się północ. Był tak zmęczony, że poszedł prosto do sypialni. Chciało mu się wycie z zmęczenia. Ból w klatce piersiowej promieniował już na plecy, ale po kilku minutach leżenia ustał. Malomar był zadowolony. To był dobry dzień. Pokonał rekiny i zmontował film.

Malomar uwielbiał pracę w montażowni z reżyserem i ekipą. Uwielbiał siedzieć w ciemności i podejmować decyzje dotyczące migających postaci – co powinny robić, a czego nie. Był jak Bóg, tchnący w nich dusze. Jeśli byli „dobrzy”, upiększał ich, każąc tak montować zdjęcia, aby nos nie był zbyt wydatny, a usta wykrzywione. Potrafił za pomocą lepiej doświetlonych zdjęć nadać wyraz oczom bohaterki, a jej gestom grację i powab. Nie pogrążał dobrych aktorów w rozpacz, był wobec nich litościwy.

Miał też oko na czarne charaktery. Pilnował, czy mają odpowiedni kolor

krawata i marynarkę skrojoną w sposób podkreślający ich nikczemność. Czy nie uśmiechają się zbyt przyjaźnie, czy ich zmarszczki na twarzy nie są zbyt przyzwoite. To właśnie niszczył na stole montażowym. Co więcej, nie pozwalał im być nudnymi. Łotr musi być interesujący. W montażowni Malomar pracował z precyzją chirurga. Kreowany przez niego świat musiał być absolutnie logiczny, aby po skończeniu pracy mógł być oglądany z przyjemnością.

Do tej pory Malomar stworzył setki takich światów. Żyły w jego umyśle od zawsze, tak jak niezliczone galaktyki musiały istnieć w umyśle Boga. Ale świat stworzony przez Malomara bardziej do niego przemawiał. Kiedy Malomar wyłaniał się z ciemnej montażowni na świat stworzony przez Boga, dostrzegał, że nie ma w nim odrobiny sensu.

W ciągu kilku ostatnich lat Malomar przeżył trzy zawały serca. Z przeproszenia, jak powiedział lekarz. Malomar od dawna przypuszczał, że Bóg popierdził coś w montażowni. On, Malomar, nie powinien być człowiekiem chorym na serce. Któż inny mógłby nadzorować te wszystkie nowo tworzone światy? Poza tym dbał o siebie. Jadał regularnie i same zdrowe potrawy. Ćwiczył. Pił niewiele. Kochał się regularnie, ale nie za często. Nigdy nie brał narkotyków. Był wciąż młody, przystojny; wyglądał jak bohater filmowy. I starał się zachowywać na tyle dobrze, na ile było to możliwe w filmie kręconym przez Boga. W montażowni Malomara postać taka jak Malomar nigdy nie umarłaby na zawał serca. Edytor wyciąłby tę klatkę, a producent zażądałby zmiany scenariusza. Nakazałby reżyserom i aktorom ratować tę postać. Nigdy nie pozwolono by takiemu człowiekowi umrzeć.

Ale Malomar nie był w stanie opanować bólu w klatce piersiowej. I zwykle późno wieczorem w domu brał nitroglicerynę. Leżał w łóżku sparaliżowany strachem. Kiedy było naprawdę źle, dzwonił po swojego lekarza. Doktor przychodził, siedział przy nim całą noc, badał go, pocieszał, trzymał go za rękę aż do świtu. Nigdy mu nie odmawiał, ponieważ Malomar napisał scenariusz jego życia. Zapewnił mu dostęp do pięknych aktorek, które były jego pacjentkami, czasami kochankami. Kiedy dość dawno temu, przed pierwszym zawałem, Malomar był zwolennikiem bardziej wyczerpującego seksu, gdy jego dom pełen był gwiazdek i modelek, doktor towarzyszył mu przy kolacji i razem wybierali orgazm-menu na wieczór.

Tej nocy Malomar, leżąc samotnie w łóżku, dzwonił do doktora. Ten przyjechał, zbadał go i zapewnił, że bóle miną. Nie było powodu do obaw. Powi-

nien zasnąć. Przyniósł mu wody do popicia nitrogliceryny i środków uspokajających. Ośluchał mu także serce stetoskopem. Lekka arytmia, nic wielkiego. Po kilku godzinach, kiedy poczuł się lepiej, Malomar powiedział lekarzowi, aby ten wrócił do domu. Po chwili już spał.

Miał bardzo wyraźny sen. Przebywał na stacji kolejowej. Kupował bilet. Jakiś niski, ale krępy mężczyzna wepchnął się przed niego, domagając się biletu. Miał dużą głowę karła i krzyczał na Malomara. Malomar go przeprosił i odsunął się. Pozwolił, aby tamten kupił bilet. Powiedział do niego: „Słuchaj, lubię wszystko, co ci przeszkadza”. Kiedy to powiedział, człowieczek zaczął rosnąć i jego rysy stały się bardziej regularne. Nagle stał się starym bohaterem i powiedział do Malomara: „Podaj mi swoje nazwisko. Zrobię coś dla ciebie”. Kochał go, Malomar był tego pewien. Byli dla siebie bardzo uprzejmi. Kasjer zaczął traktować tego drugiego z dużym szacunkiem.

Malomar obudził się w przepastnej ciemności swej dużej sypialni. Utkwił oczy w prostokątnym świetle uchylonych drzwi łazienki. Przez chwilę myślał, że ogląda obrazy z montażowni. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że śnił. Ta świadomość poderwała jego serce do śmiertelnego, arytmicznego galopu. Usiadł zlany zimnym potem. Serce łomotało jak oszalałe. Opadł na poduszki z zamkniętymi oczami, wygasały światła na scenie jego życia. Ostatnie, co słyszał, to szelest taśmy filmowej, zwijanej na metalowej szpuli. Po chwili był już martwy.

## Rozdział 33

O śmierci Malomara zawiadomił mnie mój agent, Doran Rudd. Powiedział, że Tri-Culture Studios zwołuje nazajutrz konferencję prasową. Musiałem przylecieć, Rudd miał odebrać mnie z lotniska.

Na lotnisku Kennedy'ego zadzwoniłem do Janelle, aby powiedzieć, że jestem w mieście, ale jej nie było, więc zostawiłem tylko wiadomość na mówiącej z francuskim akcentem automatycznej sekretarce.

Śmierć Malomara wstrząsnęła mną. Przez tych kilka miesięcy, kiedy ze sobą pracowaliśmy, zaskarbił sobie mój głęboki szacunek. Nigdy nie wciskał ciemnoty, był wyczulony na każdy fałsz w scenariuszu czy filmie. Uczył mnie, pokazując filmy, tłumaczył, dlaczego dana scena nie gra lub czego dopatrywać się u dobrego aktora grającego złą rolę. Spieraliśmy się bardzo często. Powiedział mi, że mój literacki snobizm jest mechanizmem obronnym i niezbyt uważnie oglądam filmy. Zaproponował mi nawet, że nauczy mnie reżyserii, ale odmówiłem. Chciał wiedzieć dlaczego.

– Słuchaj – powiedziałem mu wtedy. – Samym swoim istnieniem, przyglądaniem się i nieniepokojeniem nikogo człowiek może kreować rzeczywistość. Tego właśnie w życiu nienawidzę. A aktor filmowy jest najgorszym twórcą na świecie. Pomyśl tylko o tych wszystkich aktorach i aktorkach, których unieszczęśliwiasz przez rozstawianie po kątach. Spójrz na tych ludzi, którym musisz wydawać polecenia. Pomyśl o pieniądzach, które wydajesz, i losach, którymi kierujesz. Ja tylko piszę, nigdy nikogo nie skrzywdziłem. Tylko pomagam. Mogą mi wierzyć lub nie.

– Masz rację – odrzekł Malomar. – Nigdy nie będzie z ciebie reżyser. Ale myślę, że nie masz racji. Nikt nie jest tak bierny. – I naturalnie miał rację. Ja chciałem rządzić w prywatniejszych światach.

Dotknęła mnie jego śmierć. Żywiłem dla niego ciepłe uczucia, chociaż nie

znaliśmy się dobrze. Poza tym martwiłem się trochę, co się stanie z filmem.

Doran Rudd wyszedł po mnie na lotnisko. Poinformował mnie, że Jeff Wagon został teraz producentem, a Tri-Culture Studios połączyło wytwórnię Malomara. Powiedział, że będę miał masę kłopotów. Po drodze do wytwórni wtajemniczył mnie w sprawy związane z Tri-Culture. Mówił o Mosesie Wartbergu, jego żonie Belli i Jeffie Wagonie. Na początek powiedział, że chociaż nie są najpotężniejszą wytwórnią w Hollywood, są najbardziej zniechęceni i zwykle nazywa się ich „TriVulture Studios”<sup>2</sup>. Wartberg był rekinem otoczonym przez trzy szakale. Powiedziałem, że nie może tak mieszać pojęć i skoro Wartberg jest rekinem, pozostali też muszą zostać zaliczeni do ryb. Żartowałem, ale mój agent nawet tego nie słyszał. Rzekł do mnie:

– Szkoda, że nie nosisz krawata.

Spojrzałem na niego. Miał czarną, skórzaną kurtkę, narzuconą na golf. Wzruszyłem ramionami.

– Moses Wartberg mógłby być semickim Hitlerem – powiedział Doran. – Ale on zorganizowałby to trochę inaczej. Posłałby wszystkich dorosłych chrześcijan do komór gazowych, a następnie ufundował stypendia dla ich dzieci.

Rozparty wygodnie w mercedesie 450 SL Dorana Rudda, prawie nie słuchołem jego paplaniny. Powiedział mi, że rozpętała się wojna o film. Jeff Wagon będzie producentem, a Wartberg – udziałowcem. Wykończyli Malomara tymi swoimi utarczkami. Uznałem to za typową dla Hollywood przesadę. Ale mówiąc krótko, z opowiadania Dorana wynikało, że dzisiaj zostanie rozstrzygnięty los filmu. Dlatego podczas długiej drogi do wytwórni starałem się przypomnieć sobie wszystko, co wiedziałem lub słyszałem o Mosesie Wartbergu i Jeffie Wagonie.

Jeff Wagon to modelowy producent knotów. Sam był knotem od czubka nieforemnej głowy do stóp odzianych w buty od Bally’ego. Wyrobił sobie markę w telewizji, następnie utorował drogę w filmie w taki sam sposób, w jaki kropla atramentu spada na lniany obrus i z tym samym efektem estetycznym. Zrobił około setki seriali telewizyjnych i dwadzieścia adaptacji teatralnych. Nic z tego nie miało w sobie śladu gracji, lekkości, artyzmu. Krytycy, pracownicy i artyści Hollywoodu opowiadali sobie kawały z brodą, przyrównując Wagona do Selznicka, Lubitscha i Thalberga.



O jednym z jego filmów mówili, że nosi na sobie chujowe piętno, ponieważ kiedyś pewna młoda, złośliwa aktorka nazwała go „jebaką”.

Klasyczny film Jeffa Wagona był przeładowany podstarzałymi gwiazdami i celuloidowymi wycirusami, zdecydowanymi na wszystko dla pieniędzy. Każdy z odrobiną talentu wiedział, że to knot. Reżyserów sam wybierał. Zwykle byli obiecujący, lecz z bagażem porażek, dlatego mógł im wiązać ręce i kierować nimi według własnego uznania. Najdziwniejsze było to, że chociaż wszystkie filmy były okropne, koszty realizacji zawsze się zwracały, a czasami nawet robił na nich pieniądze, ponieważ opierały się na dobrym, komercyjnym schemacie. Miały swoją publiczność, poza tym Jeff Wagon pilnował wydatków jak buldog. Był także okropny przy podpisywaniu umów; jeśli film stał się hitem i zrobił kasę – oszukiwał na procentach. Ale Moses Wartberg zawsze mówił, że Jeff Wagon ma dobre pomysły. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, że Wagon kradł nawet pomysły. Można by powiedzieć, że je uwodził.

W młodości Jeff Wagon zasłużył na swoje przezwisko, zaliczając każdą gwiazdkę z ekipy Tri-Culture. Był bardzo konsekwentny. Potrafił zmieniać barmanki i recepcjonistki w aktorki telewizyjne. Jeśli dobrze wszystko rozegrały, mogły ciągnąć tę pracę przez rok. Ale kiedy zajął się tasiemcowymi serialami, przestało to być możliwe. Z trzymilionowym budżetem nie można się było rozdrabniać, rozdając role za dupę. Dlatego poprzestał na przesłuchaniach i obietnicach, których prawie nigdy nie dotrzymywał. Oczywiście, niektóre z nich były utalentowane i jeśli zdołały się przebić, otrzymywały niezłe role. Kilka zostało gwiazdami. W Kraju Muchówki Jeff Wagon najlepiej opanovał sztukę przetrwania.

Pewnego dnia z deszczowych lasów Oregonu wyłoniła się osiemnastoletnia, zapierająca dech w piersiach piękność. Miała wszystkie atuty. Wspaniałą twarz, ciało, temperament, nawet talent. Ale kamera odmawiała z nią współpracy. To jedna z tajemnic filmu.

Była także trochę szajbnięta. W lasach Oregonu wyrosła na trapera i myśliwego. Potrafiła obedrzeć ze skóry jelenia i walczyć z niedźwiedziem grizzly. Pozwalała Jeffowi Wagonowi pieprzyć się raz w miesiącu, ale niechętnie i dopiero po stanowczej rozmowie ze swoim agentem. Pochodziła z miejsca, gdzie ludzie są uczciwi, i oczekiwała, że Jeff Wagon dotrzyma słowa, dając jej rolę. Kiedy to się nie stało, poszła z nim do łóżka, zabierając nóż do skórowania zwierzyny, i w kulminacyjnym momencie dźgnęła Jeffa Wagona

w jajo.

Nie skończyło się to źle. Po pierwsze, odcięła mu tylko kawałek prawego jądra i wszyscy zgodzili się, że przy tak wielkich jajach to mu nie zaszkodzi. Sam poszkodowany starał się zatuszować ten incydent, nie wnosząc skargi. Ale i tak to się rozeszło. Trzeba było odesłać dziewczynę do Oregonu z sumą wystarczającą na zakup drewnianej chaty i nowej strzelby. A Jeff Wagon wyniósł z tego nauczkę. Przestał uwodzić gwiazdki, poświęcając się uwodzeniu pisarzy i wysysaniu z nich pomysłów. Było to bardziej opłacalne i mniej niebezpieczne. Pisarze byli głupszy i bardziej tchórzliwi. Uwodził pisarzy, zabierając ich do drogich restauracji. Oferując im rozmaite prace. Przepisanie scenariusza za kilka tysięcy dolarów. Poza tym nakłaniał ich, aby mówili o swoich pomysłach na powieści czy scenariusze. Następnie kradł te pomysły, zmieniając miejsca, postacie, lecz zachowując główną myśl. Oszwabianie ich dawało mu satysfakcję. Pisarze nigdy nie protestowali, ponieważ zwykle nie mieli pojęcia o wartości swoich pomysłów. Nie tak jak te pizdy, które za dupę oczekiwały działki na księżycu.

Agenci zabraniali pisarzom chodzić na lunch z Jeffem Wagonem. Ale do Hollywood wciąż napływali nowi autorzy z całego kraju. Wszyscy mieli nadzieję na wdarcie się siłą do interesu dla sławy i pieniędzy. I to właśnie geniusz Jeffa Wagona najpierw uchylał lekko wiodące tam drzwi, a następnie zatraskiwał je, miażdżąc przy tym ich palce.

Kiedy byłem w Vegas, powiedziałem Cully'emu, że on i Wagon załatwiają swoje ofiary w ten sam sposób. Ale Cully nie zgodził się ze mną.

– To prawda – powiedział Cully – że mnie i Vegas chodzi o twoje pieniądze. Ale w Hollywood gra toczy się o twoje przyrodzenie.

Nie wiedział, że Tri-Culture Studios właśnie kupiło jedno z największych kasyn w Vegas.

Moses Wartberg to była inna para kaloszy. Podczas jednej z moich pierwszych wizyt w Hollywood zabrano mnie do Tri-Culture Studios, abym mu złożył wyrazy uszanowania.

Widziałem się z Mosesem Wartbergiem przez minutę. Od razu wiedziałem, kto zacz. Taki wygląd rekina mogli mieć tylko oficerowie, właściciele kasyn, piękne i bogate kobiety oraz szefowie mafii. Była w nich zimna moc stali, lodowiec, który biegł przez żyły do mózgu, paralizujący brak litości czy współczucia we wszystkich komórkach organizmu. Byli to ludzie całkowicie odurzeni opium władzy. Władzy już zdobytej i od dawna używanej. Moses

Wartberg wręcz nią promieniował.

Tego wieczoru, kiedy powiedziałem Janelle, że byłem w Tri-Culture Studios i spotkałem Wartberga, powiedziała:

– Dobry stary Moses. Znam Mosesa. – Posłała mi wyzywające spojrzenie, a ja połknąłem przynętę.

– Powiedz mi, jak poznałaś Mosesa – poprosiłem.

Janelle wstała z łóżka, aby odegrać swoją rolę.

– Byłam już od dwóch lat w mieście i nie miałam co z sobą zrobić. I wtedy zostałam zaproszona na przyjęcie, na którym miały być grube ryby i kandydaci na aktorów. Poszłam nawiązać kontakty. Było tam z tuzin takich dziewcząt jak ja. Przechadzałyśmy się, wszystkie piękne, w nadziei, że jakiegoś potężnego producenta porazi nasz talent. Cóż, ja miałam szczęście. Moses Wartberg podszedł do mnie i był czarujący. Nie rozumiałam, dlaczego ludzie mówią o nim takie straszne rzeczy. Pamiętam, jak podeszła do nas jego żona, starając się go odciągnąć, ale on nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wciąż do mnie mówił, a ja rznąłam superlaskę z Południa i oczywiście dostałam zaproszenie od Mosesa Wartberga na kolację w jego domu na następny wieczór. Rano zadzwoniłam do wszystkich koleżanek i powiedziałam im o tym. Pogratulowały mi i przepowiedziały, że będę musiała się z nim pieprzyć, a ja odparłam, że bynajmniej, nie na pierwszej randce, i żeby mnie szanował, muszę powstrzymać jego zapędy.

– To dobra technika – powiedziałem.

– Wiem – odparła. – Zadziałała w twoim przypadku, ale tak naprawdę czułam. Nigdy nie poszłam z nikim do łóżka, dopóki go nie polubiłam, nigdy nie poszłam do łóżka z facetem tylko po to, żeby coś dla mnie zrobić. Tak właśnie powiedziałam znajomym, a one twierdziły, że jestem wariatką. Jeśli Moses Wartberg naprawdę mnie polubi, stanę się gwiazdą.

Przez kilka minut prezentowała uroczą pantomimę fałszywej cnoty, wzbraniającej się przed uczciwym grzeszeniem.

– I co dalej? – zapytałem.

Janelle stała dumna z rękami na biodrach i dramatycznie uniesioną głową.

– O piątej po południu podjęłam największą decyzję mego życia. Zdecydowałam się pieprzyć z facetem, którego nie znałam. Myślałam, że jestem bardzo dzielna, i byłam zadowolona, że w końcu podjęłam męską decyzję.

Przez chwilę wypadła z roli.

– Czyż nie tak właśnie robią mężczyźni? – zapytała słodkim głosem. – Je-

śli mają możliwość zrobienia dobrego interesu, oddają wszystko, poświęcają się. Czy to nie interes?

– Chyba tak – przyznałem.

– Ty nie musiałeś niczego takiego zrobić?

– Nie.

– Nigdy nie zrobiłeś czegoś podobnego, aby opublikowano ci książkę albo recenzent zaczął traktować cię po ludzku?

– Nie.

– Masz o sobie świetne mniemanie, no nie? – stwierdziła Janelle. – Miałam już romanse z żonatymi i muszę stwierdzić, że łączy ich wspólna cecha: wszyscy chcą nosić duży, biały kowbojski kapelusz.

– Co masz na myśli?

– Chcą być uczciwi wobec swych żon i kochanek. Chcą wyrzucić takie wrażenie, aby nie można było im niczego zarzucić. To także twoja cecha.

Myślałem nad tym przez chwilę. Chyba rozumiałem, co miała na myśli.

– Zgoda – powiedziałem. – I co z tego?

– Co z tego? – zapytała Janelle. – Mówisz, że mnie kochasz, lecz wracasz do swojej żony. Żaden żonaty facet nie powinien mówić innej kobiecie, że ją kocha, jeśli nie jest gotów odejść od żony.

– Romantyczne bzdety – powiedziałem.

Wstąpił w nią diabeł. Wyrzuciła z siebie:

– Czy gdybym poszła do twojego domu i powiedziała żonie, że mnie kochasz, wyparłbyś się mnie?

Wybuchnąłem szczerym, serdecznym śmiechem. Złożyłem ręce na piersi i zapytałem:

– Mogłabyś powtórzyć?

– Wyparłbyś się mnie?

– Z całego serca – odparłem.

Patrzyła na mnie przez chwilę. Była wściekła, lecz wybuchnęła śmiechem.

– Cofam się przy tobie. Ale to się skończy.

Zrozumiałem, co chciała powiedzieć.

– Dobrze, a co z Wartbergiem? – zapytałem.

– Wlałam do kąpieli wszystkie olejki zapachowe, jakie miałam w domu, umalowałam się i ubrałam w najlepsze ciuchy, po czym pojechałam złożyć się na ołtarzu ofiarnym. Wpuszczono mnie do domu, po czym przez godzinę siedziałam i rozmawiałam z Mosesem Wartbergiem. Był bardzo sprytny, da-

wał mi delikatnie do zrozumienia, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to go-tów jest zrobić dla mnie mnóstwo rzeczy. Pomyślałam, że ten skurwiel nie ma zamiaru mnie przerznąć, nawet nie ma zamiaru mnie nakarmić. – Janelle przerwała i popatrzyła na mnie znacząco.

– Tego ci nigdy nie zrobiłem – powiedziałem.

Posłała mi powłóczyście spojrzenie i mówiła dalej:

– I wtedy powiedział: „W sypialni czeka na nas kolacja. Może byśmy po-szli?”. Odparłam: „Tak, chyba jestem trochę głodna”. Zaprowadził mnie po-schodach, jakby wyjętych z filmu, na górę i otworzył drzwi sypialni. Następ-nie zamknął je od zewnątrz i tak znalazłam się w sypialni w towarzystwie stołu z pysznymi przekąskami.

Przyjęła pozę niewinnej, zaskoczonej panny.

– A gdzie Moses? – zapytałam.

– Został na zewnątrz, w hallu.

– Chciał, żebyś jadła sama? – zapytałam.

– Nie – odparła Janelle – czekała tam na mnie pani Bella Wartberg w ne-gliżu.

– Jezu Chryste – wykrztusiłem.

– Nie wiedziałam, że miałam pieprzyć się z kobietą. Osiem godzin decydo-wałam się na ten krok z mężczyzną, a teraz nagle dowiaduję się, że mam to robić z kobietą. Nie byłam przygotowana.

Powiedziałem, że ja też nie byłem na to przygotowany.

– Nie wiedziałam, co mam robić. Usiadłam, a pani Wartberg podała mi ka-napki i herbatę, a następnie wyłuskała piersi z koszuli nocnej, pytając: „Podo-bają ci się, moja droga?”. Odpowiedziałam: „Są bardzo ładne”.

Wtedy Janelle spojrzała mi prosto w oczy i zwiesiła głowę.

– No i co dalej? Co powiedziała, kiedy odparłaś, że są ładne? – spytałam.

– Bella Wartberg zapytała: „Czy nie miałabyś ochoty ich possać, moja dro-ga?”.

Janelle opadła na łóżko obok mnie.

– Wybiegłam z pokoju, po schodach, uciekłam z tego domu i przez dwa lata nie mogłam znaleźć pracy.

– To miasto rządzi się twardymi prawami.

– Nie – odparła Janelle – gdybym rozmawiała z moimi koleżankami przez następne osiem godzin, wszystko byłoby w porządku. To tylko kwestia przy-gotowania.

Uśmiechnąłem się do niej, a ona patrzyła mi wyzywająco w oczy.  
– Co za różnica? – spytałem.

Kiedy mercedes pędził po autostradzie, starałem się słuchać tego, co mówi Doran.

– Stary Moses to niebezpieczny facet. Uważaj na niego. – Myślałem dokładnie tak samo.

Moses Wartberg był jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Hollywood. Jego studio finansowo stało lepiej od innych, ale robiło najgorsze filmy. Moses Wartberg stworzył maszynę do robienia pieniędzy na polu szmiry. Nie miał w sobie nawet krztyny szaleństwa. Po tym właśnie rozpoznaje się finansowych geniuszy.

Wartberg był przysadzistym grubasem, ubierał się w starannie skrojone garnitury w stylu Vegas. Mówił mało, nigdy nie okazywał emocji. Uważał, że powinien dać ci wszystko to, co i tak sam byś sobie wziął. Mogłeś niczego nie dostać, nie będąc w stanie przebić się przez jego armię prawników. Był bezstronny. Kiedy film robił karierę, oszukiwał na procentach w równym stopniu producentów, gwiazdy, pisarzy i reżyserów. Nigdy nie był wdzięczny za wspianą reżyserię, aktorstwo czy scenariusz. Ile to już razy płacił za szmirę? Dlaczego miał więc płacić uczciwą cenę za dobrą pracę, skoro mógł mieć to za niższą cenę?

Wartberg rozmawiał o kręceniu filmów tak, jak generałowie mówią o wojnie. Mawiał: „Nie można zrobić omletu, nie rozbijając skorupki jajka”. Kiedy jakiś powiązany z filmem człowiek powoływał się na znajomość z nim lub aktor pytał, dlaczego studio go odwaliło, skoro pałają do siebie tak wielką miłością, Wartberg mówił z chłodnym uśmiechem: „Kiedy słyszę słowo: miłość, sięgam po portfel”. Nic sobie nie robił z ludzkiej godności. Był dumny, gdy oskarżano go o brak przyzwoitości. Nie miał ambicji bycia człowiekiem, którego słowo coś znaczy. Ufał kontraktom spisywanym drukowanym pismem, a nie uściskom ręki. Nigdy nie był zbyt dumny, aby nie oszukać bliźniego, zagarnąć jego pomysły, scenariusze czy słusznie należne procenty z dystrybucji filmu. Zaczepiany przez oszukanego artystę (producenci znali go lepiej), Wartberg odpowiadał: „Jestem producentem filmowym” takim samym tonem, jak Baudelaire powiedziałby: „Jestem poetą”.

Wykorzystywał prawników jak bandzior spluwę, uczucie jak prostytutka

seks, a dobre uczynki – jak Grecy konia trojańskiego. Wspomagał dom imienia Willa Rogersa dla emerytowanych aktorów, Izrael, głodujących w Indiach i arabskich wygnańców z Palestyny. Tylko pomoc dla pojedynczych ludzi nie leżała w jego naturze.

Zanim Wartberg objął Tri-Culture Studios, wytwórnia traciła pieniądze. Niezwłocznie wprowadził ściśle limitowanie wydatków. Był najtwardszy w mieście, jeżeli chodzi o interesy. Nigdy nie ryzykował wprowadzenia prawdziwie ciekawych pomysłów, o ile nie zostały wypróbowane przez inne wytwórnie. Jego największym atutem był niski budżet.

Gdy inne wytwórnie puszczały dziesięć milionów dolarów przy jednym filmie, Tri-Culture Studios nigdy nie wydało więcej niż trzy. W rzeczywistości było tego nieco ponad dwa miliony, czego pilnowali Wartberg lub jeden z jego zastępców przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Proponował producentom udziały po skończeniu filmu, reżyserom zmniejszał procenty, aktorów obdzierał ze skóry, aby zmieścić się w budżecie. A producent, który nakręcił film, mieszcząc się w budżecie lub nie dochodząc do granicy, był w oczach Wartberga bohaterem. I wiedział o tym. Nie było ważne, czy film zarobi na sobie. Ale jeśli film przekraczał budżet, nawet gdy dochody wynosiły dwadzieścia milionów i film przynosił wytwórni kokosy, Wartberg powoływał się na karną klauzulę w umowie i zabierał reżyserowi procenty z zysku. Oczywiście można było pozwać go do sądu, ale studio posiadało dwudziestu dobrze płatnych prawników, siedzących na tyłkach i tylko czekających na rozgrzewkę w sądzie. Dlatego zwykle załatwiano te sprawy ugodowo. Szczególnie jeśli producent, aktor czy pisarz chciał jeszcze kiedyś współpracować z Tri-Culture.

Co do jednego wszyscy byli zgodni: Wartberg był obdarzony geniuszem organizacyjnym. Miał trzech zastępców, którzy kierowali oddzielnymi imperiami i rywalizowali o względy Wartberga oraz schedę po nim. Cała trójka miała nieograniczone możliwości, duże zniżki i całkowitą władzę w swoich dziedzinach, uszczuploną tylko prawem weta Wartberga. Dlatego cała trójka polowała na talenty, scenariusze, prześcigała się w wymyślaniu różnych projektów, pamiętając jednocześnie, aby trzymać się budżetu, okiełznać talent i zdusić każdą iskierkę oryginalności, zanim podadzą na tacy gotowy produkt Wartbergowi, czekającemu w gabinecie na ostatnim piętrze budynku wy-

twórni.

Jeśli chodzi o seks, jego reputacja była bez zarzutu. Nigdy nie zabawiał się z gwiazdkami. Nigdy nie naciskał reżysera czy producenta, aby ten zatrudnił faworytę w filmie. Po części przyczyną tego była ascetyczna natura i nikła witalność seksualna, a po części – poczucie własnej godności. Ale głównym powodem było to, że od trzydziestu lat był szczęśliwie żonaty ze swoją młodzieńczą miłością.

Poznali się w ogólniaku w Bronksie, pobrali, będąc jeszcze nastolatkami, i od tej pory żyli ze sobą zgodnie.

Bella Wartberg wiodła bajkowe życie. Jako nastolatka oczarowała Mosesa Wartberga zabójczym połączeniem wielkich piersi i niespotykanej skromności. Nosiła ciężkie wełniane swetry, sukienki o kilka rozmiarów za duże, ale było to jak chowanie świecy w ciemnej jaskini. Wiedziało się, że tam są, a to, że były ukryte, działało jak afrodyzjak. Kiedy Moses został producentem, nie wiedziała naprawdę, co to oznacza. Urodziła mu w dwa lata dwójkę dzieci i była gotowa rodzić co rok przez wszystkie płodne lata, ale Moses przystopował jej zapędy. W tym czasie skierował prawie całą swą energię na robienie kariery, a poza tym ciało, za którym przepadał, naznaczyły już poporodowe blizny, a piersi, które ssał, opadły i nieco sflaczały. Jak na jego gust, trochę za bardzo przypominała dobrą żydowską gospodynię domową. Wynajął pokojówkę i zapomniał o żonie. Wciąż ją cenił, ponieważ wyśmienicie prała. Jego nieskazitelnie białe koszule były dokładnie wykrochmalone i wyprasowane. Kiedy tylko je wkładał, defasonowały się. Doskonale prowadziła dom. Pilnowała jego garniturów w stylu Vegas i krawatów, oddając je do czyszczenia dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Nie za często, aby ich zbyt szybko nie zniszczyć, i nie za rzadko, aby nie było widać brudu. Pewnego dnia kupiła sobie kota, który lubił siedzieć na sofie. Kiedy Moses usiadł na tej sofie, a podniósłszy się, zauważył kocia sierść na spodniach, złapał zwierzę i rzucił nim o ścianę. Histerycznie krzyczał na Bellę. Następnego dnia oddała kota.

Moc w magiczny sposób przepływa z jednego źródła do drugiego. Kiedy Moses został szefem Tri-Culture Studios, Bella Wartberg odżyła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wzięły ją w swoje ręce nowe przyjaciółki, których mężowie mieli kierownicze stanowiska. Fryzjerka zmieniła jej fryzurę, formując na głowie koronę czarnych loczków nadających jej królewski



wygląd. Salon odnowy Sanctuary, do którego należeli wszyscy znani ludzie, pastwił się bezlitośnie nad jej ciałem. Spadła na wadze ze stu pięćdziesięciu do stu dziesięciu funtów. Nawet biust się zmniejszył i stał się bardziej jędrny. Nie na tyle jednak, aby dopasować się do reszty ciała. Chirurg plastyczny uformował jej piersi w dwa doskonałe, proporcjonalne pączki. Pozbawił ją także tłuszczu na udach i wyciął kawałek tyłka. Eksperci z salonu mody zaprojektowali ubrania, pasujące do nowego ciała i statusu. Bella Wartberg spojrzała w lustro i ujrzała w nim nie zmysłowo pulchną, wulgarnie piękną żydowską księżniczkę, lecz szczupłą, czterdziestoletnią, żwawą, ponętą, try-skającą energią życia lwicę salonową. Na szczęście nie dostrzegła, że jej obecny wygląd był jak odbicie w krzywym zwierciadle, że jej poprzednie ja uwidaczniało się na twarzy i w figurze. Była obecnie chudą kobietą z grubymi kośćmi. Wierzyła w swoją urodę. Była gotowa do romansu. Kiedy pewien młody aktor udawał zakochanego w niej sztubaka, odpłaciła mu szczerą, namiętną miłością. Pojechała z nim do mieszkania w Santa Monica i po raz pierwszy w życiu została uczciwie zerżnięta. Młody aktor był szczerze oddany swojej profesji, tak że prawie uwierzył w swoje głębokie uczucie. Tak bardzo, że kupił jej uroczą bransoletkę u Gucciego, którą przechowywała do dzisiaj jak największy skarb, dowód jej pierwszego wielkiego uczucia. I dlatego, kiedy poprosił ją o załatwienie pierwszoplanowej roli w filmie kręconym przez Tri-Culture, był szczerze zawiedziony, kiedy odparła, że nie miesza się do spraw męża. Klócili się zawzięcie, aż aktor zniknął z jej życia. Tęskniła za nim, tęskniła za mieszkankiem, za płytami z muzyką rockową. A ponieważ była z niej rozsądna kobieta, postanowiła nie popełniać już tych samych błędów. W przyszłości będzie dobierać kochanków tak starannie, jak komediant dobiera kapelusze.

W następnych latach stała się ekspertem negocjacji w rozmowach z aktorami, dyskryminując beztalencja na rzecz utalentowanych. W istocie utalentowani byli o wiele lepsi. Wydawało się, że inteligencja szła w parze z talentem. Pomagała im zrobić karierę. Nigdy nie popełniła tego błędu, aby pójść bezpośrednio do męża. Moses Wartberg był zbyt ważny, aby zajmować się takimi sprawami. Zamiast z nim, kontaktowała się z jednym z jego zastępców. Wychwalała talent jakiegoś młodego aktora, którego widziała w sztuce Ibsena, zarzekała się, że nie zna go osobiście, ale na pewno będzie niezłym nabytkiem dla wytwórni. Zastępca zapisywał nazwisko i aktor dostawał jakąś rolę. Wkrótce dowiedzieli się inni. Bella Wartberg pieprzyła się z każdym,

przy każdej okazji i w każdym miejscu, dlatego kiedy tylko pojawiała się w gabinecie któregoś z zastępców Wartberga, ten upewniał się, że sekretarka jest na miejscu, tak jak ginekolog upewnia się, że asystuje mu pielęgniarka.

Każdy z trzech rywalizujących ze sobą zastępców Wartberga uważał, że musi przysłużyć się jego żonie. Jeff Wagon zaprzyjaźnił się z Bellą i nawet przedstawiał jej fantastycznych młodych facetów. Kiedy się nie udało, włóczyła się po drogich lokalach dla kobiet, jadła posiłki w towarzystwie młodych aktorów, ukrywając oczy za dużymi męskimi okularami.

Z racji swej bliskiej znajomości z Bellą, Jeff Wagon był najbliższy objęcia schedy po Wartbergu. Był tylko jeden problem. Co zrobi Moses Wartberg, jeśli dowie się, że jego żona, Bella, była Messaliną Beverly Hills? Plotkarskie gazety już punktowały romanse Belli jako ślepe trafy. Wartberg nie mógł tego nie zauważyć. Wszyscy o niej wiedzieli. Moses Wartberg, jak zwykle, zadziwił wszystkich. Przeszedł nad tym do porządku dziennego. Z rzadka tylko odgrywał się na jej kochankach, a jej samej nigdy nie ganił.

Po raz pierwszy odbił sobie na młodym gwiazdorze rock and rolla, który chwając się podbojem, nazwał Bellę Wartberg „starą, szaloną cipą”. W ustach gwiazdy rock and rolla oznaczało to najwyższy komplement, ale Moses Wartberg był tak samo urażony jak wtedy, kiedy jeden z jego zastępców przyszedł do pracy w dzinsach i golfie. Gwiazdor dostawał dziesięć razy więcej pieniędzy za płytę niż za rolę w jego filmie. Ale był skażony typowym narcystycznym marzeniem o graniu samego siebie w filmie autobiograficznym. Na przedpremierowy pokaz do prywatnej sali kinowej Wartberga, już wypełnionej gwiazdami Tri-Culture Studios, przyprowadził grupę przyjaciół.

Gwiazdor rock and rolla siedział i siedział i ani razu w filmie nie zobaczył swojej twarzy. Ujęcia z nim pokrywały podłogę montażowni. Był zdruzgotany i nie mógł iść do domu o własnych siłach.

Awans z producenta na szefa studia Moses Wartberg świętował hucznie. Przez te wszystkie lata zauważył, że filmowe szczy wściekały się na myśl, ile uwagi poświęca się aktorom, scenarzystom, reżyserom i producentom z okazji wręczania nagród w Akademii Filmowej. Wściekało ich, że pracownicy zbierali oklaski za ich dzieło. To Moses Wartberg wiele lat temu wymyślił, aby Nagrodę im. Irvinga Thalberga wręczać podczas uroczystości w akademii. Przemysłnie zapobiegł, aby nie była to nagroda roczna. Miała być nadawana producentowi za wieloletnią wysoką jakość filmów. Był również na tyle sprytny, aby umieścić klauzulę, mówiącą o tym, iż Nagrodę Thalber-

ga można odebrać tylko raz. W efekcie wielu producentów, których filmy nigdy nie dostały nagrody Akademii Filmowej, ale którzy cieszyli się wpływami w świecie filmu, otrzymywało swoją część chwały razem z Nagrodą Thalberga. Takie wyjście z sytuacji nie zadowalało jednak rzeczywistych szefów wytwórni i przynoszących im dochody gwiazd, które nigdy nie były naprawdę dobre. Zatem Wartberg ufundował Nagrodę Humanitaryzmu, przeznaczoną dla ludzi filmu, którzy poświęcili się dla rozwoju tego przemysłu i szerzenia wartości humanitarnych. W końcu dwa lata temu Moses Wartberg odebrał tę nagrodę na oczach podziwiających go milionów amerykańskich telewidzów. Nagrodę wręczał pewien znany japoński reżyser, ponieważ żaden reżyser amerykański nie potrafiłby powstrzymać grymasu obrzydzenia. (Tak przynajmniej twierdził Doran, opowiadając mi tę historię).

Wieczorem w dniu, kiedy Moses Wartberg otrzymał tę nagrodę, dwóch scenarzystów dostało zawału, pewna aktorka wyrzuciła telewizor z czwartego piętra hotelu Beverly Wilshire, a trzech reżyserów zrezygnowało z członkostwa w akademii. Nagroda ta stała się najcenniejszym skarbem Mosesa Wartberga. Jeden ze scenarzystów skomentował przyznanie mu jej, mówiąc, że to tak, jakby więźniowie obozu koncentracyjnego w konkursie na najpopularniejszego polityka głosowali na Hitlera.

To Wartberg wymyślił technikę obarczania wschodzącej gwiazdy wysokimi odsetkami za posiadłość w Beverly Hills, aby zmusić ją do podejmowania pracy w knotach. To studio Mosesa Wartberga walczyło na śmierć i życie w sądach o pozbawienie utalentowanych aktorów należnych pieniędzy. To Wartberg miał powiązania z Waszyngtonem. Zabawiał polityków pięknymi dziewczętami, pokrywano ich wydatki z tajnych kont i fundowano im drogie wakacje w hotelach studia na całym świecie. Wartberg był człowiekiem, który wiedział, jak posługiwać się prawnikami i prawem, aby dokonać finansowego morderstwa, aby kraść i oszukiwać. Tak przynajmniej mówił Doran. Dla mnie brzmiało to jak opinia przeciętnego krewkiego amerykańskiego przedsiębiorcy.

Oprócz sprytu Mosesa Wartberga najcenniejszą kartą przetargową Tri-Culture Studios były jego powiązania z Waszyngtonem. Wrogowie rozpowszechniali o nim skandalizujące historie, które nie były prawdziwe; Wartberg wiódł ascetyczny tryb życia. Puścili plotkę, że lata co miesiąc do Paryża, aby tam zabawiać się z nieletnimi prostytutkami. Mówili o nim, że jest voyeurystą, że podgląda żonę przez dziurkę od klucza, kiedy ona łądacz się

z kochankami. Nic z tego nie było prawdą.

Natomiast nie było żadnych wątpliwości co do jego inteligencji i siły charakteru. Co niespotykane w środowisku sztych filmowych, unikał reklamy, wyjąwszy ten jeden wypadek z Nagrodą Humanitaryzmu.

Doran dotarł w końcu do budynku Tri-Culture Studios. Cały kompleks wyglądał okropnie. Wszystkie zabudowania były z betonu, a tereny wokół nich prezentowały się jak te miejskie parki, przy których Long Island wygląda jak obóz koncentracyjny dla robotów. Kiedy wjechaliśmy przez bramę, strażnik nie wskazał nam specjalnego miejsca do parkowania i musieliśmy stanąć na terenie odgrodzonym automatycznie podnoszonym szlabanem w biało-czerwone pasy. Nie zauważyłem, że będę potrzebował ćwierć dolara na wyjechanie z tej pułapki.

Pomyślałem, że to przypadek, jakieś niedopatrzenie, ale Doran powiedział, że to wymyślona przez Mosesa Wartberga technika usadzania osób utalentowanych. Gwiazda by pewnie wyjechała z tego miejsca bez problemu. Tak samo reżyserzy i znani aktorzy, ale pisarzy chcieli pozbawić iluzji co do ich wielkości. Pomyślałem, że Doran to paranoik, i wybuchnąłem śmiechem, ale myślę, że trochę mnie to zirykowało.

W głównym budynku ochrona sprawdziła naszą tożsamość i upewniła się, czy rzeczywiście nas oczekują. Sekretarka zjechała na dół, po czym we trójkę pomknęliśmy windą na ostatnie piętro. Ostatnie piętro było niesamowite. Z klasą, ale niesamowite.

Pomimo wszystko musiałem przyznać, że byłem pod wrażeniem czaru Jeffa Wagona i limitowania wydatków. Wiedziałem, że jest oszustem i krętaczem, ale wydawało się to usprawiedliwione. Tak jak naturalne wydawało się znalezienie egzotycznego owocu na tropikalnej wyspie. Usiedliśmy przy jego biurku, mój agent i ja, a Wagon polecił sekretarce, aby go z nikim nie łączyła. Mile polechtało to naszą próżność. Ale najwyraźniej te słowa były tylko jakimś kodem, ponieważ odebrał przynajmniej trzy telefony podczas naszego spotkania.

I tak musieliśmy czekać na Wartberga pół godziny, zanim zaczęło się spotkanie. Jeff Wagon opowiadał zabawne historyjki, nawet tę o dziewczynie z Oregonu, która chciała mu uciąć jaja.

– Gdyby się lepiej postarała – powiedział Wagon – oszczędziłaby mi mnó-

stwo pieniędzy i kłopotów.

Na biurku zadzwonił telefon i Wagon poprowadził mnie i Dorana korytarzem do luksusowej sali konferencyjnej, która również mogła służyć jako sala kinowa. Ugo Kellino, Houlinan i Moses Wartberg rozmawiali swobodnie, siedząc przy długim stole konferencyjnym. Obok nich zasiadał facet w średnim wieku z rozczochranymi, białymi włosami. Wagon przedstawił go jako nowego reżysera filmu. Nazywał się Simon Bellfort. Dwadzieścia lat temu nakręcił świetny wojenny film. Zaraz potem podpisał długoterminową umowę z Tri-Culture Studios i stał się mistrzem knociarskich produkcji Jeffa Wagona.

Młody facet, który im towarzyszył, nazywał się Frank Richetti. Miał ostrą, inteligentną twarz i był ubrany jak gwiazda rocka naśladowująca kalifornijskich hipisów. Efekt był oszałamiający. Pasował doskonale do opisanych przez Janelle atrakcyjnych mężczyzn, którzy kręcili się po Beverly Hills: mieszanka Don Juana, oszusta i alfonsa. Nazywała ich lepkie łapki. Ale może mówiła tak, aby mnie pocieszyć. Nie byłem w stanie zrozumieć, jak którakolwiek dziewczyna mogła się oprzeć Frankowi Richettiemu. Był asystentem Simona Bellforta.

Moses Wartberg nie marnował czasu na głupstwa. Swoim mocnym głosem sprowadził wszystkich na ziemię.

– Nie jestem zadowolony ze scenariusza, który zostawił nam Malomar – powiedział. – Ma złe podejście. To nie jest film Tri-Culture Studios. Malomar był geniuszem, mógł nakręcić taki film, ale my nie mamy nikogo tej klasy.

– No nie wiem, panie Wartberg – wtrącił z czarującym uśmiechem Frank Richetti. – Mamy kilku niezłych reżyserów.

Uśmiechnął się pieszczotliwie do Simona Bellforta.

Wartberg zmroził go spojrzeniem. Richetti zamknął się na dobre. A Bellfort zaczerwienił się i uciekł spojrzeniem w bok.

– Mamy olbrzymi budżet na ten film – kontynuował Wartberg. – Musimy upewnić się co do słuszności inwestycji. Ale nie chcemy, żeby krytycy na nas naskoczyli, że rujnujemy pracę Malomara. Chcemy użyć jego reputacji na rzecz filmu. Houlinan zamieści notatkę w prasie, podpisaną przez nas wszystkich, informującą, że film będzie taki, jak życzył sobie Malomar. Będzie to hołd oddany Malomarowi, jego wielkości i wkładowi do przemysłu filmowego.

Wartberg przerwał, aby Houlinan mógł rozdać kopie notatki prasowej. Zauważyłem, że jest tam piękny nagłówek z symbolem Tri-Culture Studios w jaskrawej czerwieni i czerni.

– Moses, chłopie – wtrącił gładko Kellino – myślę, że powinieneś wspomnieć o tym, że Merlyn i Simon będą pracować ze mną nad nowym scenariuszem.

– Dobra, już wspomniałem – powiedział Wartberg. – I Ugo, pozwól przypomnieć sobie, że masz nie wpierdalać się do produkcji i reżyserii. To nasza sprawa.

– Jasne – zgodził się Kellino.

Jeff Wagon uśmiechnął się, rozpierając się na krześle.

– Ta notatka prasowa to nasze oficjalne stanowisko – rzekł – ale, Merlyn, muszę ci powiedzieć, że Malomar musiał być bardzo chory, kiedy pomagał ci przy tym scenariuszu. Jest okropny. Będziemy musieli napisać go na nowo. Mam kilka pomysłów. Czeka nas mnóstwo pracy. Teraz musimy zapełnić media Malomarem. Dobrze mówię, Jack? – zapytał Houlinana. Ten przytaknął.

Kellino zwrócił się do mnie bardzo szczerze:

– Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracować i zrobimy z tego wspaniały film, tak jak chciał Malomar.

– Nie – powiedziałem – nie mogę tego zrobić. Pracowałem nad scenariuszem z Malomarem. Uważam, że jest dobry. Nie zgadzam się na żadne zmiany i nie podpiszę żadnej notatki prasowej.

– Wszyscy wiedzą, co czujesz – wtrącił się Houlinan. – Byłeś bardzo blisko z Malomarem. Zgadzam się z tobą, to wspaniałe, co mówisz. Taka lojalność to rzadka cecha w Hollywood, ale pamiętaj: dostajesz zysk z dystrybucji. W twoim interesie leży zapewnienie sukcesu temu filmowi. Jeśli nie będziesz przyjacielem filmu, a staniesz się jego wrogiem, pozbawisz się pieniędzy.

Naprawdę musiałem się roześmiać, usłyszawszy ostatnie zdanie.

– Ależ ja jestem przyjacielem filmu. Dlatego właśnie nie będę niczego przepisywał. To wy jesteście jego wrogami.

– Pierdol go – wtrącił ordynarnie Kellino. – Niech spieprza. Nie potrzebujemy jego pomocy.

Po raz pierwszy przyjrzałem się Kellinowi, przypominając sobie opis Osana. Jak zwykle był nienagannie ubrany w doskonale skrojony garnitur, wspa-

niałą koszulę, brązowe buty. Wyglądał pięknie, a ja przypomniałem sobie włoskie słowo Osana określające włoskiego wieśniaka. *Cafone*. „*Cafone* – mówił – to taki chłop z czworaków, który doszedł do wielkiego bogactwa, sławy i stara się dostać do klasy wyższej. Robi wszystko jak należy. Uczy się manier i prawidłowego wysławiania się, ubiera się jak archanioł. Ale niezależnie od tego, jak pięknie się ubiera, ile razy się myje – i tak słoma wystaje mu z butów”. I patrząc na Kellina, byłem zdumiony trafnością opisu.

– Masz to załagodzić – rzucił Wartberg Wagonowi i wyszedł z pokoju. Jakiś gówniany gryzipiórek nie mógł zawracać mu dupy. Przyszedł na spotkanie ze względu na Kellina.

– Podstawą tego projektu jest Merlyn, Ugo – rzekł pojednawczo Wagon. – Na pewno wszystko sobie przemyśli i dołączy do nas. Doran, może spotkalibyśmy się za kilka dni?

– Jasne – odparł Doran. – Zadzwoń do ciebie.

Wstaliśmy. Podałem Kellinowi projekt notatki prasowej.

– Mam tu coś dla ciebie – powiedziałem. – Zapchaj sobie dziury w butach, bo ci słoma z nich wyłazi.

Kiedy wychodziliśmy z Tri-Culture Studios, Doran pocieszał mnie jak mógł. Powiedział, że przez tydzień wszystko załatwi, że ani Wartberg, ani Wagon nie mogą sobie pozwolić, aby mieć we mnie wroga filmu. Pójdą na kompromis. Miałem też nie zapominać o moich procentach.

Powiedziałem, że gówno mnie one obchodzą, i nakazałem, aby jechał szybciej. Wiedziałem, że Janelle czeka na mnie w hotelu, i teraz najważniejsze było dla mnie szybkie spotkanie z nią. Chciałem dotykać jej ciała, całować, kochać się z nią i słuchać jej opowieści.

Cieszyłem się, że miałem wymówkę, aby zostać przez tydzień w Los Angeles i być z nią przez ten czas. Naprawdę film mnie gówno obchodził. Bez Malomara będzie to jeszcze jeden knot wytwórni Tri-Culture.

Doran wysadził mnie przy hotelu, położył mi dłoń na ramieniu i rzekł:

– Poczekaj, muszę ci coś powiedzieć.

– Mów – odparłem niecierpliwie.

– Chciałem ci to dawno powiedzieć, ale nie chciałem się wtrącać.

– Jezu – westchnąłem. – O czym, do diabła, mówisz? Spieszę się.

Doran uśmiechnął się smutno.

– Janelle czeka na ciebie, mam rację? To o Janelle chciałem ci coś powiedzieć.

– Wiem o niej wszystko, nie obchodzi mnie, co robiła i kim była. To nic nie zmienia.

– Czy znasz tę dziewczynę, Alice, u której mieszka?

– Tak – powiedziałem. – Milutka.

– Ona jest trochę lewa – rzekł.

Poczułem nagle dziwne uczucie, podobne zapewne do tego, które odczuwał Cully, gdy liczył karty.

– I co z tego? – spytałem.

– Tak jak Janelle – dodał Doran.

– Chcesz powiedzieć, że jest lesbijką? – zapytałem.

– Biseksualistką to lepsze określenie. Lubi mężczyzn i kobiety.

Zastanawiałem się przez chwilę, po czym uśmiechnąłem się do niego i odparłem:

– Nikt nie jest doskonały.

Wysiadłem z samochodu i poszedłem do swojego apartamentu, gdzie czekała na mnie Janelle. Kochaliśmy się aż do kolacji. Ale tym razem nie prosiłem ją o żadne opowieści. Nie wspomniałem słowem o rozmowie z Doranem. Nie było potrzeby. Wiedziałem o tym od dawna i to potwierdzenie uspokoiło mnie. To lepiej, niż gdyby pieprzyła się z facetami.



# **Księga VI**

## Rozdział 34

Przez te wszystkie lata Cully Cross doskonale rozdawał karty i w końcu szczęście uśmiechnęło się do niego. Teraz był rzeczywiście numerem drugim Xanadu, używającym pełnej władzy „ołówka”. „Złotego ołówka”. Mógł mieć za darmo wszystko, nie tylko pokój, wyżywienie i trunki, czyli standard, ale nawet przeloty samolotowe na całym świecie, luksusowe dziewczęta i na tyle dużą władzę, że mógł zlikwidować weksle klienta. Mógł nawet najlepszym gościom dać w prezencie sporą ilość sztonów Xanadu. Przez te wszystkie lata Gronevelt był dla niego bardziej ojcem niż szefem. Stoczyli wspólnie setki potyczek z przeciwnościami losu. Przegnali piratów, którzy starali się zniweczyć zyski hotelu Xanadu. Święte zyski. Oszustów wekslowych, złodziejasków, którzy chcieli dopomóc fortunie magnesem, fałszerzy, posługujących się podrobionymi dokumentami, nieuczciwych krupierów i tych, którzy podstawiali swoje kości w grze. Cully i Gronevelt poradzili sobie z nimi wszystkimi.

Przez te lata Cully zyskał sobie szacunek Gronevelta dzięki łatwości przyciągania do hotelu klientów. Zorganizował światowy turniej tryktraka w hotelu Xanadu. Zatrzymywał milionowych klientów, ofiarując im na każde Boże Narodzenie nowego rolls-royce'a. Hotel dostawał na nie dużą zniżkę podatkową. Klient był zadowolony, dostając za sześćdziesiąt tysięcy dolarów samochód, który wraz z podatkiem kosztowałby go sto osiemdziesiąt, czyli dwadzieścia procent przegranych. Najlepszym posunięciem Crossa była sprawa Charlesa Hemsiego. Gronevelta jeszcze przez wiele lat zachwycał spryt protegowanego.

Gronevelt, pomimo obiekcji, zezwolił Cully'emu na wykupienie wszystkich weksli Hemsiego po dziesięć centów za dolara. Poparł go. I rzeczywiście, Hemi przyjeżdżał przynajmniej sześć razy do roku i zawsze zatrzymy-

wał się w Xanadu. Pewnego razu miał fantastyczny ciąg i wygrał siedemdziesiąt tysięcy dolarów w crapa. Wykupił tymi pieniędzmi część swych weksli, na czym Xanadu zyskał. I dopiero wtedy Cully pokazał swój geniusz. Kiedyś Charlie Hemsy wspomniiał, że jego syn ma się ożenić z dziewczyną z Izraela. Cully był uradowany i nalegał, aby pozwolił hotelowi Xanadu zorganizować całą uroczystość. Cully powiedział Hemsiemu, że odrzutowiec hotelowy (jeszcze jeden pomysł Cully'ego) zawiezie wszystkich gości do Izraela; Xanadu zapłaci też za hotel, sfinansuje przyjęcie weselne, orkiestrę i pokryje wszystkie wydatki. Był w tym jeden haczyk. Aby pojechać samolotem do Izraela, goście weselni, pochodzący z różnych stron Stanów Zjednoczonych, będą musieli przyjechać do Las Vegas. Ale nie ma obawy – wszyscy zostaną bezpłatnie zakwaterowani w hotelu Xanadu.

Cully skalkulował koszty ich pobytu na dwieście tysięcy dolarów. Przekonał Gronevelta, że to się opłaci, a nawet jeśli nie, to i tak Charlie Hemsy i jego syn zostaną im wierni do końca życia. Tymczasem okazało się, że był to złoty interes. Ponad setka gości weselnych przybyła do Vegas, a zanim odlecieli do Izraela, zostawili w kasie prawie milion dolarów.

Dzisiaj Cully miał przedstawić Groneveltowi jeszcze lepszy system ściągania pieniędzy. Taki, który zmusi Gronevelta i jego partnerów do powierzenia mu funkcji generalnego dyrektora hotelu Xanadu, dzięki czemu zostałby najbardziej wpływową osobą po Gronevelcie. Czekał na Fummirę. Od ostatnich dwóch wypadów nazbierało się trochę jego weksli i miał kłopoty z uregulowaniem rachunku. Cully wiedział dlaczego, i wiedział, jak temu zaradzić. Ale wiedział także, że to Fummiro musi przejąć inicjatywę, ponieważ poczuły się dotknięty, gdyby propozycja wyszła od Cully'ego. Daisy mu to powiedziała.

W końcu Fummiro przybył do miasta, grywał rankiem na pianinie i pijał na śniadanie zupę. Nie interesowały go kobiety. Nastawił się na hazard i w trzy dni przegrał całą gotówkę oraz podpisał weksel na trzysta tysięcy dolarów. Przed wyjazdem zaprosił Cully'ego do swojego apartamentu. Był bardzo uprzejmy i trochę zdenerwowany. Nie chciał stracić twarzy. Bał się, aby Cully nie pomyślał, że nie zamierza płacić swoich długów. Bardzo ostrożnie wyjaśnił Cully'emu, że chociaż ma w Tokio mnóstwo pieniędzy i milion dolarów to dla niego pestka, problem stanowiło wydostanie gotówki z Japonii

i zamiana japońskich jenów na dolary amerykańskie.

– Tak więc panie Cross. – powiedział Cully’emu – gdyby zechciał pan przyjechać do Japonii, wypłaciłbym panu należność w jenach, a jestem pewien, że pan znajdzie sposób, żeby zawieźć pieniądze do Ameryki.

– Panie Fummiro, naprawdę nie ma pośpiechu – zapewniał Cully. – Pański kredyt jest ważny. Ten milion dolarów może poczekać do pana następnego przyjazdu do Vegas, to nie problem. Zawsze radzi jesteśmy gościć pana u nas. Proszę się nie martwić. Proszę zdać się na mnie i jeśli jest cokolwiek, na co miałby pan ochotę, postaram się to zorganizować zgodnie z pana życzeniem. To zaszczyt dla nas być pańskim wierzycielem.

Na przystojnej twarzy Fummiry pojawił się wyraz ulgi. Nie prowadził interesów z barbarzyńskim Amerykaninem, ale z kimś, kto jest prawie tak uprzejmy jak Japończyk.

– Panie Cross, a może by mnie pan odwiedził? – zaproponował. – Świetnie się pan zabawi w Japonii. Zaprowadzę pana do domu gejsz, będzie pan miał najlepsze jedzenie, alkohol, kobiety. Będzie pan moim osobistym gościem i chociaż w części odwdzięczę się za gościnność, której zawsze tutaj doświadczam. Poza tym będę mógł zwrócić panu milion dolarów.

Cully wiedział, że w Japonii obowiązywało surowe prawo dla każdego, kto próbował wywieźć z kraju jeny. Fummiro zatem proponował mu przestępstwo. Cully czekał i tylko kiwał głową, pamiętając stale o uśmiechu.

– Chciałbym coś dla pana zrobić – mówił dalej Fummiro. – Ufam panu całą duszą i to jest jedyny powód, dla którego to mówię. Mój rząd jest bardzo rygorystyczny w sprawie wywozu jenów. Chciałbym również wydostać moje własne pieniądze. Czy zgodziłby się pan oprócz miliona dla hotelu wziąć też milion dla mnie i przyjąć ode mnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów za przysługę?

Cully odczuwał słodką satysfakcję jak po pierwszorzędnym rozdaniu. Powiedział szczerze:

– Panie Fummiro, zrobię to z czystej przyjaźni do pana. Ale oczywiście muszę porozmawiać z panem Groneveltem.

– Oczywiście – zgodził się Fummiro. – Ja także z nim rozmawiam.

Cully zaraz zadzwonił do apartamentu Gronevelta, ale telefonistka poinformowała go, że Gronevelt jest zajęty i przez całe popołudnie nie przyjmuje telefonów. Zostawił wiadomość, podkreślając pilność sprawy. Czekał w swoim biurze. Trzy godziny później zadzwonił telefon. To był Gronevelt, zapraszał

go do swojego apartamentu.

Gronevelt bardzo się zmienił w ciągu ostatnich kilku lat. Zdrowy rumieniec zastąpiła upiorna bladość. Jego twarz przypominała szlachetnego jastrzębia. Szybko się postarzał; Cully coraz rzadziej widywał dziewczęta wychodzące z jego mieszkania. Zdawał się coraz bardziej zainteresowany książkami i większość spraw zostawiał na głowie Cully'ego. Niezmiennie jednak każdej nocy schodził do kasyna i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku, obserwował krupierów i szefów sal swym jastrzębim wzrokiem. I wciąż potrafił ściągnąć całą energię kasyna do swego wątego ciała. Gronevelt był już ubrany do zejścia na dół. Manipulował coś przy wyłączniku maszyny tłoczącej do sali czysty tlen. Naciśnie ten przycisk po północy, kiedy klienci są zmęczeni i marzą o pójściu do łóżek. Ożywi ich, jak gdyby byli kukiełkami. Dopiero rok temu polecił umieścić ten przełącznik w swoim apartamencie.

Gronevelt zamówił kolację. Cully był spięty. Dlaczego Gronevelt kazał mu czekać aż trzy godziny? Czy najpierw rozmawiał z Fummirą? Instynkt powiedział mu, że tak. Czuł się zlekceważony: ci dwaj byli tak potężni, a on jeszcze nie osiągnął ich poziomu; czyżby dogadali się bez konsultacji z nim?

– Domyślam się, że Fummiro rozmawiał już z tobą. Powiedziałem mu, że muszę najpierw spytać cię o zdanie – zagał Cully.

Gronevelt uśmiechnął się.

– Cully, mój chłopcze, jesteś cudowny. Sam bym tego lepiej nie załatwił. Wyczekałeś, aż żółtek sam do ciebie przyjdzie. Obawiałem się, że możesz zacząć się niecierpliwić z powodu stosu weksli w kasie.

– To przez moją dziewczynę, Daisy. Zrobiła ze mnie obywatela Japonii.

Gronevelt zmarszczył brwi.

– Kobiety są niebezpieczne – powiedział. – Mężczyźni tacy jak ja i ty nie mogą sobie pozwolić na zżycie się z jakąś kobietą. To nasza siła. Kobiety mogą bez powodu wydać cię na śmierć. Mężczyźni są rozsądniejsi i godni zaufania. – Westchnął. – Cóż, w twoim wypadku nie muszę się o to martwić. Rozdajesz pszczołki na prawo i lewo. – Westchnął raz jeszcze, pokiwał głową i wrócił do meritum sprawy. – Jedynym słabym punktem całej operacji jest to, że nigdy nie znaleźliśmy bezpiecznej drogi przerzutowej dla forsy z Japonii. Mamy tam fortunę w wekslach, ale nie dałbym złamanego szeląga za te papiery. Mamy całą masę kłopotów. Po pierwsze: jeśli cię złapią, odbędziesz kilka lat w kiciu. Po drugie: odbierając pieniądze, staniesz się celem dla porywaczy. Japońscy kryminaliści mają doskonały wywiad. Od razu do-

staną cynk. Po trzecie: dwa miliony dolarów w jenach to olbrzymia waliza. W Japonii prześwielają bagaż. Jak masz zamiar zamienić je na dolary? Jak dostaniesz się do Ameryki i, chociaż myślę, że się to nie zdarzy, jak ustrzec cię przed rodzimymi porywaczami? Pracownicy hotelu dowiedzą się, że pojechałeś po pieniądze. Nie mogę gwarantować dyskrecji moich współników. Możesz stracić pieniądze przez czysty przypadek. Oto twoje położenie, Cully. Jeśli stracisz pieniądze, będziesz uważany za zdrajcę, chyba że cię zabiją.

– Przemyślałem to wszystko – powiedział Cully. – Sprawdziłem weksle i przekonałem się, że mamy jeszcze przynajmniej dwa miliony dolarów u innych japońskich graczy. Razem będzie tego ze cztery miliony.

Gronevelt zaśmiał się.

– Twoja wyprawa to niesamowite ryzyko. Z nikłymi szansami na powodzenie.

– Cóż, może nie jedna podróż, ale dwie, trzy? Najpierw muszę się zorientować, jak mam to rozegrać.

– Zawsze ryzykujesz. O ile mi wiadomo, nic z tego nie masz. Jeśli ci się uda, niczego nie zyskasz. Jeśli się nie uda, stracisz wszystko. I wówczas zostaną zaprzepaszczone lata nauki. Dlaczego więc chcesz to zrobić?

– Posłuchaj, zrobię to sam, bez niczyjej pomocy. Poniosę odpowiedzialność, jeśli coś pójdzie nie tak. Ale jeśli przywiozę ci cztery miliony dolarów, to chciałbym zostać dyrektorem naczelnym. Wiesz, że jestem twoim człowiekiem. Nigdy nie wystąpię przeciw tobie.

– To bardzo ryzykowna gra – westchnął Gronevelt. – Wcale mi się to nie podoba.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz? – Starął się ukryć podniecenie w głosie. Nie chciał, aby Gronevelt wiedział, jak bardzo mu na tym zależy.

– Tak – odparł Gronevelt – ale odbierz tylko dwa miliony od Fummiry. Pozostałą forszę zostaw.

Cully zaśmiał się.

– Tracimy tylko milion, drugi jest własnością Fummiry, pamiętasz?

Gronevelt odpowiedział zupełnie poważnie:

– Wszystko jest nasze. Kiedy forsa znajdzie się w naszej kasie, Fummiro od razu ją przegra. To przemawia na korzyść tego przedsięwzięcia.

Następnego dnia rano Cully odwiózł Fummirę rolls-royce'em Gronevelta

na lotnisko. Miał cenny prezent dla niego – autentyczną skarbonkę w stylu włoskiego renesansu. Skarbonka była pełna złotych monet. Fummiro był wniebowzięty, ale Cully wyczuł w jego zachwytach łobuzerskie rozbawienie.

W końcu Fummiro zapytał:

– Kiedy przyjedzie pan do Japonii?

– W ciągu półtora miesiąca – odparł Cully. – Nawet pan Gronevelt nie będzie znał dokładnej daty. Rozumie pan dlaczego.

– Tak, musi pan być ostrożny. Natychmiast przygotuję pieniądze.

Po powrocie do hotelu Cully zadzwonił do Nowego Jorku, do Merlyna.

– Merlyn, stary, co myślisz o wspólnej, darmowej wyprawie na gejsze do Japonii?

Po drugiej stronie zaległa długa cisza, po czym Cully usłyszał głos Merlyna:

– Super.

## Rozdział 35

Wycieczkę do Japonii uważałem za świetny pomysł. W następnym tygodniu i tak musiałem udać się do Los Angeles, aby popracować nad filmem. Poza tym ostatnio często kłóciłem się z Janelle i chciałem od niej trochę odpocząć. Wiedziałem, że mój wyjazd do Japonii potraktuje jak osobistą obrazę, i to mnie cieszyło.

Valerie zapytała, na jak długo się wybieram, a ja odparłem, że na tydzień. Jak zwykle nie miała nic przeciwko temu. W gruncie rzeczy zawsze cieszyły ją moje wyjazdy. W domu byłem zbyt irytujący, grałem wszystkim na nerwach. Valerie spędzała z dziećmi mnóstwo czasu u rodziny.

W Las Vegas Cully czekał na mnie przy rolls-roycie na płycie lotniska, abym nie musiał przechodzić przez terminal. Od razu zapaliło mi się ostrzegawcze światełko.

Kiedyś Cully opowiadał mi, dlaczego odbierają niektórych gości z płyty lotniska. Chcieli uniknąć fotografowania przyjezdnych przez agentów FBI.

Wszystkie korytarze schodziły się w głównej poczekalni z dużym zegarem. Za tym zegarem została zamontowana specjalna kamera, rejestrująca twarze przyjezdnych z całego świata, ochoczo ruszających do kasyn. W nocy film zostaje wywołany i skonfrontowany z listami gończymi FBI. Niefrasobliwi kasiarze, uciekający defraudanci, fałszerze pieniędzy, porywacze i szantażyści są zdumieni, kiedy zgarniają ich bez szansy postawienia nieuczciwie zarobionych pieniędzy.

Gdy spytałem Cully'ego, skąd o tym wie, powiedział mi, że były agent FBI pracuje w ochronie hotelu. Proste jak drut.

Cully sam prowadził samochód. Nie było szofera. Objechał lotnisko i stanął przed terminalem, abym mógł odebrać bagaż. Kiedy czekaliśmy, Cully mnie instruował.



Po pierwsze ostrzegł mnie, abym nie mówił Groneveltowi, że wyjeżdżamy do Japonii nazajutrz rano. Miałem udawać, że przyjechałem z wizytą czysto towarzyską. Następnie wprowadził mnie w tajniki ryzykownej misji przeszmuglowania dwóch milionów dolarów z Japonii. Był bardzo szczery.

– Słuchaj, uważam, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, ale ty możesz mieć odmienne zdanie. Dlatego zrozumieć, jeśli nie będziesz chciał ze mną lecieć.

Wiedział, że nie było mowy, abym mu odmówił. Byłem mu winny przysługę; w gruncie rzeczy dwie przysługi. Po pierwsze: wyciągnął mnie z więzienia. Po drugie: przechował dla mnie trzydzieści tysięcy. Oddał mi trzydzieści tysięcy w dwudziestodolarowych banknotach, które wpłaciłem na konto w Vegas. Miałem twierdzić, że wygrałem je w kasynie i w razie czego byli na to świadkowie. Ale nigdy nie było to potrzebne. Cały skandal z rezerwą umarł śmiercią naturalną.

– Zawsze chciałem zobaczyć Japonię – powiedziałem. – Mogę być twoim gorylem. Czy będę miał spluwę?

Cully był przerażony.

– Chcesz, żeby nas wykończyli? Kurwa, jeśli będą chcieli nam zabrać forszę, i tak to zrobią. Naszą polisą ubezpieczeniową jest tajemnica i szybkość operacji. Mam wszystko opracowane.

– Po cóż ci więc jestem potrzebny? – zapytałem.

Byłem zaintrygowany i trochę niespokojny. To nie trzymało się kupy.

– To cholernie długa podróż – westchnął Cully. – Potrzebuję towarzystwa. Możemy zrobić bibę w samolocie i zabawić się w Tokio. Poza tym jesteś potężnym facetem, więc jeśli jakieś oprychy nas zaczepią, ty ich wystraszysz.

– No dobra – powiedziałem. – Ale i tak czułem, że coś tu śmierdzi.

Wieczorem zjedliśmy kolację w towarzystwie Gronevelta. Nie wyglądał dobrze, ale był w świetnym nastroju i opowiadał swoje przygody z pierwszych dni w Vegas. O tym, jak zbił fortunę, zanim rząd nasłał na Nevadę armię szpicli i księgowych.

– Trzeba się bogacić po kryjomu – powiedział Gronevelt. Miał na tym punkcie bzika, tak samo jak Osano na punkcie Nagrody Nobla.

– W tym kraju wszyscy muszą się bogacić po cichu. Tysiące małych sklepików i firm stara się uszczknąć co nieco, wielkie kompanie tworzą legalne obszary podatkowej ciszy. Żadne z nich jednak nie ma takich możliwości jak Vegas. – Gronevelt uciął końcówkę cygara i dodał z satysfakcją: – Dlatego

Vegas jest takie potężne. Można się tutaj wzbogacić o wiele szybciej niż gdzie indziej. To jest potęga.

– Merlyn zostaje tylko na jedną noc – rzekł Cully. – Myślę, że polecimy jutro do Los Angeles, aby kupić trochę antyków. Chcę też spotkać się z tymi z Hollywood w sprawie weksli.

Gronevelt wypuścił smugę dymu ze swojej hawany.

– Dobra myśl – powiedział. – Kończą mi się prezenty. – Zaśmiał się. – Wiecie, skąd wzięłem pomysł na rozdawanie prezentów? Z książki z tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku dotyczącej hazardu. Edukacja to potęga. – Westchnął i podniósł się z miejsca. Był to sygnał dla nas. Uścisnął mi dłoń i następnie dwornie odprowadził nas do drzwi. Kiedy wychodziliśmy, Gronevelt powiedział do Cully’ego grobowym głosem:

– Powodzenia.

Staliśmy z Cullym na skąpanej w świetle księżyca sztucznej trawie tarasu. Widzieliśmy Strip z milionami czerwonych i zielonych świateł i odległe pustynne góry.

– On wie – powiedziałem do niego.

– Jak wie, to wie – odrzekł Cully. – Śniadanie o ósmej. Musimy wcześniej wyruszyć.

Następnego ranka poleciliśmy z Las Vegas do San Francisco. Cully wziął ze sobą elegancką walizkę z brązowej skóry z mosiężnymi okuciami na rogach i opasaną mosiężną taśmą. Zamek też wyglądał na ciężki. Wyglądała potężnie i solidnie.

– Nie otworzy się przez przypadek – zachwalał ją Cully. – I będzie ją nam łatwo zauważyć w bagażowni.

Nigdy nie widziałem podobnej walizki i to mu powiedziałem.

– To antyk. Kupiłem ją w Los Angeles – wyjaśnił chełpliwie.

Wskoczyliśmy do boeinga 747 japońskich linii lotniczych na piętnaście minut przed odlotem. Było to celowe. Podczas podróży ograłem go na sześć tysięcy dolarów w oko. Cully najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Tylko poklepał mnie po plecach, mówiąc:

– Odegram się w drodze powrotnej.

Z lotniska pojechaliśmy do hotelu taksówką. Bardzo chciałem zobaczyć wspaniałości wschodniego miasta, a tymczasem wyglądało ono jak brudniej-

szy i bardziej zadymiony Nowy Jork. Było także ciaśniejsze, a ludzie mniejsi, budynki bardziej płaskie, jego panorama o świcie przypominała mi miniaturową panoramę Nowego Jorku. Kiedy dotarliśmy do centrum miasta, zobaczyłem ludzi noszących białe maski chirurgiczne. Wyglądali niesamowicie. Cully wyjaśnił mi, że w dużych aglomeracjach Japończycy noszą takie maski, aby ustrzec się przed infekcją dróg oddechowych spowodowaną dużym zanieczyszczeniem powietrza.

Mijaliśmy budynki i sklepy zbudowane z drewna, wyglądające zupełnie jak dekoracje na planie filmowym. Tuż obok nich wyrastały nowoczesne wieżowce. Ulice wypełniali po brzegi ludzie. Wielu z nich nosiło zachodnie stroje, inni, głównie kobiety – kimona. Opętańczy kolaż stylów.

Hotel bardzo nas rozczarował. Był nowoczesny i bardzo amerykański. Wielki hall wyłożony brązową wykładziną i olbrzymie, czarne, skórzane fotele. W fotelach, ściskając aktówki, siedzieli Japończycy ubrani w garnitury. Mógł to równie dobrze być hotel Hilton w Nowym Jorku.

– To ma być ten Orient? – zapytałem Cully’ego.

Cully potrząsnął niecierpliwie głową.

– Teraz prześpiemy się trochę. Jutro załatwimy interesy, a wieczorem pokażę ci, jak naprawdę wygląda Tokio. Zabawimy się super. Nie martw się.

Dostaliśmy apartament z dwoma sypialniami. Rozpakowaliśmy bagaże. Zauważyłem, że Cully ma niewiele rzeczy w swoim mosiężnym potworze. Obu nas zmęczyła podróż i, mimo iż była dopiero szósta, poszliśmy spać.

Następnego dnia obudziło mnie pukanie do drzwi. To był Cully.

– Czas wstawać – powiedział. Za oknem dopiero co wstał świt.

Zamówił śniadanie do pokoju, co mnie rozczarowało. Zaczęło do mnie docierać, że nie zobaczę zbyt wiele Japonii. Dostaliśmy jajka na bekonie, kawę, sok pomarańczowy i nawet angielskie bułeczki. Orientalne były tylko naleśniki. Duże i dwa razy grubsze od normalnych. Przypominały bardziej chleb i miały niespotykany bladożółty kolor. Skosztowałem jeden i przysięgam, że smakował jak ryba.

– Co to, do diabła, jest? – spytałem Cully’ego.

– Naleśniki smażone na rybim oleju.

– Poddaję się – powiedziałem i popchnąłem talerz w jego stronę.

Cully zjadł je ze smakiem.

– Trzeba się tylko przyzwyczaić – rzekł.

– Jaki mamy plan? – spytałem go przy kawie.

– Jest piękny dzień. Przejdziemy się i wszystko ci wyłożę.

Zrozumiałem, że nie chce rozmawiać w pokoju. Obawiał się podsłuchu.

Wyszliśmy z hotelu. Wciąż był wczesny poranek, słońce dopiero wzeszło. Skręciliśmy w przecznicę i nagle znalazłem się w Oriencie. Jak okiem sięgnąć, widziałem małe budki, a wzdłuż krawężników, tworząc ścianę, piętrzyły się stosy zielonych śmieci.

Na ulicy było bardzo mało ludzi. Obok nas przejechał na rowerze mężczyzna; czarne kimono łopotało za nim na wietrze. Przed nami nagle wyrosło dwóch żylastych mężczyzn odzianych w spodnie i bluzy koloru khaki, w maskach z gazy. Aż podskoczyłem, a Cully zaśmiał się, gdy zniknęli po drugiej stronie ulicy.

– Jezu – powiedziałem – te maski są przerażające.

– Przywykniesz do nich. A teraz słuchaj: chcę, abyś znał dokładnie cały plan. Nie możemy popełnić błędu.

Podczas spaceru wzdłuż ściany szarozielonych śmieci Cully wyjaśnił mi, jak ma zamiar przeszmugłować dwa miliony dolarów w japońskich jenach. Rząd uchwalił bardzo surowe prawa odnośnie do wywożenia miejscowej waluty.

– Jeśli mnie złapią, pójdę do więzienia – powiedział. – Chyba że Fummiro będzie mógł to załatwić. Albo Fummiro pójdzie do więzienia razem ze mną.

– A co ze mną? – zapytałem. – Jeśli ciebie złapią, to mnie nie?

– Jesteś znanym pisarzem. Japończycy żywią wielki szacunek dla kultury. Po prostu wywalą cię z kraju. Tylko nie puszczaj pary z gęby.

– A więc jestem tutaj tylko po to, żeby dobrze się bawić? – zapytałem. Wiedziałem, że ściemnia, i pragnąłem mu to okazać. Interesowała mnie jeszcze jedna rzecz. – A jak niby przedostaniemy się przez kontrolę celną w Stanach? – zapytałem.

– Nie przedostaniemy się. Ukryjemy pieniądze w Hongkongu. To wolne miasto. Kontrola celna prześwietla jedynie tych z paszportami z Hongkongu.

– Jezu, teraz mi mówisz, że lecimy do Hongkongu? Dokąd, kurwa, dalej, do Tybetu?

– Bądź poważny – powiedział Cully. – Nie panikuj. Zrobiłem to rok temu z mniejszą sumą pieniędzy.

– Zdobądź dla mnie spluwę. Mam żonę i trójkę dzieci. Daj mi szansę obrony – śmiałem się. Podobało mi się to.

Ale Cully nie wiedział, że żartuję.

– Nie możesz nosić broni – powiedział. – Każda japońska linia lotnicza ma elektroniczny system kontroli osób i bagażu. Poza tym większość z nich prześwietla bagaż. – Przerwał na chwilę i dodał: – Jediną linią lotniczą, która tego nie robi, jest Cathay, a więc jeśli mi się coś stanie, wiesz, co robić.

– Mogę sobie wyobrazić siebie w Hongkongu z dwoma milionami dolców – powiedziałem. – I z milionem pierdolonych toporków w karku.

– Nie martw się. Nic się nie stanie. Będzie ekstra.

Śmiałem się, ale nie przestałem się martwić.

– A jeśli coś się stanie – zapytałem – co mam zrobić w Hongkongu?

– Idź do banku Futaba i proś wiceprezesa. Weźmie jeny, zamieni forszę na dolary z Hongkongu, da ci kwit i odliczy swoje dwadzieścia patyków. Następnie zamieni dolary z Hongkongu na amerykańskie, potrąci sobie pięćdziesiąt tysięcy i znowu da ci kwit. Amerykańskie dolary zostaną przesłane do Szwajcarii i dostaniesz kolejny kwit. Tydzień później hotel Xanadu otrzyma wyciąg z konta banku szwajcarskiego, pomniejszony o opłatę bankową. Widzisz, jakie to proste?

W drodze powrotnej do hotelu myślałem nad tym, co mi powiedział. W końcu wróciłem do swego pierwotnego pytania.

– Po cóż, do diabła, jestem ci potrzebny?

– Nie zadawaj więcej pytań, po prostu rób, co ci mówię – uciał Cully. – Jesteś mi winny przysługę. Racja?

– Racja – odparłem i nie zadawałem więcej pytań. Kiedy wróciliśmy do hotelu, Cully zadzwonił w kilka miejsc, porozmawiał sobie po japońsku, a następnie powiedział mi, że wychodzi.

– Powinienem wrócić około piątej po południu – rzekł – ale mogę się trochę spóźnić. Czekaaj na mnie w pokoju. Gdybym nie wrócił do wieczora, złap ranny samolot do domu. Dobra?

– Dobra.

Zamknąłem się w sypialni i starałem się czytać, ale wydawało mi się, że słyszę hałasy w bawialni, więc się tam przeniosłem. Zamówiłem do pokoju lunch, a potem rozmowę ze Stanami. Połączenie trwało zaledwie kilka minut, co mnie zdumiało. Myślałem, że zajmie przynajmniej pół godziny.

Valerie od razu podniosła słuchawkę i z jej głosu wywnioskowałem, że jest zadowolona z rozmowy ze mną.

– Jak tam Orient? – zapytała. – Dobrze się bawisz? Byłeś już w domu gejsz?

– Jeszcze nie, jak na razie widziałem tylko tokijskie śmieci o poranku. Czekam na Cully’ego. Wyszedł w interesach. Poza tym wygrałem od niego sześć patyków w oko.

– Świetnie – powiedziała Valerie – możesz kupić nam te cudowne kimona. Ach, słuchaj, dzwonił do mnie ktoś, kto przedstawił się jako wasz przyjaciel z Vegas. Chciał z tobą rozmawiać. Powiedziałam mu, że jesteś w Tokio.

Serce we mnie zamarło.

– Przedstawił się? – zapytałem obojętnie.

– Nie. Nie zapomnij o naszych prezentach.

Całe popołudnie spędziłem na zamartwianiu się. Telefonicznie zarezerwałem bilet na samolot do Stanów na następny dzień. Nagle przestałem wierzyć w powrót Cully’ego. Sprawdziłem jego sypialnię. Wielka walizka z moimi okuciami zniknęła.

Zaczął zapadać zmrok, gdy Cully wrócił do apartamentu.

Zacierał dłonie i był podniecony.

– Wszystko załatwione – powiedział. – Nie ma się czego obawiać. Dzisiaj się zabawimy, a jutro dopełnimy reszty. Pojutrze będziemy już w Hongkongu.

– Dzwoniłem do żony – powiedziałem. – Ucieliśmy sobie miłą pogawędkę. Podobno dzwonił jakiś facet z Vegas, pytając, gdzie jestem. Poinformowała go, że w Tokio.

Ostudziło go to trochę. Zamyślił się na chwilę. Wzruszył ramionami.

– To wygląda na sprawkę Gronevelta – powiedział. – Upewnia się, czy przecucie go nie myliło. Tylko on ma twój numer telefonu.

– Ufasz Groneveltowi? – zapytałem Cully’ego. I od razu zdałem sobie sprawę, że przekroczyłem dozwoloną granicę.

– Co, kurwa, masz na myśli? – zapytał Cully. – Przez te wszystkie lata był mi jak ojciec. Stworzył mnie. Kurczę, ufam mu bardziej niż komukolwiek, nawet tobie.

– Dlaczego wobec tego nie powiedziałaś mu, że wyjeżdżamy? Wciskałeś mu tylko kit o jakichś antykach w Los Angeles.

– Ponieważ tak mnie nauczył działać. Nigdy nikomu nie mów niczego, o czym nie musi wiedzieć. Będzie ze mnie dumny, nawet jeśli się dowie. Zrobiłem wszystko jak należy. No chodź już – powiedział, zmieniawszy temat. – Ubieraj się. Dzisiejsza noc będzie najlepsza w twoim życiu.

Z jakiegoś powodu przypomniał mi się Eli Hemi.

Jak każdy, kto widział filmy o Oriencie, dużo sobie obiecywałem po wizycie w domu gejsz: piękne, utalentowane kobiety, złożone w ofierze mej rozkoszy. Kiedy Cully powiedział mi, że mamy być zabawiani przez gejsze, spodziewałem się, że zabierze mnie do jednego z domów o orientalnie zwieńczonych dachach i bogato zdobionych ścianach, jakie widziałem w kinie. Dlatego byłem zdziwiony, gdy szofer zatrzymał się przed małą restauracją na jednej z głównych ulic Tokio. Dom wyglądał jak chińska knajpa w dolnej części Manhattanu. Ale maître zaprowadził nas przez zatłoczoną restaurację do prywatnej jadalni.

Pokój był urządzony w japońskim stylu. Z sufitu zwisały kolorowe lampiony; długi stół, nieznacznie tylko wzniesiony ponad podłogę, pokrywała barwna zastawa, małe kubeczki i pałeczki z kości słoniowej. W pokoju było czterech Japończyków ubranych w kimona, wśród nich pan Fummiro. Wymienili z Cullym uścisk dłoni, pozostali skłonili się. Cully przedstawił mi ich wszystkich. Widziałem Fummirę grającego w Vegas, ale nigdy nie poznałem go osobiście.

Drobnymi kroczkami do pokoju weszło siedem dziewcząt. Były pięknie ubrane w ciężkie wyszywane brokatem i ozdobione jaskrawymi kwiatami kimona. Ich twarze pokrywała gruba warstwa białego pudru. Usiadły na pufach wokół stołu. Dla każdego z nas jedna.

Naśladując Cully'ego, usiadłem przy stole na jednym z pufów. Służące wniosły duże tace z rybami i warzywami. Każda gejsza karmiła „swojego” mężczyznę. Używały pałeczek z kości słoniowej, porcjując rybę i drobne pasemka zielonych warzyw. Wycierały nam usta i twarze małymi serwetkami przypominającymi ręczniczki do twarzy. Były nasączone jakimś pachnidłem i wilgotne.

Moja gejsza siedziała bardzo blisko, opierając się o mnie całym ciałem; gestami i uśmiechem zachęcała mnie do jedzenia i picia. Napełniała moją czarstkę winem – jak się domyśliłem, było to słynne sake. Wino smakowało wyśmienicie, ale jedzenie było zbyt rybnie jak na mój gust. Dopiero później wnieśli półmiski z wołowiną *Kobe* pociętą w kostki, i polaną pysznym sosem.

Obserwując z bliska moją gejszę, przekonałem się, że to urocze dziewczę ma około czterdziestki. Chociaż napierała na mnie całym ciałem, nie czułem

niczego poza kimonem; była owinięta jak mumia egipska.

Po posiłku dziewczęta poczęły nas zabawiać. Jedna z nich grała na instrumencie muzycznym przypominającym flet. Wtedy byłem już tak wstawiony, że ta dziwna, nieznana muzyka brzmiała w moich uszach jak dźwięk kobzy. Druga gejsza recytowała coś, co prawdopodobnie było wierszem. Wszyscy mężczyźni bili brawo. Wtedy wstała moja gejsza. Okrzykiem dodałem jej otuchy. Zaczęła fikać kozły.

Przeraziła mnie jak jasna cholera, robiąc to tuż przy mojej głowie. Następnie wykonała podobne akrobacje obok Fummiry. Ten złapał ją w locie i starał się skrać całusa, tak to przynajmniej wyglądało. Byłem zbyt pijany, żeby dostrzec wszystkie szczegóły. Ale ona ostudziła jego zapędy, klepiąc go delikatnie po policzku. Oboje wybuchnęli szczerym śmiechem.

Następnie gejsze zorganizowały mężczyznom gry i zabawy. Byłem szczerze zdumiony, widząc zabawę polegającą na tym, że należało z rękami założonymi na plecy ugryźć pomarańczę. Z jednej strony mężczyzna, z drugiej kobieta. Gdy starali się dokonać tej sztuki, ich twarze ocierały się o siebie pieśczośliwie, co wywoływało chichot dziewcząt.

– Kurczę, za chwilę będziemy bawić się w butelkę – szepnął do mnie Cully. Uśmiechnął się do Fummiry, który bawił się świetnie, krzycząc na gejsze i starając się je złapać. Były jeszcze inne gry z piłkami i pałeczkami, które podobały mi się nie mniej niż Fummirze. W pewnej chwili padłem na poduszki, a moja gejsza kołysała moją głowę, ocierając czoło naperfumowaną, gorącą chustką.

Następną rzeczą, którą pamiętam, jest podróż z Cullym przez miasto. Mijailiśmy ciemne ulice. Samochód zatrzymał się przed jakąś posiadłością na przedmieściach. Cully podszedł do bramy, która otwarła się w magiczny sposób. I wtedy zobaczyłem prawdziwie orientalny dom. Weszliśmy do pokoju, w którym jedyny „mebel” stanowiły maty na podłodze. Ściany były z cienkiego drewna, rozsuwane jak drzwi.

Upadłem na jedną z mat. Chciałem spać. Cully przykucnął obok.

– Zostajemy tutaj na noc – wyszeptał. – Obudzę cię rano. Zostań tutaj, wyśpij się. Zajmą się tobą. – Za nim zobaczyłem uśmiechniętą twarz Fummiry.

Zanotowałem, że Fummiro nie był już pijany, i to zaniepokoiło mnie bardzo. Starłem się podnieść z maty, ale Cully pchnął mnie z powrotem. I wtedy usłyszałem głos Fummiry: „Pański przyjaciel potrzebuje towarzystwa”. Opadłem z powrotem na matę. Byłem zbyt zmęczony. Guzik mnie to wszyst-



ko obchodziło. Zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie dźwięk odsuwanych drzwi. W przyćmionym świetle lampionów zobaczyłem dwie młode Japonki, w niebieskim i żółtym kimonie, wchodzące do pokoju. Niosły małą balię pełną parującej wody. Rozebrały mnie i umyły od stóp do głów, masując i ugniatając palcami każdy mój mięsień. Kiedy to robiły, dostałem erekcji, co wywołało ich chichot, jedna poklepała mnie czule w tym miejscu. Następnie zniknęły, zabierając ze sobą balię.

Byłem na tyle rozbudzony, że zacząłem się zastanawiać, gdzie, do diabła, jest Cully, ale nie byłem wystarczająco trzeźwy, aby go szukać. Niech i tak będzie. Drzwi rozsunęły się ponownie. Tym razem była to jedna dziewczyna. W mig odgadłem, jakie miała zadanie.

Była ubrana w szczelnie zakrywające ciało zielone kimono. Miała piękną, podkreśloną makijażem, egzotyczną twarz. Jej gęste, kruczoczarne włosy spinał błyszczący grzebień, który wyglądał, jakby był wykonany ze szlachetnych kamieni. Podeszła do mnie i zanim przyklękła, dostrzegłem, że jest bosa i ma pięknie uformowane, małe stopy, z paznokciami pomalowanymi na ciemnoczerwony kolor.

Światła jakby jeszcze bardziej przygasły i nagle stanęła przede mną nago. Miała mlecznobiałą skórę i małe, lecz pełne piersi. Jasnoróżowe sutki wyglądały jak pokryte różem. Schyliła się, wyciągnęła grzebień z włosów i potrząsnęła głową. Długie, czarne włosy niemal przykryły mnie całego. Pochyliła się i zaczęła całować i lizać moje ciało. Czulem, jak jej aksamitne włosy dotykają skóry moich ud. Położyłem się. Miała gorące usta i szorstki język. Starłem się podnieść, ale przyciskała mnie do maty. Kiedy skończyła, wyciągnęła się obok mnie, kładąc moją głowę na swych piersiach. W nocy zbudziłem się i kochałem z nią jeszcze raz. Oplatała mnie nogami i ruszała się bardzo energicznie, jakby była to sroga bitwa pomiędzy naszymi organami płciowymi. To było pieprzenie nie na żarty. Kiedy skończyła, krzyknęła cicho i zsunęliśmy się z maty. Po chwili zasnęliśmy objęci.

I znów wyrwał mnie ze snu dźwięk odsuwanej ściany. Pokój wypełniał blask poranka. Dziewczyna zniknęła. Przez otwartą ścianę zobaczyłem Cully'ego siedzącego na walizce z mosiężnymi okuciami. Chociaż był daleko ode mnie, spostrzegłem, że się uśmiecha.

– Dobra, Merlyn, pobudka – powiedział. – Lecimy zaraz do Hongkongu.

Walizka była tak ciężka, że ja musiałem ją zanieść do taksówki.

Cully nie mógł sobie poradzić. Nie było szofera, prowadził Cully. Kiedy dojechaliśmy na lotnisko, po prostu zostawił samochód przy terminalu. Nio-  
słem walizkę, a Cully siedł z przodu, lustrując przedpole – prowadził mnie  
do okienka bagażowego. Wciąż jeszcze szumiało mi w głowie, walizka obja-  
ła się niemiłosiernie o łydki. Przy okienku kwit wypisano na mój bilet, ale  
pomyślałem sobie, że to wszystko jedno.

Przeszliśmy do samolotu. Nie wsiedliśmy jednak od razu. Cully czekał, aż  
pojawi się wózek bagażowy. Gdy zobaczył, że brązowozłotego potwora zała-  
dowali do luku bagażowego, weszliśmy na pokład.

Lot do Hongkongu zabrał nam cztery godziny, Cully był zdenerwowany  
i ograłem go na kolejne cztery tysiące.

– Powiedziałeś, że lecimy jutro – rzuciłem nagle podczas gry.

– Tak właśnie myślałem – odparł Cully. – Ale Fummiro załatwił for-  
szybciej, niż przypuszczałem.

Wiedziałem, że łże jak pies.

– Super ten balecik z gejszami – powiedziałem.

Cully chrząknął. Udawał skupienie, ale wiedziałem, że nie myśli o kartach.

– Pierdolone przyjątko dla cipek z ogólniaka – powiedział.

– Te kity z gejszami to jedno wielkie gówno, ja wolę Vegas.

– No, nie wiem. Mnie tam było przyjemnie. Ale muszę przyznać, że dalszą  
obsługę miałem jeszcze lepszą.

Cully zapomniał o kartach.

– Jaką obsługę? – zapytał.

Powiedziałem mu o dziewczętach w posiadłości. Cully uśmiechnął się od  
ucha do ucha.

– To cały Fummiro. Szczęściarz z ciebie. Ja całą noc zapieprzałem. – Za-  
milkł na chwilę. – A więc w końcu pękłeś. Założę się, że pierwszy raz zdra-  
dziłeś tę panienkę z Los Angeles.

– Tak. Ale, co mi tam, trzy tysiące mil – nie liczy się.

Po wylądowaniu w Hongkongu Cully powiedział:

– Idź odebrać walizkę. Ja tu się jeszcze pokręcę. Będę obserwował wózek.  
Nikt nie będzie mógł jej capnąć.

Przeszedłem terminalem do obrotowej platformy bagażowej.

Terminal był zapchany, a twarze, chociaż również orientalne, różniły się  
od widzianych w Japonii. Platforma zaczęła się obracać, a ja wypatrywałem,  
kiedy u wylotu luku pojawi się nasza walizka. Po kilku minutach zacząłem

się zastanawiać, dlaczego nie ma Cully'ego. Rozejrzałem się, dziękując Bogu, że nikt nie nosi masek z gazy; te maski mnie przerażały. Ale nie zobaczyłem nikogo groźnego.

Wtedy u wylotu luku pokazała się walizka z mosiężnymi okuciami. Chwyliłem ją natychmiast. Wciąż była ciężka. Bez śladów otwierania nożem. Przy sprawdzaniu dostrzegłem mały identyfikator przy rączce. Widniał na niej napis „John Merlyn”, dalej mój adres i numer paszportu. Już wiedziałem, dlaczego Cully zabrał mnie do Japonii. Jeślibyśmy wpadli, do więzienia miałem iść ja.

Usiadłem na walizce i po jakichś trzech minutach zobaczyłem Cully'ego. Pojaśniał cały z zadowolenia na mój widok.

– Świetnie – powiedział. – Taksówka już czeka. Jedziemy do banku. – I tym razem bez najmniejszych problemów podniósł walizkę i wyniósł ją z terminalu.

Taksówka przepychała się przez zatłoczone kręte uliczki. Nie powiedziałem ani słowa. Byłem winny Cully'emu przysługę i teraz właśnie ją spłaciłem. Czułem do niego żal za oszukanie mnie i narażenie na takie ryzyko, ale Gronevelt byłby z niego dumny. I w myśl tej samej zasady nie zdradziłem, że wiem o wszystkim. Musiał brać pod uwagę, że się domyślę. Na pewno miałby gotowe wytłumaczenie.

Taksówka zatrzymała się przed jakąś ruderą na głównej ulicy. W oknie widniał złotymi literami napis: „Futaba International Bank”. Przy drzwiach stało dwóch umundurowanych strażników, uzbrojonych w pistolety maszynowe.

– Bezwzględne miasto ten Hongkong – powiedział Cully, skinąwszy strażnikom na powitanie. Sam wniósł walizkę.

Wewnątrz podszedł do jakichś drzwi, zapukał i wszedł do środka. Mały Euroazjata pokraśniał na widok Cully'ego i uściśnął mu dłoń. Cully przedstawił mnie, ale nazwisko tego drugiego było dla mnie tylko dziwną kombinacją sylab. Następnie Euroazjata zaprowadził nas do dużego pokoju z ogromnym stołem konferencyjnym. Cully rzucił na blat walizkę i otworzył zamki. Muszę przyznać, że widok był imponujący. Walizka była pełna szaro-niebieskich japońskich banknotów z czarnym nadrukiem.

Euroazjata podniósł słuchawkę telefonu i wyszczeakał, jak myślę po chińsku, kilka poleceń. Za parę minut pokój wypełnili urzędnicy bankowi. Było ich piętnastu, każdy w lśniącej czarnej garniturze. Rzucili się na walizkę.

Trzy godziny zajęło im liczenie i banderolowanie pieniędzy. Wielokrotnie sprawdzali rachunek. Następnie Euroazjata zaprowadził nas do biura, wypełnił kilka formularzy, podpisał je i opieczetował, po czym podał Cully'emu. Cully przejrzał papiery i schował je do kieszeni. Plik dokumentów był tym „małym kwitkiem”, o którym wspomniał Cully.

Staliśmy już na skąpanej w słońcu ulicy przed bankiem. Cully był niesamowicie podniecony.

– Udało się – powiedział. – Jedziemy do domu.

Potrząsnąłem głową.

– Jak mogłeś podjąć takie ryzyko? – zapytałem – To czyste wariactwo.

– A jak myślisz – uśmiechnął się Cully – jakie interesy prowadzi kasyno w Vegas? Wszystko jest ryzykowne. Mam ryzykowną pracę. I doskonały procent z takich transakcji.

Kiedy wsiedliśmy do taksówki, Cully kazał wieźć się na lotnisko.

– Przejechaliśmy pół globu i nawet nie zjemy posiłku w Hongkongu? – zaprotestowałem.

– Nie można kusić losu. Ktoś może przypuszczać, że jeszcze mamy pieniądze. Spieprzajmy do domu.

Podczas lotu Cully miał dużo szczęścia i wygrał ode mnie siedem z dziesięciu tysięcy, które przegrał w oko. Odegrałby wszystko, gdybym nie zrezygnował.

– Daj spokój – prosił. – Daj szansę się odegrać. Bądź uczciwy.

Popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Nie – rzekłem. – Przynajmniej raz podczas tej podróży chcę być sprytniejszy od ciebie.

Trochę go to poruszyło i pozwolił mi spać aż do samego Los Angeles. Dotrzymałem mu towarzystwa, gdy czekał na samolot do Vegas. Gdy spałem, musiał sobie wszystko przemyśleć i doszedł do wniosku, że spostrzegłem identyfikator na walizce.

– Słuchaj – powiedział. – Musisz mi uwierzyć. Gdybyś wpadł w tarapaty, ja, Fummiro i Gronevelt wydostalibyśmy cię. Jestem ci bardzo wdzięczny za to, co zrobiłeś. Sam nie byłbym w stanie tego dokonać, zabrakłoby mi zimnej krwi.

Roześmiałem się.

– Mam u ciebie trzy patyki. Zachowaj je dla mnie, a ja postawię je w bakara.

– Jasne, nie ma sprawy – odparł Cully. – Słuchaj, czy potrafisz oszukać pannienkę, tylko gdy dzieli was odległość trzech tysięcy mil? Skoro tak, to będzie cię stać tylko na jeszcze dwie takie imprezy. Świat nie jest taki duży.

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem i uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie. Wciąż był moim kumplem, stary Cully Licznik, tylko nie byłem już w stanie ufać mu bezgranicznie. Zawsze wiedziałem, kim jest, i brałem tę przyjaźń taką, jaka była. Jak mogłem się na niego wściekać, skoro postępował zgodnie ze swoim sumieniem?

Przeszedłem przez terminal Western Airlines i zatrzymałem się przy budkach telefonicznych. Musiałem zadzwonić do Janelle. Chwilę zastanawiałem się, czy mówić jej, że byłem w Japonii, ale zrezygnowałem.

Postępowałem zgodnie z zasadą Gronevelta. I wtedy coś mi się przypomniało. Nie miałem prezentów dla Valerie i dzieciaków.

## Rozdział 36

To dość interesujące szaleć na czyimś punkcie, kiedy ten ktoś ma ciebie już po dziurki w nosie. Jest się wtedy ślepy i głuchy. Minął niemal rok, zanim zorientowałem się, że Janelle mnie oszukuje. Podczas jednej z podróży do Los Angeles mój samolot przyleciał pół godziny za wcześnie. Janelle zawsze wychodziła po mnie, ale tym razem jej nie było, dlatego wyszedłem na zewnątrz, aby na nią poczekać. W mózgu kołatała mi się uporczywa myśl, że zaraz ją na czymś przyłapię. Nie wiedziałem jeszcze na czym. Może czekając na samolot, poderwała jakiegoś faceta? A może odprowadzała na samolot kogoś innego lub coś w tym rodzaju. Nie byłem ufnym kochankiem.

I przyłapałem ją, ale nie na tym, o czym myślałem. Zobaczyłem, jak wychodzi z parkingu i idzie przez dwupasmową jezdnię w kierunku lotniska. Szła bardzo powoli, bardzo niechętnie. Miała na sobie długą szarą spódnicę i białą kurtkę; swoje jasne włosy upięła. Przez chwilę współczułem jej. Wyglądała jak dziecko, któremu rodzice każą iść na prywatkę. Z drugiej strony, przyleciałem przecież trochę za wcześnie. Popędziłem jej na spotkanie. Konałem z chęci ujrzenia jej, ale ona najwyraźniej nie podzielała mojego entuzjazmu. Ledwie jednak wpadłem na tę myśl – uniosła głowę i twarz jej rozjaśniła radość. A kiedy mnie objęła i całowała, o wszystkim zapomniałem.

Podczas tego mojego pobytu chodziła na próby przed premierą, która miała odbyć się za kilka tygodni. Nie przeszkadzało mi to, ponieważ w ciągu dnia ja też pracowałem. Widywaliśmy się wieczorami. Dzwoniła do mnie do wytwórni, aby powiedzieć, kiedy będzie wolna. Kiedy poprosiłem ją o numer telefonu, abym mógł się z nią skontaktować, odparła, że w teatrze nie ma telefonu.

Pewnego wieczoru, gdy próba się przeciągała, pojechałem po nią do teatru. Już mieliśmy wychodzić, kiedy zza kulis wyjrzała asystentka, mówiąc: „Ja-

nelle, telefon od pana Evartsa”, i zaprowadziła ją do telefonu.

Czekałem w korytarzu. Wiedziałem, że Evarts to facet, który napisał tę sztukę. Wiedziałem także, że celowo nie podała mi numeru telefonu. Zrozumiałem w lot powód tego dziwnego zachowania. Nie chciała, aby Evarts dowiedział się o nas. Kiedy wyszła z biura, zarumieniona z radości, spojrzała na mnie.

– Dzwoni do mnie po raz pierwszy – rzekła. – Nawet nie wiem, jak zdobył numer telefonu do teatru.

Usłyszałem cichy trzask szulerskiego tasowania kart. Wciąż jej towarzystwo, ciało, sam jej widok sprawiał mi wiele przyjemności. Wciąż uwielbiałem wyraz jej ust i blask oczu. Kochałem jej oczy. Czasami miały w sobie tyle smutku, a jednocześnie były wesołe. Jej usta uważałem za najpiękniejsze na świecie. Do diabła, ciągle byłem jak dziecko. Nie przeszkadzało mi nawet, że łąze tymi usteczkami jak najęta. Wiedziałem, że nienawidzi oszukiwać. Brzydziła się kłamstwem i nie potrafiła tego robić. To śmieszne, ale swoim zachowaniem przyznawała się do kłamstwa. Nawet to było fałszywe.

Nie miało to znaczenia. Nie miało znaczenia. Jasne, cierpiałem, ale układ nadal był dobry. Wraz z upływem czasu coraz mniej mi się podobała, a cierpiałem coraz bardziej.

Byłem pewien, że Alice jest jej kochanką. Pewnego razu, kiedy Alice wyjechała w sprawie produkcji filmu, spędziłem noc w ich wspólnym mieszkaniu. Alice zadzwoniła, aby uciąć sobie gadkę z Janelle. Janelle szybko skończyła rozmowę. Była wściekła. Pół godziny później, gdy się kochaliśmy, telefon zadzwonił ponownie. Janelle sięgnęła po słuchawkę i rzuciła ją pod łóżko.

Lubiłem u niej to, że nie znosiła, kiedy ktoś przeszkadzał nam, gdy się kochaliśmy. Czasami w hotelu nie pozwalała mi odbierać telefonów ani wpuszczać kelnera z zamówionym jedzeniem.

Tydzień później zadzwoniłem z hotelu do Janelle. Wiedziałem, że jest strasznym śpiochem, dlatego nie dzwoniłem przed jedenastą. Usłyszałem sygnał „zajęty”. Dzwoniłem przez godzinę co dziesięć minut – bez skutku. I nagle wyobraziłem sobie Alice i Janelle w łóżku, a telefon wyłączony. Kiedy mi się w końcu udało dodzwonić, słuchawkę podniosła Alice, łagodna i szczęśliwa. Byłem pewien, że są kochankami.

Innego razu, gdy planowaliśmy wycieczkę do Santa Barbara, Janelle dostała alarmujący telefon od producenta. Powiedziała, że zajmie jej to najwyżej

pół godzinki, zatem pojechałem razem z nią do wytwórni. Producent był jej starym przyjacielem. Kiedy weszła do biura, on pogładził ją czule po twarzy, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Od razu zrozumiałem ten gest. Była w nim czułość dawnego kochanka, obecnie dobrego przyjaciela. Po drodze do Santa Barbara zapytałem Janelle, czy kiedykolwiek poszła z nim do łóżka. Odwróciła się w moją stronę i odparła: „tak”. O nic więcej już nie pytałem.

Pewnego wieczoru umówiliśmy się na kolację w jej mieszkaniu. Ubierała się, więc drzwi otworzyła Alice. Zawsze ją lubiłem i, zabawne, nigdy nie przeszkadzało mi, że jest kochanką Janelle. Chociaż tego jeszcze nie byłem pewien. Alice zawsze całowała mnie słodko w usta na powitanie. Lubiła mnie. Razem czuliśmy się świetnie, lecz nie dostrzegałem w niej cienia kobiecości. Miała wprawdzie bardzo szczupłą figurę i nosiła koszule podkreślające pełne piersi, ale równocześnie była oficjalna. Dała mi coś mocniejszego, nastawiła płytę Edith Piaf i czekaliśmy, aż Janelle wyjdzie w łazienki. Janelle pocałowała mnie na powitanie i powiedziała:

– Przykro mi, Merlyn, starałam się do ciebie dodzwonić. Mam dzisiaj próbę. Reżyser ma mnie zabrać.

Jakby we mnie piorun strzelił. Znów usłyszałem ten szulerski trzask kart. Uśmiechała się do mnie promiennie, ale lekkie skrzywienie ust upewniło mnie, że kłamie. Intensywnie wpatrywała się w moją twarz. Chciała, żebym jej uwierzył, i widziała, że nie potrafię. Dodała:

– On mnie podwiezie. Postaram się wrócić koło jedenastej.

– W porządku – powiedziałem. Przez ramię Janelle widziałem, jak Alice nagle szuka czegoś w szklance, najwyraźniej starając się nie słuchać naszej rozmowy.

Wkrótce pojawił się reżyser. Był prawie zupełnie łyśy, chociaż jeszcze młody. Wyglądał bardzo oficjalnie. Nie miał nawet czasu na głębszego.

– Próbujemy u mnie w domu – powiedział do Janelle. – Chcę, żebyś na jutrzejszej próbie kostiumowej była absolutnie doskonała. Evarts i ja zmieniliśmy kilka kwestii. – Po czym zwrócił się do mnie: – Przykro mi, że zepsułem wam wieczór, ale tak wygląda praca w tym interesie. – Parodiował obiegowe stwierdzenie.

Przyjemniaczek. Posłałem jemu i Janelle chłodny uśmiech.

– W porządku – powiedziałem. – Skoro tak musi być... I wtedy Janelle wpadła w panikę. Zapytała reżysera:

– Czy wyrobimy się do dziesiątej?



– Jeśli uczciwie się przyłożymy, kto wie?

– Może byś poczekał z Alice i po moim powrocie zjemy tę kolację? W porządku? – spytała mnie Janelle.

– Jasne.

Gdy wyszli, skracałem sobie oczekiwanie, rozmawiając z Alice. Powiedziała, że zmieniała wystrój mieszkania. Wzięła mnie za rękę i oprowadziła po wszystkich pomieszczeniach. Mieszkanie wyglądało uroczo. W kuchni założono okiennice i zawieszono inkrustowane szafki. Z sufitu zwisały miedziane patelnie i naczynia.

– Uroczo – przyznałem. – Nie wyobrażam sobie, jak Janelle sobie z tym poradziła.

Alice zaśmiała się:

– To ja tu jestem facetem.

Następnie pokazała mi trzy sypialnie. Jedna z nich wyglądała jak pokój dziecienny.

– To dla syna Janelle, kiedy przyjedzie nas odwiedzić – wyjaśniła i zaprowadziła mnie do największej sypialni z olbrzymim łóżkiem. Naprawdę wiele się tu zmieniło. Teraz był to babski pokój, z lalkami przy ścianie, wielkimi poduszkami na sofie i telewizorem w nogach łóżka.

– A to czyja sypialnia? – spytałem.

– Moja – odpowiedziała Alice.

W trzeciej sypialni był bajzel na kółkach. Najwyraźniej służyła za składowik. Różne drobiazgi, fragmenty mebli zawaływały cały pokój. Stało tam małe łóżko z podgłówkiem.

– A to czyja sypialnia? – zapytałem nieomal drwiąco.

– Janelle – odparła Alice, puszczając moją rękę i odwracając głowę.

Wiedziałem, że kłamie – ona i Janelle spały razem w tamtej olbrzymiej sypialni. Wróciliśmy do bawialni i czekaliśmy.

O wpół do jedenastej odezwał się telefon. To była Janelle.

– O Boże! – wykrzyknęła. Miała tak dramatyczny głos, jakby dowiedziała się przed chwilą o swojej nieuleczalnej chorobie. – Jeszcze nie skończyliśmy. Nie skończymy jeszcze przez godzinę. Chcesz czekać?

Zaśmiałem się.

– Jasne – powiedziałem. – Poczekam.

– Zadzwoń jeszcze raz, gdy tylko będzie blisko końca. Dobrze?

– Oczywiście.

Czekałem z Alice do dwunastej. Chciała zrobić mi coś do jedzenia, ale nie byłem głodny. Tym razem świetnie się bawiłem. Nie ma nic zabawniejszego niż dawać robić z siebie kompletnego idiotę.

O północy zadzwonił telefon. Wiedziałem już, co usłyszę. Jeszcze nie skończyli. I nie wiedzieli, kiedy skończą.

Byłem dla niej bardzo uprzejmy. Powiedziałem, że będzie zmęczona, więc lepiej zadzwonię dopiero jutro z pokoju hotelowego.

– Najdroższy, jesteś kochany. Naprawdę mi przykro – mówiła Janelle. – Zadzwonź do mnie jutro po południu.

Pożyczyłem Alice dobrej nocy, a ona obdarowała mnie siostrzanym pocałunkiem.

– Zadzwonisz jutro do Janelle, prawda? – spytała.

– Pewnie. Zadzwonię z domu.

Następnego ranka siedziałem w samolocie do Nowego Jorku. Z lotniska Kennedy’ego zadzwoniłem do Janelle. Była uradowana, słysząc mój głos.

– Bałam się, że nie zadzwonisz.

– Przecież obiecałem.

– Pracowaliśmy do trzeciej nad ranem i próba odbędzie się dopiero około ósmej wieczorem. Mogłabym wpaść do hotelu, jeśli chcesz się ze mną zobaczyć.

– Jasne, że chcę – odpowiedziałem – ale jestem w Nowym Jorku. Powiedziałem, że zadzwonię z domu.

W słuchawce zapanowało długie milczenie.

– Rozumiem – rzekła.

– Nie martw się. Gdy znów będę w Los Angeles, zadzwonię. Gra?

I znów długa przerwa.

– Byłeś dla mnie niesłychanie dobry, ale nie pozwolę ci krzywdzić mnie więcej.

Położyła słuchawkę.

Podczas następnego wypadu do Kalifornii pogodziliśmy się i zaczęliśmy wszystko od nowa. Chciała być całkowicie uczciwa w stosunku do mnie. Żadnych niedomówień. Przysięgała, że nie poszła do łóżka ani z Ewartsem, ani z reżyserem. Że była mi zawsze całkowicie wierna. Że już nie będzie kłamać. I aby to udowodnić, opowiedziała mi o sobie i Alice. Była to interesują-

ca historia, która jednak niczego nie udowodniła, przynajmniej mnie. Dobrze jednak było znać prawdę.

## Rozdział 37

Janelle mieszkała z Alice De Santis już od dwóch miesięcy, zanim zorientowała się, że współlokatorka jest w niej zakochana. Zajęło jej to tak wiele czasu, ponieważ obie były bardzo zajęte. Janelle organizowanymi przez agenta zdjęciami próbnymi, a Alice projektując kostiumy do filmu z dużym budżetem.

Miały oddzielne sypialnie, ale późno w nocy Alice czasem przychodziła do jej pokoju na ploty. Aby łatwiej zasnąć, przygotowywała coś do jedzenia i gorącą czekoladę. Zwykle rozmawiały o pracy. Janelle opowiadała o mniej lub bardziej subtelnych propozycjach, jakie złożono jej w ciągu dnia, a Alice nigdy nie zdobyła się na uwagę, że to Janelle swoim urokiem i urodą prowokowała mężczyzn.

Alice była szczupłą kobietą o świetnej prezencji i na pozór surową. Ale wobec Janelle była czuła i łagodna. Przed zaśnięciem całowała ją siostrzanym pocałunkiem. Janelle uwielbiała ją za inteligencję i profesjonalizm w pracy. Alice skończyła pracę nad filmem w tym samym czasie, gdy syn Janelle, Richard, przyjechał do matki na kilka dni w czasie wakacji. Zwykle kiedy przyjeżdżał, Janelle poświęcała mu cały swój czas, wożąc go po Los Angeles. Zabierała go na spektakle, na tor wrotkowy i do Disneylandu. Czasami udawało jej się wynająć na tydzień małe mieszkanie niedaleko plaży. Przepadała za tymi wizytami, a i syn był szczęśliwy. Jednak tego lata dostała małą rolę w serialu telewizyjnym. Wprawdzie zapewniało jej to utrzymanie przez najbliższy rok, ale również zabierało dużo czasu. Chciała napisać do swego byłego męża, że tym razem nie ma czasu dla Richarda, ale popłakała się nad listem. Wydawało jej się, że wyrzeka się własnego dziecka.

Uratowała ją Alice. Powiedziała, że zajmie się chłopcem. Że zaprowadzi go na plan i pokaże, jak pracuje mamusia, po czym zniknie, zanim reżyser się

wnerwi. Alice zajmie się nim w dzień, a Janelle wieczorem. Janelle była ogromnie wdzięczna Alice za tę propozycję.

Kiedy Richard przyjechał na miesiąc, wszyscy troje bawili się wyśmienicie. Po pracy Janelle wracała do domu, gdzie czekała na nią gorąca kolacja i Richard już gotów na wieczorne atrakcje. Szli wszyscy razem do kina, a potem coś jeszcze przekąsić w restauracji. Było wygodnie i przyjemnie. Janelle zauważyła, że nigdy się tak świetnie nie bawiła w towarzystwie Richarda i swego byłego męża, jak teraz z synem i Alice. Było to prawie doskonałe małżeństwo. Alice nigdy się z nią nie kłóciła ani nie robiła jej na złość. Richard nie dąsał się i był posłuszny. Żył w raj, o jakim zapewne marzą dzieci: z dwiema uwielbiającymi go matkami i bez ojca. Kochał Alice, ponieważ go rozpuszczała i rzadko była surowa. Zabierała go na lekcje tenisa i grała razem z nim. Uczyła go gry w scrabble i tańca. Była doskonałym ojcem. Sprawna fizycznie, a jednak pozbawiona męskiej ostrości i oschłości, bez męskiej dominacji. Richard przepadał za nią. Nigdy za nikim nie wodził tak rozkochanym wzrokiem. Pomagał podawać Alice do stołu, gdy Janelle wracała z pracy, i obserwował, jak kobiety szykują się do wyjścia z nim do miasta. Sam też uwielbiał się stroić. Szczególnie lubił białe, luźne portki, granatowy płaszcz i białą koszulę bez krawata. Kochał Kalifornię.

Gdy nadszedł dzień odjazdu, Alice z Janelle odprowadziły go na nocny samolot. I kiedy już odleciał, trzymając się za ręce, westchnęły z ulgą, jak małżonkowie odprawiający wreszcie gości. Janelle była tak wzruszona, że objęła Alice i pocałowała ją. Alice odwróciła głowę i na ułamek sekundy ich usta się zetknęły.

Po powrocie do domu wypiły jak zwykle kakao i poszły do swoich sypialni. Janelle była jednak niespokojna. Zapukała do drzwi pokoju Alice i weszła do środka. Była zdziwiona, zastawszy Alice w negliżu. Alice, dość szczupła, miała pełne piersi opięte teraz ciasnym biustonoszem. Oczywiście nieraz widziały się w niekompletnym stroju. Ale teraz Alice zdjęła biustonosz i uśmiechnęła się do Janelle. Na widok nabrzmiałych sutek Janelle poczuła gwałtownie rosnące podniecenie. Twarz jej płonęła. Nie zdarzyło jej się jeszcze, aby poczuła pociąg seksualny do kobiety. Szczególnie po pani Wartberg. Kiedy Alice wśliznęła się pod kołdrę, Janelle usiadła na łóżku i zaczęły rozmawiać, jak to im było dobrze we trójkę podczas pobytu Richarda. Nagle Alice wybuchnęła płaczem.

Janelle pogładziła ją po ciemnych włosach, pytając zatroskanym głosem:

– Co ci jest, Alice?

W tym momencie obie zdały sobie sprawę z gry, która miała im ułatwić to, co chciały zrobić. Alice wyszlochała:

– Nikt mnie nie kocha. Nie mam kogo kochać.

Był to moment, w którym Janelle chciała zareagować złośliwie. Takie właśnie sceny sama odgrywała przed swymi kochankami. Ale wspomnienie wdzięczności, jaką czuła dla Alice, i żądy, jaką wywołał widok jej dużych piersi, sprawiło, że pomyślała o namiętnych chwilach, które mogły być o wiele bardziej obiecujące niż odrobina uszczypliwości. Poza tym ona także uwielbiała grać komedię. Odkryła kołdrę i patrzyła z ciekawością na nabrzmiewające sutki Alice. Następnie pochyliła złotą głowę i nakryła jeden z nich ustami. Wywarło to zadziwiający skutek.

Kiedy ssała sutek Alice, poczuła, jak jej krew krąży coraz żywiej. Była jak dziecko. Pierś była tak ciepła i tak słodko smakowała w ustach. Ułożyła się obok Alice, nie puszczać piersi, chociaż dłoń Alice coraz silniej starała się skierować jej głowę niżej. W końcu Alice ustąpiła. Janelle mruczała z zadowolenia jak dziecko, a Alice pieściła jej złote loki, przestając tylko na moment, gdy wyłączyła światło. Dużo później Janelle z cichym westchnieniem zaspokojenia opuściła głowę między nogi Alice. A potem zapadła w głęboki sen. Gdy się obudziła, odkryła, że jest naga i leży obok Alice. Spały objęte, ufne i niewinne jak dwójka dzieci.

I tak zaczął się najbardziej jak dotąd satysfakcjonujący seksualnie związek. Wcale nie była zakochana. To Alice ją kochała. Może częściowo z tego powodu było to tak ekscytujące.

A poza tym naprawdę uwielbiała ssać pierś, co było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem. W stosunku do Alice nie miała żadnych zahamowań, była jej panem i władcą. Czuła się wspaniale w tej roli. Nie była już panią z dobrego domu z Południa.

Najdziwniejszą stroną tego związku było to, że rolę mężczyzny, agresora, spełniała słodka i kobieca Janelle. Alice, która wizualnie pasowała do swoich zainteresowań seksualnych, grała rolę kobiety. To Alice zmieniła ich sypialnię (dzieliły teraz łóżko) w kobiecy pokój z lalkami, okiennicami i bibelotami. Sypialnia Janelle, którą zachowały ze względu na pozory, była zapuszczona i zabałaganiona jak pokój dziecinny.

Odgrywanie przez Janelle roli mężczyzny było jednym ze smaczków tego związku. Nie tylko w sferze cielesnej. W domu zachowywała się jak rasowy

samiec. Jak niechluj. Natomiast Alice zawsze starała się wyglądać atrakcyjnie. Janelle nawet naśladowała sprośne zachowania facetów: łąpała ją za kroczki w kuchni lub ścisnęła jej piersi. Janelle uwielbiała rolę mężczyzny. Zmuszała Alice do miłości. W takim wypadku czuła o wiele większe pożądanie niż do mężczyzny. Poza tym, chociaż obydwie umawiały się z facetami (przy ich pracy było to nie do uniknięcia), tylko Janelle spędzała czasem wieczór z mężczyzną. Tylko Janelle czasami nie wracała na noc. A rano zastawała Alice chorą z zazdrości. I to tak bardzo, że Janelle zaczęła poważnie rozważać swoją przeprowadzkę. Alice nigdy nie zostawała na noc poza domem. A jeśli nawet nie wracała do późna, Janelle nie zastanawiała się, czy jest z facetem. Nie obchodziło jej to. Uważała, że jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Stopniowo stawało się jasne, że Janelle jest wolnym elektronem. Że będzie robić tylko to, co jej odpowiada. Że jest nieobliczalna. Po pierwsze dlatego, że tak ładnej dziewczynie trudno było uniknąć telefonów i kontaktów z aktorami, asystentami reżyserów, agentami i producentami, przede wszystkim z reżyserami. Ale stopniowo, podczas roku, przez który ze sobą mieszkały, Janelle straciła zainteresowanie dla seksu z mężczyznami. Przestał dawać jej satysfakcję. Nie chodziło o odczucia fizyczne; zmieniły się po prostu stosunki siły. Wyczuwała, lub tak jej się wydawało, że mężczyźni, zaciągnąwszy ją do łóżka, uważają, iż mają ją w garści. Stawali się zbyt pewni siebie, zbyt opętani zaspokajaniem swoich zachcianek. Oczekiwali zbyt wiele. Nie mogła i nie chciała im tyle ofiarowywać. Poza tym znalazła u Alice coś, czego nie doświadczyła z żadnym mężczyzną. Całkowite zaufanie. Alice nie plotkowała na jej temat ani nie robiła jej brzydkich numerów. Nie zdradzała jej z mężczyzną ani z kobietą. Nie była w stanie oszukać jej czy złamać obietnicy. Mężczyźni, których znała, sypali obietnicami jak z rękawa, nigdy ich nie dotrzymując. Była naprawdę szczęśliwa z Alice nieustannie dbającą o jej dobry humor.

Pewnego dnia Alice zaproponowała:

- Wiesz, Richard mógłby zamieszkać z nami na stałe.
- Och, matko, chciałabym, żeby tak było – odparła Janelle. – Ale nie mamy czasu, żeby się nim zajmować.
- Oczywiście, że mamy. Rzadko pracujemy w tym samym czasie. Będzie w szkole, a na wakacje może pojechać na obóz. Jeśli będzie trzeba, wynajmiemy opiekunkę. Myślę, że byłabyś szczęśliwsza, mając go przy sobie.

Kusiło to Janelle bardzo. Uzmysłowała sobie, że mieszkanie wspólnie z synem scementowałyby ich układ. Nie była to zła myśl. Dostawała teraz wystarczająco dużo zleceń, by żyć dostatnio. Mogłaby nawet zamienić mieszkanie na większe.

– Dobrze – powiedziała. – Napiszę do Richarda i zapytam, co on o tym myśli.

Nigdy tego nie zrobiła. Wiedziała, że jej były mąż nigdy nie zaaprobuje jej pomysłu. Poza tym nie chciała, aby Alice stała się dla niej zbyt ważna.



## Rozdział 38

Kiedy dowiedziałem się, że Alice jest kochanką Janelle – ulżyło mi. No i w dupie. Gdy kobiety uprawiają ze sobą miłość, jest to tak nieszkodliwe, jakby wspólnie szydełkowały w niedzielny wieczór. Powiedziałem to Janelle, aby ją rozzłościć. Byłem w pozycji faceta, którego kochanka miała męża wyrozumiałego i... kobietę. Superukład.

Ale nic nie jest proste. Wkrótce zaczęło do mnie docierać, że Janelle kocha Alice co najmniej tak jak mnie. Co gorsza, uzmysłowiłem sobie, że Alice kocha Janelle bardziej niż ja; o wiele mniej samolubnie i mniej destrukcyjnie zarazem. Przekonałem się, że emocjonalnie niszczy Janelle. Oczywiście, że była to pułapka. Że żaden facet nigdy nie rozwiązałby jej problemów. Chodziło o to, że wykorzystywałem ją jak instrument służący do zaspokajania moich żądy. Znów – nic złego. Ale chciałem też, aby zajęła w moim życiu podporządkowane miejsce. Miałem w końcu żonę, dzieci i sztukę. Jednocześnie chciałem w jej życiu grać pierwszoplanową rolę.

Wszystko jest do pewnego stopnia układem. Tylko że miałem lepsze warunki tego układu. To proste.

Ale posiadanie biseksualnej przyjaciółki też miało swoje dobre strony. Podczas jednej z moich wizyt Janelle zachorowała. Musiała iść do szpitala i usunąć torbieli z jajnika. Z powodu drobnych komplikacji miała zostać w szpitalu przez dziesięć dni. Oczywiście, posyłałem jej kwiaty, całe tony kwiatów – kobiety to lubią. Oczywiście, odwiedzałem ją codziennie i spędzałem z nią około godziny. Ale Alice siedziała tam całymi dniami. Czasami ją spotykałem. Zawsze wychodziła z sali, abyśmy mogli zostać sami z Janelle. Może wiedziała, że Janelle chce być trzymana za pierś podczas rozmowy. Nie miało to nic wspólnego z pożądaniem, po prostu pocieszało ją. Boże, jak bardzo seks może pocieszyć, zupełnie jak gorąca kąpiel, kolacja czy dobre

wino. Gdyby można było traktować seks w ten sposób, bez miłości i innych komplikacji.

Tym razem Alice została w sali. Zawsze zachwycała mnie słodycz bijąca z twarzy Alice. Wyglądały jak siostry, obydwie słodkie, łagodne i kobiece. Alice miała małe, wąskie usta, które rzadko wyglądają dobrze, ale jej akurat tak wyglądały. Lubiłem ją bardzo. Dlaczegoż, do ciężkiej cholery, nie miałbym jej lubić? Odwalała za mnie całą parszywą robotę. Ja byłem zajęтым facetem. Żonatym. Następnego dnia musiałem jechać do Nowego Jorku. Może gdyby nie Alice, robiłbym to wszystko sam, ale raczej wątpię.

Przeszmuglowałem butelkę szampana, aby uczcić nasz ostatni wieczór. Nie miałem nic przeciwko temu, by i Alice uczestniczyła w libacji. Janelle miała ukryte trzy kieliszki. Alice otworzyła butelkę. Była bardzo zmęczona.

Janelle miała na sobie nocną koszulę z koronkami i jak zwykle wyglądała nieco dramatycznie. Wiedziałem, że celowo się nie maluje, aby dopełnić wrażenia. Słaba, blada – jeszcze jedna Camille. Tylko że była w doskonałej formie. Wprost kipiała energią. Przy każdym łyku szampana z przyjemnością przymykała oczy. Uwięziła w szpitalnej izolatce dwójkę ukochanych osób. Nie wolno było im wyzłościwiać się, ranić jej uczuć ani nawet próbować powstrzymać ją od docinków pod swoim adresem. I może dlatego w obecności Alice ujęła moje dłonie.

Odkąd dowiedziałem się o nich, starałem się przy Alice nie zachowywać jak kochanek Janelle. Alice nigdy nie zdradziła swego z nią związku. Obserwując je, można by przysiąc, że są siostrami czy koleżankami. Zachowywały się wobec siebie obojętnie. Ich związek podkreślała tylko Janelle, wodząc czasem oczyma za Alice jak zakochany żonkoś.

Alice przesunęła swoje krzesło pod ścianę, aby być jak najdalej od nas. Jakby nadawała nam oficjalnie status kochanków. Myślę, że im zazdrościłem. Czuły się ze sobą tak swobodnie, że mogły pozwolić sobie na rozpuszczanie mnie, cieszącego się uprzywilejowaną pozycją oficjalnego kochanka. Z jakiegoś względu ten jej gest mnie zranił, tak był wielkoduszny. I kiedy uzmysłowiłem sobie, że to nie perwersja, tylko okazywanie uczuć, uśmiechnąłem się do niej. Za godzinę skończymy pić szampana, pojedę na lotnisko, a Janelle pogodzi się z Alice. Alice wiedziała o tym. Tak jak wiedziała, że Janelle potrzebuje takiej chwili również ze mną. Opanowałem chęć cofnięcia ręki. To byłoby zbyt małostkowe, a mężczyźni uważają, że generalnie rzecz biorąc, są mniej małostkowi niż kobiety. Ale czułem też, że moja wielko-

dusznosc jest wymuszona. Nie mogłem doczekać się chwili rozstania.

W końcu pocałowałem Janelle na do widzenia. Obiecałem zadzwonić następnego dnia. Kiedy Alice dyskretnie opuściła salę, objęliśmy się. Alice czekała na zewnątrz i odprowadziła mnie aż do samochodu. Pocałowała mnie miękko w usta.

– Nie martw się – powiedziała. – Będę czuwała przy niej całą noc. – Janelle powiedziała mi, że noc po operacji Alice spędziła skulona w fotelu przy jej łóżku, dlatego nie zdziwiła mnie ta deklaracja.

– Trzymaj się ciepło, dzięki – powiedziałem.

Wsiadłem do samochodu i pojechałem na lotnisko.

Było już ciemno, gdy samolot rozpoczął swoją podróż na wschód. Zawsze miałem kłopoty z zaśnięciem w samolocie.

Dlatego mogłem rozmyślać o Janelle i Alice. Byłem zadowolony, że Janelle nie jest sama w sali szpitalnej. Cieszyła mnie też perspektywa jutrzejszego śniadania z rodziną.

## Rozdział 39

Jedną z rzeczy, do których nigdy nie przyznałem się przed Janelle, to fakt, iż moja zazdrość nie była romantyczna, tylko pragmatyczna. Przeglądałem romantyczną literaturę, ale nigdzie nie znalazłem wzmianki, że żonaty facet boi się zdrady swojej kochanki, aby nie złapać trypra albo czegoś gorszego i nie zarazić tym swojej żony. Myślę, że nie może powiedzieć prawdy ko-chance, ponieważ wcześniej już ją okłamał, mówiąc, że nie sypia ze swoją żoną. A skoro sypia z żoną i ją zaraził, aby nie być kompletną świnią, musi powiedzieć im obu. Brzemie winy jest wtedy podwójne. Dlatego pewnej nocy powiedziałem o tym Janelle. Popatrzyła na mnie, uśmiechnęła się ponuro i rzekła:

– A gdybyś podłapał coś od żony i zaraził mnie? Czy też myślisz, że to niemożliwe?

Graliśmy w swoje zwykłe gierki, które nie były kłótniami, lecz pojedynkami intelektualnymi na dowcip i prawdę, czasami okrucieństwo, ale bez brutalności.

– Jasne – powiedziałem. – Ale szanse są mniejsze. Moja żona jest praktykującą katoliczką. Jest cnotliwa. – Uniosłem rękę, powstrzymując protest Janelle. – I jest starsza, nie tak ładna, poza tym ma mniejsze możliwości.

Janelle uspokoiła się nieco. Każdy komplement dotyczący jej urody zawsze ją łagodził.

– Ale masz rację – dodałem, uśmiechając się lekko. – Gdybym złapał coś od żony i przekazał tobie, nie czułbym się winny. W porządku. Byłby to sposób wymierzenia sprawiedliwości. Oboje jesteśmy przestępcami.

Janelle nie mogła się dłużej opanować. Niemal podskoczyła.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś zdolny powiedzieć coś takiego. Nie wierzę. Zgoda, ja jestem przestępcą. Ale ty jesteś zwykłym tchórzem.

Którejś nocy, wcześniej nad ranem, kiedy już kochaliśmy się kilkakrotnie, wypiliśmy butelkę wina i byliśmy tak sobą podekscytowani, że nie mogliśmy spać, Janelle uparła się i zmusiła mnie do opowieści o dzieciństwie w sierocińcu.

Będąc dzieckiem, używałem książek jak ksiąg magicznych. Późną nocą w sypialni, doznając samotności większej niż kiedykolwiek potem – zagłębiałem się w książki. Czytałem, a potem snułem własne fantazje. Moimi ukochanymi książkami wieku dziesięciu, jedenastu i dwunastu lat były romantyczne legendy o Rolandzie, Karolu Wielkim, Dzikim Zachodzie, ale szczególnie o królu Arturze i o rycerzach okrągłego stołu. O dzielnym Lancelocie i Galahadzie. Najukochańszą postacią był Merlin, ponieważ uważałem, że jestem do niego podobny. Puszczając wodze fantazji: mój brat był królem Arturem. Miał jego szlachetność i prawość, szczerłość i bezinteresowność – cechy, których mi brakowało. Będąc dzieckiem, wyobrażałem sobie, że będę sprytny i dalekowzroczny, i żyłem w głębokim przeświadczeniu, że moje przyszłe życie będzie wypełnione magią. Dlatego pokochałem maga króla Artura. Merlin, który żył od wieków, mógł przepowiadać przyszłość, był nieśmiertelny i najmądrzejszy z mądrych.

Wtedy wymyśliłem sztuczkę z przenoszeniem się w przyszłość. Korzystałem z tego przez całe życie. Dziecko z sierocińca zmieniało się w młodego człowieka otoczonego mądrymi odczytanymi przyjaciółmi. Mogłem sobie wyobrazić, że mam luksusowe mieszkanie, gdzie kocham się z piękną i namiętą kobietą.

Na wojnie, podczas zwiadu lub warty, wyobrażałem sobie, że jestem w Paryżu, jem świetne żarcie i śpiam ze sprośnymi dziwkami. Wydostawałem się spod ostrzału w magiczny sposób i przenosiłem do lasu, gdzie spoczywając nad szumiącym strumieniem, czytałem ulubioną książkę.

To działało naprawdę. Znikałem jak za dotknięciem różdżki.

I kiedy później, gdy rzeczywiście robiłem to, o czym wówczas marzyłem, przypominałem sobie okropności wojenne – wydawało mi się, że nigdy nie cierpiałem. To były tylko złe sny.

Pamiętam swoje zaskoczenie i zdziwienie, kiedy Merlin powiedział królowi Arturowi, że musi odtąd sam rządzić krajem, ponieważ on, Merlin, zostanie uwięziony przez młodą czarodziejkę, której zdradził swoje sekrety. Podobnie jak król Artur, zapytałem dlaczego. Dlaczego Merlin miałby nauczyć magii dziewczynę, skoro wiedział, że później stanie się jej więźniem, i dla-

czego tak beztrąsko zgadzał się na tysiącletni sen w jaskini, wiedząc, jak bliski jest koniec królestwa Artura? Nie mogłem tego zrozumieć. A jednak kiedy dorosłem, pomyślałem, że być może zrobiłbym to samo. Życie mnie nauczyło, że każdy heros ma swoją słabość, a ta miała być moim udziałem.

Przeczytałem wiele różnych wersji legendy o królu Arturze i w jednej z nich Merlin nosił długą, stożkową czapę z wymalowanymi na niej gwiazdami i znakami zodiaku. Na zajęciach praktycznych w sierocińcu zrobiłem sobie taką czapę i chodziłem w niej dumny jak paw. Uwielbiałem to nakrycie głowy. Do dnia, gdy jeden z chłopaków ukradł mi ją i nigdy później jej nie odzyskałem. Nigdy też nie zrobiłem sobie nowej. Ta czapka pomagała mi żyć w zaklętym świecie marzeń o bohaterze, jakim miałem się stać, o przygodach, które miałem przeżywać, dobrych uczynkach, których miałem dokonać, i o szczęściu, które miałem znaleźć. Choć tak naprawdę czapka nie była mi do tego potrzebna. I bez niej dopadały mnie fantazje. Moje życie w sierocińcu wspominam jak sen. Nigdy tam nie byłem. W wieku dziesięciu lat naprawdę byłem Merlinem. Byłem magiem i nic nie mogło mnie skrzywdzić.

Janelle patrzyła na mnie, lekko się uśmiechając.

– Ty naprawdę myślisz, że jesteś Merlinem, prawda? – zapytała.

– Tak trochę.

Znow się uśmiechnęła, lecz nic nie powiedziała. Napiliśmy się wina i wtedy odezwała się niespodziewanie:

– Wiesz, czasami mi naprawdę odwala i boję się być wtedy z tobą. Wiesz, co to dobry ubaw? Któreś z nas zwiąże drugie i później będzie się z nim kochać. Co o tym myślisz? Pozwól się związać, a ja ukocham cię bezradnego. Będzie świetnie.

Byłem zdumiony, ponieważ wcześniej już próbowaliśmy różnych odpałów i nigdy nam się nie udawało. Jedno wiedziałem: nikt nigdy nie będzie mnie wiązał. Dlatego powiedziałem:

– Dobra, ale to ja cię zwiążę, a nie ty mnie.

– To nieuczciwe – zaprotestowała Janelle.

– Gównu mnie to obchodzi. Nikt mnie nie będzie wiązał. Skąd mam wiedzieć, czy po związaniu nie będziesz mnie przypalać zapałkami albo wsadzać szpili do oka? Później będzie ci przykro, ale będzie już po ptokach.

– Nie, głuptasie. To będą symboliczne więzy. Po prostu wezmę chustkę

i związę ci ręce. Będiesz się mógł wyzwolić, kiedy tylko zechcesz. Może to być nawet nitka. Jesteś pisarzem, wiesz co znaczy słowo „symboliczne”.

– Nie – odparłem.

Oparła się o łóżko, i uśmiechając się chłodno, powiedziała:

– I ty myślisz, że jesteś Merlinem. Myślałeś, że będę współczuła małemu biedactwu z sierocińca. Jesteś najtwardszym skurwielem, jakiego w życiu widziałam, i właśnie tego dowiodłam. Nigdy nie pozwoliłbyś żadnej kobiecie rzucić na siebie zaklęcia, zamknąć w grocie ani nawet związać dłoni chustką. Nie jesteś Merlinem, Merlyn.

Naprawdę nie wiedziałem, że do tego zmierzała, ale i tak odpowiedź miałem gotową. Odpowiedź, której nie usłyszała. Że przed nią znałem już mniej biegłą w magii czarodziejkę. W końcu byłem żonaty, no nie?

Następnego dnia spotkałem się z Doranem, który zawiadomił mnie, że negocjacje dotyczące nowego scenariusza nieco potrwają. Nowy reżyser, Simon Bellfort, walczył o większy procent dla siebie. Doran spytał:

– Może byś mu odstąpił coś ze swoich zysków?

– Nawet nie chcę pracować nad tym filmem – zaprotestowałem. – Ten facet, Simon, to chuj, jego kumpel, Richetti, to pierdolony złodziej. Przynajmniej dupek Kellino ma wymówkę – jest świetnym aktorem. Najgorszy z nich to ten chuj Wagon. Chcę tylko, byś mnie wy dostał z tego szamba.

– Twój procent zysku w filmie zależy od udziału w scenariuszu. Tak zostało napisane w kontrakcie. Jeśli dasz im wolną rękę, wysiudają cię z tego. Będziesz musiał sądzić ich o plagiat. Czołówkę układa wytwórnia i jeśli cię w niej nie umieszczą, będziesz musiał to sobie wywalczyć.

– Niech tylko spróbują – powiedziałem. – Nie mogą tyle zmieniać.

– Mam pomysł. Eddie Lancer to twój dobry przyjaciel. Załatwię to tak, że on będzie z tobą współpracował przy scenariuszu. Ma łeb na karku i poradzi sobie z tamtymi. Zgoda? Zaufaj mi choć raz.

– Zgoda – rzekłem. Byłem tym wszystkim nieprawdopodobnie zmęczony.

Zanim wyszedł, zapytał jeszcze:

– Dlaczego jesteś na nich tak wkurwiony?

– Ponieważ żadnego z nich nie obeszała śmierć Malomara. Cieszą się z jego śmierci. – Ale nie była to prawda. Nienawidziłem ich, ponieważ próbowali mi dyktować, co mam pisać.

Wróciłem do Nowego Jorku w samą porę, aby obejrzeć ceremonię wręczenia nagród Akademii Filmowej. Wspólnie z Valerie oglądaliśmy to co roku. A tym razem szczególnie ochoczo zasiadłem przed ekranem, ponieważ film, w którym grała Janelle, dostał nominację.

Żona przyniosła kawę i ciasteczka. Uśmiechnęła się do mnie i zapytała:

– Czy myślisz, że kiedyś będziesz odbierał Oscara?

– Nie. Mój film będzie knotem.

Jak zwykle przy wręczaniu Oscarów, najpierw wręczano nagrody za pomniejsze dokonania. Film Janelle został odznaczony jako najlepszy film krótkometrażowy i przez chwilę na ekranie pojawiła się jej twarz. Jaśniała szczęściem i promieniała radością. Janelle była na tyle wrażliwa, że wystąpienie miała krótkie, i czuła się na tyle winna, aby ukazać to z gracją. Po prostu powiedziała:

– Chciałam podziękować wszystkim kobietom, które pracowały na ten sukces, a szczególnie pani Alice De Santis.

Przypomniało mi to dzień, w którym dowiedziałem się, że Alice kocha Janelle bardziej, niż ja mógłbym ją kiedykolwiek kochać.

Janelle wynajęła wówczas na miesiąc dom na plaży w Malibu i w weekendy mogłem ją tam odwiedzać. W piątek łąziliśmy po plaży, siedzieliśmy na werandzie, malutkiej werandzie pod księżycem Malibu, obserwując malutkie ptaki. Janelle powiedziała, że są to brodzie. Uciekały, kiedy tylko fale miały ich dosięgnąć.

Kochaliśmy się w pokoju z oknami wychodzącymi na Pacyfik. Następnego dnia, w sobotę, gdy jedliśmy obiad, przyjechała Alice. Zjadła z nami posiłek, po czym wyciągnęła z torebki malutki kawałek filmu i podała go Janelle. Film miał cal szerokości i dwa cale długości.

– Co to jest? – spytała Janelle.

– To moje nazwisko wycięte z czołówki – odparła Alice. – Wycięłam je.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała Janelle.

– Myślałam, że się ucieszysz.

Obserwowałem je. Widziałem film. Urocze arcydziełko. Janelle i Alice zrobiły go w kooperacji z jeszcze trzema kobietami. Janelle figurowała w czołówce jako gwiazda, Alice – jako reżyser, a pozostałe dwie kobiety również otrzymały miejsca odpowiadające ich wkładowi pracy.

– Potrzebujemy reżysera. Nie ma filmu bez reżysera – zaprotestowała Janelle.



– Myślałem, że to Alice reżyserowała film. – Wtrąciłem swoje trzy grosze, pragnąc dolać oliwy do ognia.

Janelle spojrzała na mnie gniewnie.

– Była naczelnym reżyserem – powiedziała. – Ale ja też dawałam sporo wskazówek i myślałam, że powinnam dostać za to jakąś nagrodę.

– Jezu! Jesteś gwiazdą w tym filmie. Alice musi zaistnieć w czołówce za to, co zrobiła.

– Oczywiście, że tak. Mówiłam jej to. Nie chciałam, żeby wycinała swoje nazwisko z kliszy. Ale ona to właśnie zrobiła.

– No i co ty na to? – spytałam Alice.

Alice była bardzo zmieszana.

– Janelle odwaliła kawał roboty przy reżyserii. A mnie nie zależy na zaszczytach. Janelle może wziąć sławę na siebie. Mnie na niej nie zależy.

Widziałem, że Janelle robi się zła. Nie lubiła być stawiana w niezręcznej sytuacji, ale równocześnie wiedziałem, że nie ma zamiaru pozwolić Alice na zabranie całego zaszczytu z filmu.

– Niech cię diabli – powiedziała do mnie Janelle.

– Nie patrz tak na mnie. Ja dostałam pieniądze na realizację tego filmu, zebrałam ludzi i pisałam wspólnie z nimi scenariusz. Nie mogło się to obyć beze mnie.

– Wszystko prawda. Wobec tego umieść swoje nazwisko pod hasłem „producent”. Dlaczego to takie ważne, żeby figurować jako reżyser?

– Będziemy go pokazywać w Akademii Filmowej i Filmeksie – wtrąciła Alice – a przy tego rodzaju filmach ludzie zwracają uwagę przede wszystkim na reżyserię. Reżyser zbiera wszystkie laury. Myślę, że Janelle ma rację. Jak chcesz zatem rozwiązać czołówkę? – zwróciła się do Janelle.

– Niech będą dwa nazwiska, twoje na pierwszym miejscu, zgoda?

– Jasne, jak sobie życzysz.

Po wspólnym posiłku Alice oznajmiła, że musi wyjechać, chociaż Janelle błagała ją, by została. Patrzyłem, jak całują się na pożegnanie, i poszedłem odprowadzić Alice do samochodu.

Zanim odjechała, zapytałem ją, czy naprawdę nie ma nic przeciwko rozwiązaniu Janelle.

Alice uniosła piękną, spokojną twarz i powiedziała:

– Nie, naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Janelle dostała histerii na pierwszym pokazie, kiedy wszyscy podeszli do mnie i zaczęli mi gratulować.

Po prostu taka jest, a uszczęśliwienie jej jest dla mnie ważniejsze niż te wszystkie bzdury. Rozumiesz to, prawda?

Uśmiechnąłem się do niej i pocałowałem ją w policzek.

– Nie. Nie rozumiem tego.

Wszedłem do domu, ale nigdzie nie było ani śladu Janelle. Pomyślałem, że poszła się przejść po plaży i chciała być sama.

I rzeczywiście, po godzinie zobaczyłem, jak nadchodzi, brodząc w wodzie. Weszła na górę, do sypialni, a kiedy ją tam znalazłem, leżała na łóżku nakryta kołdrą i płakała.

Usiadłem koło niej, nic nie mówiąc. Sięgnęła po moją dłoń. Wciąż płakała.

– Myślisz, że jestem wredną suką? – zapytała.

– Nieprawda.

– I myślisz, że Alice jest cudowna, prawda?

– Lubię ją – powiedziałem. Wiedziałem, że muszę być bardzo ostrożny. Obawiała się, że będę uważał Alice za kogoś lepszego od niej.

– Czy powiedziałaś jej, żeby wycięła ten kawałek negatywu? – zapytałem.

– Nie. Zrobiła to sama.

– Dobrze. Więc nie rozważaj tego w kategoriach, kto jest lepszy, a kto gorszy. Chciała to zrobić dla ciebie. Pogódź się z tym. Wiesz, że ci to odpowiada.

Jak to usłyszała, znów zaczęła płakać. Wpadła w histerię, więc zrobiłem jej zupę i podałem jedną niebieską dziesięciomiligramową tabletkę valium. Spała do niedzieli.

A ja po południu zająłem się czytaniem, potem patrzyłem w morze, aż do brzasku.

W końcu Janelle obudziła się. Była dziesiąta rano i w Malibu zaczął się piękny dzień. Nagle poczułem, że nie jest jej dobrze ze mną. Chciała zadzwonić do Alice i z nią spędzić resztę dnia. Dlatego powiedziałem, że telefonowali do mnie z wytwórni i nie będę mógł zostać do jutra. Jak przystało na kobietę z Południa, protestowała, ale nie mogła ukryć blasku w oczach. Chciała zadzwonić do Alice i pokazać jej, jak ją kocha.

Janelle odprowadziła mnie do samochodu. Miała na sobie jeden z tych dużych kapeluszy z opadającym rondem osłaniającym przed słońcem. To był naprawdę bardzo miękki kapelusz i większość kobiet wyglądałaby w nim paskudnie. Ale ona, ze swoją piękną twarzą i doskonałą cerą – wyglądała prześlicznie. Miała na sobie szyte na specjalne zamówienie powycierane džinsy,

które przylegały do jej ciała jak druga skóra. I wtedy przypomniałem sobie, jak kiedyś, leżąc obok niej nago, powiedziałem, że ma prześliczny kobiecy tyłeczek. Powiedziałem tak, aby jej zrobić na złość. Wiedziałem, że jest feministką i denerwują ją podobne uwagi, ale o dziwo sprawiło jej to przyjemność. To snobka! Była dumna ze swojej arystokratycznej rodziny z Południa.

Pocałowała mnie na pożegnanie. Jej twarz nosiła jeszcze ślady wczorajszej rozpacz. Kiedy odjeżdżałem, była trochę rozbita. Wiedziałem, że wraz z Alice będą się świetnie bawić, podczas gdy mnie czekał nudny dzionek w hotelu. Ale pomyślałem: a co mi tam. Alice zasługiwała na to, w przeciwieństwie do mnie. Janelle powiedziała mi kiedyś, że ona, Janelle, jest praktycznym rozwiązaniem moich emocjonalnych potrzeb, ale ja nie rozwiązuję jej potrzeb.

Ekran migał. Nadawali specjalny program poświęcony Malomarowi. Valerie pytała, czy był miłym facetem. Powiedziałem, że tak. Kiedy skończyliśmy oglądać transmisję z uroczystości, znów zapytała:

- Czy znasz kogoś z tych ludzi?
- Niektórych.
- Kogo? – nalegała Valerie.

Wspomniałem Eddiego Lancera, który dostał Oscara za udział w scenariuszu, ani słowem nie mówiąc o Janelle. Zastanawiałem się, czy Valerie zastała na mnie pułapkę i czeka, aż wymienię Janelle, więc powiedziałem, że znam blondyneczkę, która odbierała nagrodę jako pierwsza.

Valerie popatrzyła na mnie i odwróciła głowę.

## Rozdział 40

Tydzień później Doran wezwał mnie do Kalifornii na rozmowy. Powiedział, że sprzedał Eddiego Lancera Tri-Culture Studios. Obijałem się tam, chodząc na spotkania i randki z Janelle. Byłem trochę niespokojny. Kalifornia nie wzbudzała już we mnie ciepłych uczuć.

Pewnej nocy Janelle powiedziała do mnie:

– Zawsze mówisz, że twój brat Artie jest taki wspaniały. Dlaczego jest taki wspaniały?

– Cóż... Myślę, że dlatego, że był mi ojcem i bratem. Wiedziałem, że fascynuje ją to, że dorastaliśmy jako sieroty. Odpowiadało to jej dramatyczno-tragicznym upodobaniom.

Widziałem, jak układa w myśli filmy, bajki o życiu sierot. Dwóch chłopców. Urocze. Jak u Disneya.

– Naprawdę chcesz usłyszeć następne opowiadanie o dwóch sierotach? – zapytałem. – Chcesz usłyszeć pogodną czy prawdziwą historyjkę? Chcesz kłamstwa czy faktów?

Janelle udawała, że się zastanawia.

– Spróbujmy faktów – powiedziała. – Jeśli mi się nie spodobają, podkolorujesz trochę?

I powiedziałem jej, że wszyscy odwiedzający sierociniec chcieli adoptować Artiego, ale nigdy mnie. Od tego zacząłem. Janelle odezwała się kpiąco: „Biedactwo”. Ale pomimo uśmiechu na twarzy, objęła mnie ramieniem.

Było to pewnej niedzieli, gdy ja miałem siedem, a Artie dziewięć lat. Kazano nam ubrać się w adopcyjne mundurki.

Niebieskie marynarki, białe, wykrochmalone koszule, granatowe krawaty,

białe flanelowe spodnie i białe buty. Wyszorowano nas, wyszczotkowano i zaprowadzono do biura przełożonej, gdzie czekała młoda para. Mieliśmy się przywitać, pokazać nienaganne maniere i zapoznać się z nimi. Następnie mieliśmy pójść na spacer po terenach sierocińca: olbrzymim ogrodzie i boisku piłkarskim. Najwyraźniej ze wszystkiego pamiętam niespotykaną urodę tamtej kobiety. Zakochałem się w niej na zabój. Było jasne, że jej mąż też jest w niej zakochany, ale nie było to tak szaleńcze uczucie. Jasne także się stało, że kobieta szaleje za Artiem, lecz za mną – nie.

I naprawdę nie mogłem jej za to winić. Dziewięcioletni Artie był już przystöjny jak dorosły mężczyzna. Miał regularne rysy i, chociaż bez trudu rozpoznawano w nas braci, to ja wyglądałem jak nieudany odcisk tej samej formy. Pierwszy egzemplarz był doskonały. Przy drugim do mojego nosa i ust poprzyklepiało się za dużo surowca. Artie miał delikatność dziewczyny; moje kości były grubsze. Ale nigdy nie byłem zazdrosny o brata aż do tamtej niedzieli.

Tego wieczoru powiedziano nam, że para przyjedzie za tydzień, aby podjąć decyzję, czy adoptować jednego z nas, czy też obu. Powiedziano nam także, jacy to oni są bogaci i jak ważne jest dla nas, aby przynajmniej jeden z nas znalazł swój dom.

Pamiętam tę szczerą rozmowę z przełożoną. Była to jedna z tych szczerých rozmów, jakie przeprowadzają dorośli z dziećmi, przestrzegając je przed złymi odruchami zazdrości, zawiści, małostkowości i zachęcając je do wielkoduszności, jaką trudno by było osiągnąć świętym, nie mówiąc już o dzieciach. Jako dzieci słuchaliśmy tego bez komentarza. Kiwaliśmy tylko głowami, mrużąc: „Tak, psze pani”. Nie wiedzieliśmy tak naprawdę, o czym ona gada. Ale nawet siedmiolatek zorientował się, co się święci. Następnej niedzieli mój brat odjedzie z bogatą piękną panią, a ja zostanę sam w zakładzie.

Nawet w dzieciństwie Artie nie był próżny. Ale następny tydzień żyliśmy jak obcy sobie ludzie. Nienawidziłem go wtedy. W poniedziałek po lekcjach nie wzięłem go ze sobą do mojej drużyny futbolowej. W sporcie toja byłem górą. Przez szesnaście lat pobytu w zakładzie byłem najlepszym sportowcem wśród rówieśników i tym samym niekoronowanym przywódcą. Dlatego właśnie jako jeden z kapitanów dobierałem drużynę. Zwykle Artie był moim pierwszym wybranym. Tego poniedziałku po raz pierwszy nie wybrałem go w ogóle. Kiedy graliśmy, pomimo iż był starszy o dwa lata, gdy tylko dostałem piłkę, starałem się kopnąć go jak najmocniej. Trzydzieści lat później

wciąż miałem w pamięci wyraz zaskoczenia i bóleści na jego twarzy. Podczas wieczornych posiłków nie siadałem, jak dawniej, obok niego. Nie prowadziłem z nim zwykłych wieczornych rozmów w sypialni. Pamiętam, że któregoś dnia podczas tego tygodnia, gdy skończyliśmy grę i Artie już szedł przez boisko, z zimnym wyrachowaniem podkręciłem piłkę, która przeleciała dystans dwudziestu jardów i uderzyła Artiego w tył głowy, aż upadł na ziemię. Po prostu. Nigdy nie przypuszczałem, że go uderzę. Jak na siedmiolatka było to niezłe osiągnięcie. Nawet teraz zastanawiam się, jak silna musiała być moja złość, skoro uczyniła mnie tak celnym. Pamiętam, jak Artie podnosił się z murawy i moje wołanie: „Hej, nie chciałem”. Ale on po prostu wstał i poszedł dalej.

Nigdy nie starał się oddać. To rozwścieczyło mnie do białości. Nieważne jak go upokarzałem, on tylko patrzył na mnie pytająco. Żaden z nas nie rozumiał, co się właściwie dzieje. Wiedziałem o czymś, co mogło mu sprawić przykrość. Artie zawsze był skrzętnym ciułaczem. Dostawaliśmy grosiki za pracę w zakładzie, a Artie miał cały słój wypełniony monetami, który trzymał w szafie na ubrania. W piątek po południu zrezygnowałem z piłki, ukradłem słój i zakopałem go w lesie. Nawet nie przeliczyłem pieniędzy. Widziałem tylko miedziane i srebrne monety wypełniające słój prawie po brzeg. Artie zauważył zniknięcie słoja dopiero na drugi dzień. Popatrzył na mnie z niedowierzaniem, ale nic nie powiedział. Od tamtej pory mnie unikał.

Następnego dnia była niedziela i mieliśmy zgłosić się do przełożonej po adopcyjne mundurki. Wstałem przed śniadaniem i pobiegłem do lasu, aby się schować. Wiedziałem, co się miało stać tego dnia. Ubiorą Artiego w mundurki i piękna kobieta, którą kochałem, zabierze go na zawsze. Nigdy go nie zobaczę. Ale przynajmniej będę miał jego pieniądze. W najgęstszych zarosłach ułożyłem się do snu i przespałem cały dzień. Tuż przed zapadnięciem zmroku przebudziłem się i wróciłem do zakładu. Przyprowadzono mnie do biura przełożonej, od której dostałem dwadzieścia razów drewnianą linijką przez nogi. Nie zmartwiłem się ani odrobinę.

Wróciłem do sypialni i zaskoczył mnie widok Artiego siedzącego na łóżku i czekającego na mnie. Nie mogłem uwierzyć, że wciąż jest w zakładzie. Pamiętam tylko, jak łzy zakręciły mi się w oczach, kiedy Artie uderzył mnie w twarz ze słowami: „Gdzie moje pieniądze?”. Rzucił się na mnie, bijąc, kopiąc i domagając się forsy. Starałem się obronić, nie krzywdząc go i w końcu zrzuciłem go z siebie. Usiedliśmy, patrząc sobie w oczy.

– Nie mam twoich pieniędzy – powiedziałem.

– Ukradłeś je. Wiem, że ukradłeś.

– Nieprawda – odparłem. – Nie mam ich.

Gapiliśmy się na siebie. Nie rozmawialiśmy tego wieczoru.

Ale następnego dnia rano znów byliśmy najlepszymi przyjaciółmi jak dawniej. Nic się nie zmieniło. Artie nigdy więcej nie pytał mnie o pieniądze. A ja nigdy mu nie powiedziałem, gdzie zakopałem słój.

O tym, co stało się tej niedzieli, dowiedziałem się wiele lat później od Artiego. Gdy zorientował się, że uciekłem, odmówił włożenia adopcyjnego ubranka, wrzeszczał, przeklinał i chciał uderzyć przełożoną, za co dostał łanie. Kiedy młoda para nalegała na widzenie się z nim, opluł tę kobietę i wyzwał najgorszymi słowami, jakie znał. Była to okropna scena. Dostał kolejne łanie od przełożonej.

Gdy skończyłem opowiadać, Janelle wstała z łóżka, aby nalać sobie kieliszek wina. Wróciła i przytuliła się do mnie.

– Chcę poznać twojego brata – poprosiła.

– Po moim trupie. Dziewczyny, z którymi go poznawałem, momentalnie się w nim zakochiwały. Tak naprawdę ożeniłem się z moją żoną, ponieważ jako jedyna tego nie zrobiła.

– Czy odkopałeś później słój z pieniędzmi? – spytała Janelle.

– Nie – odparłem. – Nigdy nie chciałem. Chciałem, aby kiedyś jakieś dziecko, które przyjdzie po nas do sierocińca, odkopało ten magiczny skarb w lesie. Nie chciałem tych pieniędzy.

Janelle dopiła wino i spytała zazdrośnie:

– Kochasz go, prawda? – zawsze była zazdrosna o moje uczucia.

Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Nie chciałem używać słowa „miłość” w odniesieniu do brata ani do żadnego mężczyzny. Poza tym Janelle używała tego słowa zbyt często. Dlatego nie odpowiedziałem.

Pewnego wieczoru Janelle kłóciła się ze mną o to, że kobiety mają takie samo prawo pieprzyć się, jak mężczyźni. Udawałem, że się z nią zgadzam. Czuję wściekłą, złośliwą, tłumioną zazdrość.

– Jasne, że mają takie same prawa – powiedziałem. – Tylko biologicznie nie są do tego przygotowane.

Na te słowa Janelle wpadła w furię.

– Gówno prawda. Możemy się równie łatwo pieprzyć, jak wy. W rzeczywistości to wy, faceci, robicie to całe zamieszanie o wadze i powadze seksu. Jesteście tacy zazdrośni i zaborczy; myślicie, że jesteśmy waszą własnością.

Była to pułapka, w którą, jak miałem nadzieję, wpadnie.

– Nie to miałem na myśli – powiedziałem. – Ale czy wiesz, że mężczyzna ma dwadzieścia do pięćdziesięciu procent szans, aby zarazić się rzeżączką od kobiety, podczas gdy kobieta ma tych szans od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu procent?

Na chwilę zamilkła zdziwiona; uwielbiałem ten jej wyraz dziecięcego zaskoczenia na twarzy. Jak większość ludzi, guzik wiedziała na temat przenoszenia i objawów chorób wenerycznych. Co do mnie, kiedy zacząłem zdradzać żonę, przeczytałem tonę książek na ten temat. Plus Wassermana stał się moim koszmarem. Drżałem na samą myśl o możliwości zakażenia Valerie rzeżączką czy syfilisem, dlatego tak mnie irytowały opowiadania Janelle o byłych kochankach.

– Mówisz tak, aby mnie przerazić – powiedziała Janelle. – Wiem, że kiedy jesteś taki pewny siebie i autorytatywny, to po prostu fantazjujesz.

– Nie. To prawda. Mężczyzna ma zwykle objawy choroby po kilku dniach, ale kobieta może żyć z rzeżączką przez lata, nic o tym nie wiedząc. Pięćdziesiąt do osiemdziesięciu procent kobiet nie ma żadnych objawów przez tygodnie, a nawet miesiące, zanim pojawi się zielonkawy lub żółtawy wysięk.

Poza tym żeńskie organy płciowe wydzielają woń grzybni.

Janelle ze śmiechem opadła na łóżko, unosząc nogi.

– Wiesz, że ściemniasz.

– Nie, to prawda – powiedziałem. – Bez żartów. Ale z tobą wszystko jest w porządku. Twój zapach czuję aż stąd. – Miałem nadzieję, że żart ukryje moje złośliwe intencje. – Zwykle jedynym sposobem na dowiedzenie się o tym jest relacja partnera – dodałem.

Janelle wyprostowała się.

– Piękne dzięki – rzekła. – Czy to wstęp do jakiegoś wyznania?

– Nie, wszystko w porządku, ale gdybym to podłapał, to w grę wchodziłabyś tylko ty lub moja żona.

Janelle spojrzała na mnie sarkastycznie.

– A twoja żona jest poza wszelkimi podejrzeniami, czy tak?

– Dokładnie.

– Cóż, informuję cię, że co miesiąc chodzę do ginekologa na kompleksowe



badania.

– Do dupy. Jedyнным sposobem, aby się o tym przekonać, jest pobranie wymazu. Ginekolodzy tego nie robią. Pobierają tylko śluz z szyjki macicy i umieszczają go w próbówce. Badania są trudne i wynik nie zawsze jest prawidłowy.

Była tak zafascynowana, że postanowiłem dokonać zemsty.

– Jeśli zaś ci się wydaje, że można się wywinąć, ciągnąc drucika, to pragnę cię poinformować, że procentowo więcej kobiet zaraża się w ten sposób niż mężczyźni oblizujący kobiety.

Janelle podskoczyła na łóżku. Chichocząc krzyczała:

– Chwyć poniżej pasa! Poniżej pasa!

Oboje wybuchliśmy śmiechem.

– Rzeźączka to pestka – powiedziałem. – Naprawdę groźny jest syfilis. Jeśli facet wkłada ci do buzi swój interes, możesz mieć nielicznego liszaja w ustach, nawet na migdałkach. To zrujnowałoby twoją karierę artystyczną. Liszaj tego rodzaju pączkuje i zmienia się w kilka twardych czerwonych ran. A teraz słuchaj: objawy mogą zniknąć w ciągu jednego do pięciu tygodni, ale w dalszym ciągu jesteś chora i możesz zarażać innych. Może rozwinąć się drugie stadium, w którym na rękach i stopach pojawiają się czerwone guzy. – Podniosłem jej stopę. – No, niczego nie masz.

Była tak zafascynowana, że nie zrozumiała, dlaczego ją badam.

– A co z mężczyznami? Dlaczego, wy skubańcy, się z tego wywijacie?

– Nam puchną gruczoły limfatyczne w kroczu. Dlatego czasami faceci mówią, że mają podwójne jaja. Choroba powoduje też wypadanie włosów w tym miejscu. Dlatego w dawnym slangu syfilis nazywano francuskim golarzem. Ale nie jest tak źle. Penicylina zabija te zarazki. I wracamy do tego, co mówiłem: mężczyźni wiedzą, że złapali chorobę, a kobiety nie. Dlatego właśnie twierdzą, że kobiety nie są biologicznie przygotowane do rozwiąłości.

Janelle wyglądała na lekko oszołomioną.

– Uważasz, że to zabawne? Ty skurwielu. – Zaczynała załapywać.

– Nie jest tak źle, jak można by przypuszczać – kontynuowałem wywód. – Nawet jeśli nie wiesz, że masz syfilis – jak większość kobiet nie zdaje sobie z tego sprawy, dopóki jakiś miłosierny chłoptaś nie wyjawia im swojej tajemnicy – ponieważ nie pojawiają się żadne objawy zewnętrzne, to i tak przez rok nie będziesz mogła nikogo zarazić. – Uśmiechnąłem się do niej. – Chyba że zajdziesz w ciążę, wtedy dziecko urodzi się z syfilisem. – Widziałem, że

na te słowa aż się skurczyła. – Po roku dwie trzecie zakażonych nie ma widocznych objawów do końca życia. Wszystko jest OK.

Uśmiechnąłem się do niej.

– A pozostała jedna trzecia? – zapytała podejrzliwie Janelle.

– Ma duże kłopoty. Choroba atakuje serce i naczynia krwionośne. Może nie ujawniać się nawet przez dziesięć, dwadzieścia lat, a potem spowodować paraliż. Jest się kompletnie unieruchomionym. Może także zaatakować wzrok, płuca i wątrobę. Jest przyczyną chorób umysłowych. Jak widzisz, moja droga, nie masz szczęścia.

– Mówisz to wszystko, aby trzymać mnie z daleka od innych facetów – powiedziała Janelle. – Chcesz mnie przerazić, tak jak moja matka, gdy ostrzegła mnie w wieku piętnastu lat przed ciążą.

– Jasne – przyznałem. – Ale podpieram się nauką. Moralnie nie dostrzegam żadnych sprzeciwów. Możesz pieprzyć się, z kim chcesz. Nie należysz do mnie.

– Ty sprytny kutasie – powiedziała Janelle. – Może wynajdą tabletki podobne do antykoncepcyjnych.

Chciałem, aby mój głos zabrzmiał bardzo szczerze.

– Oczywiście – powiedziałem. – Już wynaleźli. Jeśli zażyjesz pięćset miligramów penicyliny na godzinę przed stosunkiem, zniszczysz wszystkie zarazki syfilisu. Ale to nie zawsze skutkuje i po dwudziestu latach wpadniesz jak śliwka w szambo. Jeśli zażyjesz za wcześnie lub za późno, to tylko rozmnożysz krętki. Wiesz, co to są krętki? Wyglądają jak korkociągi, dostają się do krwi i stamtąd do komórek. W komórkach nie ma wystarczająco dużo białych ciałek krwi, aby je zniszczyć. Jest coś takiego w penicylinie, co zapobiega zwalczaniu infekcji przez komórki, i wkrótce zarazki stają się na nie odporne. To penicylina je rozmnaża. Ale jest jeszcze coś, czego można użyć. Żel antykoncepcyjny. Zabija bakterie tak samo jak plemniki. Dwie sroki za ogon. Pomyśl o tym, mój przyjaciel Osano zawsze bierze penicylinę, kiedy ma mu się poszczęścić z dziewczyną.

– Mężczyźni – zaśmiała się pogardliwie Janelle. – Wy wiecie, kogo chcecie wypieprzyć, byle na drzewo nie uciekało, ale kobiety nigdy nie wiedzą, kto je będzie pieprzyć za godzinę lub dwie.

– Cóż, dam ci pewną radę. Nie pieprz się z nikim pomiędzy piętnastym i dwudziestym piątym rokiem życia. W tej grupie wiekowej jest najwięcej syfilityków. Poza tym zanim pójdziesz do łóżka z facetem, zrób mu „rozkaptu-

rzanie kapucyna”.

– Brzmi obrzydliwie. Co to jest? – spytała Janelle.

– Po prostu przeciągnij ręką po penisie, wiesz, tak jakbyś mu chciała ulżyć rączką. Jeśli zobaczysz żółty płyn wyciekający ze środka, znaczy, że jest chory. Tak robią prostytutki.

Kiedy to powiedziałem, zorientowałem się, że zagalopowałem się nieco. Spojrzała na mnie chłodno, więc pospiesznie dodałem:

– Jest jeszcze jedna choroba, opryszczka. To nie jest choroba weneryczna. Zwykle przenoszą ją nieobrzezani mężczyźni. Może spowodować raka szyjki macicy. Widzisz, jaki wynik? Można dostać raka i syfilisu od dupczenia, nic o tym nie wiedząc, co jest jeszcze jednym argumentem przeciw swobodzie seksualnej u kobiet.

Janelle klasnęła w dłonie.

– Brawo, panie profesorze. Myślę, że będę z babami.

– To nie jest taki zły pomysł – powiedziałem.

Łatwo mi było mówić. Nie byłem zazdrosny ojej kochanki.

# Rozdział 41

Gdy przyjechałem miesiąc później, zadzwoniłem do Janelle i postanowiliśmy pójść razem do kina i na kolację. Jej głos był trochę chłodny, co wzmoгло moją czujność i przygotowało na spotkanie z nią.

Drzwi otworzyła Alice. Pocałowała mnie na powitanie. Zapytałem ją, co u Janelle, a ona tylko wywróciła oczy, co miało oznaczać, że Janelle zwariowała. Nie był to jednak obłęd, a jedynie niegroźny odjazd. Janelle wyszła z sypialni. Nigdy nie widziałem jej w podobnym stroju.

Miała na głowie duży kapelusz przewiązany czerwoną wstążką. Rondo opuszczone na jej lśniące, ciemnobrązowe oczy. Włożyła doskonale skrojony męski garnitur z białego jedwabiu. Przynajmniej wyglądał jak jedwabny. Nogawki proste. Biała, jedwabna koszula, przepiękny czerwono-niebieski krawat. W dłoni dzierżyła kremową laseczkę od Gucciego, którą miała zamiar ugodzić mnie w brzuch. To było jednoznaczne wyzwanie. Wiedziałem, co chciała zrobić. Pokazać całemu światu swoją biseksualność.

Uśmiechnęła się.

– Jak ci się podoba?

– Super – odparłem z uśmiechem. Najstrojniejsza lesba, jaką w życiu widziałem. – Dokąd chcesz iść na kolację?

Oparła się na laseczce i patrzyła na mnie chłodnym wzrokiem.

– Myślę, że powinniśmy pójść do Scandii. Może chociaż raz zabrałbyś mnie do nocnego lokalu.

Nigdy nie jadaliśmy w świrackich klubach. Nigdy nie poszliśmy do nocnego klubu. Ale dobrze. Myślałem, że wiem, do czego zmierza. Zmuszała mnie, abym przyznał przed światem, że kocham ją pomimo jej ciągot i zniosę wszystkie dowcipasy o lesbijkach, opowiadane za moimi plecami. Skoro sam się z tym pogodziłem, nie robiło różnicy, czy ktokolwiek ma coś przeciwko

temu.

To był wspaniały wieczór. Wszyscy gapili się na nas w restauracji i muszę przyznać, że Janelle wyglądała olśniewająco. Tak jak imitacja Marleny Dietrich, lecz z jaśniejszą cerą i włosami. Naturalnie, w stylu panienki z dobrego domu z Południa. Cokolwiek robiła, kobiecość aż z niej tryskała. Wiedziałem, że jeśli jej to powiem, nie będzie zachwycona. Wyszła przecież, aby mnie ukarać.

Bardzo podobała mi się w roli lesbijki, ponieważ wiedziałem, jaka jest kobieta w łóżku. Wyglądała jak żart feministki. Bawiłem się setnie również dlatego, że myślała, iż mnie to złości. Obserwowała każdy mój ruch i najpierw była szczerze zdziwiona, a potem zadowolona, że nie mam nic przeciwko jej zachowaniu.

Mieliśmy iść do nocnego lokalu, ale wylądowaliśmy w klubie Polo, gdzie ku jej radości nie wyparłem się naszego związku przed wspólnymi znajomymi. Przy jednym ze stolików zobaczyłem Dorana, przy drugim Jeffa Wagona i obaj suszyli do mnie zęby. Janelle pomachała im radośnie i zwróciła się do mnie ze słowami:

– To wspaniale wpaść dokądś na drinka i zobaczyć kilku starych, dobrych przyjaciół, prawda?

– Wspaniale – powiedziałem, posyłając jej uśmiech.

Odwiozłem ją później do domu, a ona poklepała mnie po ramieniu laseczką, mówiąc:

– Świetnie się spisałeś.

– Dziękuję – odparłem.

– Zadzwonisz do mnie?

– Tak.

To był miły wieczór. Bawiły mnie spojrzenia kelnera, portiera i pracowników parkingowych. Przynajmniej teraz wytrąciłem jej broń z ręki.

Wtedy właśnie pokochałem Janelle jako człowieka. Nie oznaczało to, że chciałem ją bez końca pierdolić czy mdleć, patrząc jej w oczy, lub wtapiać się w jej ust korale. Albo opowiadać jej bez końca różne historie; Jezu, opowiedziałem jej cały swój życiorys, tak jak ona mnie. Nadszedł czas, gdy przestało mi wystarczać, że ona mnie uszczęśliwiała. Zrozumiałem, że i ja powinienem uczynić ją szczęśliwszą i nie wkurwiać się, kiedy ona nie dawała mi szczęścia.

Nie znaczy to wcale, że stałem się jednym z tych facetów, którzy kochają

się w dziewczynie, ponieważ czyni ich to nieszczęśliwymi. Nigdy tej postawy nie rozumiałem. Zawsze wierzyłem w swój udział w jakimś przedsięwzięciu. Czy to w literaturze, małżeństwie, miłości czy ojcostwie.

Uszczęśliwianie jej nie polegało na obsypywaniu jej prezentami. Ani na rozweseleniu jej, gdy się smuciła, ponieważ byłoby to tylko usuwaniem przeszkód uniemożliwiających jej uszczęśliwienie mnie.

Ciekawe, że po tym, jak mnie „zdradziła”, jak zaczęliśmy się trochę nienawidzić, pokochałem jej osobowość. Była wspaniałym kompanem. Czasami mówiła jak dziecko: „Jestem dobra”. I naprawdę była dobra. Prostolinijna we wszystkich ważnych sprawach. Jasne, pieprzyła się z innymi facetami i kobietami, ale nikt nie jest doskonały. Wciąż uwielbiała te same książki, filmy i ludzi co ja. Gdy mnie okłamywała, to tylko po to, aby mnie nie ranić. A kiedy mówiła prawdę – to częściowo po to, aby mnie dotknąć (była mściwa jak Krymhilda, co również w niej lubiłem), ale również dlatego, że bała się, iż gdybym sam odkrył prawdę, mogłoby to głębiej mnie zranić.

Z biegiem czasu zrozumiałem, że jej życie jest skomplikowane. Ale komu było łatwo. Dlatego w końcu z naszego związku zniknęły fałsz i iluzje. Byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi i kochałem ją jako człowieka. Podziwiałem jej odwagę, umiejętność podnoszenia się z porażek zawodowych i zawodów życia prywatnego. Rozumiałem wszystko. Zawsze stawałem po jej stronie.

Dlaczego więc nie było nam ze sobą wspaniale jak kiedyś? Dlaczego w łóżku nie było już tak cudownie, choć i tak lepiej niż byłoby z kimkolwiek innym? Dlaczego nie zachwycaliśmy się sobą jak niegdyś?

Magia – czarna lub biała. Czarodziejstwo, zaklęcia, wiedźmy i alchemia. Czy naprawdę gwiazdy decydują o naszym losie, a księżycowa poświata czyni żywot marnym i szarym?

Czy to możliwe, że niezliczone galaktyki wpływają na nasze życie? Czy to prawda, że nie potrafimy być szczęśliwi bez iluzji?

W każdym romansie przychodzi taki moment, kiedy kochanka wkurwia się na partnera za to, że jest zbyt szczęśliwy. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że to dzięki niej doświadcza tego szczęścia. To jej radość, ale i zadanie. Ale w końcu dochodzi do wniosku, że temu sukinsynowi wszystko przychodzi za łatwo. Szczególnie kiedy facet jest żonaty, a ona samotna. Wtedy ich związek jest rozwiązaniem jego problemów, ale nie jej.

Przychodzi taki moment, kiedy jednemu z partnerów potrzebna jest kłótnia, zanim pójdzie do łóżka. Janelle osiągnęła ten etap. Czasami udawało mi

się załagodzić konflikt, choć niekiedy kusilo mnie, żeby dolać oliwy do ognia. Zwykle wtedy, kiedy wkurwiała się, że ciągle jestem żonaty i nie obiecuje jej żadnego stałego związku.

Pewnego razu po kinie pojechaliśmy do domku w Malibu. Było późno. Z okien sypialni widzieliśmy ocean przybrany księżycową poświatą i wyglądający jak lok jasnych włosów.

– Chodźmy do łóżka – zaproponowałem. Bardzo pragnąłem się z nią kochać. Jak zwykle.

– O Chryste – jęknęła – nic tylko byś się pieprzył.

– Nie, chcę się z tobą kochać. – Stałem się sentymentalny.

Spojrzała na mnie chłodno, choć jej brązowe oczy aż pociemniały z gniewu.

– Ty i twoja jebana niewinność – powiedziała. – Jesteś jak trędowaty bez kołatki.

– Graham Green – dodałem.

– Och, odpierdol się – powiedziała, ale ze śmiechem.

Powodem zmiany naszych stosunków była moja prawdomówność. Janelle chciała, żebym kłamał. Chciała, abym wciskał jej kit, który zawsze jest podkładką dla żonatych facetów. Na przykład: „Rozwodzimy się z żoną”. Albo: „Nie kochałem się z żoną od lat”. Albo: „Żona mnie nie rozumie”. Lub: „Nasze małżeństwo nie jest szczęśliwe”. Ponieważ nic z tego nie było prawdą, trzymałem buzię na kłódkę. Kochałem moją żonę, spaliśmy ze sobą, kochaliśmy się, byliśmy szczęśliwi. Miałem w ręku dwa wspaniałe światy i z żadnego nie miałem zamiaru rezygnować. Tym gorzej dla mnie.

Teraz Janelle zaśmiała się, co było dobrym sygnałem. Napuściła wody do wanny. Zawsze kąpaliśmy się razem przed pójściem do łóżka. Myliśmy się nawzajem, dokazywaliśmy i pluskaliśmy w wodzie jak dzieci. Wyskakiwaliśmy z wanny i wycieraliśmy się wielkimi ręcznikami. A potem splataliśmy się w uścisku.

Teraz jednak przed pójściem do łóżka zapaliła papierosa. Był to znak zbliżającego się niebezpieczeństwa. Chciała się kłócić. Z torebki wysypały jej się tabletki wzmacniające, co mnie wpieprzyło nie na żarty. Już nie miałem miłosnego nastroju. Widok fiolki z pigułkami wyzwolił we mnie ciąg skojarzeń. Teraz, gdy wiedziałem, że miała kochankę, że gdy byłem w Nowym Jorku, sypiała z innymi mężczyznami, już tak bardzo jej nie kochałem. Potrzebowała tabletek wzmacniających, aby po pieprzeniu się z innymi miała siłę kochać

się ze mną. Janelle wyczuła, co myślę.

– Nie wiedziałem, że czytujesz Grahama Greena – powiedziałem. – Wspomniała była ta wstawka o trędowatym bez kołatki. Trzymałaś ten tekst specjalnie dla mnie?

Zmarszczyła brwi. Włosy opadały jej na piękną, delikatną twarz.

– To prawda, wiesz o tym – powiedziała. – Możesz jechać do domu i dmuchać żonkę. I to jest w porządku. Ale ja jestem dziwką, ponieważ mam innych kochanków. Nawet już mnie nie kochasz.

– Wciąż cię kocham.

– Już nie tak jak kiedyś.

– Kocham cię na tyle, aby się z tobą kochać, a nie pierdolić.

– Jesteś naprawdę cwany. Niewinny cwaniak. Przyznałeś, że kochasz mnie mniej, i chcesz, żebym uważała, że podstępem wydarłam z ciebie to wyznanie. Ale to nieprawda. Chciałeś, żebym to wiedziała. Ale dlaczego? Dlaczego kobieta nie może iść do łóżka z jednym, a kochać drugiego? Zawsze powtarzasz, że kochasz swoją żonę i mnie. I że jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Dlaczego ja mam myśleć inaczej? Dlaczego kobiety mają postępować inaczej? Dlaczego nie miałybyśmy mieć takiej samej swobody jak kochający nas mężczyźni?

– Ponieważ wiesz na pewno, że dziecko jest twoje, a faceci nie mogą tego wiedzieć – powiedziałem. Chyba żartowałem.

Dramatycznym ruchem odrzuciła kołdrę i skoczyła na równe nogi.

– I ty to mówisz? – wykrzyknęła łamiącym się głosem. – Nie wyobrażałam sobie, że mógłbyś wygłaszać tak szowinistyczne poglądy.

– Żartowałem – powiedziałem. – Naprawdę. Ale wiesz, że chcesz niemożliwego. Abym cię ubóstwiał, abym był w tobie zakochany i traktował cię jak królową dziewicę. Tak jak w dawnych czasach. A jednocześnie odrzucasz te wartości, na których buduje się ślepą, poddańczą miłość. Cnotę, czystość poświęconą wyłącznie jednemu mężczyźnie, w którego rękach spoczywa los kobiety. Żyjąc jak markietanka, pragniesz, abym kochał cię jak Świętego Graala. Nie dopuszczasz do siebie myśli, że skoro twoje wartości się zmieniają, zmieniają się także moje. Nie potrafię kochać cię tak, jak tego chcesz. Tak jak kiedyś.

Zaczęła płakać.

– Wiem – wychlipała. – O Boże, jak myśmy się kochali. Wiesz, że kochałam się z tobą, nawet gdy męczyły mnie silne bóle głowy. Nic mnie to nie ob-



chodziło, po prostu brałam tabletkę. Uwielbiałam to robić. Uwielbiałam. A teraz, kiedy jesteśmy szczerzy, seks nam nie wychodzi, prawda?

– Prawda.

Znów ją rozzłościłem. Zaczęła wrzeszczeć głosem przypominającym kwakanie kaczki.

Zapowiadało się na długą noc. Westchnąłem i sięgnąłem po papierosa. Bardzo trudno jest zapalić papierosa, gdy cipa stojącej nad tobą kobiety znajduje się w prostej linii nad twoimi ustami. Ale udało mi się ta sztuka, a Janelle na ten widok upadła ze śmiechem na łóżko.

– Masz rację – powiedziałem. – Ale wiesz, że są pewne argumenty przemawiające za tym, żeby kobiety zachowywały wierność. Pamiętasz, mówiłem ci o chorobach wenerycznych. Im więcej facetów cię przetrznie, tym większe ryzyko raka szyjki macicy.

– Ty łgarzu! – wyrzuciła z siebie, śmiejąc się Janelle.

– Bez jaj. Stare zakazy mają swoje uzasadnienie.

– Wy skurwiele. Faceci to beztroskie skurwiele.

– Tak to już jest – stwierdziłem sentencjonalnie. – Kiedy zaczynasz wrzeszczeć, przypominasz mi kaczoza Donalda.

Dostałem poduszkę; miałem wymówkę, aby ją złapać i przytulić i po chwili już się kochaliśmy.

Później, kiedy paliliśmy razem jednego papierosa, powiedziała:

– Wiesz, że mam rację. Mężczyźni nie grają uczciwie. Kobiety mają prawo do tylu partnerów seksualnych, na ilu będą miały ochotę. Bądź przez chwilę poważny. Mam rację?

– Masz – powiedziałem nawet poważniejszym głosem niż ona. Naprawdę tak myślałem. Uważałem, że ma rację.

Przysunęła się do mnie.

– Za to właśnie cię kocham – powiedziała. – Ty naprawdę to rozumiesz. Nawet gdy zachowujesz się jak szowinistyczna męska świnia. W czasie rewolucji ocalę ci życie. Powiem, że byłeś dobrym samcem, tylko zbłądziłeś.

– Serdeczne dzięki – ucieszyłem się.

Zgasiła światło i papierosa. Bardzo ostrożnie zapytała:

– Nie kochasz mnie mniej dlatego, że sypiam z innymi?

– Nie.

– Wiesz, że kocham cię mocno i szczerze?

– Tak – odparłem.

– I nie uważasz mnie z tego powodu za puszczałką pizdę? – zapytała Janelle.

– Nie. Chodźmy spać. – Sięgnąłem, by ją objąć. Odsunęła się nieznacznie.

– Dlaczego nie opuścisz swojej żony i nie ożenisz się ze mną? Powiedz prawdę.

– Ponieważ lubię mieć to na dwa sposoby.

– Ty łajdaku. – Dźgnęła mnie palcem w jądro.

Zabolało.

– O matko – skrzywiłem się. – Myślisz, że zostawię swoją żonę tylko dlatego, że jestem w tobie zakochany na zabój, że lubię z tobą rozmawiać bardziej niż z kimkolwiek innym i że bardzo lubię cię dymać?

Nie wiedziała, czy mówię poważnie. Postanowiła wziąć to za żart. Było to niebezpieczne posunięcie.

– Mówię poważnie. – Nie dawała za wygraną. – Naprawdę chcę wiedzieć. Dlaczego trzymasz się jeszcze swojej żony? Podaj jeden dobry powód.

Przed odpowiedzią skuliłem się, by osłonić jądra.

– Ponieważ ona nie jest dziwką.

Pewnego ranka odwiozłem Janelle na plan wytwórni Paramount, gdzie miała zdjęcia w jednym z wielkich filmów tej wytwórni.

Przyjechaliśmy za wcześnie, więc spacerowaliśmy, przyglądając się doskonałej kopii jakiegoś miasteczka. Był tam nawet fałszywy horyzont na arkuszu blachy, wyglądający tak naturalnie, że na chwilę mnie zmylił. Gdy spacerowaliśmy wśród drzwi prowadzących donikąd, nie mogłem się opanować i otworzyłem drzwi małej księgarni, oczekując znajomego widoku: półek z pięknymi grzbietami starych książek. Ale zobaczyłem tylko trawę i trochę piasku przy progu.

Janelle śmiała się i szła dalej. Było tam okno, przez które było widać butelki i flaszki z lekarstwami z dziewiętnastego wieku. Otworzyliśmy drzwi i znów tylko trawa i piasek. Szliśmy dalej, a ja wciąż otwierałem drzwi. Janelle już się tylko uśmiechała. W końcu dotarliśmy do restauracji. Nad wejściem wisiała płócienna markiza, pod którą zamiatał jakiś człowiek ubrany w kombinezon. Zmylił mnie. Myślałem, że zesliśmy już z planu i znajdujemy się na terenie biur wytwórni. Zobaczyłem jadłospis w oknie i zapytałem sprzątającego, czy otworzyli już restaurację. Miał kamienną twarz starego aktora. Spojrzał na mnie z ukosa. Obdarował mnie szerokim uśmiechem, a następnie mrugnął do mnie.

– Pyta pan poważnie? – zdziwił się.

Otworzyłem drzwi restauracji. Byłem naprawdę zdumiony. Znów trawa i piasek. Zamknąłem je i spojrzałem na twarz sprzątającego. Była przepełniona radością, jakby to on zorganizował dla mnie tę wycieczkę. Jakby był samym Panem Bogiem, a ja bym go właśnie zapytał: „Czy życie jest poważne?”. I dlatego właśnie zapytał mnie: „Pyta pan poważnie?”.

Poszliśmy z Janelle na plan.

– Przecież widać, że to atrapa. Jak mogłeś dać się nabrać? – spytała.

– Nie nabrałem się.

– Ale najwyraźniej oczekiwałeś, że będą prawdziwe. Obserwowałam twoją twarz, gdy otwierałeś te drzwi. I że dałeś się nabrać na tę restaurację. – Szturchnęła mnie żartobliwie. – Nie można cię zostawiać samego. Jesteś taki tępy.

I musiałem jej przyznać rację. Ale naprawdę nie dałem się oszukać. Po prostu chciałem ujrzeć coś realnego za tymi drzwiami. Po prostu nie mogłem przyjąć do wiadomości faktu, że za pomalowanymi drzwiami niczego nie ma. Naprawdę myślałem, że jestem magiem. Kiedy otworzyłem te drzwi, w środku powinny być prawdziwe pomieszczenia i prawdziwi ludzie. Nawet restauracja. Kiedy otwierałem te drzwi, przez mgnienie oka widziałem czerwone obrusy, butelki wina i klientów czekających na wolne miejsca. Byłem naprawdę zdziwiony, gdy niczego nie zobaczyłem.

Uświadomiłem sobie, że otwierałem drzwi pod wpływem jakiegoś nienormalnego impulsu. I byłem zadowolony, że to zrobiłem. Nie miałem za złe Janelle jej śmiechu ani współpracy z tym stukniętym aktorem. Chciałem się tylko upewnić. Gdybym tego nie zrobił, nie miałbym pewności przez całe życie.

## Rozdział 42

Osano przyleciał do Los Angeles, aby pracować nad kolejnym filmem. Zadzwoił do mnie i zaproponował spotkanie. Zabrałem na to spotkanie Janelle, ponieważ bardzo chciała go poznać. Po obiedzie, przy kawie, Janelle starała się naciągnąć mnie na opowieść o mojej żonie. Ofuknąłem ją.

– Nigdy o tym nie mówisz, no nie? – zapytała.

Nie odpowiedziałem, a mimo to ona ciągnęła ten temat. Była troszeczkę zaróżowiona od wypitego wina i czuła się niezręcznie, ponieważ był z nami Osano. Zaczęła się złościć.

– Nigdy nie mówisz o swojej żonie, bo uważasz to za niehonorowe.

Wciąż milczałem.

– Wciąż masz o sobie wysokie mniemanie, prawda? – raczej stwierdziła, niż zapytała Janelle. Opętała ją zimna furia.

Osano uśmiechał się półgębkiem i, aby załagodzić sytuację, grał swoją starą rolę znanego, doskonałego pisarza, nieco ją nawet przejawiając.

– O swoim sieroctwie także niczego nie mówi – powiedział. – Wszyscy dorośli to sieroty. Tracimy rodziców, wchodząc w dorosłe życie.

Nagle Janelle to zainteresowało. Powiedziała mi wcześniej, że podziwia Osana za jego książki i intelekt.

– Myślę, że to bardzo celna uwaga. I jaka prawdziwa – zgodziła się z nim.

– Gówno prawda – zaprzeczyłem. – Jeśli macie zamiar porozumiewać się za pomocą słów, powinniście poznać ich znaczenie. Sierota to dziecko, które dorasta bez rodziców, a czasami bez żadnych krewnych. Dorosły nie jest sierotą. To pierdolony kutas, który nie ma pożytku ze starych nudziarzy rodziców i już ich nie potrzebuje.

Zapadła cisza. Po chwili odezwał się Osano.

– Masz rację, ale prawdą jest także, że nie masz zamiaru dzielić z nikim

swojej specjalnej pozycji.

– Tak, może masz rację – przyznałem. – W kręgu twoich przyjaciółeczek – zwróciłem się do Janelle – mówicie do siebie „siostra”. Słowo „siostra” oznacza dziecko płci żeńskiej zrodzone z tych samych rodziców, które zwykle ma takie same traumatyczne doświadczenia z dzieciństwa. To właśnie oznacza „siostra” – nieważne zła czy dobra. Kiedy zwracasz się do swojej dziewczyny „siostra”, obie wyglądacie śmiesznie.

– Znów się rozwodzę – zmienił temat Osano. – Jeszcze raz alimenty. I jeszcze jedno, nigdy się już nie ożenię. Nie będę miał forsy na alimenty.

Zaśmiałem się wraz z nim.

– Nie mów tak. Jesteś ostatnią szansą instytucji małżeństwa.

Janelle uniosła głowę i rzekła:

– Nie, Merlyn. To ty nią jesteś.

Zaśmialiśmy się wszyscy. Wtedy powiedziałem, że nie chcę iść do kina. Byłem zbyt zmęczony.

– Och, do diabła – powiedziała Janelle. – Chodźmy na głębszego do Pipsa i pograjmy trochę w tryktraka. Nauczymy Osana, jak się w to gra.

– Dlaczego nie pójdziecie sami? – zapytałem lodowatym głosem. – Ja wrócę do hotelu i się trochę prześpię.

Osano obserwował mnie ze smutnym uśmiechem na twarzy. Nic nie mówił. Janelle patrzyła na mnie jakby w oczekiwaniu, abym powtórzył to, co powiedziałem. Starłem się mówić tak chłodno i beznamiętnie, jak tylko to było możliwe.

– Słuchajcie, nie mam nic przeciwko temu. Bez żartów. Jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi, ale naprawdę chce mi się spać. Osano, bądź dżentelmenem i zajmij moje miejsce – powiedziałem, starając się zachować kamienną twarz.

Osano od razu odgadł, że jestem zazdrosny.

– Co tylko sobie życzysz, Merlyn – powiedział. Miał w dupie to, co czułem. Pomyślał, że zachowuję się jak palant. I wiedziałem, że zabierze Janelle do Pipsa i przetrznie ją później w hotelu bez mrugnięcia okiem. Uważał, że to nie moja sprawa.

Ale Janelle zaprotestowała.

– Nie bądź niemądry. Pojadę sama do domu, a wy możecie robić, co chcecie.

Wiedziałem, co sobie myśli. Dwie szowinistyczne męskie świnię chcą ją

spławić. Wiedziała także, że jeśli pójdzie z Osanem, to może to być wymówka dla mnie, aby już więcej się z nią nie spotkać. Wydaje mi się, że wiedziałem, co robię. Szukałem powodu, aby ją znienawidzić. Gdyby poszła z Osanem, miałbym pretekst, aby się jej pozbyć.

W końcu Janelle pojechała ze mną do hotelu. Ale pomimo ciepła naszych ciał czułem jej chłód. Później się odsunęła. Przez sen słyszałem skrzypienie sprężyn w łóżku.

– Janelle, Janelle – wymamrotałem.

## Rozdział 43

### JANELLE

Jestem dobra. Nic mnie nie obchodzi, co myślą inni. Jestem dobra. Przez całe życie mężczyźni, których kochałam, poniżali mnie, poniżali mnie, mówiąc, co we mnie kochają. Nigdy nie mogli pogodzić się z faktem, że interesują mnie inni ludzie, nie tylko oni. Wtedy zawsze wszystko się rozpieprzało. Najpierw się we mnie zakochiwali, a potem chcieli, abym była kimś innym. Nawet miłość mojego życia, ten sukinsyn Merlyn. On był najgorszy z nich wszystkich. Był także najlepszy. Rozumiał mnie. Był najlepszym mężczyzną, jakiego spotkałam w życiu, kochał mnie tak jak ja jego. Starał się, jak umiał. Ja też. Ale nie mogliśmy przewyciężyć tych męskich stereotypów. Chorował, kiedy tylko spodobał mi się ktoś inny. Widziałam tę chorobę wypisaną na jego twarzy. Oczywiście, ja też nie mogłam wytrzymać, kiedy tylko rozmawiał z inną kobietą. Co z tego? Ale on był sprytniejszy niż ja. Krył się. Gdy byłam w pobliżu, nie zwracał uwagi na inne kobiety, chociaż one na niego tak. Ja nie byłam tak sprytna, a może uważałam to za nieuczciwe? To, co on robił, też było nieuczciwe, ale skutkowało. Zakochałam się po same uszy. A moja uczciwość ostudziła jego uczucia.

Kochałam go, ponieważ był tak mądry we wszystkim. Z wyjątkiem kobiet. Był prawdziwym głupcem, jeśli chodzi o kobiety. I był głupcem, jeśli chodzi o mnie. Może nie był głupi, ale żył wyłącznie iluzjami. Powiedział mi kiedyś, że powinnam być lepszą aktorką i lepiej grać rolę zakochanej w nim kobiety. Naprawdę go kochałam, lecz on uważał, że złudzenie jest ważniejsze od prawdziwej miłości. Zrozumiałam to i starałam się z całych sił. Ale im mocniej go kochałam, tym gorzej mi to wychodziło. Chciałam, żeby kochał mnie prawdziwą. Może nikt nie potrafi kochać mnie prawdziwej, prawdziwego

ciebie czy samej prawdy. Tak jest – nikt nie jest w stanie kochać prawdy. A jednak nie potrafię żyć, nie próbując być naprawdę sobą. Jasne, kłamię, ale nigdy bez potrzeby i później, kiedy uznaję, że nadszedł właściwy moment, zawsze przyznaję się do kłamstwa. I wtedy wszystko się rozpiędała.

Wszystkim opowiadam, jak to opuścił nas tatuś, gdy byłem małą dziewczynką. A kiedy się upijam, rozpowiadam znajomym, że w wieku piętnastu lat starałam się popełnić samobójstwo. Ale nigdy nie podaję przyczyny. Prawdziwej. Pozwalam im domyślać się, że to z powodu odejścia ojca: może rzeczywiście tak było. Wyznaję masę szczegółów z mojego życia. Że jeśli mężczyzna, którego lubię, stawia mi suto zakrapianą kolację, idę z nim do łóżka, nawet jeśli kocham kogoś innego. Co w tym takiego strasznego? Mężczyźni robią to cały czas. I nic. A kiedy to powiedziałam mężczyźnie, którego kochałam ponad wszystko, doszedł do wniosku, że jestem kurwą. Nie mógł zrozumieć, że to nie było ważne. Po prostu chciałam, aby mnie ktoś przeleciał. Każdy facet robi to samo.

Nigdy nie oszukiwałam facetów. Może czasami materialnie. Nigdy jednak nie stosowałam tanich numerów, na które dawali się nabierać faceci moich koleżanek. Nigdy nie obarczałam żadnego z nich winą za ciężę tylko po to, aby mi pomógł. Nigdy nie naciągałam ich w ten sposób. Nigdy nie kłamałam mężczyznom, mówiąc, że ich kocham, przynajmniej nie na początku znajomości. Czasami, kiedy moja miłość już wygasła, a on nie mógł przełamać uczucia do mnie, mówiłam mu nadal o miłości, nie chcąc go skrzywdzić. Nie byłam już jednak taka czuła i po jakimś czasie sami się orientowali. Wszystko wygasło i przestawaliśmy się spotykać. Nigdy nie znienawidziłam faceta, którego pokochałam, niezależnie od tego, jakie świństwa robił mi później. Mężczyźni są tacy grubiańscy w stosunku do kobiet, które kiedyś kochali, przynajmniej niektórzy, przynajmniej w stosunku do mnie. Może dlatego, że ciągle mnie kochali, a ja ich nie, no może trochę, ale to się nie liczy. Jest olbrzymia różnica pomiędzy kochaniem kogoś odrobinę, a kochaniem na zabój.

Dlaczego faceci zawsze wątpią w miłość kobiet? Dlaczego ogarnia ich zwątpienie w ich szczerłość? Dlaczego zawsze je zostawiają na lodzie? Och, Chryste, dlaczego to tak boli? Nie jestem w stanie dłużej kochać. Boli mnie, że są takimi chujami. Takimi skurwysynami. Krzywdzą cię z dziecięcą bez troską, ale dziecku można wybaczyć. Nawet jeśli wywołują twoje łzy. Ale dość już; żadnych facetów, żadnych dzieci.



Kochankowie są okrutni; im bardziej kochają, tym są okrutniejsi. Nie donżuani, casanowy, kurwiarze, jak na siebie mówią. Nie te szczyle. Mam na myśli mężczyzn, którzy cię naprawdę kochają. Och, jest się wtedy naprawdę zakochaną, oni mówią to samo i wiem, że to prawda. I wiem też, że tacy potrafią skrzywdzić najboleśniej. Chciałabym im wtedy powiedzieć: „Nie mów, że mnie kochasz. Ja cię nie kocham”.

Gdy Merlyn powiedział, że mnie kocha, chciało mi się ryczeć, ponieważ naprawdę go kochałam i wiedziałam, że będzie dla mnie okrutny, kiedy się lepiej poznamy i gdy opadną złudzenia, kiedy będę go kochać jeszcze mocniej – jego miłość wyblaknie.

Chciałabym żyć w świecie, w którym mężczyźni nie kochaliby kobiet. Chciałabym żyć w świecie, w którym nie pokochałabym żadnego mężczyzny, tak jak kocham go teraz. Chciałabym żyć w świecie, w którym miłość się nie zmienia.

Boże, pozwól mi żyć marzeniami, kiedy umrę, wyślij mnie do raju kłamstw, nieodkrywalnych i wybaczonych przez własne sumienie, do raju, gdzie kocha się na zawsze lub wcale. Daj mi oszustów tak słodkich, że nigdy nie zranią mnie prawdziwą miłością, i pozwól mi oszukiwać ich z całej duszy.

Bądźmy oszustami nieujawnionymi, którym zawsze zostanie wybaczone. Abyśmy mogli znaleźć ufność do siebie. Niech nas rozdzielają wojny, zarazy, śmierć, szaleństwo, lecz nie upływający czas. Zbaw mnie od dobrego i nie pozwól odzyskać niewinności. Pozwól mi być wolną.

Powiedziałam mu kiedyś, że przetrząnął mnie mój fryzjer. Trzeba było widzieć jego twarz. Chłodna pogarda. Tacy są mężczyźni. Pierdolą swoje sekretarki i to jest w porządku. Ale potępiają kobietę za to, że fryzjer ją wypieprzył. A przecież nas jest łatwiej zrozumieć. Fryzjer robi z kobietą coś bardzo osobistego. Musi używać rąk, niektórzy mają wspaniałe dłonie. I oni znają się na kobietach. Puściłam się z fryzjerem tylko raz. Zawsze mi powtarzał, jak dobry jest w łóżku, i w końcu kiedyś się zgodziłam. Kiedy mnie trzepał, widziałam, jak patrzy na mnie. Robił te wszystkie sztuczki z językiem, rękami i słowami i muszę przyznać, że było to pierwszorzędne rżnięcie. Ale takie wyrachowane. Gdy się spuścił, myślałam, że weźmie lusterko, aby sprawdzić, czy fryzura mu się nie rozburzyła. Gdy zapytał mnie, jak było, odparłam, że super. Powiedział, że będziemy musieli to kiedyś powtórzyć „Jasne” – odparłam. Ale nigdy mi tego już nie zaproponował, chociaż odmówiłabym.

Myślę, że nie byłam za dobra.

O co więc cały ten wrzask? Dlaczego faceci, słysząc taką historię, zaczynają traktować kobietę jak szmatę? Zrobiliby to samo jak nic. Sukinsyny. Nic to dla mnie nie znaczyło. Niczego mi nie ubyło. Dobra, wypieprzył mnie szmondak. A ilu facetów idzie do wyra z idiotkami? I to nieraz.

Musiałam walczyć, aby nie wpaść w łapy niewinności. Kiedy mnie ktoś kocha, chcę być mu wierna i nie puszczać się z nikim do końca życia. Mogłabym zrobić dla niego wszystko, ale wiem, że to nie potrwa długo ani u niego, ani u mnie. Gnębi cię taki i masz go dość. Glebi na milion różnych sposobów.

Miłość mojego życia, ten sukinsyn. Naprawdę go kochałam i on mnie też, przyznaję mu to. Ale nienawidziłam sposobu, w jaki mnie kochał. Byłam jego świątynią, miejscem, w które się chronił, gdy miał dość świata. Mówił, że czuł się najbezpieczniej ze mną w naszych pokojach hotelowych, zmieniających się jak krajobraz. Inne ściany, obce łóżka, prehistoryczne kanapy, pledy z plamami z cudzej krwi, ale nasze nagie ciała te same. Ale nawet to nieprawda. Kiedyś zrobiłam mu niespodziankę. Miałam operację powiększania cycków. Zawsze chciałam mieć większe – milutkie, okrągłe, jędrne i stojące – i w końcu mi się udało. Podobały mu się. Powiedziałam mu, że to specjalnie dla niego. Była to tylko część prawdy. Zrobiłam to także, aby być śmielsza, jeśli rola wymagała częściowego neglizju. Producenci czasami spozierają na czyjeś cycki. Myślę, że zrobiłam to także dla Alice. Ale wcisnęłam mu kit, że to tylko dla niego, aby bardziej je doceniał. I doceniał. Oj, doceniał. Zawsze to uwielbiałam.

Podobało mi się to, jak mnie kochał. Naprawdę mnie kochał, moje ciało; zawsze mówił, że mam szczególne ciało. W końcu uwierzyłam, że nie jest w stanie rznąć nikogo innego. No i wpadłam w łapska niewinności.

Ale to nigdy nie było do końca prawdą. Nigdy nie jest. Nic nie jest. Nawet moje powody. Ani inne powody. Kocham kobiece cycki, cóż w tym takiego niezwykłego? Lubię ssać damskie sutki. Dlaczego to tak brzydzi mężczyzn? Sami to lubią, czemu kobiety miałyby być inne? Wszyscy byliśmy kiedyś dziećmi. Niemowlakami.

Czy dlatego kobiety są takie płaczliwe? Dlatego, że nie mogą znowu być niemowlakami? Mężczyźni mogą. To prawda. Mężczyźni potrafią wrócić do niemowlęctwa. Kobiety nie. Ojcowie mogą. Matki nie.

Zawsze mówił, że jest bezpieczny. I wiem, co miał na myśli. Kiedy byli-

śmy sami, widziałam, jak napięcie znika z jego twarzy. Oczy stawały się łagodniejsze. Kiedy leżeliśmy obok siebie nadzy i gorący, dotykając się ciałami, obejmowałam go i kochałam, a on mruczał jak kot. I wiedziałam, że przez tę krótką chwilę jest naprawdę szczęśliwy. Mogłam odczyniać uroki. Poczucie, że jestem jedyną osobą na świecie, która jest w stanie doprowadzić go do takiego stanu, podbudowywało mnie. Znaczyłam coś. Nie byłam tylko dziurą do wyjebania. Ani obiektem do prowadzenia inteligentnych rozmów. Naprawdę byłam wiedźmą, miłosną wiedźmą, dobrą wiedźmą i to było wspańiałe uczucie. W takich chwilach mogliśmy umrzeć ze szczęścia, dosłownie. Mogliśmy spojrzeć śmierci w ślepia bez lęku. Ale tylko przez krótką chwilę. Nic nie trwa wiecznie. Nic nie będzie trwało wiecznie. I dlatego celowo przyspieszaliśmy koniec, teraz to dostrzegam. Pewnego dnia on po prostu powiedział: „Już nie czuję się bezpiecznie”. Od tej pory nigdy go już nie kochałam.

Nie jestem Molly Bloom. Ten sukinsyn Joyce. Kiedy ona tak, tak, tak, on nie, nie, nie. Nie położę się z żadnym facetem, który mówi nie. Nigdy, nigdy więcej.

Merlyn spał. Janelle wstała i przysunęła fotel do okna. Zapaliła papierosa i patrzyła przed siebie. Słyszała, jak Merlyn rzuca się na łóżku. Paliła dalej. Mamrotał coś, ale nic jej to nie obchodziło. Pierdolić go. I wszystkich innych mężczyzn.

## MERLYN

Janelle miała na dłoniach rękawice bokserskie; czerwone z białymi wiązaniami. Stała naprzeciw mnie w klasycznej pozie bokserskiej: lewa wyciągnięta, prawa zgięta do nokautującego ciosu. Miała na sobie białe satynowe spodenki. Nagie piersi. Na nogach czarne buty bokserskie, wsuwane, bez sznurówek. Jej piękną twarz wykrzywiał złowrogi uśmiech. Zaciskała delikatnie wysklepione, zmysłowe usta, biały podbródek przyciskała do piersi. Wyglądała groźnie. Ale mnie fascynowały jej nagie, kremowobiałe piersi, czerwone sutki, nabrzmiałe nie z powodu pożądania, lecz chęci walki.

Uśmiechnąłem się do niej. Nie odpowiedziała uśmiechem. Jej lewa poszybowała i dosięgnęła mojej twarzy. „Ach, Janelle” – jęknąłem. Dosięgnęły

mnie, bezbronnego, dwa silne lewe proste. Bolało jak diabli. Do ust napłynęła mi krew. Janelle odskoczyła ode mnie. Spostrzegłem, że ja też mam na rękach rękawice bokserskie. Ruszyłem do przodu, osłaniając korpus. W tym samym momencie Janelle zrobiła unik i strzeliła mnie prawym sierpowym. Zobaczyłem żółte i niebieskie gwiazdki, jak w komiksie. Tańczyła wokół mnie, piersi podskakiwały rytmicznie, sutki hipnotyzowały, przyciągały mój wzrok.

Zagoniłem ją do narożnika. Przykucnęła, drobnymi dłońmi w wielkich, czerwonych rękawicach osłaniała głowę. Wyprowadziłem lewy sierpowy w kierunku jej brzuszka, ale nie potrafiłem uderzyć całowanego tak wiele razy pępka. Weszliśmy w zwarcie. „Janelle, kochanie, przestańmy. Kocham cię” – poprosiłem. Odskoczyła i uderzyła znowu. Było to zupełnie, jakby kot rozorał mi pazurem łuk brwiowy, z którego teraz kapała krew. Poruszałem się niczym ślepiec i usłyszałem, jak mówię: „Jezu Chryste”.

Kiedy otarłem krew, zobaczyłem, że Janelle czeka na mnie na środku ringu. Jasne włosy miała spięte w węzeł spinką błyszczącą jak hipnotyzujący magiczny amulet. Dopadła mnie dwoma błyskawicznymi ciosami; czerwone rękawice wyglądały jak języki ognia. Na chwilę odsłoniła się i miałem okazję dosięgnąć jej pięknej twarzy. Nie mogłem jednak zrobić żadnego ruchu. Wiedziałem, że jedynie zwarcie może mnie uratować. Próbowwała uciec. Złapałem ją i kiedy starała się wysliznąć, odwróciłem ją plecami do siebie. Była bezbronna. Widziałem teraz jej plecy i pośladki, pełne i jędrne, które zawsze gładziłem w łóżku. Poczułem ostry ból w piersiach i przez umysł przemknęło mi pytanie, dlaczego właściwie ze mną walczy. Wzmocniłem uścisk i omijając włosy pamiętające moje pocałunki, szepnąłem: „Połóż się na brzuchu”. Wy-mknęła się natychmiast. Uderzyła mnie z przerażającą siłą, a ja przeleciałem, jak w zwolnionym tempie na filmie, w powietrzu i upadłem na brezent. Oszołomiony, zdołałem podnieść się na kolana. Słyszałem słodki głos, który zawsze towarzyszył naszemu szczytowaniu; Janelle odliczała do dziesięciu. Patrzyłem na nią wsparty na jednym kolanie.

Uśmiechała się do mnie i słyszałem, jak powtarzała: „Dziesięć, dziesięć, dziesięć”. Był to pospieszny szept szaleńca. Radość ją rozpierała, uniosła ręce w geście zwycięstwa i kilkakrotnie podskoczyła w miejscu. Usłyszałem upiorny ryk milionów kobiet, wywrzaskujących swą radość. Jakaś zawodniczka wagi ciężkiej obejmowała Janelle. Miała bluzę z napisem „CHAMP” pomiędzy dwiema olbrzymimi piersiami. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Byłem tak poturbowany, że zacząłem płakać.

Wtedy Janelle podeszła do mnie i pomogła mi wstać. „To była uczciwa walka – wciąż powtarzała. – Rozłożyłam cię jak się patrzy”. A ja przez łzy powiedziałem: „Nie, to nieprawda”.

Wtedy obudziłem się i wyciągnąłem rękę, szukając jej w łóżku, ale Janelle nie było. Wstałem i nagi poszedłem do drugiego pokoju. W ciemności zobaczyłem jarzący się koniuszek papierosa. Siedziała w fotelu, obserwując mglisty świt wschodzący nad miastem.

Podszedłem do niej i odszukałem dłońmi jej twarz. Nie znalazłem śladów krwi, żadnych urazów. Gdy dotknąłem jej piersi, nakryła moją dłoń swoją.

– Nieważne, co na to powiesz – rzekłem. – Kocham cię, cokolwiek to oznacza.

Milczała.

Kilka minut później wstała i poszliśmy do łóżka. Kochaliśmy się i po chwili zasypialiśmy objęci. Już zapadając w sen, wyszeptałem:

– Matko, prawie mnie zabiłaś. Zaśmiała się.

## Rozdział 44

Coś budziło mnie z głębokiego snu. Przez szpary w okiennicach pokoju hotelowego zobaczyłem promienie wschodzącego kalifornijskiego słońca i usłyszałem dzwoniący telefon. Leżałem spokojnie przez kilka sekund. Widziałem jasną głowę Janelle otuloną kołdrą. Spała daleko ode mnie. Kiedy telefon nie dawał za wygraną, poczułem ogarniającą mnie panikę. W Los Angeles był wczesny poranek, a więc musiała dzwonić moja żona z Nowego Jorku. Valerie nigdy nie dzwoniła bez powodu. Coś się musiało stać dzieciom. Opanowało mnie poczucie winy. Oto będę rozmawiał z żoną, leżąc w łóżku z Janelle. Miałem nadzieję, że się nie obudzi, kiedy podniosę słuchawkę.

– Czy to ty, Merlyn? – zapytał ktoś. Głos był kobiety, ale nie mogłem go rozpoznać. To nie była Valerie.

– Tak, kto mówi? – spytałem.

Była to żona Artiego, Pam. Głos jej drżał.

– Artie miał dzisiaj rano zawał serca.

Kiedy to powiedziała, emocje zaczęły opadać. To nie dotyczyło moich dzieci. Artie miał już wcześniej zawał i dlatego nie uważałem tego za poważną sprawę.

– O kurde – powiedziałem. – Wsiadam w samolot i wracam do domu. Będę dzisiaj. Czy jest w szpitalu?

– Merlyn, on tego nie przetrzymał – wyznała łamiącym się głosem po długiej chwili.

Naprawdę nie rozumiałem, co mówi. Naprawdę nie. Jeszcze w pełni to do mnie nie dotarło.

– To znaczy, że nie żyje?

– Tak.

Staralem się panować nad sobą i nad tym, co mówiłem.

– Mam samolot o dziewiątej i prosto z lotniska przyjadę do ciebie. Chcesz, żebym zadzwonił do Valerie?

– O tak, bardzo proszę.

Nie mówiłem, że jest mi przykro. Niczego takiego nie powiedziałem.

– Wszystko będzie dobrze. Będę wieczorem. Czy mam zadzwonić do twoich rodziców?

– Tak, proszę cię.

– Wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. Proszę, wracaj.

I odwiesiła słuchawkę.

Janelle siedziała na łóżku i patrzyła na mnie. Podniosłem słuchawkę i połączyłem się z Valerie. Powiedziałem jej, co się stało. Poprosiłem, aby wyszła po mnie na lotnisko. Chciała rozmawiać, ale odparłem, że muszę się spakować. Nie mam teraz czasu, porozmawiamy w domu. Znowu zamówiłem w centrali rozmowę. Tym razem z rodzicami Pam. Na szczęście zastałem jej ojca i wyjaśniłem mu, co się stało. Powiedział, że przylecą najbliższym samolotem i zadzwonią do córki.

Odwiesiłem słuchawkę. Janelle wciąż na mnie patrzyła. Obserwowała mnie z dużym zaciekawieniem. Wiedziała, co się stało, ale nie odezwała się ani słowem. A ja waliłem w łóżko pięściami i powtarzałem: „Nie, nie, nie, nie”. Nie zdawałem sobie sprawy, że krzyczę. Zacząłem płakać, ogarnęła mnie niesamowita boleść. Myślałem, że tracę przytomność. Wziąłem do ręki jedną z butelek whisky, stojącą w barku, i pociągnąłem spory łyk. Nie pamiętam, ile wypiłem, ale to Janelle ubrała mnie i wsadziła do samolotu. Byłem jak w transie. Dopiero później powiedziała mi, że musiała mnie wrzucić do wanny, abym wytrzeźwiał i doszedł do siebie. Ubrała mnie, zamówiła bilet i po ulokowaniu mnie w samolocie poprosiła stewardesę i kapitana, aby na mnie uważali. Nie pamiętam samego lotu. Obudziłem się w Nowym Jorku, gdzie czekała na mnie Valerie. Już czułem się lepiej.

Pojechaliśmy do domu Artiego. Zająłem się formalnościami. Artie chciał mieć pogrzeb katolicki, dlatego musiałem iść do miejscowej parafii, aby tego dopilnować. Zrobiłem wszystko jak należy. Nie chciałem, aby leżał długo w kostnicy, dlatego zamówiłem pogrzeb na następny dzień. Czuwanie miało się odbyć tej nocy. W miarę jak przechodziłem rytuały śmierci, dochodziłem do wniosku, że nie będę już taki jak kiedyś. Moje życie się zmieni, świat się

zmieni. Magia odeszła.

Dlaczego tak przeżyłem śmierć brata? Był prosty, nieskomplikowany i zwyczajny. Ale był naprawdę wartościowy. Nie mogłem z czystym sumieniem powiedzieć tak o żadnej innej znanej mi osobie.

Kiedyś opowiedział mi o bitwach z korupcją i odgórnymi naciskami, gdy nalegano, aby zmienił wynik analizy jakiegoś niebezpiecznego specyfiku. Zawsze odmawiał. Ale jego opowiadania nie przypominały nudziarskich bajd ludzi o tym, jak to nie dali się skorumpować. Ponieważ Artie opowiadał bez zacietrzewienia, całkowicie bez emocji. Nie był zaskoczony tym, że bogaci ludzie nalegali, aby truć swoich bliźnich z chęci zysku. Nie był także dumny z tego, że potrafił przeciwstawić się takim naciskom; nie starał się ukazać jako rycerz bez skazy, walczący dla sprawy.

Nie miał iluzji co do tego, że jego upór działał dużo dobrego. Nie obchodziło go to zupełnie. Pamiętam jego opowiadania o innych chemikach, którzy wydawali pozytywne opinie o szkodliwych preparatach. Ale nie mój brat. Zawsze się śmiał, kiedy mi o tym opowiadał. Wiedział, że świat jest skorumpowany. Wiedział, że jego zalety nie są obecnie w cenie. Nie analizował tego.

Po prostu nie chciał się poddać. Tak jak człowiek nie chce się pogodzić z utratą oka czy nogi; gdyby był Adamem, nie oddałby zebra. Tak mi się przynajmniej wydawało. Tak postępował w każdej dziedzinie. Wiedziałem, że zawsze zachowywał wierność swojej żonie, pomimo iż był przystojnym mężczyzną; na widok pięknej dziewczyny po prostu się uśmiechał. Cenił w ludziach inteligencję, chociaż nigdy nie dał jej się uwieść, jak wielu innych. Nie pociągały go pieniądze i dostatki. Nigdy nie prosił o litość dla swych uczuć czy losu. Nigdy nie oceniał ludzi, przynajmniej otwarcie. Rzadko się odzywał, zawsze słuchał, ponieważ to sprawiało mu przyjemność. Od życia wymagał niewiele.

O Boże, nawet jako dziecko miał same zalety. Nigdy nie szachrował podczas gry, nie podkradał ze sklepu i nie oszukiwał dziewcząt. Nie kantował, nie kłamał. Zazdrościłem mu tej czystości i zazdrośćczę do dzisiaj.

Umarł. Wydawało się, że jego życie było tragiczne, pełne porażek, a przecież mu zazdrościłem. Po raz pierwszy zrozumiałem, jakie pocieszenie znajdują ludzie w religii, ci, którzy wierzą w sprawiedliwość Boga. Pocieszałem się i ja, że nie minie go słuszna nagroda za uczciwe życie. Ale wiedziałem, że



to wszystko bzdety. Żyłem. Chciałem żyć w sławie i bogactwie, ciesząc się urokami cielesnymi na tym łez padole. Chciałem być zwycięski i nie zanosilo się, żebym zbliżył się do człowieka, który w tak zwykły sposób zakończył życie.

Proch, proch, proch. Zapłakałem, jak nigdy nie płakałem za utraconymi rodzicami, miłościami i nad wszystkimi porażkami. Miałem przynajmniej na tyle przyzwoitości, aby uzalić się nad jego śmiercią.

Niech mi ktoś powie, dlaczego tak ma być? Nie mogłem patrzeć na jego martwą twarz. Dlaczego to nie ja leżałem w trumnie ciągnięty przez diabły do piekła? Twarz mojego brata była spokojna, stateczna, pełna mocy, lecz poszarzała, jakby posypana pyłem granitowym. Kiedy pojawiła się piątka jego dzieci, ubrana w żałobne stroje, i uklękła, odmawiając modlitwy przed trumną, czułem, jak pęka mi serce i łzy napływają same do oczu. Wyszedłem z kaplicy.

Rozpacz nie trwa długo. Na świeżym powietrzu zrozumiałem, że żyję. Jutro będę jadł dobry obiad, znajdę się w objęciach kochającej kobiety, napiszę opowiadanie i będę spacerował po plaży. Tylko ci, których najbardziej kochamy, mogą nas uśmiercić i tylko ich należy się strzec. Wrogowie nie są w stanie nas skrzywdzić. Zbrojny w swą cnotę, mój brat nie bał się ani jednych, ani drugich. Tym gorzej dla niego. Cnota jest swą własną nagrodą i frajerzy to ci, którzy umierają.

Kilka tygodni później usłyszałem inne opowieści. Jak na początku małżeństwa jego żona ciężko chorowała, a on poszedł do jej rodziców i z płaczem błagał o pieniądze na leczenie. Jak tuż po ataku żona starała się zrobić mu oddech ustami, ale on ostatnim świadomym ruchem odsunął ją od siebie. Co oznaczał ten gest? Czyżby życie stało się dla niego nie do zniesienia, cnota zaczynała mu ciążyć? Znów przypomniałem sobie Jordana. Czy on także był człowiekiem bez skazy?

Pochwały dla samobójców przeklinają świat i obarczają go winą za ich śmierć. Czy to jednak możliwe, że ci, którzy postanawiają skończyć ze sobą, nie obwiniają nikogo, twierdząc, że każdy organizm musi kiedyś zginąć? I widzą to wyraźniej niż opuszczeni przyjaciele i ukochane dziewczyny? Wszystko to było zbyt niebezpieczne. Ugasilem swój żal, osłaniając się grzechem jak tarczą. Będę grzeszyć, będę się strzec i będę żyć wiecznie.

# **Księga VII**

## Rozdział 45

Tydzień później zadzwoniłem do Janelle, aby podziękować jej za dostarczenie mnie do samolotu. Usłyszałem automatyczną sekretarkę, proszącą mnie głosem z francuskim akcentem o zostawienie wiadomości.

Kiedy się odezwałem, włączyła się Janelle.

– Kogo unikasz? – zapytałem.

Zaśmiała się.

– Gdybyś mógł siebie usłyszeć. Taki zgorzkniały głos. Także się zaśmiałem.

– Unikam twojego przyjaciela Osana – odparła. – Stale do mnie dzwoni.

Poczułem ucisk w żołądku. Nie zdziwiło mnie to. Ale lubiłem go bardzo, a on w końcu wiedział, co czuję do Janelle. Nie w smak mi było przypuszczenie, że mógłby mi to zrobić. Po chwili jednak doszedłem do wniosku, że mam to w dupie. Już nieważne.

– Może chciał się dowiedzieć, gdzie jestem – powiedziałem.

– Nie. Jak wsadziłam cię do samolotu, zadzwoniłam i powiedziałam mu, co się stało. Martwił się o ciebie. A propos, jak się czujesz?

– Dobrze.

Nie zadawała żadnych pytań na temat pogrzebu. Podobało mi się to u niej. Wiedziała, że nie chcę o tym rozmawiać. Wiedziałem także, że nigdy nie powie Osanowi, co się ze mną stało tego dnia, kiedy dostałem wiadomość o Ar-tiem i że się rozkleiłem.

Staralem się zachować zimną krew.

– Dlaczego go unikasz? Wtedy podczas obiadu odpowiadało ci jego towarzystwo. Myślałem, że skorzystasz z najbliższej szansy, aby się z nim spotkać.

Po drugiej stronie słuchawki zaległa cisza. Kiedy Janelle znów się odezwa-

ła, wyczułem, że jest zła. Opanowana. Wyrażała się bardzo precyzyjnie. Jakby puszczała do mnie strzały z łuku.

– To prawda – powiedziała. – Gdy pierwszy raz zadzwonił, poszliśmy razem na kolację. Było wspaniale.

Nie wierząc, że prawdą może być to, o co pytam, odezwałem się powodowany resztką zazdrości:

– Czy poszłaś z nim do łóżka?

I znów cisza. Nieomal usłyszałem brzęk cięciwy, kiedy odpowiedziała „tak”.

Milczeliśmy oboje. Czułem się podle, ale mieliśmy swoje zasady. Nigdy nie robiliśmy sobie wymówek, a tylko odpłacaliśmy pięknym za nadobne.

To, co zrobiłem, było wredne, ale niemal automatyczne.

– I jak było? – spytałem.

Była już pogodna i rozluźniona, jakby mówiła o filmie.

– Nieźle. Wiesz, on robi językiem takie rzeczy, że podbudowuje twoje ego.

– Cóż... – powiedziałem obojętnie. – Mam nadzieję, że jest lepszy ode mnie.

Znów głucha cisza. Łuk pękł, mówiła szczerze, rozżalona i zbuntowana.

– Nie masz prawa być zły. Nie masz prawa, do cholery, być zły na mnie za to, co robię z innymi ludźmi. Już to ustaliliśmy.

– Masz rację – powiedziałem. – Nie jestem zły. – To prawda. Było o wiele gorzej. Właśnie przed chwilą utraciłem ukochaną osobę. Ile to razy mówiłem Osanowi, jak kocham Janelle? I Janelle wiedziała, jak mi zależy na Osanie. Oboje mnie zdradzili. Nie było na to innego słowa. Najzabawniejsze, że nie złościłem się na Osana. Tylko na nią.

– Jesteś zły – powtórzyła Janelle.

– Nie, naprawdę nie – odrzekłem. Odpłacała mi za moją żonę. Odpłacała mi za milion rzeczy, ale gdybym nie zadał jej konkretnego pytania, nie dowiedziałbym się o tym. Nie byłaby tak okrutna. Ale już nie będzie mnie okłamywać. Powiedziała mi o tym raz i wystarczy. To nie moja sprawa, co robi.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś. Tęskniłam za tobą. I nie wściekaj się o Osana. Już się z nim nie zobaczę.

– Dlaczego nie? Dlaczego?

– Cholera... – powiedziała. – Był niezły, ale miał kłopoty z utrzymaniem pionu. Cholera, obiecywałam sobie, że ci tego nie powiem. – Zaśmiała się.

Teraz, jako zazdrosny kochanek, byłem wniebowzięty, słysząc, że mój

przyjaciel jest impotentem. Ale powiedziałem brutalnie:

– A może to twoja wina. W Nowym Jorku ma całe rzesze oddanych wielbicielek.

Jej głos znów był wesoły i pogodny.

– Staralam się z całych sił. Mogłabym przywrócić trupa do życia. – Roześmiała się pogodnie.

Tak jak chciała, wywołała przed moje oczy wizję jej rozczochranych włosów pokrywających ciało Osana, kiedy przywracała go do życia. Zrobiło mi się niedobrze. Westchnąłem.

– Przesadziłaś. Odpadam. Słuchaj, chciałem ci podziękować za opiekę. Nie mogę uwierzyć, że udało ci się wciągnąć mnie do wanny.

– Miałam dużo WF-u. Wiesz, że jestem bardzo silna. – Po chwili dodała innym głosem: – Jest mi strasznie przykro z powodu Artiego. Szkoda, że nie mogłam pojechać i zająć się tobą na miejscu.

– Ja też żałuję – powiedziałem. Ale tak naprawdę cieszyłem się, że nie mogła. Wstydzilem się swej chwili słabości. Czułem, że od tamtej chwili zmienił się jej stosunek do mnie.

Jej głos był teraz bardzo łagodny.

– Kocham cię – powiedziała.

Milczałem.

– Czy kochasz mnie jeszcze? – zapytała.

Teraz moja kolej.

– Wiesz, że nie wolno mi mówić takich rzeczy.

Nie odpowiedziała.

– To ty powiedziałaś mi, że żonaty mężczyzna nie powinien mówić swojej kochance, że ją kocha, chyba że chce odejść od żony. Tak naprawdę może jej to powiedzieć dopiero, kiedy już żonę opuści.

W końcu usłyszałem Janelle. Trzęsła nią furia.

– Odpierdol się – powiedziała i rzuciła słuchawkę.

Zadzwońiłbym do niej jeszcze raz, gdybym nie wiedział, że usłyszę ten głos z francuskim akcentem: „Panny Lambert nie ma w domu. Proszę zostawić wiadomość”. Dlatego tylko pomyślałem: ty też się pierdol, byle nie ze mną. I poczułem się wyśmienicie. Wiedziałem jednak, że to nie koniec.

## Rozdział 46

Gdy Janelle opowiedziała mi, jak puściła się z Osanem, nie mogła wiedzieć, co czuję. Nie mogła wiedzieć o tym, że Osano nie przepuszcza żadnej, no, chyba że jest totalną maszkarą. Dała mu się tak łatwo podejść, tym samym umniejszając swoją wartość. Była szmatą jak wiele kobiet. I czułem, że Osano trochę mną pogardza, ponieważ szaleńczo zakochałem się w panience, którą można pchnąć po dniu znajomości.

Nie miałem złamanego serca, a jedynie byłem przygnębiony. Sprawa związana, jak myślę, z moim ego. Zastanawiałem się, czy nie powiadomić Janelle o moich przemyśleniach, ale uznałem to za tani numer. Tylko po to, aby poczuła się jak kurewka? Poza tym wiedziałem, że jest mściwa. Dlaczego miałbym nazywać ją szmatą? Czy nie było tak samo z facetami, którzy rzną, co tylko im pod, hm, rękę wpadnie? Dlaczego miała rozważać, czy motywy Osana są czyste? Był czarujący, inteligentny, utalentowany, z dobrą prezentacją i chciał ją przerznąć. Dlaczego miała się opierać? To nie moja sprawa. Moja biedna męska duma dostała po nosie, to wszystko. Oczywiście mogłem jej zdradzić sekret Osana, ale byłby to tani, niski chwyt.

Wpadłem w depresję. Może to niesprawiedliwe, ale moje uczucia do niej wygasły.

Za następną bytnością w Los Angeles nie zadzwoniłem do Janelle. Stawaliśmy się sobie niemal obcy, co w związkach tego rodzaju jest niemal klasyczne. I znów jak zwykle zagłębiłem się w literaturę, traktującą o przyptywach i odpływach uczuć w romansach. Byliśmy w stadium pożegnalnym, nie wykluczającym jednak spotkań, które miały na celu złagodzenie ciosu gwałtownego rozstania. Nie zadzwoniłem do niej dlatego, że było już po wszystkim, przynajmniej ja pragnąłem, aby tak było.

W tym czasie Eddie Lancer i Doran Rudd namówili mnie do powrotu do

pracy nad filmem. Było to bolesne doświadczenie. Simon Belfort okazał się steraną pierdołą, bojącą się Jeffa Wagona jak ognia. Jego asystent, „Padalec” Richetti był mu ślepo posłuszny, ale próbował przeprowadzić kilka swoich pomysłów dotyczących scenariusza. W końcu, po którejś zaproponowanej przez niego głównianej koncepcji, zwróciłem się do Simona i Wagona ze słowami:

– Niech ktoś go stąd wyprowadzi.

Zapadła głucha cisza. Zdecydowałem się. Miałem zamiar protestacyjnie opuścić salę i musieli to wyczuć, ponieważ Jeff Wagon powiedział spokojnie:

– Frank, może zaczekałbyś na Simona w moim biurze? – Richetti opuścił salę.

I znów głucha cisza. W końcu powiedziałem:

– Przykro mi. Nie chciałem być nieuprzejmy. Ale, kurwa, pracujemy czy nie?

– Masz rację – zgodził się Wagon. – Ruszajmy do roboty.

Po czterech dniach pracy w studiu postanowiłem zobaczyć jakiś film. Zamówiłem w recepcji hotelowej taksówkę i udałem się do Westwood. Jak zwykle przed wejściem stała długa kolejka. Wcześniej kupiłem sobie książkę, aby nie tracić czasu, czekając na bilet. Po filmie miałem zamiar pójść do pobliskiej restauracji i zadzwonić po taksówkę.

W kolejce stało mnóstwo młodych ludzi, ze znajomością rzeczy mówiących na temat kina. Dziewczęta były piękne, a długowłosi młodzi brodacze, w starotestamentowym stylu, jeszcze piękniejsi.

Usiadłem na krawężniku, aby poczytać, i nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Tutaj w Hollywood nie było to zachowanie ekscentryczne. Tak się zająłem książką, że dopiero po chwili dotarł do mnie dźwięk klaksonu. Przede mną stał piękny rolls-royce phantom. Za kierownicą zobaczyłem zaróżowioną twarz Janelle.

– Merlyn! – zawołała. – Merlyn, co ty tu robisz?!

Wstałem jak gdyby nigdy nic i powiedziałem:

– Cześć, Janelle.

Widziałem teraz faceta siedzącego obok. Był młody, przystojny i pięknie ubrany: w szary garnitur i szary jedwabny krawat. Miał wspaniale przycięte włosy i najwyraźniej nie przeszkadzało mu to, że Janelle się zatrzymuje.

Janelle przedstawiła nas. Wspomniała też, że to jego samochód. Pochwaliłem auto, a on powiedział, że podziwia moją książkę i niecierpliwie czeka na

film. Janelle wspomniała coś o tym, że facet pracuje w jednej z wytwórni na wysokim stanowisku. Chciała, abym wiedział, że nie włóczy się tylko z facetem dla jego rolls-royce'a, a w sprawach służbowych.

– Jak się tu dostałeś? – spytała Janelle. – Nie mów, że samochodem.

– Nie. Wziąłem taksówkę.

– Dlaczego czekasz w kolejce?

Nie patrząc na nią, powiedziałem, że nie mam przy sobie pięknych znajomych z kartami wstępu do Akademii.

Wiedziała, że żartuję. Kiedy tylko szliśmy do kina, używała swojej wejściówki.

– Nie korzystałby z niej, nawet gdyby ją miał. Taki jest honorowy – powiedziała, zwracając się do swojego znajomego.

Ale w jej głosie wyczułem dumę. Naprawdę podziwiała mnie za takie postępowanie, nawet jeśli mnie nie naśladowała.

Widziałem, że Janelle przepełnia współczucie dla mnie. Żaliła się nade mną, ponieważ musiałem wziąć taksówkę, aby samotnie pójść do kina, i czekałem w kolejce, aby kupić bilet. Budowała sobie romantyczną legendę. Byłem jej zrozpaczonym, złamanym mężem, wyglądającym przez okno i widzącym swoją byłą żonę i szczęśliwe dzieci z nowym tatusiem. W jej lśniących, brązowych oczach pojawiły się łzy.

Wiedziałem, że jest górą. Przystojny koleś z rolls-royce'a nie wiedział, że będę na nim trenował. Zacząłem nad nim pracować od pierwszej chwili. Wciągnąłem go w rozmowę o jego pracy i rozgadał się niesamowicie. Udawałem, że bardzo mnie to interesuje, a on wciskał mi typowe kity o Hollywood, co bardzo zirytowało Janelle. Wiedziała, że to kretyń, ale nie chciała, abym ja też się o tym przekonał. Kiedy zacząłem wychwalać jego samochód, wstąpił w niego nowy duch. Po pięciu minutach wiedziałem o aucie więcej, niżbym sobie tego życzył. Wciąż piałem z zachwytu nad rollsem i po chwili sprzedałem stary dowcip Dorana znany Janelle. Po pierwsze podszedłem go delikatnie, tak że powiedział mi, ile samochód kosztował, a następnie powiedziałem: „Za tę cenę powinien jeszcze myśleć”. Nienawidziła tego dowcipu.

Facet zaczął się śmiać i w końcu wykrztusił:

– To najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałem.

Janelle zaczerwieniła się. Spojrzała na mnie, a ja, widząc, że kolejka zaczęła się przesuwać, musiałem wrócić na swoje miejsce. Powiedziałem facetowi, że miło mi go było poznać, i Janelle, że to wspaniałe spotkanie.



Dwie i pół godziny później wyszedłem z kina i zobaczyłem znajomego mercedesa Janelle zaparkowanego przed budynkiem. Wszedłem do środka.

– Cześć, Janelle – powiedziałem. – Jak udało ci się go pozbyć?

– Ty sukinsynu – odparła.

Zaśmiałem się i objąłem ją. Pocałowała mnie. Pojechaliśmy do hotelu i spędziliśmy razem noc.

Była bardzo czuła. W pewnej chwili zapytała mnie:

– Wiedziałeś, że przyjadę po ciebie?

– Tak.

– Gnojek.

To była cudowna noc, ale rano czuliśmy się tak, jakby nic się nie stało. Pożegnaliśmy się.

Zapytała, jak długo zostanę w mieście. Odparłem, że jeszcze trzy dni, potem wracam do Nowego Jorku.

– Zadzwonisz? – spytała.

Powiedziałem, że nie wiem, czy znajdę czas.

– Nie chodzi o to, abyśmy się spotykali, po prostu zadzwoń.

– Zgoda – odparłem.

Zadzwoniłem, ale jej nie było. Znowu usłyszałem ten francuski akcent w głosie maszyny. Zostawiłem wiadomość i poleciałem do Nowego Jorku.

Ostatni raz widziałem Janelle przez przypadek.

Siedziałem w swoim apartamencie hotelu Beverly Hills i miałem godzinę do spotkania z przyjaciółmi przy obiedzie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby do niej nie zadzwonić.

Zgodziła się na spotkanie w barze La Dolce Vita, który znajdował się tylko pięć minut drogi od hotelu. Zaraz tam poszedłem, Janelle zjawiała się chwilę później. Usiedliśmy przy barze, zamówiliśmy drinki i rozmawialiśmy ze sobą jak zwykli znajomi. Kiedy odwróciła się na stołku i przechyliła w kierunku zapalającego jej papierosa barmana, kopnęła mnie lekko w nogę i powiedziała:

– Och, przepraszam.

Z jakiegoś powodu bardzo mnie to dotknęło i kiedy podniosła wzrok, poprosiłem:

– Nie rób tego.

Zobaczyłem łzy w jej oczach.

Literatura mówiła o rozstaniach, ostatnich sentymentalnych chwilach, które przyspieszają niknący puls i wywołują ostatni rumieniec przed śmiercią. Wtedy o tym nie pomyślałem.

Trzymając się za ręce, wyszliśmy z baru i poszliśmy do hotelu. Zadzwo-  
niłem do znajomych, aby odwołać spotkanie. Kolację zjedliśmy razem w poko-  
ju. Położyłem się na sofie, a ona przyjęła swoją ulubioną pozycję: z podwi-  
niętymi nogami opierała się o mnie, tak byśmy cały czas się dotykali. Mogła  
patrzeć mi w oczy, aby się przekonać czy nie kłamię. Ja natomiast widziałem  
wspaniały kształt jej szyi i doskonały owal twarzy.

Przez chwilę obejmowaliśmy się. W pewnej chwili Janelle popatrzyła mi  
głęboko w oczy i zapytała:

– Czy kochasz mnie jeszcze?

– Nie – powiedziałem – ale rozstanie z tobą sprawia mi ból.

Przez chwilę nic nie mówiła. Po chwili ponowiła pytanie z dziwną emfazą:

– Pytam poważnie, naprawdę poważnie. Czy jeszcze mnie kochasz?

– Jasne. – Była to prawda, ale powiedziałem to tak, jakbym chciał, aby się  
dowiedziała, że nigdy nie będzie już tak jak było i nigdy nie będę więcej na  
jej łasce. Zrozumiała to w lot.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała. – Wciąż mi nie możesz zapomnieć  
tych kłótni?

– Mogę ci zapomnieć wszystko – powiedziałem – z wyjątkiem pójścia do  
łóżka z Osanem.

– Ale to nic takiego. Tylko raz poszłam z nim do łóżka i po sprawie. To  
nic takiego.

– Nie obchodzi mnie to. Nigdy ci tego nie wybaczę.

Zastanawiała się nad tym trochę, wstała, aby nalać sobie jeszcze lampkę  
wina, upiła z niej nieco i poszliśmy do łóżka. Magia jej ciała wciąż miała  
swoją moc. Zastanawiałem się, czy z głupiutkich romantycznych wierszydeł  
nie można by wysnuć naukowej teorii, która być może okazałaby się praw-  
dziwa. Teorii mówiącej o tym, że wśród milionów komórek ciała ludzkiego  
są takie, które w zetknięciu z identycznymi komórkami drugiego organizmu  
reagują na siebie z dużą intensywnością. Nie miałyby to nic wspólnego z po-  
chodzeniem czy inteligencją, cnotą lub grzechem. Byłaby to naukowa teoria  
o komórkach, dzięki której można by łatwiej zrozumieć magię łóżka.

Kochaliśmy się zapamiętane, gdy nagle Janelle usiadła i odsunęła się.

– Muszę jechać do domu – powiedziała.

I nie był to jeden z jej świadomych aktów, mających na celu ukaranie mnie. Wyczułem, że nie jest w stanie dłużej tutaj przebywać. Ciało jej jakby zwiotczało, piersi opadły, a twarz stężała od napięcia, jakby cierpiała z powodu potężnego uderzenia. Popatrzyła mi prosto w oczy, nie próbując wytłumaczyć się, przeprosić mnie czy pocieszyć. Powtórzyła tak samo prosto jak wcześniej:

– Muszę jechać do domu.

Nie ośmieliłem się dotknąć jej, by okazać, że się nie gniewam. Ubierając się, powiedziałem:

– Dobrze, rozumiem. Zejdę na dół i przyprowadzę samochód.

– Nie – powiedziała. Była już ubrana. – Nie musisz.

I zrozumiałem, że nie może ze mną wytrzymać, że chce, bym zszedł jej z oczu. Odprowadziłem ją do drzwi. Nie próbowaliśmy się nawet pocałować na pożegnanie. Starła się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

Zamknąłem drzwi na klucz i poszedłem do łóżka. Nie czułem już żadnego podniecenia. Odraza, jaką do mnie poczuła, zabiła całe pożądanie, ale nie czułem się urażony. Czułem, że naprawdę wiem, co się stało, i ulżyło mi tak jak jej. Zasnąłem prawie natychmiast i nic mi się nie śniło. Od lat tak dobrze nie spałem.

## Rozdział 47

Opracowując swój plan pozbycia się Gronevelta, Cully nie czuł się zdrajcą. Nie zapomni o Gronevelcie, który dostanie sporą kwotę pieniędzy i zatrzyma apartamenty w hotelu. Wszystko będzie tak jak zawsze, tylko Gronevelt nie będzie więcej dzierżył rzeczywistej władzy. Naturalnie zostawi mu dostęp do „ołówka”. Wciąż miał wielu przyjaciół, którzy przyjeżdżali grać do Xanadu, więc gościna będzie się opłacać.

Cully pomyślał, że wszystko zmienił wylew, który przeszedł Gronevelt. Od tego czasu hotel staczał się po równi pochyłej. Po prostu Gronevelt nie był na tyle silny, aby podejmować szybko prawidłowe decyzje.

Mimo wszystko Cully miał wyrzuty sumienia. Wspominał lata spędzone tu z Groneveltem, który traktował go jak ojciec. Pomógł mu osiągnąć wysoką pozycję. Cully spędził z nim wiele szczęśliwych chwil, słuchając jego opowiadań i obchodząc z nim kasyno. To były szczęśliwe dni. Nawet odstąpił Groneveltowi pierwszeństwo do Carole, pięknej Charlie Brown. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie ona jest w tej chwili i dlaczego uciekła z Osanem. Przypomniawszy sobie, jak ją poznał.

Cully uwielbiał towarzyszyć Groneveltowi podczas jego obchodów po kasynie. Było to zwykle około północy, po kolacji ze znajomymi albo po romantycznej kolacji z jedną z dziewcząt w jego apartamencie. Gronevelt schodził do kasyna i wizytował swoje imperium. Szukał śladów przemiewierstwa, wyłapywał zdrajców i oszustów z zewnątrz, starających się zabić jego boga – procenty.

Cully szedł obok i widział, jak w Gronevelta wstępuje moc, policzki mu się zaróżowiają, plecy prostują, gdy tylko stawia stopę na dywanie kasyna.

Pewnej nocy w sali gry w kości Gronevelt usłyszał, jak jeden z klientów pyta krupiera, która godzina. Krupier popatrzył na zegarek i odparł:

– Nie wiem, stanął mi zegarek.

Gronevelt, momentalnie czujny, zaczął przyglądać się krupierowi. Miał na ręku zegarek z czarną tarczą, duży, bardzo męski, z różnymi bajerami. Gronevelt powiedział do krupiera:

– Niech no spojrzę na ten zegarek.

Krupier był bardzo zaskoczony, ale po chwili podsunął ramię przed oczy szefa. Gronevelt przytrzymał ręką ramię krupiera, po czym zręcznym ruchem odpiął bransoletkę. Uśmiechnął się.

– Odbierze pan sobie u mnie w biurze – powiedział.

– Może pan go u mnie odebrać w ciągu godziny lub wynieść się z kasyna. Jeśli pan po niego przyjdzie, dostanie pan pięćset dolarów w ramach przeprosin. – Po czym odwrócił się, wciąż trzymając zegarek, i wyszedł.

W swoim apartamencie Gronevelt pokazał Cully’emu zasadę działania zegarka. W górnej części miał szczelinę, w której chowało się szton. Gdy Gronevelt rozebrał zegarek, ze środka wyskoczył jeden czarny, obramowany złotym paskiem studolarowy szton.

– Ciekawe, czy sam go tylko używał, czy też pożyczał kolegom z innych zmian – zastanawiał się Gronevelt. – To niezły pomysł, ale słabe zbiory. Ile mógł zgarnąć na jednej zmianie? Dwieście, czterysta dolarów? – Gronevelt potrząsnął głową. – Żeby tylko wszyscy tak kradli, spałbym spokojnie.

Cully wrócił do kasyna. Szef sali powiedział mu, że krupier zwolnił się i już wyszedł z budynku.

Tego wieczoru Cully spotkał Charlie Brown. Zobaczył ją przy ruletce. Piękna, smukła blondynka miała tak niewinną i młodą twarz, że Cully zastanawiał się, czy jest pełnoletnia i czy może legalnie grać. Spojrzał na jej nie-naganny ubiór, który chociaż zmysłowy, nie był wyzywający. Domyślił się, że dziewczyna nie pochodzi z Nowego Jorku ani Los Angeles, tylko z jednego z miast Środkowego Zachodu.

Cully miał na nią oko. I kiedy przeszła do stolika do black jacka, poszedł za nią. Stanął za krupierem. Zobaczył, że nie wie, jak grać na procenty, dlatego zaczął jej doradzać, kiedy uderzyć, a kiedy się wstrzymać. Zaczęła zbierać pieniądze. Stos sztonów rósł. Gdy Cully zapytał, czy jest sama w mieście, odparła, że nie, przyjechała z przyjaciółką. Zabrzmiało to zachęcająco.

Cully dał jej swoją wizytówkę. Było tam napisane „Wicedyrektor, hotel

Xanadu”.

– Jeśli będziesz potrzebowała czegokolwiek – powiedział – po prostu zadzwoń. Czy chciałabyś obejrzeć dzisiejsze przedstawienie i być moim gościem na kolacji?

Dziewczyna chętnie przyjęła zaproszenie.

– Czy mogę przyjść z koleżanką? – spytała.

Cully zgodził się. Napisał coś na wizytówce przed oddaniem jej dziewczynie.

– Pokaż to w restauracji przed przedstawieniem – poradził. – Jeśli będziesz potrzebowała jeszcze czegoś, zadzwoń do mnie.

Tuż po przedstawieniu został poproszony do telefonu. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos dziewczyny.

– Tu Carole – powiedziała.

– Poznałbym ten głos wszędzie, to ty byłaś tą dziewczyną przy stole do black jacka.

– Tak. Chciałam tylko podziękować. Bawiłyśmy się świetnie.

– Cieszę się. Kiedykolwiek przyjedziesz do miasta, zadzwoń do mnie, a ja z chęcią ci pomogę. Nawet jeśli nie będzie wolnych pokoi, załatwię ci miejsce w hotelu.

– Dziękuję – powiedziała Carole. Była chyba trochę zawiedziona.

– Poczekaj chwilę. Kiedy wyjeżdżacie?

– Jutro rano.

– Dlaczego nie miałbym wam postawić strzemiennego? Będzie mi bardzo miło.

– Cudownie.

– Zatem spotkajmy się przy stole do bakarata.

Przyjaciółka Carole była też śliczną dziewczyną z ciemnymi włosami i pięknymi piersiami, ubrana nieco bardziej konserwatywnie niż jej przyjaciółka. Cully nie naciskał. Postawił im drinka w barze, dowiedział się, że pochodzą z Salt Lake City i chociaż jeszcze nie pracują, mają nadzieję zostać modelkami.

– Może będę mógł wam pomóc – powiedział Cully. – Mam przyjaciół w branży w Los Angeles i może będziecie mogły zadebiutować. Zadzwońcie do mnie w tygodniu, a ja jestem pewien, że będę coś dla was miał albo tutaj, albo w Los Angeles. – I z tym się rozstali tego wieczoru.

Następnego tygodnia zadzwoniła do niego Carole. Cully dał jej numer

agencji modelek w Los Angeles, gdzie miał znajomego, i powiedział jej, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent dostanie jakąś pracę. Ona wspomniała, że wybiera się za tydzień do Vegas, a Cully na to: „Zamieszkaż u nas. Pokryję koszty. Nie zapłacisz ani centa”. Carole powiedziała, że będzie jej bardzo miło.

Tego tygodnia wszystko poszło gładko. Kiedy zameldowała się, recepcja zadzwoniła do jego biura. Upewnił się, że w pokoju ułożono kwiaty i owoce, następnie zadzwonił i zapytał, czy nie zechciałaby zjeść z nim kolacji. Była wniebowzięta. Po kolacji zaprowadził ją do jednego z kabaretów na Stripie i do innego kasyna. Wyjaśnił jej, że sam nie może grać w Xanadu, ponieważ na jego nazwisko jest wystawiona licencja. Dał jej sto dolarów, aby zagrała w black jacka czy ruletkę. Piszcziała z radości. Miał ją na oku, ale nie starała się schować sztonów do torebki, co oznaczało, że jest uczciwą dziewczyną. Postarał się, aby stosunek do niego szefów sal i restauracji zrobił na niej wrażenie. Do rana Carole musiała się dowiedzieć, że jest bardzo ważną osobą w Vegas. Po powrocie do Xanadu spytał:

– Czy nie miałabyś ochoty zobaczyć, jak wygląda apartament wicedyrektora hotelu?

Posłała mu niewinny uśmiech.

– Jasne – odparła.

W apartamencie, po wygłoszeniu stosownych zachwyty, opadła na sofę, udając bardzo wyczerpaną.

– Och, Vegas bardzo różni się od Salt Lake City – powiedziała.

– Myślałaś kiedyś, żeby się tu przeprowadzić? – zapytał Cully. – Taka piękna dziewczyna mogłaby się świetnie bawić. Poznałbym cię z najbardziej wpływowymi ludźmi.

– Naprawdę?

– Jasne. Każdy by umierał z chęci poznania tak ślicznej dziewczyny jak ty.

– Nie jestem śliczna.

– Jasne, że jesteś – upierał się Cully. – Wiesz o tym.

Teraz już siedział obok niej na sofie. Położył jej rękę na brzuchu, nachylił się i pocałował ją w usta. Była słodziutka.

Gdy ją całował, przesunął dłoń w kierunku spódniczki. Nie napotkał oporu. Oddała mu pocałunek. Cully, mając na uwadze drogie obicie sofy, powiedział:

– Chodźmy do sypialni.

– Dobrze – zgodziła się.

Trzymając się za ręce, poszli do sąsiedniego pokoju. Cully rozebrał ją. Miała jedno z najpiękniejszych ciał, jakie widział w życiu. Mlecznobiałe. Złota kępka była w tym samym kolorze co włosy na głowie. Piersi wyskoczyły, kiedy tylko uwolniła je z krępującego ubrania. Nie była nieśmiała. Kiedy Cully się rozebrał, wodziła dłońmi po jego brzuchu i kroczu, a następnie objęła i oparła głowę na jego brzuchu. Przesunął ją niżej i tak zachęcona zrobiła, co chciała. Pozwolił jej na to przez chwilę, po czym zaniósł ją do łóżka.

Kochali się, a kiedy było już po wszystkim, objęła go, chowając twarz na jego szyi, i westchnęła z zadowoleniem. Odpoczywali, a Cully zaczął oceniać jej wdzięki. Wyglądała wspaniale, była niezła w łóżku i w drutowaniu, ale nie doskonała. Musiał ją jeszcze wiele nauczyć. Naprawdę była jedną z piękniejszych dziewcząt, jakie widział, a niewinność wypisana na twarzy to dodatek ekstra do ślicznego, smukłego ciała. W ubraniu wyglądała na szczupłą. Bez ubrania cudownie zaskakiwała pełną figurą. Najlepsze ciało, jakie kiedykolwiek widział; chociaż nie dziewica, jednak niewinna, słodka i nie cyniczna. I nagle Cully'emu zaświtał pewien pomysł. Ta dziewczyna będzie jego bronią. Jednym z narzędzi potrzebnych do zdobycia władzy. W Vegas spotykało się setki ładnych dziewcząt. Ale były albo zbyt tępe, albo zbyt wyrachowane, albo miały złych doradców. Przygotuje ją do czegoś specjalnego. Nie, nie będzie dziwką. Cully nigdy nie zostanie alfonsiem. Nigdy nie weźmie od niej ani centa. Uczyni z niej kobietę marzeń wszystkich graczy w Vegas. Ale najpierw oczywiście musi się w niej zakochać i sprawić, żeby ona zakochała się w nim. Jak tylko to się stanie, mogą przejść do interesów.

Carole nigdy nie wróciła do Salt Lake City. Została kochanką Cully'ego i przesiadywała w jego mieszkaniu, chociaż miała swoje mieszkanie obok. Cully płacił za jej lekcje tenisa i tańca. Kazał jednej z szykownych dziewcząt z rewii nauczyć ją makijażu i dobrych manier. Załatwił jej pracę modelki w Los Angeles i udawał, że jest o nią zazdrosny. Wypytywał, jak spędziła wieczór w Los Angeles, gdzie zatrzymała się na noc, i interesował się jej znajomościami z fotografami w agencji.

Carole obcałowywała go, mówiąc: „Kochanie, teraz nie byłabym w stanie kochać się z nikim innym tylko z tobą”.



O ile było mu wiadomo, mówiła to szczerze. Mógł ją sprawdzać, ale to nie było ważne. Pozwolił, aby romans trwał przez trzy miesiące, aż pewnej nocy powiedział jej:

– Gronevelt jest dzisiaj w kiepskim nastroju. Otrzymał jakieś złe wiadomości. Starąłem się wyciągnąć go na jednego z nami, ale zamknął się w swoim apartamencie. – Carole poznała Gronevelta podczas ich wypraw i pewnego razu jedli wspólnie z nim kolację. Gronevelt był dla niej czarujący swoim szykiem starej daty. Lubiła go.

– Och, to przykre – powiedziała Carole.

Cully uśmiechnął się.

– Wiem, że ilekroć cię widzi, poprawiasz mu nastrój. Jesteś taka piękna. Piękna twarz. Wiesz, wszyscy mężczyźni tacy jak on kochają niewinne twarzyczki. – Była to prawda. Miała szeroko rozstawione oczy na twarzy upięk-szonej małymi pieprzykami. Wyglądała jak cukiereczek. Jasne włosy związy-wała jak uczennica.

– Wyglądasz jak ten dzieciak z komiksu – powiedział Cully. – Charlie Brown. – I w ten sposób zyskała w Vegas nowe imię. Była nim zachwycona.

– Starsi panowie zawsze mnie lubili. Koledzy ojca zawsze do mnie starto-wali – rzekła Charlie Brown.

– Jasne. A co ty na to?

– Nigdy mnie to nie złościło. Schlebiało mi to nawet i nigdy nie powie-działam ojcu. Byli bardzo mili. Przynosili mi prezenty i nigdy nie chcieli skrzywdzić.

– Mam pewien pomysł. Może bym zadzwonił do Gronevelta i powiedział, że chcesz mu dotrzymać towarzystwa? Ja mam kilka spraw w kasynie. Zrób wszystko, żeby poprawić mu nastrój. – Uśmiechnął się do niej, a ona popa-trzyła na niego poważnie.

– Dobrze.

Cully pocałował ją po ojcowsku.

– Wiesz, o co mi chodzi, prawda? – upewnił się.

– Wiem. – I w tej chwili Cully, patrząc na jej anielską twarz, poczuł nagły przypływ wyrzutów sumienia.

Ale ona posłała mu promienny uśmiech.

– Nie mam nic przeciwko temu. Naprawdę nic. I lubię go. Ale czy jesteś pewien, że tego chcesz?

– Kochanie, nie martw się. Idź do niego na górę, a ja zadzwonię. Będzie

cię oczekiwał, a ty bądź sobą. Oszaleje na twoim punkcie. Uwierz mi. – I sięgnął po telefon.

Gdy powiedział Groneveltowi, że przyjdzie do niego Charlie, ten rzekł rozbawiony:

– Jeśli jesteś pewien, że chce przyjść, to proszę bardzo. To urocza dziewczyna.

Cully odłożył słuchawkę.

– No, dalej, skarbie. Zabiorę cię na górę – zachęcił Charlie.

Poszli razem do apartamentu Gronevelta, gdzie Cully przedstawił ją jako Charlie Brown. Gronevelt również był zachwycony jej nowym imieniem. Cully przygotował drinki, usiedli i rozmawiali. Następnie Cully powiedział, że musi zejść do kasyna, i zostawił ich samych.

Nie widział Charlie Brown przez cały wieczór i wiedział, że jest u Gronevelta. Następnego dnia, gdy się z nim spotkał, spytał go:

– No i jak było?

– Świetnie – odparł Gronevelt. – Urocza, urocza dziewczyneczka. Słodziutka. Chciałem jej dać jakieś pieniądze, ale nie chciała przyjąć.

– Cóż, to młoda dziewczyna. Jest nowa. Ale czy na pewno wszystko w porządku?

– Tak.

– Czy chcesz ją mieć dla siebie?

– Nie, jest za młoda. Nie czuję się dobrze w towarzystwie tak młodych dziewcząt, szczególnie gdy nie chcą przyjąć pieniędzy. Może kupiłbyś jej coś w sklepie z biżuterią?

Po powrocie do biura Cully zadzwonił do Charlie Brown.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytał.

– Ach, on był po prostu wspaniały – powiedziała Charlie Brown. – Taki dżentelmen.

Cully zaniepokoił się trochę.

– Co to znaczy „dżentelmen”? Nic nie robiliście?

– Och, jasne, że tak. Był wspaniały. Ani byś pomyślał, że ktoś w tym wieku może być tak wspaniały. Będę go rozchmurzać, kiedy tylko zechce.

Cully umówił się z nią jeszcze na kolację tego dnia, po czym odłożył słuchawkę i oparł się na krzesło, starając się wszystko przemyśleć. Miał nadzieję, że Gronevelt się zakocha. Byłaby to najgroźniejsza broń przeciwko niemu. Ale Gronevelt wyczuł pismo nosem. Nie było sposobu na dotarcie do niego

przez kobiety. Miał ich zbyt wiele. Zbyt wiele widział skorumpowanych kobiet. Nie znał znaczenia słowa „cnota”, dlatego nie był w stanie się zakochać. Nie mógł się zakochać z żądy, bo było to zbyt proste. „Nie masz z kobiet żadnego zysku – mawiał. – Nie możesz z nich niczego uszczknąć”.

I wtedy pomyślał, że skoro nie Gronevelt, to w hotelu pozostało jeszcze kilku ważniaków, którym Carole mogłaby zrujnować życie. Na początku pomyślał, że to brak zdolności, hm, manualnych. Cóż, była tylko młodą dziewczyną. Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy nauczył ją wiele i była dużo lepsza niż za pierwszym razem. Dobra. Skoro nie może dostać Gronevelta, co byłoby idealne dla wszystkich, musi ją wykorzystać bardziej ogólnie. Dlatego w ciągu następnych kilku miesięcy Cully ją „przerobił”. Umawiał ją z największymi tego świata. Nauczył ją przyjmować czasem pieniądze i nie zawsze iść z nimi do łóżka. Wyjaśnił jej swój sposób rozumowania.

– Szukasz tylko dużego strzału. Kogoś, kto się w tobie zakocha i obsypie cię prezentami. Ale nie będą się zakochiwać, wiedząc, że wystarczy tylko kilka setek, aby cię przetrząść. Musisz to rozegrać jak wyrachowana, bardzo wyrachowana i ostrożna kobietka. Dobrym sposobem jest nie pieprzyć się z nimi pierwszego wieczoru. Tak jak w dawnych czasach. Ale jeśli już to zrobisz, spraw, aby uwierzyli, że to na skutek ich nieodpartego uroku.

Nie był zdziwiony posłuszeństwem Charlie. Już pierwszej nocy wyczuł u niej masochizm, tak często spotykany u pięknych kobiet. Już to znał. Brak poczucia własnej wartości, chęć uszczęśliwienia kogoś bliskiego. Oczywiście, były to sztuczki alfonsów, a Cully nie był alfonsiem, chciał tylko jej dobra.

Charlie Brown posiadała jeszcze jedną zaletę. Mogła zjeść więcej niż ktokolwiek mu znany. Kiedy pierwszy raz spożywali wspólny posiłek, Cully był zdumiony. Zjadła stek z ziemniakami, homara z frytkami, ciasto, lody i jeszcze pomagała Cully’emu zmieścić wszystko z jego talerza. Mógł chwalić się jej zdolnościami. Szczególnie kilku wpływowych facetów uwielbiało patrzeć, jak pochłania te ilości jedzenia. Zapraszali ją na obiad, przyglądali się, a jej to nigdy nie denerwowało ani nie odbierało apetytu. Dziwne, że nie przybierała na wadze.

Charlie kupiła samochód, konie, dom, w którym wynajmowała mieszkania i przekazywała pieniądze Cully’emu, aby je dla niej zatrzymał. Cully założył jej specjalne konto i wynajął specjalnych doradców podatkowych. Umieścił ją również na liście pracowników kasyna, aby mogła udokumentować swoje

dochody. Sam nigdy nie wziął od niej ani centa. Przez kilka lat omotała sobie wokół palca wszystkich dyrektorów kasyn w Vegas plus kilku właścicieli hoteli. Pieprzyła się z grubymi rybami z Teksasu, Nowego Jorku, Kalifornii. Cully chciał ją również podsunąć Fummirze. Ale kiedy powiedział o tym Groneveltowi, ten zaprotestował.

Cully zapytał, dlaczego nie.

– Coś z nią jest nie tak – odpowiedział Gronevelt. – Nie ryzykuj podsuwania jej najgrubszym rybom. – I Cully musiał się zdać na opinię Gronevelta.

Najlepszym strzałem Cully’ego było podsuniecie Charlie Brown Briance, sędziemu federalnemu Las Vegas. Cully organizował randki. Charlie czekała w jednym z pokoi hotelowych, natomiast sędzia wchodził tylnym wejściem do apartamentu Cully’ego, a stamtąd do pokoju Charlie. Przychodził grzecznie co tydzień. Gdy po jakimś czasie Cully zaczął prosić go o drobne przysługi, obaj wiedzieli, czym można za to zapłacić.

Podobnie załatwił sprawę z członkiem Komisji do spraw Hazardu. Wszystko udawało się za sprawą specjalnych zdolności Charlie. Jej upajającej niewinności, jej ciała. Była jak miód z mlekiem. Sędzia Brianca zabierał ją na wypady na ryby. Bankierzy zabierali ją w służbowe podróże, aby ją przetrząść w wolnych chwilach. Kiedy pracowali, Charlie szła na zakupy, gdy stawali się ogierami, była na zawołanie. Nie musieli jej uwodzić i brała pieniądze tylko na zakupy. Miała tę zaletę, że udawała zakochaną, zafascynowaną tymi facetami i niczego od nich nie żądała. I była na zawołanie. Wystarczyło, że zadzwonili do niej lub do Cully’ego.

Jedynym problemem z Charlie było to, że prywatnie była flejtuchem. W tym czasie u Charlie mieszkała już jej koleżanka z Salt Lake City, Sara, którą także Cully „przerobił” po okresie szkoleniowym. Czasami, kiedy wchodził do ich mieszkania, opanowywało go obrzydzenie. Pewnego ranka zobaczywszy, w jakim stanie była kuchnia, wściekł się tak bardzo, że wyrzucił je z łóżka, kazał im umyć brudne gary i powiesić nowe zasłony. Robiły to niechętnie, ale kiedy zaprosił je na kolację, były tak czułe, że wieczorem w trójkę wylądowali w jego sypialni.

Charlie Brown stała się dziewczyną marzeń z Las Vegas, a kiedy Cully najbardziej jej potrzebował, uciekła z Osanem. Po powrocie wydawało się, że jest taka sama, ale Cully wiedział, że wystarczyłby jeden telefon Osana, aby znów zniknęła.

Przez długi czas Cully był oddanym, zaufanym człowiekiem Gronevelta. Potem zaczął myśleć o zajęciu jego miejsca. Ziarno zdrady zakiełkowało, gdy musiał wykupić dziesięć procent udziału w hotelu i kasynie Xanadu.

Zaproszony na spotkanie do apartamentu Gronevelta, poznał Johnny'ego Santadię. Santadio, człowiek lat około czterdziestu, był ubrany skromnie, lecz sztywnie, w stylu angielskim. Trzymał się prosto, po wojskowemu. Spędził cztery lata w West Point. Jego ojciec, jeden z bossów nowojorskiej mafii, użył swych wszystkich politycznych koneksji, aby zapewnić synowi miejsce w Akademii Wojskowej.

Ojciec i syn byli patriotami. Aż do czasu, gdy ojciec musiał ukrywać się, aby nie dostać wezwania na przesłuchanie w Kongresie. FBI wyłuskała go, zatrzymując syna jako zakładnika i grożąc „skaleczeniem” więźnia, o ile ojciec się nie ujawni. Starszy Santadio dał za wygraną i pojawił się na komisji senackiej, ale wtedy syn zrezygnował z West Point.

Johnny Santadio nie został nigdy skazany ani nawet oskarżony o żadne przestępstwo. Nigdy nie był aresztowany. Ale Stanowa Komisja do spraw Hazardu w Nevadzie odmówiła mu licencji na kilka procent akcji w hotelu Xanadu wyłącznie dlatego, że był synem swego ojca. Johnny Santadio wywarł duże wrażenie na Cullym. Był spokojny, dobrze się wysławiał i mógłby nawet wstąpić do Ivy League, przyjmującej tylko członków starych jankeckich rodzin. Nawet nie wyglądał na Włocha. Teraz w pokoju było ich tylko trzech. Rozmowę zaczął Gronevelt.

– Czy chciałbyś mieć kilka procent udziałów w hotelu? – spytał Cully'ego.

– Jasne – odparł Cully. – Wypiszę weksel.

Johnny Santadio uśmiechnął się. Miał szlachetny, niemal słodki uśmiech.

– Po tym, co powiedział Gronevelt o twoim wspaniałym charakterze, wyłożę za ciebie potrzebne pieniądze – zaofiarował się.

Cully pojął w lot. Miał być tylko fasadą dla Santadia.

– Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu.

– Czy jesteś na tyle czysty, że dostaniesz licencję od Komisji do spraw Hazardu? – spytał Santadio.

– Jasne – odparł Cully. – Chyba że mają jakiś paragraf za dymanie lasek.

Tym razem Santadio nie uśmiechnął się. Poczekał tylko, kiedy Cully skończy, i powiedział:

– Pożyczę ci pieniądze na udziały. Ty podpiszesz weksel opiewający na kwotę, którą wyłożę. Umowa będzie taka, że pożyczam ci na sześć procent,

i tyle będziesz płacił. Ale masz moje słowo, że nic nie stracisz, płacąc taki procent. Rozumiemy się?

– Jasne.

– To całkowicie legalna transakcja, Cully – wtrącił Gronevelt – chcę, żebyś to wiedział. Najważniejsze jest jednak, aby nikt się nie dowiedział, kto zawarł z tobą taką umowę. Komisja do spraw Hazardu może ci cofnąć licencję.

– Rozumiem – powiedział Cully. – Ale co będzie, jak coś mi się stanie? Jeśli zginę w wypadku lub w katastrofie lotniczej? Czy przewidzieliście taką sytuację? Jak Santadio odzyska swoje pieniądze?

Gronevelt uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

– Czyż nie byłem ci jak ojciec?

– Rzeczywiście – odparł szczerze Cully.

I mówił prawdę. W jego głosie brzmiała tak szczerza nuta, że Santadio wiedział, że mówi prawdę.

– Wobec tego – powiedział Gronevelt – sporządzisz testament i zapiszesz mi te pieniądze. Jeśli coś ci się stanie, ja przekażę pieniądze Santadiowi. Czy dobrze mówię, Johnny?

Johnny Santadio przytaknął. Następnie jak gdyby nigdy nic zwrócił się do Cully'ego.

– Czy masz jakiś pomysł na zdobycie licencji? Czy komisja może dać mi zezwolenie pomimo ojca?

Cully zrozumiał, że Gronevelt musiał powiedzieć Santadiowi, że ma członka komisji w kieszeni.

– Będzie ciężko – powiedział Cully. – Trzeba dużo forsy i czasu.

– Ile trzeba czasu? – zapytał Santadio.

– Kilka lat – odparł Cully. – Naprawdę chcesz, żeby twoje nazwisko figurowało na licencji?

– Dokładnie tak – powiedział Santadio.

– Czy komisja znajdzie coś na ciebie, jeśli zaczną szukać? – zapytał Cully.

– Tylko to, że jestem synem swego ojca. Mnóstwo plot w raportach FBI i policji z Nowego Jorku. Domysły. Żadnych dowodów.

– To im wystarczy.

– Wiem. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

– Spróbuję – powiedział Cully.

– To dobrze – wtrącił się Gronevelt. – Cully, idź do mojego prawnika, na-

pisz testament i weź kopię dla mnie. Ja i pan Santadio zajmujemy się resztą.

Cully uściskał dłoń Santadia i wyszedł z pokoju.

Rok później, kiedy Gronevelt po wylewie przebywał w szpitalu, Santadio odwiedził Cully'ego w Vegas. Cully zapewnił go, że Gronevelt się z tego wylize i że wciąż pracuje nad Komisją do spraw Hazardu.

I wtedy Santadio powiedział:

– Wiesz, że te twoje dziesięć procent nie są moim jedynym udziałem w kasynie. Kilku moich przyjaciół również ma udziały w Xanadu. Martwimy się, czy Gronevelt po wylewie będzie w stanie dalej zarządzać hotelem. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Bardzo szanuję Gronevelta. Jeśli będzie mógł dalej prowadzić kasyno, to całe szczęście. Ale jeśli nie, jeśli to miejsce będzie podupadać, chcę, abys mnie o tym powiadomił.

W tej chwili Cully musiał podjąć decyzję: być wiernym Groneveltowi do końca, czy wyjść naprzeciw swojej przyszłości. Zdał się na swój instyngt.

– Dobrze, zrobię to – powiedział. – Nie tylko ze względu na mój czy twój zysk, ale przede wszystkim dla dobra pana Gronevelta.

Santadio uśmiechnął się.

– Gronevelt jest wspaniałym facetem. Zrobimy dla niego wszystko. To rozumiacie. Ale żadnemu z nas nie będzie się dobrze powodzić, jeśli hotel znacznie podupadać.

– Oczywiście – powiedział Cully. – Dam znać.

Po wyjściu ze szpitala Gronevelt zdawał się całkowicie zdrowy i Cully złożył mu bezpośrednią relację. Po pół roku spostrzegł jednak, że Gronevelt nie ma na tyle siły, aby prowadzić wszystko jak dawniej, i zameldował o tym Johnny'emu Santadio.

Santadio przyleciał do Vegas na konferencję z Groneveltem, podczas której zapytał go, czy nie sprzedałby udziałów i nie przekazał spraw kasyna komuś innemu.

Gronevelt, słabszy niż dawniej, usiadł spokojnie w swoim fotelu, patrząc na Cully'ego i Santadia.

– Rozumiem ciebie – powiedział – ale myślę, że za jakiś czas będę w stanie sobie poradzić. Powiedzmy, że jeśli za pół roku sytuacja się nie poprawi, zrobię, jak mi radzisz. I oczywiście możecie wtedy odkupić moje udziały. Czy to ci wystarczy, Johnny?

– Oczywiście. Wiesz, że ufam ci bardziej niż komukolwiek i wierzę w twoje kompetencje. Jeśli twierdzisz, że jesteś tego w stanie dokonać w pół roku, wierzę ci. Zostawiam wszystko w twoich rękach.

I tak skończyło się to spotkanie. Ale wieczorem, kiedy Cully odwoził Santadia na lotnisko, ten rzekł:

– Miej na wszystko oko. Przekazuj mi najświeższe wiadomości. Nie możemy czekać, jeśli będzie się naprawdę źle działo.

Przez najbliższe pół roku Cully musiał zaprzestać knowań, ponieważ Gronevelt radził sobie doskonale. Raporty Cully’ego wcale jednak na to nie wskazywały. Między wierszami można było wyczytać konieczność zwolnienia Gronevelta.

Miesiąc później bratanek Santadia, jeden z szefów sal kasyna na Stripie, został oskarżony o oszustwo podatkowe przez sąd federalny i John Santadio przyleciał do Vegas, aby naradzić się z Groneveltem. Oficjalnie spotkanie miało na celu udzielenie pomocy bratankowi, lecz Santadio zaczął z innej beczki.

– Masz jeszcze trzy miesiące. Czy nie chcesz sprzedać mi swoich udziałów? – zapytał Gronevelta.

Gronevelt popatrzył na Cully’ego, który dojrzał w tym spojrzeniu smutek i zmęczenie.

– A ty co o tym myślisz? – spytał Gronevelt Santadia.

– Martwię się o twoje zdrowie i hotel. Naprawdę uważam, że prowadzenie interesów sprawia ci za dużo kłopotów.

– Może masz rację – westchnął Gronevelt. – Pozwól mi to przemyśleć. W przyszłym tygodniu jestem umówiony z moim lekarzem i wyniki badań mogą się okazać bardziej bezlitosne niż moja wola. Ale co z twoim bratankiem? Czy możemy ci jakoś pomóc?

Po raz pierwszy, odkąd Cully go poznał, Santadio wpadł w złość.

– Głupek – krzyknął. – Głupie to było i niepotrzebne. Guzik mnie obchodzi, czy pójdzie do więzienia, ale jeśli uznają go za winnego, będzie to kolejna plama w mojej kartotece. Każdy pomyśli, że stałem za tym lub mam z tym coś wspólnego. Przyszedłem tu mu pomóc, ale nie mam żadnych pomysłów.

– Nie jest to sytuacja beznadziejna – powiedział współczująco Gronevelt. – Cully ma haka na sędziego federalnego, który prowadzi sprawę. I jak, Cully,



masz jeszcze w kieszeni sędziego Briancę?

Cully zastanowił się przez chwilę nad korzyściami płynącymi z tej sprawy. Ciężko będzie naciskać sędziego. Sędzia będzie musiał zatuszować sprawę i jeśli Cully nie znajdzie innego wyjścia, zmusi go do tego. Niebezpieczne, ale może się bardzo opłacić. Jeśli zrobi to dla Santadia, to po przejęciu udziałów Gronevelta Santadio na pewno powierzy mu prowadzenie hotelu. To utwierdzi jego pozycję. Będzie panem i władcą w Xanadu.

Cully popatrzył bacznie na Santadia, starał się, aby jego głos zabrzmiał poważnie.

– To będzie trudne – powiedział – i kosztowne, ale skoro panu na tym zależy, to obiecuję panu, panie Santadio, że pański bratanek nie pójdzie do więzienia.

– Masz na myśli, że oczyszczą go z zarzutów?

– Nie, tego nie mogę obiecać. Może sprawa nie zajdzie aż tak daleko. Ale obiecuję, że jeśli go skazają, dostanie wyrok w zawieszeniu, a jeśli dobrze pójdzie i znajomy sędzia będzie przewodniczył rozprawie, to może nawet i do tego nie dojdzie.

– Byłoby wspaniale – powiedział Santadio. Gorąco uścisnął dłoń Cully'ego. – Jeśli ci się uda, to możesz prosić mnie o wszystko, czego tylko sobie zażyczysz.

I nagle pomiędzy nimi znalazł się Gronevelt, kładąc swoją dłoń na ich dłoniach, jak w geście błogosławieństwa.

– To wspaniale – rzekł. – Rozwiązaliśmy wszystkie problemy. Chodźmy teraz to uczcić.

Tydzień później Gronevelt wezwał Cully'ego do swego biura.

– Mam wyniki badań – powiedział. – Lekarz radzi mi, bym przeszedł na emeryturę. Ale zanim odejdę, chcę coś wypróbować. Poleciałem bankowi przelać na moje konto milion dolarów, abym mógł sobie trochę pograć w mieście. Chciałbym, abyś mi towarzyszył. Albo przegram, albo podwoję ten milion.

– Ma pan zamiar zaryzykować? – zapytał z niedowierzaniem Cully.

– Chciałbym raz jeszcze zagrać. Byłem świetnym graczem za młodu. Jeśli ktokolwiek potrafi pokonać prawo procentów, to jestem nim ja. Będziemy się świetnie bawić. Mogę sobie pozwolić na puszczenie miliona dolarów.

Cully był zdziwiony. Odkąd pamiętał, Gronevelt niewzruszenie wierzył w procenty. Był taki okres, kiedy sala do gry w kości przegrywała co noc. Gracze się bogacili. Cully był pewien, że to przewał. Wywalił cały personel sali. Gronevelt oddał kości do analizy laboratoryjnej. Nic. Cully i dyrektor kasyna byli pewni, że ktoś wynalazł naukową metodę kontrolowania kości. Nie było innego wyjścia. Tylko Gronevelt był spokojny. „Nie martwcie się – powiedział. – Procenty zadziałają”.

I rzeczywiście po trzech miesiącach kości zaczęły z równie dziką intensywnością przynosić dochody. Przez ponad trzy miesiące bank wygrywał. I pod koniec roku wszystko się wyrównało. Gronevelt zaprosił wtedy Cully’ego na drinka. „Możesz stracić wiarę we wszystko – powiedział – religię, Boga, kobiety i miłość, dobro i zło, wojnę i pokój. Słowo. Ale procenty nigdy cię nie zawiodą”.

Podczas tego tygodnia, gdy Gronevelt grał, jego słowa dźwięczały Cully’emu w głowie. Cully nie widział nigdy nikogo, kto grał lepiej od Gronevelta. Przy stole do crapa obstawił wszystko, obcinając procenty banku. Wydawało się, że potrafi przewidzieć przyływy i odpływy szczęścia. W kości grał z wyrachowaniem, zmieniając strony. Gdy miał dobrą passę, naciągał zakład do górnej granicy. Przy bakaracie wyczuwał, kiedy rozdanie przechodziło od banku do gracza i grał przeciwko rozdaniu. W black jacku zakładał się o pięć dolarów, kiedy krupierowi szło dobrze, i stawiał górną granicę, gdy ten był zimniutki.

W połowie tygodnia Gronevelt był o pół miliona do przodu. Pod koniec – sześćset tysięcy. Grał dalej. A Cully się przyglądał. Jedli razem kolację i grali do północy. Gronevelt mawiał, że do gry trzeba być wypoczętym. Nie można przeginać, trzeba się wyspać. Trzeba przestrzegać diety i kłaść się z panienkami co trzy, cztery dni.

W połowie drugiego tygodnia Gronevelt, pomimo wszystkich umiejętności, przegrywał. Procenty miały go na pył. Pod koniec drugiego tygodnia stracił milion dolarów. Gdy postawił ostatni szton i przegrał, odwrócił się do Cully’ego i uśmiechnął się. Co dziwniejsze, wydawał się zachwycony.

– Tak się żyje – powiedział. – Trzeba żyć z procentami. Inaczej życie jest nic niewarte. Zawsze o tym pamiętaj. Niech procentowe obliczanie szans stanie się twoim bogiem.

## Rozdział 48

Podczas mojej ostatniej podróży do Kalifornii, kiedy miałem dokonać końcowych zmian w scenariuszu dla Tri-Culture Studios, w hallu hotelu natknąłem się na Osana. Byłem zaszokowany jego wyglądem i dopiero po chwili zauważyłem, że towarzyszy mu Charlie Brown. Osano przytył jakieś trzydzieści funtów; spod tenisowego wdzianka wystawał mu olbrzymi brzuch. Twarz mu się rozplynęła i pojawiły się na niej krosty. Zielone, niegdyś błyszczące oczy wyblakły i wyglądały jak szare. Kiedy do mnie podchodził, zauważyłem, że jeszcze bardziej powłóczy nogą.

Poszliśmy na drinki do baru Polo. Jak zwykle, Charlie przyciągała spojrzenia wszystkich facetów wokół. Nie tylko z uwagi na urodę i niewinną twarz. Takich było tysiące w Beverly Hills. Ale w jej sposobie ubierania się, chodzenia i patrzenia na innych było coś, co przyciągało uwagę i sygnalizowało łatwą dostępność obiektu.

– Wyglądam okropnie, prawda – rzekł Osano.

– Widziałem cię w gorszym stanie – odparłem.

– Kurwa, ja też. Ty, szczęśliwy kutasie, możesz jeść, co chcesz, i nie przybędzie ci ani uncji.

– Przy Charlie to ja jestem cienki Bolek – powiedziałem i uśmiechnąłem się do niej, odpłaciła mi uśmiechem.

– Spadamy stąd po południu – rzekł Osano. – Eddie Lancer myślał, że załatwi mi jakiś scenariusz, ale nie udało się, dlatego mogę się stąd wynieść. Myślę, że pojedę do jakiejś katowni dla grubasów, dojdę do siebie i dokończę powieść.

– A jak ci idzie? – zapytałem.

– Super – odparł Osano. – Mam ponad dwa tysiące stron, jeszcze tylko pięćset.

Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. W tym czasie już zalegał wszystkim wydawnictwom nawet z esejami. Ta powieść była jego ostatnią deską ratunku.

– Musisz tylko przejść te pięćset stron – powiedziałem – i w mordę, finito. To lekarstwo na wszystkie kłopoty.

– Tak, masz rację. Ale nie mogę być w gorącej wodzie kąpany. Nawet mój wydawca tego nie chce. To moja Nagroda Nobla, chłopcze.

Popatrzyłem, czy zrobiło to wrażenie na Charlie Brown, i ze zgrozą spostrzegłem, że nawet nie wiedziała, co to jest Nagroda Nobla.

– Szczęściarż z ciebie, że masz takiego wydawcę – rzekłem. – Czeka na tę książkę od lat.

Osano wybuchnął śmiechem.

– Taa, wydawca z największą klasą w Stanach. Dali mi sto tysięcy zaliczki, nie widząc nawet strony. Klasa, nie taka jak u tych pojebanych filmowców.

– Za tydzień wyjeżdżam do Nowego Jorku – powiedziałem. – Chcę cię zaprosić na kolację. Jaki masz teraz numer telefonu?

– Taki sam.

– Telefonowałem, ale nikt nie odpowiadał.

– Siedziałem w Meksyku, pracując nad książką, jedząc fasolę i taco. Dlatego tak się spałem. Charlie Brown, ta oto tutaj, nie utyli ani grama, chociaż wsuwała dziesięć razy więcej ode mnie. – Poklepał ją po ramieniu i uszczypnął znacząco. – Charlie Brown, jeśli umrzesz przede mną, każę zrobić ci sekcję, aby dowiedzieć się, co cię tak podgryza od środka.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie przypominaj mi, jestem głodna – powiedziała. Zamówiłem obiad, aby rozpędzić chmury. Dla siebie sałatkę, dla Osana omlet, a dla Charlie Brown hamburgera z frytkami, stek z warzywami, sałatkę, potrójne lody i szarlotkę. Osano i ja z przyjemnością obserwowaliśmy reakcję ludzi gapiących się na nią, gdy jadła. Nie mogli uwierzyć. Kilku facetów głośno komentowało jej apetyt, mając nadzieję na wciągnięcie nas do rozmowy, co dałoby im okazję do konwersacji z Charlie. Ale Osano i Charlie ignorowali ich.

Zapłaciłem i przed wyjściem obiecałem, że zadzwonię do Osana w Nowym Jorku.

– Świetnie. Jestem umówiony z zarządem Ligi Wyzwolenia Kobiet i potrzeba mi trochę moralnego poparcia. Merlyn, co byś powiedział, gdybyśmy

po kolacji razem poszli na to zebranie?

Miałem wątpliwości, czy to dobry pomysł. Naprawdę nie interesowały mnie żadne wieści i nie miałem zamiaru wykupywać Osana z aresztu, ale się zgodziłem.

Żaden z nas do tej pory nie wspomniał o Janelle. Nie mogłem się opanować i zapytałem:

- Czy widziałeś Janelle w mieście?
- Nie – odparł Osano – a ty?
- Nie widziałem jej od bardzo dawna.

Osano spojrział na mnie. Na sekundę oczy zalśniły mu dawnym, zielonym szelmowskim blaskiem. Uśmiechnął się smutnawo.

– Nie powinieneś dopuścić, aby taka dziewczyna od ciebie odeszła. Taką ma się raz w życiu. Tak jak pisze się tylko jedno wielkie dzieło literackie.

Wzruszyłem ramionami i uściśnięłem mu dłoń na pożegnanie. Pocałowałem Charlie w policzek i wyszedłem.

Tego popołudnia miałem zebranie w Tri-Culture Studios. Byli obecni: Jeff Wagon, Eddie Lancer i reżyser, Simon Belfort. Zawsze myślałem, że legendy Hollywoodu o pisarzu, który jest chamski dla swojego producenta i reżysera, należy między bajki włożyć. Ale po raz pierwszy, na tym zebraniu dotyczącym scenariusza, dowiedziałem się, gdzie tkwi źródło takich opowieści. Jeff Wagon i jego reżyser kazali nam napisać ich własną powieść. Pozwoliłem, aby Eddie Lancer kłócił się za mnie. W końcu zdesperowany Eddie rzekł:

– Słuchaj, Wagon, nie mówię, że jestem mądrzejszy od ciebie. Mam tylko więcej szczęścia. Pisałem już do wielu słynnych filmów. Dlaczego nie chcesz zgodzić się z moim zdaniem?

Argument wydawał się bardzo sprytnie wybrany, ale widziałem, że Wagon i reżyser mają znaki zapytania wypisane na twarzach. Nie wiedzieli, o czym mówi Eddie, i pomyślałem, że nic nie zmieni ich nastawienia.

W końcu Eddie Lancer powiedział:

- Przykro mi, ale skoro tak stawiacie sprawę, to ja podaję się do dymisji.
- Dobra. A ty, Merlyn?
- Nie wiem, dlaczego miałbym być waszą sekretarką – powiedziałem.
- Jasno stawiasz sprawę – rzekł Wagon. – Przykro mi. Czy znasz jakiegoś pisarza, który może się tym zająć? Musiałby się z wami konsultować, ponieważ i tak odwaliliście większość pracy. Oczywiście pomogę, w czym będę

mógł.

Przez myśl przemknął mi Osano. Rozpaczliwie potrzebował pieniędzy i wiedziałem, że zgodziliby się na niego momentalnie. Ale później pomyślałem, że Osano jest wciąż wielkim amerykańskim pisarzem i takie zebrania wykończyłyby go, poniżyły i w rezultacie zostałyby wywalony z pracy. Dlatego milczałem.

Dopiero gdy kładłem się do łóżka, przyznałem sam przed sobą, że zrobiłem to, aby ukarać go za spanie z Janelle.

Następnego ranka zadzwonił do mnie Eddie Lancer. Powiedział mi, że wczoraj spotkał się ze swoim agentem, który obiecał mu, że dostanie pięćdziesiąt tysięcy dolarów więcej za dalszą pracę. Chciał wiedzieć, co ja o tym myślę.

Powiedziałem Eddiemu, że nie mam nic przeciwko temu, ale się wycofuję. Eddie starał się mnie przekonać.

– Postawię warunki. Nie wrócę, o ile nie zapłacą ci jeszcze dwudziestu pięciu tysięcy. Jestem pewien, że na to pójda – kusił Eddie Lancer.

Znów pomyślałem o Osanie i znów nie potrafiłem się przemóc.

– Mój agent powiedział, że jeśli się wycofamy, to zatrudnią innych scenarzystów, wytną z filmu nasze nazwiska. Tym samym zabiorą pieniądze i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze. Istnieje szansa, choć nikła, że film będzie wielki, wtedy będziemy się kopać w dupę. Może być z tego niezły szmal, Merlyn, ale jeśli chcesz pozostać przy naszej wersji, to ja też się wycofam.

– Pierdolę zyski – powiedziałem – czy nazwisko w czołówce, a jeśli chodzi o naszą wersję... to gniot, a nie moja książka. Ale ty wracaj. Naprawdę mi na tym nie zależy.

Mówię poważnie.

– Dobra. Zrobię, co będę mógł, aby zachować twoje nazwisko w czołówce. Zadzwonię do ciebie, jak będę w Nowym Jorku, i spotkamy się na kolacji.

– Świetnie – powiedziałem. – Powodzenia z Jeffem Wagonem.

– Będę go potrzebował – przyznał Eddie.

Cały dzień wyprowadzałem się z mojego pokoju w Tri-Culture Studios i robiłem zakupy. Nie chciałem znaleźć się w tym samym samolocie co Osano i Charlie Brown. Pomyślałem o telefonie do Janelle, ale w końcu nie zadzwoniłem.

Miesiąc później Jeff Wagon zadzwonił do mnie do Nowego Jorku. Powiedział, że Simon Belfort uważa, że Frank Richetti powinien figurować w czo-

łówce razem z Lancerem i mną.

– Czy Eddie wciąż z wami pracuje? – zapytałem.

– Tak – odparł Jeff Wagon.

– Dobra – rzekłem. – Powodzenia.

– Dziękuję. Będziemy cię informować o postępach. Spotkamy się na przyjęciu Akademii po ceremonii rozdania nagród. – I odłożył słuchawkę.

Roześmiałem się. Starali się, jak mogli, zrobić z tego filmu gniot, a taki Wagon miał czelność mówić o nagrodzie Akademii Filmowej. Ta piękność z Oregonu powinna była wyciąć mu więcej spomiędzy nóg. Pozostanie Eddiego Lancera w filmie mimo wszystko odbierałem jako zdradę. To prawda, co kiedyś powiedział Wagon. Eddie Lancer był scenarzystą z krwi i kości, ale także pisarzem z krwi i kości, choć wiedziałem, że nie napisze już żadnej książki.

Zrobiłem ciekawe spostrzeżenie. Pomimo że walczyłem o każde zdanie, scenariusz stawał się coraz gorszy i choć z tego powodu oszedłem, i tak czułem się skrzywdzony. Poza tym roiłem sobie podświadomie, że jak wrócę pracować nad scenariuszem, to spotkam Janelle. Nie widzieliśmy się ani nie rozmawialiśmy od miesięcy. Ostatnim razem, kiedy do niej zadzwoniłem, rozmawialiśmy przez chwilę i pod koniec Janelle powiedziała:

– Cieszę się, że do mnie zadzwoniłeś. – Po czym zamilkła, czekając na odpowiedź.

– Ja też – rzekłem po chwili.

Zaczęła się śmiać i przedrzeźniać mnie.

– Ja też, ja też – chichotała. Po czym powiedziała: – Ach, nieważne. – Roześmiała się radośnie. – Zadzwoń jeszcze.

Powiedziałem, że zadzwonię, chociaż wiedziałem, że tego nie zrobię.

Miesiąc po telefonie od Wagona zadzwonił do mnie Eddie Lancer. Był wściekły.

– Merlyn – powiedział – zmieniają scenariusz, aby cię wychujać z całego filmu. Ten koleś, Frank Richetti, pisze nowe dialogi, parafrazując twoje słowa. Zmieniają wszystko tak, aby nie można było poznać, że to twoja praca. Poza tym słyszałem rozmowę Bellforta, Wagona i Richettiego, podczas której zastanawiali się, jak cię wyrolować z filmu i z zysków. Te skurwysyny nie zwracają na mnie najmniejszej uwagi.

– Nie martw się. Napisałem powieść i oryginalny scenariusz, który potwierdziłem w Związku Pisarzy, i nie ma sposobu, aby mnie wysiudać

z udziału w filmie.

– No nie wiem. Ostrzegam cię tylko przed nimi. Mam nadzieję, że się obronisz.

– Dzięki. A co z tobą? Jak praca?

– Ten pojeb Richetti jest, kurwa, analfabetą i nie wiem, kto jest większym złamasem, Wagon czy Bellfort. Może to być najgorszy film pod słońcem. Biedny Malomar pewnie się w grobie przewraca.

– Tak, biedny Malomar – zgodziłem się. – Zawsze mi mówił, jakie wspaniałe jest Hollywood i jacy szczerzy artyści tam pracują. Szkoda, że go nie ma wśród żywych.

– Szkoda. Słuchaj, jak będziesz w Kalifornii, zadzwoń, zjemy razem kolację.

– Nie sądzę, abym jeszcze kiedyś przyjechał do Kalifornii. To raczej ty zadzwoń do mnie, jak będziesz w Nowym Jorku.

– Dobra, zadzwonię – zgodził się Lancer.

Rok później film był skończony. Dostałem w czołówce miejsce jako pisarz, ale nie jako scenarzysta. Pod napisem „Scenarzysta” widniały dwa nazwiska: Eddiego Lancera i Simona Bellforta. Odwoływałem się do Związku Pisarzy, ale przegrałem. Richetti i Bellfort odwalili kawał roboty, zmieniając scenariusz, dlatego straciłem udział w zyskach. Nieważne. Film okazał się katastrofą, i co gorsza, Doran Rudd powiedział mi, że w światku filmowym winą za to obarczano powieść. Nie byłem już produktem do obróbki w Hollywood i była to najlepsza wiadomość związana z tym filmem.

Jednym z grabarzy filmu była Clara Ford. Zjechała go od A do Z. Nawet aktorstwo Kellina. Najwyraźniej Kellino nie spisał się w kontaktach interpersonalnych. Ostatni gwóźdź do trumny wbił Houlinan. Umieścił artykuł w prasie zatytułowany: *Powieść Merlyna klapą filmową*. Kiedy to przeczytałem, nie pozostało mi nic innego, jak tylko pokiwać głową z podziwem.



## Rozdział 49

Wkrótce po ukazaniu się filmu wybrałem się z Osanem i Charlie Brown do Carnegie Hall na konferencję Ruchu Wyzwolenia Kobiet. Osano jako jedyny z przemawiających był mężczyzną. Wcześniej zjedliśmy kolację w Pearl, gdzie Charlie Brown zadziwiła wszystkich kelnerów, pochłaniając kaczkę po pekińsku, półmisek krabów nadziewanych wieprzowiną, ostrygi w sosie z czarnej fasoli, dużą rybę i czyszcząc to, co my zostawiliśmy na talerzach – nawet nie rozmazawszy sobie szminki.

Gdy wysiedliśmy z taksówki przed Carnegie Hall, starałem się przekonać Osana, aby poszedł pierwszy, a za nim Charlie Brown i ja pod rękę, tak jakby przyszła ze mną. Wyglądała jak legendarna ladacznica, czym, jak przypuszczałem, na pewno rozwścieczy reprezentantki lewackiego skrzydła organizacji. Ale Osano, jak zwykle, był uparty. Chciał, aby wszystkie wiedziały, że Charlie Brown to jego kobieta. Gdy szliśmy przejściem pomiędzy fotelami, grzecznie dreptałem z tyłu za nimi. Po drodze patrzyłem uważnie na wszystkie kobiety. Jedyną dziwną rzeczą w tym całym zgromadzeniu było to, że przyszły tam wyłącznie kobiety. Zdałem sobie sprawę, że w wojsku, w sierocińcu czy podczas meczów widywałem wyłącznie lub prawie wyłącznie mężczyzn. Widok kobiety w takiej liczbie był dla mnie dużym szokiem; poczułem, jakbym znalazł się w obcym kraju.

Kilka kobiet powitało Osana i zaprowadziło go do mównicy. Usiedliśmy z Charlie Brown w pierwszym rzędzie. Chciałem siedzieć w ostatnim, aby w razie czego spylić stamtąd, gdzie pieprz rośnie. Byłem tak zmartwiony, że nie słyszałem mów powitalnych. Ocknąłem się dopiero wtedy, kiedy Osana przedstawiono i zaprowadzono do mikrofonu. Osano stał przez chwilę, czekając na aplauz, który nie nastąpił.

Wiele kobiet czuło się obrażonych jego szowinistycznymi artykułami

sprzed lat. Inne były zazdrosne o osiągnięcia czołowego pisarza. Oklaski kilku jego wielbicielek brzmiały bardzo słabo.

Osano stanął na mównicy. Odczekał dłuższą chwilę, następnie oparł się arogancko o pulpit i wolno, akcentując każde słowo, powiedział:

– Albo was stłamszę, albo was wyrucham.

W sali rozległy się gwizdy, syki i tupanie. Osano chciał mówić dalej. Wiedziałem, że powiedział to tylko w celu ściągnięcia na siebie uwagi. Przygotował sobie mowę pochwalną na temat Ruchu Wyzwolenia Kobiet, ale nie miał szans na jej wygłoszenie. Szum narastał z każdą próbą rozpoczęcia wykładu, dlatego w końcu Osano skłonił się dwornie i zszedł z podium. Wyszliśmy z Carnegie Hall. Odgłosy niezadowolenia przerodziły się w aplauz. Zwolenniczki Ruchu Wyzwolenia Kobiet dawały Osanowi do zrozumienia, że niczego nie pragną bardziej, jak tylko jego wyjścia z sali.

Osano nie chciał, żebym poszedł z nimi do domu. Chciał być sam z Charlie Brown. Ale następnego dnia rano zadzwonił do mnie. Prosił mnie o przysługę.

– Słuchaj – powiedział – jadę do Duke University w Karolinie Północnej, do ich ryżowej kliniki dla grubasów. Ma to być podobno najlepsze miejsce dla tłuściochów w całym kraju, no i najlepsza lecznica. Muszę stracić trochę ciała, lekarze twierdzą, że z tego powodu mam kłopoty z ciśnieniem. Jest tylko jedno ale. Charlie chce jechać ze mną. Wyobrażasz sobie to dziewczę jedzące ryż przez dwa miesiące? Dlatego powiedziałem jej, że to niemożliwe. Ale muszę zabrać tam samochód i chciałbym, abyś był moim kierowcą. Moglibyśmy wybrać się tam razem na parę dni i się zabawić.

Przemyślałem to i wyraziłem zgodę. Ustaliliśmy termin na przyszły tydzień. Powiedziałem Valerie, że wyjeżdżam tylko na trzy, cztery dni. Że będę prowadził jego samochód i kiedy tylko się oswoi z otoczeniem – przylecę do domu.

– Dlaczego sam nie może prowadzić? – zapytała moja żona.

– Naprawdę nie wygląda dobrze. Sądzę, że nie jest w stanie prowadzić. To przynajmniej osiem godzin jazdy.

Zdaje się, że wystarczyło to Valerie, ale mnie wciąż niepokoiła jedna rzecz. Dlaczego Charlie nie mogła prowadzić? Mógłby ją odesłać, kiedy tylko tam dotrą, poza tym bajeczka o ryżu była dość naiwna. Pomyślałem, że może jest nią zmęczony i chce jej się pozbyć. Nie martwiłem się o nią zbytnio. Miała mnóstwo troskliwych opiekunów.

Pojechałem z Osanem do kliniki jego czteroletnim cadillakiem. Osano był w świetnej formie. Nawet fizycznie wyglądał lepiej.

– Uwielbiam te rejony – mówił, kiedy znaleźliśmy się na Południu. – Uwielbiam te interesy z Jezusem Chrystusem, jakie tutaj prowadzą. Prawie każde miasteczko ma swój sklep z jezusami. Dla wszystkich, mamusiek i tatuśków. Zarabiają nieźle i mają wielu przyjaciół. Największy odpał na świecie. Czasami myślę sobie, że mógłbym zostać przywódcą religijnym zamiast pisarzem. Miałbym bajeczne życie.

Nic nie powiedziałem. Słuchałem. Obaj wiedzieliśmy, że Osano nie mógłby być nikim innym tylko pisarzem, ale niech sobie popuszcza wodze fantazji, co mi tam.

– Ach – westchnął – zebrałbym bandę wsioków i nazwałbym ich Szambonurki Jezusa. Uwielbiam ich religijną pokorę i codzienną hardość. Są jak mały w klatce. Nie wiążą przyczyn ze skutkami, ale myślę, że to cecha wszystkich religii. A tacy pieprzeni chabadnicy w Izraelu? Nie chcą, aby autobusy i pociągi jeździły w dni święte i o to tłuką się z Arabami. A nawiedzeni GN-owcy we Włoszech i ten pochrzaniony papież? Naprawdę szkoda, że nie rządzą w Watykanie. Wywiesiłbym taki napis przed wejściem: „Każdy ksiądz jest złodziejem”. To byłoby nasze motto. Nasz slogan. Problem Kościoła katolickiego polega na tym, że jest kilku uczciwych księży, którzy wszystko psują.

Rozmawialiśmy o religii przez następnych pięćdziesiąt mil. Następnie przeszedł na literaturę, później wsiadł na polityków i w końcu, kiedy byliśmy prawie na miejscu, dopadł Ruchu Wyzwolenia Kobiet.

– Wiesz – powiedział – najzabawniejsze jest to, że naprawdę jestem z nimi. Zawsze uważałem, że kobiety mają główną rolę w życiu, nawet wtedy, kiedy sam im taką rolę wyznaczałem. I kiedy miałem im to powiedzieć, te cipy nawet nie pozwoliły mi skończyć. Tak to jest z kobietami. Absolutnie nie mają poczucia humoru. Nie wiedziały, że to żart?

– Może byś opublikował to przemówienie, wtedy się dowiedzą. „Esquire” wzięłby je, nie mam racji?

– Oczywiście. Może podczas pobytu w katowni dla grubasów popracuję trochę nad nim, aby dobrze wypadło w druku.

Spędziłem z Osanem cały tydzień w klinice Duke University. Podczas tego tygodnia zobaczyłem więcej grubasów, prawdziwych dwustupięćdziesięcio-, trzystufuntowych, niż przez całe swoje życie. Od tamtego czasu nie wierzę

dziewczynom w ponchach, ponieważ pod meksykańskim kocem lub peleryną francuskiego policjanta można ukryć dwieście funtów żywej wagi. Widok takiej przerażającej masy idącej ulicą kojarzył się z wizją przekarmionego Supermana czy Zorro.

Duke Medical Center nie zajmował się tylko kosmetyką i wyglądem pacjentów. Lekarze starali się naprawić szkody wyrządzone organizmowi przez lata nadwagi. Każdy klient przechodził rozmaite badania i prześwietlenia. Zostałem z Osanem, aby upewnić się, czy chadza do restauracji z dietą ryżową.

Po raz pierwszy uzmysłowiłem sobie, jakim jestem szczęściarzem. Niezależnie od tego, ile zjadłem, nie przytyłem nawet funta. Nigdy nie zapomnę tego tygodnia. Widziałem dziewczynę o wadze trzystu funtów odbijającą się na batucie. Albo pięćsetfuntowego faceta, którego zabrano na dworzec, ponieważ tylko waga kolejowa była w stanie pokazać, ile waży. Było coś szczególnego w widoku tak olbrzymiej masy ciała wtapiającej się w mrok, skojarzyło mi się ze słoniem szykującym się na śmierć i idącym na miejsce swojego pochówku.

Osano wynajął apartament w Holiday Inn przy budynku Duke Medical Centre. Przebywało tu wielu kuracjuszy, chodzili razem na spacer, grali w karty lub siedzieli w hallu, aby nawiązać sanatoryjną znajomość. Od plot aż huczało. Pod koniec tygodnia dwustupięćdziesięciofuntowy chłopak zabrał trzystupięćdziesięciofuntową dziewczynę na wypad do Nowego Orleanu. Niestety, jest tam tyle restauracji, że po tym wielkim żarciu przytyli po dwieście funtów. Ubawiło mnie to, że przybranie na wadze było bardziej naganne niż ich domniemana niemoralność.

Pewnego razu, około czwartej rano, obudził nas z Osanem przeraźliwy wrzask jakiegoś mężczyzny. Przed oknem sypialni na trawniku leżał wyciągnięty pacjent, któremu udało się zejść poniżej wagi dwustu funtów. Najwyraźniej umierał. Biegli do niego ludzie, lekarz z kliniki już tam był. Odwieźli go karetką. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, co się stało. Pacjent opróżnił wszystkie automaty do batoników w hotelu. Policzone papierki na trawniku. Było ich sto szesnaście. Nikt nie uważał tego wydarzenia za coś niezwykłego. Po kilku dniach pacjent wydobrzył i kontynuował leczenie.

– Będziesz się tu świetnie bawić – powiedziałem Osanowi. – Mnóstwo materiału.

– Nieprawda – odparł. – Można pisać tragedię o chudzielcach, ale nie

o grubasach. Pamiętasz, jaki był popularny Flip i Flap? Można ronić łzy nad Camille, ale jak tu płakać nad workiem wypełnionym trzystoma funtami tłuszczu? To tragiczne, lecz nawet sztuka jest w tym przypadku bezradna.

Następnego dnia Osano miał dostać wyniki testów, a ja planowałem wieczorny powrót samolotem do domu. Osano zachowywał się bardzo dobrze. Trzymał się diety ryżowej i czuł się świetnie w moim towarzystwie. Kiedy poszedł po wyniki, spakowałem swoje bagaże i czekałem na niego w hotelu.

Pojawił się dopiero po czterech godzinach. Miał ożywioną twarz. Oczy błyszczały szelmowskim, zielonym blaskiem.

– Wszystko dobrze? – zapytałem.

– Pięknie, kurwa, pięknie – powiedział.

Przez sekundę nie wierzyłem mu. Wyglądał zbyt dobrze, zbyt szczęśliwie.

– Wszystko w porządeczku, nie mogłoby być lepiej. Możesz lecieć do domku. Muszę powiedzieć, że jesteś prawdziwym kumplem. Nikt by nie zrobił tego co ty. Jadłeś ryż razem ze mną i patrzyłeś, jak te laleczki trzęsą tłustymi tyłkami. Nie wiadomo, co gorsze. W jakikolwiek sposób zgrzeszyłeś wobec mnie, wybaczam ci. – Przez chwilę jego oczy były poważne i łagodne. – Wybaczam ci – powiedział. – Pamiętaj to, ty moja pierdoło.

Objął mnie. Zdarzało mu się to niezmiernie rzadko. Wiedziałem, że nienawidzi być dotykany przez facetów i nie cierpi sentymentalizmu. Byłem zdumiony, ale nie zdziwiłem się tym, że mi przebacza. Był niezwykle inteligentny i domyślałem się, że wie, dlaczego nie załatwiłem mu zlecenia dla Tri-Culture Studios. Przebaczył mi w swoim stylu. Był naprawdę wspaniałym człowiekiem. Problem w tym, że ja sam jeszcze musiałem to sobie przebaczyć.

Tego wieczoru wyjechałem z kliniki Duke University i poleciałem do Nowego Jorku. Tydzień później zadzwoniła Charlie Brown. Po raz pierwszy rozmawiałem z nią przez telefon. Miała słodki, łagodny, niewinny, dziecięcy głos.

– Merlyn, musisz mi pomóc – powiedziała.

– Co się stało?

– Osano umiera. Leży w szpitalu. Bardzo cię proszę, przyjeźdź.

## Rozdział 50

Charlie zabrała już Osana do szpitala Świętego Wincentego. Tam się spotkaliśmy. Kiedy wszedłem do izolatki Osana, zobaczyłem Charlie. Siedziała na jego łóżku i trzymała go za rękę. Druga ręka Charlie spoczywała na jego nagim brzuchu. Szpitalna piżama Osana leżała porwana na podłodze. Musieli się kochać, bo siedział uśmiechnięty na łóżku. Według mnie nie wyglądał źle. Tylko trochę szczuplej.

Omiotłem izolatkę szybkim spojrzeniem. Żadnych kroplówek ani pielęgniarek. Nie był to oddział intensywnej terapii. Poczułem tak ogromną ulgę, że aż mnie to zdumiało. Charlie musiała się pomylić. Osano nie miał najmniejszego zamiaru umierać.

– Cześć, Merlyn – odezwał się chłodno Osano. – Musisz być prawdziwym magiem. Skąd wiesz, że tutaj jestem?! To miała być tajemnica.

Nie chciałem kręcić i zmyślać, więc wypaliłem prosto z mostu:

– Charlie Brown mi powiedziała. – Może nie chciała, abym mu mówił, ale miałem dość kłamstw.

Charlie uśmiechnęła się, a Osano zmarszczył brwi.

– Mówiłem ci, ty i ja, albo tylko ja. Jak wolisz. Nikt więcej – powiedział do niej Osano.

– Wiedziałam, że chciałeś się zobaczyć z Merlynem.

– Dobra – westchnął – sterczałaś tu cały dzień. Może poszłabyś do kina, z kimś do wyra, na lody czekoladowe lub na dziesięć chińskich posiłków! Przyjdź jutro rano.

– Dobrze – zgodziła się Charlie. Podniosła się z łóżka. Stała bardzo blisko Osana, który włożył jej rękę pod spódnicę i pieścił jej uda. Nie był to sprośny gest, zrobił to tak, jakby chciał sobie przypomnieć, jakie one właściwie są, a dziewczyna pochyliła się i pocałowała go.

Kiedy pieścił jej ciepłe ciało, jego twarz przybrała wyraz zadowolenia i spokoju, jakby upewniał się w jakiejś świętej wierze.

Kiedy Charlie wyszła, Osano westchnął i powiedział:

– Merlyn, wierz mi. Napisałem tony gówna wartych książek, artykułów i wykładów. Powiem ci prawdę. Na cipa się wszystko zaczyna i wszystko kończy. Cipa to jedyna rzecz, dla której warto żyć. Wszystko inne to fałsz, obłuda, po prostu gówno.

– A co z władzą? – zapytałem, siadając na łóżku. – Zawsze lubiłeś władzę i pieniądze.

– Zapomniałeś o sztuce.

– No dobrze – zgodziłem się. – Jeszcze sztuka. No i co z władzą, forszą i sztuką?

– Są niczego sobie – przyznał Osano. – Nie chcę ich niszczyć. Mogą sobie być. Ale nie są niezbędne. Są jak lukier na ciastku.

Wtedy stanęło mi przed oczami pierwsze spotkanie z Osanem i pomyślałem, że już wówczas znałem o nim prawdę, chociaż on jej jeszcze nie znał. I teraz, kiedy mi to powiedział, zacząłem się zastanawiać, czy to prawda, ponieważ Osano kochał to wszystko. A naprawdę chciał mi powiedzieć, że nie żał mu zostawiać sztuki, forsy ani sławy.

– Wyglądasz o wiele lepiej niż ostatnio – rzekłem. – Dlaczego zatem leżysz w szpitalu? Charlie Brown powiedziała mi, że to poważna sprawa. Ale nie wygląda na nic poważnego.

– Bez kitu? – zapytał. Było mu miło. – To wspaniale. Ale wiesz, tam w tej fabryce chudzielców wyniki testów były złe. Powiem ci krótko i na temat. Wpierdoliłem się z tymi tabletkami penicyliny. Dostałem syfa, tylko tabletki maskowały chorobę, ale dawki nie były na tyle mocne, aby zniszczyć zarazki. A może to jebane krętki znalazły sposób na uodpornienie się na lekarstwo? To musiało się stać jakieś piętnaście lat temu. Od tamtego czasu te stare krętki zżarły mi mózg, kości i serce. Teraz mi mówią, że mam przed sobą pół roku, może rok, zanim odwalę kitę. No, chyba że serce pierwsze nie wytrzyma.

Byłem jak w transie. Nie mogłem w to uwierzyć. Osano był taki pogodny. Zielone oczy węża błyszcząły starym blaskiem.

– Czy nic nie można zrobić? – zapytałem.

– Nic. Ale to nie takie straszne. Będę sobie tu odpoczywał przez kilka tygodni. A potem kilka miesięcy na wolności i tutaj zaczyna się twoja rola.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie wiedziałem, czy mu wierzę. Od dawna nie wyglądał lepiej.

– Mam taki plan – mówił dalej. – Odwiedzisz mnie w szpitalu i pewnego dnia zabierzesz do domu. Nie chcę stać się niedołącznym starcem, dlatego kiedy nadejdzie odpowiedni moment – odmelduję się. Tego dnia chciałbym, żebyście byli razem ze mną, ty i Charlie Brown. Po wszystkim będziesz się mógł zająć formalnościami. – Popatrzył na mnie uważnie. – Nie musisz tego robić.

Teraz mu wierzyłem.

– Ale zrobię – powiedziałem. – Jestem twoim dłużnikiem. Czy masz wszystko, co trzeba?

– Zdobę to. Nie martw się.

Odbyłem kilka spotkań z lekarzami Osana, którzy powiedzieli mi, że nie opuści szpitala przez długi czas. Może nigdy. Poczuję ulgę.

Nie mówiłem Valerie o niczym, nawet o chorobie Osana. Dwa dni później poszedłem w odwiedziny do szpitala. Poprzednio prosił mnie, abym mu przyniósł chiński obiad. Dlatego teraz, kiedy szedłem do niego, dźwigałem torby pełne jedzenia. Krzyki usłyszałem już na korytarzu. Nie zdziwiło mnie to wcale. Położyłem torby przy jakichś drzwiach i wbiegłem do izolatki Osana.

W pokoju znajdował się lekarz, dwie pielęgniarki i przełożona pielęgniarek. Wszyscy krzyczeli na Osana. Charlie stała w rogu pokoju, obserwując całą scenę. Pobladała na twarzy i miała łzy w oczach. Osano siedział na łóżku całkowicie nagi i wydzierał się na lekarzy.

– Moje ubranie! Muszę stąd, kurwa, wyjść! – krzyczał.

– Nie chcę ponosić odpowiedzialności za wypuszczenie pana – wrzeszczał lekarz.

– Ty kupo gówna, nigdy nie byłeś odpowiedzialny. Przynieś tylko moje ubranie – zadrwił Osano.

Przełożona pielęgniarek, budząca respekt samym wyglądem, powiedziała ze złością:

– Guzik mnie obchodzi, jak jesteś sławny, ale nie będziesz mi tu robił burdelu ze szpitala!

– Pierdol się! – ryknął Osano. – Wypierdalać mi z tego pokoju! – I wstał nagi z łóżka. Wtedy spostrzegłem, że naprawdę jest chory. Zakołysał się. Pielęgniarka natychmiast podbiegła i chciała mu pomóc, już spokojna, pełna współczucia, ale Osanowi udało się podnieść. W końcu zobaczył mnie



w drzwiach i cicho poprosił: – Merlyn, zabierz mnie stąd.

Byłem zaskoczony ich zaciętością. Na pewno już nieraz przyłapali pacjentów na pieprzeniu się. Popatrzyłem na Charlie Brown. Miała na sobie kusą spódniczkę i najwyraźniej nic pod spodem. Wyglądała jak nieletnia ladacznica. I przy niej gnijące ciało Osana. Nie uświadamiali sobie tego, ale wściekłość miała podłoże estetyczne, a nie moralne. Pozostali także mnie zauważyli.

– Ja go wypiszę i wezmę na siebie odpowiedzialność – powiedziałem do lekarza.

Lekarz protestował niemal błagalnie, lecz w końcu kazał przełożonej przynieść jego ubranie.

– To dla wygody w podróży – rzekł złośliwie do Osana.

To takie proste. Zapłaciłem rachunek i wypisałem Osana ze szpitala. Zadzwoiłem po limuzynę i odwieźliśmy go do domu, po czym położyliśmy go z Charlie do łóżka. Spał trochę, a potem mnie zawołał. Powiedział mi, co się stało w szpitalu. Chciał, żeby Charlie poszła z nim do łóżka, ponieważ czuł, że umiera. Osano odwrócił głowę w moją stronę.

– Wiesz – mówił – najstraszniejszą rzeczą we współczesnym życiu jest to, że umieramy, leżąc samotnie w łóżku. W szpitalu cała rodzina stoi naokoło ciebie i nikt człowiekowi nie zaproponuje pójścia do łóżka. W domu także żona nie pójdzie do łóżka z umierającym mężem. – Osano posłał mi swój uroczy uśmiech. – To moje marzenie. Chcę być z Charlie w łóżku podczas agonii, żebym czuł, że życie nie było takie złe, a już na pewno nie miało złego końca. Symboliczne jak cholera, no nie? Właściwe dla pisarza i krytyków.

– Skąd będziesz wiedział, że to już koniec? – zapytałem.

– Myślę, że nadszedł właściwy czas – powiedział Osano. – Nie powinienem dłużej czekać.

Teraz naprawdę byłem wstrząśnięty i przerażony.

– Nie poczekałbyś jeszcze jednego dnia? – zapytałem. – Jutro poczujesz się lepiej. Jeszcze zostało ci trochę czasu. Pół roku to całkiem nieźle.

– Czy masz jakieś opory przed tym, co chcę zrobić? Moralne uprzedzenia?

– Nie, ale po co ten pośpiech?

Osano spojrzał na mnie uważnie.

– Upadek po wstaniu z łóżka to był znak. Posłuchaj, wyznaczyłem cię na wykonawcę testamentu w sprawach dotyczących mojego dorobku literackiego, twoje decyzje są ostateczne. Nie zostało ani centa, tylko kilka praw do

książek, a te przypadną moim żonom i, jak się spodziewam, dzieciom. Moje książki wciąż się dobrze sprzedają, dlatego nie muszę się o nich martwić. Staralem się zrobić coś dla Charlie Brown, ale mi nie pozwala i myślę, że ma rację.

– Kurwa o złotym sercu – podsumowałem. W normalnych warunkach nie powiedziałbym tego. – Tak jak w literaturze.

Osano zamknął oczy.

– Wiesz, co najbardziej w tobie lubiłem? To, że nigdy nie wypowiadałeś słowa „kurwa”. Ja to robiłem, ale nigdy tego nie pomyślałem.

– Dobra. Chcesz dokądś zadzwonić, zobaczyć się z kimś? Chcesz głębszego?

– Nie. Dość już tego gówna. Miałem siedem żon, dziewięć dzieci, dwa tysiące przyjaciół i miliony wielbicieli. Żadne z nich nie jest w stanie mi pomóc i nie chcę widzieć, kurwa, nikogo. – Uśmiechnął się do mnie. – I wyobraź sobie, wiodłem szczęśliwe życie. – Potrząsnął głową. – Ludzie, których najbardziej kochasz, robią cię w konia.

Usiadłem na jego łóżku i przez kilka godzin rozmawialiśmy o przeczytanych książkach. Opowiadał mi o wszystkich kobietach, z którymi się kochał, i przez chwilę starał się przypomnieć sobie tę dziewczynę sprzed piętnastu lat, która go zaraziła. Nie mógł jej jednak wyśledzić.

– Wszystkie były pięknosciami – powiedział w końcu.

– Wszystkie były tego warte. Ach, do diaska, co za różnica?

To wypadek przy pracy.

Osano wyciągnął do mnie dłoń, którą uścisnąłem.

– Powiedz Charlie, aby przyszła, a ty poczekaj na zewnątrz. – Zanim wyszedłem, zawołał do mnie: – Słuchaj! Życie artysty nie jest spełnione. Wykuj to na moim jebanym nagrobku.

Czekałem długo w drugim pokoju. Wydawało mi się, że słyszę jakieś hałasy, płacz, a potem znów nic. Poszedłem do kuchni i zaparzyłem kawę. Na stole postawiłem dwie filiżanki. I znów poszedłem do pokoju i czekałem. I w końcu usłyszałem. Nie krzyk, nie płacz. Głos Charlie, wołającej mnie po imieniu, był słodki i czysty.

Wszedłem do sypialni. Na nocnym stoliku zauważyłem złote pudełko od Tiffany’ego, w którym trzymał penicylinę. Było otwarte i puste. W pokoju paliło się światło. Osano leżał na plecach ze wzrokiem utkwionym w sufit. Nawet po śmierci w zielonych oczach zobaczyłem figlarne błyski. Charlie

przyciskała do jego piersi swoją złotą głowę, a swą nagość przykrywała prześcieradłem.

– Musisz się ubrać – powiedziałem.

Podniosła się na łokciu, aby pocałować Osana w usta. Następnie wstała i patrzyła na niego przez chwilę.

– Musisz się ubrać i wyjść – powtórzyłem. – Będzie sporo zamieszania i myślę, że Osano chciał, żebym się tym zajął. Nie chciał cię mieszać do niczego.

Wyszedłem z sypialni. Czekałem. Słyszałem szum prysznica i piętnaście minut później Charlie weszła do pokoju.

– O nic się nie martw – powiedziałem. – Zajmę się wszystkim. – Podeszła do mnie i objęła mnie. Po raz pierwszy poczułem jej ciało i zrozumiałem, dlaczego Osano tak długo ją kochał. Cudownie pachniała świeżością.

– Tylko ciebie chciał widzieć – rzekła. – Ciebie i mnie. Zadzwoń do mnie po pogrzebie?

Przyrzekłem, że zadzwonię. Charlie wyszła i zostawiła mnie z Osanem.

Czekałem do rana i dopiero wtedy zadzwoniłem na policję i zameldowałem im, że znalazłem Osana martwego. I że najwyraźniej popełnił samobójstwo. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zatuszować samobójstwa, ukrywając pudełko na pigułki. Ale jemu nie zależało, nawet gdybym ściągnął prasę i władze. Powiedziałem policji, kim był Osano, by przysłali szybciej ambulans. Następnie zadzwoniłem do prawników Osana, upoważniając ich do zawiadomienia żon i dzieci. A potem do wydawcy Osana, ponieważ wiedziałem, że zechcą umieścić nekrolog w „New York Timesie”. Chciałem, żeby tak się stało, żeby miał godną śmierć.

Policja i prokurator okręgowy zadawali mi mnóstwo pytań, jakby podejrzewali mnie o morderstwo. Ale wszystko rozeszło się po kościach. Osano napisał list do wydawnictwa, zawiadamiając je, że niestety nie będzie mógł się wywiązać z umowy, ponieważ planuje się zabić.

Odbył się wielki pogrzeb w Hamptons. Osano został pogrzebany w obecności siedmiu żon, dziewięciorga dzieci, krytyków literackich z „New York Timesa”, „New York Review of Books”, „Commentary”, „Harpersa” i „New Yorkera”. Wprost z Elaine w stanie Nowy Jork przybył autobus pełen ludzi. Przyjaciele Osana, wiedząc, że by to pochwalił, mieli w autobusie antałek piwa i przenośny barek. Na pogrzeb przybyli pijani. Osano byłby zachwycony.

W następnych kilku tygodniach napisano o Osanie tysiące artykułów sławiących go jako pierwszego wielkiego Włocha w naszej historii literatury. Zanudziliby go na śmierć. Nigdy nie myślał o sobie jako o Amerykaninie włoskiego pochodzenia. Ale jedno sprawiłoby mu przyjemność. Wszyscy krytycy zgodnie stwierdzili, że nowa powieść Osana zapewniłaby mu Nagrodę Nobla.

Tydzień po pogrzebie dostałem telefon od wydawcy Osana, który zapraszał mnie na obiad w następnym tygodniu. Zgodziłem się.

Wydawnictwo Arcania było uważane za jedno z najbardziej prestiżowych w kraju. Wydawali noblistów, tuziny zdobywców Pulitzera i NBA. Byli znani z tego, że bardziej interesowała ich prawdziwa literatura niż bestsellery. Redaktor naczelny, Henry Stiles, mógł zostać na uczelni w Oksfordzie, ruszył jednak w świat interesów.

– Panie Merlyn – powiedział – bardzo podobają mi się pańskie powieści. Mam nadzieję, że kiedyś wciągniemy pana na listę autorów.

– Zostałem wyznaczony przez Osana na wykonawcę jego woli.

– To dobrze. Może pan wie, że przekazaliśmy panu Osano zaliczkę w wysokości stu tysięcy dolarów za nową książkę. Dlatego mamy słuszne prawa do tej powieści. Chciałem się tylko upewnić, że pan to rozumie.

– Jasne. I wiem, że Osano chciał ją u was wydać. Wykonaliście wspaniałą pracę, wydając jego książki.

Twarz pana Stilesa rozjaśnił uśmiech pełen wdzięczności. Oparł się wygodnie.

– Zatem wszystko w porządku. Domyślam się, że przeglądał pan jego notatki i natrafił pan na maszynopis.

– W tym tkwi problem. Nie ma żadnego maszynopisu. Nie ma powieści, tylko pięćset stron notatek.

Stiles musiał być zdruzgotany. Wiedziałem, co myślał: Kurwa, pisarze, sto patyków zaliczki, tyle lat oczekiwania i tylko notatki. Ale pozbierał się szybko.

– Czy to znaczy, że nie ma pan ani jednej strony maszynopisu? – zapytał.

– Nie – odparłem. Kłamałem, ale nigdy się nie dowie. Było sześć stron.

– Cóż, nie praktykujemy tego, ale inni wydawcy to robili. Wiemy, że pomagał pan panu Osano w artykułach, doskonale imitując jego styl. Może na

podstawie notatek napisałby pan książkę w pół roku i wydał u nas pod nazwiskiem Osana? Możemy zarobić bardzo dużo pieniędzy. Trzeba by tylko to zachować w tajemnicy. Co prawda, jak pan rozumie, nie możemy podpisać żadnej umowy, ale za to podpisałibyśmy umowę z panem na kolejną pańską książkę.

Teraz mnie zaskoczył. Najbardziej szanowane wydawnictwo w Ameryce i robią szwindel, jakiego mógłby się dopuścić Hollywood albo hotel w Vegas. Ale dlaczego, kurwa, mnie to dziwiło?

– Nie – odpowiedziałem panu Stilesowi. – Jako wykonawca testamentu mogę zabronić wydania książki napisanej na podstawie notatek. Same notatki – proszę bardzo.

– Cóż, proszę to przemyśleć. Porozmawiamy jeszcze na ten temat. Przyjemnie było pana poznać. – Potrząsnął smutnie głową. – Osano był geniuszem. Szkoda go.

Nigdy nie wspomniałem Stilesowi, że Osano napisał pierwsze sześć stron powieści. Wśród nich znalazłem list do mnie.

*Merlyn.*

*Tutaj masz sześć stron z mojej książki. Daję ci je. Zobaczmy, co z nich potrafisz zrobić. Zapomnij o notatkach. To kał.*

*Osano.*

Przeczytałem te strony i postanowiłem je zachować. Gdy przyszedłem do domu, przeczytałem je jeszcze raz powoli, słowo po słowie.

*Posłuchaj. Powiem ci prawdę o życiu mężczyzny. Powiem ci prawdę o jego miłości do kobiet. O tym, że nigdy nie pała do nich nienawiścią. Już pewnie myślisz, że jestem na złej drodze. Zostań ze mną. Uwierz mi – jestem mistrzem magii.*

*Czy wierzysz, że można kochać kobietę i ustawicznie ją zdradzać? Mniejsza o zdradę fizyczną, chodzi o intencje, o „poezję duszy”. Cóż, nie jest to proste, ale i tak mężczyźni nieustannie to robią.*

*Chcesz wiedzieć, jak kobiety potrafią kochać, świadomie karmiąc cię miłością, aby zatruć twoje ciało i umysł tylko po to, by cię zniszczyć? A następnie, kiedy kończy się namiętność, wolą odejść? Jednocześnie mamią cię obietni-*

cami, robiąc z ciebie głupka? Niemożliwe? To jeszcze nic.

*Ale, ale, nie zniechęcaj się. To nie jest ckliwy romans.*

*Sprawię, że poczujesz bolesne piękno dziecka, zwierzęcą żądzę dorastającego chłopca i samobójcze nastroje nastolatki. A potem (to będzie chyba najtrudniejsze) ukazę ci, jak czas zmienia mężczyznę i kobietę, ich ciała i umysły.*

*A później, oczywiście, jest PRAWDZIWA MIŁOŚĆ. Nie uciekaj! Ona istnieje, a jeśli nie, to ja ją powołam do życia. Nie na darmo jestem mistrzem magii. Czy warto? A co z wiernością cielesną? Czy o to chodzi? Czy to jest miłość? Czy zachowanie miłości dla jednej wybranej osoby pozostaje w zgodzie z naturą ludzką? A jeśli tak nie jest, to czy dostajesz dodatkowe punkty za starania? Czy to działa w obie strony? Oczywiście, że nie. A jednak...*

*Życie samo w sobie jest komiczne, a nie ma nic zabawniejszego niż miłość podróżująca w czasie. Ale prawdziwy mistrz magii potrafi sprawić, że jego publiczność jednocześnie śmieje się i płacze. Inaczej sprawa wygląda ze śmiercią. Nigdy nie będę sobie żartował ze śmierci. Przekracza to moje możliwości. W porównaniu ze śmiercią miłość jest męcząca i infantylna, a jednak mężczyźni bardziej wierzą w miłość niż w śmierć.*

*Zawsze mam się na baczności przed śmiercią. Nie oszuka mnie. Wyczuwam ją na milę. Uwielbia przychodzić pod postacią stracha na wróble; komiczny kształt, który nagle rośnie i rośnie; ciemny, kosmaty kret, który przegryza żyjące pędy; czasem skrywa się pod chorobliwym rumieńcem. I nagle zaskakuje ofiarę szczerzącą zęby czaszką. Ale nie mnie. Ja czekam na nią. Jestem ostrożny.*

*Kobiety to inna sprawa. One są w posiadaniu wielkiej tajemnicy. Nie traktują miłości poważnie, nigdy tego nie robiły.*

*Nie, nie możesz teraz odłożyć tej książki. Powtarzam: to nie jest ckliwy romans. Zapomnij o miłości. Pokażę ci wszystkie stadia władzy. Najpierw życie biednego, starającego się przebić pisarza. Wrażliwego. Utalentowanego. Może nawet geniusza. Pokażę ci artystę wydostającego się z gówna dla dobra sztuki. I dlaczego tak bardzo jest tego wart. Następnie opowiem ci o sprytnym przestępcy u szczytu powodzenia. Ach, cóż za prawdziwą radość odczuwa artysta, kiedy w końcu staje się łotrem. Już się z tym nie kryje, ukazuje całą swoją naturę. Bez żadnych bzdur o honorze. Ten skurczybyk to dziwka. Oszust. Jawny wróg społeczeństwa, który nie chowa się za cipę kurwy – sztuki. Co za ulga. Co za przyjemność. Niewysłowiona rozkosz. Następnie opowiem, jak znów staje się uczciwym człowiekiem. Ciężko jest być łotrem.*

*Ale to pomaga przyjąć społeczeństwo takim, jakie jest, i wybaczyć bliźnim. Jedno jest pewne: nikt nie powinien być łotrem... no, chyba że potrzebuje pieniędzy.*

*Następnie opowiem historię jednego z największych sukcesów w literaturze. Opiszę intymne życie mocarzy naszej kultury. Szczególnie o jednym walniętym kutasie. Wyższe sfery. A więc mamy już świat biednego geniusza pióra, szemrane towarzystwo i wyższe sfery literatury. Wszystkie te podszyte seksem, skomplikowane wynurzenia nie walną cię jak obuchem w głowę, ale możesz je uznać za interesujące. I wreszcie zakończę opowieść w pełnym blichtrze Hollywoodu, gdzie nasz główny bohater będzie zżerał swoje nagrody, przepieprzał pieniądze, otoczony sławą i pięknymi kobietami. I... nie odkładaj, nie odkładaj – opowiem, jak to wszystko obraca się w proch.*

*Nie wystarczy? Już to znasz? Pamiętaj, jestem mistrzem magii. Ja naprawdę mogę ich powołać do życia. Ukażę ci, co rzeczywiście myślą i czują. Zakłasz nad ich losem, ich wszystkich, obiecuję ci to. A może tylko się roześmiesz. Tak czy inaczej przyrzekam ci dużo rozrywki. Może nauczysz się czegoś o życiu. Choć to i tak niczego nie zmieni.*

*A, wiem, co sobie myślisz. Ten sprytny skurwiol chce, żebym czytał dalej. Spokojnie, to tylko taka opowieść. Co szkodzi przeczytać? Nawet jeśli ja biorę to poważnie, ty nie musisz. Po prostu baw się dobrze.*

*Chcę ci opowiedzieć historię wcale nie z próżności. Nie pragnę sukcesu, sławy czy pieniędzy. To proste, większość mężczyzn i kobiet tego nie pragnie. Nawet lepiej: nie pragnę miłości. Kiedy byłem młody, niektóre kobiety mówiły, że kochają mnie za długie rzęsy. Przyjmowałem to bez komentarza. Następnie kochały mnie za mój umysł. Następnie za władzę i pieniądze. Następnie za talent. Następnie za głębię umysłu. Dobra, poradzę sobie z tym wszystkim. Jedyne kobiety, która mnie przeraża, to ta, która kocha mnie dla mnie samego. Mam pewne plany co do niej. Trucizny, sztylety, ciemne grobowce w jaskiniach, gdzie ukryję jej głowę. Nie można jej pozwolić żyć. Zwłaszcza gdy jest wierna, nigdy nie kłamie i zawsze stawia mnie na pierwszym miejscu.*

*W tej książce będzie sporo o miłości, ale to nie jest romans. To powieść wojenna. O odwiecznej wojnie pomiędzy mężczyznami żyjącymi w głębokiej przyjaźni. O wielkiej „nowej” wojnie pomiędzy mężczyznami i kobietami. Jasne, że to stara sprawa, ale dopiero niedawno ją ujawniono. Bojowniczkami Frontu Wyzwolenia Kobiet myślą, że to coś nowego, nie uświadamiając sobie, że to jedyne wyjście z konspiracji. Słodkie kobietki zawsze osaczały męż-*

*czynn: przy kołyskach, w kuchni i w sypialni. Przy grobach swych dzieci – najlepsze miejsce na pozbycie się litości.*

*No cóż, myślisz pewnie, że mam żal do kobiet. Ale ja nigdy nie czułem do nich nienawiści. Przekonasz się, że są lepsze niż mężczyźni. Prawdą jest jednak, że tylko kobiety były w stanie mnie unieszczęśliwić i czyniły to z zapalem już od kołyski. Wielu mężczyzn powie wam to samo. Na dodatek nie można nic na to poradzić.*

*Wyznaczyłem sobie dziwny cel. Wiem, wiem, trudno się temu oprzeć. Ale uważaj. Jestem szalbierzem, nie takim jak cała ta zgraja słabych, wrażliwych artystów. Zabezpieczyłem się. Wciąż mam w rękawie kilka asów.*

*Wystarczy już. Pozwól mi zabrać się do pracy. Pozwól mi zacząć i skończyć.*

I to była wielka powieść Osana, która miała mu przynieść Nagrodę Nobla i przywrócić dawną świetność. Żałowałem, że jej nie napisał.

Był wielkim szulerem, te strony dowodziły tego niezbiecie, ale to nie miało znaczenia. Może była to tylko poza geniusza. Chciał podzielić się swym światem ze światem zewnętrznym, to wszystko. I teraz zrobił mi ostatni kawał, podarował te strony. Kawał, ponieważ byliśmy krańcowo różnymi pisarzami. On – hojny. A ja, jak się teraz przekonałem – skąpy.

Nigdy nie szalałem za jego powieściami. I nie wiem, czy kochałem go jako człowieka. Ale kochałem go jako pisarza. I dlatego zdecydowałem się, może z przekory, może aby zapewnić sobie szczęście, a może siłą – że użyję tych stron jako moich własnych. Powinienem zmienić jedną linijkę. Śmierć zawsze mnie zaskakiwała.



# Rozdział 51

Nie mam historii swego życia. Janelle nigdy tego nie rozumiała. Zaczęłam od siebie. Nie miałem dziadków ani rodziców, wujków, cioć, przyjaciół rodziny ani kuzynów. Nie mam wspomnień z dzieciństwa, z domu, z kuchni. Nie miałem swojego miasteczka ani wioski. Zaczynam swoją historię od siebie i Artura. Później rozciągnąłem ją na Valerie i dzieci i żyłem z nimi w domu, w mieście, w którym stałem się mężem, ojcem, oni stali się moją rzeczywistością i moim zbawieniem. Ale nie muszę się już bać o Janelle. Nie widziałem jej od ponad dwóch lat, a teraz minęły już trzy lata od śmierci Osana.

Nie mogę znieść wspomnienia o Artiem, na dźwięk jego imienia łzy stają mi w oczach. To jedyna osoba, po której w życiu płakałem.

Ostatnie dwa lata spędziłem w pracowni w domu, pisząc, czytając i będąc wzorowym ojcem i mężem. Czasami wychodzę z przyjaciółmi na obiad, ale lubię myśleć, że w końcu stałem się poważny, ustatkowałem się. Że będę wiódł życie naukowca. Moje przygody się skończyły. Modłę się, aby życie nie zgotowało mi więcej żadnych niespodzianek. Bezpieczny w swoim pokoju, otoczony magicznymi woluminami: Austen, Dostojewski, Joyce, Hemingway, Dreiser i w końcu Osano. Czuję zmęczenie zwierzęcia, które uciekało wiele razy, zanim dostało się do nieba.

Pode mną, w domu, który teraz jest moją historią, żona przygotowuje niedzielny obiad. Moje dzieci oglądają telewizję i grają w karty, a ponieważ wiem, że tam są, smutek staje się do zniesienia.

Przeczytałem wszystkie książki Osana od nowa. Na początku był wielkim pisarzem. Starąłem się przeanalizować późniejszy upadek, niezdolność do skończenia swej wielkiej powieści. Zaczął pisać zafascynowany cudownością otaczającego go świata i ludzi. Pod koniec pisał o cudownościach własnej

osoby. Jego troską, jak widziałeś, było stworzenie własnej legendy. Pisał raczej dla świata niż dla siebie. Każda linijka krzyczała: „uwaga, Osano”, a nie: „uwaga, sztuka Osana”. Pragnął, aby każdy wiedział, jaki był inteligentny, jaki bystry. Postarał się nawet, aby stworzeni przez niego bohaterzy nie zyskali sławy w oderwaniu od autora. Był jak bruchomówca zazdrosny o śmiech, jaki wzbudza jego lalka. Szkoda. Choć i tak myślę, że był wspaniałym człowiekiem. Podziwiam jego ogromne człowieczeństwo, przerażającą miłość życia, błyskotliwość i poczucie humoru.

Jak mogłem mówić, że był niedoskonałym artystą, skoro jego dzieła były większe, słynniejsze od moich? Pamiętam, gdy jako wykonawca jego ostatniej woli musiałem przebrnąć przez jego papiery, powoli narastało we mnie zdziwienie, że nie znajduję powieści. Nie mogłem uwierzyć, że taki był z niego blagier, że opierdalał się przez te wszystkie lata, pisząc tylko notatki. I teraz dopiero uświadomiłem sobie, że on już się wypalił. I ten ostatni dowcip nie był wynikiem złośliwości czy przebiegłości, ale po prostu poczucia humoru. I potrzeby zarobienia pieniędzy.

Napisał wiele stron pięknej prozy, swoimi myślami natchnął swoje pokolenie... cóż, kiedy uwielbiał być łajdakiem. Przeczytałem wszystkie jego notatki, ponad pięćset żółtych kartek papieru. Wyśmienite. Ale notatki to nic.

Świadomy tego wszystkiego, zacząłem myśleć o swoich książkach. O tym, że napisałem książki śmiertelne. I że, z mniejszym szczęściem niż Osano, starałem się żyć bez iluzji i ryzyka. O tym, że nie miałem jego wiary i miłości do życia. Przypomniałem sobie Osana, który mówił, że życie zawsze stara się zrobić kogoś w konia. I może dlatego żył tak intensywnie, starając się złagodzić ciosy i poniżenia.

Wiele lat temu Jordan nacisnął spust. Osano żył pełnią życia i zakończył je, gdy nie miał już innego wyjścia. A ja starałem się ujść życiu, wkładając magiczną czapkę maga. Przypomniało mi się jeszcze jedno zdanie wypowiedziane przez Osana: „Życie zawsze wchodzi nam w drogę”. I wiedziałem, co chciał przez to powiedzieć. Świat dla pisarza jest jak jeden z tych bledych duchów, który z wiekiem staje się coraz bledszy; być może dlatego Osano zarzucił pisanie.

Przez okno pracowni widziałem intensywnie padający śnieg. Biel pokryła szarość nagich konarów drzew oraz wilgotne brzozy i zielenie jesiennego

trawnika. Gdybym był sentymentalny i miał skłonności do wzruszeń, to mógłbym powiedzieć, że widzę twarze Osana i Artiego, brnących z uśmiechem przez ścianę wirujących płatków. Ale nie chciałem. Nie byłem ani tak sentymentalny, ani tak zadufany w sobie czy też przepełniony żalem dla samego siebie. Mogłem bez nich żyć. Ich śmierć nie umniejszyła mnie, na co prawdopodobnie mieli nadzieję.

Nie, w pracowni byłem bezpieczny. Ciepły jak bułeczka prosto z piekarnika. Chroniony przed wirującymi za oknem płatkami śniegu. Nie opuszczę mojego pokoju tej zimy.

Na zewnątrz drogi są pokryte lodem, mój samochód zatańczy na szosie i śmierć mnie dopadnie. Trujące zimno zaatakuje krew i kości. Och, oprócz śmierci było jeszcze tysiące innych niebezpieczeństw. Wiedziałem, że szpieczy śmierci rozlażą się wszędzie, są w moim domu, w mojej głowie. Przygotowałem się na ich przyjście.

Wywiesiłem rozmaite wykresy na ścianach mojego pokoju. Wykresy mojej pracy, moje zbawienie, moja zbroja. Zabierałem się do powieści z czasów Imperium Rzymskiego, gdy chciałem wycofać się w przeszłość. Kiedy miałem ochotę schronić się w przyszłości, pracowałem nad powieścią z XXV wieku. Setki książek do przeczytania, do zbudowania muru wokół mojego umysłu.

Przysunąłem do okna duże, wyściełane krzesło, abym mógł wygodnie przyglądać się płatkom śniegu za oknem. Zadzwoił dzwonek kuchenny. Kolacja była gotowa. Rodzina będzie na mnie czekała: żona i dzieci. Co się z nimi dzieje po tak długim czasie? Obserwowałem śnieg, rozpętała się burza. Zewnętrzny świat całkowicie pokrywała biel. Dzwonek zadzwonił ponownie, niecierpliwie. Gdybym żył, zszedłbym na dół i w beztroskiej atmosferze zjadł kolację wraz z rodziną. Patrzyłem na śnieg. I znów rozległ się dźwięk dzwonka. Sprawdziłem wykres pracy. Napisałem pierwszy rozdział książki o Imperium Rzymskim i dziesięć stron notatek do powieści z XXV wieku. W tej chwili postanowiłem pisać o przyszłości.

I znów dzwonek; długo i kategorycznie. Zamknąłem drzwi mojego pokoju na klucz i zszedłem do jadalni, i wraz z wejściem do środka westchnąłem z ulgą.

Wszyscy tam byli. Dzieci już prawie dorosłe i gotowe do opuszczenia domu. Valerie śliczna, w fartuszkach, z cudownymi, brązowymi włosami zaczesanymi do tyłu. Miała rumieńce na twarzy, może z powodu gorąca panu-

jącego w kuchni, a może dlatego, że po kolacji idzie spotkać się ze swoim kochankiem? Czy to możliwe? Nijak nie mogłem się dowiedzieć. Jeśli nawet, to czy życie nie było warte ochrony?

Usiadłem u szczytu stołu. Żartowałem z dziećmi. Jadłem. Uśmiechnąłem się do Valerie i chwaliłem ją za jedzenie. Po kolacji wrócić do mojego pokoju, do pracy i do życia.

Osano, Malomar, Artie, Jordan – brak mi was. Ale nie wrobiecie mnie. Choć może to zrobić każdy z moich ukochanych siedzących przy tym stole. O to muszę się martwić.

Podczas kolacji zadzwonił telefon. To był Cully. Prosił, abym wyszedł po niego na lotnisko następnego dnia. Przylatywał do Nowego Jorku w interesach. Odezwał się po raz pierwszy od lat i z tonu jego głosu wiedziałem, że ma kłopoty.

Na lotnisko przyszedłem za wcześnie, dlatego postanowiłem poczekać w barze, zamówić kawę, kanapkę i poczytać kilka pism ilustrowanych. Kiedy usłyszałem, jak zapowiadają przylot samolotu, zszedłem do hali przylotów, gdzie zawsze czekałem na Cully'ego. Jak zwykle w Nowym Jorku transport bagażu trwał dwadzieścia minut. W tym czasie większość pasażerów pojawiła się już przy karuzeli z walizkami, ale Cully'ego wciąż nie widziałem. Cały czas go wypatrywałem. Tłum zaczął się przerzedzać i po chwili na obrotowej platformie zostało tylko kilka walizek.

Zadzwoniłem do domu i zapytałem Valerie, czy nie było wiadomości od Cully'ego. Powiedziała, że nie. Następnie zadzwoniłem do linii lotniczych TWA i zapytałem, czy pan Cully Cross wsiadł do samolotu. Dowiedziałem się, że zrobił rezerwację, ale się nie pokazał. Połączyłem się z jego sekretarką z Xanadu, która mnie poinformowała, że o ile jej wiadomo, pan Cross poleciał do Nowego Jorku. Wiedziała, że nie będzie go w Vegas przez kilka dni. Nie martwiłem się. Pomyślałem, że wypadło mu coś pilnego. Cully latał po całych Stanach w interesach. Jakaś ważna sprawa spowodowała nagłą zmianę planów i byłem pewien, że wkrótce dostanę od niego wiadomość. Ale gdzieś w podświadomości pojawiła się wątpliwość. Przecież zawsze zawiadamiał mnie o zmianie planów i traktował mnie zbyt poważnie, aby kazać mi czekać godzinami na lotnisku. Dopiero po tygodniu zadzwoniłem do Gronevelta.

Gronevelt ucieszył się z mojego telefonu. Miał bardzo mocny, zdrowy

głos. Opowiedziałem mu o wszystkim i spytałem, gdzie może być Cully.

– Nie mogę rozmawiać o pewnych sprawach przez telefon – powiedział Gronevelt – ale może przyjechałby pan do hotelu, odpoczął trochę i wtedy byśmy sobie wszystko wyjaśnili.

## Rozdział 52

Gdy Cully otrzymał wezwanie do Gronevelta, natychmiast zadzwonił do Merlyna.

Wiedział, w jakiej sprawie wzywa go Gronevelt, i zaczął myśleć o odwodach. Powiedział Merlynowi, że przyleci nazajutrz do Nowego Jorku, i poprosił go, aby wyszedł po niego na lotnisko. Zaznaczył, że to ważne i że potrzebuje jego pomocy.

Kiedy wszedł do apartamentu Gronevelta, starał się „odczytać” gospodarza, ale dostrzegł tylko, jak bardzo się zmienił przez te dziesięć lat. Po wylewie pozostały Groneveltowi jedynie małe czerwone żyłki na gałce ocznej, podobnie na policzkach i czole. Chłodne, niebieskie oczy wydawały się jak z lodu. Nie był już taki wysoki i postawny. Pomimo to Cully wciąż się go bał.

Jak zwykle, Gronevelt polecił Cully’emu przygotowanie drinków, naturalnie ze szkockiej whisky. Po chwili Gronevelt rzekł:

– Jutro przylatuje Johnny Santadio. Chce wiedzieć jedno. Czy Komisja do spraw Hazardu wyrobi mu licencję, czy nie.

– Znasz odpowiedź – odparł Cully.

– Myślę, że masz rację. Wiem, że powiedziałeś Johnny’emu, że to pewna sprawa. Że wszystko będzie załatwione. Tyle wiem.

– Nie dostanie jej. Nie udało mi się tego załatwić.

Gronevelt pokiwał głową.

– Była to raczej beznadziejna sprawa, biorąc pod uwagę pochodzenie Johnny’ego. A co z jego stoma patykami?

– Trzymam je w kasie hotelu. Może forszę odebrać, kiedy tylko zechce.

– Dobrze. Dobrze. Będzie zadowolony.

Siedzieli i w milczeniu popijali alkohol. Obaj przygotowywali się do praw-

dziwej bitwy, prawdziwych pytań. Po chwili Gronevelt powiedział wolno:

– Obaj wiemy, dlaczego Johnny wybiera się do Vegas. Przyrzekłeś mi, że sędzia Brianca da jego bratankowi wyrok w zawieszeniu za oszustwo i przestępstwo podatkowe. Wczoraj bratanek dostał pięć lat. Mam nadzieję, że potrafisz odpowiedzieć dlaczego.

– Tak, potrafię. Zapłaciłem sędziemu czterdzieści patyków, które dał mi pan Santadio. Tylko tyle mogłem zrobić. Sędzia Brianca zawiódł mnie po raz pierwszy. Może uda mi się odzyskać od niego pieniądze. Nie wiem. Staralem się z nim skontaktować, ale najwyraźniej mnie unika.

– Wiesz, że Johnny ma wiele do powiedzenia w hotelu i jeśli zechce, żebyś odszedł, to ja cię wywalę. Cully, wiesz, że od wylewu nie jestem w dawnej formie. Musiałem po kawałku oddawać hotel. Jestem teraz chłopcem na posyłki, fasadą. Nie mogę ci pomóc.

– Ja się nie boję wylania – zaśmiał się Cully. – Boję się, że mnie wykończą.

– Och, nie. To nie jest aż tak poważne. – Gronevelt uśmiechnął się do Cully’ego po ojcowsku. – Czy naprawdę przeszło ci coś takiego przez myśl?

Po raz pierwszy Cully rozluźnił się i łyknął porządnie ze szklanki. Czuł niewysłowioną ulgę.

– Już się przyzwyczajam do tej myśli – powiedział. – Wywalony na zbity ryj.

Gronevelt poklepał go po ramieniu.

– Nie bądź taki szybki Bill. Johnny wie, jaką pracę odwalileś przez te dwa lata od mojego wylewu. Doskonale się spisaleś. Uzyskałeś miliony dolarów zysku. To jest ważne. To się liczy. Nie tylko dla mnie, ale i dla Johnny’ego. Popełniłeś kilka błędów. Muszę przyznać, że są okrutnie wkurwieni, szczególnie z powodu bratanka w pierdlu, o którego, jak mówiłeś, nie ma co się martwić. Mówiłeś, że masz sędziego w łapie. Nie mogę zrozumieć, jak mogłeś coś takiego powiedzieć, nie mając absolutnej pewności.

– Nie wiem, dlaczego tak się stało. – Cully potrząsnął głową. – Miałem Briancę w kieszeni od pięciu lat, szczególnie wtedy, kiedy pracowała nad nim Charlie.

Gronevelt zaśmiał się.

– A tak, pamiętam. Piękna dziewczyna. Dobre serce.

– Tak. Sędzia szalał za nią. Raz na jakiś czas zabierał ją swoją łodzią na tydzień do Meksyku na ryby. Mówił, że jest z niej wspaniały kompan. Cudow-

na mała dziewczynka.

Cully nie powiedział Groneveltowi, jakie historie opowiadała Charlie o sędzim. Jak szła do jego gabinetu, on w swojej todze, a ona ciągnęła mu druta przed rozprawą. Opowiadała także, jak w łodzi zmusiła sześćdziesięcioletniego sędziego do wylizania jej cipki, po czym on natychmiast pobiegł po butelkę whisky, aby zabić zarazki. Wtedy sędzia po raz pierwszy zrobił coś takiego kobiecie. Ale, jak mówiła Charlie Brown, potem jadł jej z ręki. Cully uśmiechnął się lekko na wspomnienia i dalej słuchał Gronevelta.

– Myślę, że jest sposób, aby cię z tego wyciągnąć – powiedział Gronevelt. – Muszę przyznać, że Santadio jest w gorącej wodzie kąpany. Teraz szaleje, ale są sposoby na ostudzenie jego zapędów. Trzeba po prostu ułagodzić go jakimś ekstranumerem. Myślę, że mam coś takiego. W Japonii znowu czekają trzy miliony dolarów. Udział Johnny’ego to milion dolców. Myślę, że za milion dolców przebaczyłby ci. Ale pamiętaj: teraz to bardziej niebezpieczna gra.

Cully zdziwił się i momentalnie zapaliła mu się czerwona, ostrzegawcza lampka. Jego pierwsze pytanie brzmiało:

– Czy pan Santadio będzie wiedział, że wyjadę? – Jeśli Gronevelt potwierdzi, Cully postanowił odrzucić propozycję.

– To mój pomysł – powiedział Gronevelt, patrząc mu głęboko w oczy – i dlatego nie powinieneś mówić nikomu, dokąd jedziesz. Poleć po południu do Los Angeles, przesiądź się w japoński samolot, a dotrzesz do Tokio, zanim Santadio przyleci do Vegas. Jemu powiem tylko, że chwilowo cię nie ma. Gdy ty będziesz w podróży, sam załatwię przekazanie ci pieniędzy w Japonii. Nie obawiaj się nieznajomych, załatwimy to przez naszego starego przyjaciela Fummire.

To właśnie nazwisko Fummiry rozwiało podejrzenia Cully’ego.

– Dobrze – powiedział – zgadzam się. Tylko jeszcze jedno. Umówiłem się z Merlynem w Nowym Jorku, ma wyjść po mnie na lotnisko. Muszę go zawiadomić.

– Nie. Nie wiesz, kto słyszałby tę rozmowę lub komu Merlyn mógłby powtórzyć. Ja się tym zajmę. Zawiadomię go, że nie przylecisz. Ty nawet nie odwołuj swojej rezerwacji. To zmyli wszystkich. Powiem Johnny’emu, że poleciałeś do Nowego Jorku. To będzie superkrycie, zgoda?

– Zgoda.

Gronevelt uściśnął mu dłoń i poklepał po ramieniu.



– Zrób to najszybciej, jak potrafisz – powiedział. – Jeśli wrócisz, obiecuję ci, że załagodzę wszystko pomiędzy tobą a Johnnym Santadiem. Nie martw się.

Wieczorem, przed odlotem do Japonii, Cully zadzwonił do dwóch swoich znajomych. Obie były cichodajkami. Jedna z nich nazywała się Crystin Lesso i była żoną szefa sali w jednym z hoteli.

– Crystin – powiedział – czy jesteś w nastroju tartacznym?

– Pewnie. O ile spuścisz mi na wekslach?

Cully zwykle płacił podwójnie za ekstranumerek, co znaczyłoby dwieście dolarów. Co mi tam, pomyślał. Jadę do Japonii, kto wie, co się stanie?

– O pięćset – powiedział.

Usłyszał, jak Crystin gwałtownie wciąga powietrze.

– Co mam zrobić, wyjść na ring z gorylem? – zapytała w końcu.

– Nie martw się – pocieszył ją Cully. – Zawsze przecież się dobrze bawisz, no nie?

– Kiedy? – spytała Crystin.

– Najlepiej wcześniej. Muszę rano wsiąść w samolot. Pasuje ci?

– Jasne. Domyślam się, że nie postawisz mi kolacji?

– Nie. Jestem zbyt zajęty. Nie mam czasu.

Odłożywszy słuchawkę, Cully wyciągnął z szuflady białe paski papieru. To były weksle Crystin. Na dziesięć tysięcy dolarów.

Cully zastanawiał się przez chwilę nad tajemnicami kobiet. Crystin była przystojną, dwudziestoosmioletnią dziewczyną, a już zatwardziałą hazardzistką. Dwa lata temu popłynęła na dwadzieścia tysięcy zielonych. Umówiła się z Cullym w biurze i zakomunikowała mu, że może odrobić to jako cichodajka. Ale na randki będzie ją umawiać Cully, ponieważ ma zazdrosnego męża.

Cully starał się to jej wyperswadować.

– Jeśli twój mąż się dowie, zabije cię – powiedział.

– Jeśli dowie się o wekslach na dwadzieścia patyków, to też mnie zabije. Co za różnica? Poza tym wiesz, że nie mogę przestać grać, a jest nadzieja, że któryś z tych facetów postawi mi trochę forsy, no przynajmniej jeden zakład.

Cully się zgodził. Oprócz tego dał jej posadę sekretarki szefa zaopatrzenia hotelu. Podobała mu się i dlatego szli co tydzień do łóżka. Po jakimś czasie wprowadził ją w arkana niecodziennych doznań; spodobało jej się to bardzo.

Cully wyciągnął weksel na pięćset dolarów i przedarł go na pół. Następnie, pod wpływem impulsu, przedarł wszystkie weksle Crystin i wrzucił je do ko-

sza na papiery. Kiedy wróci z Japonii, będzie musiał zrobić jakiś hokus-pokus z księgami, ale tym zajmie się później. Crystin to dobra dziewczyna. Chciał, żeby miała czyste konto, na wypadek gdyby mu się coś przydarzyło.

Uprzątnął swoje biurko i poszedł do apartamentu. Zadzzwonił po schłodzonego szampana i do Charlie Brown. Następnie wziął prysznic i przebrał się w piżamę. Bardzo strojną. Z białego jedwabiu, wykończoną czerwoną lamówką z inicjałami na kieszonce.

Charlie Brown przysłała pierwsza. Dostała szampana. Następnie pojawiła się Crystin. Chwilę siedzieli, rozmawiali i popijali szampana. Wypili całą butelkę, zanim Cully zaprowadził je do sypialni.

Dziewczyny były trochę speszone niecodzienną bądź co bądź konfiguracją. Cully powiedział, aby się rozebrały, i sam sięgnął piżamę.

We trójkę wskoczyli do łóżka i trochę porozmawiali. Żartował z nich, opowiadał dowcipy, całował je i bawił się ich piersiami. Po chwili przysunął ku sobie ich twarze. Wiedziały, czego od nich oczekuje. Nieśmiało pocałowały się w usta.

Cully podniósł nieco drobniejszą Charlie i prześliznął się pod nią na drugą stronę, tak że kobiety znalazły się teraz obok siebie. Poczł przyplływ podniecenia.

– No dalej – zachęcał – spodoba się wam na pewno.

Wsunął rękę między nogi Charlie Brown; jednocześnie nachylił się ku Crystin, pocałował ją w usta i pchnął kobiety ku sobie. Zaczęły dopiero po jakimś czasie. Były bardzo niepewne i nieśmiałe. Zawsze tak było. Wycofał się stopniowo i usadowił w nogach łóżka.

Kiedy patrzył na nie, ogarniał go błogi spokój. Dla niego, przy całym cynicznym nastawieniu do miłości i kobiet, był to najpiękniejszy widok na świecie. Obie miały piękne ciała i śliczne twarze i były naprawdę namiętne, jak nigdy im się przy nim nie zdarzało. Mógłby patrzeć bez końca. Po jakimś czasie Cully przeniósł się na krzesło w sypialni. Kobiety stawały się coraz bardziej namiętne. Obserwował ich wijące się ciała i końcowy spazm, po którym dziewczyny cicho i spokojnie leżały, obejmując się ramionami.

Cully podszedł do łóżka i pocałował je czule. Położył się pomiędzy nie i powiedział:

– Nie róbcie niczego. Prześpijmy się trochę.

Ocknął się. Kobiety już ubrane rozmawiały ze sobą wesoło w salonie. Wyciągnął pięć banknotów studolarowych, pięć pszczołek z portfela, i podał je Charlie Brown.

Charlie pocałowała go na dobranoc i zostawiła samego z Crystin.

Usiadł na sofie, objął Crystin i pocałował ją delikatnie.

– Podarłem twoje weksle – powiedział. – Nie musisz się o nic martwić. Poza tym kasa wypłaci ci sztony na pięćset dolarów, abys mogła trochę pograć wieczorem.

– Cully, nie mogę w to uwierzyć – zaśmiała się Crystin. – Czyżbyś w końcu stał się frajerem?

– Każdy kiedyś to ma – odparł Cully. – Ale co tam. Byłaś świetnym kumplem przez dwa lata. Chcę, żebyś miała czyste konto.

Crystin objęła go, złożyła głowę na jego ramieniu i zapytała miękko:

– Cully, dlaczego nazywasz to rżnięciem? No wiesz, kiedy wystawiasz mnie dziewczynie?

Culy zaśmiał się.

– Podoba mi się to słowo. Wiele mówi.

– Nie czujesz do mnie odrazy?

– Nie, to najpiękniejszy widok pod słońcem.

Po wyjściu Crystin Cully nie mógł zasnąć. W końcu zszedł do kasyna i zobaczył Crystin przy stole do black jacka. Miała przed sobą stos czarnych sztonów.

Pomachała do niego i uśmiechnęła się cała rozpromieniona.

– Cully, to mój szczęśliwy wieczór – powiedziała. – Jestem do przodu o dwanaście kawałków.

Wzięła ze stołu garść sztonów i wcisnęła mu do ręki.

– To dla ciebie – powiedziała. – Chciałabym, żebyś je miał.

Cully przeliczył sztony. Było ich dziesięć. Tysiąc dolarów. Roześmiał się i powiedział:

– Dobra. Zatrzymam je dla ciebie. Kiedyś możesz potrzebować forsy.

Poszedł na górę do swojego biura i wrzucił sztony do jednej z szuflad. Znow chciał zadzwonić do Merlyna, ale postanowił tego nie robić.

Rozejrzył się po biurze. Nie miał tu już nic więcej do roboty, ale czuł instyktownie, że o czymś zapomniał.

Jak w rozdaniu, w którym zapomniał o bardzo ważnej karcie. Ale było już za późno. Za kilka godzin będzie w Los Angeles przesiadał się na samolot do

Tokio.

W Tokio Cully pojechał taksówką do biura Fummiry. Ulice były zatłoczone, wielu ludzi nosiło maski chirurgiczne, aby ochronić płuca przed smogiem. Nawet robotnicy drogowi w pomarańczowych ubraniach i białych hełmach nosili maski chirurgiczne. Z jakiegoś powodu Cully wzdrygnął się na ten widok. Uzmysłował sobie, że to z powodu ogólnego rozdrażnienia podczas tej podróży.

Fummiro powitał go gorącym uściskiem dłoni i szerokim uśmiechem.

– Tak dobrze pana widzieć, panie Cross – powiedział. – Postaramy się, aby dobrze się pan u nas bawił. Proszę tylko powiedzieć, czy ma pan jakieś specjalne życzenia.

Byli w biurze urządzonej w typowym dla Fummiry amerykańskim stylu i mogli rozmawiać swobodnie.

– Mam walizkę w hotelu – powiedział Cully. – Proszę mi tylko powiedzieć, kiedy mogą ją przynieść do biura.

– W poniedziałek. W weekend nic nie można załatwić. Ale jutro organizuję przyjęcie u siebie w domu, na którym, jak się spodziewam, może się pan dobrze zabawić.

– Bardzo dziękuję – odparł Cully – ale muszę odpocząć. Nie czuję się za dobrze, to była długa podróż.

– A tak. Rozumiem. Mam pewien pomysł. Jest taka gospoda na wsi, w Yogawarze, oddalona tylko o godzinę drogi samochodem. Podeślę panu moją limuzynę. To najpiękniejsze miejsce w Japonii. Ciche i spokojne. Będą też dziewczynki. Doskonałe jedzenie. Japońskie, oczywiście. Wszyscy ważni Japończycy przywożą tam swoje kochanki na dyskretne wakacje. Może się tam pan odprężyć i wrócić w poniedziałek odświeżony, a ja będę już na pana czekał z pieniędzmi.

Cully pomyślał przez chwilę nad tą propozycją. Niebezpiecznie będzie dopiero, kiedy dostanie pieniądze, a pomysł na krótkie wakacje zapowiadał się bardzo obiecująco.

– Brzmi to świetnie – powiedział Fummirze. – O której podeśle pan samochód?

– W piątek wieczorem ruch jest okropny. Może jutro rano? Niech pan wypoczywa, do zobaczenia w poniedziałek.

Na znak szczególnego szacunku Fummiro odprowadził go do samej windy.

Do Yogawary jechali ponad godzinę. Ale kiedy Cully tam dotarł, był zadowolony, że dał się namówić na tę wyprawę. Gospoda była naprawdę piękna, w japońskim stylu.

Jego apartament był wspaniały. Służba przechodziła przez pokoje niewidoczna jak duchy. I ani śladu innych gości.

W jednym z pomieszczeń stała wielka sekwojowa balia. Łazienka była wyposażona we wszystkie możliwe typy żyletek i płynów do golenia oraz damskich kosmetyków. Wszystko, o czym można by zamarzyć.

Dwie dziewczynki, zaledwie dojrzałe, napełniły balię i umyły go, zanim wszedł do pachnącej gorącej wody. Balia była tak duża, że Cully mógł niemal w niej pływać. I tak głęboka, że woda sięgała mu prawie ponad szyję. Poczuł, jak opuszcza go zmęczenie i napięcie. W końcu dziewczęta pomogły mu wyjść i zaprowadziły na matę. Rozciągnięty, pozwolił wymasować sobie wszystko, łącznie z pojedynczymi włosami. Był to najwspanialszy masaż, jaki mu w życiu zrobiono.

Dały mu *futaba* – małą, twardą, kwadratową poduszkę, aby złożył na niej głowę. Spał do popołudnia i po przebudzeniu przeszedł się po okolicy.

Gospoda była położona na stoku wzgórza wychodzącego na dolinę, za którą znajdował się bezkresny ocean z krystalicznie czystą błękitną wodą. Obszedł piękny staw obrośnięty kwiatami, który wydawał się specjalnie dobrany do parasoli, mat i hamaków na werandzie gospody. Upajał się jaskrawymi kolorami, a powietrze odświeżało umysł. Nie był już zmartwiony ani spięty. Nic się nie wydarzy. Dostanie pieniądze od Fummiry, starego przyjaciela. W Hongkongu przekaże pieniądze, oczyści się przed Santadiem i powróci bezpiecznie do Las Vegas. Wszystko się uda. Dostanie hotel Xanadu i zajmie się Groneveltem jak syn ojcem w podeszłym wieku.

Przez chwilę żałował, że nie może spędzić reszty życia w tym pięknym miejscu. Tak spokojnie, tak czysto. Tak kojąco, jakby żył sto lat temu. Nigdy nie chciał zostać samurajem, ale teraz z zazdrością pomyślał, jak niewinne prowadzili wojny. Zaczął zapadać zmrok i drobne krople deszczu burzyły powierzchnię stawu. Wrócił do gospody.

Uwielbiał japoński styl życia. Żadnych mebli. Tylko maty. Przesuwane pa-

pierowe ściany zmieniające salon w sypialnię. Wszystko wydało mu się tak celowe i mądre. Gdzieś daleko usłyszał dzwoneczek wydający srebrzyste tony i po kilku minutach do pokoju weszły dwie dziewczyny, odsuwając uprzednio papierowe drzwi. Niosły owalną tacę, długą na pięć stóp; mogła być blatem stołu. Taca była pełna najrozmaitszych owoców morza.

Była tam czarna kałamarnica i ryba z żółtym ogonem, perłopławy, kraby o szarym pancerzu, wypatroszone ryby z widocznym różowym mięsem. FERIA kolorów. Pożywienia było tyle, że nie dałoby mu rady pięciu wygłodniałych mężczyzn. Kobiety położyły tacę i ułożywszy poduszki, aby mógł sobie wygodnie usiąść, usadowiły się obok niego, karmiąc go rybami.

Weszła kolejna dziewczyna, niosąc tacę z sake. Nalała alkoholu i podała mu do ust, aby mógł się napić.

Wszystko było pyszne. Po posiłku Cully wpatrywał się w dolinę porośniętą sosnami i ocean w oddali. Za sobą słyszał, jak kobiety sprzątaję po kolacji i zasuważają papierowe drzwi. Był sam w pokoju i patrzył na ocean.

Jeszcze raz analizował ostatnie wydarzenia, liczył talię okoliczności i szans. W poniedziałek rano po otrzymaniu pieniędzy od Fummiry wsiądział do samolotu odlatującego do Hongkongu. Starał się zorientować, gdzie tkwiło niebezpieczeństwo, jeśli w ogóle gdzieś tkwiło. Pomyślał o Gronevelcie. Gronevelt mógł go zdradzić, Santadio, a nawet Fummiro. Dlaczego zdradził go sędzia Brianca? Czy to sprawa Gronevelta? I wtedy przypomniał sobie kolację z Groneveltem i Fummiro. Czuli się nieswojo w jego towarzystwie. Co to znaczyło? Nieznana karta w rozdaniu? Ale Gronevelt był schorowanym starcem, a macki Santadia nie sięgały na Daleki Wschód. A Fummiro był starym przyjacielem.

Zawsze jednak trzeba liczyć się z pechem. I tak będzie to ostatnia ryzykowna gra, którą podjął. Przynajmniej spędzi jeszcze jeden spokojny dzień w Yogawarze.

Usłyszał za sobą odgłos rozsuwanych papierowych drzwi. Pojawiły się dwie służące. Zaprowadziły go do balii z pachnącą wodą.

Gdy się wykąpał, przenieśli go na matę, podłożyły poduszkę *futaba* pod głowę i znów dokładnie wymasowały. Teraz, wypoczęty, poczuł przyływ podniecenia. Objął jedną z dziewcząt, ale ta delikatnie, choć stanowczo powstrzymała jego zapędy. Gestami pokazała, iż przyśle mu inną dziewczynę, ponieważ to nie jest jej funkcja.

Cully pokazał jej dwa palce na znak, że chce dwie dziewczyny. Zachicho-

tały, a on zastanawiał się, czy Japonki robią to ze sobą.

Patrzył, jak znikają za drzwiami. Wtulił głowę w małą, kwadratową poduszkę. Jego ciało spoczywało w błogim rozleniwieniu. Leżał w półśnie. Gdzieś z oddali usłyszał szelest odsuwanych drzwi. Aha, już są, pomyślał. I ciekawy ich wyglądu, urody, ubioru, uniósł głowę, by ze zdumieniem spojrzeć dwóch mężczyzn w maskach chirurgicznych. Podchodzili do niego.

W pierwszej chwili pomyślał, że został źle zrozumiany. Przecież nie prosił o mocniejszy masaż. Nagle widok masek chirurgicznych wywołał w nim przerażenie. Przecież takich masek nie nosi się na wsi! I wtedy zrozumiał. „Nie mam pieniędzy. Nie mam pieniędzy!” – krzyknął, choć i tak wiedział, że nie o to chodzi. Próbował podnieść się z maty, ale tych dwu było już nad nim. Nie było to potworne ani bolesne. Wydawało mu się, że zatapia się w morzu, w orzeźwiających, ciepłych wodach przepastnej balii. Otworzył oczy. I po chwili już cicho spoczywał na macie z poduszką *futaba* pod głową.

Dwóch mężczyzn owinęło jego ciało w ręczniki i cicho wyniosło z pokoju.

Daleko za oceanem Gronevelt nacisnął dźwignię urządzenia pompującego tlen do sali kasyna.

# **Księga VIII**



## Rozdział 53

Do Vegas przyleciałem w nocy. Gronevelt zaprosił mnie do siebie na późną kolację. Najpierw piliśmy trochę, po czym kelnerzy przynieśli zamówiony posiłek. Zauważyłem, że Gronevelt je bardzo mało. Wyglądał starzej i był jakby bardziej wyblakły. Cully mówił mi o jego wylewie, ale nie widziałem żadnych tego widocznych śladów. Może tylko poruszał się i odpowiadał na pytania nieco wolniej.

Spojrzałem na tablicę kontrolną podawania tlenu. Gronevelt zapytał:

– Cully mówił ci o tym? Nie wolno mu było.

– Niektóre rzeczy są zbyt ciekawe, by trzymać je tylko dla siebie. Poza tym wiedział, że nie będę rozpowiadał na prawo i lewo.

Gronevelt uśmiechnął się.

– Możesz wierzyć lub nie, ale ja to uważam za gest dobrego gospodarza. Daje to pechowcom odrobinę nadziei na ostatni dobry strzał przed spaniem. Cierpię na myśl, że sfrustrowani pechowcy kładą się spać. Nie przeszkadza mi to w przypadku szczęściarzy. Mogę znieść szczęście, ale nie cierpię umiejętności. Fachowcy i tak nigdy nie są w stanie pokonać procentów, to ja je zbieram. Życie jest podobne hazardowi. Procenty zmielą fachowca na proszek.

Gronevelt mówił bez związku, najwyraźniej myślał o zbliżającej się śmierci.

– Trzeba się bogacić po kryjomu – powiedział – trzeba żyć, myśląc o procentach. Zapomnieć o szczęściu, wiara w szczęście jest zdradziecka.

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem. Po skończeniu posiłku, gdy piliśmy brandy, Gronevelt rzekł:

– Nie chciałbym, abyś martwił się o Cully’ego, dlatego powiem ci, co mu się przydarzyło. Pamiętasz tę podróż do Tokio i Hongkongu z pieniędzmi?

Cóż, Cully miał swoje powody, aby zdecydować się na podobny numer. Ostrzegalem go przed tym. Mówilem mu, że ma nikłe szanse na powodzenie. Ale miał swoje powody, o których nie mogę teraz mówić. Przyczyny były rzeczywiście ważne i w końcu zdecydował się na tę wyprawę.

– Potrzebował pańskiego pozwolenia.

– Tak – odparł Gronevelt. – Jego wyprawa miała być korzystna także dla mnie.

– A więc co się z nim stało? – zapytałem Gronevelta.

– Nie wiemy. Załadował pieniądze do swojej cudacznej walizki i zniknął. Fummiro podejrzewa, że jest w Brazylii czy Kostaryce i żyje jak król. Ale ty i ja znamy Cully’ego lepiej. On nie umiałby żyć z dala do Vegas.

– A więc, jak pan myśli, co się stało?

Gronevelt uśmiechnął się do mnie.

– Znasz taki wiersz Yeatsa? Zaczyna się, zaraz, zaraz: „Żeglarzy i żołnierzy wielu z dala od ziemskich jest niebieskich” i myślę, że to właśnie przydało się Cully’emu. Myślę, że spoczywa na dnie jednego z tych pięknych stawów przy jakimś domu gejsz. Jakby nienawidził tego miejsca! Chciał umrzeć w Vegas.

– Czy zrobił pan coś, aby go odnaleźć? – zapytałem. – Czy zgłosił pan zaginięcie japońskiej policji lub władzom?

– Nie. To niemożliwe i tobie też to odradzam.

– Przyjmuję za dobrą monetę to, co pan mi mówi – powiedziałem. – Może Cully pojawi się pewnego dnia. Może wejdzie do kasyna z pańskimi pieniędzmi, jak gdyby nigdy nic.

– Niemożliwe. Proszę, nie myśl tak. Nie chciałbym, abyś miał choć cień nadziei. Po prostu pogódź się z tym. Myśl o nim jak o jeszcze jednym graczu, którego procenty starły na proch. – Urwał i po chwili rzekł miękko: – Popełnił błąd w liczeniu rozdania. – Uśmiechnął się.

Wiedziałem już, o co chodzi. Naprawdę Gronevelt mówił mi, że wysłał Cully’ego z misją i przygotował wszystko tak, że Cully stracił życie. I patrząc teraz na niego, wiedziałem, że nie zrobił tego z okrucieństwa, zemsty, ale dlatego, że miał uzasadnione i słuszne powody. Dla niego była to tylko część interesów.

Podaliśmy sobie dłonie.

– Zostań tak długo, jak chcesz. Wszystko na koszt firmy – powiedział.

– Dzięki, ale chyba jutro będę musiał wracać.

- Czy chcesz pograć wieczorem?
- Tak myślę. Tylko trochę.
- Cóż, miejmy nadzieję, że ci się poszczęści.

Zanim wyszedłem, Gronevelt odprowadził mnie do drzwi i wcisnął garść sztonów do ręki.

– To było w biurku Cully’ego – powiedział. – Jestem pewien, że chciałby, abyś sobie zagrał po raz ostatni. Może te pieniądze przyniosą szczęście? – Urwał nagle i po chwili dodał: – Przykro mi z powodu Cully’ego. Brak mi go.

- Mnie też – powiedziałem i wyszedłem na korytarz.

## Rozdział 54

Gronevelt przeznaczył dla mnie apartament z bawialnią w brązach, jak zwykle w Vegas przeładowany kolorami i blichтром. Nie chciało mi się grać i byłem zbyt zmęczony, aby iść do kina. Przeliczyłem sztony, moją schedę po Cullym. Dziesięć czarnych sztonów, tysiąc dolarów. Pomyślałem, jak szczęśliwy byłby Cully, gdybym wrzucił sztony do walizki, nie tracąc ich w kasynie, i wyjechał z Vegas. Pomyślałem, że tak zrobię.

Nie byłem zaskoczony tym, co się z nim stało. We krwi miał coś, co sprawiło, że musiał wyzwać los wbrew procentom. Urodzony szuler zawsze jest graczem. Wierząc w swoje umiejętności liczenia, nigdy nie mógłby się stać równorzędnym partnerem Gronevelta. Gronevelt miażdżył wszystko „żelazną dziewczicą” procentów. Próbowałem zasnąć, ale mi się nie udawało. Było za późno, aby zadzwonić do Valerie, w Nowym Jorku zegary wskazywały pierwszą w nocy. Zacząłem kartkować kupioną na lotnisku gazetę i zobaczyłem w programie ostatni film z Janelle. Grała drugoplanową rolę kobietą, jednak robiła to tak dobrze, że dostała nominację do Oscara. Miesiąc temu film miał premierę w Nowym Jorku, ale wtedy nie poszedłem do kina, dlatego postanowiłem zobaczyć go teraz. Mimo że nie rozmawiałem z nią od czasu, gdy zostawiła mnie samego w hotelu.

To był dobry film. Patrzyłem, jak Janelle robi na ekranie te wszystkie rzeczy, które robiliśmy razem. Na wielkim ekranie jej twarz wyrażała czułość, uczucie i namiętność, którą okazywała mi w łóżku. Oglądając film, zastanawiałem się, co jest prawdą. Czy bardziej szczerą była ze mną w łóżku, czy na ekranie? W którejś ze scen, kiedy porzucił ją kochanek, miała taki sam wyraz twarzy, jak wtedy, gdy czuła się przeze mnie zraniona; wyraz twarzy, który

łamał mi serce. Byłem zdumiony tym, jak jej gra odzwierciedla nasze najintymniejsze przeżycia. Czy próbowała na mnie swoją nową rolę, czy też aktorstwo prezentowane przez nią w tym filmie odzwierciedlało ból po naszym rozstaniu? Prawie zakochałem się od nowa i byłem zadowolony, że wszystko skończyło się dla niej dobrze. Stawała się sławna, dostała od życia to, czego pragnęła lub przynajmniej to, czego myślała, że pragnie. I taki jest koniec tej historii, pomyślałem. Tutaj ja, biedny, nieszczęśliwy kochanek, z oddali oglądający sukces swej ukochanej. Każdy będzie mnie żałował, stanę się bohaterem, ponieważ będę cierpiał w samotności, pisząc książki, podczas gdy ona błyszczy w świecie filmu. I niech tak zostanie. Przyrzekłem Janelle, że jeśli kiedyś o niej napiszę, nie ukazę jej jako przegranej czy wartej współczucia. Pamiętam, jak pewnego wieczoru poszliśmy do kina na *Love story* i jak potem była wściekła.

– Wy, pierdolone pisarczyki, zawsze uśmiercicie dziewczynę na końcu – krzyknęła. – Wiesz dlaczego? Ponieważ to najprostszy sposób, aby się jej pozbyć. Jesteście nimi znużeni, a nie chcecie wyjść na ostatnich łotrów. Dlatego ją zabijacie i płaczecie nad jej trumną i jesteście bohaterami. Jebani hipokryci. Zawsze chcecie pozbyć się kobiet. – Zwróciła na mnie swoje pociemniałe od gniewu złotobrzowe oczy i powiedziała: – Nigdy mnie nie zabijaj, sukiny-synu.

– Przyrzekam, nie zrobię tego. Ale dlaczego wobec tego wciąż powtarzasz, że nie dożyjesz do czterdziestki? Że się wypalisz?

Zawsze wciskała mi takie kity. Uwielbiała dramatyzować.

– Nie twój interes – powiedziała. – Do tego czasu nawet nie będziemy ze sobą rozmawiać.

Wyszedłem z kina i skierowałem się w stronę odległego Xanadu. To był długi spacer. Zacząłem od początku Stripu i idąc w kierunku ciemnych pustynnych wzgórz, które trzymały wartę u wylotu ulicy, mijałem niezliczone hotele, podświetlane fontanny i neony. Myślałem o Janelle. Przyrzekłem jej, że jeśli będę pisał o nas, nigdy nie przedstawię jej na przegranej pozycji. Jako kogoś godnego współczucia czy łez. Prosiła mnie o to, a ja, dla zabawy, obiecałem jej.

Ale prawda jest inna. Nie pozostała w moim umyśle tak jak Artie, Osano i Malomar. Moja magia już nie skutkowałą. Ponieważ wtedy, kiedy widziałem ją pełną życia i namiętności na ekranie, ona już nie żyła.

Janelle, przygotowując się do sylwestra, wolniutko robiła makijaż. Siedząc przed olbrzymim lustrem, malowała sobie oczy. W górnym rogu lustra widać było całe mieszkanie. Panował w nim nieopisany bałagan, ubrania porozrzucone na podłodze, porozkładane buty, na stole walały się brudne naczynia po kawie, łóżko straszło nieschowaną pościelą. Będzie musiała wyjść do Joela, nie wpuści go do mieszkania. Joel to facet z rolls-royce'em, jak go nazywał Merlyn. Sypiała z nim od czasu do czasu, nie za często, i wiedziała, że dzisiaj też będzie musiała. Przecież był sylwester. Już się dokładnie wykąpała i spryskała dezodorantem. Była gotowa. Pomyślała o Merlynie i zastanawiała się, czy do niej zadzwoni. Nie dzwonił do niej od dwóch lat, ale dzisiaj lub jutro mógłby zadzwonić. Na pewno jednak nie zrobi tego dziś w nocy. Przez chwilę rozważała, czy ona nie mogłaby zadzwonić do niego. Ale nie. Spanikowałaby. Tchórz. Przerazała go myśl o spapraniu sobie życia rodzinnego. Zawsze zasłaniał się tym kitem, który tak pieczołowicie hodował przez całe lata. Nie tęskniła za nim. Wiedziała, że on pogardza sobą za to, że się zakochał, a ona cieszyła się nieopisanie, że zdarzyło się jej takie uczucie. Nie było dla niej ważne, że tak boleśnie się ranili. Przebaczyła mu już dawno, ale wiedziała, że on jej nie wybaczył. Myślał naiwnie, że stracił część siebie. Janelle wiedziała jednak, że nie jest to prawda ani o nim, ani o niej. Przerwała malowanie. Była zmęczona i bolała ją głowa. Miała też bardzo zły nastrój, jak zwykle zresztą w sylwestra. Mijał jeszcze jeden rok, coraz bardziej zbliżała się starość. Bała się starości. Pomyślała, czy by nie zadzwonić do Alice, która wyjechała do rodziców do San Francisco. Alice byłaby przerażona, widząc bałagan w pokoju, ale Janelle wiedziała, że posprzątałaby pokój, nie czepiając się jej. Uśmiechnęła się, przypominając sobie słowa Merlyna, że wykorzystywała swoją kochankę w tak męski, brutalny sposób, na jaki pozwalali sobie tylko najbardziej tyrańscy mężowie. Uzmysłowała sobie, że to po części prawda. Wyjęła z szuflady rubinowe kolczyki – pierwszy prezent od Merlyna – i założyła je. Pięknie na niej wyglądały. Uwielbiała je.

Gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach, poszła otworzyć. Wpuściła Joela. Gównon ją obchodziło, co powie na bałagan w pokoju. Ból głowy był coraz intensywniejszy, więc przed wyjściem zażyła percodan. Joel był uprzejmy i czarujący jak zwykle. Otworzył przed nią drzwiczki samochodu i dopiero potem wsiadł z drugiej strony. Janelle pomyślała o Merlynie. Zawsze zapominał o takich drobiazgach i kiedy się na tym przyłapał, był zakłopotany. W końcu powiedziała, żeby tego nie robił.

Było to zwykle noworoczne przyjęcie w wielkim, zatłoczonym domu. Parking był pełen dandysów wysiadających z mercedesów, rolls-royce'ów, bentleyów i porsche. Janelle знаła sporo ludzi. Mężczyźni flirtowali z nią i składali jej propozycje, które zręcznie odrzucała, tłumacząc się noworocznym postanowieniem, aby pozostać czystą przynajmniej przez miesiąc.

Przed północą była naprawdę w złym nastroju i Joel zauważył to. Zabrał ją do jednej z sypialni i dał trochę kokainy. Natychmiast poczuła się lepiej. Przetrwiała wybicie północy, pocałunki, toasty i znowu powrócił ból głowy. Nigdy jeszcze tak nie cierpiała. Wiedziała, że musi wrócić do domu. Odnalazła Joela i powiedziała mu, że jest chora. Jedno spojrzenie na jej twarz wystarczyło, by sam się o tym przekonał.

– To tylko ból głowy – rzekła Janelle. – Nic mi nie będzie. Muszę tylko wrócić do domu.

Joel odwiózł ją do mieszkania i chciał z nią zostać. Wiedziała, że ma nadzieję na szybką poprawę i spędzenie z nią następnego dnia w łóżku. Ale Janelle naprawdę kiepsko się czuła. Pocałowała go i wytłumaczyła, że naprawdę fatalnie się czuje. Uwierzył jej.

– Chcesz, abym wezwał lekarza? – spytał.

– Nie, wezmę tylko kilka pigułek i wszystko będzie w porządku.

Po chwili był już bezpiecznie za drzwiami.

Natychmiast poszła do łazienki, aby wziąć percodan, i zawinęła wokół głowy mokry ręcznik jak turban. Pierwsze uderzenie dopadło ją po drodze z łazienki. Uderzenie w tył głowy. Prawie upadła. Przez chwilę przemknęła jej przez głowę myśl, że ktoś się schował w mieszkaniu i uderzył ją, albo sama się o coś uderzyła. Gdy następny ogłuszający cios powalił ją na kolana, wiedziała, że to nie żarty. Zdołała doczołgać się do telefonu i odszukać na czerwonej nalepce numer lekarza. Alice przykleiła tę nalepkę przed wizytą jej syna, tak na wszelki wypadek. Wykręciła numer, odezwał się kobiecy głos. Janelle powiedziała:

– Jestem chora. Nie wiem, co się dzieje, ale to jest straszne. – Podała nazwisko, adres i upuściła słuchawkę. Udało się jej wdrapać na łóżko i zadziwiająco szybko poczuła się lepiej. Była nieomal zawstydzona, że telefonowała po pomoc, kiedy nic jej nie jest. Ale już wkrótce całym ciałem poczuła potworny cios. Coś się stało z jej wzrokiem: widziała przedmioty tylko blisko,

dalej obraz był zamazany. Nie wierzyła w to, co się z nią działo. Nie widziała niczego poza pokojem. Przypomniała sobie o kokainie, którą dał jej Joel, i którą jeszcze miała w torebce. Chwiejnym krokiem poszła do bawialni, aby jej się pozbyć, ale pośrodku pokoju otrzymała kolejny potężny cios. Puściły zwieracze odbytu. Pozostała jeszcze cząstką świadomości z wielkim wysiłkiem zdjęła majtki, wytarła nimi podłogę i rzuciła pod sofę. Następnie pomyślała, że nie chce, aby ktokolwiek ukradł jej piękne kolczyki. Zdjęła je więc z trudem, dotarła do kuchni i wrzuciła je na zakurzoną szafkę, gdzie nikt ich nie będzie szukać.

Była wciąż przytomna, gdy przyjechało pogotowie, w pełni świadoma, że ktoś ją bada i zagląda do torebki, gdzie miała schowaną kokainę. Myśleli, że przedawkowała. Jeden z pielęgniarzy pytał:

– Ile prochów wzięłaś dzisiaj?

– Nie brałam prochów – wymamrotała.

– Daj spokój, próbujemy uratować ci życie – nalegał.

I to zdanie pomogło jej. Weszła w swoją rolę. Użyła wyrażenia, którym zawsze wyśmiewała to, co było cenne dla innych. Powiedziała: „Och, proszę”. Brzmiało to tak, jakby ratowanie życia było jej ostatnim zmartwieniem, czymś nieistotnym.

Była świadoma podczas jazdy karetką, w szpitalu, kiedy kładli ją do łóżka na białej sali, ale teraz nie jej się to działo. Działo się to komuś, kogo sobie wymyśliła, i nie było prawdą. Mogła wyjść z tej roli, gdy tylko zechce. Czuła się bezpiecznie. Po chwili dopadło ją kolejne potworne uderzenie i straciła przytomność.

W Nowy Rok zadzwoniła do mnie Alice. Byłem nieco zaskoczony, słysząc jej głos. Tak naprawdę to nie poznałem jej, dopóki się nie przedstawiła. Pierwsza myśl, jaka mi zaświtała w głowie, to ta, że Janelle potrzebuje pomocy.

– Merlyn, pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć – powiedziała. – Mięło już sporo czasu, ale pomyślałam, że będziesz chciał wiedzieć. – Zamilkła niezdecydowana. Nie odzywałem się, więc mówiła dalej. – Mam złe wiadomości o Janelle. Leży w szpitalu. Miała krwotok w mózgu.

Nie rozumiałem, co do mnie mówi. Może mój umysł odmawiał przyjęcia tej wiadomości? Zarejestrowałem tylko, że jest chora.



– Co z nią? – zapytałem. – Czy to poważne?

Znów długa cisza, po czym Alice powiedziała:

– Sztucznie podtrzymują ją przy życiu. Testy nie wykazują żadnej aktywności mózgu.

Byłem spokojny, ale dalej nie rozumiałem.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że umrze? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Nie, nie to. Może wyzdrowieje, może utrzymają ją przy życiu. Przyjechała już jej rodzina i zajęła się wszystkim. Chcesz przyjechać? Możesz zatrzymać się u mnie.

– Nie mogę. – I naprawdę nie mogłem. – Zadzwoń do mnie jutro i powiesz, co się dzieje? Przyjadę, ale tylko jeśli będzie potrzebna moja pomoc.

– Merlyn – powiedziała Alice po dłuższej chwili łamiącym się głosem – siedziałam koło niej. Wygląda tak pięknie, jak gdyby jej się nic nie stało. Trzymałam ją za rękę, była ciepła. Wygląda, jakby spała. Ale lekarze mówią, że nic nie zostało z jej mózgu. Merlyn, czy oni mogą się mylić? Czy wyzdrowieje?

W tym momencie byłem pewien, że to pomyłka, że Janelle wyzdrowieje. Cully powiedział kiedyś, że człowiek jest w stanie sprzedać sobie wszystko, i ja to robiłem.

– Alice, lekarze czasami się mylą, może wyzdrowieje. Nie upadaj na duchu.

– Dobrze – odparła Alice. Płakała. – Och, Merlyn, to takie straszne. Ona leży tam jak śpiąca królewna, a ja mam nadzieję, że zdarzy się cud, że wyzdrowieje. Nie wyobrażam sobie życia bez niej. I nie potrafię tak żyć. Ona też nienawidzi takiego życia. Jeśli oni tego nie zrobią, to ja wyłączę wtyczkę. Zrobię to. Nie pozwolę, aby żyła w ten sposób.

Ach, nadszedł moment, abym stał się bohaterem. Królewna spowita zaklęciem, a ja, Merlyn Mag, wiem, jak ją obudzić. Ale nie zamierzałem pomagać Alice w tym, co chciała zrobić.

– Poczekaj na rozwój wydarzeń – poradziłem. – Zadzwoń do mnie. Dobrze?

– Dobrze – odparła Alice. – Pomyślałam tylko, że będziesz chciał wiedzieć. Myślałam, że może przylecisz.

– Naprawdę nie rozmawiałem ani nie widziałem się z nią od bardzo dawna – powiedziałem. I przypomniała mi się rozmowa z Janelle. Zapytała: „Wy-

parłbyś się mnie?”. A ja odparłem ze śmiechem: „Z całego serca”.

– Kochała cię bardziej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę – rzekła Alice.

Nie powiedziała: „niż kogokolwiek”. Nie wspomniała o kobietach.

– Może wyzdrowieje. Zadzwońisz do mnie? – spytałem.

– Tak – odrzekła Alice. Jej głos znów był spokojny.

Dostrzegła moją rezerwę i nie wiedziała, o co chodzi.

– Zadzwońię do ciebie, kiedy tylko coś się wydarzy. – I odwiesiła słuchawkę.

Wybuchnąłem śmiechem. Nie wiem dlaczego, po prostu wybuchnąłem śmiechem. Nie wierzyłem w to, uważałem, że musi to być jeszcze jeden z numerów Janelle. Było to tak nieskończenie dramatyczne, jak coś, o czym zawsze fantazjowała. Myślałem, że zorganizowała sobie małe przedstawienie. Jedno wiedziałem: już nigdy nie spojrzę na jej piękną, pustą twarz pozbawioną mózgu. Nie spojrzę, bo mógłbym zamienić się w kamień. Nie czułem żalu ani nie miałem poczucia utraty ukochanej. Byłem na to zbyt ostrożny. Zbyt sprytny. Przez cały dzień chodziłem tu i tam, potrząsając głową. I jeszcze raz wybuchnąłem śmiechem. Spostrzegłem, że twarz wykrzywia mi grymas, jak u kogoś, komu spełniło się grzeszne sekretne marzenie lub u kogoś, kto w końcu wpadł w pułapkę bez wyjścia. Alice zadzwoniła do mnie nazajutrz.

– Już jest w porządku – powiedziała.

Przez chwilę myślałem, że mówi poważnie, że Janelle wyzdrowiała, że to wszystko było jedną wielką pomyłką.

– Wyciągnęliśmy wtyczkę. Wyłączyliśmy maszynę, już nie żyje – dodała.

Żadne z nas nie mówiło nic przez dłuższą chwilę.

– Czy pojawisz się na pogrzebie? – zapytała. – Będzie stypa w teatrze. Przyjdą wszyscy jej przyjaciele. Takie przyjęcie z szampanem, na którym będziemy wygłaszali mowy na jej cześć. Przylecisz?

– Nie – odparłem. – Pojawię się za kilka tygodni, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Teraz nie mogę.

Znów cisza, jakby starała się opanować gniew.

– Janelle powiedziała mi kiedyś, aby ci ufać, więc to robię. Przyjedź, kiedy zechcesz, do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę.

Hotel Xanadu rozświetlił się przede mną milionem lamp, zatapiając w ciemności samotne góry w oddali. Minąłem hotel, wspominając szczęśliwe dni, miesiące i lata spędzone z Janelle. Od jej śmierci myślałem o niej niemal codziennie. Budziłem się, myśląc o niej, wyobrażając ją sobie, przypominając, jak potrafiła być jednocześnie czuła i wściekła.

Przez pierwsze chwile po przebudzeniu wierzyłem, że żyje. Wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Dopiero po kilku minutach uzmysławiałem sobie, że umarła. Nigdy mi się to nie zdarzyło z Osanem czy Artiem. W rzeczywistości prawie o nich teraz nie myślałem. Czy bardziej mi na niej zależało? Ale skoro tak, to dlaczego roześmiałem się nerwowo po otrzymaniu wiadomości od Alice? Dlaczego tego dnia, kiedy dowiedziałem się o jej śmierci, kilka razy się roześmiałem?

Teraz myślę, że być może wściekłem się na nią za jej śmierć. Gdyby żyła, zapomniałbym o niej z czasem. Ale dzięki swoim sztuczkom będzie mnie nawiedzać do końca życia.

Kiedy spotkałem się z Alice kilka tygodni po śmierci Janelle, dowiedziałem się od niej, że krwotok był spowodowany wadą wrodzoną, o której Janelle mogła wiedzieć.

Pamiętam, jaki byłem zły, gdy kilkakrotnie zapomniała o naszych spotkaniach. Uważałem, że mnie podświadomie odrzuca. Alice powiedziała mi, że często jej się to zdarzało. Przed śmiercią było jeszcze gorzej. Na pewno było to związane z tętniakiem i wyciekami do mózgu. Przypomniałem sobie jej pytanie ostatniej nocy. Pytała, czy ją kocham, a ja odpowiedziałem jej obraźliwie. Gdyby teraz mogła mnie spytać o to samo, byłoby inaczej. Mogła by robić i mówić, co by tylko chciała. Przyjąłbym ją taką, jaką chciała być. Myśl, że mógłbym jeszcze ją zobaczyć, usłyszeć jej śmiech, byłaby w stanie mnie uszczęśliwić.

„Ach, wtedy – prawie słyszałem ten głos. – Ale czy to takie ważne dla ciebie?”. Chciała być najważniejsza dla mnie, dla swoich znajomych, dla całego świata. Była niesamowicie zła uczucia. Pomyślałem o gorzkich uwagach, jakie mi czyniła w łóżku, i panice, jaką wywoływało moje smutne spojrzenie. Mawiała: „Czy nie taka mam być? Czy nie tego chcą mężczyźni od kobiet? Myślałby kto, że to twój ideał kobiety”. A jednak nigdy nie była okrutna czy wulgarna i wtedy uświadomiłem sobie coś jeszcze. Moje wspomnienia nigdy nie dotyczyły miłości fizycznej.

Wiem, śnię o niej wiele razy w nocy, ale nigdy nie pamiętam tych snów.

Po prostu budzę się z myślą, że wciąż jest wśród żywych.

Stałem u szczytu Stripu w cieniu gór Nevady, spoglądając na neonowe gniazdo – serce Las Vegas. Będę grał wieczorem, a rano polecę samolotem do Nowego Jorku. Jutro w nocy będę spał u boku żony w moim domu i pracował nad książkami w oddzielnym pokoju. Będę bezpieczny.

Wszedłem do kasyna hotelu Xanadu. Zmroziło mnie chłodne powietrze. Obok przeszły dwie kasynowe dziwki, potrząsając kręconymi włosami. Jedna mlecznobrązowa, druga czekoladowa. Białe dziewczyny w króciutkich spodenkach i długich butach ukazywały mlecznobiałe uda. Twarze miały upiornie blade. Pod skórą widać było kości uwypuklone przez jasne światło żyrandoli i lata zażywania kokainy. Przy stołach do black jacka długi rząd krupierów unosił ręce, myjąc je w powietrzu.

Przeszedłem przez kasyno w kierunku sali do bakarata. Kiedy zbliżyłem się do szarego ogrodzenia, tłum rozstał się i zobaczyłem, że wewnątrz nie ma nikogo.

Czekało na mnie Czterech Świętych w czarnych krawatach. Krupier uniósł dłoń, powstrzymując rozdającego. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się, poznając. Ze wzniesioną ręką zaintonował: „Karta dla Gracza”. Kontrolerzy, dwaj bladzi Jehowi, pochyłili się nad stołem.

Odwróciłem się, aby popatrzeć na kasyno. Poczułem przypływ tlenu i zastanawiałem się, czy to ten chromy starzec, Gronevelt, naciska magiczne guziki, aby obudzić ludzi. A jeśli to on nacisnął guzik, którym wcześniej wykończył Cully’ego i innych?

Stojąc bez ruchu pośrodku kasyna, szukałem szczęśliwego stołu, od którego powinienem zacząć.

## Rozdział 55

„Cierpię, lecz nie ma mnie wśród żywych. Jestem iksem w równaniu matematycznym. Jestem jak upiór, który stracił początek i koniec”.

Czytałem to w sierocińcu, kiedy miałem piętnaście lub szesnaście lat, i myślę, że Dostojewski napisał te słowa, aby ukazać nieskończoną rozpacz rodzaju ludzkiego, aby zasiać ziarno przerażenia w sercu każdego i aby zaszczerpić w nim wiarę w Boga. Ale dawno temu, kiedy to czytałem, te słowa były dla mnie promieniem światła. Odpowiadało mi to, bycie upiorem wcale mnie nie przerażało. Uważałem iks i równanie za magiczną tarczę. I teraz, zachowawszy rozważnie swe życie, doświadczony wszystkich niebezpieczeństw i cierpień, nie potrafiłem, używając starej sztuczki, przenieść się w przyszłość. Moje życie nie było już tak bolesne i nie musiałem szukać ratunku w przyszłości. Otaczały mnie, odartego ze wszystkich iluzji, stoły szczęścia. I wiedziałem, że choćbym robił nie wiadomo co, bez względu na to, jak będę przebiegły – i tak jestem na straconej pozycji.

W końcu pogodziłem się z faktem, że już nie jestem magiem. Ale co mi tam. Nadal żyłem, czego nie dało się powiedzieć o Artiem, Janelle czy Osanie, Cullym, Malomarze i biednym Jordanie. Teraz rozumiałem Jordana. To niesłychanie proste. Życie było dla niego zbyt hojnym prezentem. Ale nie dla mnie. Tylko głupcy umierają.

Czy byłem potworem, gdyż nie rozpacziałem i tak bardzo chciałem żyć dalej? Mogłem poświęcić brata, mój jedyny początek, a potem Janelle, Osana i Cully’ego, po których nawet łyzy nie uroniłem. Czy odpowiadał mi świat zbudowany przeze mnie i dla mnie?

Śmiejemy się z dzikusa, gdyż lęka się i przerażają go szarlatańskie sztuczki, lecz sami mamy ten lęk w oczach na myśl o grozie i winie, które roją się w naszych głowach. Nasza wrażliwość jest tylko wyższym stopniem ewolucji

grozy u biednego, głupiego zwierzęcia. Cierpimy na próżno. Chęć śmierci jest naszą jedyną prawdziwą tragedią.

Merlin, Merlin. Już tysiąc lat minęło i musisz się przebudzić w swojej jaskini, włożyć magiczną czapę i przejść się po obcym ci świecie. Ty biedny gnojku ze swą magią, czy opłacało ci się spać przez tysiąc lat? Twoja czarodziejka dawno leży w grobie. Obaj Arturowie w proch się obrócili.

Czy masz może jeszcze jakiś czar w zanadrzu? Straszliwie długo to trwało, ale cóż to jest dla prawdziwego gracza? Wciąż mam garść czarnych sztonów i włosy stojące ze strachu na głowie.

Cierpię, lecz pozostałem wśród żywych. Możliwe, że jestem żywym upiorem, ale znam swój początek i znam swój koniec. To prawda, że jestem iksem w równaniu matematycznym, iksem, który przerazi ludzkość w jej podróżach po milionach galaktyk. Nieważne. Ten iks jest moją opoką.

[1](#) Nidoszły, chybiony.

[2](#) Wytwórnia Trzech Sępów.

